

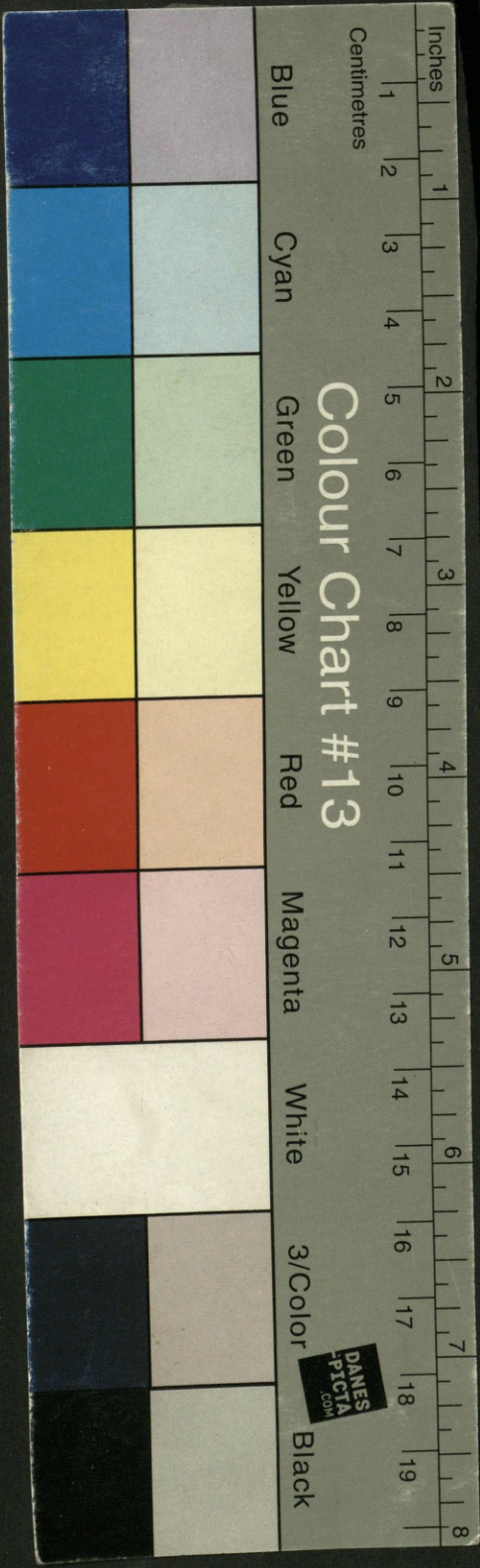
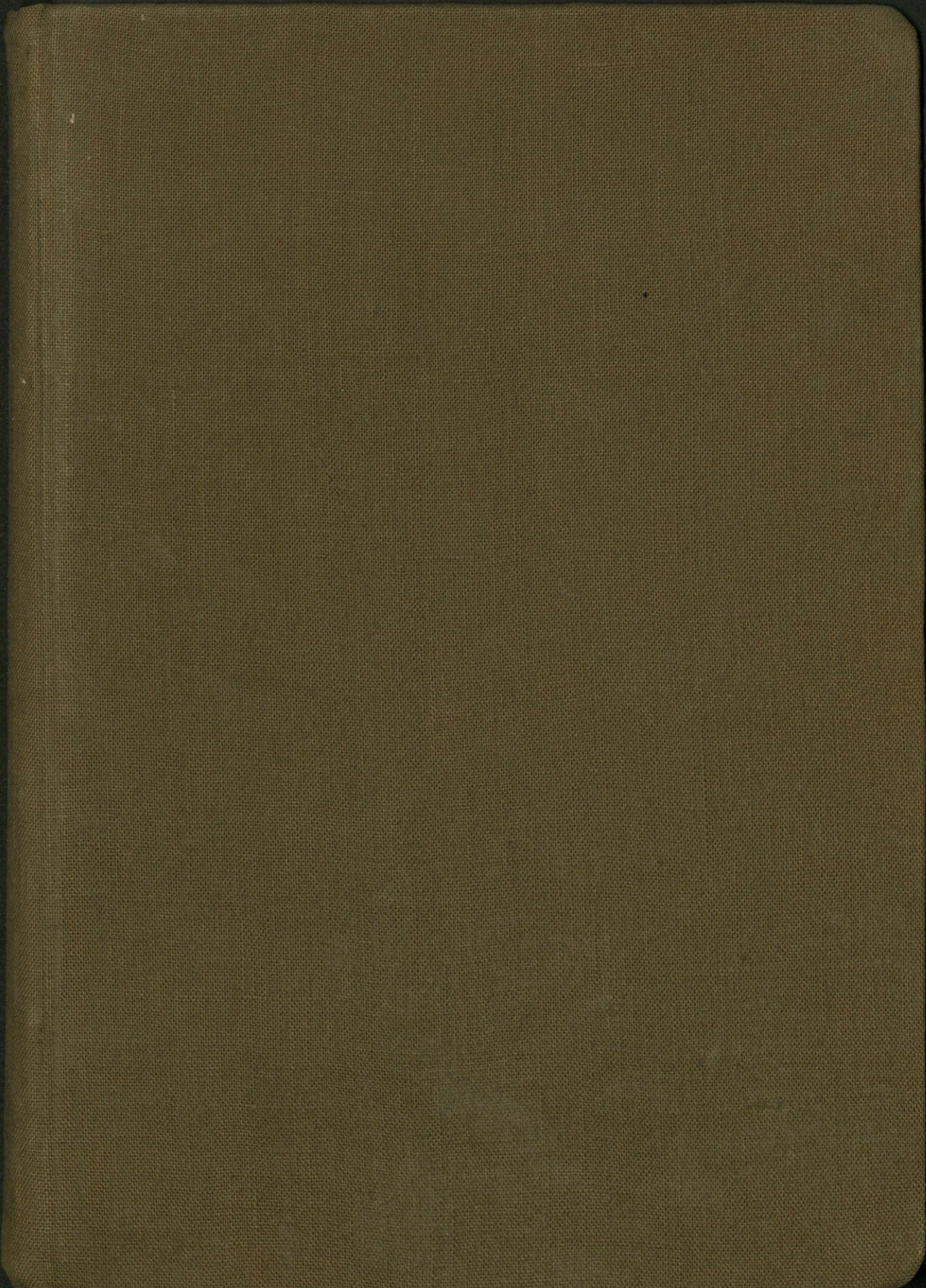
R G B WH GR BL

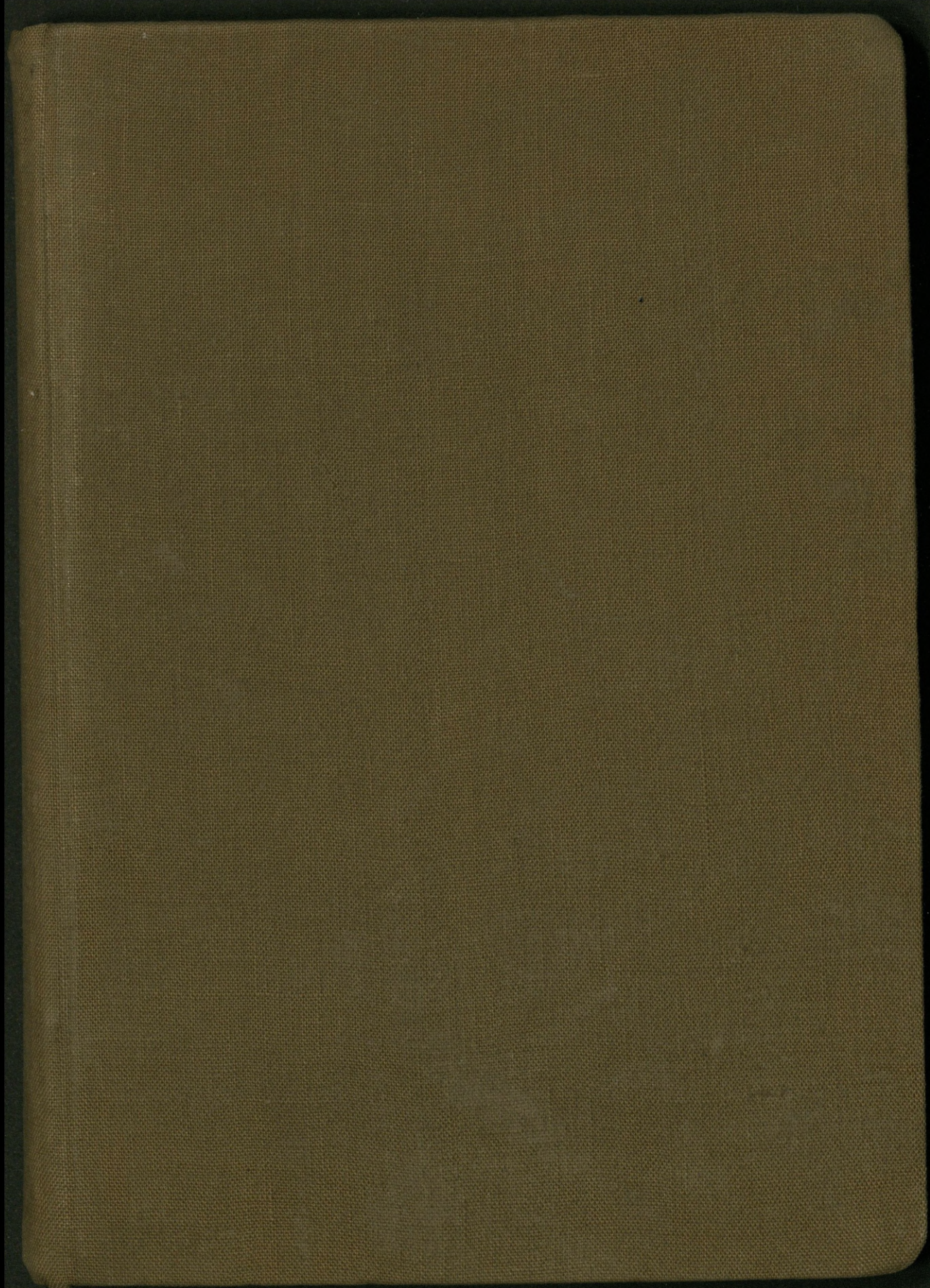
Grey Scale #13

C M Y K

DANES PICTA .COM

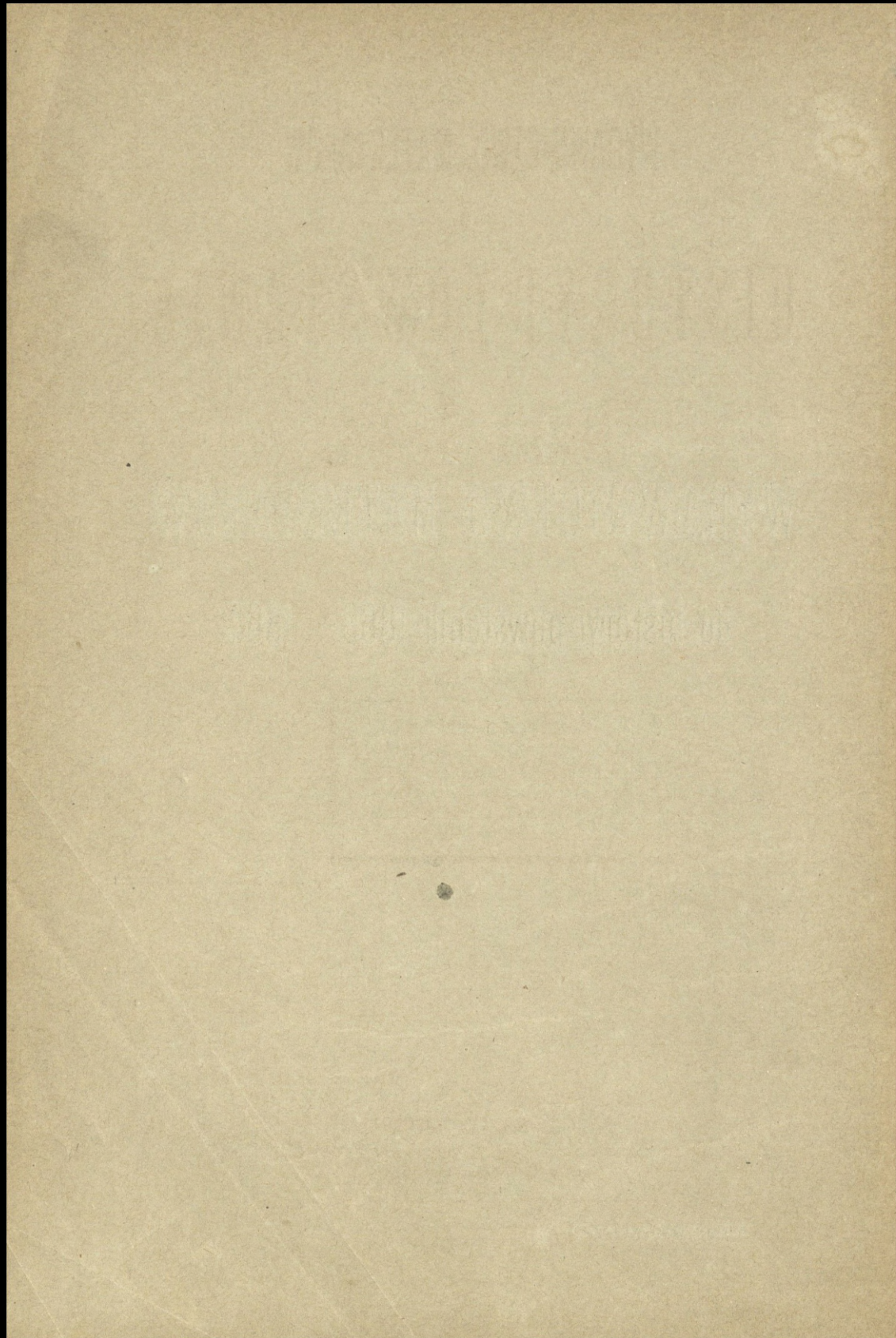
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





WYDAWNICTWO MATERIAŁÓW

do historyi powstania 1863 1864.



WYDAWNICTWO MATERIAŁÓW

DO

HISTORYI POWSTANIA

1863—1864.

Tom II.

PAMIĘTNIK PUŁKOWNIKA STRUSIA.
MOJE NOTATKI, BENTKOWSKI.
Z PAMIĘTNIKA DLA MOICH WNUKÓW,
DESKURA.
WSPOMNIENIA Z ROKU 1863
S. DUCHIŃSKIEJ.

LWÓW.

NAKŁADEM I CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ.

pod zarządkiem Stanisława Baylego.

1890.

93(438)9 ; 93(438)10 ; 355.91 (438)

31618/2

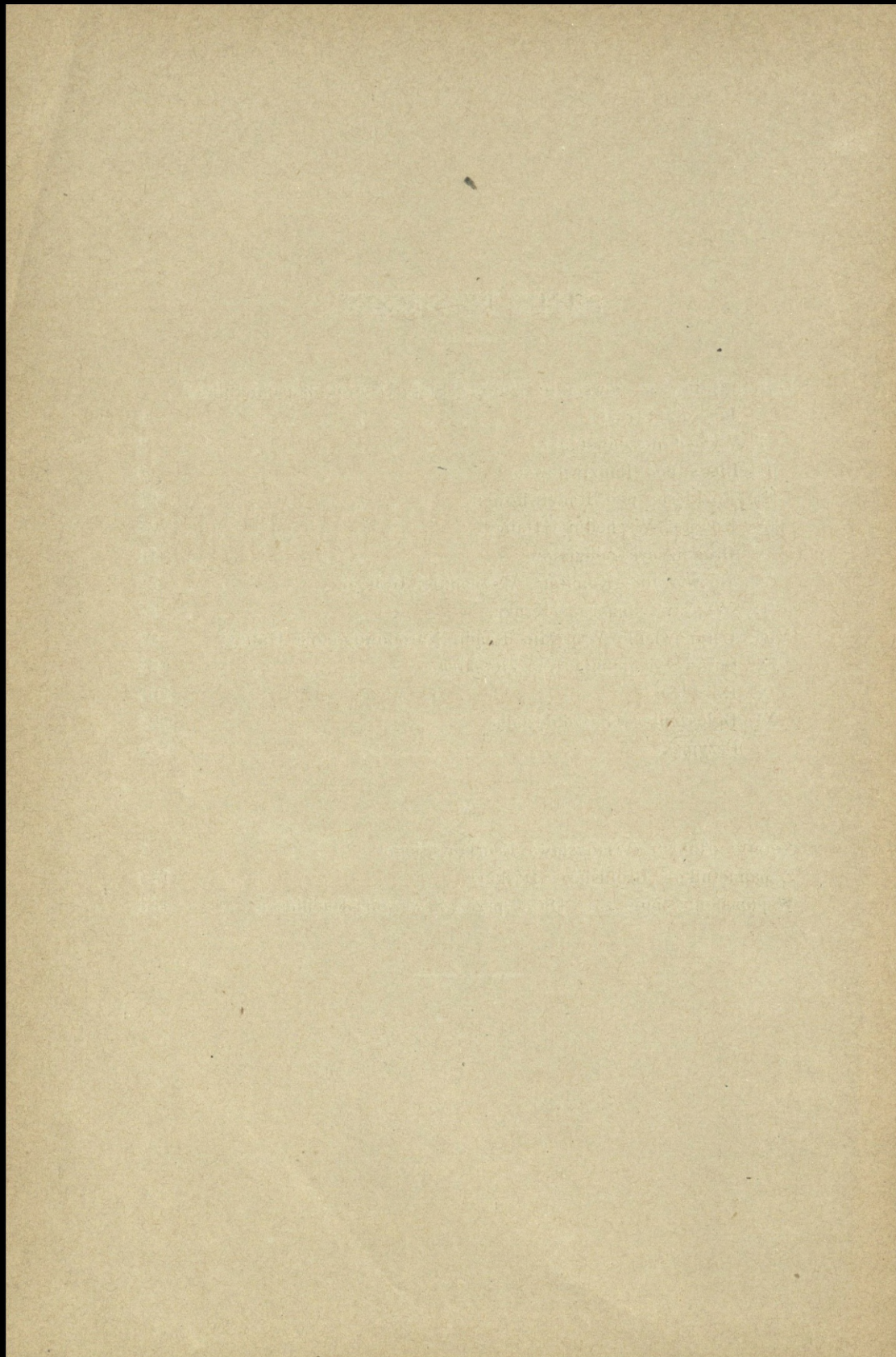


SPIS RZECZY.

Udział Galicyi w powstaniu 1863—1864. Urywek z pamiętników	
Jenerała Strusia	1
I. Wyjazd do powstania	3
II. Bitwa pod Radziwiłowem	8
III. Po klęsce pod Radziwiłowem	27
IV. Komitet Wschodniej Galicyi	34
V. Organizacya oddziałów	46
VI. Rozwiązanie Komitetu Wschodniej Galicyi	72
VII. Wyprawa Jenerała Kruka	77
VIII. Ustanowienie Wydziału Rządu Narodowego dla Galicyi	87
IX. Sprawa Zygmunta Kaczkowskiego	94
X. Rok 1864	103
XI. Ogłoszenie stanu oblężenia	123
Przypiski	143

* * *

Notatki osobiste Władysława Bentkowskiego	1
Z pamiętników Bronisława Deskura	119
Wspomnienia moje z r. 1863, przez Sewerynę Duchyńską	189



UDZIAŁ GALICYI W POWSTANIU

1863—1864.

WYJĄTEK Z PAMIĘTNIKÓW PUŁKOWNIKA STRUSIA.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

1955

LIBRARY OF THE UNIVERSITY OF CHICAGO

Ponieważ zajmowałem wybitne stanowisko w organizacji narodowej i znam dokładni eciągłość robót powstańczych w Galicyi od drugiej połowy Czerwca 1863 do upadku powstania gdyż w tym czasie ani na chwilę nie byłem pozbawiony swobody, uważam za obowiązek pozostawienia pamiętników z epoki, w której byłem czynny, tem więcej, że udało mi się w różnych miejscach zebrać dość znaczną ilość dokumentów, któremi mogę poprzeć opowiadanie.

Namiętności nie uspokoiły się jeszcze zupełnie i dlatego nie nastąpił czas do pisania historyi owych wypadków, lecz teraz jest już może chwila właściwa do przejrzenia pamiętników, napisanych dawniej i pod innemi wrażeniami; siwy włos bowiem już pokrył skołatanę głowę, spokojniej człowiek patrzy na drogę przebytą, poważniej ocenia stosunki dawne i obecne, a nawet osłabił ciężki żal, wywołany przedwczesnemi mogiłami, które pokryły kości najlepszych przyjaciół i całym sercem ukochanych braci. Mam przekonanie, że obecna chwila jest najodpowiedniejsza do wystąpienia z pamiętnikami, gdyż żyją jeszcze ludzie, co przypatrywali się tym czynnościom, przyjmowali w nich udział i byli świadkami rozgromu, straszne-go upadku ducha, demoralizacyi i powolnego powstawania z tego stanu prostracyi, w jaki kraj wtrąciło nieudane powstanie. Pamiętniki moje, w których mówię nietylko o faktach,

lecz i o pobudkach każdego dokonanego czynu, prawdopodobnie wywołają zaprzeczenia, krytykę, może wyciągną z ukrycia jakie nieznane mi lub zapomniane fakta i dokumenta; tym sposobem epoka ta jeszcze się więcej rozjaśni i dla przyszłego historyka będzie pole lepiej przygotowane. To jest właśnie celem opublikowania wspomnień moich z tego czasu.

I.

Wyjazd do powstania.

Na brzegu Newy, między dwoma sfinksami egipskimi, umieszczonemi naprzeciwko petersburskiej Akademii sztuk pięknych, jest przystań parostatków. Tam dnia 26. maja 1863 roku zebrało się grono przyjaciół, odprowadzających mnie do Kronsztatu, gdzie miałem przesiąść się na szwedzki statek i udać do Altony. Wszyscy wiedzieli, dokąd i po co jadę, bo przed nimi nie tałem zamiaru udania się tam, dokąd obowiązek mnie wzywał. Dymisya ze służby wojskowej i paszport zagraniczny głosily, że jadę dla poratowania zdrowia do zagranicznych wód mineralnych.

O czwartej po południu podniesiono kotwicę i statek ruszył w dół wspaniałej rzeki. W ciągu dwugodzinnego przejazdu muzyka najęta grała, rozmowa toczyła się wesoło, wino ożywiało ją jeszcze. »Jedź, Pułkowniku, jedź, kochany przyjacielu, mówili mi Moskale, szczęść Ci Boże, a gdy się wyleczysz, dopomóż i nam do odzyskania zdrowia.« Gdym przesiadł na statek szwedzki i dano znak odjazdu, wszyscy odprowadzający mnie na parostatku zdjęli kapelusze i tak stali długo, długo, póki można było widzieć siebie wzajemnie.

Mosty były spalone. Przedemną otwierało się życie awanturnicze, nowe, bez jutra i bez nadziei. Wychowany wojskowo wśród Moskali, wiedząc, jak wielką jest militarna potęga państwa moskiewskiego, znając organizację wojskową tych wojsk, z którymi zaczęliśmy walczyć, nie byłem w stanie przypuścić ani na chwilę, abyśmy mogli zwyciężyć. Lecz obznajomiony doskonale z wszystkimi rodzajami służby woj-

skowej, uważałem za mój obowiązek pójść na straconą pikietę i krwią swoją spłacić dług ziemi ojczystej. Och! ciężkie jest spełnienie obowiązku, gdzie nie ma wiary w udanie się przedsięwzięcia! Zdeptałem świetnie zaczęta karierę, porzucałem przyjaciół lat młodzieńczych, żegnałem w myślach drogą matkę, siostry i braci, których już nigdy nie miałem obaczyć, żegnałem marzenia młodości, rwałem związki serdeczne z przeświadczeniem, że idę na śmierć pewną, przekonany, że nikt nie odniesie nawet ostatniego westchnienia syna i brata tym, których tak kochałem, nikt nie wskaże im nawet tego miejsca, gdzie kości moje leżeć będą!

Przez Hamburg i Bruksellę udałem się do Paryża, w którym miałem otrzymać wskazówkę, dokąd mam się udać i co robić. Przy rewizyi rzeczy na granicy francuskiej urzędnik celny, obaczywszy rewolwer i kilkaset nabojów w walizie mojej, zapytał:

— Qu'est — ce que cela signifie ?

— Je suis Polonais, odpowiedziałem.

— Fermez, je vous en prie, odrzekł, uchylając grzecznie czapki i poszedł do innego.

Razem ze mną jechał oficer francuski, który widział tę scenę; w drodze zawiązał pogadankę o powstaniu polskim i upewniał, że cała armia francuska czeka tylko skinienia cesarskiego, ażeby z radością biedz na pomoc walczącemu ludowi, dla którego tyle mają współczucia i wdzięczności za krew wspólnie wylaną dla chwały Francyi. Oby to tylko prawdą było, pomyślałem sobie!...

Po przyjeździe do Paryża udałem się do p. Józefa Ordęgi, który przyjmował nadzwyczajnie czynny udział w pracach organizacyjnych poza granicami kraju. Jako znający dokładnie stosunki na Litwie, zaproponowałem, aby alokucyę Piusa IX., w której Papież tak sympatycznie odzywał się o kraju naszym i błogosławił mu, przetłomaczono na język litewski i, wydrukowawszy złotemi literami, rozrzucono między Żmudzinami dla uzyskania jak największej pomocy od tego głęboko katolickiego ludu. Drugą propozycyą moją było, aby wezwać starego generała Dembińskiego, czyby nie chciał objąć dowództwa nad powstaniem na Litwie. Imię jego tam było bardzo popularne od roku 1831 i pojawienie się tego bohatera narodowej epopei, sławnej jak rejterada 10 tys.

Greków, mogło wywołać skutki niezwykle korzystne dla powstania na Litwie, które prawdopodobnie urosłoby do ogromnych rozmiarów, mając dowódcę, posiadającego miłość i nieograniczone zaufanie ludności.

Pan Ordega uznał słusność i użyteczność projektów moich i co do pierwszego odesłał mnie do ajenta wydziału Litwy dla zakupna broni, p. Bonoldego; co do drugiego radził poprzednio przekonać się, czy generał Dębiński zechciał by się podjąć podobnego zadania.

Przybywszy do mieszkania p. Bonoldego, ze zdumieniem przekonałem się, że to ten sam, którego w Wilnie poznałem jako nauczyciela tańców, człowieka nijakiego, niedołągę i strachajłę. Niezmiernie był zakłopotany i przestraszony, gdym mu powiedział, że jestem do niego przysłany, jako do ajenta Litwy, chciał bowiem być takim ajentem, o którym by żywa dusza nie wiedziała, bo się bał okrutnie Moskali, wyjechawszy z kraju na zawsze!... Wyrozumiawszy, o co rzecz chodzi, przyrzekł, że natychmiast zajmie się tą sprawą, bo uznaje, iż w podobny sposób można trafić do serca poczciwego litewskiego ludu. Obietnica ta była tylko odczepnem, bo propozycja moja nie była nawet poruszona w paryskim Komitecie.

Następnie odwiedziłem generała Dębińskiego, z którym się znałem jeszcze od roku 1858. Generał polubił mnie, dowiedziawszy się, iż napisałem broszurę wojenną o słynnym odrocie jego z Litwy w r. 1831. Staruszkowi niezmiernie podobała się propozycja moja. »Dobrze, rzekł, pojedę, bo milej jest umierać na polu bitwy, aniżeli w łożku, lecz ponieważ jestem stary i nie mogę być tak czynnym jak dawniej, pójdę na Litwę z jednym warunkiem, jeżeli zostaniesz moim szefem sztabu«. Ma się rozumieć, że natychmiast przystałem na propozycję. Chodziło jedynie o to, żeby reprezentacja Rządu Narodowego w Paryżu wezwała go do czynu, gdyż samowolnie nie chciał postępować. W celu uzyskania zaproszenia generała udałem się do p. Seweryna Gałęzowskiego, jednego z najwplywowszych członków Komitetu. Pan Gałęzowski obiecał przedstawić tę sprawę na posiedzeniu; czekałem dni kilka odpowiedzi, ale nie dawano mi jej pod różnemi pretekstami. Zdziwiony i rozgniewany udałem się do pana Ordegi z zapytaniem, co to ma znaczyć? Od niego dowie-

działem się, że Dembiński był w niełasce w Hotelu Lambert i z tego powodu nie chciano starego generała prosić, aby jechał na Litwę. Cała więc ta sprawa, mogąca przynieść nieobliczone korzyści, dla osobistych nieprzyjaźni nie przysłała do skutku. W rok potem Dembiński umarł.

Po tygodniu pobytu w Paryżu, przekonawszy się, że tracę tylko czas bezużytecznie, wyruszyłem do Galicyi z listem rekomendacyjnym od Ordęgi do p. Konrada Wenzla w Krakowie. Pan Wenzel przyjął mnie nadzwyczaj przyjaźnie i serdecznie. Dowiedziawszy się, że generał Wysocki wkrótce wychodzi na Ruś, uprosiłem p. Wenzla o danie mi rekomendacji do p. Hieronima Ruszczewskiego, podszefa sztabu generała Wysockiego, którego znał bardzo dobrze. Zostawiwszy list pożegnalny do Matki w rękach p. Wenzla, aby go odesłał, jeżeli zginę, wyruszyłem do stolicy Galicyi wschodniej.

Nie znając nikogo we Lwowie, długo nie mogłem odzyskać Majora Ruszczewskiego, który zachowywał się bardzo tajemniczo, chociaż nikogo jeszcze nie prześladowano za chęć przyjęcia udziału w powstaniu. Mieszkałem w hotelu Langa, a nie mając żadnego zajęcia, całe dnie błądziłem po pięknych okolicach Lwowa. Brak towarzystwa wykształconych ludzi, do którego przywykłem, był dla mnie niezmiernie dotkliwy, bo do życia pustelniczego nie miałem usposobienia. To też smutek i tęsknota gnębiły mnie ciężko. Nieraz, wdartszy się na wierzchołek Piaskowej góry, przesiadywałem tam całymi godzinami, patrząc na północ, gdzie zostawiłem wszystkich, kogo kochałem w życiu.

Zaledwo w dziesięć dni po przyjeździe do Lwowa udało mi się obaczyć Ruszczewskiego. Oświadczył mi, że list Wenzla przeczytał generałowi Wysockiemu, lecz że generał polecił powiedzieć, iż nie ma możliwości dać mi żadnego dowództwa, gdyż wszystkie oddziały oddawna mają swoich dowódców. Odpowiedziałem mu, iż nie znając wojny partyzanckiej, nie mógłbym nawet kierować ludźmi nie znającymi, co to jest dyscyplina wojskowa; chcę więc walczyć tylko jako prosty żołnierz w piechocie lub kawaleryi. Gdybym zaś z czasem poczuł się, że mogę być pożyteczny na polu bitwy i wykazał zdolności moje, wtedy będę prosić generała o danie mi dowództwa nad częścią oddzielną.

— Uprzedzam pana, rzekł Ruszczewski, że koni mamy ilość dostateczną, ale siodła nam braknie dla oficerów i pieniędzy nie mamy na ich zakupno.

Dowiedziawszy się, że siodło kosztuje 60 złr., dałem te pieniądze p. Ruszczewskiemu, prosząc go, żeby, znając dobrze miasto, kazał mi je kupić i odesłać na miejsce zbioru oddziału.

29. Czerwca wieczorem otrzymałem uwiadomienie, że mam udać się do Wysocka pocztą, a stamtąd będę odesłany na punkt zborny.

Za dni więc kilka mieliśmy ztrzeć się z nieprzyjacielem. Może to już ostatnie chwile życia, myślałem, a wokoło ani jednej przyjaznej duszy, która by rękę wyciągnęła na pożegnanie, ani jednego człowieka, który by mi nie był obcym, ani jednej osoby, przez którą mógłbym posłać drogim moim ostatni uścisk, ostatnie pozdrowienie. Boże! z jakiej miękkiej gliny człowiek jest ulepiony i jak mu jest potrzebna wiara w nieśmiertelność duszy i w życie za grobem.

W Wysocku mieszkał pan Vivien, który przyjął mnie bardzo gościnnie. Kilka godzin przepędzonych w jego kółku rodzinnem zostaną mi w pamięci, jako jedyne miłe chwile pierwszych smutnych dni pobytu mego w Galicyi. Po obiedzie, pożegnawszy się z gospodarstwem, w towarzystwie p. Czapskiego, nowokreowanego przez Langiewicza generała, wyruszyłem w lasy Berlińskie, gdzie się ścigał oddział generała Wysockiego.

II.

Bitwa pod Radziwiłowem.

Oddział generała Wysockiego, składający się z ośmiuset ludzi piechoty i dwustu konnicy, zaczął się zbierać w Berlińskich lasach 27. Czerwca. Starozakonny Liban, który służył za szpiega i faktora, postarał się, że obiecano nam, iż nikt zbieraniu się nie przeszkodzi, jeżeli organizacya oddziału i przekroczenie granicy nastąpią szybko.

Nieznany nikomu, oprócz podszefa sztabu, przybywszy do oddziału dnia 30. czerwca po południu, znalazłem w obozowisku ogromny nieład i zamieszanie. Większa część powstańców jeszcze nie była przydzielona do żadnej kompanii, nie miała broni i chodziła po obozie luźno, nic nie robiąc. Szefem sztabu był pułkownik Domagalski, dowódcą piechoty major Mroczkowski; kawaleryą dowodził major Kwaśnicki. Co chwilę nadchodziły, nie wiedzieć skąd, wiadomości, że wojsko austryackie, uwiadomione o naszym obozowaniu, niebawem zbliży się dla rozbrojenia oddziału.

Ku wieczorowi zaprowadzono nieco więcej ładu, przy najmniej wszyscy zostali przydzieleni pod czyjeś dowództwo. Większa część żołnierzy nigdy broni w rękę nie miała. Mnie kazano pozostać przy sztabie.

W nocy 30. Czerwca młode nasze wojsko było zaalarmowane dwoma przypadkowemi wystrzałami, jednym w obozie, a drugim na wedetach, tak iż część nocy przeszła na niespokojnem oczekiwaniu zbliżenia się austryackich wojsk. O świcie wszystko stanęło na nogi i zaczęła się gorąca praca. Stuk młotów w polowej kuźni, gdzie zasadzano kosy na

drzewca i grotty na lance, ostrzenie szabel, rżenie koni i musztra powstańców zwały się w jeden hałas wojenny.

O szóstej z rana zebrał Wysocki radę wojenną i wydał dowódczom odpowiednie rozkazy. Dowiedziawszy się, że przybyłem do obozu, wezwał mnie do siebie i razem poszliśmy opatrywać obóz i co się w nim dzieje.

— Powiedz mi, pułkowniku, rzekł po chwili namysłu, czy Moskałe umieją dobrze bronić miasta?

— Tak jest, jenerale, odrzekłem: w bitwie pod Czetati w roku 1854, cztery tysiące ich wojska odparło zwycięsko dwudziesto-sześć-tysięczną armię turecką, która także bić się umie dobrze.

— Więc nie radziłbyś mi, dla podniesienia ducha młodego wojska, odnieść łatwe zwycięstwo, zaatakowawszy jakie pograniczne miasto, obsadzone małym garnizonem?

— Nie, jenerale, bo gdyby atak się nie udał, wyprawa będzie zniszczona, a demoralizacja zgubi oddział cały. Jeżeli pan jenerał życzy wiedzieć moje zdanie, to powiem, że, dowodząc tym oddziałem, posunąłbym się naprzód w kierunku północnym, ku borom Polesia, żeby zostawić za sobą granicę jak można najdalej; wtedy młody żołnierz, widząc niebezpieczeństwo, otaczające go ze wszystkich stron, będzie trzymać się gromady, pozna bliżej dowódców swoich, włoży się do marszu, do istoty partyzantki, oswoi się z bronią, nabierze ducha i wydobędzie z siebie tę energię, którą obudza niebezpieczeństwo nieustanne, tak że potem, po największych nawet stratach i klęskach, nie będzie zdemoralizowany.

— Powiem ci otwarcie, pułkowniku, że myślę zaatakować Radziwiłów. Według doniesień szpiegów moich jest tam tylko rota piechoty liniowego wojska, rota garnizonowego batalionu i kilkudziesięciu strażników celnych. Wzięcie miasta ze wszystkimi składami tam znajdującymi się, wywrze dobre wrażenie na kraj i na młodego żołnierza. Jednocześnie z nami uderzą oddziały Horodyńskiego i Miniewskiego; udać się musi.

— A jeżeli się nie uda, to wszystko będzie stracone. Nasamprzód według tego, co doniesiono panu jenerałowi, w Radziwiłowie jest około 500 ludzi — starych żołnierzy. Z tem się rachować należy, zwłaszcza mając ludzi tak mało

doświadczonych jak nasi. I cóż to za wielkie korzyści osiągniemy, wzięwszy Radziwiłów? W cztery godziny po wzięciu miasta, przyjdą Moskale w przeważnych siłach z Dubna i ze Starokonstantynowa z artylerją i zostaniemy wyparci napowrót za granicę; wtedy gdy, posunawszy się na północ, gdybyśmy nawet byli ścigani przeważnymi siłami, możemy przedrzeć się w lubelskie i tam wzmocnić powstanie miejscowe.

— Chodź ze mną, pułkowniku, do namiotu, ja ci pokażę na mapie mój plan ataku Radziwiłowa. Oto jak widzisz, rzekł, gdyśmy usiedli na ziemi i rozłożyli plan okolic miasta przed sobą, oddział nasz zaatakuje miasto z południowej strony od Lewiatyna. Horodyski przy pierwszych strzałach oddziału mego uderzy od strony Krzemieńca i przetnie drogę Moskalom, a Miniewski napadnie na miasto od północy. Przeczytaj ten brulion rozkazu przesłanego Miniewskiemu.

Rozkaz ten brzmiał jak następuje:

»26. Czerwca 1863. Naczelný dowódzca sił zbrojnych województwa lubelskiego i ziem ruskich

do pułkownika Miniewskiego!

»Pułkownik Miniewski, dowódzca oddziału organizującego się na mojem lewem skrzydle, przejdzie granicę o godzinie 9 wieczorem. Przed wymarszem głównego oddziału wyśle o godzinie 9 $\frac{1}{2}$ mały oddział ze 100 ludzi, z których 10 kawalerzystów, w lewo na północ ciągnącą się groblą od Bezedni do Korynski dla oczyszczenia granicy od objeszczyków, których będzie się starał pochwyć. Oddział ten, dochodząc do Korynsk, zwróci się z grobli na prawo i w Siestratynie połączy się z głównym oddziałem.

Pułkownik Miniewski, z głównym oddziałem, pomaszeruje przez Siestratyn i Baranie do Radziwiłowa, aż do przecięcia się tej drogi z traktem, idącym z Radziwiłowa do Krupiec, gdzie powinien stanąć najpóźniej o trzeciej; następnie posunie się traktem od Krupca do Radziwiłowa i zaatakuje przedmieście Krzemienieckie, starając się dotrzeć do drogi krzemienieckiej dla połączenia się z prawym skrzydłem Horodyńskiego. W czasie ataku zasłaniać się będzie patrolami i najmocniej pilnować od strony Krupca, a gdyby jaka rota piechoty, lub szwadron kawalerji pokazał się od

strony Krupca, zwrócić się przeciwko nim całemi siłami i dopiero po odparciu atakować Radziwiłów.

Przechodząc przez Baranie, pułkownik Miniewski wysła patrol, a nawet mały oddział ze stu ludzi do Siteńki, leżącej w lesie nad strumykiem Sitenka, dla wstrzymania nieprzyjaciela, mogącego nadciągnąć z Beresteczka i bronięcia przeprawy na tej rzeczce, który następnie gdyby był mocno napierany, ma się cofnąć do Barania, przejść płynący tam strumyk i będzie bronił jak najdłużej jego przeprawy.

Gdyby atak na Radziwiłów nie udał się a pułkownik Miniewski nie połączył się swoim lewym skrzydłem z prawem pułkownika Horodyńskiego i został odcięty, w takim razie może cofnąć się przez Pomarkę i Bohajnikę i idąc ponad granicą, połączyć się z nami w Gajach Radziwiłowskich, gdzie w razie niepowodzenia będzie ogólny punkt zboru; w takim razie ja ze swej strony wysła oddział przez Opoczyńce, dla podania mu ręki. A gdyby zupełnie został odcięty i na tej drodze, cofnąć się w lasy koło Barania, uważać się za działającego samodzielnie i manewrować stosownie do okoliczności. Ponieważ w tym przypadku prawdopodobnie całe siły nieprzyjaciela zwrócą się ku mnie, pułkownik Miniewski będzie miał otwartą drogę lasami przez Srebno, Iwanenki, Torpawkę i Stołpec, lub cokolwiek w prawo przez Beryś, gdzie może przejść Ilewę i wpaść znowu w okolice lesiste ciągnące się aż do Zasławia, głównej naszej przedmiotowej.

»Uprzedza się pułkownika Miniewskiego, że za przedmieściem Kamienieckim jest magazyn prochu i kasarnia dla kilkunastu inwalidów, a w mieście na drodze Dubieńskiej dom, gdzie stoi 48 inwalidów.

»Nie potrzebuję uprzedzać pułkownika Miniewskiego, że atakując Radziwiłów, powinien ciągle przez patrole pilnować się od strony Dubna i Beresteczka. Na drodze od Krzemieńca wysyłać będzie patrole pułkownik Horodyński.

»Uprzedza się także pułkownika Miniewskiego, że od chwili wymarszu ustanowioną będzie nad granicą poczta obywatelska, dla ciągłej ze mną komunikacji przez Sieńków Wasilewskiego do Berlina.

»Rozkaz niniejszy powinien być zachowany w jak największej tajemnicy.« Józef Wysocki¹⁾.

Gdym przeczytał, Wysocki rzekł: w podobnym rodzaju otrzymał instrukcye pułkownik Horodyński, który będzie atakować Radziwiłłów od strony Krzemieńca. Jakże pan znajdujesz ten plan?

— Pod względem taktycznym nic mu nie mam do zarzucenia, ale według mego przekonania niebezpiecznie wydawać bitwę na samej granicy, z obawy bardzo smutnych następstw. Sądzę, że plan, który przedstawiłem panu Jenerałowi jest odpowiedniejszy w naszym położeniu, tem więcej że nie mam zaufania do skombinowanych ruchów i działań, które najczęściej nie udają się wskutek różnorodnych przyczyn.

— Odwołać tego już nie można, bo rozkazy zostały rozesłane, odrzekł jenerał widocznie niezadowolony tem, że nie pochwalił planów jego. Na tem się skończyła nasza poufna konferencya.

O 9-tej z rana 1. lipca nastąpiło poświęcenie broni i chorągwi przez kapelana obozowego. Przywyklszy do służby w regularnem wojsku, ze smutkiem patrzyłem na niedostateczne uzbrojenie powstańców, na brak wszelkiego wykształcenia w sztuce wojennej, przewidując, ile z tych ludzi zginie marnie tylko dla tego, że nie było czasu poduczyć ich choć trochę. Wielu było takich, co nigdy broni w rękę nie mieli i nawet nie umieli jej nabić.

Scena poświęcenia i rozdania chorągwi, nabożeństwo obozowe, mowa Jenerała Wysockiego i komisarza pełnomocnego Rządu Narodowego Jana Majkowskiego, rozczuliły wszystkich do głębi duszy. Odśpiewano oddziałem całym pieśń: «Boże, coś Polskę», a gdy echa leśne powtórzyły: «Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie», wszyscyśmy byli gotowi na największe poświęcenie, na śmierć — ale entuzjazm jest rzeczą chwilową i przechodzącą, prawdziwą zaś siłę wojsku daje tylko dobra organizacya i wytrwałość, a tych u nas nie było.

O godzinie 11 z rana zaczęto ludziom rozdawać ostre ładunki i broń, którą tylko co ukończono składać i naprawiać w improwizowanej kuźni naszej obozowej. Każdy miał pracy bardzo wiele, bo musiał sam myśleć o sobie, gdyż chwila wymarszu mogła nastąpić najniespodziewaniej. Późne przybycie broni na punkt zboru nie pozwoliło zrobić ani jednej

musztry z uzbrojonym żołnierzem, aby go nauczyć, jak nosić broń, jak nabijać, jak strzelać należy.

Zaledwo o godzinie trzeciej po południu przystąpiono do gotowania obiadu i do posiłku, którego potrzebę czuliśmy wszyscy bardzo dotkliwie, gdyż byliśmy dobrze już spracowani.

Tylko co ognie rozniecono i nastawiono kotły, usłyszeliśmy wystrzał w awantpostach rozstawionych naokoło i krzyk «do broni». Śpiewy patryotyczne i krzyki żołnierzy rozlegające się daleko po lesie prawdopodobnie były powodem wysłania patrolu konnego z ośmiu węgierskich huzarów pod dowództwem oficera Niemca i kilku pieszych żandarmów. Gdy się patrol zbliżył i powołano żołnierzy pod broń, Wysocki zakłopotany podjechał do komisarza pełnomocnego Rządu Narodowego z zapytaniem, co robić? «Nie prowadzę polityki, bo jestem żołnierzem, wy więc decydujcie; mam wielką ochotę wziąć w niewolę żołnierzy i wcielić do oddziału mego.»

— Nie rób tego, jenerale, aby nie wywołać ciężkich następstw. My nie prowadzimy wojny z Austryą, odrzekł komisarz, potrzeba będzie wyruszyć stąd, a patrol powstrzymać.

Wysocki kazał zabrać wszystko, co można było, przygotowane pożywienie wyrzucić z kociołków i wyruszył w drogę ku granicy, poleciwszy Patrycemu Garczyńskiemu z oddziałem składającym się z 15 koni powstrzymać patrol. Patrycy kazał wziąć żołnierzom pistolety do rąk i wyjechawszy naprzód, powiedział oficerowi dowodzącemu patrolu huzarów, że nie puści go dalej. Oficer chciał szarżować na oddział polski, ale przekonał się, że huzary nie mieli wielkiej ochoty. Stali więc jedni naprzeciw drugich, nie ruszając się z miejsca. Wtem jeden z żandarmów podbiegł z boku i chwycił za uzdę konia Garczyńskiego, ciągnąc go za sobą; dowódca wypalił z pistoletu i żandarm ugodzony śmiertelnie upadł na ziemię. To jeszcze mocniej przekonało dowódcę huzarów, że nie tak bezpiecznie atakować ludzi, którzy mają broń w rękę i stałe postanowienie spełnienia danego polecenia; postawszy więc trochę, nakazał odwrot, polski zaś oddział udał się za swoimi, żandarmi szli za nim

czas jakiś strzelając, lecz strzały te jakkolwiek z bliskiej mety, żadnej szkody nie wyrządziły.

Generał Wysocki, mając zamiar zaatakować Radziwiłów o czwartej z rana z lipca i dawszy odpowiednie rozporządzenia oddziałom Horodyńskiego i Miniewskiego, organizującym się w innych miejscach, musiał manewrować tak, aby nie przekraczać granicy przed czasem i nie zaalarmować nieprzyjaciela, dopóki ruch skombinowany nie będzie ukończony. Wybrano więc okólną drogę mimo wsi Berlina. Maszerowaliśmy do zmierzchu. O godzinie 10 wieczorem zatrzymaliśmy się, aby odpocząć nieco i posilić się. Ulewny deszcz i burza z piorunami nie dały możliwości strudzonemu żołnierzowi skorzystać z tego chwilowego przystanku. Staaliśmy, jak kto mógł, zadawalniając się chlebem i sucharami, które rozdawano razem z ostremi ładunkami, bo tych jeszcze nie otrzymali wszyscy. Ja oddałem mój chleb koniowi, gdyż dla biedaka nie mogłem znaleźć żadnego innego pożywienia.

O północy wyruszyliśmy w drogę. Noc była chmurna, a tak ciemna, że na kilka kroków nic widzieć nie mogliśmy. Wiem tylko, że przechodziliśmy w bród przez jakąś rzeczkę, a potem przez takie bagniste miejsca, że dla wyciągnięcia fur naszych, grzęznących po osi, potrzeba było pomocy bardzo już zmęczonych nocnym marszem ludzi i wyprzęgać konie z jednych fur, a przypręgać do drugich. Wszystko to tak spóźniło pochód nasz, że po piętnasto-godzinnym marszu stanęliśmy pod Radziwiłowem dopiero o 7 z rana. O Horodyskim i Miniewskim nie było żadnej wiadomości.

Młodzi żołnierze byli zmęczeni nadzwyczajnie. Jednak Wysocki natychmiast kazał dwom kompaniom strzelców przetrząść lasek, ciągnący się koło drogi tuż pod samym Radziwiłowem i dostać języka. Strzelcy szybko przebiegli lasek i złowili tam moskiewskiego majora von Taube z jednym objeszczykiem. Major przeląkł się okrutnie, nie wiedząc, jaki los go czeka. Badany opowiedział, że w Radziwiłowem znajdują się dwie rot regularnej piechoty, rota rekrutów i rota inwalidów, szwadron kargopolskiego dragońskiego pułku i kilkudziesięciu objeszczyków, ale dodał: «wsio eto driań» (wszystko to nic warte). Potem blady śmiertelnie i przestraszony, drżącym i płaczącym głosem zaczął błagać

litości, twierdząc, że on zawsze kochał Polaków i mówił, że im należy dać to, czego żądają, że obchodził się z podwładnymi dobrze, nareszcie, żeby nas przekonać, że prawdę mówi, zawołał do wziętego z nim objeszczyka: «Ty!... powiedz panom Polakom, czy cię biłem kiedy w mordę?

— Nikak niets! odpowiedział żołnierz, który los swój znosił zupełnie obojętnie.

Siły więc moskiewskie równały się siłom naszego oddziału, ale rachując na atak Horodyńskiego i Miniewskiego, którzy mieli uderzyć z północy i od wschodu, pomimo mocnej pozycji, którą zajmował nieprzyjaciel, mający dość czasu do przysposobienia miasta do obrony, można było odważyć się na atak, bo ten, co idzie naprzód, może wybrać miejsce, gdzie uderzyć i posiada zawsze więcej moralnej siły.

Przy komorze celnej wojsko odpoczęło godzinę i posiliło się nieco kawałkiem chleba i kieliszkiem wódki. W czasie odpoczynku tego znaleziono w komorze raport p. Eberharda, konsula moskiewskiego z Brodów, donoszący dowódcemu wojskiem w Radziwiłowie generałowi Krejterowi (memu dawnemu koledze z gwardyi), że według otrzymanych wiadomości oddziały polskie pod dowództwem Wysockiego przekroczą granicę w kilku miejscach.

Potrzeba było przyspieszyć atak, aby nie dać czasu nadejść odsieczy Radziwiłowskiemu oddziałowi. Zerwawszy drut telegraficzny, wojsko nasze przeszło przez las, leżący w prawo od gościńca, i rozpoczęło atak południowej strony miasta, zwanej przedmieściem lewiatyńskim. Za ledwo wyszliśmy z lasu, odezwała się trąbka i kule posypały się jak grad. Dowódca piechoty major Mroczkowski, ranny w nogę spadł z konia, a około niego padło około czterdziestu innych. Młode wojsko, przerażone taką stratą odstąpiło do lasu i zaczęło formować się na nowo. Strzelcy zaś pod dowództwem samego Wysockiego zaczęli wypędzać Moskali z zajętych domów i owładnęli mostem przerzuconym przez błotnistą rzeczkę, a częścią rozsypawszy się w łańcuch tyraljerski w lewo, zawiązali ognistą rozmowę z Moskalami. W jednej chałupie Moskale zasiedli na strychu i stamtąd strzelając już wiele naszych położyli trupem. Podpaliliśmy dom ten i w pół godziny nie zostało ani śladu z chałupy i z jej obrońców.

Jenerał Wysocki posłał na bagnety dwie kampanie strzelców Krzyżanowskiego i natychmiast kilkanaście trupów moskiewskich pokryło ziemię: na wzmocnienie ich posłano jeszcze 25 kosynierów. Ten oddziałek mały tak nastraszył Moskali, że pomimo, iż oficerowie moskiewscy płażowali szablami, starzy żołnierze nie chcieli iść naprzód; ale z tej garstki dzielnych kosynierów wkrótce została ledwie połowa; drugą wystrzelano. Lewiatyn był wzięty, lecz w tej chwili jenerał otrzymał wiadomość, że Horodyński, nie czekając umówionego sygnału, zaatakował miasto, o 4 z rana, został rozbity i sam zginął, oddział zaś bez dowódcy poszedł w rozsypkę. Na polecenie Wysockiego pojechałem do oddziału piechoty, aby mu zanieść rozkaz wzmocnienia strzelców.

Piechota, składająca się z ludzi, co nigdy nie byli w boju, stojąc w lesie i widząc co chwilę jak kule ścinają gałęzie, tak się zdemoralizowała, że pomimo rozkazu dowódcy, majora Ordęgi, iść naprzód nie chciała. Dla dopełnienia naszego nieszczęścia zaczął padać deszcz taki ulewny, że wkrótce ładunki strzelców zamokły, gdyż większa część żołnierzy naszych zamiast ładownic skórzanych, miała płócienne worki. Straty były już bardzo znaczne, szczególnie w oficerach. W samym sztabie jenerała Wysockiego padło czterech. Żołnierze byli zmęczeni nadzwyczajnie i dla tego kazano strzelcom z zajętych już pozycji usunąć się w las, aby nie narazić się na atak rezerw, nie mogąc rachować na pomoc swoich. W tej chwili jakiś człowiek ze sztabu Wysockiego, galopem co koń wyskoczy, przyleciał do szefa sztabu pułkownika Domagalskiego, znajdującego się przy kawaleryi, z fałszywą wiadomością, że jenerał przy zdobywaniu chałup został ranny. Domagalski chciał jechać, lecz koń jego znarowił się. Zeskoczyłem więc z mego i dałem go do dyspozycji Domagalskiemu, a sam będąc dobrym jeźdźcem, dosiadłem jego rumaka. Domagalski pojechał tam, gdzie się znajdował jenerał, aby objąć po nim dowództwo, lecz zaledwo pokazał się, został ranny w nogę i w rękę. Biedak zleciał z konia. Wysocki zrozpaczony nieudaniem się planu, wysunął się naprzód w narożnik lasu, który Moskale ostrzeliwali krzyżowym ogniem i zdawał się szukać śmierci. Podjechałem do niego, zapytując, co dalej myśli robić? Na to Wyso-

cki odpowiedział mi: «czy też ja kuli dla siebie nie znajdę!»

Oburzony tym upadkiem ducha i samolubstwem jenerała, odrzekłem, iż nie ma prawa narażać swego życia, stojąc na czele tyłu ludzi, którzy mu ufają i życie swoje w jego ręce złożyli, a zresztą nic jeszcze nie stracone i to, co doradzałem wczoraj z rana, można jeszcze dokonać.

— Pułkowniku, odrzekł jenerał, Domagalski jest ranny; mianuję cię szefem sztabu na jego miejsce; idź i zarządz, co potrzeba.

Skoczyłem w tej chwili do łańcucha tyralierów; kazałem zaprzestać ognia i odstać ku komorze celnej, gdzie już znoszono rannych naszych.

Była godzina druga popołudniu. Straty nasze po tym pięciogodzinnym boju były bardzo znaczne, najlepsi żołnierze polegli lub byli ranni. Cała przestrzeń między miastem i lasem była pokryta zabitymi lub rannymi; krew świeża parowała w powietrzu; bagnety, kosy, karabiny leżały na ziemi. Bardzo wielu młodych żołnierzy rozbiegło się po lesie. Moskale jednak nie wyszli z miasta i nie atakowali nas, jak nakazywała sztuka wojenna; widocznie oczekiwali posiłków, atak bowiem na Lewiatyn przekonał ich, że jakkolwiek mieli do czynienia z młodym ale dzielnym żołnierzem.

Po wyprowadzeniu oddziału z lasu zająłem strzelcom budynki przydrożne i rozstawiłem oddział tak, żeby mógł odpocząć, będąc zupełnie gotowym do boju. Wysocki blady, strasznie zmieniony i upadły na duchu, objechawszy wojsko, zbliżył się do władz cywilnych, które były zebrane około komory i rzekł: „nie mam co jeść, potrzeba się postarać o to“. Rzucono się do Brodów, by zaradzić temu, bo oprócz trochę chleba znajdującego się na wozach i kieliszka wódki, której dostaliśmy na miejscu, nic nie było przygotowane. O Miniewskim także nie było żadnej wiadomości, tymczasem Wysocki przed posunięciem się w głąb Rusi chciał się koniecznie z nim połączyć.

O godzinie pół do czwartej otrzymaliśmy wiadomość, że już nadciągają posiłki Moskałom z Dubna i Krzemieńca. O czwartej pokazała się nieprzyjacielska pikieta. Przyjął bój ze świeżymi siłami nieprzyjaciół, wtedy gdy żołnierz był tak strudzony, że ledwo stał na nogach, było niepodobien-

stwem. Wyruszyliśmy więc w Radziwiłowskie Gaje, na punkt wyznaczony do zboru oddziałów na wypadek nieudania się ataku i w nadziei połączenia się z Miniewskim. Nieprzyjacielskie patrole posuwały się za nami w wielkiem oddaleniu. Ludzie byli tak znużeni, że iść nie mogli; potrzeba było znowu dać odpoczynek, gdyż była już 8. godzina wieczorem. Rozlokowałem wojsko w lesie, na górze, w bardzo dogodnej dla przyjęcia boju pozycji. W oddziale naszym po bitwie pod Radziwiłowem pozostało zaledwo 500 ludzi, mających tylko po dziesięć ładunków na każdego. Żołnierze byli tak pomęczeni, że niepodobna było ich ruszyć z miejsca; gdzie kto padł, tam i spał; ani prośby, ani groźby nie pomagały. Spał oddział, spały awantposty, spały warty i gdyby wtedy napadł na nas nieprzyjaciel, mógł wyciąć nas do nogi i bez żadnego oporu. Po 25-godzinnym marszu i po pięciogodzinnym nieszczęśliwym boju potrzeba było przynajmniej 48 godzin odpoczynku. Zostać do rana na obranej pozycji, było to narazić oddział na niechybną zgubę, gdyż siły Moskali w trzy godziny po odwróceniu naszym urosły do 4 tysięcy i 8 dział. Nic innego nie zostało, jak przekroczyć granicę napowrót, a schowawszy broń i oszczędziwszy ludzi, wystąpić do boju przy lepszych warunkach. Wysocki, zasiągnąwszy zdania wszystkich dowódców, nakazał przejść granicę. Dowiedziałem się o tem po powrocie z awantpostów, które sam rozstawiłem. Z Gajów Radziwiłowskich generał wysłał posłańca do pułkownika Miniewskiego z następującym uwiadomieniem:

»2-go lipca 1863 roku. Zawiadamiam cię, pułkowniku, że dziś w nocy cofnąłem się do Galicyi, Horodyńskiego oddział rozbity, ja ze swoim, spóźniwszy się dla różnych przeszkód o parę godzin, nie mogłem przyjść mu w pomoc i dlatego po kilku atakach, widząc absolutne niepodobieństwo utrzymania się, przeszedłem granicę, zachowując broń i ludzi. Sądzę, że powinienes wstrzymać się z wkroczeniem, bo przy takim stanie rzeczy byłaby to bezużyteczna strata ludzi.«²⁾

Józef Wysocki.

Zaledwo około 2-giej w nocy stanęliśmy w Klekotowie, w dworku hr. Oldi, gdzie złożyliśmy broń i zostawiliśmy konie na przechowanie. Ludzie zaś rozproszyli się po Galicyi, dążąc do nowotworzących się oddziałów. Wysocki, odpo-

cząwszy nieco i posiliwszy się, wysłał ponowny rozkaz Miniewskiemu: »Ponieważ po rozbiciu Horodyńskiego i moim powrocie do Galicyi, wkroczenie twoje, pułkownika, nie przyniosłoby żadnego pożytku, zatem polecam ci broń, amunicję i ludzi, jakich masz, przechować w miejscach pewnych, aż do dalszego rozporządzenia i zdać mi natychmiast o tem raport. 2. lipca 1863. J. Wysocki.³⁾

Z Klekotowa generał wyjechał do Podkamienia, gdzie go na drugi dzień zastałem. Prosił mnie, abym opisał bitwę Radziwiłowską i podał do dzienników. Napisałem natychmiast, dałem mu do przeczytania i odesłałem do Gazety Narodowej, która relację tę wydrukowała. Generał pojechał do Lwowa. W czasie bitwy pod Radziwiłowem przy oddziale naszym znajdował się korespondent. »Daily News«. W chwili najgorętszego boju był przy generale Wysockim i robił swoje notatki. Podjechawszy, ofiarowałem mu rewolwer mój, dla osobistej obrony przynajmniej, lecz Anglik spojrział na mnie ze zdziwieniem i powiedział: »Monsieur, j'ai mon passeport«, i dalej z najzimniejszą krwią robił swe notatki.

Każdy zapyta zapewne, co się stało z oddziałem Miniewskiego, i dlaczego ten nie przekroczył granicy w oznaczonym czasie? Będąc następnie prezesem komisji sądowej, która rozpatrywała powody nieudania się wyprawy pod Radziwiłów, na zapytanie komisji, wystosowane do pułkownika Miniewskiego, otrzymałem następujący raport: ⁴⁾

»W skutek narady z generałem Wysockim, ułożony został plan wspólnego działania trzech oddziałów, to jest generała Wysockiego, Horodyńskiego i mojego, do którego stosując się, musiałem część moich ludzi i zapasów wojennych z drogi do Łuczysk, przerzucić ku Sieńkowu, gdzie ostatecznie punkt zboru był naznaczony. Chcąc się połączyć z oddziałem generała Wysockiego dla wspólnego działania, musiałem koniecznie szukać przejścia przez rzekę Styr, a to na terytoryum Galicyi; gdy zaś tak wskutek prywatnych doniesień, jak i zdania komisarza Wasilewskiego *)

*) Tacy komisarze byli wyznaczeni przez Komitet obywatelski wschodniej Galicyi do każdego z oddziałów dla dostarczania wszystkiego, co potrzebował oddział i dla ułatwienia przeprawy. Przy oddziale Horodyńskiego był ks. Adam Sapieha, przy Wysockim Karol Hubicki przy Miniewskim Fl. Ziemiałkowski i Wasilewski.

na miejscu zboru zasiągniętego, przejście przez Szczurowice było zbyt niebezpieczne, musiałem szukać dalszej drogi i postanowiłem przejść przez Styr, około Stanisławczyka, skąd lasami, idąc przez Bołdury wprost do Bezdni, łatwo było dostać się na granicę.

»W nocy z 29. na 30. Czerwca udałem się z kilkoma przy mnie będącymi oficerami do lasu około Wygody, na punkt zboru, gdzie władze cywilne dostawić miały najdalej do północy ludzi i oficerów moich, we wsiach okolicznych rozlokowanych, z którego to zadania Władze cywilne tak się źle wywiązały, że prawie nikogo nie znalazłem oprócz 60 ludzi, którzy do obsadzenia pikiet i trzymania koni przysłanych bez uzdżen, niedostateczni byli. Nie było więc naprzód rąk do zrobienia jakiegos ładu w chaotycznej masie nagromadzonych efektów, tem więcej, że oprócz jednego Massalskiego nie było nikogo, któryby wśród ciemności nocnej i ulewy wskazał, gdzie i co właściwie się znajduje, tak że gdy, biedząc się, sam pałaszem paki rozbijałem przy jednej latarce, jaka się w obozie znajdowała, a tę burza i deszcz co chwilę gasiły, zmuszony byłem oczekiwać beczynnie nadejścia reszty ludzi, których dopiero około godziny 10-tej rano, zgłodniałych, pragnących i strudzonych 12-godzinny marszem po manowcach, do obozu przyprowadzono.

„Mimo tych przeszkód kazałem ludziom w największym pośpiechu rozdzielić broń, mundury i moderunki, przyczem niepospolity powstał chaos z przyczyny nieobecności większej części oficerów, których dopiero nazajutrz, dnia 1. Lipca, pod Stanisławczyk dostawiono do obozu. Przy rozdawaniu broni okazało się, iż było na punkcie zborym około 60 sztuk najlepszych karabinów niezłożonych, tak że kolby, lufy, stęple i okucia każde gdzieindziej się znajdowały i potrzeba było rusznikarskich narzędzi, czasu i ludzi fachowych do złożenia tej broni. Reszta karabinów znajdowała się także, z małym wyjątkiem, w najopłakańszym stanie, brandki zagwożdżone, stęple w fugach tak zardzewiałe, że je tylko za pomocą szrubsztaka wyciągnąć można było; bagnety zasadzone na lufy, ale połową stulejki za nie wystające, które tylko za pomocą młotka pozbijać z luf można było i prawie każdy potem należało podpiłowywać. Do dwudziestu juków pod amunicję nie było ani jednego siodełka.

Gdy poleciłem juki włożyć na wąskich zwykłych pasach na konie, te się przewracały, tak że było niepodobieństwo wozzenia ładunków w jukach. Zmuszony więc byłem amunicję umieścić na trzech wózkach, jakie były przy oddziale, a brakującą uprząż dopiero z worków i sznurów naprędce sporządzić kazałem. Jeden z tych wózków, pod ciężarem około 5 centnarów tylko, złamał się kompletnie, drugie dwa z trudnością uprowadzić się dały.

»Kosy przysłane były nieodprostowane i w razie potrzeby koniecznie je przerabiać potrzeba było. Łopat kilka i topory, które znajdowały się na spodzie różnorodnego żelaziwa, były nieoprawne. Grotów do lanc wszystkich było 9 nieosadzonych kompletnie; derek, a raczej wołoków pod siodła brakowało.

»Rozdanie broni i moderunków między ludzi trwało około dwóch godzin. Wtem dały znać pikiety, że wojsko austriackie z dwóch stron do obozu się zbliża. Wysłałem w tej chwili oficera, (bo nikogo z panów władzy cywilnej nie było), a ten o prawdzie przyniesionych mi przez pikietę relacyj naocznie się przekonał.

»Najście przez wojsko austriackie przewidywałem bez tego lada chwilę, gdyż sam tylko przebojem dostałem się do obozu, będąc o pięćset kroków od tegoż przez patrol z 30 ludzi złożony do tego stopnia napastowany, iż mi dwa konie mocno bagnetami pokłuli, której to bliskości austriackiego patrolu mogła i podobno powinna była władza cywilna zapobiedz. Wśród tych okoliczności zdawało mi się koniecznem uchodzić jak najprędzej z obozowiska, co też z największym pośpiechem uskuteczniłem, zabierając co się dało, szczególnie amunicję; nie miałem jednak czasu i możliwości rozbijać każdą z osobna nieetykietowaną skrzynkę i paczkę, by się przekonać o jakości i ilości ładunków.

»Nastąpił uciążliwy i forsowny marsz do Oczacia, wśród którego z przyczyny wielkiego gorąca, a zupełnego braku wody, straciłem około 80 zemdłałych do tego stopnia ludzi, że niektórzy z wyczerpięcia sił poumierali. Nadmienić muszę także, że przy całym obozie miałem jednego przewodnika i to prostego człowieka, z którym tylko z trudnością porozumiewać się można było. Gdy przyszło konnicy i furgonom obchodzić pół mili bagna, a piechota i tak już stru-

dzona wprost o wiele bliżej przejść mogła, musiała konnica z furgonami dwie godziny czekać, nim prowadzący ją przewodnik do piechoty wrócił i znów też przez bagno przeprowadził. Tym sposobem wlokąc się, doszedłem pod wieczór do Oczacia, gdzie znalazłszy wodę i nieco żywności i zarekwirowawszy wozy, pod przewodnictwem pana Gruszeckiego, którego tam zastałem, ruszyłem w dalszy marsz ku Stanisławczykowi, pod którym rano około 2-jej godz. z upadającymi ze znużenia ludźmi i końmi w lesie obozem stanąłem. Tu też nadesłano mi resztę oficerów i byłem w stanie oddział wojskowo zorganizować, tworząc dywizyjony i plutony, sortując broń, kując, piłując a nawet szyjąc, bo ani jednego pendentu dla kawalerji nie było i dopiero z różnorodnych rzemieni je pozszywano.

»Od tej chwili, do godziny 3 po południu, wśród różnych zatrudnień, a przytem ciągłego deszczu, nie miałem miejsca ani czasu przekonania się o ilości ani jakości ładunków, jakie ze sobą byłem w stanie zabrać; pod wieczór dopiero, gdy deszcz nie ustawał, pod zrobionym z płaszców piechoty namiotem przeliczyć i rozsortować kazałem ładunki. Okazało się 15.000 ładunków małego kalibru, 1800 dużego i 1000 pistoletowych. Ponieważ zaś małego kalibru karabinów tylko 53 sztuk w oddziale miałem, a wielkiego 203, więc po nradzie z komisarzem Wasilewskim stanęło na tem, bym ruszył z obozem nocą w lasy za Bołduny, gdzie mi tenże ładunki grubego kalibru dostawić obowiązał się. Więc całą noc maszerując (w skutek omyłki i bałamuctwa przewodników) stanąłem obozem o świcie 2. Lipca pod Bołdunami w lesie, gdzie organizując dalej wojsko, reperując broń i moderunki, chorągwie poświęcić i przysięgę wykonać kazałem, a zostawszy uwiadomiony, że pod Bezednią amunicja mnie brakująca dojdzie, ruszyłem pod wieczór z obozu i tegoż dnia w nocy z kompletnie uorganizowanem wojskiem, z wyczyszczoną bronią, pod Bezednią stanąłem.

»Jeszcze dnia 30. Czerwca na punkcie zboru pod Wygodą, około godziny 11 rano, odebrałem od generała Wysockiego zawiadomienie, iż jest do wymarszu gotów, z zapytaniem, czy i kiedy wyjść będę mógł. Na to pytanie tym samym posłańcem, widząc znużenie ludzi i brak wszystkiego, odpowiedziałem, że nie prędzej jak 3. na noc będę mógł wkroczyć

na Wołyń. Prócz tej depešy nie miałem żadnej wiadomości od jenerała Wysockiego.

»W obozie pod Bezednią dnia 3. lipca, około godziny 8 z rana, odebrałem pismo, którem mi jenerał o rozbiciu pułkownika Horodyńskiego i o cofnięciu się swym do Galicyi donosi, radząc mi razem po przyjacielsku, bym nie przechodził granicy, bo niema co tam robić, laurów nie zbiorę. Zważywszy jednak, że rada to nie rozkaz, a dowodzę ślicznie zorganizowanym oddziałem, wojskiem pełnem otuchy i zaufania w siły swoje i porozumiawszy się z p. Ziemiałkowskim i Wasilewskim, wystąpiłem rozkaz, aby wszyscy ludzie z rozbitego oddziału jenerała Wysockiego do mnie się ściągnęli, oraz by 300 sztuk broni i nieco amunicyi, po tym oddziale zachowanej, do mego obozu dostawiono, czego się pp. komisarze podjęli (rozkaz ten znajduje się w Czechach u p. Krajewskiego). Rachowałem, że tak wzmocniony, po odebraniu brakujących mi ładunków wielkiego kalibru, których nadejścia co chwilę oczekiwałem, będę mógł, wysunawszy się przesmykiem bagien, na północno-wschód od Bezedni położonym, sforsować most na Styrze pod Beresteczkiem, a spaliwszy go za sobą, na wschód ku Włodzimierzowi w głąb kraju się przерznąć, tem bardziej, że przez wysłanych szpiegów wiedziałem, że Moskale wszystkie swe siły w Radziwiłowie skupili, ogołacając z wojska Werbne i Beresteczko.

»Po wystąpieniu wyżwzmiankowanego rozkazu pojechali komisarze przyspieszyć transport ładunków, a ja, będąc zaalarmowany nadciągnięciem patrolu austriackiego, posunąłem obóz trochę ku południowi, by im się z drogi usunąć. Działo się to około godz. 6 po południu. Gdy ledwie w pochód ruszyłem, nadjechał kurjer od jenerała Wysockiego z rozkazem, w którym jenerał już mi nie radzi, lecz nakazuje broń złożyć i ludzi zachować, ale nie powiada gdzie i jak? Mimo że wiem, iż pierwszym obowiązkiem żołnierza jest służyć rozkazom starszych, nie mogłem usłuchać bezwzględnie tegoż, gdyż polecenie zachowania koni, ludzi i broni było w tem miejscu i czasie kompletnie niewykonalne. Nie chcąc jednak samowolnie, wbrew rozkazowi wyższej władzy postąpić, cofnąłem w tej chwili wydane przezemnie polecenie co do ludzi jenerała Wysockiego (które też bez skutku zostało) i wystąpiłem

do władz cywilnych, mianowicie do p. Ziemiałkowskiego i Wasilewskiego z zapytaniem, co mam dalej robić, tem więcej, że ładunków grubego kalibru do chwili otrzymania rozkazu złożenia pod Bezednią broni, tylko 1800 odebrałem. Pana Steckiego ku Leszniowu wysłałem, aby albo z wojskiem austriackiem porozumiał się, albo o niemożności tego doniósł. Sam zaś, wskutek rady jednego przewodnika Korczyńskiego, na ćwierć mili tylko na południe od poprzedniego obozowiska czekać komisarzy postanowiłem.

»Noc przeszła, a komisarzy, ani wiadomości od nich nie było, ale za to kompania wojska austriackiego, śnać dobrze poinformowana, wraz z ostrzegającemi mnie pikietami wpadła do obozu, który w dwóch minutach w największym porządku pod bronią stanął.

»Wśród targowania się z dowódcą tejże kompanii, nadeszła druga, także austriackiego wojska. Piechoty, huzarów i żandarmów więcej było, niż u mnie; jednak, gdym widział, że o sile naszej nie wiedzą dobrze, a rozpatrzyć się w tejże nie umieli, wymogłem na nich układ pod słowem honoru, iż zostawię im część piechoty w niewoli i trzy furgony, pochodu zaś reszty wojska i furgonów tamować nie będą. Więc zostawiłem im dwa dywizyony strzelców (około 140 ludzi) z oficerem na czele, który miał rozkaz dopiero w godzinę po odejściu obozu z tą zostawioną w niewoli resztą broń złożyć, a sam za nami pośpieszyć, co też dokładnie wykonanem zostało. Ja zaś z resztą piechoty, całą kawaleryę i amunicyę uprowadziłem w gęste zarośla, a nie mając żadnej wiadomości od pp. komisarzy, kazałem broń złożyć, którą wraz z amunicyą w dalszem zaroślu zachowawszy, ludzi rozpuściłem.

Dnia 17. lipca 1863.

Miniewski.

Z raportu tego widać, jak źle, jak bez wszelkiej świadomości rzeczy, prowadził Komitet Galicyi wschodniej sprawę organizacyi oddziałów, tworzących się w Galicyi na pomoc powstaniu w zaborze moskiewskim. Broń, którą Komitet sprowadzał za drogie pieniądze z zagranicy, nie była opatrzona i złożona przez rusznikarzy; odsyłano ją wprost na punkt zboru oddziałów, mających wystąpić, a które dopiero na miejscu musiały przystępować do tej żmudnej pracy, nie mając dość ludzi, mogących należycie tego dokonać. Wozy, dostarczane

powstańcom i mające wytrzymać długą kampanię po błotach i lasach, były tak słabe, że co chwilę się łamały, zmuszając oddziały, potrzebujące jak największej ruchliwości, do zatrzymywania się, do przekładania bagaży z wozu na wóz, lub do rzucania na drodze tych środków przewozu. Ładunki, przysyłane oddziałom, nie stosowały się do kalibru broni. Komitet nawet nie umiał zapewnić bodaj dni kilku spokojnego organizowania się oddziałów w lasach nadgranicznych i dostarczyć im potrzebnej ilości wiktuałów i przewodników, tak że oddziały powstańcze nie wszedłszy jeszcze na linię bojową, nie widząc nieprzyjaciela, już musiały walczyć z głodem, niedostatkiem różnego rodzaju, robić forsowne marsze, a niekiedy ginąć z trudów kampanii na ziemi Galicyjskiej.

Nie bez interesu będzie zapewne rachunek wydatków na organizację oddziałów, który znalazłem w papierach, po Wysockim pozostałych, a przedstawiony mającej się zorganizować Agencji zagranicznej Ziem Ruskich. ⁵⁾

»Od początku powstania do 27. Maja 1863 r. otrzymano:

z Wołynia	5.900 rubli	— kop.
z Podola	36.422 »	64 »
z Wojew. Kijowskiego	20.000 »	— »
z Paryża od Xawerego Branickiego	11.250 »	— »
ze składek	3.500 »	— »
Od Rządu narodowego	6.661 »	80 »
Ogółem	83.734 rubli	44 kop.

Wydano na wyprawę wschodnią	18.020 rubli	60 kop.
» na wyprawę Galicyjską	44.909 »	23 »
» na podróż wysłańców do Włoch i Francji	2.457 »	— »
» na druki	515 »	72 »
Ogółem	65.902 rubli	55 kop.

Zostaje w kasie dnia 27. Maja 1863 r. 21.831 rubli, kop. 89 z przewyżką 150 rubli, 97 kop., pochodząca ze zmiany różnych monet. Adnotuję i poświadczam, że sumy z Podola 15.000 rubli, z powiatu Starokonstantynowskiego 1000 rubli, Włodzi-

mierskiego 4240 rubli, nadto 550 złr. w. a. a razem 20.340 rubli i 550 złr. oddane prosto ks. Adamowi Sapieże. Suma ta przeto nie należy bynajmniej do sprawozdania z kasy Ajen-cyi ziem Ruskich wyżej wyrażonego.

J. Wysocki.◀

Kasyerem w Galicyi wschodniej był T. T., człowiek niezmiernej zacności, ale najmniej zdolny do pełnienia tego obowiązku, prowadzić bowiem rachunków nie umiał. Z tego więc powodu wszystkie braki i omyłki dopełniał i naprawiał z własnej kieszeni. Tym sposobem, według własnego zeznania, zapłacił kilkanaście tysięcy rubli.

III.

Po klęsce pod Radziwiłowem.

W nocy z 2. na 3. lipca, po bitwie pod Radziwiłowem, przekroczyliśmy granicę i przeszedłszy mimo Brodów, stanęliśmy w Klekotowie, majątku, który dzierżawił hr. Oldi.

Można sobie wyobrazić, jaki był nieład w naszym młodem wojsku, zdemoralizowanem dwiema klęskami w dniu jednym. Na niewielkiem podwórku szlacheckiego domku tłoczyło się kilkuset ludzi z piechoty i konnicy, nie wiedząc, co począć z sobą, bo wielu nie miało grosza, a do domów było daleko. Kasę zaś oddziału po przegranej bitwie odebrał ks. Sapieha od Wysockiego, w czasie odpoczynku naszego przy komorze celnej. Jenerał miał jeszcze przy sobie sześćset rubli, które mnie doręczył z poleceniem, abym rozdał pomiędzy potrzebujących. Nie mając gdzie rozmienić na drobne, bo cała ta suma była w banknotach po 50 rubli, kazałem stanąć do szeregu i każdym 30 udzielałem po jednej pięćdziesiątce z poleceniem, żeby szli do karczem, po drodze leżących, i tam je sobie rozmieniali; wyznaczyłem zaś po rublu tym, co szli do Galicyi wschodniej, a po dwa tym, co mieli dalszą drogę. Rozdawanie trwało do godziny 3-ciej w nocy i sprawiło to, że dworek pana Oldego wypróżnił się bardzo prędko; pozostało ledwo kilku ludzi, nie wiedzących dokąd się udać, byli bowiem, tak jak i ja, z zabranego przez Rosyę kraju. Wysocki, odpocząwszy nieco, jak powiedziałem wyżej, wyjechał do Podkamienia. Ja zaś po ukończeniu polecanej mi czynności zaszedłem do kuchni, głodny straszliwie, bo od 9-tej z rana dnia poprzedniego prawie nic w ustach nie miałem. Niestety jednak powstańcy wszystko zjedli, co było

w spiżarni, przynajmniej tak mi powiedziano. Usiadłem więc na jakiejś ławeczce w tak zwanej kancelaryi i usnąłem, bo i fizycznie i moralnie byłem niezmiernie zmęczony. Gdy już świtać zaczęło, obudziłem się i wyszedłem na podwórze. Tu był chaos nie do opisania. Kosy, karabiny, pistolety i szable leżały na ziemi jak na polu bitwy; wozy, uprząż, różne wojskowe moderunki napełniały podwórze; konie zdrowe i ranne pasły się koło domostwa; między rannymi znalazłem i mego biednego konia, którego dałem pułkownikowi Domagalskiemu; w sieniach domu i na trawie spało jeszcze kilku żołnierzy.

Ciężko mi było na duszy; serce ścisnęło się z bólu, patrząc na resztki zmarnowanej wyprawy, do której przywiązywano tyle nadziei. Czując potrzebę zajęcia się czemkolwiek, zacząłem zbierać broń i składać ją w jedno miejsce, aby ochronić przynajmniej od deszczu i rozsortować według rodzajów i dobroci. Wtedy to obaczyłem rzecz nie do uwierzenia: móstwo sztuców belgijskich, przysłanych przez Gutrego, miało nie przedziurawione kominki na kapsle, tak bowiem przysłano z fabryk, a nikt nie opatrzył ich, i z taką bronią młodzi żołnierze poszli do boju!... Zaledwo ukończyłem pracę moją, przyjechał na wózku parokonnym Węgier Nyary, który służył w kawaleryi oddziału naszego. Uprosiłem go, ażeby zabrał część broni i zawiózł ją w bezpieczne miejsce. Naładowaliśmy wózek i Nyary wyruszył. Potem nadjechał drugi wózek, zrobiłem też samo i do godziny 6-tej rano już około 150 sztuk lepszej broni palnej było usunięte w bezpieczne miejsce. Nareszcie zbudził się i gospodarz. Gdy go obaczyłem na dziedzińcu, prosiłem, aby zajął się ratowaniem broni i rekwizytów wojskowych, bo sam mi powiedział, że oczekuje co chwile przybycia wojsk austriackich i zabrania broni. Pan hrabia Oldi był jednak w złym humorze, ofuknął się więc, iż on nie ma na to ani środków, ani obowiązku. Potem zasiadł do herbaty, którą mu przynieśli. Głód mi dokuczał okrutnie, ale po brutalnej odpowiedzi jego nie odważyłem się poprosić o kawałek chleba, on sam zaś nie poczuwał się do tego, chociaż mu zarekomendowałem się i powiedziałem kim jestem. Położenie moje było bardzo przykre; w boju miałem na głowie czerwoną konfederatkę, a kapeluszmój rzuciłem przed wymarszem pod Radziwiłów, nie spo-

dziewając się tak prędkiego powrotu. Wyruszyć w drogę w jaskrawej konfederatce było to samo, co oddać się w ręce patrolów austriackich, które kręciły się około Brodów i aresztowały powstańców. Zniewolony koniecznością, widząc, że w kancelaryi na ścianie wisi kilka starych czapek i kapeluszy słomianych, prosiłem p. hrabiego, aby mi pożyczył jednego, gdyż nie mogę wyjść z jego domu w konfederatce. Pan hrabia odmówił...

Wyszedłem z tego niegościnnego domu na podwórze gdzie już kilku powstańców gotowało się do pieszej podróży. Ofiarowałem jednemu guldena za fatygę, jeżeli zechce zajść do Brodów, które były oddalone zaledwo o parę kilometrów i kupi mi tam jakąkolwiek czapkę lub kapelusz. Poczciwy chłopczyzna pobiegł i w godzinę miałem już legalne nakrycie głowy. Gdy rozmyślałem, jak się wydostać z tego domu, nadjechał p. Korytowski. Zarekomendowałem się mu, poleciłem czuwanie nad całością rekwizytów wojskowych i uprosiłem, żeby mnie odwiózł do pierwszego lepszego miejsca, gdziebym mógł co zjeść i dostać koni do Lwowa. P. Korytowski zawiózł mnie do domu swego, nakarmił i obiecał, że natychmiast się zarządzi, aby reszta rekwizytów była zabrana od hr. Oldiego i odwieziona do lepszego schowku. Po obiedzie najałem furę i przez Podkamień pojechałem do Lwowa.

Stanawszy na miejscu szczęśliwie i zatrzymawszy się w hotelu Żorża, zacząłem myśleć, co z sobą zrobić. Żadna nowa wyprawa nie wychodziła. Różycki, wyparty z Rusi, rozmieścił oddział w obwodzie tarnopolskim i sam przyjechał do Lwowa starać się o zebranie dostatecznych sił do nowej wyprawy. Wysocki upadł zupełnie w opinii publicznej, która go osądziła jako zupełnie niezdolnego dowódcę. Urażony generał prosił Rząd Narodowy, aby wyznaczył komisję śledczą, któraby rozpatrzyła wszystkie jego czynności. Rząd Narodowy prezesem tej komisji wyznaczył jen. Różyckiego. W dni kilka potem Wysocki, zdradzony przez fałszywego przyjaciela, któremu w zupełności zaufał, dostał się w ręce policji austriackiej i został zamknięty do więzienia. Jednocześnie Rząd Narodowy, na powszechne żądanie Rusi, mianował Edmunda Różyckiego, zwycięzcę z pod Salichy, generałem brygady i naczelnym wodzem ziem ruskich. Nominacya ta miała datę 11. Lipca 1863. roku. ^{o)}

W dwa dni później Rząd Narodowy określił stosunek jego do władz cywilnych na Rusi w ten sposób, iż generał miał być zależnym wyłącznie od Wydziału wojny Rządu Narodowego i jemu tylko raporta przysyłać; Wydziałowi zaś Rusi, w Żytomierzu, Różycki miał posyłać albo doniesienia albo kopie raportów do Rządu do wiadomości, koniecznej dla władzy kierującej powstaniem prowincyi. Sekcyi wojskowej, istniejącej przy Wydziale Rusi, miał generał dać ogólną instrukcyę wojskową, gdyż sekcyja ta miała być zależną od jego rozkazów; w kwestyach zaś administracyjnych lub skarbowych, w ogóle w kwestyach wewnętrznej polityki Wydział Rusi miał być władzą najwyższą w prowincyi. Władza więc Wydziału była równoznaczną z władzą generała, tylko odmienniej natury, i jako takie, powinny były pozostać z sobą w stosunkach drogą wezwań, a nie poleceń ani rozkazów.

Rząd nakazał, aby przed wyjściem w pole generał pozostawił komisarzowi Galicyi wschodniej ogólną instrukcyę określającą formowanie oddziałów, w dalszym ciągu na Ruś wyprawić się mających, ich siłę liczebną i podział broni, aby wskazał czas i kierunek, w którym wyprawione być miały, i przeznaczył dowódców. Temuż komisarzowi miał być doręczony wykaz żądanej broni, z oznaczeniem miejsca i terminu, w którym ma być dostarczoną. Podobną instrukcyę generał miał zostawić agenturze wołoskiej, wprost od Wydziału Rusi na przyszłość zależnej. Dla dopilnowania zaś technicznej strony wykonania instrukcyi Rząd polecał generałowi pozostawić przy komisarzu Galicyi wschodniej i do pomocy jemu, jednego z zaufanych swoich, a posiadającego odpowiednie kwalifikacye oficera.

Dalej Rząd doradzał, aby generał polecił formowanie oddziałów zbrojnych wewnątrz prowincyi, przysławszy tam broń, instruktorów i dowódców, jak również polecał formowanie oddziałów strzelców konnych, inaczej zwanych żandarmeryą narodową, dla pomocy władzy cywilnej i dla rychlejszego umożliwienia formacyi stałej.

Powstanie w Lubelskiem odłączył Rząd Narodowy od komendy naczelnego wodza Rusi, lecz nakazał wojewódzkiemu, aby bezwarunkowo zadość czynił jego wymaganiom, jeżeli tylko możność pozwoli.

Nareszcie Rząd Narodowy przypomniał generałowi, »aby jak dotąd, nigdy uwagi swej nie odwracał od wszelkich możliwych środków dla zjednania ludu wiejskiego i polecił jak najsurowiej wszystkim swym podkomendnym, wszystkim żołnierzom nawet, aby na chwilę nie zapominali, że są żołnierzami za wolność i że braciom swym, długo ciemionym, mają przynieść prawo, ziemię i obywatelstwo. „Hramoty”, w każdej wsi, przy każdej sposobności czytane być mają. Każdy krok żołnierza naszego w stosunkach jego z ludem cechować winna miłość i sprawiedliwość.«

Na końcu Rząd Narodowy dodał: „Dnia dzisiejszego, za pośrednictwem Komitetu Galicyi zachodniej, szanowny, tyle zasłużony, a tak kochany i czczony w narodzie, Ojciec Twój, jenerale, ofiarował usługi swe Rządowi Narodowemu, pragnąc dziś jeszcze walczyć za Ojczyznę. Rząd Narodowy z radością najwyższą przyjął zaofiarowanie tego patryarchyrycerza i polecił natychmiast ułatwić wszystko Ojcu Waszemu, jenerale, dla dostania się do Galicyi, skąd uda się na Ruś walczyć obok syna. 13. Lipca 1863 r.

15. Lipca przyszło jeszcze jedno rozporządzenie, ograniczające atrybucyę komisarza pełnomocnego: 7)

»Z raportu komisarza pełnomocnego Jana Majkowskiego Wydział wojny dowiedział się, że on w chwalebnym celu przyspieszenia wyjścia oddziałów z Galicyi na Ruś wyznaczył uprzednio generałowi Wysockiemu, a teraz Wam, jenerale, ostateczny, nieodwołalny termin wkroczenia oddziałów, pod karą unieważnienia nominacyi wszystkich dowódców. Zważywszy, że takie rozporządzenia komisarza pełnomocnego, oznaczające termin wyjścia oddziałów, są zupełnie niewłaściwe, a także że cała odpowiedzialność za ruchy i czynności wojskowe od czasu, jakęście zostali naczelnym wodzem Ziem Ruskich, leży na Was, jenerale, Rząd Narodowy polecił komisarzowi pełnomocnemu, aby na przyszłość nie mieszał się w atrybucyę wasze wojskowe i żeby tylko łożył wszelkie starania, aby administracya cywilna Galicyi i Rusi działała jak najenergiczniej, a wszelkie dostawy dla oddziałów waszych żeby były w stosownym czasie, miejscu, ilości i gatunku przygotowane. O poleceniu takowem, danem komisarzowi pełnomocnemu Wydział wojny Was, jenerale zawiadamia.«

v/

Jenerał Różycki otrzymawszy tak obszerne pełnomocnictwo, w porozumieniu z komitetem Galicyi wschodniej, przystąpił do tworzenia oddziałów do nowej wyprawy. Dowódcą jednego z tych oddziałów był hr. Wojciech Komorowski, posiadający reputację dobrego żołnierza i bardzo sympatyczny człowiek. Nie wiedząc, co mam począć ze sobą, udałem się do pomieszkania jego, prosząc, aby mnie zapisał jako prostego szeregowca do oddziału, bo jako żołnierz wojsk regularnych nie miałem żadnego zaufania do ruchawki, nie wiedziałem, jak jej zażyć i jak z nią postępować. Zdziwił się Komorowski bardzo, gdy mu powiedziałem, że byłem pułkownikiem jeneralnego sztabu i dawnym kolegą Różyckiego. Przy pierwszym widzeniu się z Różyckim Komorowski powiedział mi, że jestem we Lwowie. Ucieszył się Różycki niezmiernie i prosił, żebym zaraz przybył do niego. Pomimo gorącego oporu, jaki stawilem, nie mając przekonania, czy uczynię zadość wymaganiom, musiałem zgodzić się na przyjęcie obowiązku szefa sztabu jego i zastępcy w czasie nieobecności naczelnego wodza, a zarówno powierzył mi nakazane przez Rząd Narodowy prowadzenie śledztwa nad Wysockim i Miniewskim. Do tego też czasu odnosi się poznanie rodziny przezacnego doktora Ziembickiego, który mi ofiarował przytułek w domu swoim, bo już w tym czasie zaczęło się prześladowanie patryotów i polowanie na nich.

v/

Rozwijając czynność organizacyjną, dla sprostania nieprzyjacielowi na polu walki, Rząd Narodowy musiał jednocześnie toczyć niemniej ważną walkę piórem, aby sprawę naszą przed opinią publiczną Europy wyjaśniać, a wykazując niewzruszoność praw naszych i konieczność odbudowania niepodległej Polski, odpiierać fałsze, jakie o nas prasa moskiewska i pruska rozsiewały. Zadaniu temu miał zadość uczynić dziennik «Niepodległość», organ półurzędowy. W tym celu Wydział prasy Rządu Narodowego starał się zjednać dla organu tego współpracownictwo wszystkich mężów, którzy na polu literatury naszej odznaczyli się talentem i miłością sprawy ojczystej, aby przy ich pomocy dziennik ten mógł się stać organem poważnym, reprezentującym rzeczywiście świętą sprawę wyzwajającego się narodu. Jedno z takich wezwań czytaliśmy u znakomitego autora dzieła

„Jadwiga i Jagiełło“ — Karola Szajnochy. W piśmie z d. 27. Lipca 1863. roku Rząd Narodowy prosił go o skreślenie dziejowego stanowiska Polski i Rosyi względem ogólnej cywilizacji aby pokazać Europie, że Rosya przyniosła jej tylko same ujemne żywioły; przeciwnie zaś Polska zawsze walczyła w imię tej cywilizacji i że wskrzeszenie jej niepodległości będzie nową tylko dla ogólnego postępu rękojmią.

Z powodu jednak słabego stanu zdrowia, starganego tyloletnią pracą i cierpieniami, autor dzieła pierwszego odrodzenia Polski już nie mógł przyłożyć ręki do nowych jej wysiłków na drodze do zmartwychwstania⁸⁾.

IV.

Komitet Wschodniej Galicyi.

W czasie, gdy w Królestwie zawiązał się Komitet Centralny i zaczął przygotowywać kraj do zbrojnego powstania, w Galicyi utworzyło się kilka komitetów, a mianowicie: *a)* Komitet Białych we Lwowie i Krakowie, mający na celu powstrzymanie, o ile można, wybuchu powstania. *b)* Komitety miejskie (Ławy) dla popierania braci w Królestwie. *c)* Komitet młodzieży. *d)* Komitet bratniej pomocy, składający się przeważnie z rzemieślników, dzierżawców, itd. Nie byłem wówczas w Galicyi, opowiadam więc to, co słyszałem od innych, gdyż pobieżny pogląd na czynności przedpowstańcze jest rzeczą ważną dla zrozumienia następnych czynności. Pod względem moralnym i materyalnym największą siłę posiadały komitety Białych we Lwowie i w Krakowie. We wschodniej Galicyi komitet ten składał się z następujących członków: Franciszka Smolki, Ziemiałkowskiego Floryana, hr. Aleksandra Dzieduszyckiego i księcia Adama Sapiehy.

Po wybuchu powstania Smolka i Dzieduszycki, przerażeni nierównością sił walczących, chcąc uchronić kraj od nieszczęść, których się spodziewali, zaproponowali wydanie odezwy, protestującej przeciwko powstaniu. Propozycyi tej nie przyjęto, lecz postanowiono wezwać do Lwowa naczelników obwodowych organizacyi Komitetu białych i notablów, aby ci orzekli, czy Galicya ma przystąpić do powstania czy nie.

Na zjazd ten przybyło bardzo wielu ludzi: najważniejszymi byli: ks. Leon Sapieha, wówczas Prezes Rady Nadzorczej kolei Karola Ludwika, hr. Krasicki, generał Załuski i t. d. Załuski, rozłożywszy kartę Polski i pokazując miejsca, gdzie już powstanie wybuchło i gdzie są oddziały powstańcze, dowodził, iż obecnie już niepodobna się cofać przed uznaniem faktu, gdyż potępienie powstania oznaczałoby to samo co ogłoszenie się po stronie Moskwy. Większością głosów postanowiono popierać braci w Królestwie. Wskutek tej uchwały członkowie komitetu Smolka i Dzieduszycki złożyli mandaty. Dzieduszycki odezwał się wówczas w te słowa: »Udział Galicyi w powstaniu powinien się ograniczyć na zbieraniu pieniędzy na jałmużnę dla tych, co bosy, goli i głodni z Królestwa uciekną«. Komitet przybrał do grona swego hr. Golejowskiego, głośnego z dowcipu swego, śmiałości w obec władz austriackich, uczciwości i patriotyzmu i hrabiego Artura Gołuchowskiego. Na czele Komitetu stanął książę Adam Sapieha, który zaledwo wtedy wychodził z wieku młodzieńczego. Natura obdarzyła go wielkimi zdolnościami, charakterem skorym do czynu lecz też łatwym do zniechęcenia. Pan wielkiej fortuny i pięknego imienia, nie dbający o zaszczyty i ordery, czuł on, że w Polsce niepodległej mógł zająć wysokie stanowisko, czuł w sobie siłę i chęć do tego, całem też sercem pragnął obalenia obcego panowania w Polsce. Takie usposobienie dawało mu w Galicyi wpływ bezwzględny.

Komisarzem Rządu Narodowego w samym początku w Galicyi był Jacek Siemiński, obywatel z piotrkowskiego. Po przyjeździe postanowił on oprzeć się na Ławach, to jest na organizacyi miejskiej, a ignorować Komitet obywatelski. Błędne to postępowanie jego zmusiło Rząd Narodowy do zastąpienia go Janem Majkowskim, który przekonawszy się, że oprócz dobrej chęci, Ławy żadnej siły nie posiadają, rozwiązał je, a sam zaczął rokowania z Komitetem. Rokowania te szły opornie, Komitet bowiem nie chciał poddać się pod rozkazy Rządu Narodowego, lecz gdy Rząd za poradą hr. M. R., pomocnika Majkowskiego, przysłał przez niego każdemu z członków imienną nominację, przyjęli ją każdy osobno, a przez to samo cały komitet musiał zgiać czoło przed tą władzą, którą uznał już kraj cały. Poddając

się jednak Komitet postawił pewne warunki, jak to obaczymy niżej.

W tymże czasie Maryan Sokołowski, komisarz Rusi, w porozumieniu z innymi członkami komitetu dla spraw Ruskich ogłosił okólnik, uwalniający wszystkich właścicieli większych posiadłości na Rusi od udziału w powstaniu w tym celu, żeby nieprzyjaciele nie mogli konfiskować majątków i tym sposobem zmniejszać zasobów powstania. Okólnik ten wywołał wielkie oburzenie Rządu Narodowego i odwołanie Sokołowskiego.

3-go Kwietnia generał Józef Wysocki został mianowany Naczelnikiem sił zbrojnych na Rusi, na miejsce Zygmunta Miłkowskiego, który otrzymał inne przeznaczenie. Był to dobry żołnierz, zacności nieposzlakowanej, przystępny i łagodny, lecz już sterany wiekiem i chorobą. Po przybyciu do Lwowa natychmiast udał się na granicę Podola do Sidorówki dla porozumienia się z Różyckim, który był w tym czasie »Organizatorem głównego powstania ziem Ruskich«. Po powrocie do Lwowa Wysocki zaczął organizację trzech oddziałów, które jednocześnie miały wkroczyć na Ruś. Od samego początku stosunki Wysockiego do Komitetu wskutek różnicy zapatrywań stały się bardzo przykre. Organizacja postępowała bardzo słamazarnie, tak że wyprawa, która miała być gotowa do wymarszu w początku maja, mogła wystąpić dopiero w początku lipca.

W zwierzeniach osobistych, całą winę nieudania się wyprawy Wysocki przypisywał Komitetowi i opowiadał, iż ma wiadomość, że jeden z członków Komitetu, szczególnie mu nieprzychylny, namówił Horodyńskiego, aby ten nie czekał na niego i zaatakował Radziwiłów, aby na niego spadła sława zajęcia miasta. Nieposłuszeństwo Horodyńskiego, który miał zacząć atak dopiero po pierwszych strzałach oddziału generała, zwichnęło całą wyprawę. Oto jest list, który Wysocki pisał do mnie z więzienia, dnia 29-go Września 1863. ⁹⁾

»Serdecznie dziękuję Ci, pułkowniku, za tych kilka słów pamięci i pociechy. Nie uwierzysz, ile ja cierpię w tej chwili: w dzisiejszych okolicznościach gnść w więzieniu bez użytku i nadziei, to rzecz okropna. Krew uderza do głowy ile razy przypomnę

»Nie wiem, czy w moich papierach znajdzie się wszystko, co Wam potrzeba do objaśnienia; wiele kopij moich listów poniszczyłem przez ostrożność, ale Hieronim (Ruszczewski, podszef sztabu) i Narcyz (Małuja, adjutant jenerała, wytłómaczą Wam w części, jak obszerne były moje zamiary.

»Gdyby ludzie chętnie pomagali, innyby obrót wzięła cała sprawa, ale cóż robić, kiedy los inaczej zrządził. Ty teraz sam mogłeś się przekonać, co to jest mieć do czynienia z autonomią Galicyjską.« Józef Wysocki.

Według mego zdania skargi nieustanne na Komitet Galicyi wschodniej były odbiciem się tego antagonizmu, który zawsze istnieje między wojskowymi i cywilnymi.

Co do mnie, jestem bardzo dalekim od tego, żeby rzucić kamieniem potępienia na Komitet, chociaż nieraz przeklinałem z całej duszy jego niesłychaną powolność; przypatrywałem się bowiem czynnościom Komitetu z bliska i widziałem, że robił, co mógł, z najlepszą wolą, ale z takim brakiem energii rewolucyjnej, jakby całe lata miał przed sobą. Nie było tam ludzi tej miary jak obwodowi: Kazimierz hr. Wodzicki, Stanisław Polanowski, Tadeusz Wiśniewski, Zygmunt Dębowski, Ludwik Skrzyński itd., którzy umieli przeprowadzić wszystko, czego się podjęli, nie tylko prędko, ale często ze zdumiewającą precyzją, chociaż do zwalczania mieli niesłychane trudności w skutek przeszkód, które im stawiał rząd austriacki na każdym kroku.

Jako prezes komisji sądowej nad Wysockim i Miniewskim, otrzymawszy pisemny raport Miniewskiego i objaśnienia jen. Wysockiego, zażądałem od Komitetu, a właściwie od Ziemiałkowskiego i Wasilewskiego tłumaczenia się co do zarzutów, które im robił pułk. Miniewski. Komitet, naradziwszy się, ułożył odpowiedź, a odpis jej porучzył Tadeuszowi Wasilewskiemu. W chwili, gdy ten był zajęty przepisywaniem, przyszła rewizya policyjna, znalazła dokument i na jego podstawie sąd uwięził zaraz Ziemiałkowskiego, Wasilewskiego i jeszcze kilku innych, należących do organizacji obwodowej. W skutek tego Komitet musiał się zreorganizować. W nowym składzie jego byli następujący członkowie: Ks. Adam Sapięha, hr. Antoni Golejewski, Karol Hubicki, Zenon Słonecki, Alfred Młocki, Piotr Gros i Zygmunt Rodakowski.

Dla dokładnego przedstawienia stosunku Komitetu wschodniej Galicyi do Rządu Narodowego, do wojskowości i do Naczelników obwodowych, przytoczymy niżej sprawozdanie Komitetu Naczelnikom obwodowym, zebranych we Lwowie d. 15. Sierpnia 1863 r.: ¹⁰⁾

Sprawozdanie Komitetu.

Szanowni Naczelnicy obwodowi! Na ostatniem zgromadzeniu Waszem, odbytem w kwietniu b. r., ustanowiliście komitet i upoważniliście go do działań, celem poparcia jak najskuteczniej powstania w zaborze rosyjskim, zostawiając mu wszelką wolność co do kierunku, w jakim postępować zechce, zastrzegając tylko tę jedną zasadę, żeby co do stanowiska Galicyi w dzisiejszym ruchu, nie poddawać się bezwarunkowo rozkazom Rządu Narodowego.

Było też usilnem staraniem Komitetu, ażeby, postępując wedle odebranych wskazówek, zadość uczynił powołaniu swojemu. Dzisiaj zaprosiliśmy was na nowe zebranie, chcąc Wam zdać sprawę z dotychczasowych naszych czynności, chcąc się wzmocnić waszem poparciem i chcąc Wam wskazać trudności i ofiary, jakie nas czekają w najbliższej już przyszłości, a które zwalczyć możemy tylko wspólnem, jednolitem usiłowaniem.

Naprzód winniśmy Wam objaśnić podstawę naszego działania t. j. stosunek do Rządu Narodowego.

Idąc za powołaną wyżej zasadą, szanując Rząd Narodowy jako jedyną władzę narodową, przyznając mu bezwzględne prawo rozkazywania w prowincjach, gdzie się już toczy walka zbrojna, prawo wyłączne reprezentowania sprawy polskiej wobec Europy, prawo komendy nad oddziałami powstańczymi, formującymi się w Galicyi, i prawo rozporządzania zasobami wojennymi w Galicyi zebranymi, zawarowaliśmy sobie nawzajem ze strony Rządu Narodowego następujące prawa:

Rząd Narodowy uznał komitet nasz pod imieniem, »Komitetu Galicyi wschodniej« jako jedyną władzę Narodową w tej prowincyi polskiej, zostawił nam zupełnie wolną rękę w organizacyi wewnętrznej względem Rządu austriackiego,

przyznał nam prawo kompletowania się własnym wyborem, podając wybory tylko do wiadomości Rządu Narodowego, prawo postanowienia naszego reprezentanta przy Rządzie Narodowym, oraz prawo, żeby jeden członek naszego komitetu znał z imienia jednego członka Rządu Narodowego, dalej prawo korespondowania z Rządem, nietylko za pośrednictwem Komisarza Rządowego, ale także bezpośrednio, do czego miał nam wskazać drogę. W końcu ma nam być oddany nadzór wszelkich dzienników krajowych i Rząd Narodowy tylko za pośrednictwem Komitetu miał się z niemi znosić.

Na tych podstawach wyrobiony regulamin, wyrobiony nie bez wielkich walk i trudności, przyjęty przez Komisarza Rządowego, posłany został do zatwierdzenia Rządu Narodowego i jakkolwiek potwierdzonego egzemplarza nie odebraliśmy, ówczesny Komisarz nadzwyczajny Rządu Narodowego oświadczył nam, jako odebrał wiadomość, że regulamin ten otrzymał aprobatę Rządu Narodowego.

Najbliższym przedmiotem, który winniśmy wam przedłożyć, jest rachunek z funduszków, jakie z kraju wpływały do naszych rąk, wykaz szczegółowy przychodu tych funduszków i wydatków niemi pokrytych.

Aresztowanie N., który w zastępstwie J. prowadził rachunki, czyni to złożenie rachunków dzisiaj niepodobnem.

Celem umożliwienia ostatecznego obrachunku, — czy wydatki wszystkie we Lwowie pokryte są dokładnie spisane, prosimy was, żeby każdy obwodowy przysłał nam dokładny wykaz funduszków, na jego ręce do komitetu złożonych, również jak wykaz wydatków w obwodzie pokrytych i restancij podatkowych w jego obwodzie narosłych. Informacja, jak te wykazy mają być ułożone, będzie wam, szanowni panowie, osobno udzielona. Dopiero wtedy zestawienie rachunkowe będzie mogło być uzupełnione i zamknięte, a rezultaty wam udzielone. Dzisiaj wszakże możemy Wam już powiedzieć, że komitet ma długi kilkadziesiąt tysięcy zł. w. a., które powinny znaleźć pokrycie swoje w regularnych wpłatach rozpisanych już podatków.

Tutaj winniśmy tylko dodać, że pod względem wydatków jest zaprowadzona kontrola jak najściślejsza, jakkolwiek konieczna tajemniczość wszelkiego zakupna i wszelkich tran-

sportów, naturalnie pociąga za sobą wielkie w wydatkach podwyższenie i wielkie nieraz szkody.

Przy tej sposobności musimy wspomnieć i tę okoliczność, że służba publiczna odbywa się obecnie bez wyjątku w kole organizacyi bezpłatnie i gotowości wszystkich, w tym kierunku zatrudnionych obywateli, musimy tutaj oddać winne uznanie.

Fundusze kraju głównie zostały wyczerpane wyprawą do Ziem Ruskich generała Wysockiego, chociaż fundusze krajowe pokryły w części tylko koszta tej wyprawy, na którą obrócone były znaczne fundusze Rządu Narodowego i agencji Ziem Ruskich, które to fundusze przechodziły także przez ręce komitetu.

Wrażenie klęski, jakiej ta wyprawa doznała, upadek ducha, jaki od tego czasu wszędzie spostrzegać się daje, wielkie szkody materyalne, w końcu fałszywe wieści obiegujące po kraju, o winie z powodu tej klęski ciężącej jakoby na komitecie, wszystko to wkłada na nas obowiązek wyświecenia naszego współdziałania i wykazania, że na komitecie nie ciąży żadna wina.

Komitec Galicyi wschodniej zgadzając się z myślą tej wyprawy, nie zgadzał się ze sposobem przeprowadzenia jej i nie miał wpływu na nominację dowódcy.

Rząd Narodowy, uchwalwszy wyprawę, mianował naczelnego dowódcę. Komitetowi nic nie pozostawało, jak tylko wszelkimi siłami popierać i przygotowywać tę wyprawę. Komitec jednak ciągle protestował przeciwko tym wszystkim wymaganiom przyborów kosztownych, które nie mogły z tej małej garstki zrobić kadrów wojska regularnego, a zmieniły niejako charakter i naturę tych gromad partyzanckich, które są istotnym wyrazem dzisiejszego ruchu, jego właściwą i wybitną cechą.

Na kim ciąży wina klęski Radziwiłowskiej, nie naszą rzeczą sądzić. Horodyński przypłacił gorącość swoją życiem, Wysocki powolnością i metodyzmem wyszczerbił swoją sławę żołnierską i stary ten żołnierz-patryota, dzisiaj cierpi w więzieniu. Między nimi niechaj sądzi historia.

Komitec głęboko dotknięty tą klęską w tem przynajmniej znajduje pociechę, że i generał Wysocki i komisarz

rządowy, przytomny tej wyprawie, w raporcie złożonym Rządowi Narodowemu, uznali w zupełności, że Komitet zrobił, co tylko mógł zrobić i dopełnił sumiennie obywatelskiego i patriotycznego swego obowiązku.

Taki jest krótki rzut oka na przeszłość, którą Wy, zacni spółobywatele, osądzić zechcecie.

Teraz przychodzimy do terażniejszości.

Komitet, wskutek nowych wyborów, jakie po aresztowaniach trzech jego członków nastąpić musiały, istnieje teraz w nowym składzie osób, które wam się tutaj przedstawiają.

Nietylko jednak w osobach zaszła zmiana, zaszła ona także w organizacyi wewnętrznej komitetu.

Po części, żeby upodobnić skład swój i organizacyę do komitetu krakowskiego, który tam dla Galicyi zachodniej istnieje pod imieniem „Rady Prowincjonalnej“, zeznając, że kiedy nas nieprzyjaciele nasi chcą rozdzielać i różnić, my do jednostajności, do jednolitości dążyć powinniśmy; po części zaś, aby uregulować i ułatwić pracę, idąc za doświadczeniem w ciągu przeszło sześciomiesięcznej pracy nabytem, postanowiliśmy podzielić komitet na wydziały i oddając każdemu członkowi jeden wydział, czynność całą usystemizować.

Na najbliższem posiedzeniu będziemy mieli zaszczyt przedłożyć Wam krótki rys tej organizacyi; dzisiaj już widzicie, że zasiada w komitecie 7 członków, z których jeden jest reprezentantem miasta.

Ale mimo najlepszej organizacyi, mimo najusilniejszej pracy członków komitetu, cel nasz niesienia skutecznej pomocy wielkiemu dziełu wyswobodzenia ojczyzny osiągniętym być nie może, jeżeli kraj cały tego dzieła nie będzie popierał z tą nieograniczoną gotowością do ofiar, która jest niezbędnym warunkiem pomyślnego rezultatu tak ogromnego i w tak trudnych okolicznościach podjętego dzieła.

W tym względzie, uznając w zupełności usiłowanie i pracę szanownych obwodowych, oddając sprawiedliwość wzorowemu poświęceniu pojedynczych osób, mamy sobie za obowiązek powiedzieć tutaj z wszelką otwartością, że niestety działanie ogólne wiele jeszcze zostawia do życzenia.

Przedewszystkiem brak tej wiary, która przecież w naszych oczach tyłu już natchnęła męczenników, a bez której nie osiągniemy odrodzenia i niepodległości ojczyzny naszej.

Ten brak wiary pociąga za sobą upadek ducha, z duchem upada także gotowość do ofiar — a tem samem zamiast powiększać się w miarę potrzeby, upadają zasoby przez kraj dostarczać się mające i znika nadzieja i możliwość dłuższego trwania tych, przyznajemy że w całości swej nadludzkich wysileń, bez których jednak osiągnięcie ostatecznego celu jest niepodobne.

Ten brak wiary tem mniej jest usprawiedliwiony, że już dzisiaj widzimy skutki wielkiej wagi, tem poświęceniem narodu wywalczone.

Na zewnątrz: stanowisko, jakie zajmuje dzisiaj w sprawach europejskich, nawet wobec rządów sprawa, Polska, — stanowisko, na jakim od czasu rozbioru się nie znajdowała.

Na wewnątrz: większe skonsolidowanie i zlanie się różnych warstw narodu, przejście patryotyzmu i poświęcenia w te warstwy społeczeństwa, w których dotąd mniej się objawiał, zniesienie pańszczyzny i nadanie własności na całym obszarze ziem polskich, a tem samem i pewność, że w niedalekiej przyszłości to samo uczucie, co nas ożywia, przeniknie i lud cały.

Boleśnie nas też razi ten brak gotowości do ofiar, jakkolwiek ciężkich nieraz i bolesnych. Jest to smutny dowód upadku, a przynajmniej osłabienia w nas pierwiastku polskiego, bo na gotowości do ofiar nadzwyczajnych nigdy w Polsce nie brakło. Poświęcenie życia i mienia, złożenie całej fortuny na ołtarzu ojczyzny, było w Polsce cnotą tradycyjną, dziś z małemi wyjątkami prawie zapomnianą w tych właśnie rodach, które nią dawniej celowały.

W ruchu, który wyszedł z klasy średniej, głównie z miast, dzisiaj przeważnie właściciele mniejsi, ogół obywatelstwa wiejskiego, dźwiga na swoich barkach sprawę publiczną i popiera ją swoim mieniem.

Ale niestety! nietylko na gotowości do tych ofiar materialnych zbywa nam — zbywa nam także na tej dawnej polskiej krewkości, co to nie znała niebezpieczeństwa, kiedy chodziło o dobro Ojczyzny.

Dzisiaj sceptycyzm zapanował nad umysłami, nadwałił wiarę, osłabił uczucie obowiązku prawego Polaka i wyrodziło się w wielu to zdanie, że, opłacając podatek narodowy, dopełnili swego obowiązku i do niczego innego nie są już obowiązani.

Stąd pochodzi ta wielka trudność w przewożeniu i dostawianiu broni i innych przyborów, przez rząd austriacki konfiskowanych, stąd brak należytej, prędkiej komunikacji, stąd dla tych, którzy podobnemi czynnościami kierować mają, pochodzą trudności, stojące na przeszkodzie prędkiemu dopełnieniu przyjętych obowiązków.

Wszystkie podniesione tutaj przeszkody i trudności wtedy tylko mogą być skutecznie zwalczone, jeżeli się wszyscy połączymy we wspólnej pracy, we wspólnem poświęceniu.

Komitet zatem z Wami, Szanowni Naczelnicy obwodów, i przez Was reprezentujący kraj w dzisiejszej potrzebie, uważa za pierwszy obowiązek wszystkich członków organizacji: posłuszeństwo bezwzględne.

Posłuszeństwa powinniście przede wszystkim wymagać od obywateli Waszego obwodu, należących do organizacji i to w kierunku przez Komitet tutaj wyraźnie określonym.

Posłuszeństwo, o którym tu mowa, w myśli komitetu nie ogranicza się tylko na dopełnieniu zleceń od komitetu odebranych, ale winno ono być jeszcze posłuszeństwem moralnem, to jest pociągnąć za sobą ten skutek moralny, ażeby przeciwko poleceniom komitetu i ogólnemu postępowaniu organizacji, mimo dopełnienia odebranych zleceń, nie występować ze słowną opozycją. Przy naszych skłonnościach opozycyjnych, przy tej wrodzonej żyłce ironii i chęci żartowania z wszystkiego, a wyłamywania się z pod wszelkiej, nawet przez nas samych ustanowionej powagi, bardzo łatwo podobnem wystąpieniem szkodzić sprawie; przez taki dorywczy, jakkolwiek indywidualny słowny opór oziębiamy wszelki zapał, osłabiamy siłę działania spólnego, tem samem powiększając potrzebę ofiar, utrudniamy sami sobie osiągnięcie zamierzonego celu.

Nie chcemy przez to zupełnie ograniczać wolności zdania, chociaż podporządkowanie pod opinię już nie większości, ale ogółu, zdań indywidualnych, mamy w danej chwili za święty

obowiązek, ale niechaj* każdy ma odwagę swojego zdania; uwagi swoje, nietylko zawierające jałową krytykę ujemną, ale zarazem środki dodatnie, niechaj przedłoży władzy kierującej organizacją — a jeżeli jego pomysły nie zostaną przyjęte, niechaj albo wystąpi z organizacji, albo podda się bezwzględnie rozporządzeniom władzy, z łona obywatelstwa wyszłej, a przez niego uznanej. Wszelkie działanie bez przekonania będzie w rezultatach swoich mało skuteczne, i nie wywrze nigdy tego wpływu moralnego, który obok kroków materialnych, jest jednym z głównych celów naszych.

Postępowanie tutaj zakreślone, byłoby już samo z siebie wielką zdobyczą moralną, a tem samem i silnem poparciem wszelkich innych celów.

Dla tego też wzywamy Was, Szanowni Naczelnicy obwodowi, żebyście nie ograniczali czynności Waszej na wydobywaniu zasobów materialnych dla powstania w ogóle, a podatku narodowego w szczególności. Należałoby jeszcze, żebyście obywatele Waszego obwodu wiązali w ściślejsze kółko wspólności moralnej, żebyście, nie tworząc wcale konspiracji, obowiązali ich do posłuszeństwa, dla wszystkich od Was, w imieniu Władzy kierującej organizacją, wychodzących poleceń, tak ażeby stosunek Wasz nie był stosunkiem poborców względem opodatkowanych, ale naczelników względem żołnierzy, bo my wszyscy, czy z bronią w rękę, czy na innem polu działania, myśmy wszyscy żołnierze w służbie czynnej tej wielkiej sprawy odbudowania Ojczyzny naszej.

Tym celem szczególnie zwracamy uwagę Waszą na miasta i miasteczka, na wszystkie żywiły luźne, w kraju rozrzucone, jednym słowem na to wielkie zadanie skonsolidowania narodu w jedną całość, którego skutki pozostaną i bujnym kiedyś zejną kwiatem, chociażby wysilenia nasze nie osiągnęły teraz ostatecznego celu.

Przy takiej organizacji tak wzrośnie i spotęguje się siła opinii publicznej, że zmniejszy się, jeżeli nie zniknie zupełnie, znaczna dzisiaj jeszcze liczba renitentów podatkowych i komitet nie będzie w smutnej konieczności publikowania ich imion, ze wstydem dla kraju, w dziennikach Rządu Narodowego, do czego, w razie trwania renitencji, byłyby jakkolwiek z żalem przymuszony.

Postępując z wielką otwartością, komitet nie może dzisiaj tego pominąć milczeniem, że się zanosi na długą walke, że musimy się przygotować na znaczne, regularnym trybem opłacane i długo jeszcze trwające ofiary, które możemy nazwać normalnym, zwyczajnym budżetem sprawy narodowej.

Ale są jeszcze i ofiary nadzwyczajne, które znowu my tylko ponosić możemy.

Wiadomo Wam, że Rząd Narodowy zadekretował pożyczkę 21.000.000 złr polsk. Na naszą prowincję przypada suma 7.000.000. Celem uskutecznienia tej pożyczki, ustanowienia i obliczenia rozkładu i przeprowadzenia całej tej skomplikowanej czynności, z woli Rządu Narodowego ma się organizować komitet specjalnie do tej czynności w Krakowie dla obwodów zachodnich, we Lwowie dla obwodów wschodnich, który potem spólnie ułoży program postępowania.

W Krakowie ten komitet już się ukonstytuował i swoją czynność rozpoczął, u nas dopiero się zbiera. Komitet zatem ma sobie za obowiązek wezwać Was, żebyście całym wpływem Waszym, całą powagą Waszego stanowiska, wspierali tę sprawę pożyczkową pomiędzy obywatelstwem, ażebyśmy i w tem zadaniu wydobywania doraźnie pod naciskiem rzeczywistej potrzeby, wszelkich możebnych z kraju funduszków gotowych, nie pozostali w tyle za naszymi braćmi z Korony i Litwy.

Jakkolwiek nie przeceniamy siły finansowej kraju, a uznajemy wysokość ofiar już poniesionych w pasach nadgranicznych, to jednak przyznać musimy, że ofiary pieniężne, jakie dotąd poniosła prowincja nasza, chociaż one cięża przeważnie na jednej warstwie ludności, nie nadwyrężyły jeszcze w niczem ani siły finansowej, ani ekonomicznej kraju. Ogólna sytuacja finansowa, brak gotowizny, stagnacja w świecie handlowym, są to niezawisłe od ruchu narodowego, istoty majątku krajowego nie nadwężające i przemijające tylko przeszkody, bez których jak dotąd, o ofiarach by nawet mówić nie można, a które nikogo od dopełnienia obowiązku obywatelskiego wstrzymywać nie powinny; zatem tylko brak dobrej woli inogłby udaremnić skuteczne przeprowadzenie pożyczki, przez Rząd Narodowy zadekretowanej. Tę sprawę pożyczki Komitet poleca szczególnemu Waszemu uwzględnieniu.

W końcu winniśmy tutaj dodać, że w bardzo krótkim czasie dwie wyprawy z naszej prowincyi mają przejść granice Królestwa, a niedużo później ma ruszyć kilku oddziałami wyprawa, największa, jaka dotąd wyszła z Galicyi.

I przy takich wyprawach, komitet ciągle protestował przeciwko tym wszystkim przyborom, jakoby wojska regularnego, których dowódcy wymagali, a które ogromne pociągają za sobą koszta.

Starał się jednak komitet, ile tylko mógł, zaspokoić żądania dowódców i ze swobodą dopełnionego obowiązku oczekuje skutku tych poniesionych ofiar.

Na tem kończy komitet sprawozdanie swoje, pokładając pełną ufność w Waszem współdziałaniu i w gotowości do ofiar całego kraju.

15. Sierpnia 1863. roku.

V.

Organizacya oddziałów.

Przyjawszy nowe obowiązki, rzuciłem się z całej duszy do pracy organizacyjnej, w której miałem wiele doświadczenia będąc przez lat tyle szefem sztabu wojsk regularnych. Dlatego żeby nie zaszkodzić rodzinie pozostałej w kraju, przybrałem nazwisko bojowe »Strusia«.

Dziś, gdy przeglądam spokojnie czynności moje w powstaniu, muszę wyznać, że nie byłem odpowiednim szefem sztabu, bo nie znałem dobrze ducha powstańczego wojska, a zawsze postępowałem jako oficer wojsk regularnych, przez co nieraz narażałem sobie dowódców oddziałów i nie zyskałem tej miłości i popularności, które są potrzebne w wojsku powstańczem. Nie mówię tu o prostych żołnierzach, z którymi nigdy nie miałem styczności osobiście, lecz o dowódcach, którzy nie mogąc odmówić mi znajomości obowiązków moich, nie bardzo mnie lubili. Rozumie się, że szef sztabu, który powinien zaglądnąć w każdą lufę karabinu, porachować guziki munduru, sprawdzić każdy groszowy wydatek, zwykle nie jest lubiony w wojsku i z tem powinien się oswoić, lecz tu było wyjątkowe położenie. Dowódca oddziału w powstaniu ma większe znaczenie, aniżeli szef batalionu regularnego wojska. W tym ostatnim, jeżeli major jest zabity, pierwszy kapitan staje na jego miejsce i nic się więcej nie zmienia. W powstańczem zaś wojsku dowódca jest to chorągiew, około której zbierają się ochotnicy, sami sobie wybierający przełożonego. Zyskać posłuch chętny i miłość takiego dowódcy jest obowiązkiem szefa sztabu, bo wtedy on może być pewnym, że rozkazy jego, rady i wskazówki będą speł-

nione co do joty. W powstańczem wojsku obietnicą nagrody, lub strachem kary działać nie można, bo pierwsza nie istnieje, a drugiej przed przekroczeniem granicy wprowadzić nie było możliwości. Stąd też stosunki moje z dowódcami były dość szorstkie, nie dawałem nigdy rad, a tylko rozkazy.

Drugą osobą przy jenerale Różyckim był Rudnicki (Sawa). Skończył on akademię w Petersburgu i jako porucznik był przy obronie Sebastopola, potem, przeszedłszy do inżynierii jako sztabs-kapitan był przy robotach w kijowskiej fortecy. Kiedy wybuchło powstanie, stanął na czele garstki młodzieży, która chwyciła za broń na Ukrainie, lecz otoczony dostał się do niewoli. Za pomocą młodzieży akademickiej zemknawszy z drogi, przybył do Galicyi. Niewielkiego wzrostu, krępy, rudy, z małym zarostem, umiał przypodobać się każdemu i stać się popularnym, będąc w opozycji przeciwko wszelkim władzom. Niezmierna ambicja i wysokie o sobie mniemanie były przyczyną, iż nie przyjął dowództwa oddziału, które mu ofiarował Różycki. Głęboko przekonany, że rola, którą odgrywa w powstaniu, ma być wielką i świetną, niecierpliwił się, nie widząc przed sobą szerszego przestworu do działania, dąsał się, intrygował i krytykował wszelkie wojskowe rozporządzenia, siejąc niewiarę w młodem wojsku do naczelników, co było mu tem łatwiej, że nie mając zajęcia, żył wśród powstańców, zaskarbiając sobie w niższych warstwach popularność ustawicznym podkopywaniem znaczenia wyżej stojących, wyśmiewaniem ich omyłek i rozporządzeń, a jednocześnie schlebianiem słabościom dowódców oddziałów. Jednem słowem był to element rozkładowy, ferment szkodliwy w każdej pracy organizacyjnej. Poinformowany o jego postępowaniu prosiłem jenerała Różyckiego, aby mu oddał moje obowiązki, a mnie użył do czego innego, obawiałem się bowiem tych szkód, które z tego wyniknąć mogą. Z początku Różycki zgodził się na to i podpisał przygotowany przezemnie w tym duchu rozkaz dzienny, lecz potem namyślił się i rozdarł rozkaz, prosząc mnie, abym zachował najlepsze stosunki z Rudnickim, obiecując przy pierwszej możliwości wyznaczyć go na oddzielne stanowisko i przez to usunąć szkodliwą rywalizację. Niestety jenerał nie zrobił tego i Rudnicki następnie odegrał dość smutną rolę w powstaniu.

W tym czasie tworzyło się w Galicyi ośm oddziałów. Dowódcą pierwszego oddziału był generał hr. Artur Gołuchowski, człowiek już podeszłego wieku, ale jeszcze silny i krzepki, dawny oficer polskiego wojska, adjutant Dembińskiego w czasie słynnego odwrotu tego ostatniego z Litwy, potem żołnierz w powstaniu węgierskiem. Wysocki mianował go od razu generałem i polecił formowanie oddziału ochotników z trzech obwodów: Czortkowskiego, Stanisławowskiego i Kołomyjskiego. Gołuchowski był nadzwyczaj słabego charakteru i robił to, co chcieli faworycy jego. Obok staropolskiej prawości i szlachetności, posiadał tę szlachecką butę, która już tyle klęsk zadała krajowi i nieraz samowolnie robiąc różne rozporządzenia, krzyżował plany naczelnego dowódcy. Oddział jego składał się po większej części z szlacheckich dzieci trzech wyżej wymienionych obwodów, stąd obywatele patrzyli nań, jako na swój »familijny oddział.« Pod względem materyalnym było to dobrze, bo oddział obficie opływał we wszystko, co mu było potrzeba, lecz pod względem moralnym było to zgubne, gdyż obywatele tych obwodów byli przekonani, że mają prawo decydować, co ten oddział ma robić. Z tego powodu oddział organizował się rok cały i nie powąchał prochu, bo jak tylko nastały ciężkie czasy dla powstania, generał Gołuchowski, nie pytając nikogo o pozwolenie, rozpuścił wszystkich ludzi do domów.

Różycki widząc, iż nie da sobie rady z takim baszą, jak Gołuchowski, który patrzy na oddział, jak na swoją własność, postanowił etat jego powiększyć, lecz zarazem podzielić na dwie części i każdą oddać pod kierownictwo innego dowódcy, pod naczelnym dowództwem Gołuchowskiego, któremu dał tytuł naczelnika prawego skrzydła. Żeby go zmusić jednak do pełnienia rozkazów, przychodzących z głównej kwatery, wyznaczył na szefa sztabu i dowódcę 1-go oddziału pułkownika Łaskiego, żołnierza prawie wszystkich europejskich wojsk, doskonale rozumiejącego znaczenie ścisłego rygoru i dyscypliny wojskowej. Dowództwo 2-go oddziału oddano podpułkownikowi Bobowskiemu. Tym sposobem Gołuchowski był usunięty od bezpośredniego dowództwa i oddany pod kierunek głównej kwatery. Na nieszczęście pułk. Łaski posiadał w wysokim stopniu narodową naszą wadę — gadatliwość i po przyjeździe do oddziału zaczął głośno opo-

wiadać o roli, którą miał odegrać przy Gołuchowskim, to jest rządzić wszystkim, zakrywając się jego imieniem. Takie beztaktowne postępowanie i wymaganie ostrej dyscypliny od żołnierzy obudziło niechęć ku niemu i Gołuchowski dowiedział się o tem, co Łaski wypaplał. Rozgniewany nadzwyczajnie, generał napisał list do Różyckiego i do mnie. Różyckiemu wyrzucał, że on się kryje, poruczając organizację oddziałów innemu, przez co wzbudza niezadowolenie w wojsku, a zarazem, że nie widzi potrzeby podobnego dzielenia na dwa oddziały, a z tego powodu nie zastosuje się do rozkazu. Do mnie zaś pisał, że moim obowiązkiem jest przekonać Różyckiego, iż takie ukrywanie się jest szkodliwe sprawie i żebym pamiętał, że sztaby zwykle zamiast korzyści przynoszą szkodę swym koteryjnym kierunkiem. Różycki odpisał bardzo ostro, przypominając mu obowiązki żołnierza i uwiadamiając, że jeżeli służyć go nie będzie, doniesie o tem Rządowi Narodowemu, a na końcu dodał, żeby nie pozwalał sobie dawać nauk przełożonemu, jak ten ma postępować. Ja zaś odpisałem spokojnie, wykazując całą nie stosowność listu jego, bo gdzie jeden człowiek wszystko robi, gdzie jeden stanowi sztab cały, tam niema koteryi i radząc, żeby się zajął lepiej organizacją oddziału z całym poświęceniem, jakiego wymaga od niego kraj i trudne okoliczności. Jednak Różycki zmienił pierwotne postanowienie co do oddziałów: dowództwo pierwszego oddziału oddał Gołuchowskiemu, drugiego Bobowskiemu, a Łaskiemu, jako szefowi sztabu prawego skrzydła, polecono zostawać pod rozkazami Gołuchowskiego. Otrzymane listy nie przypadły do gustu Gołuchowskiemu, ale jako uczciwy człowiek, stłumił w sobie niechęć, już nie wdawał się w podobne korespondencje i służył rozkazów, pochodzących z głównego sztabu.

v | Dowódca 2-go oddziału, podpułk. Bobowski, były kapitan inżynierii austriackiej, cokolwiek blagier, ale zresztą dobry żołnierz, dowiódł zdolności wojskowych na polu bitwy pod Kobylanką. Był on zawsze gotów przyjąć wszelkie dowództwo, wszelkie poruczenie bez szemrania, ale z niewiadomych mi powodów nie umiał zyskać zaufania swoich podwładnych.

Dowódca oddziału 3-go pułkownik Chranicki, były oficer moskiewski, który odbył szkołę wojskową na Kaukazie,

co do taktu, mocy charakteru, energii i umiejętności, z jaką się brał do organizacyi oddziału i dyscypliny, którą wprowadził u siebie, celował między dowódcami. Był to żołnierz, którego nie widząc nawet na polu bitwy, można było ocenić, bo widocznie umiałby działać niezależnie i nie straciłby głowy w najtrudniejszych okolicznościach; na nieszczęście los wojny nie pozwolił mu stanąć w obec nieprzyjaciela.

Dowódzca 4-go oddziału, kapitan włoskiego wojska, Robert Sienkiewicz, przybył z Paryża z mnóstwem listów rekomendacyjnych i przydzielony był przez Wysockiego do oddziału Horodyńskiego na dowódcę piechoty, z rangą majora. Kiedy w bitwie pod Radziwiłowem Horodyński życiem zapłacił za nieposłuszeństwo swoje, oddział poszedł w rozsypkę. Część tylko, widząc śmierć pewną w ucieczce bezładnej, postanowiła drogo sprzedać swe życie i zebrawszy się w gromadkę, ustępowała, odstrzeliwując się i trzymając dragonów moskiewskich w oddaleniu. Garstka ta, walcząc, odstąpiła do lasu, w którym znalazła schronienie. Lecz nie było między nimi tego, któryby po śmierci dowódcy powinien był zająć miejsce jego, bo major Sienkiewicz był pierwszym między uciekającymi. Nie dowierzając jednak szybkości nóg konia, na którym jechał, zeskoczył z niego i widząc po drodze staw, zarosły szuwarem, wlaź w błoto tak głęboko, że tylko głowa wystawiona z wody oddychać mu pozwalała. W tem położeniu, dotkliwie kąsany przez pijawki, dosiedział do nocy, a wtedy, gdy już zmrok zapadł, wydobył się ze swojej kryjówki i uszedł za granicę. W rekomendacyjnych listach Sienkiewicza było bardzo wiele o jego męstwie i odwadze, o tem, że bił się pod Kapuą, Solferino i w Sycylii, tak że trudno uwierzyć, żeby ten sam, co się bił tak walecznie w obcej sprawie, postąpił tak haniebnie w obronie własnej Ojczyzny. Ale trudno było nie wierzyć, kiedy on sam i koledzy jego opisywali ten przypadek w obec mnóstwa świadków. Gdybym nie słyszał tego opisu z ust jego własnych, nie uwierzyłbym temu. Czegóż był wart człowiek, sam siebie bijący w policzek? chełpiący się z tchórzostwa swego i niewypelnienia pierwszego obowiązku dowódcy?

Zapytacie, być może. dla czego mu na nowo oddano dowództwo oddziału?

nim i ostrzegał, czy ktokolwiek go nie śledzi. Ulubionym frazesem Aladara było: »On nous observe, cachons—nous!« Raz gdy na posiedzenie dowódców wszedł żebrak, Aladar tak się zląkł, że udał się do mnie z prośbą: »il faut l'arrêter. »Et pendre ensuite?«, odpowiedziałem mu. Tchórzostwo to przypisywali wszyscy ostrożności. Nikt niestety nie przypuszczał, że tchórz przed policją będzie tchórzem i przed nieprzyjacielem.

Dowódca VI oddziału generał Rochebrun, Francuz, zastępca żołnierz pod Langiewiczem, przybył na nowo z Francji i przeszedł pod dowództwo Różyckiego. Ponieważ nie mówił po polsku, dano mu na szefa sztabu Żelplachtę (Zapałowicza), bardzo zdolnego oficera z wojska austriackiego. Rochebrun należał do ludzi niezmiernie odważnych, gotowych na wszelkie poświęcenia dla dopięcia celu, z taktem wielkim i pojęciem o znaczeniu dyscypliny. Nie otrzymawszy wojskowego wykształcenia, w czasie powstania awansowany za zasługi na polu walki na generała starał się, ślęcząc nad mapą i nad taktyką wojenną, dopełnić tego, co mu brakowało. Gdym go poznał, był mężczyzną lat 34, z okiem pełnym ognia, przenikliwym, z rozsądkiem naturalnym, z gorącym słowem i energią w ruchach. Umiał słuchać, ale umiał i rozkazywać. Różycki mianował go naczelnym dowódcą IV, V i VI oddziału. Chciał on więc wprowadzić niektóre ulepszenia w regulaminie piechoty i zażądał, żeby dowódcy tych oddziałów zdawali mu raporta o swych czynnościach organizacyjnych. Aladar nie chciał go usłuchać, uważając siebie za równego mu dowódcę Rochebrun zażądał oddania go pod sąd za nieposłuszeństwo ¹¹⁾ Różycki kazał mu odpowiedzieć, że dowództwo nad tymi oddziałami będzie należeć do niego po przejściu przez granicę, a teraz żeby nie robił żadnych rozporządzeń. Rochebrun wysłuchał spokojnie rozkazu i odrzekł: »proszę odpowiedzieć generałowi, że nie mam chęci dowodzić bardzo wielkim oddziałem, lecz proszę, aby w częściach, które mi będą oddane, słuchano mnie bez żadnych uwag, gdyż wtedy tylko mogę odpowiadać za poruczoną mi część, jeżeli jestem jej panem. Nie chcę nominalnego dowództwa, a jeżeli generał Różycki myślał odznaczyć mnie, dając większy oddział, dziękuję mu za to, ale wolę pozostać przy moim tylko oddziale, niż nie mieć wła-

dzy nad tem, za co odpowiadać będę». Były to słowa prawdziwego żołnierza, pojmującego znaczenie dyscypliny i subordynacyi w wojsku, i dobrze charakteryzują Rochebruna. A jednak względem niego nie działano dość otwarcie. Rochebrun wprowadził w oddziale swoim dyscyplinę i porządek wzorowy, lecz zarazem zbyt dużą biurokracyę, która przy polskiej nieostrożności często kompromitowała niepotrzebnie różne osoby. Jak każdy Francuz, Rochebrun lubił bardzo teatralność, dekoracyę i przywiązywał do niej zbyt dużą wagę, co utrudniało ubranie jego oddziału, lecz i w tym względzie był bardzo wyrozumiały, bo jeżeli nie otrzymał czego, nie narzekał jak inni.

Dowódca VII oddziału podpułkownik hr. Adalbert Komorowski, były porucznik wojsk austriackich, męstwem odznaczył się w czasie włoskiej kampanii. Po wybuchu powstania wstąpił do oddziału „Żuawów śmierci» Rochebruna, bił się mężnie, był ranny w brzuch, a wyleczywszy się znowu stanął do apelu i otrzymał dowództwo oddziału. Charakter jego rycerski, otwarty i poczciwy, jednał mu serca wszystkich. Energia i junactwo obiecywały wiele. Doskonały żołnierz, pojmujący, co to jest dyscyplina i jak powinny być wykonywane rozkazy, miał wady wspólne każdemu młodemu; był nadto niedoświadczony w wyborze ludzi i w organizacyjnych pracach. Szlachetne serce jego nie wierzyło w złą wolę ludzi ani w ich zepsucie, a z tego powodu oszukiwał się często w wyborze pomocników. Niedoświadczenie jego w administracyi prowadziło do zbyt dużych wydatków na uzbrojenie i wyekwipowanie oddziału jego. Zamilowanie w fantastycznym ubiorze swoim i oddziału należy także odnieść do słabości każdego młodego człowieka. Pod dobrym dowódcą mógł być nieocenionym oficerem, lecz dowodzić samodzielnie nie mógł dla braku odpowiedniego charakteru i wojskowego wykształcenia.

Dowódca oddziału VIII, pułkownik Smoliński, żołnierz z r. 1831, przedtem organizator jakiegoś pułku amerykańskiego w Kanadzie, człowiek podeszłego wieku, przybył z Ameryki, spodziewając się odegrać rolę w powstaniu. Prace jego organizatorskie nie rozwinęły w nim zdolności wojskowych. Przedstawił on Rządowi Narodowemu plan, jak należy prowadzić partyzantkę, plan napełniony najdzikszyimi pomysła-

mi, najdziwaczniejszymi wynalazkami, naprzykład zaprowadzeniem oddziałów konnych kosynierów. Z planem tym nosił się Smoliński po Lwowie, opowiadając każdemu, kto go chciał słuchać i nazywając ignorantami tych, co się z nim nie zgadzali. Właściwie dowódcą oddziału zrobiono go dla tego, że nie wiedziano, co z nim zrobić i dla tego, że nic nie można było zarzucić jego poczciwości, prawości i patryotyzmowi. Otoczył się młodzieżą i wyznaczył na dowódców kompanij ludzi, co nie mieli pojęcia o wojskowości. Różycki mówił, że po przejściu granicy, oddział jego przyłączy do innego i odbierze mu dowództwo. Szefem sztabu tego oddziału był młody Franciszek Narbut, brat Ludwika.

Pułk jazdy wołyńskiej składał się z ludzi, którzy byli z Różyckim na Wołyniu i bili się pod jego dowództwem pod Miropolem i Salichą. Pułk ten składał się z trzech szwadronów, które liczyły razem 200 koni. Różycki sam dowodził tym pułkiem i z początku mieszkał w rejonie jego kwaterunku. Ale przyjazd starego ojca, a następnie kłótnie, które się zaczęły między komisarzem Rządu Narodowego i Komitetem, zmusiły go pomimo niebezpieczeństwa przenieść się do Lwowa, żeby pośredniczyć w sprawie, tak blisko dotyczącej organizacyi oddziałów. Na miejsce swoje dowódcą pułku mianował generała Czapskiego. Niezadowolenie z tej nominacyi było tak wielkie, że pułk przysłał do Różyckiego deputacyę z oświadczeniem, że nie chce mieć dowódcą Czapskiego. Różycki musiał uspokoić deputacyę, że nominacya ta jest tylko prowizoryczną, żeby organizacya nie cierpiała z powodu oddalenia centralnej władzy, tem więcej, że pułk ekwipował się i uzbrajał za pieniądze, które Ruś przysyłała, wtedy gdy inne oddziały miały otrzymać wszystko od Komitetu wschodniej Galicyi. Generał Czapski należał do tych ludzi, co najmniej umaczali palce w intrydze, która doprowadziła Langiewicza do objęcia dyktatury i następnie do przejścia granicy galicyjskiej, a najwięcej ucierpiał w opinii. Różne obwinienia padały nań ze wszystkich stron, chociaż największa część pewno nie miała żadnej podstawy i człowiek ten, skądinąd najgodniejszy, był niecierpiany. Może to wreszcie pochodziło i stąd, że się otaczał ludźmi, należącymi do stronnictwa Mierosławskiego, tego generała-blagiera, którego niecierpiano w Galicyi, a może też i dla tego, że po

szczęśliwej bitwie pod Grochowiskami pierwszy przeszedł granicę galicyjską ze swoją kawaleryą. Potrzeba też powiedzieć, że Czapski nie pracował nad odzyskaniem popularności, bo zamiast szukać rehabilitacyi na polu walki, przez sześć miesięcy gnuśnie przesiedział na wsi, uskarżając się ciągle, że go nikt nie wzywa do pracy. Już daleko później przybył do Galicyi były generał brygady wojsk moskiewskich, zany tatar polski, który wstąpił do powstania pod imieniem generała Anitańskiego. Był to najstarszy wojskowy regularnej armii w oddziałach powstańczych. Jemu Różycki poruczył dalszą organizację czwartego szwadronu pułku wołyńskiego i dowództwo tegoż pułku, z czego żołnierze byli bardzo zadowoleni, był to bowiem dobry żołnierz, miły kolega i bardzo łatwy w pożyciu.

Te niedostatki dowódców oddzielnych części wymagały ustanowienia centralnej komisji wojskowej, któraby mogła czuwać nad organizacją, przygotowaniem żołnierzy, dostarczeniem im wszystkiego, co było potrzebne dla każdego powstańca. Opracowanie instrukcyi dla komisji wojskowej Różycki polecił mnie i pułkownikowi Niewiadomskiemu. Część wojskową ja opracowałem; ¹²⁾ Niewiadomski zaś, znając Galicyę dokładnie, ułożył stosunki tej komisji do Komitetu Galicyi wschodniej.

Przy badaniu programu, zakreślonego dla komisji wojskowej, pokazało się, że wprowadzenie w życie podobnej komisji musiałoby odjąć wiele atrybucyj Komitetowi. Potrzeba więc było porozumieć się z komisarzem Rządu Narodowego i uzyskać pomoc jego. Zebranie odbyło się 24 lipca 1863, r. Komisarz Rządu Narodowego, Jan Majkowski, człowiek młody i dość łatwowierny, zostawał zupełnie pod wpływem Komitetu, który mu obiecywał złote góry, byle się nie mieszał w jego atrybucye. Widząc, jaki szeroki zakres działania miała objąć Komisya wojskowa, Majkowski zaczął się sprzeciwiać wprowadzeniu jej w życie w tej formie, jaką proponowała wojskowość. Gdym zwrócił uwagę jego, że bez tego organizacja oddziałów nie będzie ukończona do nowego Roku, Majkowski zawołał: »ręczę wam głową, że do 10 Sierpnia, wszystko będzie gotowe«!

— »Przyjemnie jest pić miód ustami pana Komisarza, odrzekłem mu, ale nie wierzę temu, bo znam stan od-

działów i wiem, co im braknie, żeby mogły wystąpić w pole.»

Majkowski bardzo się rozgniewał za tę niewiarę moję w jego twierdzenia i rozpatrzenie ostateczne projektu odłożył do 1-go Sierpnia, prosząc jeszcze raz o staranne przerobienie go, stosownie do tych uwag, które wtedy poczynione były, żeby ile możności uniknąć starć z Komitetem. Lecz w trzy dni potem policya aresztowała Majkowskiego i Niewiadomskiego, który się znajdował u niego z przerobionym projektem. Po zamknięciu Majkowskiego, miejsce jego zajął tymczasowo Hr. M. R., człowiek młody, najlepszych chęci, taktu i energii, który natychmiast wysłał raport o tem, co zaszło przez kasyera T. T. do Krakowa z zapytaniem, co robić? Grobowski, komisarz Rządu Narodowego, polecił T. T. aby objął tę posadę tymczasowo, ale M. R. nie dopuścił do tego, znając wielką zacność lecz i niezmierną łagodność i brak energii T. T. Ten ostatni nie protestował i pozostał na dawnym podrzędnem stanowisku.

W części czysto wojskowej regulaminu wojennej komisji ustanowiono głównego organizatora na całą Galicyę i dwóch organizatorów na jej części, wschodnią i zachodnią. Główny organizator (Różycki) miał kierować czynnościami organizatorów prowincjonalnych, którzy, po wyjściu jego do boju, mieli wstąpić w prawa jego i otrzymywać rozkazy tylko od niego. Organizator miał działać przez wojenną komisję, której przeznaczeniem było przyprowadzenie w kraju czysto wojennej organizacyi. Komisya miała składać się z dwóch wydziałów, których szefowie mieli się wybrać z liczby oficerów posiadających wyższe wojenne wykształcenie. Organizatorem wschodniej Galicyi i szefem I wydziału byłem ja mianowany, szefem zaś drugiego wydziału pułkownik Sawa. Jednak z wyjątkiem mianowania organizatorów na wschodnią i zachodnią Galicyę nie przyszło do wprowadzenia w życie wojennej komisji w całości, z powodu coraz to częstszych aresztowań i trudności wprowadzenia regularnych stosunków centralnej władzy z prowincya.

Zostawszy komisarzem na wschodnią Galicyę, M. R. wysłał natychmiast na Multany komisarza Mrozowickiego, którego zadaniem było ułatwienie pochodu i działań pułkownika Miłkowskiego.

Do tego czasu odnosi się rozwiązanie stowarzyszenia, czyli komitetu dam, który zawiązał się był w celu zakupywania, robienia lub zbierania bielizny dla żołnierzy narodowych, dla więźniów i rannych, dostarczania szpitalom wszystkich potrzeb, lepszego pokarmu więźniom, dla opieki nad wdowami i sierotami po zabitych, i t. d. Niewiele instytucyj oddało tyle usług powstaniu, ile to stowarzyszenie. Praca i praca ciężka, abnegacya, posunięta do męczeństwa, poświęcenie bez granic, miłość sprawy i gotowość dla niej na wszystko, oto były cechy robót komitetów damskich, które, podawszy ręce tym, co pracowały na prowincyi, patryotyczną siecią pokryły kraj cały. Podczas, gdy mężczyźni przygotowywali broń, ostrzyli kosy i szable i lali kule, delikatne ręce dziewcząt naszych robiły ładunki, szyły koszule, przyrządzały szarpie i bandaże. W niedziele i święta, gdy kościół nakazuje spoczynek, zbierały się one w różnych miejscach i z gorączkową skwapliwością cięły papier, nasypywały proch do ładunków i wklejały kule. Niejedna już z nich straciła ojca, brata lub narzeczonego w powstaniu, niejedna też smutnie wdychała, lub kryła łzę, która mimowolnie pruszyła jej powiekę, bo się wstydziła pokazać, że obok miłości dla Ojczyzny są jeszcze inne uczucia drogie jej sercu. Głęboko religijne, nie wierzyły, aby powstanie mogło upaść, żeby Bóg opuścił sprawę naszą, aby Najświętsza Dziewica, Królowa Polska, zapomniała o narodzie swoim i każdą kulę żegnały krzyżem świętym, aby broniła naszych, a niosła śmieć wrogom. Takich wzniosłych przykładów poświęcenia nie przedstawia historia żadnego narodu. Gdy powstaniu brakło pieniędzy, środków nie dostawało na zakupno broni, Polki zrzuciły z siebie kosztowności, drogie pamiątki, klejnoty familijne, a nawet ślubne obrączki składały na ołtarz walczącej ojczyzny. Całe oddziały były umontowane przez nie. Znałem jedną, co, nie posiadając żadnego majątku, zebrała ze składek tysiąc złotych na płótno i własną ręką uszyła sześćset koszul dla żołnierzy.

Kobiety podejmowały się najtrudniejszych poruczeń, najniebezpieczniejszych zleceń. Ileż to razy, gdy wszystkie środki komunikacji z Rządem Narodowym były przerwane, kobiety woziły depesze do Warszawy i stamtąd wracały z odpowiedzią, przeszedłszy wszelkie rewizye, doznawszy takich

nieprzyjemności, na których zniesienie nie odważyłaby się żadna kobieta innego narodu. Ile razy kobiety wyplakały życie nieszczęśliwym więźniom! Ile ucierpiały, stojąc po kilka godzin w przedpokoju urzędników, znosząc naigrawania się, szyderstwa i żarty grubjańskie od tych ludzi, którzy często wychodzili do kobiet zaledwo nawpół ubrani. Wszystko, co jest drogie kobiecie, byt jej dzieci, byt drogich jej osób, dobra sława i imię oddawały dla sprawy narodowej. Obrzydliwe, śmierdzące i brudne więzienia były ciągle odwiedzane przez wyznaczone od Komitetu pań osoby, które dzień w dzień, w zimie i latem, musiały czekać pozwolenia oddania więźniom pokarmu lub odzieży. Inne znowu przewoziły broń i ładunki.

Lecz jak wszystko na świecie, tak i tu były ciemne strony. Komitet działał zupełnie niezależnie i według swego uznania używał tych środków, które były w jego rozporządzeniu. Powoli i tam wytworzył się system protekcyjny, pewne oddziały miały wszystkiego do zbytku, podczas gdy w innych bardzo wiele brakowało. Takim protegowanym oddziałem był naprzykład oddział Lelewela (Borelowskiego Marcina). Takie postępowanie nie było pożądané i dla tego Komitet wschodniej Galicyi prosił komisarza Rządu Narodowego, aby rozwiązał stowarzyszenie istniejące, a polecił zawiązanie nowego, któreby było w zależności od Komitetu. Posłano do Pań Stefana Oczosalskiego z tem poleceniem, ale panie oparły się. Wtedy udał się do Stowarzyszenia komisarz M. R. i w imieniu Rządu Narodowego wezwał je do spełnienia tego rozporządzenia. Przed tym rozkazem panie uchylały czoła; dawny Komitet dam rozwiązał się, a powstał nowy, otrzymujący polecenia i wskazówki od Komitetu Galicyi wschodniej i zaczął funkcjonować.

Do tego czasu odnosi się także memoriał Sadyka Bazy (Czajkowskiego) na dwóch arkuszach przesłany do Rz. Nar. W memoriale tym Czajkowski, wychodząc z założenia, że lud polski jest przesiąknięty tradycją szlachecką i wtedy tylko ruszy się, gdy powstaniem kierować będą dawne rody sławne, jak naprzykład Czartoryscy, Sanguszkowie, doradzał, aby na czele Rządu Narodowego stanął jeden z tych panów, bo za bezimiennym i tajemnym rządem lud nie pójdzie. Obiecywał przytem pułki, którymi dowodził, oddać w rozporzą-

dzenie Rządu, lecz żądał znacznych subsydyjów dla ukończenia organizacyi. Komisarz Rządu Narodowego M. R. wysłał z tym memorjałem do Warszawy Patrycego Garczyńskiego, który odwiózł go i wrócił.

Dla osiągnięcia jednostajności pod względem przygotowania powstańców do walki, Różycki polecił mi napisać regulamin dla służby piechoty, jazdy, kosynjerów, prawidła służby na awantpostach, prawa dowódców oddziałów i ich obowiązki, instrukcyę dla oficerów, znajdujących się przy obozach, kodeks karny i rotę przysięgi powstańczej. Regulamina te były bardzo krótkie i zawierały w sobie tylko to, co niezbędnie powinien był wiedzieć każdy żołnierz. W parę godzin można było nauczyć się go na pamięć. Po starannem przejrzeniu regulaminu razem z Różyckim, kazaliśmy wydrukować go i wysłać do oddziałów, jako prawo obowiązujące żołnierzy i oficerów.¹³⁾

Każdy z ośmiu oddziałów miał się składać z 400 ludzi piechoty, 30 saperów, 60 jazdy i 10 żandarmów dla utrzymania porządku w obozie.

W sierpniu 1863 został aresztowany ks. Adam Sapieha. Przy rewizyi w jego pałacu znaleziono w jakiejś książce rachunki wyprawy radziwiłowskiej; nie potrzeba więc było lepszego dowodu udziału ks. Sapiehy w pracach powstańczych i dla tego został uwięziony.*)

Aresztowanie najwybitniejszych osobistości z Komitetu wschodniej Galicyi i komisarza Rządu Narodowego Majkowskiego zrodziło myśl, aby zarząd sprawami rewolucyjnymi w Galicyi przenieść do kryminału i stamtąd kierować pomocą dla powstania. Z projektem tym przybył do Komitetu jeden z członków jego, ale gdy obecny reprezentant Rządu Narodowego M. R. oparł się temu stanowczo, gdyż niepodobna rządzić, mając ręce związane, projekt ten rzucony został w ogień, palący się na kominku.

Po aresztowaniu ks. Adama nastąpiła nowa reorganizacya komitetu, ale było to takie ciężkie ciało, że rozpacz ogarniała tych, którzy mieli z niem do czynienia. Komitet wyznaczał rejony dyslokacyi dla każdego oddziału i władze

*) 18 lutego 1864 książkę uciekł z więzienia.

wojskowe nie mogły mieszać się do tego. Z początku, gdy oddziały były nieliczne, nie było wielkich trudności w ich rozlokowaniu. Gdy jednak ilość ludzi, zaciągających się do powstania zwiększyła się, a chwila wymarszu odkładała się nieustannie z przyczyny niegotowości oddziałów, a ta pochodziła z braku środków pieniężnych, obywatele u których żołnierze byli rozlokowani, zaczęli sarkać na nierówność podziału ciężarów wojennych i odmawiać jadła, pomieszkania i podwód. Komitet, do którego udałem się z prośbą o rozszerzenie dyslokacji, w obec trudności, które przedstawiało przenoszenie ludzi i efektów w inne miejscowości, mając przytem nadzieję prędko wyprawić oddziały do Kongresówki, przyjmował tylko paljatywne środki, łagodził jak mógł, prosił obywateli jeszcze poczekać czas jakiś, ale żadnej radykalnej zmiany nie przedsięwziął; z tąd też pochodziło, że obywatele byli bardzo niezadowoleni z powstańców, a ci z obywateli. W raporcie podp. Adama Bobowskiego do naczelnego wodza Rusi¹⁴⁾ z dnia 10 sierpnia 1863, czytamy: »ogólna siła prawego skrzydła wynosi 365 piechoty i 270 konnicy: mamy 500 karabinów, 500 pik, 140 pałaszy i amunicyi 5.000. Nie wdając się w plany wyjścia Naczelnika, pozwalam zrobić tę tylko uwagę, że tak długie organizowanie oddziału demoralizuje ludzi, co sprawia dezercyę, a przytem pzez tak długie i tak ścieśnione rozlokowanie oddziału zniechęca posiadaczy ziemskich, w tak ważnym dla nas punkcie organizowania się«.

Skargi i nieporozumienia były nieustanne, a nie było możności zadosyćczynienia żądaniom stron obu. Różycki zniecierpliwiony napisał do Rządu długie przedstawienie, prosząc o fundusze na wyprawę i uskarżając się na bezradność Komitetu. Na list ten otrzymał odpowiedź zaledwo 26 Sierpnia, którą w dosłownem brzmieniu powtarzam:¹⁵⁾

Rząd Nar. do Dowódcy Naczeln. Ziem Ruskich Jen. Edm. Różyckiego.

»Trudności jakie napotyka wyprawa na Ruś, spowodowane są głównie brakiem funduszków; aby brak ten zastąpić, dwukrotnie już przeznaczano stosowne sumy, raz 666.666 zł. i gr. 20, których wypłata dziś jest już niemożliwą, drugi raz 300.000 i te z funduszków w potyczce pod Żezynem zabranych niezwłocznie będziesz miał wypłacone sobie.

»Jakkolwiek według zapewnienia kurjera ze Lwowa przybyłego, we dwa tygodnie po odebraniu zasiłku pieniężnego, wyprawa na Ruś mogłaby stanąć w gotowości do wymarszu, jakkolwiek pośpiech jest tu bardzo pożądanym, gdyż dłuższe utrzymanie niewolniczego spokoju na Rusi, groziłoby powstaniu usunięciem go z właściwych podstaw, to jednak Rząd zwraca uwagę Twą Jenerale na tę okoliczność, że termin wyprawy zastosowany być winien do chwili, w której działania wojenne województwa Podlaskiego i Lubelskiego będą mogły stanowić istotną dywersję dla operacji własnego Twego korpusu. W tym celu porozumienie się Twe z jen. Krukiem i skombinowanie wyprawy na Ruś z nowoprojektowanymi działaniami w województwie podlaskim i lubelskim jest niezbędnym warunkiem pomyślnego o ile można skutku powstania na Rusi.

»Komitet lwowski, którego skład ostatnimi aresztowaniami zmieniony, oddawna już widokom Rządu nie odpowiadał, zreorganizowany będzie na zasadach, zapewniających pożyteczny kierunek prac przygotowawczych dla powstania w zaborze moskiewskim. Zbytecznym byłoby dodawać, że żadne koteryjne względy przewodniczyć nie będą przy ustanawianiu nowego komitetu. Ludzie z wiarą w powstanie, z poczuciem obowiązku, oddani wyłącznie pracy powstańczej, wolni od urojonych pretensyj do reprezentowania prowincyi, mają być wezwani do składu nowego Komitetu, a cała reorganizacya powierzona jest człowiekowi, na którego zdolnościach i charakterze politycznym Rząd w zupełności polega. Zmiany te wkrótce dokonane zostaną. Rząd mniema, że Naczelnny Wódz ziem Ruskich nie będzie miał już powodów do uskarzania się na władzę naczelną prowincjonalną i że fakta tak gorszącej natury, jakie podajesz w odezwie Twej do Rządu, nigdy się nie powtórza.

»Przykre tu wrażenie sprawił ustęp Twej odezwę Jenerale, w którym zapytujesz Rząd, czy pragnie szczerze przyprowadzić do skutku wyprawę na Ruś? Zapytanie to każe domyślać się, że pod tym względem doznajesz pewnych wątpliwości. Spowodowało je niewłaściwe, za urzędowe uważane oświadczenie pełnomocnika, obywatela J. G. (Józefa Grabowskiego).

»Pełnomocnik nie mając żadnej władzy na Rusi, mógł tylko w osobistym charakterze wiadomą opinię wyrazić,

zdanie więc jego nie jest zdaniem Rządu, a Rząd sam dotychczas żadnym jeszcze aktem nie dał powodu do powątpiewania w szczerść jego zamiarów względem wypraw na Ruś przedsięwziętych.

»Wiemy wszyscy i Rząd wie, że nie nad Wisłą i Narwią ale nad Dnieprem i Dźwiną rozstrzygnie się przyszłość Polski. Czynione dotychczas usiłowania dla rozbudzenia tamtych okolic w niwecz wprawdzie obrócone zostały, ale to bynajmniej nie stanowi, aby powtórzonemi być nie miały. Owszem doznane zawody skłaniając władzę narodową do tym usilniejszych starań, doradzają użycie tym potężniejszych środków, ale zarazem nakazują baczną przeczność i wytwarzanie takich warunków powstania, któreby utrzymanie się jego przez czas dłuższy zapewnić mogły.

»Dotychczas niczego nie zaniedbywano dla zatknięcia chorągwi powstańczej na Rusi; ze szczipłych środków jednej tylko prowincyi Polski przeznaczono znaczne fundusze na formowanie oddziałów; okoliczności, w jakich się Ruś znajduje, nie pozwoliły przygotowań wojskowych spotęgować do należytego stopnia, a ludzie przychodząc mimowoli w pomoc przeciwnym nam żywiołom, częstokroć z trudem poczynione przygotowania obracali w niwecz. Smutne to doświadczenie, ale doświadczenie tego rodzaju, obok nieprzeparłej niczem konieczności działania w oznaczonym kierunku może tylko na umysły osobistości do tej trudnej pracy powołanych szkodliwy wpływ wywierać. Władza zaś narodowa od wszelkich tego rodzaju wpływów wolną być musi i żadnemi przeszkodami z raz wytkniętej drogi sprowadzić się nie da. Obowiązkiem jej jest kierowanie powstaniem Polski, a więc wszystkich jej prowincyj.

»Jenerale, Rząd ma prawo mniemać, że powyższe objaśnienie dostatecznie rozprószy wszelkie wątpliwości, jakiebyś w umyśle swoim dotąd mógł jeszcze zatrzymać. Zaklinamy Cię, abyś nie zważał na żadne pozory, abyś niedołęztwu lub niechęciom miejscowym nie nadawał innego znaczenia jak to, które mają rzeczywiście, abyś nadal zachował pełną ufność do władzy, bo wtedy tylko wspólna praca nasza przynieść będzie mogła Polsce istotny pożytek.

»Jenerał Traugut, pełnomocnik wojskowy na Galicyą wschodnią i zachodnią, otrzymał polecenie uregulowania

stosunków wojskowych przygotowawczych i wprowadzenia zmian, jakieby uznał za stosowne. Jenerał Traugut porozumie się z Toba, Jenerale, w przedmiocie formacji oddziałów, na Ruś przeznaczonych i postawienia ich na warunkach, odpowiadających potrzebom prowincyj ruskich. Zmiany w administracji cywilnej w duchu wymagań wojskowych wprowadzone będą. Jednem słowem, Rząd pragnie, aby wysyłanie oddziałów na Ruś doznawało wszelkich ułatwień i pomocy ze strony władz, których jedyna racya bytu zawiera się właśnie w przygotowaniach wojskowej natury. M. P.

Rzeczywiście wkrótce przyjechał jen. Traugut, rozglądnął się w stosunkach miejscowych, przekonał że pod względem wojskowej organizacyi robiono, co tylko w danych okolicznościach zrobić można, widział, z jaką trudnością prace w tym kierunku postępują i porozumiawszy się co do dalszych czynności, odjechał.

W początku sierpnia, jak już wspominałem wyżej, Różycki udał się do pułku Wołyńskiego, zostawiając mi organizację oddziałów 3, 4, 5, 6, 7 i 8-go, a biorąc na siebie organizację 1 i 2-go oddziału i kawaleryi swojej. Aby praca organizacyjna mogła iść raźniej, komisarz Rządu Narodowego na wschodnią Galicyę Dr. Izydor Kopernicki zaproponował Komitetowi, abym mógł przychodzić na jego posiedzenia. Komitet jednak odmówił temu żądaniu, oświadczając, że członkowie jego obowiązali się wzajemnie do tajemnicy pod względem czynności Komitetu i zaproponowali, żebym codziennie uwiadamiał o wszystkich potrzebach wojskowych jednego z członków Komitetu — Karola Hubickiego, który był referentem spraw tych w Komitecie. Dla mnie osobiście było nawet dogodniej mieć do czynienia z jedną tylko osobą. Zgodziłem się więc na to i prace moje codzienne rozdzieliłem w następujący sposób: o godzinie 9 z rana szedłem do Hubickiego, aby mu zakomunikować o potrzebach wojskowych, dowiedzieć się, co się stało z poprzednimi żądaniami, a także i omówić, jak usunąć niedogodności kwaterunku, lub nadużycia żołnierzy narodowych, albo też obywateli, u których ci byli rozlokowani. O 10 z rana zbierali się w jakimkolwiek domu dowódcy oddziałów lub ich zastępcy dla otrzymania rozkazów, wskazówek, rad i komunikacyj, a także dla zdania raportu o stanie oddziałów i o po-

trzebach ich pod względem broni, ubioru i rozlokowania. Co można było, załatwiano się natychmiast, a co należało do Komitetu, zapisywałem, aby na drugi dzień zakomunikować Hubickiemu. Od godziny pół do dwunastej do pierwszej byłem u komisarza Rządu Narodowego, aby go zawiadomić o potrzebach oddziałów, gdyż przyjmując udział w naradach Komitetu, mógł poprzeć żądania moje. Tu także załatwiano się zakupno broni, wyszukiwanie ludzi dla wysyłek do Warszawy, lub na prowincję, wydawano rozporządzenia pod względem policji wewnętrznej, komunikowano doniesienia szpiegów naszych i policji narodowej, czytano rządowe tajne rozporządzenia i doniesienia szpiegów policji austriackiej, zapadały uchwały, jak przeszkodzić szkodliwym skutkom tych rozporządzeń, jak skarcić winowajców za różne przekroczenia, wysyłały się raporty do Rządu Narodowego i czytało się jego polecenia, wydawano asygnacje do kasy na potrzeby oddziałów, za różne liwerunki, na wypłatę żołdu żołnierzom i t. d. Od godziny 2 do 4 po południu zwykle pracowałem w domu, gdyż w tym właśnie czasie wszyscy, mający jakibądź interes osobisty lub dotyczący sprawy publicznej, przychodzili do mnie; wtedy to przygotowywałem rozkazy dzienne dla oddziałów, instrukcje, raporty do naczelnego wodza o postępie robót i o stosunku do władz cywilnych, rozpatrywałem dokumenta ludzi, chcących wstąpić do oddziałów, przydziałałem ochotników do różnych broni, rysowałem mapy, robiłem obliczenia marszów i t. d. Od godziny 4 do pół do szóstej w jakimkolwiek miejscu miałem drugą naradę z dowódcami oddziałów; rozpatrywaliśmy razem przysłane z Komisji ekspedycyjnej ubiory, ładownice, kociołki, obuwie i t. d. O godzinie pół do szóstej szedłem do komisarza pełnomocnego na posiedzenie, które zwykle trwało do godziny 8 wieczorem. Tu roztrząsano wypadki dnia, przyjmowano uchwały i przygotowywano dalsze roboty. Od godziny 8—9 pracowałem w domu, przyjmowałem jeszcze tych, co mieli potrzebę widzieć się ze mną, a o godzinie 9 udawałem się do jednej z pań Komitetu damskiego, która wskazywała mi dom, gdzie mogłem znaleźć nocleg, gdyż od czasu, jak zostałem zastępcą naczelnego wodza we Lwowie, policja zaczęła mnie poszukiwać; musiałem więc codziennie w innym miejscu nocować.

W oddziałach obecnie organizowanych Różycki pokasował sztaby, jako niepotrzebne, pokasował rangi (był dowódca oddziału, dowódca bataljonu, kompanii i t. d., a nie pułkownik, kapitan, porucznik). Gospodarstwem w oddziale zawiadowała rada gospodarcza z wyboru. Racya dzienna żołnierza wynosiła ¹⁶⁾: $\frac{1}{2}$ f. mięsa ugotowanego, $\frac{1}{2}$ bochenka chleba, $\frac{1}{2}$ kwarty mąki lub kwarta krup, słoniny i sera 15 grm. Płacy podołicer otrzymywał 1 zł., oficer dwa na 6 dni. Każdy żołnierz przed wyjściem w pole miał mieć na sobie żywności na 5 dni, a co trzeci człowiek kociołek do gotowania jedzenia. ¹⁷⁾ Nakazano często odczytywać żołnierzom kodeks karny, napisany na rozkaz Różyckiego przezemnie, dla wprowadzenia w oddziałach jak największej karności i posłuszeństwa. ¹⁸⁾

Pracy było bardzo wiele, a szczególnie chodzenia, bo na jazdę własnych pieniędzy nie starczyło, a z narodowych na swoje potrzeby nie chciałem brać ani grosza. Częste rewizye zmuszały do ciągłych zmian miejsca posiedzeń, a dla odszukania kogokolwiek bądź z organizacyi, potrzeba było nieraz obiedz pół miasta. Nogi miałem spuchnięte od chodzenia; nie brałem jednak żadnego pomocnika, obawiając się gadulstwa, tej naszej tak szkodliwej, zwłaszcza w czasie powstania, wady narodowej.

Ponieważ doszło do wiadomości komisarza, że Rząd austr. chciałby wywołać we Lwowie lub na prowincyi jakąś burdę, któraby upozorowała zastosowanie surowszego postępowania względem powstania, wezwano naczelników obwodowych, aby dołożyli wszelkich starań dla uniknienia zajść między powstańcami a wojskiem lub władzami, a naczelnik miasta Lwowa kilkakrotnie odezwaniami drukowanemi wzywał obywateli, aby zachowywali się spokojnie, bez względu na jakiegokolwiek lub skądgokolwiek pochodzące poduszczanie i nie brali udziału w żadnym ruchu ulicznym, bo takie ruchy są dziełem wrogów naszych. »Wasza, mówiły odezwy, pełna powagi spokojność, niech dowodzi świętości sprawy, której wszyscy służymy«. ¹⁹⁾

Po odjeździe Różyckiego w Tarnopolskie, stanawszy na organizatorskiem polu, na którym niemało w życiu pracowałem i miałem wiele doświadczenia, z wiarą w siebie i z nadzieją taktownego przeprowadzenia sprawy, postanowiłem

zbliżyć się do Rusinów, będąc przekonany, że tylko brak taktu i brak miłości bratniej utrudniał dotychczas porozumienie się z nimi. Chciałem za jakąbądź cenę uzyskać poparcie powstania przez młodzież ruską, chciałem utworzyć oddział ruski, któryby wkroczył w lubelskie i dał się poznać jako dzieci Rusi, jako wyznawcy jednego obrządku z ludem, będąc przekonany, że od chwili gdy krew Polaków i Rusinów poleje się jednym strumieniem, gdy łyzy Polek połączą się z łzami Rusinek, gdy ciężką żałobą okryta Polka spotka się ze zbożałą matką Rusinką, ustąpią nieporozumienia, wyciągną się ręce do uścisku, a krew dzieci i łyzy matek zbliżą ojców i połączą ich razem w imię świętych chwil pięknej przeszłości, niezgodą nieskalanych i w imię przyszłości, opartej na wspólnej swobodzie, wolności i równoprawnieniu.

W tym celu za pomocą Żukowskiego i Rolbieckiego wszedłem w stosunek z młodzieżą czysto ruską, która przysłała do mnie swych reprezentantów dla porozumienia się; było ich pięciu. Niestety, po tylu latach imiona ich wyszły z mej pamięci.

Przedstawiłem im, że wezwałem ich celem dowiedzenia się, czyby młodzież ruska nie chciała wziąć udziału w powstaniu naszym i jakieby w tym razie postawiła warunki.

— W zasadzie, rzekł jeden z nich, najstarszy, zgadzamy się na to, bo jak wy, tak i my uważamy Moskali za wrogów Słowiańszczyzny, lecz nimby do formacyi takiego oddziału przyszło, musielibyśmy mieć zagwarantowane dwie rzeczy: jedną odnoszącą się do chwili obecnej, drugą pro futuro. Co do pierwszej, oddział ma się składać z samych tylko Rusinów obrządku wschodniego, oficerowie mają być Rusinami z wyboru żołnierzy, ubranie oddziału ma być ludowe, według formy, którą my sami podamy, komenda ma być ruska, a dowódzca Rusinem czystej krwi, za zgodą naszą obranym.

— Na wszystko to przystaję z największą chęcią.

— Co do przyszłości, żądamy naprzód pisemnej obietnicy Rządu Narodowego, że pozwoli swobodnie rozwijać się językowi i narodowości naszej. Następnie, aby ilość szkół na Rusi odpowiadała potrzebom ludności i żeby w szkołach tych uczono po rusku.

— I na to wszystko się zgadzam i obiecuję w najkrótszym czasie wyjednać u Rządu Narodowego pisemne gwarancje.

-- Dalej, rzekł reprezentant młodzieży ruskiej, ponieważ my, jako naród, nie mamy szlachty, bo cała szlachta pochodząca z krwi naszej spolszczała, a dla zorganizowania zdrowego społeczeństwa warstwa ta jest potrzebna, żądamy, aby Rząd Narodowy obiecał nam, że zmusi szlachtę, która mieszka na Rusi, do posyłania dzieci swoich do szkół ruskich i do prowadzenia ich w ten sposób, żeby z nich mogła wytworzyć się z czasem szlachta ruska, tak wykształcona, jak polska, a jednak złączona organicznie i wszelkimi sympatjami z narodem naszym, a nie waszym.

— Moi panowie, tego obiecywać nie może żaden Rząd uczciwy i ceniący swe słowo, bo narzucanie religii lub narodowości jest największą tyranią, jaką znam na świecie. Rozwijajcie narodowość waszą jak najstaranniej, temu nikt tamy kłaść nie będzie, ale rozporządzać losem i wychowaniem czyichkolwiek bądź dzieci — na to Rząd Narodowy żadną miarą zgodzićby się nie mógł, bo i przeprowadzić tego w praktyce z pewnością by nie potrafił.

Na tym punkcie ugrzęzły pertraktacje, bo Rusini odstąpić od niego nie chcieli, a ja nie mogłem zrobić nawet propozycji podobnej Rządowi Narodowemu; wierzyłem bowiem święcie w uczciwość ludzi w nim zasiadających.

W początkach września Różycki, otrzymawszy wiadomość o przyjeździe ojca do kraju, a także dowiedziawszy się, że stosunki między komisarzem Izydorem Kopernickim, a Komitetem zaczynają się zaostrzać, obiecał żołnierzom swoim przysłać ojca swego na dowódcę, a sam wrócił do Lwowa. Z jego przybyciem ubyło mi nieco pracy, bo dopełnialiśmy się wzajemnie, a oprócz tego otrzymałem od Różyckiego młodego pomocnika M., pełnego poświęcenia i skromności, na którego włożyłem obowiązek uporządkowania wszystkich papierów, kwitów, przechowywanie ich w miejscu bezpiecznym i wyszukiwanie potrzebnych mi ludzi.

W tym samym czasie z zachodniej Galicyi wychodziła wyprawa Waligórskiego, generała z otoczenia byłego Dyktatora. Dla porozumienia się z Różyckim co do wspólnego działania Waligórski przybył do Lwowa. Od pierw-

1002. 17

V | szego zetknięcia zraził mnie ten człowiek do siebie. Kłął ciągle oorganizacyę i Rząd Narodowy i bez ceremonii oświadczył nam, że jak tylko wygra jedną bitwę z Moskalami, ogłosi się natychmiast Dyktatorem. Różycki prosił go, żeby kierunek działania zwrócił ku Lubelskiemu i oświadczył, że go wesprze natychmiast wkroczeniem uorganizowanych oddziałów, bo w tym czasie Lubelskie bardzo potrzebowało pomocy. Jenerał Kruk (Heidenreich), po szczęśliwej potyczce pod Żyżynem, został prawie kompletnie zniesiony pod Fajstławicami, a Krysiński i Kozłowski wprawdzie jeszcze się kręcili po kraju, lecz musieli nieustannie kryć się w lasach, nie mając odpowiednich sił do zmierzenia się z nieprzyjacielem. Waligórskiemu nie udało się ogłosić Dyktatorem, bo po przekroczeniu granicy natychmiast był rozбитý pod Szklarami i wyparty do Galicyi. Naczelnikowi obwodu Przemyskiego Różycki rozkazał, aby jaką ma tylko broń, amunicyę i efekta wydał na uzbrojenie rozprószonych i wysłał ich ponownie do Królestwa.

V | Zostałem mianowany Prezesem komisyi, mającej sádzić czynności Waligórskiego. Jenerał całą winę niepowodzenia wyprawy zwał na szefa sztabu swego pułk. Tomasza Winnickiego, obwiniając go o złe rozporządzenie, tymczasem z przesłuchania świadkow okazało się, że Waligórski sam dawał rozporządzenia i do tego stopnia niestosowne, że wyprawę od pierwszej chwili można było uważać za zwichniętą. Akt oskarżenia jenerała o nieudolność odesłałem do Warszawy, a wkrótce otrzymałem odpowiedź od Rządu, że podziela zapatrywanie moje, gdyż wiadomości otrzymane z pola bitwy stanowczo przekonywają, że Waligórski nie umiał stanąć na wysokości swego zadania.

V | We wrześniu także przysła propozycya od Garibaldiego, który ofiarował się utworzyć oddział ochotników włoskich i pod dowództwem Menottiego, starszego syna swego, wysadzić w okolicach Odessy, skąd kierując się ku północy, miał wejść w komunikacyę z oddziałami Różyckiego, które miały wkroczyć na Ruś. Na uskutecznienie tej wyprawy żądał tylko 50 tysięcy franków. Po naradzie z komisarzem i ze mną, Różycki odpowiedział, że plan ten uważa za zupełnie niewykonalny, bo nimby się Włosi przedarli przez stepy południowe, kawalerya moskiewska w pieńby ich wycięła. Natomiast ofiarował mu wszelką pomoc pieniężną, jeżeli ze-

chce oddział ochotników skierować na brzegi Żmudzi, gdzie pojawienie się Włochów mogło wywołać spotęgowanie narodowego powstania. Garibaldi jednak nie przystał na to; cała więc propozycja skończyła się na dobrych chęciach.

VI.

Rozwiązanie Komitetu wschodniej Galicji.

Organizacja oddziałów posuwała się żółtym krokiem, Komitet nieustannie zwlekał z ukończeniem tego, co było potrzebnem do postawienia na nogi wyprawy. Komisarz Rządu Narodowego, Izydor Kopernicki, mocno naciskany przez nas, zdobył się na krok energiczny i d. 26 Września posłał do Komitetu pismo, którem w imieniu Rządu Narodowego rozwiązywał Komitet. Ponieważ Komitet odpowiedział, że się nie rozwiąże, Kopernicki przybył do Różyckiego i w jego ręce złożył władzę swoją, oświadczając, że w obec nieposłuszeństwa Komitetu władzy Rządu Narodowego nie może dłużej pełnić obowiązku swego.

Po naradzie, w której i ja udział brałem, d. 30 września jen. Różycki wystosował pismo do Komitetu następującej treści: ²⁰⁾

1. Były Komitet wschodniej Galicji złoży natychmiast pieczęć swoją w moje ręce, a zatem, nie ma prawa w swoim imieniu wydawać żadnych rozporządzeń.
2. Członkowie byłego Komitetu Galicji wschodniej zdadzą dnia jutrzejszego służbę, rachunki i wszelkie objaśnienia o rozpoczętych robotach i wydanych w tym celu rozporządzeniach osobom, przezemnie do tego przeznaczonym.
3. Komisya ekspedycyjna przechodzi zupełnie pod rozporządzenie władzy wojskowej.
4. Wszyscy naczelnicy obwodów i inni urzędnicy organizacyi prowincjonalnej obowiązani są bezwarunkowo spełniać rozkazy władzy wojskowej.

5. Od ogłoszenia niniejszego aż do nowego postanowienia wszystkie rozkazy będą wychodziły pod moją pieczęcią.

Jednocześnie wysłano następujący rozkaz do komisji ekspedycyjnej: ⁽²¹⁾

»Przejawszy władzę od Komisarza Rządu Narodowego do pewnego czasu w ręce swoje, w imieniu Rządu Narodowego nakazuję:

1. Komisya ekspedycyjna przechodzi pod rozporządzenie władzy wojennej.

2. Członkowie jej pełnią nadal obowiązki swoje jak poprzednio, otrzymując wszelkie rozkazy od Organizatora wschodniej Galicyi, a zarazem szefa sztabu wojsk Ziem Ruskich Pułkownika Strusia.

3. Pieczęć byłego komitetu Galicyi wschodniej zastąpi pieczęć naczelnego Wodza Ziem Ruskich

Jenerał E. Różycki.

Z pismem do Komitetu udałem się osobiście do hotelu Żorża, pod nr 44, dokąd zostali zaproszeni wszyscy członkowie. Po przybyciu oświadczyłem, że przynoszę im pismo jenerała, które nakazuje Komitetowi rozwiązać się i zdać pieczęć, pozostałe rekwizyta i fundusze w ręce moje.

Po przeczytaniu odezwy jenerała, członkowie przez czas pewien stali zdumieni, nie spodziewali się bowiem niczego podobnego. Nareszcie Hr. Golejowski odezwał się: A jeżeli my nie usłuchamy rozkazu?

— W takim razie, panowie, znajdują się środki przymusowe, odrzekłem.

— A jakież to? zapytał uśmiechając się, chcielibyśmy wiedzieć.

— Jeżeli do 24 godzin rozkaz nie zostanie spełniony, jenerał ogłosi drugi rozkaz, który jest już przygotowany, że w obec oporu Komitetu rozporządzeniem Rządu Narodowego, nie mogąc doprowadzić wyprawy do końca, rozpoczyna oddziały, a całą winę tego smutnego kroku składa na Komitet. Jakie będą z tego następstwa, trudno przewidzieć, lecz bardzo wątpię, żeby były przyjemne dla panów, i mnie się zdaje, że zbyt wielką odpowiedzialność wzięlibyście na siebie.

Komitetowi, porozumiawszy się między sobą, prosili, by zostawić im pismo jenerała, aby mogli naradzić się, jak mają postąpić.

»Zważywszy tak gwałtowny i niczem nieusprawiedliwiony nacisk na powziąć się mające postanowienie członków Komitetu Galicyi Wschodniej,

»Zważywszy, że za akt tak wielkiej doniosłości, jakimby było rozwiązanie oddziałów powstańczych, Członkowie Komitetu nie mogą przyjąć na siebie odpowiedzialności, jakąby na nich w danym razie zwalić usiłowano,

»Zważywszy, że opozycja do tej ostateczności doprowadzona, byłaby smutnym, dla wrogów naszych pożądanym dowodem niezgody wewnętrznej i początkiem wojny domowej,

»Zważywszy, że jak każda inna władza narodowa, mająca na celu tylko wyswobodzenie Ojczyzny, Członkowie Komitetu uniknąć pragną wszystkiego, coby nas osłabić, a tem samem sprawie szkodzić mogło,

„Członkowie Komitetu, uważając w tym sposobie przeprowadzania rozporządzeń rządowych, pogwałcenie wolności i sumienia Obywateli, którzy z wszelkiem poświęceniem rzeczy publicznej służyć pragną,

stanowią co następuje:

1-o „Pieczęć oddaje się wraz z tem pismem Jen. Różyckiemu.

2-o Rachunki, służba, wszelkie objaśnienia oddane będą natychmiast osobie przez Jenerała wydelegowanej i wszelkie czynności Członków Komitetu z dniem dzisiejszym ustają.

3-o Uwiadomienie, że komisya ekspedycyjna przechodzi zupełnie pod rozporządzenie władzy wojskowej i że wszyscy obwodowi naczelnicy i inni urzędnicy organizacyi prowincjonalnej obowiązują się bezwarunkowo spełniać rozkazy władzy wojskowej, Członkowie komitetu przyjmują do wiadomości.

„Postanowienie aktu niniejszego Członkowie Komitetu Galicyi Wschodniej podają równocześnie do wiadomości kraju.

„Członkowie rozwiązanego Komitetu Galicyi wschodniej upraszają, żeby akt niniejszy w całej osnowie przesłany został Rządowi Narodowemu. Lwów, 1 Paźdz. 1863. M. P.

Stanowcze wystąpienie w obec Komitetu i komisyi ekspedycyjnej podniosło mnie w oczach wszystkich. Od tej chwili mowy już nawet nie było o dymisyi członków ko-

misyi. Posiedzenia odbywały się z regularnością największą a członkowie rozwiązanego Komitetu, chociaż bardzo na nas rozgniewani, przychodzili do mego mieszkania, ofiarując swe usługi i prosząc, aby ich użyć do prac organizacyjnych. Było to bardzo pocziwie, pięknie i patryotycznie z ich strony.

W dni kilka potem zjechali się naczelnicy obwodowi, ale już nic zaradzić nie mogli w obec spełnionego faktu. Dobrze się stało, żeśmy pośpieszyli z tym galicyjskim 18 Brumera, bo usposobienie obwodowych, przynajmniej w części było takie, że mogli uprawnić Komitet do oporu. Jeden z nich, obwodowy brzeżański, p. Jakubowicz, tak się oburzył, że gdzie mógł, zaczął szkodzić organizacyi wojskowej, a żonie swojej, najzaciejszej kobiecie, z całej duszy oddanej sprawie i niezmiernie czynnej w damskim Komitecie, rozkazał wystąpić ze stowarzyszenia.

Dnia 20 września z Warszawy nadszedł rozkaz²³⁾ Rządu Narodowego, aby uwolnić obywatela Kurzynę z więzienia lwowskiego, gdzie był zamknięty. Rozkaz został spełniony natychmiast i Kurzyna swobodny wyjechał za granicę dnia 25 września. Oswobodzenie jego kosztowało 200 złr.

Od chwili objęcia władzy cywilnej w ręce wojskowe prace organizacyjne posuwać się zaczęły szybko. Zamiast dawnych długich listów z rozkazami, posyłałem małe kartki z dodatkiem »pod osobistą odpowiedzialnością« i z pieczętą naczelnego wodza, lub z podpisem »Pułkownik Struś«. Kartki te z początku miały cudowną siłę, a posłuch był nadzwyczajny. Nawet tacy, od których nie można było żadną miarą ściągnąć podatku narodowego, otrzymawszy taką kartkę z moim podpisem, płacili natychmiast, strach bowiem jak powiadają ma duże oczy. Najważniejszym następstwem przewrotu był regularniejszy wpływ pieniędzy do kasy narodowej. Po kraju rozeszła się wieść, że wojskowość nie myśli żartować i będzie przeprowadzać swe zamiary z największą energią, a winnych oporu lub nienależytego spełnienia pociągnie do odpowiedzialności przed sądy narodowe rewolucyjne.

Lecz posłuch wywołany strachem nie mógł trwać długo. Bardzo prędko przekonano się, że nie posiadamy żadnej siły egzekucyjnej w kraju dla zmuszenia do posłuszeństwa, bo do środków rewolucyjnych uciekać się było niepodobieństwem i mogło więcej zaszkodzić, niż pomódz sprawie.

Wszystko więc powoli zaczęło wracać do dawnego porządku. Wygranem jednak było przecież to, że przez miesiąc cały posłuch był bardzo wielki, czynność energiczna, a cztery oddziały IV, V, VI i VII stanęły do wymarszu w zupełnej gotowości.

Pamiętam, że gdy ostatni transport efektów został wysłany na granicę, Oczosalski, dyrektor komisji ekspedycyjnej, przyszedł do mnie, prosząc, aby żydowi, który tak zrecznie przewiózł wszystkie rzeczy na wyznaczone przez nas punkta, dać w podarunku złoty łańcuszek, który go więcej przywiąże do naszej sprawy, aniżeli zapłata. Zezwoliłem. Żyd był tak uszczęśliwiony z tego, jak on nazywał podarunku od »Rządu Narodowego«, że prosił, aby mu pozwolono przewieźć jeszcze cobyż bardzo trudnego na granicę, że on to spełni, nie żądając żadnej zapłaty. I rzeczywiście przewiózł 40 tysięcy ładunków dla oddziałów, bijących się w Lubelskiem, a przewóz ładunków w owym czasie był jedną z najtrudniejszych rzeczy i kosztował bardzo drogo.

VII.

Wyprawa generała Kruka.

Sprawy nasze w Lubelskiem w miesiącu wrześniu bardzo źle stały. Oddział generała Kruka, jak już powiedziałem wyżej, został rozproszony, a on sam przybył do Galicyi, prosząc o jak najprędszą pomoc. Z wziętych u nieprzyjaciela pod Żyżnem 150 tys. rubli, przysłano do rozporządzenia Różyckiego 50 tys. rubli, których użyto na ukończenie organizacji IV, V, VI i VII oddziału.

Mając zamiar wkroczyć na Ruś, Różycki postanowił wzmocnić powstanie w Lubelskiem, oddając te cztery oddziały pod dowództwo jen. Kruka (Heidenreicha). 11. Października dowódcy tych oddziałów zostali wezwani do Lwowa i przedstawieni przez Różyckiego nowemu głównodowodzącemu. Pułk wołyński i trzy pierwsze oddziały piechoty przeznaczono do wyprawy na Ruś. Na szefa sztabu generałowi Krukowi Różycki dał pułk. Rudnickiego (Sawę). Kruk, przybywszy na granicę północną w obwodzie żółkiewskim, a rozpatrzywszy się w rozkładzie sił moskiewskich, zebrał na radę dowódców i zdecydował się posłać IV, VI i VII oddział na Wołyń, żeby stamtąd wkroczyć w Lubelskie, V zaś oddział, idąc nad granicą Lubelskiego, miał potem połączyć się z nimi. Powodem przyjęcia tego planu była ta okoliczność, że na Wołyniu było mało sił moskiewskich, podczas gdy Lubelskie było obsadzone bardzo znacznymi siłami.

Dzięki zdumiewającej energii i zręczności naczelników obwodowych, pp. Wodzickiego Kazimierza i Stanisława Polanowskiego, w nocy z 29 na 30 Października, V, VI i VII

oddział, t. j. 1200 ludzi, ze Złoczowskiego, Brzeżańskiego i z południowych części Żółkiewskiego, pomimo snujących się we wszystkich kierunkach patroli wojsk austriackich na furmankach przewieziono na granicę.

Oddział Sienkiewicza, złożony z 360 piechoty i 60 kawaleryi, był tak źle i nieopatrznie prowadzony, że w czasie marszu ku granicy dowódzca zgubił gdzieś całą kompanię piechoty i kawaleryę, które nie utrzymując należyte związku z innymi częściami, idącymi na przód, oddzieliły się w nocy i poszły inną drogą. Na dobitkę nieszczęścia, przeprowadzający oddział, obywatel Nietrebski, dzielny człowiek, jedyny syn u matki, w skutek dziecinnie śmiesznych rozporządzeń Sienkiewicza, został zabity na awantpostach, które Sienkiewicz rozstawił w nocy, w Galicyi!.. Dowiedziawszy się o nieporządkach w oddziale V, Kruk przybył natychmiast i znalazłszy oddział nad brzegiem Bugu, nakazał przeprowadzić go przez rzekę. Sienkiewicz poruczył to oficerom swoim, a sam położył się spać na wózku. Kruk, obaczywszy to, zganił ostro takie postępowanie, nieporządek w marszu i zabicie Nietrebskiego. Na co mu Sienkiewicz w obec oddziału odpowiedział:

— My jesteśmy ochotnikami i w służbie ojczyzny, a nie żołdatami moskiewskimi; każdy z nas czuje potrzebę dyscypliny, lecz nie zniosę przed frontem żadnych wyrzutów, które mi ubliżają.

— Milczeń, zawołał generał Kruk, a Rudnicki, będący przy nim, dodał: »my was pałką nauczymy subordynacyi«, (tak twierdził przynajmniej Sienkiewicz przed sądem). Adjutant Sienkiewicza Gerlicz i oficer Zagórski wyskoczyli naprzód, wyciągnęli pistolety z olster i chcieli zabić Kruka, obsypując go przekleństwami i złorzeczeniem. Kruk wspiął konia ostrogami i odjechał, lecz widząc burzenie się żołnierzy, których najwięcej podjudzał major Bednarczyk, postanowił zrzec się dowództwa nad wyprawą, oddając wszystkie oddziały pod komendę pułkownika Komorowskiego, któremu dodał szefa sztabu swego Rudnickiego, najdokładniej wtajemniczonego we wszystkie jego plany. Przedtem jednak posłał rozkaz Sienkiewiczowi, aby aresztował Gerlicza i Zagórskiego, jako głównych winowajców rokoszu. Sienkiewicz rozkazu nie spełnił.

Po odjeździe Kruka zebrały się w lesie połączone pod Komorowskim oddziały. Tymczasem zaszły nowe dwa niefortunne wypadki. Dowódca IV oddziału Aladar (właściwie Pallfi), obaczywszy kilku austriackich żołnierzy niedaleko obozowiska oddziału swego, tak się przeląkł, iż uciekł, a oddział, pozostawszy bez dowództwa, rozpierzchnął się. W tymże czasie Rochebrun, rozgniewany na kilku powstańców swego oddziału, za to, że mu wyprawili figla i zjedli konserwy, sprowadzone z Francji, podał się do dymisyi, oddając dowództwo oddziału swego Zapałowiczowi.

Wyprawa jednak liczyła więcej niż 700 ludzi piechoty i 180 kawaleryi. Komorowski z Rudnickim wyruszyli w nocy i stanęli nad rankiem około wsi Skomorochy, gdzie dano wojsku odpoczynek. W czasie odpoczynku przybył generał Kruk i zażądał, aby mu dano eskortę kawaleryi z oddziału Sienkiewicza, mówiąc, że z nią wkroczy w Lubelskie i przygotowuje wszystko na przyjęcie oddziałów Komorowskiego. Sienkiewicz odmówił mu kawaleryi swojej.

Rudnicki, przydany Komorowskiemu, nie chcąc narażać swej skóry, pod pretekstem, że nie otrzymał żadnego rozkazu od Różyckiego, porzucił wyprawę i odjechał do Lwowa, zostawiając Komorowskiego w tak krytycznej chwili własnemu jego przemyślowi.

Nad samą granicą rozłożono obóz dla dania ludziom odpoczynku, ale ponieważ austriackie wojsko nadchodziło, a spotkania z niem wszędzie unikano, potrzeba było puścić się w dalszą drogę. Czas był dżdżysty; idąc więc pomału, pod wieczór oddziały doszły do Żdżar i stanęły obozem.

Nazajutrz 1 Listopada 1863 r. wyprawa ruszyła lasami ku Poryckowi. Oddział Sienkiewicza, jako najmniej pewny, a najwięcej zdezorganizowany, szedł w ariergardzie. Moskale ustąpili z miasteczka. Zajawszy Poryck i zabrawszy konie ze stajni Hr. Czackiej, Komorowski nie wiedział, co począć dalej, bo żaden plan mu do głowy nie przychodził. Fałszywe wieści mówiły, że Moskale w znacznych siłach ściągają się z Uściługa i Włodzimierza i z artylerją dążą na spotkanie oddziału polskiego. Uwierzywszy tym wieściom i widząc mocne zmęczenie ludzi, zebrał radę wojenną, która zdecydowała odwrót do Galicyi, »żeby nie narażać takiego pięknego oddziału na rozbitcie«, tak bowiem wyraził się Komorow-

ski w raporcie swoim. Po małych utarczkach z kozakami, w których zginął stary żołnierz polski Bulewski, o godzinie 4 z rana rozpoczęto odwrót. Na granicy stały austriackie wojska. Wtedy nastąpił nieład straszny: kolumna rozciągnęła się, szyki zmieszały, porządku wprowadzić było niepodobna. Doszedłszy do Sokala, oddział poszedł w rozsypkę; wojsko austriackie wyłowiło mnóstwo ludzi i zabrało tabory. Cała więc wyprawa, która kosztowała tyle pracy i tyle wydatków (do 60 tys. zł.), została marnie zgubiona z powodu nie-subordynacji Sienkiewicza i ucieczki Rudnickiego, który, jako stary żołnierz, byłby się był oparł haniebnej uchwale odwrotu.

Gdy wieść o tem doszła do Lwowa, sprawiła przynębiające wrażenie. Więc ta wojskowość, która wzięła władzę w ręce swoje, nic lepszego zrobić nie mogła i powtórzyła wyprawę Radziwiłowską, tylko w gorszym wydaniu! Kompromitacja była ogromna, sarkanie straszne! Mnie zaś nieszczęście to dotknęło najboleśniej! Ja, co w życiu nigdy nie poddawałem się rozpacz, byłem przynębiony okropnie. W ciągu całego przygotowywania wyprawy narażałem się nieustannie, żeby tylko urządzić wszystko jak najlepiej; nie dbałem o los mój, o życie, byle tylko rzucić na pole bitwy z półtora tysiąca dobrze uorganizowanego narodowego wojska i na tyleż ludzi zapasowej broni. Oddziały były ubrane i uzbrojone tak, jak dotychczas nie był ubrany i uzbrojony żaden oddział powstańczy; przy każdym były furgony doskonałe, broń zapasowa, kosy, ładunki i t. d., i t. d. i wszystko to zmarnowano w ciągu dnia jednego, nawet bez boju!

Przyznaję się, że płakałem z bólu i smutku, gdy to dzieło mej pracy zmarnowało się tak haniebnie i tak bezużytecznie. Doznałem tego uczucia jak malarz, któremu podarto obraz, co go kosztował wiele pracy; jak autor, któremu dzieło długoletniego trudu i rozmyślań w rękopisie rzucono do ognia; jak ojciec, tracący swe ukochane dziecko...

Jenerał Różycki kazał oddać Sienkiewicza, Gierlicza i Zagórskiego pod sąd wojenny, złożony z jenerała Jeziorańskiego, majora Franciszka Zimy i Chranickiego. Sąd ten, sumiennie rozpatrzywszy całą sprawę, d. 16 Listopada wydał wyrok, skazujący ich na karę śmierci. Różycki zmienił wyrok na wieczne wygnanie z kraju. W 1864 Sienkiewicz

z zagranicy napisał do Rządu Narodowego usprawiedliwienie, które go potępia zupełnie, bo dość je przeczytać, aby się przekonać, że człowiek ten nie miał najmniejszego pojęcia o dyscyplinie, subordynacji ani o obowiązkach dowódcy.²⁴⁾

Nowa ta klęska, która dotknęła powstanie nasze, dowodnie ukażała organizacyi niestosowność tworzenia wielkich wypraw, które tyle pracy i zasobów kosztują, a tak łatwo idą na marne. Postanowiliśmy więc z rozbitków oddziału IV, V, VI i VII utworzyć kilka oddziałków, po sto ludzi najwięcej i dawszy dobrych dowódców, wysłać za granicę. W parę tygodni uorganizowałem oddział kawalerji w sto koni, który wysłaliśmy w Lubelskie, pod dowództwem Komorowskiego, pragnącego zmyć plamę, ciążącą na nim za porycką kampanię, a drugi ze 100 ludzi piechoty, pod dowództwem majora Jagmina, także w Lubelskie. Pierwszy z tych oddziałów, spotkawszy się z przeważnymi siłami 17. Stycznia 1864 pod Starą Wsią wstąpił w nierówny bój i był prawie do szczytu zniesiony; dowódca tylko z małą garstką dostał się do Galicyi. Drugi zaś długo się kręcił i nareszcie został stamtąd wyparty. Następnie wzmocniliśmy oddziały Krysińskiego i Kozłowskiego, a zarazem zaczęliśmy powiększać pozostałe oddziały w Galicyi, gdyż Różycki, znudzony bezczynnością, zaczął myśleć o wyprawie na Ruś.

W tym czasie zaszedł przypadek, który mógł wywołać bardzo smutne dla powstania następstwa. We Lwowie wychodziło wtedy tajemne pismo, pod tytułem »Prawda«, wydawane przez niejakiego Czyżewicza. Pojawiało się ono co dwa lub trzy tygodnie i wielkiego znaczenia nie miało. W ósmym numerze, który wyszedł 1 Października 1863, redaktor powstał przeciwko sędziemu kryminalnemu radcy Kuczyńskiemu, który prowadził procesa polityczne. »Kuczyński, pisała »Prawda«^{*)} jest to Polak uzdolniony, wykształcony i z całą świadomością ohydy, pełni służbę kata własnej Ojczyzny, więzi i gubi synów tej ziemi. A jednak człowiek ten chodzi między nami, wesoły, rumiany, kpiący,

*) Wskutek wzmianki w N. 8 tego dzienniczka, że i w Galicyi należałoby przygotować się do powstania, Rząd Narodowy przysłał redakcyi ostrzeżenie i zakazał dalszego wydawnictwa pisma.

»greczny, a nawet są ludzie i to ucziwi, którzy mu rękę
 »podają. W społeczeństwie dojrzałem nie mógłby człowiek
 »ten odgrywać długo podłej i zbrodniczej roli, której się po-
 »djął, bo na każdym kroku spotkałby dowody zabijającej
 »pogardy, któraby go zmusiła do ustąpienia. Wzywamy p.
 »radcę Kuczyńskiego, aby zaprzestał nadal zbrodniczej i ohy-
 »dnej swej roli, inaczej straszna potęga publicznej pogardy
 »dosięgnie go i wymierzy mu zasłużoną karę«. ²⁵⁾

Najprawdopodobniej, jak wówczas mówiono, wezwanie to przyczyniło się do tragicznej śmierci Kuczyńskiego, znalazł się bowiem mściciel, choć nie powołany. Dnia 25 Października o 7 wieczorem Kuczyński wracał do domu z biura z cygarem w ustach i przechodził przez plac, zwany Castrum, spiesząc przebrać się, bo zaproszony był na wieczór do hrabiego Namiestnika. Wtem zbliżyło się do niego dwóch ludzi, z których jeden poprosił grzecznie o ogień do zapalenia cygara. W chwili, gdy Kuczyński podniósł rękę, podając cygaro, drugi pchnął go nożem pod prawą pachę z taką siłą, że nóż przeszedł przez płuca i przeciął aortę. Śmierć była natychmiastową. Kuczyński skręcił się na miejscu i wykrzyknął: »Ach mein Gott« upadł bez życia, a mordercy prędko zemknęli na krakowskie przedmieście. Działo się to o kilkanaście kroków od gmachu policji. Jak mówiono mi tegoż wieczora, mordercą był jakiś Włoch z byłego oddziału Sienkiewicza i tegoż wieczora nocnym pociągiem wyjechał do swojej Ojczyzny.

Obawiając się szkodliwych następstw tego wypadku dla sprawy powstania, tem więcej, że śmierć jego przypisywano Rządowi Narodowemu, komisarz pełnomocny na Galicyę wschodnią wydał następującą odezwę: ²⁶⁾

»Zapobiegając szerzeniu się nieuzasadnionej pogłoski, jakoby zabójstwo popełnione we Lwowie d. 25 Października na osobie c. k. radcy sądu Kuczyńskim, zostało wykonane na mocy wyroku wydanego przez Trybunał rewolucyjny, podaję niniejszem do powszechnej wiadomości:

»że żaden Trybunał rewolucyjny w Galicyi z ramienia Rządu Narodowego nie istniał i nie istnieje,

»że radca Kuczyński przez Trybunał rewolucyjny w Warszawie ani sądzony ani skazany nie był, a zatem popełniono na jego osobie prywatne zabójstwo; stało się to

bez wiedzy Rządu Narodowego i władz przez Rząd ustanowionych. 30 Października. Komisarz pełnomocny Wschodniej Galicyi M. P.

Śmierć Kuczyńskiego rzuciła niesłychany popłoch pomiędzy urzędników i policyę. Wszyscy pogrzczeni niezmiernie, nie wyjmując gubernatora jen. porucznika Mensdorfa Pouilly, odznaczającego się brutalstwem nie do wytłómaczenia w człowieku, stojącym na tak wysokiem stanowisku. Raz naprzykład, spotkawszy na ulicy człowieka w konfederatce, zdarł mu ją z głowy i rzucił w błoto. Drugi raz uderzył w twarz jakiegoś człowieka, biegnącego po chodniku i kazał go aresztować policy za to, że przebiegając mimo niego, nie zdjął czapki, i potrącił go nieostroźnie. Wypadek chciał, że był to jakiś Niemiec ze Styryi, biegnący po doktora do żony, która odbywała poród trudny. Biedna kobieta, zostawiona bez pomocy, zginęła wraz z dzieckiem. Wieczorem dnia tegoż przy raporcie Hammera, dyrektora policy, dowiedział się o tem Mensdorf, ale zapóźno. Na drugi dzień cały ten wypadek szczegółowo był opisany we wszystkich dziennikach i nie było urzędowego zaprzeczenia. Od śmierci Kuczyńskiego już nie było słyhać o brutalstwie gubernatora i rzadziej już odbywał swe piesze przechadzki po Lwowie. W każdym razie wypadek ten był bardzo niepożądany i niekorzystny dla powstania, dając rządowi pretekst do surowego postępowania z powstańcami.

Mówiłem wyżej, że w Sierpniu 1863 przybył z Francyi do Lwowa ojciec generała Różyckiego, pułkownik Karol Różycki, otoczony aureolą świetnych wspomnień z r. 1831. Był to w całym tego słowa znaczeniu piękny starzec, o wysokiem czole i rycerskiej postawie; dziwnie sympatyczny i wzbudzający głęboki szacunek w otoczeniu. Nieszczęściami ojczyzny znękany, przeszedłszy ciężką gamę tęsknoty, smutku i rozpaczliwej wygnanczej, po rozbitych marzeniach i niespełnionych nadziejach, porzuciwszy ukochany zakątek rodzinny i zerwawszy serdeczne węzły, łączące z przeszłością, pułkownik uległ temu mistyczno-religijnemu nastrojowi, któremu ulegli najwięksi nasi jeniuse narodowi, szukający odpoczynku, chwil zapomnienia i jakiejś nadziei dla zbolałej duszy. Pułkownik przybył z obczyzny z kilku ludźmi, czczącymi w nim wysoką prawość, szlachetność i powagę patriarchy. Po przyby-

ciu do Galicyi pułkownik chciał stanąć na czele oddziałów, mających wkroczyć na Ruś, dla odświeżenia pięknej tradycyi dni ubiegłych. Jednak osłabiony stan zdrowia nie dopuścił do tego i starzec, złamany wiekiem, przed końcem r. 1863 musiał porzucić swe wojenne zamiary i wrócić do Francyi, gdzie wkrótce śmierć go zaskoczyła. Przed wyjazdem napisał do Rządu Narodowego list, którego oryginał znajduje się w Bibliotece Ossolińskich, a w którym mistyczno-religijny nastrój ducha występuje z całą siłą.²⁷⁾

Edmund Różycki odznaczał się spokojem, słodyczą, taktem, serdecznością, umiejętnością skarbienia sobie serc, męstwem i przytomnością umysłu, które mu zjednały takie zaufanie u żołnierzy, że ci poszliby za nim w ogień. Po przybyciu do Galicyi generał Edmund Różycki, zajął się szczerze organizacją, a jednak, gdy wyprawa była już gotowa, gdy oddziały stanęły w takim stanie, w jakim nie były jeszcze ani razu w ciągu całego powstania, już nie chciał sam wystąpić z nimi i pokierować przynajmniej z początku choćby do chwili przekroczenia granicy i wolał oddać sformowane przez siebie oddziały pod dowództwo Kruka, a gdy ten wywołał niezadowolenie w wojsku, pod dowództwo Komorowskiego, który zmarnował te siły pod Poryckiem. Nie wiem, czemu przypisać tę zmianę usposobienia, to osłabienie ducha. Był li to wpływ ojca, który zbawienia Ojczyzny już nie szukał w orężu, czy przekonanie o bezużyteczności poświęceń i o bezcelowości tej syzyfowej pracy, lecz w usposobieniu Edmunda w tym czasie nastąpiła stanowcza zmiana. Zamiast mówić o wojskowości, o potrzebach chwili, najczęściej sprowadzał rozmowę na temat o duszy, o woli człowieka, zaczął lubić spory o różnych teoriach przyrodniczych, jak gdyby to było w czasie największego spokoju. Wreszcie zaczęła się w nim pojawiać żyłka dyplomatyzyzowania.

VIII.

Ustanowienie Wydziału Rządu Narodowego dla Galicyi.

Ciągłe niepowodzenia powstania, wyparcie za granicę lub rozbicie ważniejszych oddziałów, rozprężenie i upadek ducha, znękanie kraju z powodu bezużytecznych ofiar, chaos panujący za granicą pomiędzy rozmaitemi władzami narodowymi, nareszcie nieodpowiednie uregulowanie ich atrybucyj, zmusił Rząd Narodowy (Trauguta) do wysłania za granicę Komisarza nadzwyczajnego z bardzo rozległą władzą i z poleceniem przyprowadzenia wszystkiego do porządku i utworzenia Wydziału Rządu Narodowego dla Galicyi. (Dekret z dnia 8-go Listopada 1863 r. Nr. 3520). Ponieważ Wacław Przybylski, ówczesny Naczelnik miasta Warszawy, z powodu poszukiwania go przez policję rossyjską musiał uciekać za granicę, jemu więc rząd Trauguta powierzył tę trudną, wymagającą wielkiej powagi i taktu misję Komisarza nadzwyczajnego. Po przybyciu do Krakowa, w drugiej połowie Listopada, wezwał Różyckiego dla porozumienia się z nim co do utworzenia obywatelskiej organizacji odpowiedniejszej, aniżeli poprzednia. Wkrótce i ja zostałem wezwany do Krakowa listem. Zobaczywszy Przybylskiego i dowiedziawszy się o obszernem zadaniu jego, byłem zdumiony złym wyborem, który Rząd zrobił. Znałem Przybylskiego jeszcze z Litwy. Niegdyś nauczyciel szkolny w Wilnie, niby uczony, niby poeta, spółpracownik Kirkowa w «Kuryerze Wileńskim», wrażliwy, miękki, potulny w obec siły, łatwo zapalny i prędko gasnący, raz gwałtowny, to znowu ulegający wpływom ludzi energiczniejszej woli, nie miał ani po-

wagi, ani spokoju, ani taktu potrzebnego do podobnej misji. Milczałem jednak, aby nie szkodzić sprawie.

Rząd Narodowy, ustanowiony wówczas dla Galicyi, składał się z przewodniczącego, każdoczesnego komisarza pełnomocnego Rządu Narodowego (wtedy był Władysław Majewski) z hr. Antoniego Golejewskiego, Ludwika Skrzyńskiego, Piotra Grossa, hr. Ludwika Wodzickiego i jeszcze kilku, których imiona wyszły mi z pamięci. Dla tego zaś, żeby ten Rząd nie powziął jakich szkodliwych uchwał, polecane było z Warszawy przez Przybylskiego, żebym ja, który miałem zastąpić Różyckiego na czas jego wyjazdu z kraju, znajdował się na każdym posiedzeniu, bez czego uchwały jego nie miały mieć żadnego znaczenia!! Czy wiedział kto o tem, oprócz mnie i Majewskiego, nie wiem, lecz świadczy to, z jaką nieufnością Rząd Narodowy odnosił się do obywateli Galicyi. Pod względem administracyjnym Galicya została podzielona na trzy okręgi: krakowski, lwowski i tarnopolski; każdy okręg miał swego naczelnika²⁸⁾, którego obowiązkiem było energicznie zająć się zbieraniem składek i dopomagać organizacyi wojskowej; w krakowskim był Aleksander Biernacki, w lwowskim Szczęsny Karpiński, a w tarnopolskim hr. Antoni Golejewski. Od czasu do czasu miał się wydział zbierać we Lwowie lub w Krakowie dla porozumienia się co do działań.

Pod względem wojskowym dawna organizacya została utrzymana. Na czele organizacyi wojskowej wschodniej i zachodniej Galicyi stał organizator wojskowy jeneralny, do wydziału Rządu narodowego należący. Jemu podlegali dwaj mianowani przez niego organizatorowie wschodniej i zachodniej Galicyi i ich zastępcy. Im zaś podlegali organizatorowie kadr wojskowych przez tychże okręgowych organizatorów mianowani. Zadaniem władz wojskowych było przysposabianie sił do walki narodowej i wprowadzanie tych sił na linię bojową. Werbunek ludzi do broni wyłącznie należał do władz administracyjnych, nie zaś wojskowych; władze wojskowe czynnemi były w tej mierze po oddaniu sobie ludzi przez władze cywilne. Stosunek władz wojskowych do administracyjnych był współrzędny: jedna drugiej rozkazywać nie mogła, tylko wzywały się do udzielenia sobie wzajemnej pomocy²⁹⁾.

Obietnica generała Czajkowskiego, iż odda do rozporządzenia powstania pułki turecko-kozackie, znajdujące się pod jego dowództwem i że sam wkroczy na ich czele na Ruś, skłoniła Różyckiego do udania się razem z Przybylskim w końcu Listopada do Turcyi, żeby przyspieszyć spełnienie tych obietnic. Zastępstwo w Galicyi i na Rusi Różycki zostawił mnie.

Po przyjęciu tego zastępstwa, na naradzie w Krakowie zapytałem go o wskazówki, co mam czynić do jego powrotu. Różycki polecił mi wzmocnić 1, 2 i 3 oddział i pułk wołyński do dwóch lub trzech tysięcy, a zarazem ciągle się starać o podtrzymywanie powstania w południowych województwach Kongresówki zapomocą małych dobrze uzbrojonych oddziałków i w miarę możliwości o wysyłanie broni dla walczących tam oddziałów.

Ponieważ już zaczynano nas straszyć ogłoszeniem przez Rząd austriacki stanu oblężenia w Galicyi, zapytałem więc Różyckiego, co miałem czynić, gdyby to nastąpiło.

— Tego nigdy nie będzie! Rząd austriacki nie zechce kompromitować się w oczach Europy w ten sposób, wykazawszy poprzednio gotowość przystąpienia do ogólnej akcji na korzyść powstałego kraju.

— A gdyby jednak to nastąpiło?

— Wtedy usunąć oddziały nasze z brzeżańskiego, złoczowskiego i tarnopolskiego w stanisławowskie i kołomyjskie.

— Ależ i tam będzie stan oblężenia.

— W takim razie usunąć je jeszcze dalej: w zaleszczyckie i do Bukowiny.

— Wiesz co, Edmundzie, mam plan, co zrobić w takim razie — odrzekłem — i jeżeli zgodzisz się, postaram się go przeprowadzić jak najenergiczniej.

— Cóż to za plan?

— Jeżeli do twego powrotu będzie ogłoszony stan oblężenia, wejdę w stosunki z partią niezadowoloną z rządów Kuzy w Rumunii, wkroczę z oddziałami do tego kraju, zrzucę go z tronu i ogłoszę ciebie lub siebie księciem panującym, potem zacznę organizować armię, aby na jej czele wkroczyć na Ruś. Prawdopodobnie trzy ościennie państwa Austria, Moskwa i Turcja nie dopuszczą do tego i natychmiast wyślą do Rumunii wojska swoje dla zgniecenia nas i zajęcia

kraju, ale z tego wytworzyć się może konflikt europejski i takie zawikłania, które mogą bardzo dobrze posłużyć naszej sprawie. Ani na chwilę nie wątpię, że w tej zawierusze zginiemy, lecz na to jestem oddawna przygotowany zupełnie; przynajmniej śmierć nasza może wywołać antagonizm wielkich mocarstw, a nawet może wojnę europejską, z której coś się wykroi dla naszej nieszczęśliwej Ojczyzny.

-- E, daj pokój temu, to są marzenia; wierząc mi, że rząd austriacki tylko nas straszy stanem oblężenia, ale do tego nigdy nie przyjdzie, wzmacniaj tylko powstanie, a ja wkrótce wrócę może już nie z obietnicami tylko, a wtedy obaczymy, co dalej robić należy.

Tegoż dnia wyjechał Różycki przez Wiedeń do Stambułu. Ile razy wspomnę o tej naszej naradzie, czuję niezadowolone z siebie, żal i zgryzotę sumienia, że nie spełniłem tego planu. Prawda, że plan ten był awanturniczy, szalony, niepewny, zbyt śmiały, ale historia uczy, że zwykle najlepiej udawały się te rzeczy, które były niespodziewane dla wszystkich. Dość wspomnieć o wzięciu Konstantynopola przez Krzyżowców i utworzenie nowego greckiego cesarstwa. Mogłem zginać z całym oddziałem, ale też mogłem wsławić imię moje i podnieść wysoko sprawę, której służyłem, bo wznieciwszy rywalizację państw ościennych, mogłem sprawić zawikłania zupełnie nieprzewidziane dla Europy. Że ten plan mógł się udać, świadczy przechód Miłkowskiego Zygmunta przez Rumunię, bitwa pod Kastangalią i rozstrój tego kraju, który wtedy przebywał reorganizację społeczną i wojskową, a zatem był w chorobliwym stanie.

Wróciwszy do Lwowa, zająłem się powiększaniem oddziałów już istniejących i wzmacnianiem powstania w Lubelskiem. Z Rusi otrzymaliśmy wtedy ostatnie 15 tysięcy rubli z obiecanego miliona złotych polskich. Komisarz na Rusi donosił, że więcej kraj dać nie może. Gdym zrobił uwagę, że Ruś obiecała przysłać Różyckiemu milion rubli, a nie złotych, komisarz odpowiedział, że nie wie, skąd powziął generał takie «różowe nadzieje».

W końcu Listopada przyszła smutna wiadomość, że dowódca oddziału Leszek Wiśniowski, schwytyany przez Moskali, został rozstrzelany we Włodzimierzu wołyńskim. Moskale byli niepewni, czy mają dowódcę oddziału w swych rękach.

Zdradziła go żona jednego ze szpiegów, którego Leszek kazał powiesić. Piękny list jego ostatni przytaczam w przypisach ⁵²).

Ze względu, że w Lubelskiem powstanie stało bardzo słabo, że dowódcy z oddziałkami tylko kręcili się po lasach, lecz w ich działaniu nie było żadnej jedności, prosiłem Rząd Narodowy o zamianowanie dowódcą 1-go korpusu, czyli naczelnikiem Lubelskiego i Podlaskiego — pułkownika Sawę (Rudnickiego), który wszystko krytykował, wszystkich zniechęcał, przyrzekając zrobić cuda, jeżeli mu dadzą obszerniejsze pole działania.

Wysokie mniemanie o swych zdolnościach i nieustanne wyszydzenie wszystkiego, co się robiło dokoła, budziło zaufanie do tego człowieka w ludziach sądzących z powierzchowności. Ja także byłem przekonany, że ten człowiek niepomiernej ambicji dla niej jedynie będzie się starał o czyn, któryby go wyniósł wysoko i uwierzyłem w to, co on sam mówił, że tchórzowskie porzucenie oddziałów, idących na wyprawę pod Poryck, pochodziło stąd, iż nie chciał służyć pod dowództwem młodszego od siebie i mniej zdolnego Komorowskiego. Starałem się więc dać mu jakieś niezależne a ważne stanowisko, na któremby mógł wykazać zdolności swoje. Nie ukrywam, że chodziło mi także o usunięcie człowieka, który w organizacji ciągle niezadowolaniem i wyśmiewaniem prac innych ludzi, był rzeczywiście szkodliwym sprawie, demoralizując tych, co spełniać mieli dane rozkazy.

Obiecałem mu zebrać oddział, uzbroić dobrze, odziać, żeby miał z czem wkroczyć w Lubelskie. Wydobyć środków materialnych brałem na siebie, jemu zaś zostawiłem dobór ludzi, których miał wziąć z sobą. Niestety! nadzieje i rachuby zawiodły. Chciałem pozbyć się tego fermentu, robiąc Sawę niezależnym, a tymczasem dałem mu broń do ręki, której już wytracić nie mogłem i której poprzednio nie posiadał, będąc bowiem zupełnie niezależnym odemnie, choć już miał oddział zupełnie gotowy do wymarszu, i oddział, posiadający wszystko, co mu potrzeba było, zwlekał z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc wyprawę swoją, ciągle stawiając nowe żądania, bez spełnienia których nibyto wyruszyć nie mógł w pole ³¹).

W końcu Listopada (27) Rząd Narodowy powziął zamiar założenia mennicy narodowej celem bicia monety polskiej³²⁾. Wezwał więc obywateli do ułatwienia tego przedsięwzięcia ofiarą sreber domowych, zastrzegając jednak, żeby ofiary te zostały w charakterze zupełnej dobrowolności i z własnej inicjatywy obywateli, z usunięciem wszystkiego, co nadaćby mogło cechę datku obowiązkowego lub przymusowego. Agitacja i zbieranie ofiar poruczone były komitetowi niewiast z pominięciem organizacyi narodowej. Do bicia jednak monety polskiej nie przyszło, a zebrane srebro oddano następnie na potrzeby powstania³³⁾.

Tegoż samego dnia, 27 Listopada, gubernator Galicyi hr. Mensdorf Pouilly ogłosił w kraju, że wyznacza się kara w ilości 100 złr. lub areszt 14-dniowy za przechowywanie lub przewożenie osób, idących do powstania, a kara od 100—500 zł. lub areszt trzechmiesięczny za posiadanie broni bez pozwolenia. Rozkazano oraz, aby wszyscy posiadający broń bezprawnie, złożyli ją do dni ośmiu³⁴⁾.

Wiadomo, że generał Mierosławski Ludwik otrzymał od rządu wrześnieowego nominację na organizatora wojskowego po za granicami kraju. Traugut, objąwszy rządy w październiku, a wiedząc, jak osoba generała jest niepopularna w kraju, szczególnie w klasie tej, z której powstanie czerpało środki pieniężne, ten *nervus rerum* w każdej wojnie, posłał mu w początku grudnia dymisyę. Generał jednak nie dał za wygranę, a postanowił przybyć do Krakowa i uchwycić władzę w ręce, w zamiarze ogłoszenia się dyktatorem z zagranicy rządzącym krajem. Dla zyskania siły generałowi potrzeba było otrzymać uznanie wojskowych władz w Galicyi. W tym celu przysłał generał do mnie niejakiego pułkownika Kuczyka, mieniącego się jego adjutantem, z propozycyą, że Mierosławski ofiaruje mi tytuł generała wojsk polskich, jeżeli uznam jego zwierzchnictwo i oddam się do jego rozporządzenia. Odpowiedziałem posłańcowi, żeby jechał natychmiast do Krakowa i zakomunikował Mierosławskiemu, że jeżeli do 24 godzin nie opuści Krakowa i nie wyjedzie za granicę, każę go wydać austriackiej policji i odpowiednie do tego posyłam rozkazy do pułkownika Skarżyńskiego, który pełnił obowiązki organizatora zachodniej Galicyi i naczelnika miasta Krakowa. Mierosławski przestraszył się i wyjechał z Krakowa, lecz

kręcił się jeszcze ciągle w okolicach, intrygując i starając się doprowadzić zamiar swój do skutku. Posłałem więc zapytanie do Rządu, jak mam z nim postąpić, zdecydowany nie bawić się w ceremonie z tym burzycielem, ale Rząd nakazał pozostawić go w spokoju. Przekonawszy się, że w Galicyi nie znajdzie dogodnego gruntu do swoich działań, generał odjechał do Francyi.

IX.

Sprawa Zygmunta Kaczkowskiego.

Na początek grudnia 1863 przypada niezmiernie smutna sprawa, która jednego z najzdolniejszych pisarzy narodowych, Zygmunta Kaczkowskiego, postawiła przed trybunał sądu obywatelskiego, za zdradę względem walczącej o byt swój Ojczyzny. Kto pamięta rok 1862, przypomni sobie, z jaką czcią, z jakim uniesieniem przyjmowała Warszawa młodego pisarza, który zabłysnął niepospolitym talentem. Literaci warszawscy i cała śmietanka społeczna przyjmowała gościa ucztą w Europejskim hotelu, a kobiety, szczególne zwolenniczki jego pięknych i patryotycznych utworów, przez otwarte okna jadalnej sali rzuciły kwiaty i wieńce. Ale niestety, obok Kapitolu znajduje się tarpejska skała. W rok potem, w skutek doniesienia policji narodowej i przedstawienia przez nią obwiniających aktów, na polecenie Rządu Narodowego, ustanowioną została komisya, składająca się z Ludwika Skrzyńskiego, Matczyńskiego, Kornela Ujejskiego, Szczęsnego Karpińskiego, i nareszcie znakomitego prawnika i adwokata Kabata, ludzi zacnych, poważnych, pojmujących, co znaczy odebrać cześć człowiekowi, a z pewnością nie mających żadnej zawiści lub nienawiści do Kaczkowskiego.... Ci orzekli większością głosów, że »winien«. Ten wyrok był niezmiernie bolesny dla naszej miłości własnej narodowej, gdyż dotyczył jednej z gwiazd naszych, a Rząd Narodowy, skazując Zygmunta Kaczkowskiego na wygnanie z kraju, wypowiedział, że ze wszystkich klęsk, które kraj dotknęły w czasie powstania, klęskę tę Rząd Narodowy zalicza do najboleśniej-

szych; na czele zaś Rządu tego stał mąż wielkiego serca i ducha, rycerz i prawdziwy chrześcijanin — Traugut!...

Nie należąc do sądu, nie mogę wyrzec stanowczego zdania o wyroku, tem więcej, że nie jedno możeby potrzeba wyjaśnić jeszcze, dopełnić, sprawdzić w tej sprawie; dla tego też przytaczam tylko te dokumenta, które doszły rąk moich, zostawiając sprawdzenie wyroku sądu przyszłości, która z pewnością zechce się zająć tą arcysmutną sprawą, czekającą wyjaśnienia.

Dokument pierwszy: ³²⁾ Lwów 7. Grudnia 1863. Dyrektor Policji Narodowej w mieście Lwowie (Dr. Bolesław L.) Do ob. Komisarza pełnomocnego Rządu Nar. w Galicyi.

»Dnia 2. Grudnia 1863 za L. 348 miałem zaszczyt przesałać obywatelowi Komisarzowi pełnomocnemu raport, dotyczący odkrycia tajnego szpiega Rządu austriackiego, który to raport, o ile się zdaje, nie doszedł jeszcze rąk właściwych. Zarządziłem śledztwo, celem wykrycia, gdzie ta korespondencya została zatrzymana. Raport ów powtórnie przesyłam wraz z annexami.

»Za pośrednictwem Inspektora urzędów, ustanowionego przy agencji policji narodowej, otrzymałem d. 2 grudnia 63 r. własnoręczne pismo Hr. Mensdorfa Pouilly do Ministra Policji Mescery i pismo własnoręczne radcy Namiestnictwa tutejszego Summera do dyrektora policji Englischa w Krakowie. Korespondencye te w odpisach wierzytelnych w obecności czterech zaprzysięgłych świadków przy niniejszym raporcie załączam.

»List Hr. Mensdorfa w tłumaczeniu: »Wasza Ekscelencyo! Z tego, co miałem zaszczyt wczoraj udzielić Waszej Ekscelencyi okazuje się, że autor odtąd należy do obozu białych. Pomimo to można sobie z jego działalności najlepsze obiecywać usługi. Styczność jego z kołami rządowymi, jak się samo przez się rozumie, nie jest wiadomą jego stronnikom i pozostaje niepostrzeżoną. Jedzie dziś z Krakowa i ma uzupełnić materyały do pamiętników okręgów zachodnich. Następnie pojedzie do Wiednia, tam przedstawi się Waszej Ekscelencyi; nazwisko jego załączam. 1 Grudnia 63 r. podpisano: Hr. Mensdorf.

»Do listu tego, adresowanego do własnych rąk Ministra Policji, załączona była karta z następującymi cyframi :

»779. 125. 110. 127. 125. 139. 113. 129. 106«. Cyfry te mają wyobrażać nazwisko osoby, którą Namiestnik tutejszy poleca Ministrowi Policji.

Po odcyfrowaniu za pomocą klucza*) tajnego Ministerstwa Policji przez osobę wiarygodną, której nazwisko podałem do wiadomości Naczelnika Okręgu lwowskiego, okazało się, że cyfry te przedstawiają następujące głoski:

Vernehme. K a c z k o w s k i.

779. — 125. 110. 127. 125. 139. 113. 129. 106.

Drugi list radcy Namiestnictwa Summera do dyrektora policji Englischa.

»Pewien pan, który tu dość dobre wyświadcza usługi, ma dziś pojechać do Krakowa; być może zatem że dpi kilka zabawi. Doniesienia, któreby mógł panu porobić, oczywiście uczyni. Listy do Pana będą adresowane: Markus Licht, poste restante. Proszę od środy wieczór posyłać na pocztę. Gdybyś miał doniesienia jakie porobić, uczynisz tą samą drogą pod adresem: Franz Reitberg poste restante w Krakowie. Dopiero, gdyby było nieodzownie potrzebne zjawi się ów nienazwany osobiście u Pana. Ale wtedy oprócz Pana nikt niema wiedzieć, jaki go interes do Krakowa sprowadził« i Grudnia 1863. podpisano: Summer.

»Zniszcz pan ten list«.

»Sądząc z jednoczesnego oddania tych listów na pocztę lwowskiej, stanowczo wnosić można, że obydwie te listy polecają dwom różnym osobom jedno i toż samo indywiduum.

»Po odcyfrowaniu załączonej kartki do listu hr. Mensdorfa, przyszedłem do przekonania, że owym bez oznaczenia imienia Kaczkowskim jest Zygmunt Kaczkowski, znany powieściopisarz i były redaktor »Głosu«, agent dyplomatyczny we Lwowie, dyrektor Biura korespondencyjnego byłego Komitetu Galicyi wschodniej, człowiek najdokładniej obznajomiony ze wszystkimi stosunkami, przed którym nikt nie

*) Tajemny klucz ten otrzymano za 2.000 zł. z ministerjum policji.

robił żadnej tajemnicy. Kaczkowski, pod względem politycznym był uważany za człowieka pewnego i był nawet członkiem byłej Ławy lwowskiej, pozostawał w stosunkach ścisłych z Drem Rodakowskim, z ob. Armatysem, Gromanem i w ogólności, ze wszystkimi członkami byłego Komitetu Galicyi wschodniej. Dr. Rodakowski po przyjeździe z Warszawy szczegółowo obznajomił go ze stosunkami Rządu Narodowego, o czym Kaczkowski głośno mówił przed osobami sobie znajomymi.

»Dokładne poinformowanie władz austriackich o robotach politycznych w Galicyi i osobach od Rządu Narodowego przysłanych, o czym dostatecznie miałem sposobność przekonać się z przejścia rozmaitych korespondencyj rządowych (ex off), które były komunikowane w swoim czasie Komisarzowi pełnomocnemu na Galicyę wschodnią, jak również wszelkie aresztowania osób ważniejszych, przypisują tylko Kaczkowskiemu. Nic niema tajnego przed władzą austriacką, która wie naprzód, kto ma przyjechać, w jakim charakterze i pod jakim nazwiskiem. O zamiarach naprzykład i planie władzy wojskowej, po rozbiciu ostatniej wyprawy lubelsko-wołyńskiej, Namiestnik tutejszy wiedział drogą poufną prędzej, niż Rząd Narodowy, jak dowodzi okólnik hr. Mensdorfa do wszystkich władz obwodowych i powiatowych z d. 16 Listopada r. b. L. 13779 i pismo tegoż do Ministra stanu Schmerlinga z d. 19. listopada L. 13923. Kilka relacyj dyrektora policji Hammera do Ministra policji i rozporządzenia Namiestnika do władz politycznych, wydane d. 15. Listopada za L. 1995, w celu przeszkodzenia wyborom do Wydziału, dla Galicyi, z 12 członków składać się mającego, również mogą służyć za dowód, jak dokładnie władza austriacka była zawiadamiana.

»Jako dopełnienie do faktu wyżej podanego, a dowodzącego stanowczo, iż K. jest szpiegiem, przytoczyć mogę następujące okoliczności: Zygmunt Kaczkowski prowadził bardzo wykwintne życie, nie mając stałego utrzymania, ani też takich dochodów, któreby mogły starczyć na utrzymywanie koni, metresy, na letnie pomieszkanie, wykwintny ubiór, grubą grę w karty. Okoliczność ta sprowadziła na niego podejrzenie, że źródła dochodów jego muszą być bardzo mętne, wskutek czego był wzięty pod dozór policji od miesiąca:

Nadzór ten nie był bez skutku. Okazało się, że w przeciągu tygodnia Kaczkowski był cztery razy u dyrektora policji lwowskiej Hammera *) i zawsze w porze spóźnionej, około godziny 8 lub 9 wieczorem. Dyskretnie zapytany o przyczynę tych odwiedzin, odpowiedział, iż stara się o paszport. Odpowiedź ta była dość podejrzana, ponieważ każdy przyznać musi, iż dla starań o paszport odpowiedniejsze są godziny biurowe, aniżeli pora wieczorna. Zapytanie to zrobiło na Kaczkowskim pewne wrażenie, które starał się pokryć sprowadzeniem rozmowy na inne tory i udzieleniem wiadomości o kilku rewizjach, które rzeczywiście nazajutrz się odbyły. Zdaje się, iż Z. K. domyślając się, że jest śledzony, powziął zamiar wyjazdu ze Lwowa i wziął dnia 1. Grudnia paszport z Dyrekcyi policji. Przed znajomymi swymi mówił, że wyjeżdża do Krakowa i Wiednia. Z. K. wyjechał ze Lwowa 3. Grudnia.

„Dnia wczorajszego odebrałem wiadomość od obywatela Jana Dobrzańskiego. Redaktor »Gazety Narodowej« pisze, że Z. K. był w Wiedniu, dnia 6 Grudnia powrócił do Krakowa i ma zamiar wyjechać do Warszawy. Obywatel Dobrzański oświadczył, że ma pewną wiadomość i^o o telegramie hr. Mensdorfa do Englischa, aby oddał Z. Kaczkowskiemu pakiet zapieczętowany do rąk własnych. Englich miał odpowiedzieć że Z. K. pokwitował go z odbioru; 2^o miał mówić, że »ten motłoch rozpędzą, że powstanie upadło, jeszcze kilka łajdaków się bije, ale upadnie«, (tak oświadczył Kolankowski).

L. 5. Pieczęć dyrektora Policji narodowej we Lwowie.

Do tego raportu dodam, że Komisarz pełnomocny mówił, iż przejęto depeszę szyfrowaną od Ministra policji do Namiestnika »aby wiadomej osobie«, za usługi jej wypłacono kwartalną ratę w kwocie 2.100 zł.“ Depeszę tę miano odczytać tym samym kluczem, który służył do odczytania nazwiska człowieka, polecanego przez Mensdorfa Ministrowi policji. Kopii tej depeszy ani odcyfrowania jej nie widziałem.

*) Jak poświadczył Juljan Małuszyński, należący do policji Narodowej.

Drugi dokument: ³⁶⁾ Pogląd na sprawę Kaczkowskiego pewnego prawnika (Kabata), który był wezwany przez Naczelnika okręgu lwowskiego.

1. Co do stanowiska prawnego.

1. Instrukcja oskarżenia, co do skutecznego przeprowadzenia nietylko zupełnie mylnie, ale celowi wprost przeciwnie prowadzona była. Zamiast albowiem oskarżonego spokojnie wykluczyć od wszelkiego udziału i postąpić sobie w największej tajemnicy, stawiając go pod nadzór ludzi najzaufanych, którzyby do niego przystęp mieli, narobiono w całej organizacyi hałasu, postawiono oskarżonego pod otwarty nadzór Policji narodowej i tym sposobem nietylko nie wykryto istoty czynu i nie przysporzono dowodów, ale jedno i drugie nawet na przyszłość bogdaj czy nie uniemożliwiono. W skutek czego sprawa ta przedstawia się następnie:

Istota czynu wcale nie znajduje się w przedłożonych aktach i relacyach i to ani co do osoby, mianowicie, że zdradził, ani co do rzeczy, co zdradził, jako też istotnych dowodów nie ma żadnych. Są tylko poszlaki i to jednostronne, mianowicie tylko na zeznaniach współnika zdrady, to jest rządu austriackiego oparte, nie ma zaś żadnych poszlak, wpływających z własnych czynów oskarżonego.

2. Poszlaki uzasadniają podejrzenie, podstawą zaś wyroku być nie mogą.

3. Podejrzenie pociąga za sobą koniecznie wykluczenie podejrzanego zewsząd, ażeby w niczem nadal nie mógł się stać szkodliwym, o ukaraniu zaś oskarżonego, li na podstawie podejrzenia mowy być nie może.

4. Poszlaki popełnionej zdrady usprawiedliwiają jedynie postawienie oskarżonego w stanie oskarżenia i starania się wszelkimi możliwymi, ale odpowiednimi sposobami o przekonanie, że zdradził i co zdradził.

II. Co do stosunku politycznego.

1. Oskarżonego, chociaż najmocniej podejrzanego, bez przekonania o istocie czynu co do osoby i co do rzeczy ukarać byłoby niesprawiedliwością, a zatem samo przez się czynem niepolitycznym.

2. Oskarżony jest znakomitością literacką w narodzie, którą już dla tego, ile być może, oszczędzać wypada, oczywiście tylko co do wystąpienia z wyrokiem i karą. Tak niski

upadek bowiem znakomitości narodowej, tylko w ostatecznej konieczności narodowi urzędownie ogłosić i przed Europą wyświecić można. Dla tego także należy się surowa nagana tym, którzy oskarżonego używali lub do tajemnic przypuszczali, bo wszyscy bardzo dobrze wiedzieli o niemoralnem życiu jego, a rzecz prosta i oklepana, że gdzie niema cnoty domowej, publicznej także nie będzie.

3. Wyrokowanie i ukaranie wobec rządu austriackiego i co do dalszego istnienia organizacyi narodowej w szczególności najniezszczęśliwsze musiałyby sprowadzić skutki, zwłaszcza, że oskarżony najniezawodniej pod szczególną opieką rządu austriackiego zostaje i jako przypuszczony do tajemnic narodowych, jest w stanie palcem wskazać stosunki i osoby, tak że każdy zamach na niego byłby rządowi austriackiemu ze wszechmiar pożądanym, dla tego też wszelkie stawianie oskarżonego przed oblicze sądu, w celu przekonania go lub zyskania zeznań i odkryć, jest zupełnie niemożliwe.

Wniosek:

Wypada przeto zostawić sprawę w zawieszeniu, a oskarżonego i wszystkich, którzy o tem z urzędu wiedzieć nie potrzebują, w zupełnej niewiadomości o dalszym obrocie jego sprawy, postawić go oraz pod najściślejszy nadzór zaufanych osób, któreby do niego przystęp mieć mogły i przeto byłyby w stanie skutecznie go nadzorować i wysledzić tak stosunki jego do rządu austriackiego, jako też dowody przez niego, a może i innych, już dopełnionej, lub dopełniającej się zdrady.

L. S. Naczelnika Okręgu lwowskiego.

Sprawa zdrady Ojczyzny przez Zyg. Kaczkowskiego, była przedmiotem gorących rozpraw na posiedzeniu Wydziału Rządu narodowego dla Galicyi. Zajęty wyprawą oddziałów, na posiedzeniach tych nie byłem. Wiem tylko, że Rząd Narodowy w Warszawie, po przejrzeniu przedstawionych mu dokumentów, był bardzo niezadowolony z łagodności wyroku i w piśmie swem z d. 14. Lutego 1864 r., znajdującem się w zebraniu dokumentów p. Józefa Janowskiego, wyraził swe niezadowolenie i gorzkie wyrzuty tak wydziałowi galicyjskiemu, jak i komisarzowi pełnomocnemu. Dokumentu tego nie przytaczam dosłownie, jest bowiem napisany bardzo ostro

i namiętnie, widocznie w chwili najwyższego rozgoryczenia, wobec tej nowej obrazy majestatu nieszczęśliwej Ojczyzny. W ostatnim ustępie, mówiącym o tej sprawie, Rząd Nar. wyraża się tak: »Nie chcemy tego, tak wielkiego błędu (t. j. łagodności sądu), niczemu innemu przypisywać, jak tylko zbytłowi fachowości. To pewna, że młody akademik z większą sławą wyszedłby z takiej próby. W jego sercu formy prawne nie znalazłyby przytułku, a głos obrażonej Ojczyzny wskazałby mu jasno, jaką karę na wyrodka wymierzyć należy. Kto nie poczuje i nie pojmie prawdy tych słów, wątpliwą jest polskość jego. Pozostawiamy sumieniu polskiemu wszystkich, którzy go sądzili, niech ono ich strofuje, że tylko na wygnanie z kraju osądzili go. Ogłaszać wyroku nie będziemy — bo wstyd.«

Policya austriacka, dowiedziawszy się o śledztwie i sądzie, chcąc ochronić Kaczkowskiego od kary, dom Kabogowej, w którym mieszkał, otoczyła szpiegami i aresztowała wszystkich podejrzanych, którzy się chcieli dostać do kamienicy, obawiając się, żeby to nie był który z wykonawców wyroku śmierci, którego się spodziewano. Wkrótce potem Kaczkowski porzucił Lwów i wyjechał do Wiednia i za granicę. Żeby zachować jak największą bezstronność w poruszeniu tej sprawy, muszę dodać, że oprócz broszury p. Zyg. Kaczkowskiego, pod tytułem: »Wyroki i sądy rewolucyjne«, w której autor stara się obalić okropne to obwinienie, w obronie jego wystąpiły dwie osobistości, znane z czystości charakteru i z zacności, a mianowicie ś. p. Karol Ruprecht i Agaton Giller.

W końcu r. 1863 otrzymałem przez Komisarza pełnomocnego wezwanie Rządu Narodowego, abym przewodniczył sądowi wojennemu w Dreźnie, mającemu rozpatrzeć brzydką i wstrętną sprawę Zdz. Janczewskiego, ekspedytora broni w Wrocławiu, który jeszcze w początkach powstania na jedną i tę samą broń trzy razy pobrał pieniądze. Akta Janczewskiego były doręczone Sokólskiemu, który miał pełnić obowiązki oskarżyciela publicznego rządowego. Sprawa ta, uchwycona przez dzienniki nam nieprzyjazne, narobiła dużo wrzawy niepotrzebnej, bo złe już się naprawić nie dało, a sąd wojenny nie miał mocy wykonania wyroku. Ogólna suma dokonanej przez Janczewskiego malwersacyi wynosiła 65.700

talarów. Była to jedyna większa malwersacya w powstaniu³⁷⁾. Z powodu odjazdu E. Różyckiego za granicę, mając bardzo ciężkie przed sobą zadanie zastępowanie go w Galicyi, prosiłem Rząd Narodowy o uwolnienie mnie od sądzenia tej brudnej sprawy. Przy tej okoliczności wspomnę, że we wschodniej Galicyi, wszelkie pieniądze, pochodzące czy to z Rusi, czy z Kongresówki, czy nareszcie z podatków miejscowych, wpływały do kasy, która, jak wymieniłem wyżej, znajdowała się w przechowaniu u p. T. T. Wszelkie kwoty na potrzeby oddziałów dowódcy otrzymywali wprost z kasy za memi asygnacyami, a na potrzeby administracyi miejscowej za asygnacyami komisarza Rz. Narodowego. Asygnacye te, ponumerowane i przesnurowane, a opatrzone pieczęcią naczelnego Organizatora, oddane były na przechowanie p. Z. Dziokowskiemu, który wówczas mieszkał w gmachu teatralnym we Lwowie. Jak dowiedziałem się potem, w czasie rewizyi, która się odbywała w teatrze, już po ogłoszeniu stanu oblężenia, obawiając się, aby dokumenta te nie naraziły wielu ludzi na niebezpieczeństwo, wezwawszy kilka osób, między innymi b. członków komitetu wsch. Galicyi Karola Hubickiego, p. Zenona Słoneckiego i p. Alfreda Młockiego, po przepatrzeniu rachunków, p. Dziokowski spalił wszystkie asygnacye; mnie zaś, na moje żądanie, wydali poświadczenie, że rachunki były prowadzone wzorowo i że tylko obawa kompromitacyi wielu osób zmusiła do zniszczenia tych dokumentów.

X.

Rok 1864.

Rok 1863 już się skończył, a od Różyckiego nie było żadnych wiadomości. Posyłałem mu raporty o czynnościach wojskowych, posyłałem telegramy o ważniejszych wypadkach, lecz nie otrzymywałem żadnych odpowiedzi, żadnych instrukcyj. Następnie z dzienników dowiedziałem się, że przybył do Paryża.

Położenie moje z dnia na dzień stawało się trudniejsze, bo jeżeli w organizacyi mogłem zastąpić Różyckiego, to w dowództwie na polu bitwy on był koniecznym, bo posiadał zupełne zaufanie żołnierzy i nikt inny zapewne nie poprowadziłby ich tak dobrze w ogień jak generał. Gdybym chciał objąć osobiście dowództwo nad oddziałem, nie wiem, czy miałbym posłuch i zaufanie, a do tego zaczęły dochodzić mnie wiadomości, że na Rusi boją się i nie pragną wkroczenia. Jeszcze wtedy, gdy Różycki był w Galicyi, otrzymaliśmy stamtąd dwie depesze, które wiele mi dały do myślenia. Muszę przytoczyć te dokumenta ³⁸⁾.

1. Odezwa Wydziału wykonawczego na Rusi d. 5/17 go września 1863 r. do Naczelnego Wodza ziem ruskich L. 61.

»W przedostatniej naszej korespondencyi przesłaliśmy Wam, Jenerale, projekt nasz o rozwinięciu powstania na Rusi. Dziś, po odebraniu raportów od powierzonych nam zarządów, tem więcej opieramy się na naszym zdaniu o niemożności wkroczenia w głąb Wołynia i Podola. Siły, o jakich nas zawiadomił zarząd województwa podolskiego, tak bardzo są szczupłe, że wstąpienie tam niewielkich oddziałów nie-

tylko grozi zupełnem ich rozbięciem, ale nadto demoralizacją ostateczną nielicznej tam organizacyi. Znowu więc pierwotnego trzymając się zdania, za jedynie możliwy projekt uważamy wkroczenie w powiaty graniczące z Lubelskiem, a ponieważ, jak nadchodzą wieści, roboty powstańcze idą tam dobrze, więc i w pogranicznych naszych powiatach łatwiej utrzymać się i stamtąd rozszerzać promień swych działań na dalsze okolice Wołynia».

2. Komisarz pełnomocny na Rusi (Chamiec) Nr. 26. do naczelnego Wodza ziem ruskich d. 7/19. Września 1863.

»Słyszeć nie chcemy o tem, abyś wchodził w głąb kraju z małą siłą, jak również, żebyś ustąpił z nad granic naszych do Lubelskiego. Przekonany jestem, że nie zechcesz, Jenerale, narażać nieszczęśliwej prowincyi naszej na niechybną zgubę. Pozostaw nad granicami Wołynia i Podola od 1000—1500 ludzi, aby w szachu trzymać siły moskiewskie nad granicą rozlokowane; jeżeli można, pozostań z niemi sam, bo Twoje imię większą grozą, niż tysiączne zastępy wojsk; resztę zaś 3—4 tysięcy pod dowództwem ojca Twego lub Strusia poslij na północny zachód Wołynia do powiatów: włodzimierskiego, kowelskiego, łuckiego i dubieńskiego, skombinowawszy to wkroczenie z oddziałami w Lubelskiem, tak, ażeby powstańcy nasi mieli do czynienia z 2—3 tysiącami Moskali. Moglibyśmy przy zręcznie uskutecznionej operacyi i zachowaniu tajemnicy zgnieść Moskali w czterech powiatach i podwoiwszy oddziały na miejscu, jeżeli można rozszerzyć powstanie, lokalizując się na zimę w lasach wołyńskich, lub w gorszym razie pójść w Lubelskie, na Litwę lub nawet wrócić do Galicyi.» L. S.

Byle nie na Ruś!... taki bowiem sens był tych dwóch odezw. O tem usposobieniu kraju wiedzieli i żołnierze, otrzymawszy wiadomości od rodzin. To też nieraz słyszałem piosenkę, którą ułożyli:

„Struś, Struś, Struś!
Spiesz się na Ruś;
Oj nie spiesz się mój ty Strusiu,
Bo cię nie chcą tam na Rusi“.

Można sobie wyobrazić, jak przykre stawało się moje położenie. Naczelný wódz nie wracał, ja zaś, zastępca jego, mu-

siałem pracować nad przygotowaniem wszystkiego do spełnienia planów jego, z którymi w wielu punktach nie zgadzałem się i za które odpowiedzialność miałem przyjąć na siebie; pracowałem jednak z całą energią nad zwiększaniem oddziałów, przeznaczonych do wkroczenia na Ruś i nad organizacją ich jak najlepszą. Lecz już w samym społeczeństwie polskim zaczęła objawiać się apatya i chęć powrotu do czasów dawniejszych, spokojnych. Zresztą kto patrzył zbliska na to, co się działo, mógł spostrzedz, że już po rozprószeniu oddziałów Langiewicza, po klęsce Mierosławskiego i po zniszczeniu pod Ignacewem kwiatu młodzieży Wielkopolskiej, niewiara i niechęć zaczęły się szerzyć zastrasżajaco. Daremne były trudy i nawoływania gorętszych, daremne były obietnice, bo fakta mówiły za siebie. Moskwa wszędzie uderzała potrójnemi siłami, a myśmy nie mieli ani miejsca ani czasu do systematycznej organizacyi oddziałów, do ćwiczenia powstańców w rzemiośle wojennem. Zaledwo się zebrał jaki oddział, a już go rozpraszała Moskwa. Lud prosty, na który liczono, stał na uboczu; mieszczanin szedł, ale utrudzony służbą obozową, którą sobie wystawiał inaczej, wracał czem prędzej pod strzechę rodzinną, lub wałęsał się po dworach, wyzyskiwał gościnność obywateli i objadał ich. W Prusach, w Galicyi, łapano broń, furgony, więziono powstańców. Europa patrzyła obojętnie na to widowisko tragiczne. Zapal ostygał już wszędzie. »Rozumni« podnieśli śmielsze głosy, krytykując wszystko. Czuliśmy, że daremnymi były trudy, bo dopokąd cały naród nie ruszy się jak jeden mąż, bo dopokąd pożar powstania nie ogarnie wszystkich od miasta do miasta, od sioła do sioła, od domu do domu, niepodobna liczyć na udanie się ruchu. Wysoko musi buchnąć płomień powstania, aby blask jego promieni oświecił Europę i rozbudził ją z samolubnego snu bezdusznej polityki, która nie zna innych motywów do akcyi publicznej jak kupieckie interesa. Głośno musi jęknąć rozpacz narodu, aby wołanie to doszło do uszu i do serc innych ludów!...

W ostatnim miesiącu 1863 i w pierwszym 1864 r. kilka razy byłem wzywany do Krakowa na posiedzenia Wydziału Rządu Narodowego. Na posiedzeniach tych więcej się zajmowano kwestyami teoretycznemi, planami przyszłego urzędzenia Polski wolnej, aniżeli wynajdowaniem praktycznych

środków podniesienia powstania. Obrady odbywały się pod kierownictwem Komisarza pełnomocnego Władysława Majewskiego. Te przejazdy dla mnie były bardzo trudne, uciążliwe i niebezpieczne; raz nawet cotylnko nie dostałem się w ręce żandarmeryi w Gródku; uratowali mnie telegrafisci tej stacyi. Korzystając z pobytu w Krakowie w grudniu, uorganizowałem inaczej sposób pomocy powstania w Kongresówce.

Do tego czasu w Krakowie tworzyły się oddziały uzbrojone i wyekwipowane i otrzymawszy dowódcę, wkraczały do Kongresówki. Stąd pochodziło, że w mieście zawsze było mnóstwo młodzieży, należącej do oddziałów organizujących się i pędzącej życie próżniacze i demoralizujące. Nie było możności pozbyć się jej z miasta, które na tem mocno cierpiało; młodzież ta bowiem, nie wstępując do tych oddziałów, które wychodziły w pole, a zawsze należąc do tych, które się organizowały, była ciężarem dla obywateli.

W krakowskiem województwie na czele powstańczych oddziałów stał generał Bosak (Hauke), który podniósł tam sprawę powstania i trzymał w szachu znaczne siły moskiewskie. Otóż, żeby się pozbyć paniczyków, którzy bić się nie chcieli, a bawili się w przyszłych bohaterów, poleciłem organizatorowi zachodniej Galicyi — Skarżyńskiemu, żeby broń i amunicję po dokładnem opatrzeniu posyłał w pakach na miejsca, przez Chmielińskiego, szefa sztabu Bosaka, wskazane, a młodzież po zorganizowaniu w dziesiątki, pod dowództwem sierżantów, wybranych przez organizatorów z liczby starych żołnierzy, osobno wysyłał do oddziałów walczących w Krakowskiem. Było to ciosem dla nich zupełnie niespodziewanym, bo już nie można było odpowiedzieć, że należą do organizujących się oddziałów, dla tego, że tych już nie było w mieście. Rozkaz ten kazałem opublikować w mieście, żeby wszyscy o nim wiedzieli. Młodzież zapytywana co chwile nietylko przez mężczyzn, lecz i przez kobiety, czemu nie idzie tam, gdzie walczą, musiała albo iść, gdzie ją wołał obowiązek, lub wynosić się z Krakowa, który dla nich stał się już drugą Kapuą. Wtedy to mnóstwo z tej złotej młodzieży, aby nie być narażaną na nieustanne przypominanie jej obowiązku, wyniosła się do Drezna, a Kraków pozbył się dar-mozjadów. Ostatni zorganizowany oddział kawaleryi pod do-

wództwem Zwirzdowskiego (Topora) wyprawiłem osobiście. Był to mój kolega z kadeckiego korpusu i z jeneralnego sztabu, dowodził powstaniem w Mohilowskim, a po rozbiciu oddziału i długim tułactwie przybył do Krakowa. Biedaczysko niedługo już wojował, w pierwszej bowiem bitwie ranny dostał się do niewoli moskiewskiej i został powieszony.

Jak wspominałem wyżej, powstaniem w krakowskim województwie dowodził Bosak bardzo szczęśliwie. Siostra jego rodzona, dama dworu moskiewskiego, wyszła za mąż za W. ks. Aleksandra Hessen-Darmsztackiego, brata cesarzowej moskiewskiej. Hauke wychował się w paziowskim korpusie w Petersburgu, potem służył na Kaukazie i w randze majora wzięwszy dymisyę, poszedł do powstania. — Gdym go pierwszy raz poznał, nosił się on z planami dziwnego pomysłu. Zaproszony przez niego, odwiedziłem go w domu; tu mi on opowiedział plan prowadzenia powstania, który zamierzał przedłożyć Rządowi Narodowemu. Według tego planu »potrzeba było założyć obóz ufortyfikowany w górach krakowskiego województwa, gdzieby wojsko powstańcze mogło się zamknąć. Wzięcie takiego obozu potrzebuje najmniej trzech lub czterech miesięcy czasu, prowadząc regularne oblężenie. Gdy już nieprzyjaciel będzie bardzo blisko i opór przeważnej sile będzie niepodobny, wtedy oblężeni robią nocną wycieczkę i szybko przeszedłszy na inną górę, zakładają znowu obóz ufortyfikowany, który Moskale będą musieli oblegać na nowo ze trzy miesiące. Tak przenosząc się z miejsca na miejsca i trapiąc nieprzyjaciela wycieczkami, możnabyby doczekać interwencji Europy«.

Jeżeli ten człowiek otrzyma oddzielne dowództwo, niewiele z niego będzie pociechy — pomyślałem sobie — i mocno się pomyliłem. Byłto człowiek charakteru słabego i niechętej głowy, ale niezmiernie szlachetny, miły w obejściu i zgodliwy. Mając do pomocy energicznego, zdolnego i rzutkiego szefa sztabu Chmielińskiego Zygmunta, pozostawił mu kierownictwo działaniami wojskowemi, a sam zajmował się administracją, godzeniem powaśnionych, łagodzeniem nieporozumień, łączeniem tego, co się rozluźowywało i znoszeniem się na zewnątrz. W tem też leży największa jego zasługa. Zdarzyło się, że Chmieliński, przywykły do subordynacji wojskowej, kazał obić jakiegoś powstańca za naruszenie

dyscypliny. Rozżalony delinkwent pobiegł na skargę do Bosaka.

— Mój bracie drogi — rzekł mu generał — jestem przekonany, że ty tak samo jak i ja oddajesz sprawiedliwość Chmielińskiemu, że jestto człowiek uczciwy i pełen poświęcenia, lecz bardzo gorący i nie lubi żadnego nieporządku w oddziale; czy tak?

— Tak jest, panie generale, ale...

— Pozwól mi wypowiedzieć myśl moją. Widzisz, jak się on wszędzie naraża osobiście, jak się stara o waszą spokojność i o to, żeby wam nic nie brakowało; żeby w oddziale wprowadzić ład i porządek, a przez to stać się strasznym nieprzyjacielowi; czy tak?

— Prawda, panie generale.

— Robi on to dla miłości biednej ojczyzny naszej. Przebacz więc i ty, mój bracie, pułkownikowi jego prędkość dla miłości ojczyzny, ja ciebie o to bardzo proszę za niego.

I powstaniec obity szedł od generała zadowolony, dając sobie słowo nie narażać się już więcej na prędkość pułkownika. Opowiadanie to słyszałem z własnych ust Bosaka w czasie wspólnego pobytu na emigracyi w Genewie.

To też rzeczywiście służba w oddziale Bosaka odbywała się lepiej niż gdzieindziej, a żołnierz trzymany w ryzie bił się lepiej i nie dał się podejść niespodzianie. W tem właśnie leży cała tajemnica, dla czego ten oddział trzymał się tak długo w Krakowskiem. Ze śmiercią Chmielińskiego dyscyplina rozluźniła się i oddział został rozprószony, a Bosak wyjechał za granicę.

Z początkiem r. 1864 zniechęcenie obywateli Galicyi do powstania przybrało takie rozmiary, tak wielu ludzi zaczęło usuwać się od prac organizacyjnych, że Wydział Rządu Narodowego na Galicję zmuszony był zrobić wezwanie (7. Stycznia), w którym odmawianie współdziałania w pracy i nieprzyjmowanie posad przeznaczonych, kwalifikuje jako zbiegostwo.

Jednocześnie prawie nastąpiła bardzo wielka zmiana w usposobieniu rządu austriackiego dla powstania. Do tego czasu, mając przekonanie, że sprawa polska stanie się kwestyą europejską, Austria nie występowała przeciw nam zbyt

ostro. Prześladowania, aresztowania, konfiskata broni robiły się być może więcej dla oka, *ut aliquid fecisse videatur*, niż dla przeszkodzenia rozwojowi powstania. Były pertraktacye z Francją dla przekonania się, do jakiego stopnia to mocarstwo zechce się zaangażować w tej sprawie, lecz doszedłszy do przeświadczenia, że Francya cofa się, a wszystkie wysiłki nieszczęśliwego narodu nie mają przyszłości i nie mogą przynieść żadnych namacalnych korzyści, a tymczasem widząc, że Moskwa zaczyna się gniewać na nią, Austrya postanowiła zmienić swe postępowanie i przyczynić się do zduszenia powstania, które dogorywało. To też od stycznia rząd zaczął występować przeciwko powstaniu bardzo energicznie: wszystkie więzienia napełniły się powstańcami i członkami organizacyi, a konfiskaty broni i amunicyi stawały się prawie codzieniami. Potrzeba było pomyśleć o ratowaniu tego, co się pozostało. Postanowiłem więc oddział Chranickiego, rozmieszczony w Brzeżańskim, wysłać jak najprędzej w Lubelskie, aby uchronić go od dezorganizacyi, sprowadzonej nieustannymi aresztowaniami. Oddział ten już liczył do 500 ludzi, ale broni jeszcze nie miał. Zakupną i ekspedycyi broni podjął się adwokat Ignacy Kamiński ze Stanisławowa. Otrzymawszy 30 tys. zł. austr. z poleceniem zakupną 1000 karabinów wyjechał do Wiednia i zamówił broń u pewnego Niemca. Broń wysłano do Lwowa w beczkach frachtem jako cukier. Gdy dano mi znać, że już przyszła, prosiłem naczelnika okręgu lwowskiego, żeby nakazał naczelnikowi obwodu brzeżańskiego p. Jakubowiczowi przyjąć broń i przechować. Jakubowicz nie cierpiał mnie od chwili rozwiązania Komitetu wschodniej Galicyi i uważał jako terrorystę. Nie wiedząc, co zamierzam zrobić, i obawiając się, jak się odzywał, »żeby Struś nie skierował niezadowolonych powstańców przeciwko obywatelstwu», odmówił przyjęcia broni. Wszelkie prośby, namowy, a nawet i groźby naczelnika okręgu na nic się nie przydały. Dostawca Schember, obawiając się wzbudzenia podejrzenia z powodu, iż frachtu nikt nie odbierał przez więcej niż dwa tygodnie, poleciał towar cofnąć do Ołomuńca. Tu zadenuncyonowano go i cały transport został skonfiskowany. Po otrzymaniu wiadomości o tem w Wiedniu, policya udała się do pomieszkania Schembera w celu aresztowania go. Przesraszony ekspedytor prosił o pozwolenie zmiany bielizny

przed wyjazdem z domu do więzienia, a gdy mu to pozwolono, poszedł do drugiego pokoju, wypił przygotowaną truciznę i padł trupem na miejscu. Śledztwo wykryło, że broń zamówił Kamiński; zaczęto przeto szukać go po Wiedniu. W tym czasie właśnie otrzymałem od niego list, który dał mi możliwość poznania pięknego i szlachetnego charakteru tego człowieka. Pisał on do mnie, że poczuwając się do winy, iż powstanie poniosło przez niego taką wielką materialną stratę, poczuwa się do obowiązku wynagrodzenia tej straty: «przysyłam panu kwit na 30 tys. złr., które za okazaniem w stanisławowskiej kasie oszczędności możesz podnieść na pokrycie straty; jest to wszystko, co posiadam i co złożyłem dla zabezpieczenia starości mojej i przyszłości dzieci. Niech ta ciężka kara posłuży za przykład dla wszystkich, z jaką ostrożnością powinni spełniać podobne poruczenia, żeby kraju nie narażać na stratę». Ze względu, iż kraj poniósł szkodę nie z winy Kamińskiego, lecz p. Jakubowicza, uważałem, że niesprawiedliwem byłoby korzystać z wygórowanej uczciwości człowieka, wydzierając mu oszczędność całego życia jego. Odesłałem więc mu rewers, a doniosłem do Rządu Narodowego o całej tej sprawie i o mojem postąpieniu. Rząd uznał jego słuszność, a ja poznałem człowieka, dla którego od owej chwili mam wielki szacunek i poważanie.

Upadek ducha i zniechęcenie w obec ciągłych nieszczęść, klęsk i strat dogorywającego powstania rosły tak nieustannie, że zmuszały władze narodowe prawie co kilka dni odwoływać się do obowiązków patryotycznych, upominać trwożliwych albo niechętnych, aby nie opuszczali Ojczyzny w chwilach, gdy się los jej waży między zbawieniem a wieczną zagładą i przypominać, że opieszałość i niechęć są zdradą sprawy narodowej. W końcu stycznia, naczelnik okręgu lwowskiego ogłosił, że nikt nie może uchylić się od przyjęcia i sumiennego pełnienia danych przez umocowane do tego osoby poleceń i że co do osób, uchylających się od służby publicznej, będzie zarządzone śledztwo, a imiona, przekonanych o uchylanie się od służby, lub od udziału w ciężarach narodowych, będą ogłaszane w pismach publicznych dla przekazania tych imion na wzgardę teraźniejszego i przyszłego pokolenia ³⁹).

Takież samo zwątpienie i takież ociąganie się od służby dotknęło także szeregi wojsk narodowych. Wydział wojenny Rządu Narodowego musiał 22 grudnia 1863 r. wydać rozkaz następujący:

»Rząd Narodowy, zważywszy złe skutki, wynikające z wydalania się oficerów wojsk narodowych po za granice kraju, rozkazał, aby wszystkich oficerów wojsk narodowych, którzy do 1 Lutego 1864 r. nie przybędą do właściwych komend, pozbawić stopni oficerskich, a imiona ich w rozkazie dziennym wydziału wojny ogłosić. Oficerowie ci nadal mogą być przyjętymi do wojska, lecz tylko jako szeregowi«⁴⁰⁾.

Równocześnie z upadkiem ducha, brak funduszków na potrzeby powstania zmusił Rząd Narodowy dekretem z dnia 26. Stycznia⁴¹⁾ uchwalić prawo podatkowe po 10% od czystego rocznego dochodu, a tej samej daty odezwą z polecenia naczelnika okręgu lwowskiego naczelnik miasta Lwowa wezwał do składania na rzecz sprawy narodowej złotych i srebrnych przedmiotów dla dania Rządowi Narodowemu środków do uzbrojenia ludzi, którzy z braku broni nie mogą wystąpić na linię bojową. Wydział miejski upoważnił pewną ilość pań polskich do zbierania tych przedmiotów i do wysłania ich potem w miejsca, przez Rząd Narodowy wyznaczone⁴²⁾. Polki nie zostały głuchemi na wezwanie Ojczyzny: kosztowności posypały się ze wszystkich stron, nietylko zegarki, medaliki, krzyżyki, ale nawet pierścionki ślubne poszły na ołtarz Ojczyzny. Lecz podatki wpływały niesłychanie powolnie pomimo okólników i licznych zawezwań, bo czasy stawały się coraz cięższe, stagnacya była powszechna, a Galicya do zamożnych prowincyj nigdy nie należała. Mało tego, w skutek oddania się pracy narodowej i zaniedbania gospodarstwa kilku obywatelom, którzy tak zbiednieli, że z rodzinami swemi żywili się już tylko ziemniakami, musiałem posłać po kilkaset złotych zapomogi z kasy wojskowej, aby mogli przetrwać do wiosny. Nie śmiem wymieniać imion tych szlachetnych ludzi, aby nie obrazić ich skromności.

Na tem miejscu, jakkolwiek przychodzi mi to wypowiedzieć z wielką przykrością, muszę wspomnieć o funduszach, któremi rozporządzało powstanie. Nikt nam Polakom nie odmówi wielkiej zdolności poświęcenia. W chwili uniesienia jesteśmy zdolni poświęcić mienie nasze i życie, więcej jednak

to ostatnie jak mienie. Stosunek ofiar pieniężnych do ofiary krwi wykazuje wyraźnie, iż łatwiej jest nam poledz w bitwie, łatwiej oddać życie na męczeństwo, aniżeli złożyć pieniądze na ołtarzu Ojczyzny. Kwoty podatku, złożonego przez naród w czasie ostatniego powstania, dobitnie świadczą tę nierówność ofiar. Podatki zawsze zbierane były z wielką trudnością i zaległości nieustannie były bardzo znaczne. Ztąd też i uzbrojenie narodu nie mogło być dostateczne, a dostarczanie broni przy udowodnionej malwersacyi niektórych agentów nie odpowiadało potrzebom wielkiej walki, jaką naród prowadził.

Według wiadomości, z bardzo pewnych źródeł poczerpniętych, komitet centralny w chwili rozpoczynania walki miał zaledwo 80 tysięcy złp. w swej kasie, a cała suma zebrana przez niego przed powstaniem nie dochodziła do cyfry 500 tys. złp. To co mówią o wielkich ofiarach pieniężnych, złożonych w ciągu powstania, jest zupełnie mylnem. Litwa, z której Murawio w lekko licząc wycisnął przeszło 14 milionów rubli, do kasy wydziału rządzącego na Litwie przez cały czas najgorętszego ruchu złożyła zaledwo sumę 150 tysięcy rsr. Wołyń, Podole i Ukraina do miesiąca Lipca 1863 nie złożyły nawet 300 tys. rsr. Galicya przez cały czas trwania powstania nie złożyła nawet 500.000 zł, a przecież w każdej z tych prowincyj są tak zamożni ludzie, że niektórzy sami mogliby byli złożyć większe sumy bez doprowadzenia siebie do bankructwa. Jedna tylko Warszawa zaszczytny stanowiła wyjątek, bo w pierwszych miesiącach powstania złożyła większe sumy od całego kraju. Zjawiska tego nie tłumaczy nam ubóstwo kraju, gdyż nie żałujemy grosza na przyjemności życia, wygody i zabawy, nie jest to i zmateryalizowanie, gdyż mniejsze ono jest u nas aniżeli gdzieindziej.

Przyczyna tej nierówności ofiar krwi i pieniędzy w chwilach stanowczych składanych leży po części w niechęci do powstania i niewiara w jego powodzenie ludzi zamożnych, posiadających kapitały. Wielka ich liczba pod wszystkimi trzema zaborami, a nawet takich, co przy każdej sposobności mówią o patriotyzmie swoim, opuściła kraj i wtedy, gdy krew obficie lała się, siedzieli za granicą na swoich kapitałach. Znamy takich, co miliony posiadają, a nie zapłacili nawet podatku narodowego, którego stopa wcale nie była wy-

soką. Pochowali się w bliskich i odległych okolicach Europy, żeby ich nikt wynaleść nie mógł i nie zaniepokoił ospałego sumienia wyrzutami za beczynność i skąpstwo. Średnia klasa, ludzie miernej zamożności, dzielili się czem mogli z powstańcami: chlebem, solą i koszulą, a do kas narodowych nieśli drobny swój datek, nie targując się o sumę, na nich naznaczoną. Włościanie w niektórych okolicach kraju, pomimo, że byli uwolnieni od podatku przez Rząd Narodowy, sami dobrowolnie składali pieniężne ofiary, a dziedzice starostw, owego chleba zasłużonych, danego im przez kraj i kapitaliści zamknęli kieszenie i serca dla sprawy niepodległości, nie dając powstaniu chętnego poparcia, pracy ani pomocy. Prawda, że nie o wszystkich da się to powiedzieć, byli pomiędzy nimi ludzie, co się z Ojczyzną nie targowali, którzy i sami się narażali i kufry swe otworzyli dla walczącego kraju, liczba ich jednak była tak mała, że nie upoważnia do cofnięcia tego, cośmy w ogóle powiedzieli. To skąpstwo bogatych, ta niewiara ich w powodzenie powstania, podejrzywanie ludzi, co niem kierowali, o komunistyczne zamiary, to jedna z przyczyn owej małej sumy podatków, złożonych do kas narodowych. Inną a ważniejszą przyczyną było ciągle oglądanie się i rachowanie na nich. Każdy mało posiadający mówił sobie: dałem mało, ale za to tamten bogatszy odemnie da więcej, a tymczasem bogaty dał mało albo i nic, a pieniędzy w kasach nie było na wszystkie potrzeby. Toż samo się dzieje z każdym przedsięwzięciem. Nigdy nie spieszymy z poparciem go, bo nie rozumiemy, że mało, a ciągle ofiary i grosze dawane przez wszystkich, przedsięwzięcie poprzeć i utrzymać są w stanie, a zawsze rachujemy, że bogatsi nas zastąpią. Kto ma u nas odwagę inicjatywy w jakimkolwiek ogólnego pożytku przedsięwzięciu, sam na swoich barkach musi dźwigać jego ciężary, bogaci nie wesprą go, a ubożsi niedostatkiem usprawiedliwić usiłują swoją obojętność. Takim sposobem mało przedsięwzięć u nas się udaje, a wytrwałość i dobra wola pojedynczych ludzi w końcu uledek musi, chociaż na stowarzyszeniach robotniczych, rozporządzających milionami, możemy przekonać się o potędze solidarności.

Dziennikarstwo wrogie nam starało się zohydzić powstanie kłamliwym twierdzeniem o nadużyciach pieniężnych,

których się dopuszczać miała organizacja. Na to odpowiemy, że Rząd Narodowy nie brał pensji i każdy z jego członków służył bezinteresownie sprawie narodowej. Żaden naród nigdy nie posiadał rządu mniej kosztującego, bezinteresowniejszego, skromniejszego i uczciwszego. Można źle mówić o talentach rządzących i energii ich politycznej, lecz zbrodnią jest zarzucić nieuczciwość tym ludziom, co po kilka, a nawet po kilkanaście miesięcy pod stryczkiem stojąc, rządili i postawili ową zdumiewającą siłę organizację. Bez próżności, bez ambicyi utrzymywali powstanie półtora roku i nieznanymi imieniami zesłali ze stanowiska rządzących, ażeby pójść albo na szubienicę, albo na Sybir, lub też na wygnanie między obcych, gdzie ciężką pracą i nieraz o głodzie zarabiali na kawałek chleba.

Urzednicy Rządu Narodowego także nie brali żadnych żołdów. W późniejszym dopiero czasie wyznaczano na podróże komisarzom i innym urzędnikom niewielkie sumy, jak również i na życie, gdyż wówczas wszystko już byli potracili: majątki i zarobki, a potrzebowali żyć, ażeby obowiązki swoje wypełniać. Z wyjątkiem kilku urzędników, za granicą będących, każdy w kraju wstydził się brać pensję stałą. Nieuczciwości dopuściło się zaledwo kilku zagranicznych urzędników, agentów i kuryerów dopiero w końcu powstania, ale te malwersacje nie pochłonęły sum olbrzymich. Jeżeli się zjawiali pomiędzy organizacją złodzieje, to i oni wszystkim byli znani i palcem wytykani. Uczciwość jednak była w regule i ona to wytworzyła ową ufność do Rządu, która była siłą powstania. Pieniądze z Litwy, o które procesował Mierosławski, zamieniono na fundusz żelazny, nieuroniono z nich ani grosza, a z procentu kilkunastu młodzieży pobierało nauki.

Ze względu, że w chwilach upadku ducha, zaczyna ujawniać się najjaskrawiej ciemna strona charakterów ludzkich, nadto, że w takich chwilach ludzie szukają winowajców, szukają ofiar, na których mogliby pomścić swe zawiedzione nadzieje, Rząd Narodowy nakazał 16 lutego ustanowić »Sądy obywatelskie«, dla karania niechętnych, słabych i nikczemnych odstępców, dla obrony obwinionych oszczerczo i dla oczyszczenia tych ostatnich od zarzutów, które nieraz głęboko raniły rodziny i pojedyncze osoby, wyrządzając im niepowetowaną krzywdę⁴³).

W początku lutego 1864, zaczęto głośno mówić o zamiarze Rządu anstryackiego ogłoszenia w Galicyi stanu oblężenia. Dla odjęcia Rządowi wszelkich powodów ku temu, Wydział Rządu Narodowego dla Galicyi, odezwą z d. 14. Lutego ogłosił że Rząd Narodowy, stojąc przy wytkniętym w pierwszym swym manifeście programie, pragnie utrzymać Galicyę w obec walki z Moskwą na stanowisku tylko pomocniczem i że Rząd Narodowy jest nie tylko przeciwny powstaniu w ziemiach polskich poza zaborem moskiewskim, lecz że wszelkie usiłowania, aby wzniecić w Galicyi powstanie, uważa za zdradę stanu.

Nie na wiele się to przydało.⁴⁴⁾ Z jednej strony Bismark nalegał na Austryę, aby dopomogła do ostatecznego stłumienia powstania, obiecując za to pomoc przeciwko Włochom, którzy już się zrywali do wojny z Austryą, z drugiej strony, w samej Galicyi utworzyła się partya, która bądź co bądź pragnęła stłumienia ostatnich drgań nieszczęsnego powstania. Deputacya, składająca się z ośmiu osób (sic!) była u hr. Mensdorfa, prosząc go o ogłoszenie stanu oblężenia w Galicyi. Mensdorf odniósł się do Wiednia.

W połowie lutego przysłano z Paryża na moje ręce papiery pożyczki narodowej na 7 milionów zł. pols., które miałem przyjąć i przesłać dalej na Ruś. Było tego całe trzy wielkie paki. Po przeliczeniu i ponownem opakowaniu odesłałem przez pierwszą pograniczną ekspedycyę, skąd p. Adam Paygert miał przesłać na Podole. Paygert, widząc koniec powstania i obawiając się, aby nie skompromitować wielu osób tymi papierami, miał je zakopać w ziemi. Tym sposobem zginęły papiery, których przygotowanie, jak słyszałem, kosztowało 30 tys. fr.

Sawa ciągle zwlekał z wkroczeniem w Lubelskie, chociaż już wszystko oddawna było gotowe, chociaż wszystko otrzymał, co mu tylko dać mogłem, a z okręgu krakowskiego dostał nawet race palne i granatniki, których nie miał żaden oddział powstańczy. Przewidując możliwą katastrofę, codziennie go przynaglałem do jak najprędzszego przejścia granicy, co tak go rozgniewało, iż zaczął mi prawić różne niegrzeczności, lecz że i ja mam krew nieco gorącą, wyzwalem go na pojedynek. Sawa w pierwszej chwili zmieszał się, ale potem odrzekł, że przyjmuje wyzwanie, lecz stawi się

nie wcześniej, jak po ukończonem powstaniu. Od tej chwili intrygi jego wzmożyły się. Do Rządu Narodowego napisał list, żądając, żeby dla ułatwienia mu czynności w Lubelskiem, wkroczo no naprzód na Ruś. Wszystkie listy jego pełne skarg na mnie do Rządu Narodowego przechodziły przez moje ręce, mogłem więc zawsze dołączyć do nich objaśnienia i usprawiedliwienia, upraszając Rząd, aby nakazał mu nie zwlekać już ani chwili, lecz wkroczyć w Lubelskie natychmiast. Ale rozkazy Rządu Narodowego tyle skutkowały co i nalegania moje. Rozżniewany tem wszystkim, wezwałem do siebie Rudnickiego, i w obecności delegata Rusi Bronisława Żukowskiego, Rolbieckiego i Tomasza Winnickiego zapytałem go, czy ma zamiar wystąpić, czy nie, bo jeżeli nie, to ja wezmę te oddziały pod moje dowództwo i z nimi wkroczę do Kongresówki, a niech on zostanie w Galicyi. Przyparty do muru, Sawa był zmuszony oznaczyć termin wystąpienia za pięć dni w obec świadków. Ale do wymarszu nie przyszło, gdyż znowu coś mu przeszkodziło i wymarsz oddziału powstrzymał. Następnie, gdy się oddział zebrał na punkt, z którego mieli przejść granicę, a było to 20 Marca, (już po ogłoszeniu stanu oblężenia), dowódzca się nie stawił na miejscu z niewiadomej przyczyny, a oddział poszedł w rozsypkę przed jakimś patrolem austriackim; starsi oficerowie z oddziału tego, wzięwszy pieniądze, udzielone im na organizację, wyjechali za granicę.⁴⁵⁾ Pieniądze, które wziął odemnie Sawa na wyprawę, w kwocie 6 tys. złr., i które były moim ostatnim zasobem, sprzeniewierzył mu jeden z obywateli z przemyskiego. Ale o tem — potem. Rudnicki (Sawa) wyjechał za granicę i natychmiast przystąpił do sztabu generała Mierosławskiego.⁴⁶⁾

W końcu stycznia Komisarz pełnomocny Rządu Narodowego w Galicyi wydał odezwę, polecającą ścisłą organizację galicyjskich miast i miasteczek, dla rozbudzenia w nich stosownemi środkami poczucia narodowego do coraz większych objawów. Miał on nadzieję, iż wypłynię, stamtąd zasilanie wojsk narodowych nowymi ludźmi z łona miasteczek, tudzież przeobrażanie obojętnej, lub zepsutej opinii chłopstwa o sprawie narodowej, które to chłopstwo z miasteczkami w ciągłem i najbliższem znajduje się zetknięciu.⁴⁷⁾ Myśl była dobra, niestety spóźniono się z nią i już nie przyniosła

żadnej korzyści. W chwili tej, gdy się wszystko rwało, gdy ludzie usuwali się jeden po drugim, gdy władza stawała się cierniową koroną, żadna odezwa już nie mogła zelektryzować, jeden czyn tylko mógł z odrętwienia ogół ocucić, lecz i czyn w tych okolicznościach już był niemożliwy.

W połowie lutego zaczęła obiegać w kraju głucha wieść o mogących, czy mających wybuchnąć rozruchach w Galicyi. Prawdy w tem żadnej nie było, bo i szaleniec nie zapali domu, w którym znalazł ukrycie, a jednak zaniepokoiło to bardzo publiczność i było powodem wydania d. 15. lutego 1864, przez Naczelnika okręgu krakowskiego okólnika do obwodowych. Okólnik ten uważam za potrzebne przytoczyć w całości: ⁴⁸⁾

»Z różnych raportów władz prowincjonalnych doszło do wiadomości naszej, że od niejakiego czasu rozbiegły się po kraju wieści, niepokojące opinię publiczną, demoralizujące usposobienie obywateli o mogących czy mających wybuchnąć rozruchach w Galicyi. Wydział administracyjny, już ze stanowiska swego mogąc mieć szerszy pogląd na rozwój spraw publicznych, głęboko przeświadczony ze trwoga ta zupełnie jest pozbawiona podstaw rzeczywistych, wzywa cię, obywatelu, ażebyś wszelkich dołożył usiłowań do uspokojenia tego nieuzasadnionego popłochu i wiania we wszystkie warstwy przekonania, że wytrwanie na swoim stanowisku, energiczne wykonywanie przyjętych na się obowiązków jest najpoważniejszą rękojmią, że mary żadne nie przybiorą nigdy ciała; gdy odwrotnie jakieś niemeskie przerażenie przyodziewa urojenia w olbrzymie kształty i staje się właśnie przyczyną ich poczęcia, urodzenia i wzrostu. Ponieważ jednak pogłoski te, źródło jakieś, prócz gadatliwości ludzi pozbawionych siły moralnej, mieć muszą, zdaje się więc, iż się płaczą po kraju indywidua, mające jakiś cel ukryty w rozsiewaniu podobnych wieści. Indywidua te są, wnosić można, albo podrzędne figury urzędów austriackich, które postrachem chcą zaintymidować obywateli, zmylić im drogę obowiązków, a nakoniec bodaj wieściami usprawiedliwić środki represyjne; albo też ludzie pozbawieni daru zdrowego zapamiętania się na stosunki kraju, którzy wyzyskując stan moralnego wzburzenia, w jaki rok powstania w prowincjach pod zaborem Moskwy wprowadził inne części Polski, w tej

agitacyi upatrują niby środek podnoszenia ducha, a rzeczywistość próżniacką włączę we własnych widokach chcą podnieść do sztucznej ważności, podsuwając jej udane polityczne cele. Jednych jak i drugich śledzić jest to w tej chwili najważniejsze zadanie politycy narodowej, aby dojść do źródła prawdziwego tych, wszelką pracą paraliżujących pogłosek, a wykrywszy, wytepić w samym zarodzie złe, podkopujące zaufanie, tę całą siłę władzy naszej. Jeżeli się pokaże, że początek dały władze austriackie, wykryć tę podłą intrygę, skrzyżować jej zabiegi i wyciągnąć na jasność dzienną, powinno być, obywatelu, twojem usilnem staraniem, a jeżeli zaś indywidualna, niby służące sprawie narodowej, przykładają rękę do tych intryg zbrodniczych, trzeba je wysledzić, o ile można, uczynić nieszkodliwymi, odstawiając za pomocą organizacyi kadrów wojskowych do pierwszego oddziału, działającego za granicą Galicyi. Gdyby to się w żaden sposób skutecznie nie dało, wypada natychmiast zasięgnąć rady i pomocy władzy wyższej, którą i tak bez względu na okoliczności, potrzeba nadzwyczaj śpiesznie zawsze uwiadamić, tak o osobach agitujących, jak i o stopniu agitacyi. Jednak jest jeszcze trzecia przyczyna tych podburzających wieści, której pominąć nie można: są to czasem indywidualne odgróźki rozżalonych za niegościnnie przyjęcie w źle usposobionych domach naszych żołnierzy,⁴⁹⁾ za nisko umyślowo wykształconych, aby doniosłość słów swoich pojąć mogli; w tym wypadku środek zaradzenia złemu, niezawodnie trudniejszy do wyszukania, jednak i tu szukać go niepowinieneś nigdy, obywatelu, zaniedbywać, jednej stronie wybryk skarcić wypada, a drugiej przedłożyć, jak błahe na pozór niedopełnienie obowiązku może stać się powodem zaniepokojenia okolic całych; gdyby upomnienie nie odniosło skutku, organizujące się sądy obywatelskie dostarczą środka gruntownego zapobieżenia nadal podobnemu nikczemnemu szkodzeniu sprawie publicznej. Na każdy wypadek zalecamy Ci, obywatelu, podwoić w tej chwili zapobiegliwość Twoją, a o rezultacie pracy złożyć w czasie według możliwości jak najkrótszym sprawozdanie Wydziałowi Administracyi.« M. P.

W okólniku tym są przytoczone prawdopodobne źródła pogłosek, lecz nie wspomniano nic o jeszcze jednym, które niestety istniało.

Jak w każdym społeczeństwie, zepsutem niewolą, jest u nas pewna klasa ludzi, wyznająca zasady epikurejskie i dla których używanie jest głównem zadaniem życia. Dla takich ludzi powstanie kraju, psujące im swobodę używania, wymagające ofiar i poświęcenia, jest strasznem nieszczęściem, ciężką klęską, którą zażegnać jest ich najwyższem życzeniem, chociażby kosztem własnej czci i godności. Policja narodowa niejednokrotnie przekonała się, że byli ludzie, zajmujący wysokie stosunkowo stanowiska społeczne, którzy dla tego, aby synowie ich nie poszli do powstania, donosili policji austriackiej o dowódcach oddziałów, mających wystąpić. Dowody tego moralnego upadku miałem w rękę, a jeżeli nie chcę przytaczać imion, to tylko dla tego, aby nie robić przykrości dzieciom ich, które spełniły swe obowiązki.

Inni, nie mając energii do wystąpienia przeciwko za-
pałowi ogólnemu, który ich otaczał, i nosząc w duszy pragnienie powrotu do dawnego stanu rzeczy, przyjmowali jednak dla oka rewolucyjne posady, na których starali się niczem nie przyczynić do podniesienia siły powstania, czy to pod względem moralnym, czy materyalnym. Ci ludzie z cicha ciągle powtarzali bliskim sobie: »Pocóż podtrzymywać walkę z taką straszną potęgą nieprzyjaciela bez nadziei wygranej? im prędzej się powstanie skończy, tem lepiej dla kraju, bo mniej ofiar poniesie«. Takich ludzi, niestety, było niemało i oni to, utyskując ciągle nad nieszczęściami ukochanej przez nich Ojczyzny, puszczając w ruch najpotworniejsze bajki, wpływali na ostudzenie ducha i demoralizowali otoczenie. Czynność tych ludzi była strasznie niebezpieczna, bo pokryta płaszczykiem patryotyzmu i miłości do kraju.

W lutym także, Namiestnik nakazał wszędzie starostom postawić warty chłopskie na drogach dla łapania powstańców i wojennych transportów. W skutek tego Wydział Rządu Narodowego na Galicyę, d. 17. lutego wystosował odezwę do duchowieństwa, upraszając je, aby wpłynęło na lud wiejski, by ten nie przeszkadzał powstaniu.⁵⁰⁾ Lecz w tym czasie już postawa duchowieństwa w Galicyi niekoniecznie odpowiadała pojęciom patryotycznym. Widząc, że wskutek udziału w narodowym ruchu siła i znaczenie tej ważnej warstwy społecznej osłabły i chcąc wrócić do dawnego położenia, wyższe duchowieństwo nagle zwróciło łódkę św. Piotra w stronę

przeciwną i skierowało ją do spokojnego brzegu, nie oglądając się na niedaleką swą przeszłość. Okólnika Papieża Piusa IX, zalecającego modły za nieszczęśliwą Polskę, nie pozwolono ogłosić w Galicyi. W początku 1864 r., na rozkaz Murawjowa na Litwie, nakazano podpisywać adres wiernopoddańczy do cara. Wielu kapłanów Litwy z obawy prześladowania i męczeństwa podpisało go. Wtedy to odezwał się »Głos kapłana polskiego«, wzywający do modlitwy za Ojczyznę, aby odniosła tryumf w sprawie, którą tak dzielnie bronią męczennicy i której błogosławi Ojciec Kościoła. Protestując zaś przeciwko listom pasterskim na Żmudzi i okólnikom konsystorza wileńskiego, nawołującym do owczarni moskiewskiej, odezwa wzywa: »Bracia kapłani! Zaprzaństwo wasze wobec głosu Naczelnika Kościoła jest błędem wielkim, napełniającym nas smutkiem, a świat zgorszeniem. Upadliście jako ludzie, ale na głos prawego Rządu naszego, który w swych odezwach, życzenia narodu przedstawia, powstańcież! bo dzień miłosierdzia Bożego nad wami przeminie — biada wam wtedy, wasze imiona przejdą na wzgardę dalekich pokoleń.« Odezwę tę, napisaną gorąco prześlicznym językiem i idącą prosto do serca, a odznaczającą się argumentacją, Rząd Narodowy nakazał rozesłać do wszystkich kapłanów Galicyi.⁵¹⁾ Nie znalazła ona uznania u administratora dyecezyi krakowskiej, ks. Antoniego Junoszy Gałęckiego, który ją potępił i zabronił rozpowszechnienia.

Na wiosnę 1864 ukazała się w Galicyi niewielka broszura pod tytułem: »Suprema lex salus populi«, którą obeszano drogą organizacyi wszystkich proboszczów wiejskich i miejskich i prawie wszystkich księży w Galicyi. Broszura ta wzywała duchowieństwo, aby w kazaniach przede wszystkim traktowało rzeczy ojczyście, aby działało dla sprawy polskiej, aby wpływano na ludność, aby dawano rekruta, płacono podatek narodowy i t. d. Przeciwko tej broszurze, która zresztą wrażenia żadnego wywrzeć nie mogła w obec omdlenia powszechnego i stępienia serc i umysłów ks. b. Gałęcki wystąpił d. 9. Kwietnia z okólnikiem do duchowieństwa. Zaznaczając pojawienie się jej, okólnik powiada, że „pismo to jest przeciwne nauce Chrystusa, bo chce zrobić duchowieństwo narzędziem władzy doczesnej i polityki, chce uczynić lud posłusznym »tak zwanemu« Rządowi Narodowemu,

podżega lud przeciwko rządowi i Galicyę chce oderwać od Austrii, to jest, przypisuje jej takie cele, o których tam nie ma ani wzmianki. Rozpisawszy się na ten temat obszernie, ks. b. Gałęcki ostrzega duchowieństwo, aby się nie stało narzędziem, o jakim wyżej mowa, bo je potem rzuca; wzywa, aby duchowni ostrzegali lud przed fałszywymi naukami, i ażeby lud ten czcił „istniejące władze, od Boga ustanowione“. Widocznie ks. bisk. Gałęckiemu szło szczególnie o zaznaczenie lojalności swojej, bo broszura ta i tak nie znalazła żadnego rozgłosu.

To samo się działo i w Galicyi Wschodniej. Duchowni polscy, starając się dopiąć jedności w kierunku, wydali odezwę do kapłanów, wzywając ich do łączenia się w tak zwane „Zjednoczone duchowieństwo“.

Wskutek tego Arcybiskup lwowski (ks. Wierzchlejski) wydał d. 24. maja 1864, odezwę ⁵²⁾ do podwładnego mu duchowieństwa, z której przytaczam kilka wyjątków.

»W obec ciężkich obelg, miotanych przez „Zjednoczone duchowieństwo“ na mocarstwa, pod których panowaniem zostają części dawnej Polski, wobec orzeczenia, że rządy te nie mają żadnego prawa do naszej wierności, wobec wypowiedzianego dążenia do odzyskania Polski całej i niepodległej, wobec poleceń, aby kapłani oświecali lud wiejski o obowiązku dopomagania wszystkimi siłami powstaniu obecnemu; nakoniec wobec świętokradzkiego twierdzenia, że kapłani polscy powinni być Polakami na ambonie i Polakami w konfesyonale,

przekonany, że nie dacie się uwieść ani zbrodniczymi namowami, ani błędnymi sofizmatami, ani zdradliwymi radami, wezwawszy łaski i pomocy Ducha przenaświętszego, postanawiamy i rozporządzamy:

1.^o Zabramiamy i uroczyście zakazujemy wszystkim kapłanom świeckim jak i zakonnym czytać, innym do czytania dawać, lub tylko przechowywać pismo wzmiankowane, pod posłuszeństwem kanonicznem i zagrożeniem kary *suspensionis a divinis ipso facto incurendae*, nakazując tym, którzyby je posiadali, lub później w jego posiadanie przyszli, aby je natychmiast zniszczyli.

2.^o Zabramiamy przystępować do tego Zjednoczenia pod karą *suspensionis a divinis ipso facto incurendae*, a jeżeli który,

uchowaj Boże, już przystąpił, winien jest natychmiast w sposób stanowczy z niego wystąpić.

Łaska i błogosławieństwo Pana naszego Jezusa Chrystusa niech będzie z Wami wszystkimi, Amen.

Franciszek Ksawery Arcybiskup.

XI.

OGłoszenie stanu oblężenia.

28 Lutego namiestnik ogłosił stan oblężenia w Galicyi. W obwieszczeniu było powiedziane ⁵³⁾: »Wszyscy cudzoziemcy, przebywający w Galicyi i w Wielkiem ks. Krakowskiem, zaopatrzeni w dokumenta legitymacyjne, lub nieopatrzeni w takowe, są obowiązani stawić się osobiście w przeciągu 48 godzin w miejscach, gdzie się policya znajduje w tym urzędzie, w innych zaś miejscach przebywający cudzoziemcy w dotyczących c. k. urzędach powiatowych, i tam się starać o pozwolenie pobytu, okazawszy swoje papiery legitymacyjne i wymieniwszy cel swego pobytu.

»Cudzoziemcy, którzyby temu wezwaniu do meldowania się w owym czasie nie odpowiedzieli, pominąwszy, że śledztwu karnemu podpadną, będą bez względu na los, jaki ich czeka, bez wyjątku do kraju ojczystego wydalenii. Hr. Mensdorf-Pouilly, feldmarszałek - porucznik.«

W innem ogłoszeniu, wydanem dnia tegoż, za posiadanie bezprawne broni wyznaczono kary pieniężne od 25 do 500 zł. lub areszt ośmiodniowy, a za przewożenie jej karę 1000 zł. lub rok aresztu. Oprócz tego zaprowadzono sądy wojenne za przekroczenie przeciwko »spokojności publicznej«, jak nazwano wtedy wszelkie prace organizacyjne.

Na drugi dzień, 29 lutego, Komisarz Rządu Narodowego wydał odezwę ⁵⁴⁾, w której wyraził, że ponieważ w motywach ogłoszenia stanu oblężenia w Galicyi, rząd austriacki postawił zamiar Rządu Narodowego i Polaków wywoływać powstanie w tej prowincyi, przeto objawia się, że nie obawa powstania w Galicyi, ale chęć złamania powstania Polski

i odjęcia jej tych słabych posiłków, jakie jej nieśli Polacy w Galicyi zamieszkali, a nareszcie podanie ręki najzaciętszemu wrogowi Polski w celu wytepienia narodu polskiego, jest powodem ogłoszenia stanu oblężenia.

Jednocześnie naczelnik miasta Lwowa ogłosił, że władze starają się wywołać we Lwowie i w ogóle w Galicyi starcie, któreby mogli usprawiedliwić w oczach Europy swe rozporządzenia i że w tym celu wydały wojsku rozkazy, jak w chwili, gdy wybuchną te przez nich wywołane rozruchy, postępować należy. Naczelnik miasta zalecał przeto baczność, ostrożność, czujność i wytrwałość⁵⁵⁾.

Po ogłoszeniu stanu oblężenia w Galicyi zapanował straszny ucisk. Ucisk ten, wskutek szczególnego charakteru miejscowej, do szpiku kości zgangrenowanej biurokracyi, przybrał kierunek zjadliwej dokuczliwości, bezcelowych szykan, byle kogoś one bolały, niepotrzebnych drażnień i krzyżującej niesprawiedliwości. Nawet wojskowość, która w ręce swoje wzięła sądy, zapomniała, jakie obowiązki Ojczyzna wkłada na swe dzieci, zapomniała nawet o rycerskim obowiązku żołnierza uszanowania przynajmniej kobiety, gdyż z osobami, chcącemi obaczyć się z więźniami, postępowano nieraz z oburzającym gburostwem. Aresztowania podejrzanych osobistości były na porządku dziennym; wypędzano tłumnie z kraju, kto tylko nie był poddanym Austrii. Z samego Krakowa na mocy stanu oblężenia wydano w ciągu marca 172 osób. Twierdze zaczęły się napełniać skazanymi na 6, na 8, na 10 lat więzienia. Nie uważano ani na wiek, ani na płeć, ani na stanowisko społeczne. Nie było w Galicyi wybitniejszej osoby, którejby nie pociągnięto do sądów wojennych. Straże chłopskie, uzbrojone w kosy, zatrzymywały przejezdnych i w razie podejrzenia odsyłały do starostwa. Powstańców, pochodzących z Królestwa i Litwy, bez litości wydawano władzom rosyjskim na śmierć lub w najlepszym razie do ciężkich robót.

5-go marca namiestnik hr. Mensdorf-Pouilly kazał wezwać redaktorów wszystkich pism do policyi, gdzie im odczytano postanowienie namiestnika, zakazujące ogłaszania rozpraw o stanie oblężenia, krytyki działań rosyjskich w Królestwie tak w zakresie wojskowym, jak w zakresie cywilnym, pozwalając zaś umieszczać wiadomości o bitwach

z powstańcami tylko podług urzędowych sprawozdań rosyjskich. Policya odmówiła redaktorom udzielenia tego rozkazu w odpisie. Wszystko to okazywało, że Austria postanowiła iść z Rosyą ręką w rękę.

Nim przystąpię do opowiadania dalszych czynności moich, uważam za konieczne przedstawić sprawozdanie wydziału Rządu Narodowego o stanie Galicyi po ogłoszeniu stanu oblężenia w raporcie z d. 6 Marca 1864. W jego ułożeniu nie przyjmowałem żadnego udziału, bo nie mogłem ruszyć się ze Lwowa, a raport był wysłany z Krakowa ⁵⁶).

»Ze względu na ważność chwili, na rozkaz Komisarza pełnomocnego przez jego zastępcę zwołany Wydział, uzupełniony z liczby 12 kandydatów, w myśl poprawki §. 41 regulaminu z 9 Listopada 1863 L. 3520, ma zaszczyt przedłożyć Wysokiemu Rządowi następujące sprawozdanie tak z obecnego położenia Galicyi, jakoteż jego ostatnich czynności.

»Z ogłoszeniem stanu oblężenia przez rząd austriacki Galicya wchodzi w nową kolej swych narodowych czynności i pomocy zbrojnej, niesionej powstaniu polskiemu w prowincjach, pod zaborem rosyjskim zostających. Niepodobna zataić, iż ogromne trudności powstają przy codziennie rozszerzających się środkach represyjnych, jakich się rząd austriacki chwyta w celu wykrycia i rozbicia organizacyi i przeszkodzenia wszelkim pomocniczym stosunkom z powstaniem.

»Wydział z całą organizacją, szczególnie w części zachodniej Galicyi, nieograniczone poświęcenie dla Ojczyzny za swe godło przyjmując, ani na chwilę nie zachwiał się w swej pracy narodowej i nie traci nadziei, iż przy najtrudniejszych okolicznościach zdoła skutecznie swe obowiązki, jakie w obec swego rządu na siebie przyjął, z korzyścią dla sprawy wypełniać. Z drugiej jednak strony czuje potrzebę wskazania Rządowi Narodowemu z całą szczerością wszystkich trudności, z jakimi w obecnych chwilach ma i w przyszłości mieć będzie do walczenia. Surowe środki, jakich rząd austriacki użył, sparaliżowały w pierwszej zaraz chwili organizacyjne prace narodowe, niechęć jednych, przestרח drugich, zubożnienie nareszcie innych wskutek długo oczekiwanych, a zawiedzionych dotąd nadziei, wprawiły kraj w pewien stan chwilowego letargu, z którego tylko przez bardzo sprężyste działanie wyprowadzić go będzie można.

»Organizacya Galicyi zachodniej, a mianowicie okręgu krakowskiego, więcej zadawalniający przedstawia widok. Gorzej o wiele przedstawia się rzecz w Galicyi wschodniej, a mianowicie w okręgu lwowskim, który, zdeorganizowany i rozprzężony dawnymi niesnaskami, w chwili swego porządkowania się był znowu rażony zaprowadzeniem stanu obłężenia. Położenie to Galicyi wschodniej jest tem smutniejsze, ile że w jej właśnie obrębie konsystują formujące się oddziały jenerała Różyckiego i pułkownika Sawy.

»Niezawodnie pierwszym staraniem Wydziału, jakoteż całej organizacyi jest, aby oddziały te jak najprędzej stanęły na linii bojowej, a to szczególnie w obecnem położeniu Galicyi, gdzie dalsze konsystowanie zupełne ich zniszczenie i rozwiązanie sprowadziłyby mogło. Tak władze wojskowe jak i cywilne z podwójnem wytężeniem energii przystąpiły do wszystkich kroków, mogących zapewnić ich przejście, lecz tu znowu z takimi przeciwnościami walczyć przychodzi, iż Wydział czuje się w obowiązku przedstawić je Rządowi Narodowemu.

»Dwa oddziały pułkownika Sawy, jeden pod osobistem jego dowództwem organizujący się w obwodzie przemyskim, drugi pod rozkazem majora Kozłowskiego w obwodzie żółkiewskim, są (szczególnie pierwszy) na ukończeniu owych przygotowawczych czynności i stoją niedaleko granicy. Ze względu na znajomość stosunków miejscowych jest możliwość przeprawienia ich, w przeciągu więc 8—10 dni ruszyćby mogły. Inaczej się ma co do trzech oddziałów więcej na wschód, to jest w obwodach: brzeżańskim pułkownika Chranickiego, w tarnopolskim i czortkowskim jenerałów Chaleckiego i Gołuchowskiego formujących się. Dwa ostatnie oddziały, posiadające przeszło 300 koni i odpowiednią ilość piechoty, mimo bardzo długiego czasu, którego do formacyi już użyły, dalekimi są do zupełnego przygotowania do wymarszu, nadto przez tak dawne rozlokowanie po kwaterach i próżniackie życie są zdemoralizowane, a jedyne zaufanie w nieobecny jenerale Różyckim pokładają.

»Stan obłężenia, ogłoszony niespodziewanie, wpłynął ostatecznie na ich rozprzężenie. Złożone bowiem po większej części z Wołyniaków lub Litwinów, wielu dezertarów z wojska rosyjskiego, niepomału były przerażone uzasadnionym

strachem widzieć się wyłapanymi i wydanyymi w ręce Rosyi, co przy niesprzyjającym usposobieniu tutejszych włościan łatwem jest Rządowi austryackiemu do przeprowadzenia. Termin postawiony do meldowania się, po za którym groziła szubienica rosyjska, był tak krótki, iż materyalnie czasu brakło do zastanowienia się i obeznania z nowem położeniem. Dziwić się więc trudno, iż większa część zameldowała się, czemu też tak Wydział jak i władze wojskowe sprzeciwiać się nie mogły. Reszta zaś przy braku silnej organizacyi, niechęci wielu obywateli i złem usposobieniu włościan, zostaje pod rzeczywistem zagrożeniem najsmutniejszego losu. Ze względu na rozłożenie obecne tych oddziałów, gdyby środki materyalne dozwoliły je szybko skompletować, przy usilnej pracy dałyby się za granicę Galicyi, to jest na Ruś zaprowadzić.

»Pułkownik Sawa stawia żądanie, aby równocześnie z nim oddziały te wkroczyły i jako dla niego potrzebną dywersyę podniosły i rozszerzyły powstanie na Rusi. Akcya stanowcza na Rusi, pominawszy względy polityczne, nawet ze względów wojskowych tak ważnym jest faktem i tak wielostronnym uwagom podlegającym, iż pułkownik Struś nie widzi się upoważnionym do przedsięwzięcia tego kroku bez wyraźnego rozkazu Rządu Narodowego. Wydział zaś, nie uważając się kompetentnym do wydawania jakiegokolwiek w tym kierunku uchwały i nie chcąc przesądzać postanowień Rządu Narodowego, czuje się jednak w obowiązku oznajmienia Rządowi swego zdania, że tak w celach wojskowych jak politycznych wyprawa na Ruś żadnych korzyści prawdopodobnie nie przyniesie w tej chwili, a na nieobliczone złe następstwa sprawę narazićby mogła. Co do rezultatów wojskowych trudno przypuścić, aby zdemoralizowane, a stanem oblężenia zdziesiątkowane oddziały nie liczniejsze, a pewnie gorsze niż te, z którymi generał Różycki w czerwcu utrzymać się nie mógł, dzisiaj w dużo trudniejszych okolicznościach potrafiły wzniecić silną akcyę militarną w kraju, od którego niewiele czynnej pomocy spodziewać się można. Pod względem zaś politycznym, czy należy narażać zachowany jeszcze w części od grabieży rosyjskiej kąt ziemi naszej, na ostateczną zagładę nielicznego w nim elementu polskiego, Rząd Narodowy najlepiej rozstrzygnąć może i z całą

ufnością wskazówki i rozkazów w tej mierze od niego oczekujemy. Co do żądanej przez pułkownika Sawę dywersyi, to wątpliwem jest, a nawet niemożliwem, aby na odległości trzydziestomilowej, w obec tak szczupłych sił naszych i tak przeważnych sił nieprzyjacielskich. ona mogła być skuteczna. Owszem, Wydział widząc potrzebę nieustawiania w akcji wojskowej, jest zdania, iż nie należy ostatnich zasobów na jedną, a bardzo niepewną kartę stawić i sądzi, że może skuteczniej byłoby materiały i efekta wojskowe przechować lub w zakresie możności przeprowadzić dla wzmocnienia powstania w Lubelskiem, niż na pewną zgubę na Rusi oddać w ręce nieprzyjaciół. Odnosi się to szczególnie do oddziału pułkownika Chranickiego, o którym dotąd jeszcze nie wspomnieliśmy. Oddział ten, formujący się w Brzeżańskiem, w środku kraju, znajduje się obecnie w najgorszym położeniu. Równie zdemoralizowany jak tamte, a z tych samych elementów złożony, srogością stanu oblężenia, a w części może i niechęcią obywateli, tak został przerażony, iż jest w stanie zupełnej prawie rozsypki. Będąc przeznaczony do wkroczenia w zachodnią część Wołynia dla zrobienia dywersyi oddziałom lubelskim, lub wkroczenia ewentualnie w toż województwo, ma 15 mil do granicy i na tej to przestrzeni, w obec groźnego usposobienia włościan i bardzo gęstych posterunków wojska austriackiego, według zdania osób dokładnie z miejscowością obeznanych, przeprowadzenie jego jest prawie niemożliwe. W każdej bowiem wsi są warty chłopskie, a co trzecia wieś posterunki wojskowe, oprócz uwijających się patroli. Gdyby więc pewną część udało się przeprowadzić do granicy, byłaby ona tak szczupła, iż ani myśleć o skutecznem działaniu. Wydział sądzi, iż lepiej byłoby oddział ten chwilowo zwinąć, krajowców odsłać na miejsce urodzenia a obcokrajowców niemeldowanych starać się czasowo przechować niż narażać wszystkie, a drogo zapłacone efekta, na pewną zgubę.

»W końcu Wydział powtórnie zwraca uwagę Rządu Narodowego, iż do ruszenia oddziałów ruskich nieodzowną jest obecność generała Różyckiego, w którym jedynie oddziały te pokładają zaufanie, jakoteż, że on jeden w razie, gdyby wyprawa na Ruś okazała się konieczną, mógłby ją poprowadzić. Pułkownik Struś wyprawił Anczyca do generała Ró-

życkiego, od jego powrotu los oddziałów tych w znacznej części zawisłym będzie. Ponieważ pułkownik Struś otrzymał rozkaz wyprawienia wszystkich oddziałów, w Galicyi konsystujących, Wydział, nie mogąc przesądzać dalszych postanowień Rządu Narodowego, postanowił co następuje:

1. Wszelkie przygotowania do wymarszu oddziałów pułkownika Sawy jak najspieszniej załatwić i oddziały te wyprawić.

2. Przystąpić natychmiast w zakresie możliwości i szczupłych funduszków do uskutecznienia wszystkich przygotowawczych czynności dla oddziałów jenerała Różyckiego w przeprowadzeniu broni, amunicyi i efektów na miejsce przeznaczone.

3. Wyprawić niezwłocznie dwóch komisarzy, umyślnie delegowanych, do pobierania i uporządkowania oddziału pułkownika Chranickiego, rozprószonego w lasach.

4. Przedłożyć do uwzględnienia Wysokiemu Rządowi powyższy raport w tej pewności, iż przed terminem możliwego wymarszu oddziałów jenerała Różyckiego nadejdzie odpowiedź Rządu z rozkazem i wskazówką co do dalszych pod tym względem czynności«. L. S.

Teraz wracam do mego opowiadania. Wkrótce po ogłoszeniu stanu oblężenia w Galicyi, otrzymałem z Tarnopolskiego od pułku kawaleryi wołyńskiej zapytanie, co robić, gdyż przyszło rozporządzenie, aby się wszyscy meldowali w policyi. Kazałem powstrzymać się z meldowaniem aż do otrzymania rozkazu i dawszy ostatnie 500 zł. z kasy, wysłałem p. B. do Paryża, zapytując Różyckiego, czy nie przyjedzie dla prowadzenia oddziałów z Galicyi i zapytując go, co mam czynić? W dwa dni później p. B. zatelegrafował do swojej żony z Paryża: »Je suis arrivé à Paris et je me porte bien«. Taka była odpowiedź posłańca i nic więcej.

W kilkanaście dni później przybył do Lwowa S. M., adjutant Różyckiego, przywożąc mi od niego piękną lunetę polową w podarunku.

— Czy widziałeś się z Różyckim przed wyjazdem?

— Widziałem się.

— Cóż on kazał mi powiedzieć?

— Kazał kłaniać się pięknie.

— Ależ mnie nie o to chodzi. Jakie są jego rozkazy i rozporządzenia, co mam czynić, jak postąpić?

— Pytałem go właśnie o to, ale on mi odpowiedział tylko te słowa: »Powiedz Strusiowi, że kazałem ukłonić się mu pięknie«.

Z tego przekonałem się, że Różycki wracać już nie myśli i całą odpowiedzialność za dalsze rozporządzenia składa na mnie, zostawiając mi zupełną swobodę działania.

Raporta z obwodów donosiły mi o wzmagających się prześladowaniach. Organizacya narodowa nie wiedziała, co robić. Obywatele, obawiając się kar pieniężnych, któremi zagrożono, starali się pozbyć jak najprędzej ludzi obcych z domu, bez względu na ich los dalszy. Niektórzy z urzędników organizacyi wręcz wypierali się swego stanowiska i obowiązków; władza tak niebezpieczna przestała ęcić. W Samborze pewna obywatelka sama zameldowała do policyi, że ma w domu powstańca rodem z Królestwa; już wielu powstańców było wyłapanych i w kajdankach odesłanych do starostw. W Sanockiem i Samborskiem organizator obwodowy, Grekowicz, w odpowiedzi na rozporządzenie rządu ⁵⁷⁾ ze swojej strony ogłosił także stan oblężenia, grożąc obywatelom i mieszkańcom różnemi karami, jeżeli nie będą spełniać poleceń władz narodowych. Lecz w tej chwili podobne postęпки drażniły tylko opinię publiczną, nie przynosząc żadnej korzyści. Odwołałem więc Grekowicza do Lwowa. Lecz co było robić?

W pierwszej chwili myślą moją było wypełnienie dawnego planu wkroczenia do Rumunii, ale okoliczności mocno się zmieniły od tego czasu, gdym plan ten powziął. Jenerał Gołuchowski już przed miesiącem, jak tylko zaczęto mówić o stanie oblężenia, nikomu nic nie donosząc, samowolnie rozpuścił oddziały swoje, to jest pozbawił powstanie sześciuset ludzi. Wyprawa Sawy pochłoneła wszelką gotówkę, jaka była w kasie okręgowej, a Ruś więcej przysłać nie chciała. Oddział Chronickiego liczył wprawdzie do 400 ludzi, ale ci, dzięki postępkowi Jakubowicza, broni nie mieli. Zostawał więc tylko pułk wołyński, składający się z trzech szwadronów kawalerji (4 bowiem, Nałęczu Brudzewskiego, oddałem Sawie). Oddział Sawy, który był gotowy w styczniu do wy-

marszu, jak mówiłem wyżej, 20 marca zmarnował się i poszedł w rozsypkę, nie widząc nieprzyjaciela.

W tem okropnem położeniu, widząc, jaka ciężka odpowiedzialność leży na mnie, zaprosiłem na naradę okręgowych Lwowskiego i Tarnopolskiego w nadziei, czy nie podadzą mi myśli jakiej; ale panowie ci odpowiedzieli, że to nie jest ich rzeczą, że część wojskowa do mnie należy i że odpowiedzialności za zarządzenia wojskowe i za decyzje nie chcą podzielać ze mną.

Iść na Wołyń z jednym pułkiem kawaleryi, składającym się z 400 koni, byłoby szaleństwem, bo narażało ten oddział na doszczętne zniesienie. Złożyć broń i oddać się policyi było haniebnem. Zdecydowałem się więc iść na Wołyń i tam zginąć śmiercią żołnierza, spodziewając się, że na Rusi znajdę jakąś organizację, jakąś pomoc, bo według raportów, które stamtąd co tydzień odbierałem, w każdym powiecie, była pewna liczba sprzysiężonych i broni ukrytej.⁵³⁾ W tej myśli zatelegrafowałem do dowódcy pułku wołyńskiego, żeby był gotowy do wymarszu do 24 godzin, że ja przybędę i osobiście poprowadzę wyprawę.

Posławszy ten rozkaz do generała Chaleckiego, wezwałem do siebie Delegata Rusi p. Żukowskiego i drugiego z organizacji Rusi—Rolbieckiego, żeby im powiedzieć o decyzji mojej i prosić, iżby ze swej strony zarządzili wszystko do przyjęcia wyprawy i wzmocnienia jej spiskowymi zaraz po wkroczeniu.

Wtedy p. Żukowski, wyjął z kieszeni odezwę Wydziału Rządu Narodowego na Rusi do mnie, którą mu kazano wtedy tylko mi przeczytać, gdybym się zdecydował wkroczyć na Ruś, a zamilczeć o niej, gdybym postąpił inaczej. W odezwie tej uwiadamiano mnie, „że na Rusi nie ma już „żadnej organizacji, ani broni schowanej, że raporta poprzednie były tylko fikcją dla dodania mi otuchy, że Ruś „nie życzy sobie wkroczenia, a po wejściu nie otrzymam „żadnej pomocy ani w ludziach, ani w broni, bo kraj już ucierpiał ogromnie i więcej narażać się na zemstę wrogów nie myśli; że doradza tylko przejść przez Ruś, kierując się na „północ w Lubelskie, gdzie jeszcze tliło nieco powstanie“. Listu lub odpisu listu Żukowski dać mi nie chciał, upewniając, że takie otrzymał polecenie od Komisarza na Rusi.

Wiadomość ta była uderzeniem piorunu z jasnego nieba, gdyż obaczyłem, jaką niegodną komedję odgrywała ze mną Organizacya Rusi. Rozpacz moja była nie do opisania. Gdyby przynajmniej pułk był rozmieszczony blisko granicy Lubelskiego, poprobowałbym rzucić się do Kongresówki, ale do granicy było około 15 mil, a na Ruś iść po takiej odezwie znaczyło to samo, co poświęcić życie kilkuset ludzi dla zadośćuczynienia honorowi wojskowemu i w dodatku ściągnąć na siebie za to przekleństwo prowincyi całej.

Nie pozostawało więc nic, jak stać się grabarzem powstania i całe odium tego przyjąć na swoją głowę, albo zrobić szaleństwo i przyjąć odpowiedzialność przed krajem i rodzinami za bezużyteczną ofiarę tylu ludzi dla wybawienia się jedynie od wstydu poddania się konieczności.

Gorąco i ze łzami pomodliłem się w kościele, żeby Bóg mnie natchnął, jaką mam powziąć decyzję, a wróciwszy do domu, posłałem nowy rozkaz w Tarnopolskie, żeby żołnierze meldowali się w policyi i zdawali się w ręce władz austriackich, oddając broń i konie obywatelom na przechowanie, Stało się to 10. kwietnia 1864.

Rozkaz ten oburzył wszystkich na mnie. Zaczęto wołać, żem zdrajca, zaczęto odgrażać się, przeklinać, ale rozkaz spełniono i nie znalazł się ani jeden, któryby, pochwywszy władzę w ręce swoje, oparł się rozkazowi i postąpił z większą energią. W tych chwilach ogólnej konsternacyi, rozpacz i przekleństw, rozeszła się pogłoska po mieście, że powstańcy złowili mnie, uciekającego z kasą i odebrawszy pieniądze, powiesili Strusia w Krzywczyckim lesie. Sam Mensdorf opowiadał o tem gościom zaproszonym na obiad, a jeden z gości, u którego w ten dzień znajdowałem się, zakomunikował mi o tej nowinie po powrocie z namiestnictwa.

Dawszy rozkaz poddania się, napisałem natychmiast raport do Rządu Narodowego, przedstawiając powody, które mnie zmusiły do tego kroku, i prosząc, aby mnie oddano pod Sąd wojenny, jeżeli postąpił niestosownie i zaszkodził powstaniu bezradnością.

Po wysłaniu raportu postanowiłem wytrwać do końca i czekać na miejscu odpowiedzi, pełniąc dalej obowiązki moje, o ile okoliczności zezwolą. Ale wszelka praca dla podtrzymania upadającego powstania była niemożliwa. Galicya była

zmęczona i zrujnowana karmieniem tyłu darmozjadów, którzy organizowali się nieskończenie długo; zniechęcenie było tak ogólne, że już nic zrobić nie było można. Cała organizacja rozprzegła się i nikt już słuchać nie chciał. Rwało się na wszystkie strony, a środków materyalnych już nie przybywało znikąd. Sądy wojenne rozwinęły nadzwyczaj energiczną czynność. Codziennie skazywano niemało osób, a wyroki w stosunku do winy zapadały bardzo ostre. W wyrokach panowała największa dowolność, bo obżałowanemu były odjęte wszelkie środki obrony. Całe postępowanie sądowe odbywało się w dziwny i niepraktykowany nigdzie sposób. Obżałowanego bowiem przesłuchiwał audytor a po odbytem śledztwie zwoływano sąd wojenny, złożony z siedmiu wojskowych różnych stopni, począwszy od szeregowca aż do majora lub innego oficera sztabowego. Przed ten sąd wołają obżałowanego i zapytują go, czyli przeciw któremu z sędziów nie ma co do zarzucenia. Nikt nie rozumiał, do czego służyła ta formalność, bo każdy z obwinionych widział po raz pierwszy tych, którzy mieli wydawać wyrok. Po dokonaniu tej formalności, wyprowadzali obwinionego i kazali mu czekać zwykle w korytarzu, aż do orzeczenia sądu w jego sprawie. Po odejściu jego sprawę przedstawiał sędziom ten sam audytor, który był sędzią śledczym, a przy tej sposobności odgrywał rolę oskarżyciela i obrońcy razem. Od niego więc właściwie zależało wszystko, bo jak on przedstawił, tak sąd orzekał niezawodnie. Sąd nie badał obżałowanego i nie sprawdzał, czy audytor wiernie sprawę przedstawiał, czy nie. Z tego też powodu w zupełnie jednakowych sprawach, zapadały wyroki najrozmaitsze. Uniewinnienia prawie nigdy nie było, ponieważ pp. audytorowie z góry byli przekonani o winie każdego, który tylko dostał się w ich ręce, i był obwiniony o udział w powstaniu. Najostrzej zaś wyrokowali w sprawach dziennikarskich, które były oddawane jeszcze surowszym sądom cywilnym, bo hr. Mensdorf nie cierpiał dziennikarzy, literatów ani profesorów. Za artykuł w »Mieszczaninie«, który wychodził za ledwo przez kwartał, skazano autora tegoż Karola Widmana na 18 miesięcy więzienia, a redaktora Łucyana Tatomira na 3 miesiące. Henryka Nowakowskiego, za doniesienie w kronice »Gońca«, że gdzieś na przedmieściu policyant świnie złapał i na postronku prowadził, skazano jako redak-

tora na 2 miesiące więzienia i 80 złr. kary, a autora tego artykułiku na dwa miesiące więzienia. W dodatku skazano na miesiąc więzienia i tego także, który ten czyn policyanta autorowi artykułiku opowiedział. Uważano to bowiem za zelżenie organów bezpieczeństwa publicznego. Prawda, że zdarzenie owo śmieszne, było dość humorystycznie opisane. Wolno było skazanemu od wyroku odwołać się do wyższej władzy. Lecz na tem się nic nie zyskiwało, bo skazanym nie przysługiwało prawo wyświecenia swej sprawy. Odsyłali poprostu akta do wyższego sądu wojskowego, który znowu wiedział tylko tyle, ile mógł się dowiedzieć z protokołu śledczego, i na nim wyrok swój opierał.

Od czasu ogłoszenia stanu oblężenia, do 1. Maja zapadło w całym kraju wyroków kilkaset, a uwięzionych było zwyż tysiąca.*) Kto umiał jeszcze trafić do audytora, wychodził jako tako, ale biada była temu, kto nie przypadł mu do smaku lub o kim ten powziął przekonanie, że ważną odgrywał rolę w organizacji. I tak, skazano Frilicha, aptekarza z Starego Miasta w Samborskiem na 4 lata więzienia za to, że znaleziono u niego nominacyę na naczelnika tej najlichszej w świecie i zapadłej mieściny. Szczególnie złośliwymi i gburowatymi byli audytor Ottenberg, pp. Summer, Strojnowski i generał Reichard.

Postępowanie z więźniami było nadzwyczaj surowe. Zamykano do ciemnych i wilgotnych kaźni, zabraniano dostarczać z domu pożywienia; — wielu było zakutych w kajdany, ale jeszcze surowsze było postępowanie z tymi, którzy, nie zameldowawszy się w terminie, plakatami oznaczonym, wpadli w ręce policyi. Kilkudziesięciu z nich oddano w Bro-

*) „Lemberger Zeitung“ z d. 7. Maja donosi, że w miesiącu Kwietniu we Lwowie, odstawiono do dyrekcji policyi 1211 osób aresztowanych, z których 43 osadziła sama policja, 113 wydalila, a 136 oddala sądom do dalszego postępowania, wydano 168 wyroków sądu wojennego w ciągu miesiąca Kwietnia. Pomiędzy skazanymi znajdował się Mieczysław Pawlikowski (na 2 lata więzienia). W Krakowie za przewinienia prasowe, skazano Leona Chrzanowskiego, hr. St. Tarnowskiego i Antoniego Kłobukowskiego na rok więzienia, a Stan. Koźmiana na 4 miesiące aresztu i zwrot kosztów, w maju było wydanych 150 wyroków, z tych 11 powstańców skazano na kije. W ogóle w Krakowie wydano 113 wyroków.

dach, w Husiatynie, w Tomaszowie i w innych miejscach w ręce Moskali, którzy ich zaraz zbili, obdarli, a niektórych powiesili. Bernard Kalicki, za doniesienie o tym fakcie do gazet czeskich, został uwięziony.

Polowania na ludzi, szukających schronienia, odbywały się nieustannie, szczególnie na prowincyi, gdyż w samym Lwowie było mniej rewizyj i chwytania przechodniów, niż przed ogłoszeniem stanu oblężenia. Lecz po wsiach hulano sobie w najlepsze. W niektórych domach ziemiańskich odbywały się przetrząsania codziennie niemal, a czasami i dwa razy na dzień. Uwzięń niepodobna było policzyć, bo dziennikom miejscowym o tem wszystkim nie było wolno pisać. Władze miejscowe miały to przekonanie, że skoro nietutejszych wydała z kraju, a w więzieniu osadzą część znaczną ludzi miejscowych, znanych z patryotyzmu, uniemożliwią tem samem dalsze trwanie powstania, które, ich zdaniem, bez pomocy z prowincyi, żadną miarą ostać się nie mogło.

Niektóre z uwięzionych kobiet, a mianowicie p. p. Wildową, Żardzińską, Hilichową, Nanowską i pannę Gostyńską wypuszczono wkrótce za kaucyą. Każda z nich, złożywszy 500 złr., pozostawała aż do ukończenia śledztwa na wolnej stopie. Przesłuchiwano wiele innych kobiet, a między innymi pannę Felicyę Wasilewską, p. Orzechowiczową, zarzucając każdej, że należała do stowarzyszenia kobiet pod nazwą »Stowarzyszenia Klaudyi«. Najbardziej jednakże szukały władze młodziutkiej pani Heleny Pawlikowskiej, żony Mieczysława, właściciela Medyki, siedzącego w więzieniu. Szczęściem, że po znalezieniu u niej podczas rewizyi wielu papierów nie uwięziono jej zaraz, miała więc dość czasu wyjechać za granicę. Gdyby się była dostała w ręce audytorów i sądu wojennego, skazano by ją pewno na bardzo długie więzienie, wnosząc z gorliwości, z jaką jej wszędzie szukano. ⁵⁹⁾

Gdy cios za ciosem uderzał w naszą ojczyznę, gdy i Austria przystąpiła do zgniecenia powstania, starzec, stojący nad grobem, Papiież Pius IX na uroczystości S. Fidelisa męczennika, d. 24. Kwietnia, przemówił gorąco za nieszczęśliwym ludem, który przelewał krew swoją dla odzyskania odebranej mu swobody, wzywał sprawiedliwości boskiej na Monarchę, prześladowającego naród Polski »z dzikiem okrucień-

stwem« i przypominał, że go czeka »sąd Boga za jego zbrodnie«. »Rzucając ohydę na takie czyny, mówił dalej Papież, nie myślimy wcale dawać przez to zachęty europejskiej rewolucyi, umiemy bowiem zrobić różnicę pomiędzy rewolucją socyalną i słusznymi prawami narodu, walczącego za swą niepodległość i za ocalenie swej religii. Dajemy nasze Apostolskie błogosławieństwo tym, którzy w dniu dzisiejszym modlić się będą za Polskę. Módlmy się za nią wszyscy«. Dzienniki przyniosły wiadomość, że całą tę mowę powiedział Papież stojąc, głosem silnym i bardzo wzruszonym, że na obliczu jego malował się zapał i oburzenie, jakim dusza jego przejęta była na widok męczeństwa Polski.

Mowa ta, protestująca przeciwko krwawemu aktowi zagłady, pod zasłoną mniemanego prawa i legalnej władzy, była zarazem odwołaniem się do tych czystych, odwiecznych zasad moralności, które drzemią w piersi wszystkich ludów, lecz był to głos, wołającego na puszczy, i już nie mógł dodać otuchy walczącym, którzy tyle ofiar ponieśli i tyle już krwi wylali, bo odgłosu nie znalazł w całej Europie — w milczeniu wszyscy się zgodzili na wyrok śmierci dla ofiary polityki bezdusznej.

Pomimo strasznego rozprężenia, wśród wzrastających prześladowań, robiłem jednak co mogłem dla podtrzymania ruchu powstańczego w Lubelskiem i Krakowskiem, wysyłałem jeszcze przechowaną broń, a nareszcie, straciwszy wszelką wiarę w możliwość osiągnięcia jakiegokolwiek celu, prosiłem 15. Kwietnia o udzielenie mi dymisyi z obowiązku Zastępcy jeneralnego Organizatora Galicyi i dania pewnych wskazówek memu następcy, człowiekowi, któryby miał jeszcze wiarę i nadzieję, bo ja nie miałem ich zupełnie. Rzeczywiście system nerwowy mój był tak rozstrojony, że już nie czułem się zdolnym do żadnego energicznego czynu. Rok pracy, rok natężenia, rok ciągłych zawodów, zużył mnie całkowicie: postarzałem i fizycznie i moralnie. W miesiąc potem otrzymałem następującą odpowiedź od Rządu Narodowego:

Rząd Narodowy. Wydział wojny, nr 271 w Warszawie, d. 8. Maja 1864. Raport wasz, Pułkowniku, z d. 15. Kwietnia odebraliśmy i na niego odpowiadamy:

1-^o Żałujemy mocno, że Pułkownik Sawa, zamiast czynnie wziąć się do pracy i podnieść upadające w powierzonych

mu województwach Kongresówki powstanie, zajmował się więcej Galicyą i niemożliwymi projektami wprowadzenia oddziałów na Ruś, które mogłoby być uskutecznione z niejakim powodzeniem li tylko po wzmocnieniu naszych sił w Lubelskiem i Podlaskiem. Myśmy byli zawsze tego przekonania i dla tego głównie zalecaliśmy i wam i pułkownikowi Sawie podnosić siły w Lubelskiem. Teraz, kiedy już tyle zmarnowano czasu w bezczynności i kiedyśmy przez to utracili tyle ludzi i efektów, nie wiemy, czy wkroczenie pułkownika Sawy w Lubelskie, jeżeli takowe nastąpiło istotnie, będzie w stanie powetować straty i podnieść w ludności ducha. W każdym razie, trzeba ile możności starać się o przysyłanie nowych oddziałów do Kongresówki, a nie na Ruś.

2^o Wasze rozporządzenia w okręgach, zupełnie uznajemy za stosowne. Ale potrzeba koniecznie zaprowadzić tajną Organizację, gdyż przy obecnym stanie Galicyi i usposobieniu obywateli, tylko przy warunkach tajemnicy, prace podejmowane koło naszej sprawy mogą mieć pożądaný skutek i nie być narażone na ciągłe zawody.

3^o Stosownie do waszej prośby, Pułkownik, udziela się Wam uwolnienie od czynności w Galicyi. Dymisya Wasza, jakoteż i nominacya następcy są przytem dołączone. Zechcecie w nominacyi napisać sami nazwisko Waszego następcy. Oprócz wskazanych przez Was powodów, Rząd Narodowy uważał za potrzebne udzielić Wam uwolnienia jeszcze dla tego, aby Was uchronić od prześladowania niechętnych ludzi, którzy na podstawie austriackich podszeptów mogliby się posunąć do gwałtu na Waszej osobie. My już mieliśmy wiadomość, iż Wy, Pułkownik, zostaliście przez swoich powieszeni jakoby za zdradę. Mocno nad tem ubolewaliśmy, bo byliśmy mocno przekonani, że w całej tej sprawie odegrywał rolę podstęp austriacki; teraz bardzo się cieszymy, że wiadomość ta była mylna i fałszywa.

4^o Pisaliśmy do generała Różyckiego, ażeby nas zawiadomił o swoich czynnościach i przedsięwzięciach, gdyż już oddawna nic o nim nie wiemy. Spodziewamy się, że będąc przy nim, zechcecie nakłonić go do działalności. Wielka będzie odpowiedzialność generała Różyckiego przed narodem, jeżeli on zawiedzie nadzieje, które kraj w nim pokłada i zmarnuje niedołącznie ludzi i fundusze, ten wdowi grosz

narodu polskiego. Już czas zaprzestać bawić się w projekta, a wystąpić z całą energią na pole czynu.

5° Rząd Narodowy polecił oznajmić Wam, Pułkowniku, w imieniu narodu podziękowanie za Wasze szczerze i ciężkie prace, podjęte dla naszej sprawy przy bardzo i bardzo trudnych okolicznościach, których Wy, według swej możliwości nie zaniechaliście usuwać. Przekonani jesteśmy, że i nadal będziecie pracować z tem samym poświęceniem, energią i wytrwałością, których tyle daliście dowodów w ciągu długiego pobytu w Galicyi«.

Reskrypt ten otrzymałem w początkach czerwca, kiedy już mowy być nie mogło nietylko o tajnej, ale i o żadnej organizacyi. W Kongresówce samej już nie było większych oddziałów powstańczych. Gdziekolwiek tylko kręciły się kupki nieszczęśliwych, tropione jak dzikie zwierzęta, nie wiedząc, co z sobą począć i nie chcąc dobrowolnie oddać się w ręce oprawcy. Bosak już dawno wyjechał z kraju; co było lepszego, padło lub zwątpiło, albo nareszcie przekroczyło granicę Galicyi i Poznańskiego i tam kryło się po lasach dla uniknienia obław, urządzanych na tych nieszczęśliwych. Rozprzężenie było takie, że nikt już nie mógł osiągnąć żadnego posłuchu, żadnej pomocy. Co gorzej, męty społeczne zaczęły na wierzch wypływać. Ojczyzna-matka konała, a dzieci jej niegodne rozszarpywały nędzną spuściznę. Kilka tysięcy zlr., pozostałych jeszcze w różnych kasach, zniknęły; efekta, konie, uprząż, rozchwymano. W przemyskiem obywatel J. U., u którego skrył się pułkownik Sawa (Rudnicki), mający zamiar z oddziałem przekroczyć granicę, wziął w przechowanie od pułkownika 6 tysięcy zł. do dnia wystąpienia oddziału. Obywatel ten, wszedłszy w nocy do pokoju, w którym Sawa spoczywał, zagroził mu wydaniem w ręce policyi, jeżeli nie podpisze kwitu, że depozyt odebrał. Przestraszony Sawa podpisał, lecz obawiając się, żeby złodziej nie stał się zdrajcą, przez okno w nocy uciekł z tego niegościnnego domu i przybył do Lwowa ze skargą na ten rabunek. Oddział zaś jego, nie otrzymawszy żadnych wskazówek i niedoczekawszy się dowódcy, rozsypał się na wszystkie strony. Oddałem U. pod sąd obywatelski, przed którym przyznał się, że postrachem wydarł te pieniądze Sawie, lecz że wrócić ich nie może, bo je wydał na różne go-

spodarskie potrzeby. Sąd obywatelski orzekł, że winowajca ratami ma zwracać to, co zabrał w sposób dotychczas niepraktykowany. Ale komu? — tego sąd nie orzekł. W okręgu lwowskim inny obywatel, którego imienia nie chcę wymieniać, zabrał całą uprząż obozową, posłaną dla oddziału bijącego się na granicach Lubelskiego, a na miejsce jej posłał swoją starą, zużytą i powiazaną sznurkami...

W obec tego rozprężenia, w obec tych smutnych obrazków nikczemności i utraty wstydu nie było co robić. Zdałem w końcu czerwca obowiązki moje najzacniejszemu człowiekowi, Tomaszowi Winnickiemu, którego, na mocy udzielonego mi prawa przez Rząd Narodowy, mianowałem zastępcą swoim, a sam zacząłem myśleć o wyjeździe z kraju na tułaczkę. Chwile te dla mnie były okropne. Idąc do powstania, byłem przekonany, że albo zginę, albo Polska będzie, tymczasem i nie zginałem i Polski nie było, a przedemną stała przyszłość wygnańca z kraju. Były chwile, kiedy chciałem przedrzeć się przez granicę do Polski i tam dać się zabić Moskałom; rozpacz jednak ustąpiła rozwadze, że nie wszystko jeszcze skończyło się, że okoliczności zmieniają się, i że jeszcze będę mógł oddać usługi krajowi. Nie umiem opisać tego ciężkiego uczucia, którego doznałem, przestępując granicę Polski, którą żegnałem nie wiedzieć na jak długo. Cała przeszłość, dzieciństwo, młodość, nadzieje, stanęły przedemną rozbite, potraskane, a tam, w mglistej przyszłości, widziałem nędzę, zwątpienie, tęsknotę i rozpacz!...

* *

W sześć lat później byłem świadkiem strasznego rozgromu Francji przez Niemców. Kraj, mający swój własny rząd, jednolitą i patryotyczną ludność, armię, ogromne środki materyalne, jenerałów i fortece, został tak okropnie rozbity, zniszczony, zrujnowany i upokorzony, tak obdarty i zniesławiony, że nasze powstanie do walki z jedną z największych potęg militarnych w Europie wydało się świetną epopeą w porównaniu z haniebnym przebiegiem obrony Francji. Jenerał Rochebrun, znany przywódzca w naszym powstaniu, w konferencyach miewanych w oblężonym Pa-

ryżu i później dowodząc batalionem ochotników, a nie mogąc zmusić Francuzów do rzucenia się na nieprzyjaciela, stawiał im za przykład powstańców polskich, którzy szli naprzód, nie mając nawet odpowiedniego uzbrojenia. Po pierwszych bitwach przegranych, Francuzi już prawie nigdzie jak należy nie stawili czoła armii nieprzyjacielskiej. Niemcy szli masami zbrojnemi, w trójnasób silniejszemi, aniżeli mogli spotkać przed sobą po drodze; wszystko niszczyli, kradli i grabili z niemiecką systematycznością, całemi obozami odsyłając do swojej ojczyzny należycie posortowane, u spokojnych mieszkańców zabrane mienie, palili wsie i zabijali wszystkich stawiających najmniejszy opór, lub choćby bezbronnych, lecz ubranych w mundur wolnych strzelców. Niemcom nigdy się nie śnił tryumf podobny, to też ich przywódzca, odurzony niesłychanem szczęściem, co dzień wysyłał do żony telegramy, przypisując zwycięstwa armii swej szczególnej protekcji Boga, jak gdyby Bóg mógł przyjmować udział w takiej krwawej sprawie!

W tej chwili strasznej dla Ojczyzny, na powierzchnię morza łez, krwi, wstydu i boleści, wypływały męty społeczne: chciwość i niesumienność dostawców armii. Korpus Burbakiego, idący z południa na ratunek kraju w zimie, po kilku marszach w porze zimowej został bez obuwia, intendatura bowiem dostarczyła mu butów z papierowemi podszewkami.

Byłem wtedy w Strasburgu, fortecy, która nigdy jeszcze wzięta przed tem przez nieprzyjaciela nie była. Widziałem tam nieporadność generałów, upadek ducha niesłychany, marnowanie ludzi i materiałów wojennych, na które poszły miliony, zebrane u ludności.

Ukończywszy szczęśliwie w tym czasie Akademię medyczną w uniwersytecie strasburskim i uzyskawszy dyplom doktora medycyny i chirurgii, z wdzięczności za bezpłatną naukę postanowiłem służyć Francji jako lekarz i w chwili oblężenia miasta przez Niemców uorganizowałem ambulans na 250 łóżek dla rannych, a jednocześnie przyjąłem na siebie obowiązek interna w szpitalu tamtejszym; a żem spełnił mój obowiązek, poświadczą te trzy świadectwa, które niżej przytaczam, bo mi są tak drogie, jak uznanie, otrzymane od Rządu Narodowego. ⁶¹⁾

1. *Société de secours aux blessés militaires des armées de terre et de mer. Comité auxiliaire de Strasbourg le 29 Août 1870.*

»Le comité certifie que dès l'arrivée des premiers blessés à Strasbourg Mr le Docteur S..... s'est mis complètement à sa disposition; qu'il a organisé et dirigé jour et nuit une ambulance très importante avec une habileté et un dévouement à toute épreuve.

»Mr le Docteur S..... a bien mérité de l'humanité et le comité se fait un devoir de lui rendre ce témoignage et de le remercier de son concours si actif et si dévoué«.

L. S. Pour le comité le Président J. Kablé.

2. »Le soussigné, Professeur de clinique médicale à la faculté de médecine de Strasbourg certifie que Monsieur S..... Jean, natif de Kowno, Pologne, a fait régulièrement le service d'externe et d'interne pendant les années 1867, 1868, 1869, 1870 à la clinique de Strasbourg et que pendant toute la durée de ses études, il s'est distingué par son zèle et son dévouement. Je mentionne d'une manière toute spéciale l'abnégation de Mr Stella pendant le siège et le bombardement de la ville de Strasbourg, depuis le 14 Août, jusqu'au mois d'octobre 1870.

Strasbourg, le 2 octobre 1870.

Dr F. Schützenberger«.

3. *Hospices civils à Strasbourg. Hôpital Civil. le 28 Septembre 1870.*

»Le, soussigné, Professeur de clinique chirurgicale de la faculté de Médecine à l'hôpital civil de Strasbourg, certifie, que pendant toute la durée de l'état de siège et du bombardement de notre ville (depuis le 14 Août jusqu'au 27 septembre 1870, Monsieur S..... Docteur de la faculté de Strasbourg, a fait le service dans mes salles de blessés, sans qu'il ait faibli un seul instant devant la tâche pénible et cruelle, que les circonstances de guerre nous ont faite.

»Je saisis avec bonheur cette occasion d'en faire la déclaration formelle et d'en consigner ici l'expression pleine et entière.

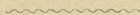
P. Rigaud«.

Le soussigné certifiant la signature de M. le Professeur Rigaud, se fait un devoir de donner à Mr S....., le témoignage d'avoir rempli avec tout le zèle et tout le dévouement ses fonctions d'interne pendant le mois d'août et de septembre 1870.

L. S.

Le directeur de l'hôpital
Wimpfen«.

PRZYPISKI.



BRITISH

P R Z Y P I S K I .

1. Rozkaz Wysockiego do pułk. Miniewskiego --- w Bibliotece Ossolińskich, teka L. 1884.

2. Tamże.

3. Tamże.

4. Tamże.

5. W bibliotece Dzieduszyckich. Tamże raport konsula moskiewskiego w Brodach.

6. Nominacja ta znajduje się w Bibl. Ossolińskich.

7. Tamże.

8. Tamże.

9. List Wysockiego znajduje się u mnie.

10. Dokument ten znajduje się w Bibl. Dzieduszyckich.

11. Tamże.

12. W Bibl. Ossolińskich.

13. Regulamina drukowane w Bibl. Dzieduszyckich.

14. Raport pułk. Bobowskiego w Bibl. Ossolińskich.

15. Tamże.

16. W Bibliotece Ossolińskich.

17. Tamże. Po należytem zorganizowaniu się Wydziału efektów koszta przedmiotów wojennych znalazły bardzo znacznie. Oto jest wykaz tych przedmiotów, złożony przez dostawców w grudniu 1863 nr 151. Wydział efektów.

POTRZEBY
infanterzysty kawalerzysty

Buty juchtowe długie		5.50—6.50
Buty zwykłe	3.50	
Trzewiki	2.30	
Kamasze	1 25	
Koszula	1.00	1.00
Kalesony	0 80	0 80
Onuczek 2 pary	0.40	0.40
Spodnie	4.50	5—6.50
Kaftanik flanelowy	2.50	2.50
Kalesony flanelowe	3.00	3.00
Pas flanelowy na brzuch	0.65	0.65
do przeniesienia	19.90	21.35

POTRZEBY
infanterzysty kawalerzysty

Z przeniesienia	19.90	21.35
Kepi watowane z nausznikami	1.50	0.65
Czapka zimowa	—.—	2—2.50
Kaptur	1.50	1.50
Rękawice	0.55	1.00
Kożuch	10.00	8.00
Płaszcz	8.00	10.00
Ładownica	2.90	2.00
Ładunków 1000 sztuk	25.00	20.10
Kapiszonów 1000 sztuk	3.50	1.20
Para ostróg	—.—	1.00
Kompletna terlica z podwójną derą	—.—	35.00
	72.85	100.65
1 Rakieta z granatem	8.00	
1 Rakieta polna	6.00	
Mapa wojen. Krakows. i Sandom. podklejona	17.50	
Karabin	22.00	
Rewolwer z nabojami	38.00	38.00
Pałasz z pendentem	9.00	9.00
Grot	1.65	1.65
Pistolet	7.00	7.00
Flintpas kawalerski		1.50

18. W Bibliotece Dzieduszyckich.

19. Tamże.

20. Tamże.

21. Tamże.

22. Tamże.

23. W Bibliotece Ossolińskich.

24. Usprawiedliwienie Sienkiewicza druk. w bibl. Dzieduszyckich.

25. „Prawda“ nr 8 w Bibl. Dzieduszyckich.

26. Tamże.

27. Znajduje się w Bibl. Ossolińskich.

DO RZĄDU NARODOWEGO.

Członkowie Rządu Narodowego!

Pełnomocnik Wasz doręczył mnie 5 b. m. odpowiedź Waszą z dnia 28. Listopada na podanie moje do Was z d. 10 tegoż miesiąca.

Z odpowiedzi tej widzę, że synowie i Rządcy Narodu, powołanego stać się w epoce tej Narodem Sługą Bożym, Narodem - wzorem Chrześcijaństwa, odrzucają to wielkie powołanie Polski, bo odrzucają wolę Bożą, Dopominek i Wezwanie, które Bóg w sprawie swojej czyni do Polski o poznanie i przyjęcie Chrześcijaństwa prawdziwego i żyjącego; stąd odrzucają jedyną drogę, na której Polska znaleźć może ratunek, szczęśliwy byt doczesny i zbawienie wieczne; stąd Rządcy

Polski, powołani stać się narzędziem Łaski i Miłosierdzia Bożego, stają się dla Polski narzędziem pokuszenia i dalszej kary Bożej.

Taka odpowiedź zadała duszy i sercu mojemu, ciężko już zranionemu męczeństwem narodu, tem dotkliwszą boleść, że grzech tak wielki popełniony został przez Was, członkowie Rządu Narodowego, w Imię Chrystusa i pokryty tak obficie i tak świetnie formami chrześcijańskimi, że nie jeden słabszy chrześcjanin, nie rozróżniając istoty od form, może poczytać tę odpowiedź waszą, ten akt wasz, odrzucający Chrześcijaństwo, za akt arcychrześcijański. Ale Rodacy, Bóg patrzy na nas i ze skrytości serc naszych sądzi nas!.. Spadnie na Was, Rodacy, i ciężyc będzie na sumieniu Waszem wielka odpowiedzialność przed Bogiem i przed Ojczyzną, za wszystkie następstwa jakie sprowadzi na Polskę ten czyn Wasz niechrześcijański i niepolski. to odrzucenie przez Was woli Bożej, Dopominku i wezwania Bożego, spadnie i ciężyc będzie na Was odpowiedzialność za zły przykład i utrudnienie, postawione Polsce w przyjęciu naznaczonego dla niej ratunku; spadnie i ciężyc będzie na Was ten zawód, którego Duch polski i chrześcijańska Ojczyzna jego doświadcza od pierwszych sług swoich. Kiedy naród polski, w całej pełni zaufawszy Wam, idzie ostatecznie za kierunkiem, który jemu zakreślacie, idzie bez względu na przeciwności a nawet i na męczarnie, Wy, Rodacy, nie tylko sami nie daliście dotąd Narodowi wyższej moralnej pomocy i podpory, ale nadto, licząc na same siły ziemskie, utrudniacie narodowi przyjęcie tej pomocy i tej podpory, którą naznaczyło dla niego Miłosierdzie Boże, w sprawie Bożej. Prędzej czy później stanie się jawnem dla Polski, która jak we wszystkim tak i w tym względzie oczekuje kierunku od Was, stanie się też jawnem, że Rządzący Polską odrzucili sprawę Bożą, sprawę ratunku Polski, że odrzucili siłę wyższą, niebieską, która (przekona się o tem prędzej czy później Polska i świat cały) sama tylko może wydzwignąć Polskę z tak ciężkiego położenia.

Co do mnie, odpowiedź Wasza, Członkowie Rządu Narodowego, zamknęła mnie pole do służenia Polsce pod kierunkiem Waszym i dla tego stanowczo dziś oświadczam Wam, co w podaniu mojem do Was z 10. Listopada warunkowo powiedziałem, że zrzekam się nominacyi, którąście mnie dali i opuszczam pole służby, naznaczone miie przez Was; czynię zaś to nie dla późnego wieku mojego, ani dla braku sił, co jedynie godnem względności waszej uznaliście, ale czynię to dla tego, abym wedle powołania mojego służył Ojczyźnie w charakterze i w wolności Sługi - Żołnierza Chrystusowego, którego ani wiek najpóźniejszy, ani stargane siły ciała nie uwalniają od służenia Ojczyźnie, bo on do ostatniego tchnienia służyć jej może i powinien. Służąc w ten sposób ukochanej Ojczyźnie, poświęcę wszystkie siły i życie moje, aby wygnane zostały z Polski te niechrześcijańskie i niepolskie zasady, ten ton, ten duch, który dziś rządząc w Polsce oddala ją od naznaczonego celu i z każdym dniem powiększa cierpienia jej; aby potem wygnano z Polski to, co jest niechrześcijańskie i niepolskie, aby powrócił do Polski ten ton, ten duch pierwotny, który Bóg wlał przez Piastu Narodowi naszemu, jako posadę narodowości, jako warunek szczęśliwego

i wiekuistego bytu jego, aby powrócił ten ton, ten Duch, który żyjąc w Kościuszcze, na długo przeciągnął w Sądach Bożych powołanie Kościuszczy i opiekę jego nad Polską i postawił go wzorem życia chrześcijańskiego i polskiego; aby powrócił do Polski ten ton, ten Duch, dla wygnania którego nie ma w Polsce równości, a w skutek nierówności, niema jedności, niema siły i wolności; poświęcę siły i życie moje, aby na odzyskanej posiadzie Piastowej, Duch Chrystusa, o przyjęcie którego schodzi na Polskę coraz groźniejszy Dopominek Boży, zmartwychwstał w sercach polskich i rządził Polską; abyśmy pod najświętszym tym Rządem, spełniając stanowcze wymagania Boże, otrzymali naznaczoną nam Ojczyznę i w tej Ojczyźnie spełniali chrześcijańskie powołanie nasze; aby w skutek tego odrodzenia się naszego, powrócił do was odjęty wam wiekuisty pokój, o Ty starożytny królu, i Ty nowożytny Hetmanie nasz!...

Rozstaję się więc z Wami, Członkowie Rządu Narodowego! z tem niezachwianem przekonaniem, że prędzej czy później, po bolesnych zawodach, zejdziemy się na drodze, którą Chrystus Pan ukazał, a która dziś na początku Epoki objaśnia się w Sprawie Bożej dla ratunku i dla dalszego postępu człowieka, a naprzód Polski Ojczyzny naszej; rozstaję się z Wami z tem mówię niezachwianem przekonaniem, bo niezmienna jest myśl Boża na narodzie naszym spoczywająca, tak jak niezmienna jest Wola Boża dla człowieka przez Chrystusa podana: „Niebo i ziemia przemina, a słowa moje nie przemina.”

8. Grudnia 1863 r. Kraków.

Karol Różycki.

28. Tamże. Naczelnik okręgu krakowskiego Wydział Administracyjny nr 28/846 Kraków d. 17. Grudnia 1863 r. Do Naczelnika obwodu rzeszowskiego (był nim Dr Zbyszewski Wiktor).

1) Przesyła Panu niniejszem nominacją na Naczelnika Obwodu rzeszowskiego obok nowej pieczęci i regulaminu organizacji narodowej w Galicyi.

2) Wzywa pana o jak najspieszniejsze przedstawienie kandydatów na naczelników powiatowych, tudzież na zastępców onychże, dalej na zastępcę naczelnika obwodowego, niemniej na referenta skarbu, referenta efektów, wreszcie referenta policji i komunikacji w tymże obwodzie, aby takowi bezzwłocznie mianowani być mogli. Dawną pieczęć Wydziału obwodowego raczysz Pan zniszczyć.

3) Wzywa się Pana o rychłe nadesłanie sprawozdania względem czynności komitetu niewiast waszego obwodu z tem dolożeniem, żeby komitet ten, jeżeli nie istnieje, natychmiast w życie wprowadzony był

4) Raczysz pan przedsięwziąć stosowne kroki, by władze organizacyjne organizatorom kadrów wojskowych wszelkiej dostarczały pomocy.

5) Co do organizacji poczty narodowej raczysz pan usunąć pojawiające się gdzieniegdzie nadużycia, iż obywatele za pocztę każą sobie płacić, co się dziać nie powinno,

6) Co do ilości funduszków, jakich władza administracyjna dostarczać ma władzy wojskowej na żądanie teje, zostawia się to na teraz słusznemu Pana ocenieniu.

7) Przytem przesyłam panu 68 sztuk obwieszczenia Naczelnika miasta Warszawy z d. 28. Listopada 1863 r., celem rozesłania takich po obwodzie. M. P.

29. Tamże. Naczelnik Okręgu Krakowskiego, Wydział administracyjny nr 36, Kraków, 2 Stycznia 1864. Do naczelnika obwodu rzeszowskiego.

„Z powodu różnych zapytań względem istnienia nowych władz wojskowych, ich stosunku do władz cywilnych i t. p., wydaje wydział administracyjny następujący okólnik:

1) Zawiadomiono już dawniej okólnikiem Komisarza pełnomocnego w Galicyi, Kraków, 30. List. 1863 l. 11, byłe oddziały obwodowe, iż w Galicyi zaprowadzoną została nowa organizacya cywilna, obecnie istniejąca. W dopełnienie tego okólnika zawiadamia Wydział administracyjny, iż teje organizacyi cywilnej odpowiada zupełnie organizacya wojskowa. W wojskowym przeto względzie stoi na czele Galicyi:

a) Organizator wojskowy Jeneralny, do Wydziału Rządu Narodowego w Galicyi należący.

b) Jemu podlegają trzej organizatorowie wojskowi okręgowi (na okręg krakowski, lwowski i tarnopolski) i z jego ramienia są mianowani.

c) Pod tymi stoją obwodowi organizatorowie kadr wojskowych, przez tychże organizatorów mianowani.

2) Z wprowadzeniem tej nowej Organizacyi ustala sama przez się dawna organizacya wojskowa, dawanie więc dymisyi dawniejszym organizatorom wojskowym jest wcale niepotrzebne.

3) Zadaniem władz wojskowych jest usposabianie sił do walki narodowej w zaborze moskiewskim się toczącej i wprowadzenie tych sił na linię bojową; werbunek przeto ludzi do broni należy wyłącznie do władz administracyjnych, nie zaś wojskowych, a władze wojskowe są czynnymi w tej mierze dopiero po oddaniu sobie ludzi przez władze cywilne.

4) Stosunek władz wojskowych do administracyjnych jest współrzednym, przeto władze wojskowe administracyjnym rozkazywać nie mogą, tylko wzywać takowe do udzielenia sobie potrzebnej pomocy.

5) Obowiązkiem zaś jest władz administracyjnych z uprzejmością i gorliwością udzielać władzom wojskowym żądanej pomocy wedle sił i możności, ile że tego wymaga dobro ogólnej sprawy narodowej, do którego wszystkie władze dośrodkowo zmierzać winny.

6) Raczysz pan natychmiast do naczelników powiatów pogranicznych wystosować odezwę, aby inspektorowie pasów pogranicznych w każdym razie bezzwłocznej udzielali pomocy.

7) Jeżeli urzędnik wojskowy jedzie na prowincyę, opatrzony zawsze bywa dostateczną legitymacyą władzy cywilnej.

8) Równocześnie rozesłany jest okólnik władzy wojskowej do organizatorów kadr obwodowych, celem usunięcia wszelkich nieporozumień, który to okólnik Pan, komu należy, doręczyć raczysz

9) Zarazem załącza Wydział administracji 15 egzemplarzy odezwy Rz. Nar. do duchowieństwa Polskiego d-to Warszawa, 15. Grudnia 1863, celem rozesłania takowej po obwodzie, a przytem wpływania właściwą drogą na duchowieństwo, by z obowiązku swego przyczyniało się systematycznie do przeobrażenia naszego ludu wiejskiego w narodowym względzie.

10) Powtórnie nadmieniam się Panu, byś zniszczył dawną pieczęć Wydziału, a używał nowej pieczęci, co już dawno stać się było powinno. M. P.

30. Bibl. Dzieduszyckich. Dla charakterystyki nieszczęśliwego dowódcy i na pamiątkę o nim, przytaczam list Leszka Wiśniowskiego, rozstrzelanego d. 27. Listopada 1863 w Włodzimierzu, pisany na kilka godzin przed śmiercią.

„Helenko! ubóstwiana żono moja! Najlepsza, najtroskliwsza z matek matko! Nadszedł dzień uroczysty, dzień wielki, w którym mam za kilka godzin oddać me życie za Ojczyznę. Dzięki Ci, aniele mój, za błogie przeżycie z Tobą tych pięciu lat; przebacz mi, błagam Cię, wszystkie męki, które Ci zadałem i które jeszcze znieść przezemnie musisz Syna wychowaj na uczciwego człowieka i prawego syna Ojczyzny. Wychowanie jego zacznij od nauk przyrodniczych, które rozświełtają umysł i uszlachetniają serce, zresztą niech idzie w Twoje ślady, niech pamięć dla mnie zachowa, a Bóg wielki dopomoże, że mnie godnym będzie. Opiekunami Waszymi naznaczam Seweryna Borkowskiego, Stanisława Polanowskiego, Adama Komorowskiego i Zygmunta Rodakowskiego. Umieram spokojnie, bo mam silną wiarę w nich, że ostatniej woli zadość uczynią i godnie, jak na prawych Polaków przystoi, z włożonego na nich obowiązku wywiążą się. Tylko ta jedyna troska gniotła mą duszę, by sieroctwo Wasze było zabezpieczone od nędzy, byś Ty i syn nasz mieli przyzwoite utrzymanie, a syn należyte wychowanie. Oto jest wszystko, czego w ostatniej chwili życia mego pragnę, bo inne me życzenia całem mem życiem stwierdziłem. Helenko! bożyszczko moje! Okropne nieszczęście, które Cię spotyka, owdowienie i sieroctwo, przyjm z ręki Najwyższego z rezygnacją Polki, nie upadaj na duchu, pomnij, pamiętaj, że odtąd jesteś dla syna naszego Ojcem i Matką; miłość, którąś mnie uszczęśliwiła, przelej całkiem na dziecko i jemu poświęć życie twe.

Lesiu, dziecko moje, w uroczystej tej chwili, ostatniej w życiu, przemawiam do Ciebie, jeszcze do dziecięcia, byś, gdy Bóg rozwinie w Tobie przyrodzone dary natury, wiedział, żeś miał ojca, który Cię kochał, który w młodym jeszcze, bardzo młodym Twoim wieku, zostawił Cię sierotą, ginąc za Ojczyznę. Błagam Cię, zaklinam pod błogostawieństwem, synu mój, byś miłość, jaką mnie winien byłeś, przelał na Matkę i słuchał jej we wszystkim, bo ona dla ciebie, sieroto — ojcem i matką. Ludzie zacni, których przeznaczam Ci za opiekunów, dopomogą w życiu Twojem, że nie będziesz potrzebował przebijać się przez świat tak mozolnie, jak ja. Zasadą życia Twego niech będzie

moja zasada, którą Chrystus, umierając za ludzkość, nam przekazał: „Kochaj Boga i Ojczyznę nadewszystko, a bliźniego Twego, jako siebie samego“: z tą zasadą przejdiesz wszystkie burze życia,—czysty i święty, a spokój sumienia wynagrodzi ci wszystkie troski, bole, zdrady i obłudy świata. Bóg chciał, bym w cztery miesiące po rozstaniu się z matką Twoją i Tobą, leżał w mogiłę śmierci męczeńską, mogiłę, w której spoczywają zaci młodzienci: Rulikowski, Wernicki, Mańkowski, Bataglia, Torosiewicz i kilku nieznanym mi nazwisk. Niech się dzieje wola Jego, poddaję się jej z całą swobodą umysłu, z największym spokojem duszy, z jedyną prośbą, by moja ofiara była już ostatnią. Ginę czysty, jak całe życie me było czyste, bom nigdy z drogi obowiązku i cnoty nie zбочzył, uzbrojony zasadą, którą Ci ostatnią wolą moją przekazuję.

Cóż mam Wam więcej, najdrożsi moi, w tej uroczystej chwili powiedzieć? Zdaje się, że się wylałem całym sercem dla Was, że życie moje, które uchodzi, w Was przelałem: przeto błagam tylko Opatrzność, by Was strzegła i prowadziła przez cały Wasz żywot błogo i szczęśliwie, byście sieroctwa Waszego, którego ja jestem przyczyną, nie czuli tak strasznie, jak prawie wszystkie sieroty je czują, byście mi wybaczyli Wasze męki, które Wam zadałem, byście doczekali tego, za co ja zginąłem. Helenko! żono moja ubóstwiona, Lesiu, synu mój jedyny, żegnam Was, żegnam, żegnam po raz ostatni — nie ostatni, bo jeszcze zostaje mi, nie wiem ile chwil życia, więc dopiero z ostatniem tchnieniem, gdy serce bić przestanie, pożegnam Was, polecając opiece Boskiej i zacnych opiekunów, udzielając Wam moje błogosławieństwo. Bądźcie zdrowi i szczęśliwi, kochajcie mnie, jak ja Was kocham. Bibliotekę moją, jeżeli okoliczności żonie inaczej uczynić nie każą, zapisuję Lesiowi. Teraz pozostaje mi jeszcze pożegnać się z Matką biedną moją, z rodziną i przyjaciółmi. Najdroższa, najlepsza mateczko moja! Marzenia Twoje i moje, że ja będę podporą starości Twej, giną w tej uroczystej chwili, bo Bóg mnie powołuje do siebie, osierocając żonę i syna mego, a wnuka Twego. Nie narzekaj na wyroki Boskie, ale poddaj się im z rezygnacją Matki Polki i miłość Twą macierzyńską dla mnie, przelej całkowicie na żonę moją i wnuka Twego. On godnie mnie zastąpi. Matko, bądź zdrowa, szczęśliwa — żegnam Cię!

Maryniu, Olesiu, siostró i bracie najdrożsi, najmilszi; żyliśny swobodnie, jak Bóg przykazał, aż oto wyroki Najwyższego rozrywają nasz węzeł święty rodzinnej przyjaźni i miłości, ja zginę za kilka chwil śmiercią męczeńską; nie upadajcie na duchu. Ty Maryniu z wielkiem Twem sercem i niepospolitym rozsądkiem od Boga obdarzona, nie opuszczaj Helenki i Lesia. Bądźcie zdrowi i szczęśliwi, żegnam Was i błogosławię. Żegnam wszystkich poczciwych ludzi i błagam o pamięć dla mnie. Helenko! wdowo moja i Lesiu sieroto, żegnam Was raz jeszcze i błogosławię. Kończę życie z modlitwą „Z dymem pożarów“ i słowem: Boże! żonę, syna i Ojczyznę polecam Twej opiece i umieram spokojnie i błogo.

Wielmożnemu Zygmunto wi Rodakowskiemu, z prośbą, aby w tej chwili doręczył list ten osobiście mej żonie, wdowie. Bądź

zdrów zacyjny Zygmuncie. Posyłam na pamiątkę żonie i dziecku łyżkę drewnianą, której używałem przez cztery miesiące mego więzienia.

31. Bibl. Ossolińskich. Żeby dać pojęcie o kosztach utrzymania oddziałów, przytaczam odezwę naczelnika okręgu krakowskiego do wydziału obwodu tarnowskiego 10. Stycz. 1864 nr 129. „Major Wagner, dowódca oddziału przedstawił likwidację na 580 zł., mających służyć na zaspokojenie potrzeb tegoż oddziału. Tymczasem organizator okręgu Krakowskiego zmodyfikował likwidację w sposób następujący:

1) Oficerowie, przedstawieni do udzielenia im zasiłku na umontowanie, nie mają prawa pobierać takowego, jak tylko po 30 zł.

2) Co się tyczy żołdu oficerskiego, ten powinien być udzielonym w stosunku 50 ct. dziennie na trzy dni tutaj i 3 dni za granicą i to ma stanowić fundusz rezerwowy, również żołd dla podoficerów, trębaczy i żołnierzy powinien być wydany na 6 dni.

3) Koszta przeprawy istotnie 100 zł. mogą wynosić, a zatem rachunek takby się przedstawił:

Porucznicy Rynhof, Skware, Jasiński po 30 zł.	
na ubranie	90 zł. — ct.
Żołd 6-dniowy dla 2 rotmistrzów, 2 poruczników, 2 podporuczników, 1 porucznika-adjutanta, 1 kapelana, po 50 c. na 6 dni	24 „ — „
2 trębaczy, 6 podoficerów po 10 ct. dziennie na 6 dni	6 „ — „
46 szeregowych po 7 ct. dziennie za 6 dni	18 „ 12 „
Fundusz dla majora Wagnera	100 „ — „
	238 zł. 12 ct.

Polecam zarazem, ażeby dopilnowano jak najspieszniejszego wyjścia oddziału majora Wagnera i odtąd na żadne jego potrzeby na terytorium galicyjskiem forszusu nie udzielano.

Konia dla Majora Wagnera polecił wydać wydział efektów pod dniem wczorajszym.“ M. P.

Reńskich 238 i ct. 12 otrzymałem 13 stycznia 1864. Wagner.

32. W bibliotece Dzieduszyckich.

33. W bibl. Ossolińskich. Z powodu powolnego wpływania podatków Okręgowi musieli kilkakrotnie robić odezwę do obywateli, przypominając im te obowiązki, które kraj na nich wkładał. Oto jest jedna z tych odezw, wydana przez naczelnika okręgu krakowskiego d. 19. Stycznia 1864 nr 19.

„Mimo licznych zawezwań o rychłe ściąganie podatku narodowego, wpływa tenże podatek bardzo leniwie do skarbnicy narodowej z obwodów okręgu Krakowskiego. To leniwe wpływanie podatku, tem więcej razi, jeżeli porównaną będzie jego ilość z kwotą, jaką dotychczas uiszcilo już miasto Kraków; w obec czego myśl mimowoli nasuwa się, jakoby właściciele ziemscy w Galicyi obojętnymi byli na los Matki-Ojczyzny.

Wiadomo nam wprawdzie, iż czasy są ciężkie, tudzież, że Galicya do arcyzamożnych prowincyj nie należy, lecz wiemy i to, że przy dobrych chęciach środki z pod ziemi wysunąć się mogą i wysuwać będą.

Czyż nie potrzeba obojętnych pobudzać właściwymi sposoby, iżby przyczyniali się do wskrzeszenia Ojczyzny, leniwych popchnąć, by i oni ciągnęli maszynę narodową, ostygającym dodać zapala, by nie wygasła w nich miłość Polski. Czegóż wart naród, który bezwiednie i bez czucia chodzi po własnym grobie i płodzi nędzne niewolniki, przecież myśmy pono tak bardzo jeszcze nie spodleli, strzeżmyż się więc, by nas ten zarzut nie spotkał.

Przytem nadmienić wypada, iżbyście, Obywatelu, uwzględniali reklamacye słuszne uboższej szlachty, a baczyl, by możniejsi panowie nie urywali skarbu narodowego niedokładnie na nich wymierzoną daniną.

W ogóle zaś poleca wam Wydział administracyi, iżbyście przez naczelników powiatowych pisemnie upomnieli bezzwłocznie wszystkich obywateli, którzy za r. 1863 podatku jeszcze nie splacili, aby takowy do 8 dni uiścili.

Jeżeli tego podatku do 8 dni nie zapłacą, macie im posłać zagrożenie Naczelnika Okręgu, tu dołączone, a jeżeli i to nie pomoże, prześlijcie ich nazwiska nam natychmiast, wybierając atoli, celem uniknienia ogólnego zgorzenia, najopieszalszych, najniechętniejszych.

Wykonanie niniejszej odezwy polecam waszemu patriotyzmowi. M. P.

34. W bibliotece Dzieduszyckich.

35. W zbiorze dra Artura Wołyńskiego we Florencyi.

36. W zbiorze dokumentów ś. p. Chądzyńskiego.

37. Dokument w papierach Art. Wołyńskiego. Niestety, nie brakło nam i tych smutnych objawów, jakie ilustrują wojny, prowadzone przez Moskwę, a nawet i stojącą na czele cywilizacyi Francję. Nie chcąc ukrywać żadnej strony powstania naszego, przedstawiam następujący wypadek, o którym doniósł Dyrektor wydziału efektów w Krakowie, d. 31. Paźdz. 1863. Komisarzowi pełnomocnemu Galicyi zachodniej:

„Z polecenia mi danego na d. 27 b. m. w sprawie obywatela Armatysa, składam następujący raport:

„Nie mogąc dojść do żadnego rezultatu z ob. Armatysem, za-wezwałem go do złożenia na piśmie jego tłumaczenia, jak również przedstawienia szczegółowych rachunków. Na imię Naczelnika miasta odebrałem wczoraj długi memorjał, który dołączam:

Pan Armatys opisuje w swoim memoryale, że dla p. Cwieka sprowadził broń która doszła przeznaczenia swego, że zachęcony tem powodzeniem, podjął się powtórnie sprowadzić dla p. Zakrzewskiego, zwłaszcza, że p. Zakrzewski zgodził się na ceny broni przyjęte przez p. Cwieka. I tak naprzykład cena jednego sztucea wedle p. Armatysa wynosi 37 zł., gdy tymczasem prawdziwa cena maximum powinna być 27 zł. To wszystko p. Armatys robi z prawdziwego poświęcenia i patriotyzmu. Że wreszcie podjął się obstalunku broni, nie przyjmując na siebie żadnej a żadnej odpowiedzialności.

Po takim przedłożeniu p. Armatys wylicza zlr. 18.200 na nast. rachunek:

300 sztuców à 37 zł.	11.100
120 pałaszy à 14 zł.	1.680
50 rewolwerów à 46 zł.	2.300
5.000 ładunków à 60 zlr. tysiąc	900
Pakowanie i koszta w Wiedniu	400
	<hr/>
	16.650

Sumę tę miał przesłać jakimś panu w Wiedniu, na co wszystko, nie posiada żadnych dowodów.

Z całego tego obstalunku odebrano tylko, ale bez dowodów, 50 sztuców, 50 rewolwerów i coś ładunków. Jest jeszcze do odebrania w Wiedniu 50 sztuców i znaczna część ładunków. Dwa transporta broni zabrali Anstryacy, na co też nie ma dowodów, ot i wszystko, czyli jednym słowem za 13.200 zł. dał:

50 sztuców à 37 = 1850, a licząc <u>wedle cen à 27 zł.</u> będzie	1.350 zł. — ct.
50 rewolwerów à 46 = 2.300, „ „ „ à 40 „	2.000 „ — „
obiecuje dać jeszcze 50 sztuców à 37 = 1850 — „	1.350 „ — „
5.000 ładunków à 60 tysiąc = 300 zł. à 40 zł.	200 „ — „
Koszta 547 zlr. 35 ct.	547 „ 35 „
	<hr/>
Razem 6847 zł. 36 ct.	5.447 zł. 35 ct.

Czyli, odjąwszy tę sumę 6.847 zł. 35 ct. od sumy 18.200 zł. pozostaje wedle p. Armatysa 11.352 zł. 65 ct., które zostały zmarnowane.

Przypuściwszy teraz, że jest prawdą, jakoby p. Armatys zastrzegł sobie, że nie przyjmuje żadnej a żadnej odpowiedzialności, na co wszelako żadnego nie przedstawia dowodu, to w takim razie rachunek po cenach dowolnych p. Armatysa, tak się przedstawia:

a) Broń zabrana 200 sztuców po 37 zł.	7.400
1.200 pałaszy „ 14 „	1.680
	<hr/>
	9.080
b) Broń dostawiona bez dowodów 50 sztuców po 37 zł.	1.850
50 rewolwerów po 46 „	2.300
	<hr/>
	zł. 4.150
c) Broń do dyspozycyi w Wiedniu 50 sztuców	1.850
5.000 ładunków	300
	<hr/>
	zł. 2.150
d) Koszta pakowania w Wiedniu	zł. 400 — ct.
Podróże	547 35 „
	<hr/>
	zł. 947 35 ct.

Razem więc 17.227 zł. 35 ct., odtrąciwszy tę sumę od 18.200 zł., pozostaje gotówką u p. Armatysa 972 zł. 65 ct., które wtedy dopiero odda, gdy otrzyma zakwitowanie całkowite z wyraźnem podziękowaniem za jego poświęcenie i patryotyzm.

Nie przesądzając twierdzeń p. Armatysa, sądzę, że należałoby, a nawet koniecznem jest zaważać przez władze właściwe Gustawa

Zakrzewskiego i Cieszkowskiego (Cwieka), do zdania szczegółowego tłumaczenia, zanim sąd surowy zawyrokuje o p. Armatysie.

Po przesłuchaniu pierwszej strony okazuje się na cyfrach, że p. Armatys nie tylko, że nie zrobił żadnego poświęcenia, ale po prostu brzydką, haniebną spekulację, raz biorąc po cenach nadzwyczaj wysokich, a powtóre, niedostawiawszy dotąd. jak tylko 50 sztucerów i 50 rewolwerów.

Pozostaje więc mojem zdaniem:

1) Polecieć p. Armatysowi, aby do zdania szczegółowych rachunków, wraz z dowodami na wszystko, zwrócił natychmiast pozostające u niego 972 zł. 65 ct. na ręce Naczelnika miasta.

2) Wydać rozkaz temuż p. Armatysowi do sprowadzenia pozostałej według niego broni w Wiedniu, t. j. 50 sztucerów, ładunki i kapsle, co możnaby skutecznie za pośrednictwem Kwiatkowskiego, naszego ajenta.

3) Wstrzymać się z wyrokiem aż do nadejścia sprawozdań p. Zakrzewskiego i Cieszkowskiego, o których pobycie przez Naczelnika Województwa Lubelskiego i Podlaskiego dowiedzieć się można. M. P.

P. S. Stosownie do opinii wydziału, wezwać p. Armatysa 1-o do oddania 972 zł. 65 ct., 2-o wydania broni, 3-o polecieć dyrektorowi efektów złożenie natychmiastowego sądu.“

Mógłbym przytoczyć jeszcze kilka podobnych faktów niegodziwej frymarki funduszami uboższego kraju, ale wolę rzucić zasłonę na ohydę ludzką... Niech wspomnienie to poruszy w ich sercu uczucie potrzeby zadosyćuczynienia krzywdy wyrządzonej Ojczyźnie. Zresztą nie śmiem dalszym odkrywaniem zasłony i stawiając pod pręgierz ojców, karać ich dzieci, które nie zasłużyły na to.

38. W Bibliotece Ossolińskich obie odezwy

39. Drukowane odezwy w Bibliotece Dzieduszyckich.

40. W Bibliotece Ossolińskich.

41. Tamże.

42. Biblioteka Dzieduszyckich.

43. Dekret Rządu Narodowego w Bibliotece Ossolińskich. Jakiego rodzaju sądy miały być zaprowadzone w Galicyi, dowiadujemy się z odezwy Rz. Nar. do komisarza Rządu Narodowego w Krakowie, 14. Lutego 1864, znajdującey się w papierach p. Józefa Janowskiego

„Nie zrozumieliście myśli naszej. Wiemy, że u Was tam między zasiadającymi znajdują się zawsze ludzie fachowi, ale w okolicznościach, w jakich jesteśmy, nie jest to wielką zaletą, a często nawet wadą być może, szczególnie w ludziach, przywykłych do ciężkiej i ospalej procedury austriackiej. Tacy fachowi, pomimo najszczerzych chęci, nie są w stanie oswobodzić się z więzów rutyny, która krępuje ich na każdym kroku, gdy tymczasem sąd rewolucyjny jest poprostu sąd sumienny, obleczony w najprostsze formy, wolny zupełnie od próżnych formalności i przez to samo szybki w przeprowadzeniu i stanowczy w wyrokach swoich. Tego potrzebujemy od sądów naszych i do tego podobno bardziej pasują sądy akademickie, niż uczonych i doświadczonych prawników. Naturalnie, że sądy takie ustać powinny z dniami

włożenia miecza do pochwy poczem wnet światli prawnicy napowrót swe niezaprzeczone prawa odzyskają.“

44. De la politique de l'Autriche dans la question polonaise et de l'état de siège en Galicie. Paris 1864 p. 34. W dniu 20. Stycznia 1864 Namiestnik Galicyjski hr. Mensdorf Pouilly otrzymał rozkaz, polecający mu, stosowanie najsurowszych środków, byle tylko nie dopuszczać z Galicyi żadnej pomocy powstaniu polskiemu.

„Z powodu nadzwyczaj ważnych okoliczności politycznych, brzmi ten ciekawy rozkaz, rząd cesarski pragnie, żeby powstanie polskie w jak najkrótszym czasie zostało stłumione. Dla osiągnięcia tego celu, Wasza Ekszellenca powinna użyć wszelkich środków, któreby agentom rosyjskim, znajdującym się w kraju, dały zupełną możność spełnienia swego zadania; powinna uprzedzać władze wojskowe rosyjskie o wszelkich ruchach powstańców, skoro o nich władze cesarskie powezmą wiadomość i t. d., powinna ściśle czuwać nad tem, ażeby żadnej pomocy nie dawano powstańcom, ani w broni, ani w odzieży, ani w lekarstwach i powinna surowo karać wszelkie przekroczenia tego rozporządzenia. Pan naczelny Gubernator obowiązany jest oprócz tego ściśle ścigać z największą energią osoby podejrzane o to, że pomagają powstaniu w Królestwie Polskiem lub biorą w niem udział. Jego Ekszellenca ma zupełne prawo użycia takich środków, jakie uzna za konieczne dla dopięcia zamierzonego celu, i gdyby wymagały tego okoliczności, może zastosować wyjątkowe przepisy, nie żądając wcale poprzedniego upoważnienia od rządu cesarskiego.

45. W Bibliotece Ossolińskich. Jest jedna rzecz nieobjaśniona dla mnie w liście Sawy, pisanym do szefa sztabu swego pułkownika Wierzbickiego, d. 13. Marca 1864, „Rząd Narodowy pisze, że jeżeli oddziały Ruskie nie wychodzą, to żebym wziął je pod swoje naczelnictwo i stosownie sam niemi zadecydował; mam więc nadzieję, że i z tego pomoc mieć będziemy, bo jutro zaraz odpowiednie im rozkazy wydam, a wierze, że znając Galicyę i Ruś, będę mógł skierować wszystko tak, ażeby to posłużyło na korzyść powstania. Rząd Narodowy zgadza się na oddanie mi okręgu lwowskiego i przysła upoważnionych do przeprowadzenia tej reorganizacji“. Czy Rudnicki zmyślał, czy rzeczywiście jakieś pertraktacye odbywały się po za moimi plecami nie wiem, ale nie chce się mi wierzyć w to, wobec odezwy, którą nieco później otrzymałem od Rządu, a która potępia plany Sawy co do wyprawy na Ruś.

46. Redaktor „Gazety Narodowej“ Jan Dobrzański, umieścił w Gazecie artykuł, że według otrzymanych w redakcyi wiadomości, „niejaki Władysław Rudnicki, dowódzca oddziału na Rusi, atakowany przez Moskali, rzucił swój oddział na pastwę wrogów i pierwszy uciekł z pola bitwy“. Ponieważ takie hańbienie człowieka w wilgę wyjścia jego z oddziałem mogło być bardzo szkodliwe dla sprawy, kazałem Dobrzańskiemu odwołać tę wiadomość, pod zagrożeniem oddania go pod sąd wojenny. Redaktor spełnił rozkaz, lecz w dni kilka po tem, wydrukował na nowo: „Informacye ponowne otrzymane z Rusi dowodzą, że artykuł poprzednio podany o Władysławie Rudnickim nie mija się

z prawdą. Nie wierzyłem temu, lecz niestety, dalsze losy tego człowieka pokazały, że męstwo duszy nie było przymiotem jego. Moskale prawie nie wiedzieli o osobach, należących do organizacyi na Rusi. Gdy w 1864 r. Mierosławski posłał do Warszawy Daniłowskiego, Jan-czewskiego i Rudnickiego, nie przewidział, że schwytyany i zastraszony karą śmierci Rudnicki, wyśpiewa wszystko, co tylko wie i skompromituje mnóstwo osób, które na jego wskazówkę zostały aresztowane. (Siedmicy Polskaho miatieża i awliszczewa str. 343). Rzeczywiście, gubiąc drugich, uratował siebie, bo wydając organizację Rusi, uzyskał przebaczenie i tylko krótki czas był w Syberyi na osiedleniu.

47. Bibl. Ossolińskich.

48. Tamże.

49. Tamże. Naczelnik Okręgu Krakowskiego 18. Lutego 1864.

DO NACZELNIKA OBWODU RZESZOWSKIEGO.

„Załączam wam, obywatelu, wyciąg z raportu naczelnika wojskowego do Rządu, z d. 8. Lutego 1864 nr 34, z którego dowiecie się, jak to w niektórych miejscach przyjmowani są nasi żołnierze. Na miłość Boską wejrzyjcie w położenie ludzi zmęczonych i zgłodniałych; nieraz dopuszczają się oni nadużyć w domach obywatelskich, lecz ileż to razy są zmuszeni do tego rzeczywiście głodem. Odwołujcie się do sumienia, ludzkości i chociaż do tej staropolskiej gościnności w podawaniu łaknącemu chleba, jeżeli już do tego czynu nie czują się być zobowiązani ze względu na patriotyzm.

50. Drukowana odezwa do Duchowieństwa w Bibl. Dzieduszyckich.

51. W Bibl. Ossolińskich Odezwa Naczelnika Okr. Krakowskiego

Przesyłając egzemplarze „Głosu Kapłana Polskiego, dla najstarszego rozpowszechnienia pomiędzy duchowieństwem Galicyi, naczelnik Okr. Krakowskiego pisze: „Ścisły węzeł, który łączy sprawę Kościoła katolickiego ze sprawą Polski, jest aż nadto dobrze znany każdemu, komukolwiek choć trochę nie jest obcą historia tak Kościoła, jak Polski, a wzniosłe przykłady niezmordowanej i pełnej męczeńskiego poświęcenia pracy kapłanów Ojczyzny naszej, zacząwszy od najwyższych szczebli hierarchii kościelnej, aż do najniższych członków, najlepszym tego dowodem. A zrozumieli oni, że, broniąc Polski, zasłaniają Kościół od ciężkich losów przyszłości; że, chcąc bronić kościoła i wiary katolickiej, trzeba Polski bronić. Jednakże nie wszyscy poszli za tym szlachetnym śladem. Odstępstwo ohydne niektórych, wysokie stanowisko piastujących kapłanów, przenoszących własny interes i spodziewane hojne łaski z rąk oprawców nad prawo i bezpieczeństwo moralne powierzonej im owczarni, jakkolwiek nieliczne, gorszącym staje się przykładem i tem niebezpieczniejszym, że oparte na przekręcaniu najwznioślejszej zasady wiary naszej, zasady pokory, uwalnia tak wygodnie od sięgania po męczeńską koronę, a tak ponętne doczesne wskazuje zyski. Przeciwwstawić ich głosowi zwodniczemu, głos wznioślejszy—oto cel rozpowszechnienia „Głosu Kapłana Polskiego“. Kto pozna, wczytawszy się w niego, jak przemawiają za prawami kraju naszego Ojciec święty i najpierwsze zagraniczne dostojniki Kościoła

katolickiego, a przemawiają, nie jako obrońcy praw politycznych Ojczyzny naszej, ale w imię wiary i ludzkości, wnet zrozumie, po której stronie każą mu stać obowiązki, tak względem Ojczyzny, jak względem świętej instytucji, której jest sługą.

Przejęty tą wiarą, niedługo będzie się wahał w poświęceniu sprawie usiłowań swoich, a środki znajdzie w ścisłym spełnieniu obowiązków przywiązanych do stanowiska swego.

Nikommu lepiej, jak Naczelnikom obwodów, znającym tak dokładnie stosunki ludu naszego do innych warstw społeczeństwa, nie jest znanem, że stargany węzeł, łączący włościan, jest ideą Ojczyzny Polskiej i tylko rękami kapłana da się nawiązać, jeżeli ma być trwałym, aż do serca sięgającym. Myślę, że zachęcać duchowieństwo nasze do trudu tego wielkiego zadania żadnej, obywatelu, nie opuście sposobności.

52. Bibl. Dzieduszyckich.

53. Tamże.

54. Tamże.

55. Tamże.

56. W zbiorze dokumentów ś. p. Chądzyńskiego.

57. Odezwa Grekowicza w bibliotece Dzieduszyckich.

58. Kilka takich raportów znajduje się w Bibl. Ossolińskich.

59. Że w opowiadaniu mojem nie ma żadnej przesady, można się przekonać z mowy posła Kazimierza Grocholskiego, wypowiedzianej w czasie rozpraw nad adresem w izbie poselskiej, w Grudniu 1864, a tyczącej się stanu obłączenia.

„Zarzuty, czynione tu Polakom, nie pozwalają mi milczeć, gdyż tego nie przebaczył by mi kraj. Przedewszystkiem muszę wyznać, że dotknęło mię to bardzo nieprzyjemnie, że właśnie jego ekscellency panu ministrowi policyi musiało przypaść zadanie usprawiedliwienia stanu obłączenia w Galicyi. Tkwią mi jeszcze w pamięci, owe tak wysoko przed trzema laty stawiane słowa: „Austria przestała być państwem policyjnym, Austria stała się państwem prawnem“.

Jeżeli do obrony osób i własności zwyczajne środki nie wystarczają, to rząd ma ustanowić sądy doraźne; ale stan obłączenia ze wszystkimi swemi nienawistnemi przykrościami, którym zarówno winny i niewinny podpada, sprzeciwia się wszelkim zasadom sprawiedliwości. Dla tego mam prawo powiedzieć: jeżeli stan obłączenia nie jest aktem obrony, to jest zaczepką.

Lecz czy istniało jakie niebezpieczeństwo dla Austrii? Podług najgłębszego mego przekonania, zaprzeczam temu i, aby uzasadnić to przekonanie, powołuję się na wyroki sądów wojennych.

Od 9 miesięcy (od 1. Marca) pociągano 8.594 osób do śledztwa i postępowano przytem tak, że z 6.707 osób, których śledztwo skończyło się w końcu sierpnia, 3.624 osób zostało skazanych, albo z braku dowodów uwolnionych. Mimo to, wynalazły sądy wojenne tylko 24 wypadków zbrodni stanu w Galicyi, a między temi znajdują się 4 wyroki za zaniedbanie doniesienia, 10 zaś przeciw chłopcom, gimnazystom, technikom i t. d., młodzieńcom w wieku lat 15 do 19. I to miało być

owem niebezpieczeństwem, które zmusiło rząd zaprowadzić ku swej obronie stan oblężenia? Jeżeli zaś rządowi nie groziło żadne niebezpieczeństwo, to i zaprowadzenie stanu oblężenia nie jest usprawiedliwionem. Chociażbym zajął to samo stanowisko, jakie zajął rząd w tej sprawie, t. j. że stan oblężenia zaprowadzony został ku obronie spokojnych mieszkańców i ich własności, to nawet i w tem nie znajduję powodu konieczności tego środka. Na nagie twierdzenia ministrów, odpowiem znowu tylko wyrokami sądów wojennych. Niechaj rząd cesarski raczy mi wykazać, kogo skazano za wymuszenie (Erpressung), za groźby i za terroryzowanie?

Wspieraliśmy powstanie przeciw Moskwie; z tem nie tailśmy się przed nikim, nawet przed rządem cesarskim. Aby wspieranie to niejako uporządkować i dla jednostek mniej dotkliwym uczynić, istniały w kraju tak zwane wydziały. A chociażby forma i organizacya tych wydziałów, które zresztą nie były jednakowe, chociażby i sposób ich czynności mniej lub więcej sprzeciwiał się prawom, o wymuszaniu, o groźbach, o terroryzmie nie może być mowy. Kraj dobrowolnie niósł ofiary wszelkiego rodzaju, a wydziały miały tylko zadanie przyjmować tę pomoc.

Hr. Rechberg oświadczył w depezy swojej z d. 12. Lutego 1863 r. do lorda Blomfielda, posła Angielskiego w Wiedniu, że co do Galicyi nie ma się czego obawiać. Musimy przeto przypuścić, że albo rząd i organa jego były w zupełnej nieświadomości stosunków, a więc niedoświadczeni, albo wnioskować, że przyczyny, któremi się rząd do tego środka dał spowodować, gdzie indziej leżą. Nie chcę twierdzić, jakoby pierwsze było całkiem niemożliwem, gdy jednak rozważę porę, w której zaprowadzono stan oblężenia i doniosłość, jaką mu dano, widzę się poniewoli zmuszonym dać wiarę zdaniu, że między trzema mocarstwami rozbioremi przyszedł do skutku układ, w celu stłumienia powstania.

Jeżeli zaś rząd wiadomości o tem nazwie fałszywemi, wówczas tem gorszym jest ten środek, wtedy bowiem staje się zaprowadzenie stanu oblężenia w Galicyi czystem ubieganiem się o przychyłność Moskwy—gdyż widocznie jedynie gwoli nasycenia mściwych żądz Moskwy zaprowadzonoby stan oblężenia. Rząd cesarski posuwałby się jeszcze dalej, jak moskiewski w Królestwie Polskiem: postępowanie bowiem rządu cesarskiego w Galicyi służy Moskwie jako płaszczyk, dla codziennie powtarzających się tam okrucieństw—gdyż każdy wyrok karny w Galicyi, skoro nie miano żadnych przeciw Austrii zamiarów, niewinnia postęпки Moskwy, z którą bój toczono.

W obec znakomitych prawników, jakich posiada Izba, nie myślę się rozwodzić nad mocą wstecz działającą, którą nadano stanowi oblężenia, nie mogę przecież pominąć, że ani bezpieczeństwo państwa, ani pojedynczych osób i własności, nie wymagało tego przekazania mu czynów popełnionych przed laty, popełnionych przez osoby, już po kilka miesięcy uwięzione. Jeżeli zaś wspieranie powstania jest karygodnem, to i rząd cesarski jest moralnie współwinnym: owe bowiem noty, które rząd wystosowywał do gabinetu petersburskiego, były dla powstania po-

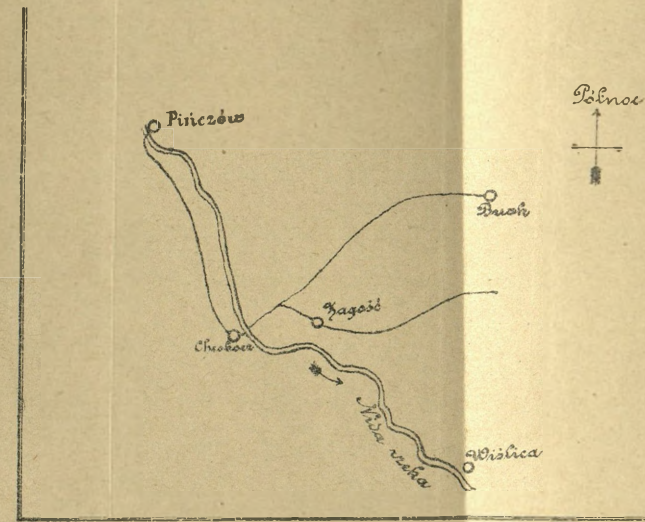
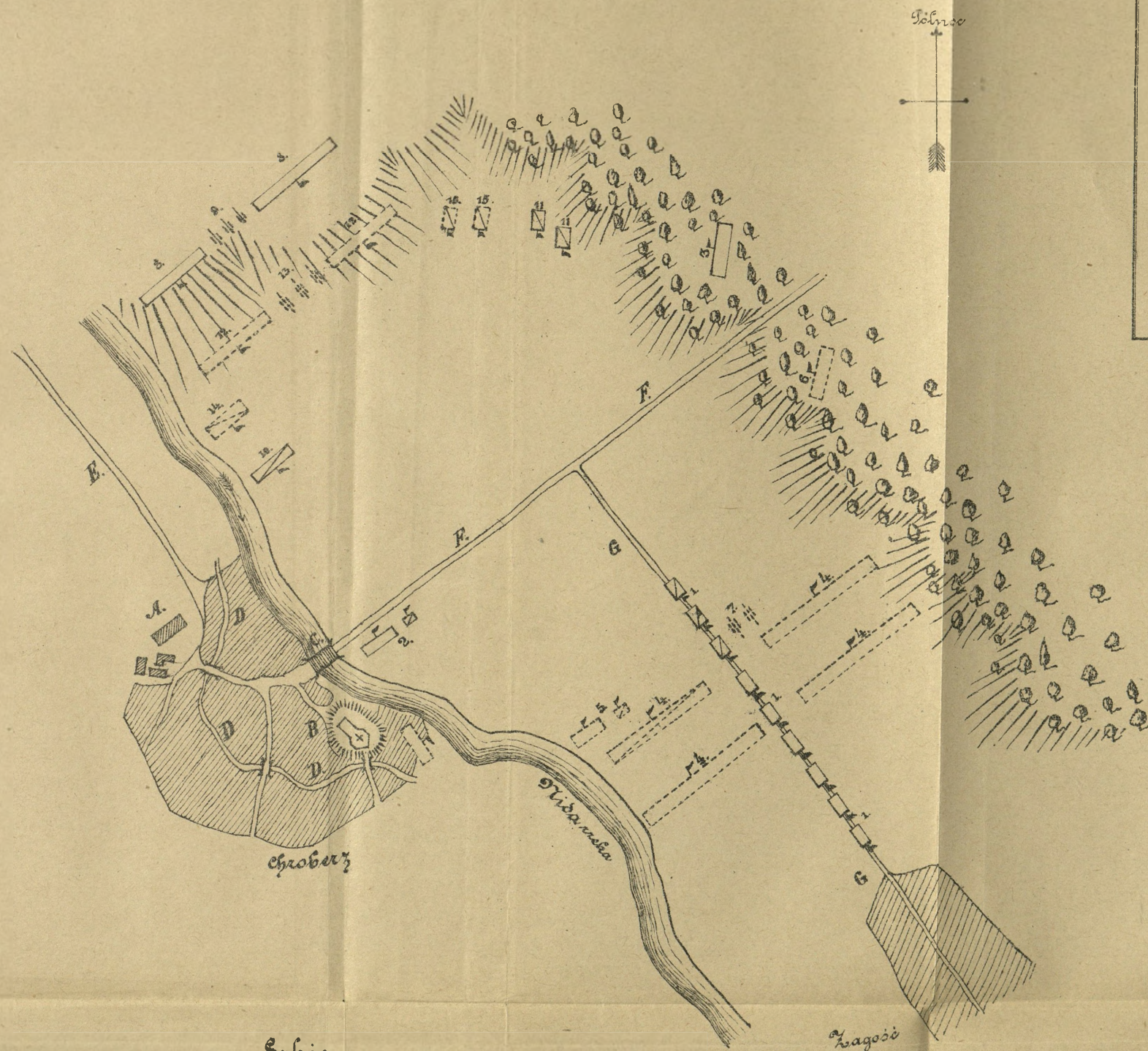
parciem daleko silniejszym, jak wszystko, cokolwiek podówczas działała Galicya. Te noty podsyły w istocie powstanie i rząd cesarski musiał przewidywać, że mieszkańcy Galicyi żadną miarą nie mogli przypatrywać się z założonemi rękami wówczas, gdy sam rząd udzielał powstaniu wsparcia.

Jakąż tedy myśl mamy przypisać temu stanowi oblężenia? Galicya ma to odpokutować, co tem wspieraniem rząd cesarski zawinił w obec Moskwy? Że dla przypodobania się Moskwie zaprowadzono stan oblężenia, staje się dla mnie tem mniej wątpliwem, gdy zważę, że według rozporządzenia komendy wojskowej, z d. 28. Lutego 1864 r., wszyscy poddani państw obcych, którzy się w 24 godzinach nie zameldują, a więc i ci, co później przekroczą granicę, mają być odstawieni do domu, to jest wydani Moskwie; i w samej rzeczy, jak dowodzi „Kraukauer Ztg.“ w marcu b. r. wydano Moskwie 46 osób. Nie chcę się rozwodzić nad okrucieństwami, które następowały w skutek tego wydawania, ale tego pominąć nie mogę, że w ostatnich czasach, podczas sejmowania już tej Izby, trzech z pomiędzy internowanych w Iglawie, w samej rzeczy wydano Moskwie, a jeżeli mnie dobrze uwiadomiono, to wczoraj czy dziś spotkać miał ten los jeszcze czwartego.

Powstanie w Polsce moskiewskiej zgasło, znikło zatem i poruszenie w Galicyi. Dla tego próżnem byłoby dowodzić jeszcze, że utrzymanie nadal stanu oblężenia teraz sprzeciwiałoby się wszelkim zasadom sprawiedliwości. Zresztą sam rząd wykazał, że tego samego jest zdania, skoro d. 10 z. m., rozporządził tak zwane ulżenie tego środka wyjątkowego. To ulżenie wszakże, wydane tylko w tym celu, aby można powiedzieć, iż stan oblężenia tak pomyślnie wydał owoce, że częściowe tegoż ulżenie stało się możebnem. Mimowoli wykazał rząd tym krokiem, że nie ma się czego obawiać dla pokoju i porządku w kraju. Dla czegoż więc stan oblężenia trwa ciągle jeszcze? Niech mi podadzą inną przyczynę, jak chęć przypodobania się Moskwie; ja jej nie widzę; mogę tedy utrzymywać słusznie, że stan oblężenia nie jest żadnem dziełem ku własnej obronie, żadnem dziełem sprawiedliwości, ale dziełem zemsty w interesie Moskwy. Wiem ja wprawdzie, że ze zniesieniem stanu oblężenia, nie będzie jeszcze końca cierpieniom kraju, że i sądy cywilne ściągają mogą za użyczone powstaniu wsparcie, że zadane krajowi rany zawsze jeszcze będą potrzebowwały zabliznienia — ale tej pomocy może i powinien kraj spodziewać się tylko od łaski najwyższej. Zniesienie stanu oblężenia jest wszakże aktem, którego kraj od rządu wymagać może i winien. Dotyczącego wniosku nie myślę jednak stawiać, nie chcę bowiem odwracać uwagi Wysokiej Izby od kwestyi zasad i konstytucyi“.

60. Odezwa ta znajduje się u mnie.

61. Odezwy te znajdują się u mnie.



Stanowiska wzajemne w początku bitwy.

- Polacy.**
1. Kolumna mrozowa korpusu Łangiewicza.
 2. Batalion zułazów pod Rochebrunem, i pól plutonu ulandów.
 3. Batalion strzelców pod Czachowskim.
- Rosjanie.**
4. Kuchnia Czengierze w szyku bojowym.
 9. Ziarna.
 10. Szwadron dragonów
 11. Kozacy.

Stanowiska wzajemne pod koniec bitwy.

- Polacy.**
4. Armia Łangiewicza w szyku bojowym.
 5. Rochebruno.
 6. Czachowski.
 7. Artylerya.
- Rosjanie.**
12. Kolumna sika Czengierze
 13. Artylerya
 14. Dragoni
 15. Kozacy
 16. Kolumna do fałszywego ataku od strony Chrobowa przeznaczona.

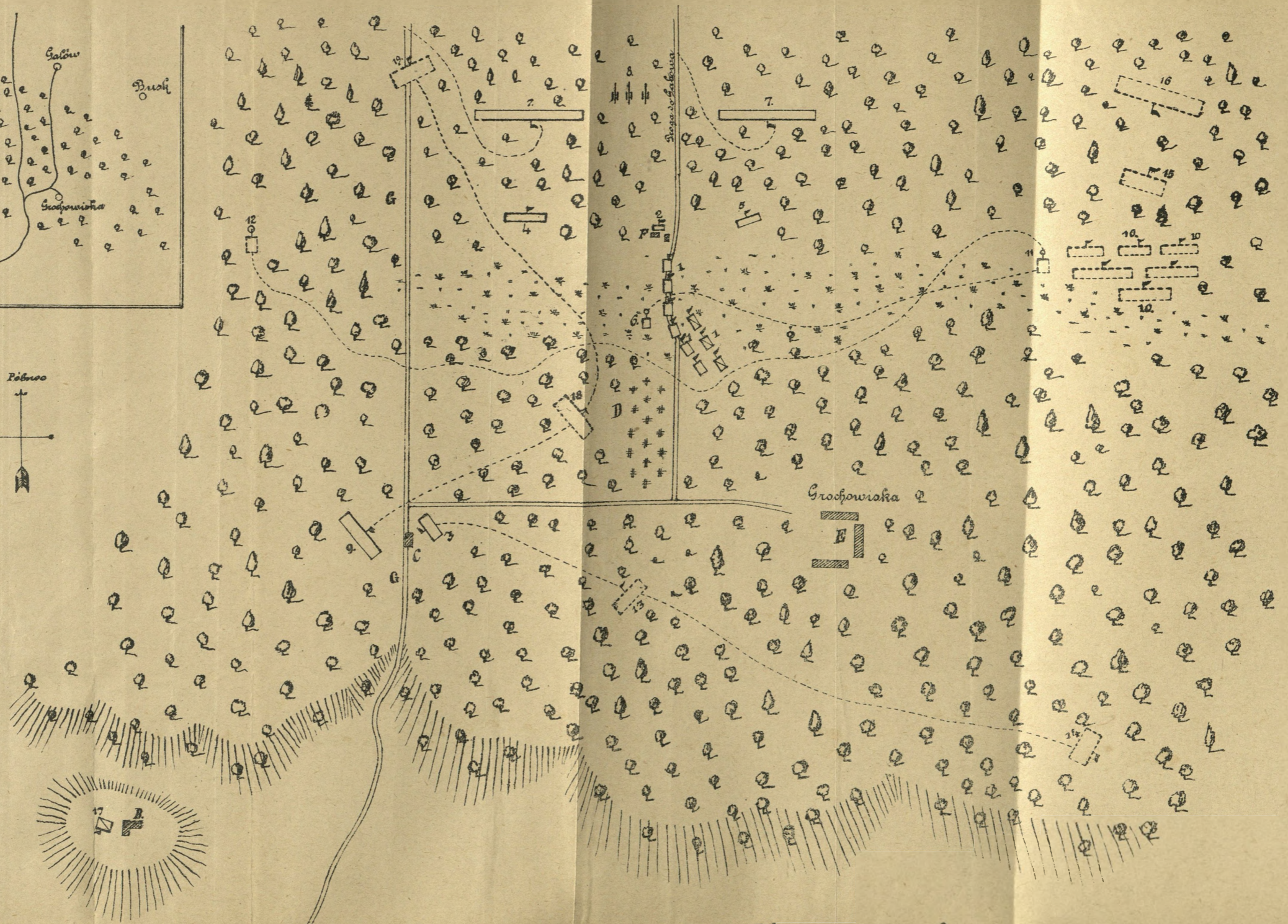
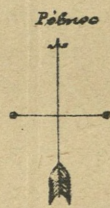
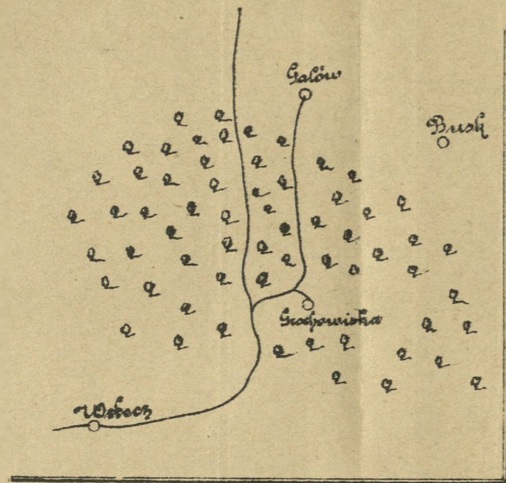
Objasnienie znaków.

- A. Salać margr. Włopolaskiego w Chrobów.
- B. Kościół z cmentarzem na wzgórzu.
- C. Młot drewniany na palach.
- D. Rodzaj rowu czy parowu biegnącego wzdłuż wsi.
- E. Droga z Chrobowa do Pinczowa
- F. Droga ku Busku
- G. Boczna droga ku Zagórze

Szkic

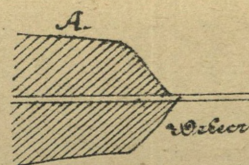
spotkania pod Chrobem przy Zagórze dnia 17. marca 1863. pomiędzy Łangiewiczem a Czengierzem.

robiony w trzy lat potem z pamięci w uroczym, bez żadnych map ani zdjęć pomocniczych, więc nie mogący mieć pretensji do wierności, mianowicie pod względem rozmiarów topograficznych.



Objasnienie znaków.

- | | |
|--|--|
| 1. Armia Łangiewicza w kolumnie marszowej. | 10. Armia Łangiewicza po rozrypcie. |
| 2. Przedni polski posterunek. | 11. i 12. Łangiewicz ze sztabem. |
| 3. Tylna straż pod Grochowiskim. | 13. i 14. Grochowicki w dalzym ciągu bitwy. |
| 4. Żuawy pod Koczebrunem. | 15. Łaska kolumna ochotników. |
| 5. Łobka kompania strzelcka. | 16. Kolumna rosyjska kwietzowa czy lawytkowa. |
| 6. Dyktator ze sztabem. | 17. Dragoni rosyjskie. |
| 7. Główna siła rosyjska w szyku bojowym. | 18. i 19. Oddział rosyjski od Wleczera atakujący w dalzym ciągu bitwy. |
| 8. Artylerja rosyjska. | |
| 9. Oddział od Wleczera atakujący. | |



Szkic

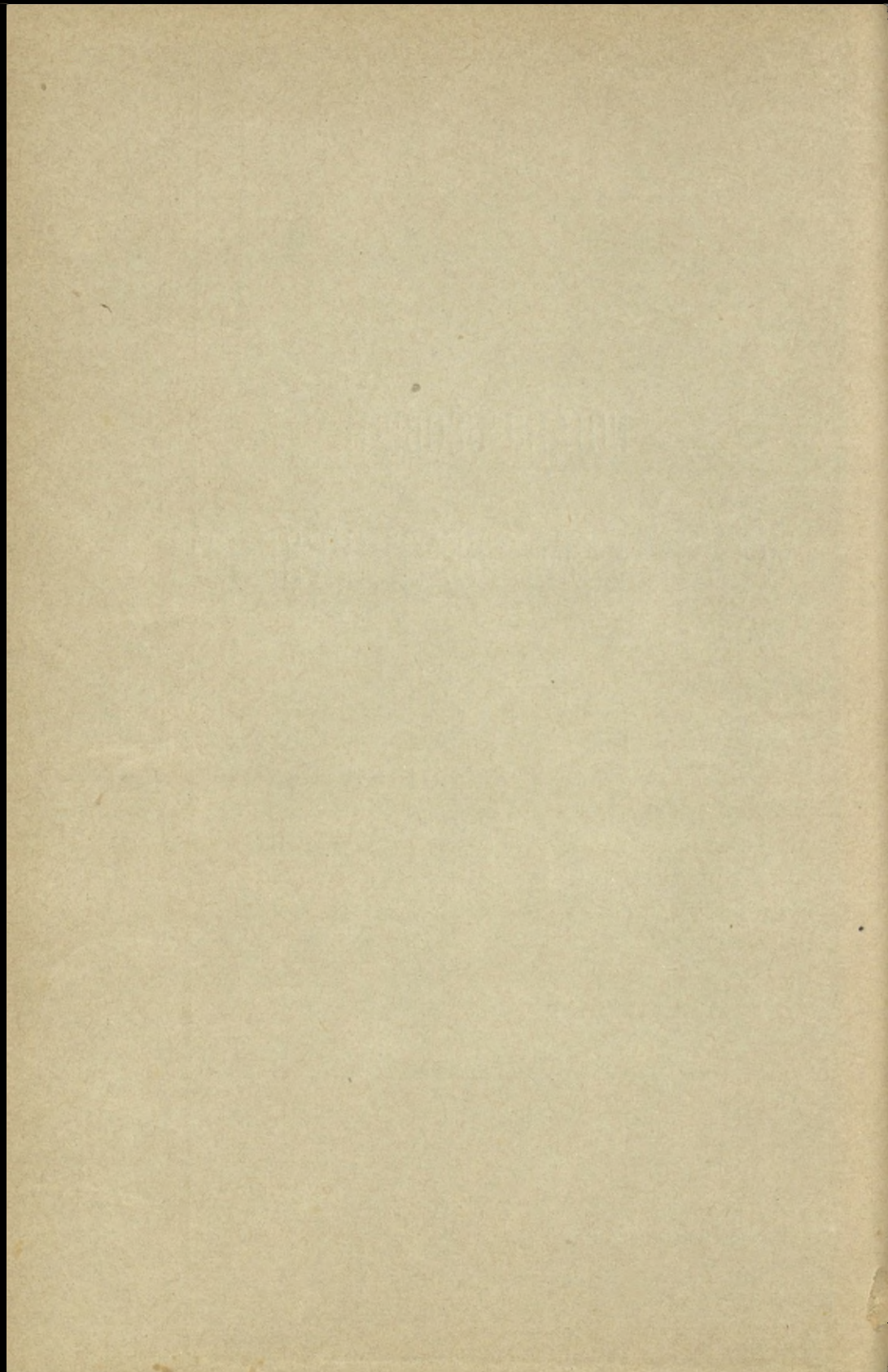
bitwy pod Grochowiskami między Łangiewiczem a Szengierym, dnia 18 marca 1803, zrobiony w trzy lata potem z pamięci, bez map i materiałow pomocniczych, a więc nie mający pełności doświadczeń, ani sił do dokładności.

- A. Wios Wlecz.
 B. Karczma na wzgórkach.
 C. Łozna budka przydrożna.
 D. Ścienie drzewa.
 E. Łozny folwark Grochowiska.
 F. Chalupka i stodoła borowigo.
 G. Główna droga przez las.

NOTATKI OSOBISTE

WŁADYSŁAWA BENTKOWSKIEGO

z roku 1863



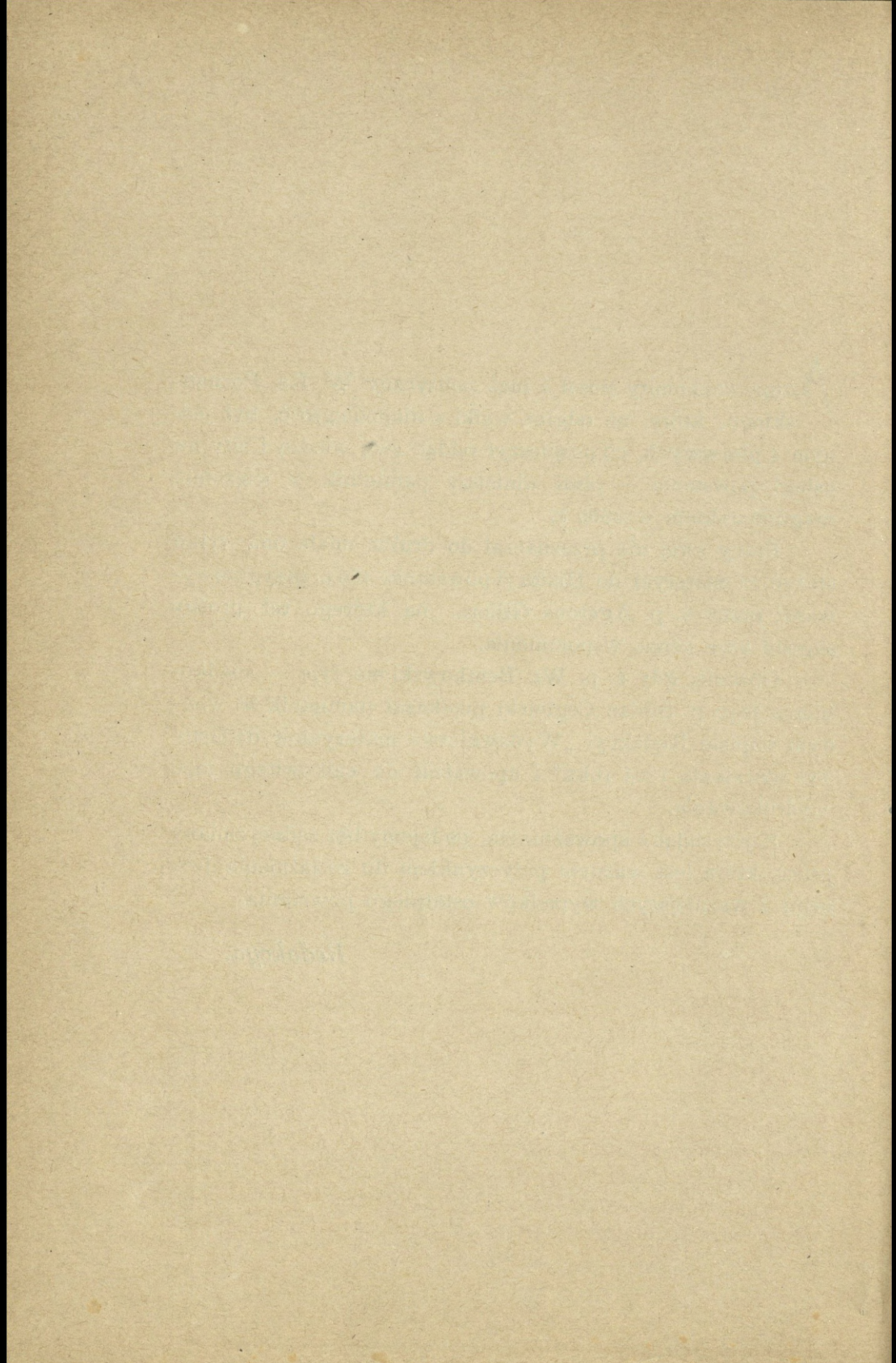
Autor, znakomity poseł i mąż polityczny W. Ks. Poznańskiego, który, na odgłos walki o niepodległość, był jednym z pierwszych, co pospieszył oddać swą wiedzę i siły na usługi powstania — pisał niniejszy pamiętnik w więzieniu magdeburskiem w 1866 r.

Pracy swej nie przeznaczał do druku, miała ona tylko służyć za materiał do Historji powstania 1863, przygotowywanej przez ś. p. Agatona Gillera, na którego też prośby skreślił swe cenne wspomnienia.

Obecnie, gdy ś. p. Wł. Bentkowski nie żyje — spadkobierca jego p. Stefan Cegielski przekazał pamiętnik w wiernym odpisie Redakcyi „Wydawnictwa materiałów do historji powstania 1863 roku“ i upoważnił do całkowitego jego wydrukowania.

Korzystając z upoważnienia, podajemy bez żadnej zmiany pracę, która jest ważnym przyczynkiem do rozjaśnienia jednego z ważniejszych wypadków ostatniego powstania.

Redakcyja.



Jak ci może wiadomo, byłem przez cały ciąg ruchów narodowych z lat 1861 i 1862 mocno przeciwny przedwczesnemu wybuchowi powstania, tem samym także i wszystkim tym agitacyom, które taki wybuch, zdaniem mojem, nieuchronnym czyniły. Kiedy wszelako wybuch z d. 22 Stycznia i manifest rządu tymczasowego był już faktem dokonany, kiedy rzecz cała, pomimo niepowodzenia pierwiastkowego, przybierać zaczęła rozmiary narodowego powstania, kiedy mianowicie wszystka niemal opinia publiczna w Europie rozpoczęła nierówną walkę, narodowem powstaniem Polski mienić nie wahała się, sądziłem być moim obowiązkiem, bez względu na prawdopodobny walki rezultat, podzielić losy walczących, i to nie tylko dla formy i salwowania sumienia, ale z głębokiego przekonania, że będąc raz już w błocie, nie pozostało wszystkim nic innego, jak zaprząć się do ugrzęźniętego wozu i ciągnąć pospołu, co sił starczy, do samego ostatka, żeby choć na suchy brzeg się wydostać, bo inaczej wszyscy razem i rzecz cała i dobra sława, w błocie zostaniemy. To przekonanie temi nieledwie słowy wypowiadałem do końca, przy każdej sposobności, nawet tym, którzy, należawszy do przygotowania wybuchu, potem w obec wojskowych i innych porażek, ducha tracili, innym go mowami odejmowali i kończyli morałem, że już nie masz nic do roboty, więc się przynajmniej na lepsze czasy oświście salwować trzeba. Tak tedy rzeczy widząc i czując, w połowie lutego, czekałem już tylko na pierwszą wiadomość o jakimś nawpół wojskowym oddziale, coby dosyć miał trwałości, żebym mógł do niego z Berlina (gdziem był na sejmie) dojechać,

zanim go rozbija. Mówię: nawpół chociaż wojskowym, gdyż dla mego wątłego zdrowia, wieku i całego zakroju charakteru i umysłu, czułem się zupełnie niezdolnym do uwijania się ze strzelbą na plecach, jako partyzant, po lasach, w niesfornych bandach. Chcąc być na każdy przypadek gotowym zupełnie, udałem się w drugiej połowie lutego na 24 godzin do Poznania, żeby z grubszego pozałatwiać osobiste i doczesne interesa, nie tałem sobie bowiem, że z podobnej walki prawdopodobnego niemasz powrotu.

Jużem był wszystko urządził, pozałatwiał i na śmierć rozdysponował, kiedy przybył do mnie do Berlina, pod koniec lutego, wysłaniec generała Wysockiego z wezwaniem mnie na szefa sztabu do boku tego dowódcy, który miał niebawem, jak mi od niego powiedziano, znaczną jakąś przedsięwziąć wyprawę. Znałem dobrze Wysockiego jeszcze z węgierskiej kompanii i niewoli tureckiej i wysoko ceniłem jego patriotyzm, prawość charakteru, jasną głowę i wojskowe wiadomości; lubo trudno było sobie tać, że mu na wielu zbywa przymiotach do polowego generała. Wybrałem się więc bez straty czasu w podróż do Krakowa, jako wskazanego mi miejsca pobytu generała. Stanąwszy w Krakowie 28 lutego lub 1 marca przed wieczorem, dowiedziałem się, że Wysocki wskutek nagłego obrotu sprawy, około której chodził, tegoż samego rana wyjechał był do Lwowa, i że mnie tam za sobą wzywa. Zatrzymawszy się tedy parę tylko godzin w Krakowie, wyruszyłem nocnym pociągiem do Lwowa. Odprowadzało mnie na dworzec kolei kilku znajomych, wszyscy na duchu upadli i same dekurażujące nowiny w sekrecie opowiadający, lubo in publico i w gazetach wszystko pełne było animuszu, otuchy i przechwałek. Jeden z tych znajomych, Poznańczyk, którego nazwiska nie chcę wymieniać, ale którego nazwijmy pierwszym lepszym nazwiskiem, naprzykład Łuba, a o którym wiedziałem, że był jednym z naczelnych w Poznańskim powierników i pośredników warszawskiej organizacyi ruchu, wzięwszy mnie na bok, na dworcu kolei opowiadał w sekrecie, że rzeczy najfatalniej i najsmutniej stoją w Kongresówce, że wszyscy prawie członkowie komitetu centralnego czy tam rządu tymczasowego wyłapani lub rozprószeni, że dwóch już tylko zostało, którzy wszystko prowadzić muszą, ale którzy sobie już rady nie

dadzą, i że tymi dwoma są: A. Grabowski i Królikowski. (Przy opowiadaniu mojem o dyktaturze, zobaczysz, dlaczego tutaj drobny ten szczegół podnoszę.)

Przybywszy do Lwowa, gdzie się Wysocki w różnych z kolei mieszkaniach starannie ukrywał, wysłuchałem jego zwierzeń względem zamierzonej na Ruś wyprawy; ale mimo całej dobrej woli nie byłem w stanie zasmakować w mojem nowem stanowisku, ani odnieść wrażenia, że się w istocie w pobliżu jakiejś poważnej akcji wojskowej znajduję; całe bowiem przygotowania do mniemanej wyprawy redukowały się na znajomy mi z dawnych czasów i stosunków formalizm rewolucyjny. Wmawiano w siebie to i owo, łudzono siebie i drugich nieprawdopodobnymi datami, budowano zamki na lodzie i dyskutowano, kreślono wytyczne na mapach i planach, korespondowano i konferowano, ale to wszystko bez jasnego ciągu i bez żadnej rzeczywistej podstawy. Jak mi się zdawało, rodzicami pomysłu tej wyprawy a zarazem głównymi osiami, około których obracały się przygotowawcze konferencye i korespondencye, byli z jednej strony zacny, pełen poświęcenia i bardzo bogaty pewien patryota z Wołynia, K ... zwykle w Krakowie przemieszkujący, z drugiej strony Zygmunt Miłkowski, który długi czas na Wołoszczyźnie w pobliżu podolskiej granicy przebywając, miał podobno różne rewolucyjne w tamtych stronach stosunki i zastęp na każde jego skinienie gotowych kilkuset (jak on powiadał) czy też kilkudziesięciu (jak inni powiadali) konnych partyzantów. Na nieszczęście dwie te osobistości główna, jak się zdawało, stanowiące na teraz podstawę czynności przygotowawczych i planów Wysockiego, wcale ze sobą nie kwadrowały, bo K. wyobrażał patryotyczną, majątną szlachtę na Rusi, a Miłkowski, bardzo radykalny i stanowczo szlachcie nieprzyjacielski żywioł emigracyjny, na gruncie ziem ruskich zaszcześcić się usiłujący.*) Przytem nie było wcale jeszcze ani pieniędzy,

*) Sądzę, że ci koniecznie odczytać wypadnie Pamiętnik pułkownika Z. Miłkowskiego o jego udziale w powstaniu r. 1863, gdyż z wielkimi szczegółami rozwodzi się nad tem, co robił przed i podczas powstania; i jeżeli mu na słowo wierzyć można, był źródłem a po części kierownikiem całego przedpowstańczego ruchu. Pamiętnik ten, do druku przeznaczony, nabył przed rokiem od autora J. K. Żupański w Poznaniu. Od niego czytałem go w rękopiśmie.

ani broni, ani nawet jasno wskazanych źródeł, skądby ich dostać. Oczywiście stanowisko moje u boku Wysockiego, w takim stadyum zamierzonej wyprawy, było próżniaczą zabawką w sztabowca. Zbывający czas zapełniał Wysocki politycznym pośrednictwem, godzeniem i organizowaniem sprzecznych żywiołów patryotycznych we Lwowie. Ławy i mieszczaństwo bardziej zdecydowane chciały sejmikować i rządzić, czując się częstkami powstańczej organizacji, ale pieniędzy i broni dać nie mogły. Komitety szlacheckie mogły i jednego i drugiego na pierwszą potrzebę dostarczyć, ale chciały także, żeby w ich myśl działano, a jakim zamiarkował, zdawały się one być w ogóle wszelkiej na Ruś wyprawie przeciwne. Widząc to wszystko, a bliskiej wyprawy wcale dojrzeć nie mogąc, niecierpliwiłem się osobiście; wspominałem wreszcie Wysockiemu, iżem sądził, że mnie do jakiejś bezpośredniej akcji wojskowej w obecnym powstaniu wzywa, tymczasem zdaje się, że i za kilka tygodni generał w pole nie wyruszy, a kto wie, czy po kilku tygodniach będą jeszcze powstańcy w polu. Wysocki przyznawał, iż się rzecz nadspodziewanie przewleka, zapewniał jednak, że najdalej za trzy tygodnie na Ruś wyruszy; żeby zaś poprzeć jakimś faktem tę otuchę, powiedział, że jednocześnie z jego wkroczeniem od północnego zachodu, ma Branicki (Ksawery) podnieść kozaczyznę na południu, podczas kiedy Miłkowski od granicy wołoskiej i Podola będzie operował; że Branicki dał mu (Wysockiemu) formalne w tej mierze przyrzeczenie jeszcze w Paryżu, zobowiązując się na pierwszy znak Wysockiego ruszyć w drogę; że on (Wysocki) przesłał już mu teraz ten znak do Paryża, i że Branicki ma niebawem udać się do Stambułu, tam wszystko, co potrzeba, urządzić i pospieszyć potem przez morze Czarne na Ukrainę dla podniesienia kozaczyzny. Taki argument nietylko mnie nie uspokoił, ale owszem dał dużo do myślenia co do prawdopodobnego terminu naszej ruskiej wyprawy. Ma ona rozpocząć się wtedy, kiedy Branicki, wyjechawszy wreszcie z Paryża (a dotąd nie był wyjechał), przepłynie morze Śródziemne i Archipelag,

Gdyby to dziełko, w chwili, gdziebyś onegoż potrzebował, nie ukazało się jeszcze na widok publiczny, wypadnie ci zapewne zgłosić się do Żupańskiego z prośbą o pożyczenie manuskryptu.

opatry w Stambule broń i środki pomocnicze, przepłynię morze Czarne, dostanie się na Ukrainę i tam porozumiewszy się z chłopstwem dóbr swoich i kozaczyzną, powstanie podniesie; a to wszystko ma się dokonać najdalej w trzy tygodnie! Taka rachuba trafić do mego przekonania nie mogła. Kiedy więc już mi tydzień na marnem czekaniu we Lwowie upływał, przełożyłem w poufny i przyjacielski sposób Wysockiemu, że lubo jako podwładny rozkazów jego ślepo służyć jestem gotów, to przecież zważyć on raczy, iż moja osobista pozycja nieco jest odmienna od przybyłych z nim z Francji wychodźców, że porzuciłem rozliczne obowiązki publiczne i prywatne w kraju, bez prawdopodobnego widoku doń powrotu, jedynie w chęci i nadziei wzięcia bezpośredniego udziału w walce z Moskalami; że długie trwanie powstania nader jest wątpliwe; że czekając na bruku lwowskim cztery tygodnie a może więcej przy boku jego, mogę się doczekać, iż mi ze Lwowa na francuską emigrację ruszać przyjdzie; że więc go proszę, żeby mi pozwolił opuścić się czasowo i udać się do pierwszego lepszego na wpół wojskowo zorganizowanego oddziału w Kongresówce; że zamiast szlifować bruk we Lwowie i marnym przesłuchiwać się zatargom ław i komitetów, przypomnę sobie wojaczkę, zapoznam się z nowym dla mnie rodzajem wojny partyzanckiej, wprawię się nieco w polu, a skoro tylko ruska jego wyprawa na wyruszeniu będzie, za pierwszym jego wezwaniem, jeśli żyć jeszcze będę, do Lwowa pospieszę, żeby objąć kierunek sztabu i u boku dawnego mego dowódcy na Ruś wkroczyć. Wysocki, który jest w gruncie poczciwość chodząca, wyrozumiał moje argumenta, pozwolił mi udać się do Kongresówki i w najlepszej ze sobą rozstaliśmy się harmonii. Najbardziej byłoby mi było na rękę, że Lwowa ku najbliższemu zwrócić się teatrowi wojny a więc w Lubelskie; ponieważ jednak w Lubelskiem wówczas wszystko było ucichło, a z gazet i z ustnych opowiadań o żadnym innym zwartym oddziale powstańczym dowiedzieć się nie mogłem, jak o oddziale Langiewicza, który, lubo coraz bardziej ku granicy party, wciąż jeszcze na wierzch wypływał i niemało w sąsiedniej Galicyi hałasu robił, nie pozostało mi tedy, jak napowrót ruszyć do Krakowa i stamtąd próbować przedostać się do Langiewicza.

Zanimem Lwów opuścił, byłem u Wysockiego świadkiem sceny, która z jednej strony przykro mnie dotknęła, z drugiej cośkolwiek do myślenia dała. Przebywał podówczas od dni kilku we Lwowie, jako agent czy wysłaniec rządu narodowego, Władysław Siemieński, z którym, zdaje mi się, w jednymże wagonie jechałem nocą z Krakowa do Lwowa. Jego samego wprzód nie znałem, ale ztem znał część braci jego i rodziny, żeśmy obaj w publicznych jechali celach do Lwowa, więc się dość rychło zrobiła znajomość w wagonie. Ponieważ z zasady nigdy nikogo nie pytałem o rzeczy, które do mnie nie należały, a tem mniej o rzeczy sekretne, jak cała ówczesna narodowa organizacya, nie wiem więc po dziś dzień, w jakim charakterze Siemieński właściwie do Lwowa spieszył, wymiarkowałem tylko z półsłówki, półzwierzeń jego, że głęboko jest wtajemniczony w misterya organizacyi i rządu, i że z ważnemi jakimiś spieszy zleceniami, bo już coś czwartą czy piątą noc wciąż był w drodze. We Lwowie spotykałem się tu i ówdzie z Siemieńskim, a mianowicie widziałem go parę razy u Wysockiego. Pewnego razu (było to może na dwa dni przed mojem opuszczeniem Lwowa), wchodząc do Generała, spotkałem się z wychodzącym właśnie Siemieńskim. Wysocki chodził zamyślony po pokoju a przed nim leżała na stoliku jakaś mistyczna kartka. »Wystaw sobie« rzekł mi Wysocki, »że może będę znów musiał temi dniami jechać do Krakowa ; oto«, dodał wskazując na ową kartkę», przyniósł mi Siemieński wezwanie na jakąś nagłą konferencyę z nadzwyczajnym komisarzem rządu narodowego, który ma temi dniami przybyć z Warszawy do Krakowa. Z wszystkich prowincyj wezwani są pełnomocnicy na wielką naradę. Widać, że z rządem krucho stoi i że sobie rady dać nie może. Jednej wszelako rzeczy nie rozumiem, t. j., że w ekspedycjach i listach, które temi czasy, całkiem nawet niedawno, od rządu narodowego odebrałem, żadnej zgoła nie czynią mi o tym zjeździe wzmianki». Tu sięgnął generał do szuflady po owe listy rządu narodowego, zaczął porównywać daty, znaczki, pieczęcie, pismo, numera dziennika, i w coraz to nowe popadał wątpliwości, bo na przyniesionem przez Siemieńskiego wezwaniu brak było jakiejś formalności, nie pamiętam już, numeru bieżącego, czy pieczętki, czy znaczku anagramowego. Ja słuchałem tych wy-

nurzeń generała, nic sobie nie myśląc, bo cała organizacja rządu była mi najzupełniej nieznaną, myśli zaś o jakiejś roztropnej nierzetelności Siemieńskiego ani mogłem przypuścić. Nazajutrz skarżyli mi się z kolei, Siemieński na brak decyzji i wahanie się generała, który raz chce, to znów nie chce jechać do Krakowa, a Wysocki na wątpliwość i zagadkowość przyniesionego przez Siemieńskiego wezwania. Kiedym wreszcie tego samego dnia wieczorem, czy też dnia następnego z rana poszedł z pożegnaniem do Wysockiego, spotkałem się w sieni z Siemieńskim, który mi powiedział, że generał ostatecznie zdecydował się jechać, że więc może razem pojedziemy. Wszedłszy ze mną do pokoju generała, Siemieński go zapytał: „No cóż, kiedy generał jedziesz? dziś czy jutro? bo rzecz nagła, a trzeba wszystko urządzić, żeby podróż była bezpieczna.“ Wysocki jednak oświadczył, że namyśliwszy się raz jeszcze, zdecydował się nie jechać. Zaczęły się certowania pomiędzy Siemieńskim a generałem, podczas których do wchodowego usunąłem się pokoju. Siemieński coraz natarczywiej nalegał, coraz żywiej gadał, nareszcie z gniewem niemal i w uniesieniu zapytał; „Więc koniec końców, jedziesz generał czy nie?“ Kiedy Wysocki przecząco odpowiedział, Siemieński z furją go opuścił i, przechodząc koło mnie, w głos mruczał, tak że go może Wysocki słyszał: „Niezośny mazgaj, stara baba, sam nie wie, jak się ma.“ Nie rozumiejąc całego zajścia, dziwiłem się nad szczególną podejrzliwością czy też niedecyzją Wysockiego, a przytem bolało mnie bardzo, że taki młody człowiek pozwala sobie w ten sposób postępować z siwym, zacnym i tyle zasłużonym generałem.

Wyjechałem ze Lwowa zdaje mi się d. 7 marca z rana. W wagonie pociągu spotkałem się i zapoznałem powierzchownie (bom dotąd nawet z widzenia nie znał) z Adamem Sapielą, jadącym podobnie do Krakowa, zapewne, jak się to później okazało, wskutek takiegoż co Wysocki wezwania, na walną naradę w obecności pełnomocnego komisarza. Za przybyciem do Krakowa, gdzie stanął w Hôtel de Saxe u znajomych, bo w całym mieście pokoiku już dostać nie było można, zetknąłem się natychmiast z dawnym znajomym moim, Leonem Chrzanowskim, żeby się dowiedzieć, czy Langiewicz nie tylko w gazetach ale i w rzeczywistości jeszcze

istnieje na teatrze wojny i jakim sposobem do niego się dostać. Dowiedziawszy się, że nietylko istnieje, ale z dość licznym oddziałem konsystuje w Goszczy, o 2 mile od Krakowa, i że komunikacya z Goszczą zupełnie niemal wolna, postanowiłem, zanim się od biedy na kampanię wykwipuję (wywiozłem bowiem ze sobą z Berlina tylko rewolwer, jałowicze buty i łosiowe gatki do konia) jechać natychmiast do Goszczy, przypatrzeć się z bliska obozowi, poznać Langiewiczza (którego z widzenia nawet nie znałem) rozmówić się z nim, czy może mnie do czegoś użyć, coby nie było prostem tylko dźwiganiem fuzyjski po lasach, i wymiarkować z tego wszystkiego, na jaki teatr wojny udać mi się ostatecznie i w co w Krakowie wykwipować wypadnie. Chrzanowski, mający stosunki na granicy oraz bryczkę i konie do dyspozycji, przyrzekł zawieść mnie nazajutrz, to jest d. 8 marca do Goszczy. Tymczasem Kraków wrzał dosłownie od ruchu wszelakiego. Hotele i domy prywatne przepełnione były, już to uciekającymi lub przejezdnymi familiami, już to rozbitymi i rannymi powstańcami, już to takimi co się do powstania dopiero wybierali, już to najrozmaitszemi półtajemniczymi figurami, powstańcami, agentami, emigrantami, kuryerami, członkami różnych komitetów i na własną rękę wojażującymi dyplomatami. Rynek przedstawiał widok powstańczego obozowiska; roіło się na nim od młodzieży w długich butach, futrzanych kurtach, burkach i konfederatkach. W hotelu Saskim głowa puchła od różnych nowin, opowiadań, tajemnych zwierzań i stronniczych obgadywań, plotek i intryg. O mnie wszystkie te zabiegi, szeptania i hałasy powierzchownie tylko i mało zrozumiałemi urywkami się odbijały, cbociaż bowiem znałem większą część komitetowych agentów i wolontaryuszów, nie mieszałem się z zasady do narad, tajemnic i robót, które do mnie nie należały, nikogo o właściwy jego charakter urzędowy nie pytałem, całą uwagę w moje zadanie, w wojskową stronę zwracając. Znając wszelako, jak rzekłem, osobiście wszystkich niemal aktorów tej sceny wielkiego dramatu i mieszkając chwilowo śród nich a nawet z nimi w jednej stancyi w hotelu Saskim, dowiadywałem się mimo woli niejednych tajemnic i półtajemnic. I tak, mówiono powszechnie, że Mierosławski, lubo chwilowo chory, przebywa w Krakowie; że zabiegi i intrygi jego stronników nadzwymy-

czaj są ożywione tak w mieście (o czem sam się przekonać miałem sposobność), jak w różnych obozach powstańczych, a mianowicie w obozie osobistego jego nieprzyjaciela Langiewiczza; że Mierosławski otrzymał jeszcze w Styczniu od rządu narodowego sekretną nominację na dyktatora, z tem zastrzeżeniem wszelako, iż gdyby do dnia 9 marca (zdaje mi się), nie potrafił ogłosić i de facto objąć tej dyktatury na ziemi ojczystej, ma udzielona mu nominacya eo ipso wszelki walor utracić. Szeptano zaś poufniej, że w Krakowie ma się odbyć, pod auspicjami komisarza pełnomocnego rządu narodowego, czyli raczej w ten sposób nazwanej resztki tego rządu, walny zjazd pełnomocników wszystkich części Polski, celem naradzenia się i uchwalenia, co dalej począć, że komisarz jest już, albo też lada chwila będzie w Krakowie, że są pełnomocnicy poznańscy i galicyjscy, tylko brakuje litewskich i ruskich, którzy zapewne dla utrudnionych komunikacyj zjechać nie zdołają itd. Z tego wszystkiego najbardziej mnie martwiła i przerażała nowina o grożącej dyktaturze Mierosławskiego; jawną mi było bowiem jak na dłoni rzecz, iż samo ogłoszenie tej dyktatury, płacziwy i skarykaturowany położy koniec powstaniu, z jednej strony doprowadzając je przez jego niesumienną blagę i szarlataneryę francusko-rewolucyjną ad absurdum, z drugiej strony odwracając stanowczo od rzeczy powstania, pod tak niedorzecznym sztandarem, całe prowincye i całe warstwy narodu, a nie zyskując bynajmniej (jak to sobie Mierosławczycy pochlebiali) samem nazwiskiem Mierosławskiego dla rewolucyjnej sprawy ludu wiejskiego: imię to bowiem zupełnie jest nieznanie i obojętne u całego niemal ludu polskiego, prócz zaboru pruskiego, gdzie w istocie klasa drobnych rzemieślników, wiejskich oficyalistów i włościan, którzy go u roboty nie widzieli, bardzo wysoko ceni to imię; u ostatnich mianowicie (to jest u ludu wiejskiego, który go bliżej nie widział) nazwisko Mierosławskiego przeszło w rodzaj bohaterskiego i legendowego mytu.

Kiedym dnia 8 Marca pospieszył z rana do L. Chrzanowskiego, żeby z nim stósownie do umowy, do Goszczy pojechać, Chrzanowski zaczął mnie przeproszać, że dziś dla rozlicznych zatrudnień w żaden sposób jechać nie może, a to tém bardziej, iż jutro musi bez tego udać się do obozu z transportem różnych artykułów żywności, ubrania, uzbrojenia,

lekarstw i t. d., namawiał więc, abym do dnia następnego zaczekał. Bardzo mi to było nie na rękę, bo mnie gorączkowa niemal przejmowała obawa, żeby tymczasem Moskale nie rozbili Langiewicza, lub nie przerwali wolnej pomiędzy nim a Krakowem komunikacji. Ale cóż było robić! nie obmyśliwszy sobie innych przewodników i innej furmanki, musiałem rad nierad przystać na tę odwołkę.

Przed wieczorem tego samego dnia spotkałem się, ku wielkiemu memu zdziwieniu, na sali jadalnej hotelu Saskiego ze znanym mi potocznie z dawnych czasów z Poznańskiego, ale od lat wielu już niewidzianym Adamem Grabowskim. Po tem, com dawniej od Łuby o nim słyszał, zmiarkowałem, że w jakiejś ważnej musi tu być misyi. Miał przy swoim boku, w rodzaju adjutanta i sekretarza, niejakiego Kołaczkowskiego, obywatela z Kongresówki, młodego i bardzo przystojnego, lubo nieco na hulakę i zawadyaka wyglądającego mężczyznę. Wieczorem samym Leon Skorupka, który miał stancję w hotelu, prosił mnie, żeby przyjść do niego na rozmowę, na radę, gdyż wielu innych się tam jeszcze zbierze. Wchodząc do pokoju Skorupki około wskazanej mi godziny, ujrzałem dużo w nim zebranych osób, a mianowicie tych, o których wiedziałem lub się domyślałem, że składają komitet krakowski; przytem ugrupowanie zebrania jakiś pół-urzędowy nosiło charakter. Cofnąłem się ode drzwi, nie chcąc im przeszkadzać. Ale gospodarz i kilku innych poskoczyło za mną, oświadczając, że im bynajmniej przeszkadzać nie będą, że owszem chętnie usłyszą me zdanie w tak trudnych okolicznościach i t. p. Dałem się więc napowrót wciągnąć. Niezadługo wszedł także A. Grabowski do stancyi, ale nie pamiętam, czy sam czy też z Kołaczkowskim. Posadzono go na kanapie, inni porozsiadali się w około, a najstarszy wiekiem z Krakowian (nie pamiętam czy generał Kruszewski, czy też kto inny) objął prezydencję, zagaił posiedzenie i głosu z kolei udzielał. Zebranie było złożone z kilkunastu osób, w tej liczbie ze 7 lub 8 członków krakowskiego czy też galicyjsko-zachodniego komitetu obywatelskiego, Adam Sapieha, Łuba z Poznańskiego (przypominam że to pseudonim), A. Grabowski i ja. Ciągu dokładnego dyskusyi nie pomnę już; pamiętam tylko, że była mowa o trudnem i zarady wymagającym położeniu powstania bez rządu,

który de facto tak dobrze jak rozbity, o grożącej dyktaturze Mierosławskiego, o potrzebie jakiegoś rządu jawnego i t. d. Po każdym niemal głosie jednego z przytomnych, a mianowicie, kiedy była jakaś interpelacya do rządu dotychczasowego zwrócona, lub jaka ogólna wątpliwość, zabierał głos A. Grabowski i ze spuszczonemi oczyma (zdaje się, że to jego zwyczaj), ale powoli, rozmyślano, gładko, nie bez wymowy nawet, a z pewnem urzędowem i dyplomatycznym namaszczeniem otwierał zdanie, nie przemawiając wszelako nigdy w swoim imieniu, ale używając zawsze formuły: »Rząd narodowy jest zdania«... lub »Rząd narodowy musi na to odpowiedzieć, że«... Widoczną mi tedy się stało, że mam przed sobą w jego osobie owego zapowiadanego komisarza pełnomocnego, a zarazem jednego z pozostających jeszcze członków warszawskiego rządu narodowego. W dalszym przebiegu dyskusyi zaczęto mówić o zrobieniu Langiewicza, jako jedynego dowódcy, który na wierch wypłynął i wciąż się trzyma, dyktatorem, o ujawnieniu rządu w jego osobie, o wątpliwościach, czy on będzie mógł i chciał tak ogromną wziąć na siebie odpowiedzialność i t. d. Potem szczegółowo pytano reprezentantów różnych części Polski o ich zdanie w tej mierze. Komitet krakowski oświadczył się za dyktaturą Langiewicza, A. Sapieha w imieniu lwowskiego komitetu podobnie; Łuba w imieniu Poznańskiego, skąd tegoż samego dnia był przyjechał, oświadczył, że Wielkopolska życzy sobie tej dyktatury, w niej jedyny ratunek w tak rozpaczliwym położeniu upatrując, Adam zaś Grabowski, przemawiając jak zawsze w imieniu rządu narodowego, wśród różnych omówień i zastrzeżeń, przychylił się w gruncie rzeczy podobnie do zdania ogólnego. Zapytano i mnie o moje zdanie, ja wszelako odpowiedziałem, że znajduję się na tak uroczystem i poważnem zebraniu czysto przypadkowo, że żadnej nie mam legitymacyi do objawiania jakiegokolwiek bądź zdania zbiorowego że przybyłem w te strony jako żołnierz i powstaniec, że zresztą zupełnie mi są obce stosunki organizacyjne rządu narodowego, różnych komitetów i całej tajemnej części obecnego ruchu, a przytem osoby Langiewicza wcale nieznam. Głosowania ani żadnej stanowczej uchwały w następstwie powyższej dyskusyi nie było. Zebrani obywatele przeszli do rozmów i narad nad innemi przedmiotami, jak ściąganiem

lekarstw i t. d., namawiał więc, abym do dnia następnego zaczekał. Bardzo mi to było nie na rękę, bo mnie gorączkowa niemal przejmowała obawa, żeby tymczasem Moskale nie rozbili Langiewicza, lub nie przerwali wolnej pomiędzy nim a Krakowem komunikacyi. Ale cóż było robić! nie obmyśliwszy sobie innych przewodników i innej furmanki, musiałem rad nierad przystać na tę odwołkę.

Przed wieczorem tego samego dnia spotkałem się, ku wielkiemu memu zdziwieniu, na sali jadalnej hotelu Saskiego ze znanym mi potocznie z dawnych czasów z Poznańskiego, ale od lat wielu już niewidzianym Adamem Grabowskim. Po tem, com dawniej od Łuby o nim słyszał, zmiarkowałem, że w jakiejś ważnej musi tu być misyi. Miał przy swoim boku, w rodzaju adjutanta i sekretarza, niejakiego Kołaczkowskiego, obywatela z Kongresówki, młodego i bardzo przystojnego, lubo nieco na hulakę i zawadyaka wyglądającego mężczyznę. Wieczorem samym Leon Skorupka, który miał stancję w hotelu, prosił mnie, żeby przyjść do niego na rozmowę, na radę, gdyż wielu innych się tam jeszcze zbierze. Wchodząc do pokoju Skorupki około wskazanej mi godziny, ujrzałem dużo w nim zebranych osób, a mianowicie tych, o których wiedziałem lub się domyślałem, że składają komitet krakowski; przytem ugrupowanie zebrania jakiś pół-urzędowy nosiło charakter. Cofnąłem się ode drzwi, nie chcąc im przeszkadzać. Ale gospodarz i kilku innych poskoczyło za mną, oświadczając, że im bynajmniej przeszkadzać nie będą, że owszem chętnie usłyszą me zdanie w tak trudnych okolicznościach i t. p. Dałem się więc napowrót wciągnąć. Niezadługo wszedł także A. Grabowski do stancyi, ale nie pamiętam, czy sam czy też z Kołaczkowskim. Posadzono go na kanapie, inni porozsiadali się w około, a najstarszy wiekiem z Krakowian (nie pamiętam czy generał Kruszewski, czy też kto inny) objął prezydencję, zagaił posiedzenie i głos z kolei udzielał. Zebranie było złożone z kilkunastu osób, w tej liczbie ze 7 lub 8 członków krakowskiego czy też galicyjsko-zachodniego komitetu obywatelskiego, Adam Sapieha, Łuba z Poznańskiego (przypominam że to pseudonim), A. Grabowski i ja. Ciągu dokładnego dyskusyi nie pomnę już; pamiętam tylko, że była mowa o trudnem i zarady wymagającym położeniu powstania bez rządu,

który de facto tak dobrze jak rozbity, o grożącej dyktaturze Mierosławskiego, o potrzebie jakiegoś rządu jawnego i t. d. Po każdym niemal głosie jednego z przytomnych, a mianowicie, kiedy była jakaś interpelacya do rządu dotychczasowego zwrócona, lub jaka ogólna wątpliwość, zabierał głos A. Grabowski i ze spuszczonemi oczyma (zdaje się, że to jego zwyczaj), ale powoli, rozmyślano, gładko, nie bez wymowy nawet, a z pewnem urzędowem i dyplomatycznym namaszczeniem otwierał zdanie, nie przemawiając wszelako nigdy w swoim imieniu, ale używając zawsze formuły: »Rząd narodowy jest zdania«... lub »Rząd narodowy musi na to odpowiedzieć, że«... Widoczną mi tedy się stało, że mam przed sobą w jego osobie owego zapowiadanego komisarza pełnomocnego, a zarazem jednego z pozostających jeszcze członków warszawskiego rządu narodowego. W dalszym przebiegu dyskusyi zaczęto mówić o zrobieniu Langiewicza, jako jedynego dowódcy, który na wierzch wypłynął i wciąż się trzyma, dyktatorem, o ujawnieniu rządu w jego osobie, o wątpliwościach, czy on będzie mógł i chciał tak ogromną wziąć na siebie odpowiedzialność i t. d. Potem szczegółowo pytano reprezentantów różnych części Polski o ich zdanie w tej mierze. Komitet krakowski oświadczył się za dyktaturą Langiewicza, A. Sapieha w imieniu lwowskiego komitetu podobnie; Łuba w imieniu Poznańskiego, skąd tegoż samego dnia był przyjechał, oświadczył, że Wielkopolska życzy sobie tej dyktatury, w niej jedyny ratunek w tak rozpaczliwem położeniu upatrując, Adam zaś Grabowski, przemawiając jak zawsze w imieniu rządu narodowego, wśród różnych omówień i zastrzeżeń, przychylił się w gruncie rzeczy podobnie do zdania ogólnego. Zapytano i mnie o moje zdanie, ja wszelako odpowiedziałem, że znajduję się na tak uroczystem i poważnem zebraniu czysto przypadkowo, że żadnej nie mam legitymacyi do objawiania jakiegokolwiek bądź zdania zbiorowego że przybyłem w te strony jako żołnierz i powstaniec, że zresztą zupełnie mi są obce stosunki organizacyjne rządu narodowego, różnych komitetów i całej tajemnej części obecnego ruchu, a przytem osoby Langiewicza wcale nieznam. Głosowania ani żadnej stanowczej uchwały w następstwie powyższej dyskusyi nie było. Zebrani obywatele przeszli do rozmów i narad nad innemi przedmiotami, jak ściąganiem

koni, pieniędzy i t. d., a ja, czując się zbyt celnym, wyszedłem po paru godzinach do siebie. Tegoż jeszcze wieczora spotkałem na korytarzu czy też w sali jadalnej A. Sapiechę, który wyrzucał mi się z obawą, czy Langiewicz będzie chciał dyktaturę przyjąć i czy w ogóle rzecz ta da się zrobić, oraz z gorącem, jak się zdawało, pragnieniem, żeby się to zrobiło. Odpowiedziałem mu na to, że najpewniejszą ku temu drogą, kiedyć wszyscy, prócz Mierosławczyków, zgodnie tego pragnąć się zdają i rząd dotychczasowy mają za sobą, robić, ale najmniej gadać; skoro bowiem zamysł przetranspiruje na zewnątrz, Mierosławski nie omieszka uprzedzić go jakim śmiałym zamachem stanu, bądźto w obozie, bądź gdzieindziej.

Nazajutrz, dnia 9 marca, z rana, pospieszyłem do Chrzanowskiego, żeby, stósownie do dawniejszej umowy i wczorajszej odwołki, pojechać z nim do Goszczy. Wybraliśmy się na bryczce a za nami jechał wóz ogromny, wyładowany zapasami i przyborami wojennymi. Po wierzchu było wszystko obrzucone z lekką słomą a na niej postawiono, dla przywoitości, kolebkę i nieco gospodarskich rupieci. Tym sposobem przejechaliśmy bez trudności przykomorek austriacki (nie pamiętam w tej chwili, jak się on nazywa; leży na drodze z Kleparza, na Słomniki, ku Miechowu, tuż przy Wilczkowicach; będę go więc Wilczkowicami nazywał).*) Budynek komory po stronie polskiej, o kilkanaście kroków od austriackiej granicy, zajęty już był przez garstkę powstańców z oddziału Langiewicza. Przybywszy do Goszczy, gdzie Langiewicz w tamtejszym dworku główną miał kratere, około godziny 11. lub 12. z południa, ujrzałem tam już A. Grabowskiego i Kołaczkowskiego, widocznie dużo dawniej już przybyłych, i którzy, jak się później okazało, musieli już byli mieć konferencyę z Langiewiczem. Ponieważ czas dosyć był łagodny, wszystko więc stało na dziedzińcu przed dworkiem w malowniczym pêle-mêle. Langiewicz, Waligórski, Jeziorański, różni inni pułkownicy z różnokolorowemi szarfami i kitkami u czapek, adjutanci, różnego autoramentu powstańcy, bledzi ze strachu i powiązani chłopci, których całą furą przywieziono dla ukarania za stosunki

*) Dopisek w 5 dni później. Przypomniało mi się teraz, że w mowie będąca komora czy tam przykomorek nazywa się Michałowice.

z nieprzyjacielem, żydzi, markietantki, furmani, obywatele i obywatelki odwożący synów do obozu lub nawiedzający obóz narodowy i t. d. Wojsko powstańcze biwakowało na polach w około dworu. Przedstawiwszy się Langiewiczowi, opowiedziałem w dwóch słowach cel mego przybycia i zapytałem czy może mnie do czego użyć. Langiewicz odpowiedział, że i owszem, i że radby, ażebym był szefem sztabu jego armii, czy tam oddziału, albowiem dotychczasowy jego szef sztabu, p. Tomasz *), bardzo zasłużony i czynny patriota i powstaniec, ale nie wojskowy z powołania. Przyjąłem to stanowisko, prosząc, ażeby mi wolno było wrócić jeszcze na parę dni do Krakowa, celem jakiego takiego zaopatrzenia się w konie wierzchowe, kurtę kożuchową, burkę, pałasz itd., czego wszystkiego w obozie brakowało, tak że n. p. nie wszyscy nawet pułkownicy konie mieli. Langiewicz chętnie mi na to pozwolił. Do dalszej i bliższej rozmowy względem przyszłych moich obowiązków wcale w tym odmiecie i tłumie przyjść nie mogłem. Langiewicz zaprosił nas po kilku chwilach na obozowe śniadanie do dworku. Weszliśmy do ciasnego pokoiku będącego główną jego kwaterą. W środku stał długi stół z masłem, szynką, wódeczką, cygarami, to wszystko pomieszane z bronią, czapkami, papierami, mapami, pieczęciami. Nawaliło się do pokoiku za nami z jakie 30 osób i powstańców, w najrozmaitszych ubraniach, ale że mundurów nie było, więc rozeznacć nawet nie umiałem, czy to są oficerowie i z jakiego tytułu w tak nadzwyczajny sposób gościnności i braterskości dowódcy nadużywają. Kiedy zakąska miała się już ku końcowi, postrzegłem różne szeptania i pewną preokupację; widocznie była dowódczom i główniejszym osobom jakaś przerwana czynność czy konferencya na myśli, którą podjąć i do końca doprowadzić pragnęli. Miarkując to, traciłem

*) Nie mogę sobie przypomnieć nazwiska mego poprzednika w szefostwie sztabu Langiewicza, lubo bardzo używane w Polsce nosił nazwisko. Ponieważ zdaje mi się, że mu było Tomasz na imię, więc go panem Tomaszem nazywać będę. Spora postać, twarz blada, ospowata z dzikim wyrazem i blademi oczyma; włosy długie, ale rzadkie i nastrzępione; czoło wysokie i charakterystyczne. Był podobno dawniej jednym z członków komitetu centralnego. Później latem 1863, bardzo ciężko cięty w głowę w Lubelskiem, kurował się długo w Galicyi i podobno się tam ożenił.

łokciem Chrzanowskiego, szepcząc mu: „chodźmy“! Kiedym się miał ku wstawaniu ze stołka, zrobiła się mała przerwa w gwarnej lub poufnej gawędce i dożynekach śniadania, z której Langiewicz korzystając, powstał mówiąc: „No moglibyśmy teraz przystąpić . . .“ Jednocześnie wezwał tłumne nad wyraz towarzystwo w pokoiku, żeby ustąpiło do sieni, bo będzie narada. Jakoś mało kto zważał zrazu na to wezwanie; owszem wyraźne powstawały szmery nieukontentowania. Wtedy Langiewicz stanowczym tonem rozkazał wypróżnić pokój i postawić u jego drzwi na warcie dwóch kosynierów, którzyby nikogo nie wpuszczali. Kiedym się zabierał wynieść się wraz z powoli ciasnymi drzwiami upływającym potokiem, Langiewicz zatrzymał mnie, mówiąc: „Prosimy, niech poseł zostanie“, (tak mnie niekiedy, niewiem dlaczego, zapewne *honoris causa* i z reminiscencyi mego długoletniego posłowania w Berlinie w obozie tytułowano), „radzi usłyszemy jego także zdanie.“ Kiedy już potok wyproszonych do sieni upłynął, drzwi się zawarły i dwóch kosynierów, kosy na krzyż złożony, na ich straży stanęło, zostały w pokoju osoby następujące: Langiewicz, Jeziorański, Waligórski, pan Tomasz, A. Grabowski (czy i Kołaczkowski z nim został, pewien nie jestem), młody człowiek w czarnej cywilnej czamarze, bez broni, o którym dowiedziałem się później, że było Biechoński, komisarz rządowy na województwo krakowskie, Chrzanowski i ja. Każdy usiadł, jak mu się zdarzyło i przez pewien przeciąg czasu ciągnęła się dalej rozmowa na wpół głośna, we dwóch lub w trzech, ale tą razą wyłącznie już ku kwestyi dyktatury, którą widocznie z rana już, przed moim przyjazdem, poruszać musiano, zwrócona. Ja siedziałem obok Jeziorańskiego i Waligórskiego; a że Jeziorański był mi się przedstawił, jako dawny znajomy z kompanii węgierskiej (ja jednak osoby jego dobrze sobie nie przypominałem), z nim więc, śród tego całkiem mi obcego towarzystwa, głównie rozmawiałem. On i Waligórski gadali mi o potrzebie dyktatury, o swojej gotowości popierania Langiewicza; Jeziorański zaś, który w swojej czapce z kitką (bo wszyscy w czapkach siedzieli) i ze swoją pułkownikowską szarfą przez piersi, prawie teatralnie poważną, ważną i napuszoną przybierał minę, nadmienił mi znaczącym tonem, że chociaż niejedyn tu może większe miał tytuły do dyktatury (przyczem widocznie sie-

bie miał na myśli), on jednak, dla dobra ojczyzny i żeby nie wywoływać rozdwojeń, nic nie będzie miał przeciwko dyktaturze Langiewicza i gotów ją ze swoim oddziałem popierać (oddział bowiem Jeziorańskiego niedawno się był połączył z oddziałem Langiewicza, ale i u ludzi i u dowódców jeszcze pewien dualizm przebijał). Po kwadransie może takiej rozstrzelonej rozmowy prywatnej o dyktaturze, kiedy się nikt jakoś do prezydencji i do otwarcia formalnej narady nie zabierał, powstał Langiewicz i rzekł, gotując się do wyjścia: »Ponieważ tu o mojej osobie ma być mowa i decyzya, więc najwłaściwiej będzie, że na niejaki czas wyjdę, żeby panom zupełną swobodę dyskusyi zostawić«. Ogólne na to powstały reklamacye, że nie ma potrzeby, ażeby generał wychodził; że i owszem potrzeba, żeby sam był przytomny stanowczej naradzie i t. d. Langiewicz usiadł więc napowrót i pozostał. Teraz zaczęła się formalna i poważna dyskusya, nie pamiętam wszelako, czy kto prezydował i głosów z kolei udzielał, czy też każdy dowolnie przemawiał. Szczegółów dokładnych tej narady już nie pamiętam; to tylko pamiętam, że Jeziorański, Waligórski i Grabowski za dyktaturą Langiewicza przemawiali; że Chrzanowski wystąpił z dosyć subtelną mową, w której, wytykając różne niejasności w oświadczeniach Grabowskiego i sam sobie różne kazuistyczne stawiając skrupuły, warunkowo tylko na myśl dyktatury przystawał (fałszem więc jest, co potem głoszono, że on to głównie fabrykował dyktaturę); że Langiewicz zlekka się niby zrazu wzdragał, ale wkońcu przyjął; że Biechoński siedział wciąż jak martwa figura, ust ani razu nie otworzywszy i nie dawszy najmniejszym gestem lub poruszeniem twarzy żadnego znaku udziału na tę lub owę stronę, w tem wszystkim, co się koło niego mówiło i robiło, tak że jeszcze śród posiedzenia pytałem po cichu Chrzanowskiego, cobyto była za zagadkowa osoba? na co on mi jednak odpowiedzieć nie umiał. Czy p. Tomasz głos zabierał, już nie pomnę. Pod koniec narady, czyli raczej kiedy prócz Biechońskiego i mnie każdy się już był ze zdaniem odezwał, zapytano o moje zdanie (kto zapytał? nie pomnę). Oświadczyłem wtedy, że jestem tu czysto przypadkowo na tej naradzie i żadnej nie posiadam legitymacyi do przemawiania w zdarzeniu podobnem, że jeżeli wszelako

o moję osobistą pytają opinię, o ile ją mogę mieć, będąc prawie zupełnie obcym w wewnętrznych sprawach i krokach dotychczasowych tajnego rządu, to opinia ta stanowczo się nachyla ku dyktaturze generała Langiewicza. Opinię tę uzasadniłem mniej więcej w ten sposób (to jest nie temi wyrazami, ale w tym ciągu myśli): „trzy postulaty zdają mi się przedewszystkiem wynurzać: potrzeba jakiegokolwiek bądź rządu; pożądanosc rządu jawnego; konieczność niedopuszczenia dyktatury Mierosławskiego. Otóż, jak miarkuję ze wszystkiego, co nawet członek i komisarz pełnomocny dotychczasowego rządu powiada, rząd tak dobrze jak rozbity; przytem nie wiadomo, jak i gdzie go zrestaurować, bo w Warszawie zdaje się to już być niepodobna i nikt nie zdaje się mieć wielkiej ochoty i wewnętrznego powołania do brania tak wielkiej na siebie odpowiedzialności. Jak dalece pożądanym jest jakiśkolwiek rząd jawny, o tem i w kraju i za granicą sam się przekonałem. Całe warstwy ludności krajowej, dalej kapitały różnych zagranicznych finansistów, wreszcie przychylnie lub na wpół przychylnie nam rządy, nie wprzódę się przychyliły na rzecz powstania, aż ono w jawnym rządzie sankcyę i gwarancyę swoją moralną uzyska, aż przez ogłoszenie jawnego rządu przejdzie ze stadyum spisku w stadyum narodowego powstania. Prawda, że zadanie jest trudne, jeśli nie niepodobne, ale ponieważ i rządu w ogóle, i rządu jawnego w szczególności potrzeba, dadzą się więc może oba postulaty najwłaściwiej rozwiązać, wywieszając sztandar widomy powstania imienną i osobistą dyktaturę, w jednym miejscu, którem dysponujemy, to jest w obozie, pod strażą siły zbrojnej. Właściwą mechanikę rządową, to jest rząd wykonawczy, ministerya, trzebaby oczywiście gdzieś w stałym i bezpiecznym, chociażby tajemnym miejscu ulokować, bo w obozie mowy o tem być nie może. Grożąca, wedle wszystkiego, co powiadają osoby z poprzednimi czynnościami rządu obeznane, dyktatura Mierosławskiego jest dla mnie rozstrzygającym w tych wątpliwościach powodem, żeby ją uniemożliwić poprzedniem faktycznem postawieniem innej dyktatury; jedynem zaś imieniem, które w obecnem powstaniu stanowczo na wierzch wypłynęło, wszędzie, tak w kraju jak i za granicą rozgłosu i wziętości zażywa, jest imię generała Langiewicza; jego też obóz jedynym, gdzie

taka dyktatura ochronę swoją i straż znaleźć może. Ściągnie on wprawdzie wszystkie siły nieprzyjacielskie na swój oddział przez ogłoszenie się dyktatorem, ale będąc dyktatorem, rozszerzy też zakres swego dowództwa i będzie się mógł na wszystkie teatry wojny przenosić w miarę potrzeby. Zresztą opinia komisarza pełnomocnego rządu, który taką dyktaturę za zbawienną i pożądaną uważa, rozstrzygałaby wszystkie wątpliwości i wahania, jakieby we mnie powstawać mogły». Z takim mniej więcej ciągiem myśli wypowiedziałem podówczas moje zdanie; a nie były to ani retoryczne, ani dyplomatyczne frazesy, ale głębokie przekonanie, najszczerzej i najotwarciej wypowiedziane. I dziś jeszcze miałbym zupełnie takie samo w obec takich samych okoliczności i takiego samego złego objaśnienia o faktycznych stosunkach i życzeniach tajnego rządu. Kiedy wreszcie narada cała zdawała się być wskutek jednomyślności zebranych na niej osób skończoną, zaczęła się krótka rozmowa o tem, jak i kiedy ogłoszenie dyktatury wykonać. Odezwałem się wtedy, że jeśli rzecz ma się udać i naraz wszystkich pociągnąć, wszelkie intrygi i opór Mierosławskiego czyniąc daremnymi, trzeba wypadek narady w ścisłej i nadal zatrzymać tajemnicy, dopóki wszystkie formalia ogłoszenia nie będą ułożone, postanowione, potrzebne odezwy do narodu i wojska spisane i wydrukowane i t. d. Dopiero z całkiem gotową rzeczą trzeba naraz wystąpić. Zgodzili się wszyscy na to, a Langiewicz odezwał się do Grabowskiego, Chrzanowskiego i mnie: »A więc, Panowie, którzy jedziecie do Krakowa, zróbcie to wszystko i przygotujcie do jutra, napiszcie odezwę, każcie ją wydrukować, pieczęcie wyrznąć, a jak to mi jutro do obozu przysłecie, ogłoszę natychmiast wojsku dyktaturę«. Ja się wymawiałem, że jadę tylko do Krakowa, żeby osobiste przygotowania wyjskowe pokończyć, że do regulowania mechaniki rządowej nie czuję ani powołania ani należytego uzdolnienia, jako całkiem obcy dotychczasowym misteryom rządu narodowego. Z uwagi jednak na bliski mój odtąd służbowy stosunek do generała Langiewicza, przystałem na to, że wspólnie z Grabowskim i Chrzanowskim, mającą się w nocy wydrukować odezwę dyktatorską do narodu zredaguję. Na tem skończyła się zbiorowa narada. Drzwi napowrót otwarto, Langiewicz, Chrzanowski

i inni porozchodzili się, Chrzanowski poszedł załatwić swoje interesa *ex re* przywiezionych do obozu zapasów, a ja udałem się do obozu, żeby obejrzeć armijkę, do której za dni parę czynnie i poniekąd kierująco miałem należeć. Obszedłem biwaki różnych oddziałów, znalazłem dużo znajomych, ale w ogóle umiarkowanie tylko byłem ucieszony improwizowaną tą i dorywczą rewją. Wielki jeszcze panował powstańczy nieład i odmęt, który brak mundurów, odznaczających przełożonych od podwładnych, jeszcze większym czynił. Najlepsze stosunkowo na mnie zrobił wrażenie oddział żuawów pułkownika Rochebruna, na wpół umundurowany i widocznie wojskową spójnię przedstawiający, oraz pośród batalionów piechoty, kompania kosynierska kapisana Wierzbńskiego (Poznańczyka), która, lubo całkiem bez mundurów, a w części prawie bez butów i całkiem broni palnej pozbawiona, widocznie nosiła ślady porządku wojskowego, karności, wyćwiczenia i dobrego ducha zbiorowego, co wszystko dzielnemu, sumiennemu i umiejętnemu kierownictwu swego kapitana zawdzięczała. Około 3-ciej lub 4-tej po południu, umówiwszy się poprzednio z Grabowskim, który się jeszcze na kilka chwil w Goszczy zatrzymał, że się wieczorem zjedziemy wszyscy trzej w mieszkaniu Chrzanowskiego celem zredagowania odezwy, pożegnałem się z Langiewiczem i wróciłem wraz z Chrzanowskim bryczką do Krakowa.

O naznaczonej wieczornej godzinie (zdaje mi się, że było to już około 10 z wieczora) zeszliśmy się w mieszkaniu Chrzanowskiego: Chrzanowski, Grabowski i ja. Kiedy się wstępna rozpoczęła pogadanka o sposobie zbiorowej redakcyi zleconego nam dokumentu i kiedy jeden z nich zaproponował, żeby każdy na swoją rękę ułożył projekt odezwy i żeby potem odczytać je sobie i przyjąć ten projekt, który przeważające zyska między nami uznanie, odezwałem się, że nie mam nic przeciwko tej metodzie, ale że poprzednio koniecznie zgodzić się musimy na kilka punktów zasadniczych, nieodzownych, a resztę dopiero zdać na retoryczną fantazyę i stylistykę pojedynczych redaktorów. Otóż ja jestem zdania, iż do tych nieodzownych zasadniczych punktów należy: naprzód wypowiedzenie, iż objęcie dyktatury dzieje się z woli dotychczasowego rządu narodowego, a przynajmniej wskutek jego życzenia; powtórne wyraźne odwołanie się do mani-

festu z dnia 22. stycznia i wypowiedzianych w nim zasad, z oświadczeniem, że dyktatura w niczem programatu rządu narodowego nie zmienia, gdyż jest niejako dalszym jego ciągiem w innej formie; po trzecie krótką wzmiankę, że osobny dekret urządzi organizację rządu cywilnego; wreszcie, że objęcie dyktatury nastąpiło w porozumieniu z generałem Józefem Wysockim*). Obaj spółredaktorzy moi

*) Nazwisko Wysockiego przywodzi mi na myśl, żem w ciągu mego opowiadania o powstaniu dyktatury, dosyć ciekawego i charakterystycznego zapomniał przywieść szczegółu. Naprawiam więc to zapomnienie w niniejszym przypisku. Bardzo wkrótce po moim przybyciu ze Lwowa do Krakowa i skoro tylko Grabowski zjechał do Krakowa i w pierwszą, wszedł bliższą styczność z Langiewiczem, dowiedziałem się z boku, że telegrafowano do Wysockiego do Lwowa, zdaje się w imieniu generała Langiewicza (w jakiej formie i pod jaką zasłoną, tego nie wiem), ażeby koniecznie i bezzwłocznie na konferencyę z Langiewiczem do Krakowa przybył. Tegoż samego dnia, kiedy się odbywały w Goszczy w mojej obecności dopiero co opowiedziana narada względem dyktatury, Wysocki, czyniąc zadość nagłym zaprosinom, jechał ze Lwowa do Krakowa. Wróciwszy z Goszczy (gdzie mnie Langiewicz także wspominał, zdaje mi się, o potrzebie poparcia moralnego ze strony Wysockiego) pobiegłem natychmiast do przybyłego tymczasem Wysockiego, opowiedziałem mu wszystko, co zaszło, wspominałem, że mamy wieczorem układać odezwę dyktatora do narodu, i prosiłem, żeby dla tem lepszego ukrzepienia nowej władzy, poparcia jej powagą jedynego w całym kraju znanego z dawniejszych czasów imienia i tem lepszego wszystkich przekonania, że to nie żaden wybuch ambicyi osobistej i nie żadna kontrrewolucya, pozwolił zamieścić w odezwie, że objęcie dyktatury z jego wiedzą czy tam przyzwoleniem nastąpiło. Po niejakim wzdraganiu się, Wysocki wyraźnie i kategorycznie na to przystał. Wskutek tego zrobiłem powyższą propozycyę przy redakcyi odezwy. Jakoż w istocie wzmianka o porozumieniu się z generałem Wysockim znalazła miejsce w ostatecznej naszej redakcyi odezwy i z nią razem poszła w nocy do druku. Nazajutrz w południe, wzięwszy kursującą już w mieście drukowaną odezwę do ręki, z największem zadziwieniem spostrzegłem, że żadnej w niej nie masz wzmianki o generale Wysockim. Pytałem później Chrzanowskiego i Wysockiego o klucz do tej zagadki i dowiedziałem się, że Wysocki, namyśliwszy się inaczej w nocy, czy też bardzo zrana, posłał do drukarni i przy korekcie odezwy wzmiankę o sobie wyrzucił z niej kazał Tłómaczył on mi się, że go napadły znów skrupuły i wątpliwości, czy Grabowski jest w istocie pełnomocnym rządu komisarzem. i że w obec tych odświeżonych wątpliwości, nie chciał ewentualnie ściągnąć na swoją osobę pozoru jakiejś antyrządowej roboty.

przyznali mi słusność i zgodzili się na powyższą propozycję moję i na zawarte w niej punkta. Usiedliśmy więc koło wielkiego stołu, każdy wziął arkusz czystego papieru i pióro, i zaczęła się milcząca praca medytacyi i porodu. Jakoś w pół godziny byłem już z moim projektem gotów, albowiem zdawało mi się, że ta pierwsza odezwa do narodu w żadne nie powinna wchodzić szczegóły i długie frazeologie, ale raczej jasno i lapidarnie wypowiedzieć tylko esencjonalne punkta, tak żeby najprostszy człowiek miał cierpliwość przeczytać ją i zarazem możność zrozumienia i spamiętania wszystkiego. Zacząłem więc od wzmianki o ciężkiem położeniu sprawy, wskutek którego generał Langiewicz zgodnie z życzeniem rządu narodowego i w porozumieniu z generałem Józefem Wysockim obejmuje dyktaturę; z przyciskiem rozwiodłem się potem o niezmiennem i niezłomnem obstawaniu przy manifeście z dnia 22. stycznia i jego zasadach, powtarzając wyraźnie uwłaszczenie włościan, braterstwo i równouprawnienie wyznań i stanów; dodałem wzmiankę o bezzwłocznie ustanowić się mającym rządzie cywilnym z poręki Dyktatora, i zakończyłem kilku frazesami wzywającymi do walki na śmierć z głównym wrogiem. Skończywszy, rzuciłem okiem na siedzących opodal spółredaktorów. Chrzanowski pisał wciąż jeszcze, Grabowski zaś wcale jeszcze pisać nie był zaczął; czyściutki arkusz leżał przed nim, a on gryząc kitkę u pióra medytował. Wziąłem się więc w milczeniu do odczytywania, poprawiania i gładzenia mego operatu. Zeszło na tem znowu z jakie pół godziny; spojrziałem znów na spółredaktorów. Chrzanowski, po dawnemu, smarował i smarował, już coś na drugim arkuszu, a Grabowski po dawnemu gryzł pióro, medytując i wcale jeszcze pisać nie zacząwszy. Uczuwszy pytające moje spojrzenie, Chrzanowski podniósł głowę, mówiąc, że niezadługo będzie już gotów. Kiedyśmy wtedy z rodzajem zapytania w milczeniu na czysty arkusz Grabowskiego spojrzeli, odezwał się on z pewnym ambarasem: „Ja prawdziwie nie wiem, jak zacząć, bo to, co Bentkowski proponował względem wstępnych słów o woli rządu, niezupełnie się zgadza z położeniem rzeczy, gdyż kompletnego i porządkowego rządu właściwie już nie ma, więc też nie mógł on woli swojej objawiać itp.“ Oczywiście powtarzam tu przemówienie Grabowskiego, nie co do

słowa ale co do myśli, która była jakoś niejasna i obwarunkowana. Chrzanowski spojrział z pewnem zdziwieniem na mówcę, ja zaś dosyć niecierpliwie odparłem: „Daruj Pan, ale tu już nie pora do subtelnych dystynkcyj. Jaki cel ma rząd i co on chce lub chciał, to zaiste Panu lepiej wiadomo niż mnie, który nic w tej mierze nie wiem. Wystarcza mi jednak, że Pan, jak pełnomocny tego rządu i nadzwyczajny komisarz, objawiłeś życzenie dyktatury generała Langiewicza i na nią się zgodziłeś. Z ewentualnemi skrupułami i dystynkcyami miałeś Pan porę wczoraj na krakowskiej naradzie i dziś w Goszczy występować. Ale żeby teraz, kiedy wszystko wskutek Pana inicjatywy, w myśl Pańskiego zdania i życzenia ułożono, kiedy jesteśmy w stadyum wykonania i właściwie tylko o stylizację odezwy chodzi, wszystko znów w kwestyą podawać, tego nie rozumiem“. Grabowski zaczął się tłumaczyć, że zdecydowanej rzeczy bynajmniej w kwestyę nie podaje, tylko wyraża pewne osobiste skrupuły, że jednak chętnie się zgodzi na to, cośmy już umówili i t. d. „A więc weźmy się coperędzej do roboty — rzekłem -- bo już bardzo późno“. Chwyciwszy znów za pióra, Chrzanowski wziął się do kończenia swej pracy, ja do odważania i szlifowania mojej, Grabowski do medytowania i obgryzania kitki u pióra. Po upływie nowej pół godziny, Chrzanowski zawołał wreszcie: „no, skończyłem, przeczytajmy teraz“, i prosił, żebym pierwszy moją rzecz przeczytał, bo najkrótsza. Grabowski, który ani słówka dotąd nie był postawił na papierze, nalegał także na przeczytanie tego, co gotowe, mówiąc, że się zgodzi na to, cośmy we dwóch napisali. Przeczytałem więc mój projekt, potem Chrzanowski swój. Chrzanowski chwalił moją pracę, ja Chrzanowskiego, z wyjątkiem zbytnej rozciągłości. Chrzanowski chciał mi oddać swój elaborat do dowolnego użytku przy ostatecznej redakcyi, ja wszelako obstawałem, żeby on ostatnią uskutecznił redakcyę, a mój projekt, jako dowolny użył przytem materyał; podawałem za powód, że on, jako komitetowy i we wszystkie roboty wtajemniczony, a przytem dalej je zapewne jeszcze prowadzić mający, właściwszym jest do tego, niżli ja, który tylko chwilową pomoc w redakcyi przyrzekłem i za dzień lub dwa udam się do obozu, ażeby wyłącznie wojskowej pilnować służby. Chrzanowski zgodził się wreszcie na to, wziął mój projekt, za-

czął ze swoim porównywać i wreszcie po upływie godziny, wykończył ostateczną redakcją, przy której cały początek i końcowe wezwanie do walki żywcem z mojego brulionu odpisał, a w środek wsadził długą część swojego projektu o przyszłym rządzie cywilnym i t. d. Kiedy zaczął teraz czytać: „z woli rządu narodowego i w porozumieniu z generałem J. Wysockim“, Grabowski wystąpił znów z opozycją, mówiąc, iż nie można właściwie mówić o woli rządu, gdyż rząd w tym kierunku wyraźnej nie objawił i nie miał sposobności objawić woli, ale tylko dał mu pełnomocnictwo zarządzenia potrzebne w miarę okoliczności i wedle wiadomych mu rządowych intencji i t. d. Ponieważ ja w żaden sposób na wykreślenie tej wstępnej wzmianki o przyzwoleniu rządu pozwolić nie chciałem, mówiąc, że w takim razie cała dyktatura będzie wyglądała na jakiś ambitny *coup d'état* albo na kontrrewolucję, zaproponowałem więc łagodniejsze wyrażenie: „w porozumieniu z rządem narodowym i generałem Wysockim“. Nowe rozpoczęły się targi, bo i to Grabowskiemu za mocne i stanowcze się wydawało. Utargowałem wreszcie jakieś łagodniejsze jeszcze wyrażenie, zdaje mi się: „z wolą rządu narodowego i w porozumieniu z generałem Wysockim“. Byliśmy umysłowo i fizycznie tak już znużeni, zresztą bardzo późna pora (było już jakoś po północy) tak nas do końca nagle, że mało już kto z nas z dalszą występować chciał krytyką i dysputą. Zmieniwszy więc jeszcze na poczekaniu i prawie bez dyskusji kilka wyrazów i frazesów, to w myśl jednego z nas, to w myśl drugiego, przyjęliśmy *en bloc* ową ostateczną Chrzanowskiego redakcję, poczem rozeszliśmy się, a jeden z nich (nie pamiętam kto: Chrzanowski czy Grabowski) wziął ze sobą manuskrypt udecydowanej odezwy, ma się rozumieć z datą: „Goszcza d. 10. marca“ i z podpisem „Generał M. Langiewicz“, żeby ją dać przez noc w kilku tysiącach egzemplarzy oddrukować. Nazajutrz zawiózł ktoś z rana gotowe odezwy oraz wyrzniete przez noc pieczęcie do Goszczy: kto i jak? tego już nie pamiętam, a raczej nie wiem, bo na przyrzeczonej Langiewiczowi spółredakcji odezwy, zakończył się cały mój udział w układaniu i urzędzeniu dyktatury, oraz we wszelkich dalszych jej sprawach i czynnościach; wróciłem do mego wojskowego zadania i do charakteru szefa sztabu przy do-

wódzcy oddziału, generale Langiewicz, który to generał, że był zarazem dyktatorem, uboczną było dla mnie rzeczą. Na tem też czysto wojskowem stanowisku do końca wypadków pozostałem, nie mieszając się już więcej w nieswoje rzeczy, z jednym małym wyjątkiem zdania nazajutrz objawionego w przedmiocie składu rządu cywilnego i projektowanego w nim udziału Grabowskiego.

Przychodzi mi teraz, po napisaniu już powyższej opowieści o powstaniu dyktatury, na myśl, że ponieważ dyktatura *z pewnością* dnia 10. marca przed południem w Goszczy ogłoszoną została, a my we trzech *z pewnością* późno wieczorem i głęboko w noc odezwę zredagowaliśmy, nie bardzo mi jakoś prawdopodobną, ażeby przez resztę nocy i kawałek rana, zdążono tę odezwę zanieść do drukarni (utajonej), złożyć ją, poprawić, w kilku tysiącach egzemplarzy wydrukować, dać powyrzynać dyktatorskie pieczęci i to wszystko Langiewiczowi posłać do Goszczy. Byłoby więc mogło, że mnie pamięć do tyła myli, iż może pomiędzy naszą naradą w Goszczy i układaniem odezwy tegoż wieczora, a ogłoszeniem dyktatury, cały jeden dzień upłynął. W takim razie wszystkie daty od 7. do 9. marca, to jest od mego ze Lwowa wyjazdu aż do przeddyktatorialnej narady w Goszczy, wypadłoby o jeden dzień wstecz cofnąć.

Dnia 10. marca, podczas kiedy się Langiewicz w Goszczy dyktatorem ogłaszał, ja byłem cały zajęty w Krakowie sumarycznem wyekwipowaniem się na pół zimową jeszcze kampanię i staraniami o konie, ubiór, broń i t. d., Grabowski zaś, jego przyboczni powiernicy, różne komitetowe figury i różni mężowie stanu improwizowanego autoramentu, byli znów zupełnie zaprzątnięci znoszeniem się z Langiewiczem, Wysockim, oraz naradami i projektami względem organizacji nowego rządu cywilnego. O ile, z dorywczu posłyszanych w ciągu tego dnia wzmianek wyrozumiałem, chodziło o ustanowienie, niejako z poręki dyktatora Langiewicza, jawnego jakiegoś rządu na ministerstwa porozdzielanego, a który także miał się ze swej strony przedstawić narodowi w osobnej odezwie. Wspomniał mi nawet ktoś (ale kto, już nie pamiętam), czybym nie chciał wejść do składu tego rządu, od czego stanowczo się wymówiłem, raz, że wojskowej tylko partyi chciał pilnować, potem że mi cała mechanika

tego rządu, problematyczne miejsce jego rezydencji obok tyle pożądanej jawności, i sposób komunikowania się z krajem, w całości przez nieprzyjaciela zajętym, bardzo były nie jasne, a do wszystkiego niejasno pomyślanego czuję się najzupełniej nieudolnym. W dalszym ciągu takich dorywczych i przypadkowych wzmianek o budującym się rządzie, wspomniano mi o projekcie oddania A. Grabowskiemu jakiegoś ministerstwa, zdaje mi się ministerstwa spraw wewnętrznych, oraz o projekcie odezwy nowego rządu poddyktatorialnego, którą mieli nowi jego członkowie, a między innymi i A. Grabowski podpisać imiennie. Pozwoliłem sobie wtedy bardzo stanowczą zrobić uwagę, że jakkolwiek A. Grabowski mógł późniuszem swoim życiem w Królestwie, patriotyzmem i poświęceniem, odkupić i zmasać błędy lekkomyślności młodości, wszelako ta druga, chwalebna strona jego życia znana jest tylko od spółspiskowych; dla ogółu zaś jest on natomiast albo zupełnie nieznanym, albo też, jak w W. Ks. Poznańskim, skąd pochodzi, znanym tylko z tego, że należał do lekkomyślnej, marnotrawnej młodzieży, że był kamerjunkerem dworu pruskiego, że musiał dla długów i bankructwa z W. Księstwa uchodzić, i że go teść jego, książę Lubomirski, w anonsach gazet poznańskich wyświecił ostrzeżeniem, iż zięć jego odebrał już cały posąg z żoną, i żadnego nie ma prawa ani tytułu do przedsięwzięcia czynności, obciążających majątek ks. Lubomirskiego. Nie uwłaczając więc bynajmniej obecnym zasługom i stanowisku A. Grabowskiego, objawiłem poufne ale bardzo katagoryczne zdanie, iżby najniekorzystniejszą było dla całego powstania rekomendacją, mianowicie w Wielkopolsce, gdyby pierwszą jawną i imienną odezwę rządu powstańczego podpisał A. Grabowski. Na tej uwadze skończył się ustny nawet i pogadankowy mój udział we wszelkich rządowo-cywilnych robotach; nie wiem nawet do dziś dnia, na czym się te różne projekta i kombinacje organizacyjne skończyły; tyle tylko się dowiedziałem na samem wyjeździe do obozu, (ile że mi to było wiedzieć potrzeba w skutek wojskowego mego przy Langiewiczu stanowiska), że generał Wysocki wziął na siebie ministerstwo wojny, a Chrzanowski dodany mu został na rodzaj sekretarza stanu czy tam szefa biura.

Ukończywszy dnia 11 i 12 marca z rana moje kompanijne przygotowania, wyruszyłem tegoż dnia 12 przed południem do obozu Langiewicza, znowu na bryczce Chrzanowskiego i w jego towarzystwie, miał on bowiem także różne interesa w obozie do załatwienia. Bryczkę wyładowałem bronią i ubraniem na konie, za bryczką zaś jechał luzak z trojgiem koni, dwoma wierzchowemi i jednym pod juki. Tymczasem na granicy austriacko-polskiej niekorzystne zaszły były od 24 godzin przemiany: celnicy austriaccy świeże otrzymali rozporządzenie nieprzepuszczania nikogo przez granicę bez legitymacyi i surowego baczenia, ażeby żadnych wojennych przyborów do Królestwa nie wprowadzano. Jadąc z Krakowa ku Michałowicom, spotykaliśmy wracające od granicy fury z powstańcami, wołali oni na nas, że nie przejeździemy, bo już Austriacy przez roгатkę nie przepuszczają. Ponieważ jednak Chrzanowski miał pograniczną przepustkę i znał osobiście naczelnika austriackiego przykomórka, a ja pruski ministeryalny okazałem paszport, przepuszczono więc nas wraz z luznemi końmi. Kto mógł i chciał z krakowskich ochotników, przekradał się bocznemi drożynami przez granicę. Komorę rosyjską w Michałowicach zajmowała jeszcze mała komenda z oddziału Langiewicza, ale dowiedzieliśmy się od niej, że Langiewicz już wczoraj Goszczę opuścił i obozuje gdzieś za Słomnikami i że rosyjscy kozacy zaczynają się znowu pomiędzy Słomnikami a granicą ukazywać. W takim składzie rzeczą ryzykowna było jechać dalej bryczką, bo pojedynczy kozak mógłby nas zabrać.

Przystanęliśmy więc gdzieś w zakryciu, pokulbaczyli luzne konie, uzbroili się w pałasze i pistolety, a ja przytem ubrałem się już zupełnie na kampanię. Konno tedy odjechaliśmy przez miasteczko Słomniki do Sosnówki, gdzie stał w tej chwili Langiewicz, za nami zaś bryczka z różnemi przyborami, które Chrzanowski wiozł dla Langiewicza i luzak z trzecim moim koniem pod juki. W Sosnówce, gdzieśmy stanęli dobrze po południu, wszystko było w nieco świątecznem usposobieniu, bo przed południem odbywało się na polu, przy improwizowanym ołtarzu, uroczyste składanie przysięgi dyktatorowi przez wojsko; opowiadano mi, jako pomyślny *omen*, że w chwili przysięgania, zabłyśło słońce z poza chmur i obok niego dwa inne pokazały się słońca,

czy też jakieś inne podobne miraculum atmosferyczne. Główna kwatera Langiewicza mieściła się w małym dworku wsi Sosnówka i składała się z pokoju jeszcze mniejszego niż w Goszczy i przytykającego małego alkierzyka, gdzie tylko łóżko Langiewicza miało miejsce. Pokój znów był nabity sztabową i inną czeredą, tak że się ruszyć nie było można: byli tam prócz dyktatora Waligórski, Jeziorański, pan Tomasz, pułkownik Bończa, Michałek (Pustowojtówna), Tomczyński, sekretarz stanu przy dyktatorze dla spraw cywilnych, czterech adjutantów dyktatora, kilku adjutantów Waligórskiego, kilku Jeziorańskiego, paru kancelistów, i mnóstwo innych, to wchodzących to wychodzących figur, w kożuszkach, burkach, przy broni, o których, dla braku mundurów, zmiarkować nie mogłem, czemby byli i czego chcieli w głównej kwaterze. Około dworku, w sieni, w pokoju, ścisk, gwałt i rwetes do nieopisania. Dyktatora zaprzęmano co chwila najbliższymi drobiazgami, któreby do jakiego feldfębla lub adjutanta należeć były powinny; to musiał co moment przykładać swoją pieczęć do kartek przepustnych z obozu, to decydować o świeżo przywiezionych kilku burkach i parach butów i t. d. Serdecznie mnie przywitał, mówiąc: »no rozgość się między nami, szefie«, ale ani sposobu było pomówić z nim spokojnie o służbie. Podeszedłem więc do dotychczasowego szefa sztabu, p. Tomasza, prosząc, żeby mi zdał swój urząd, papiery i udzielił potrzebnych objaśnień. Ale pan Tomasz nic nie miał do zdania, nie potrafił nawet objaśnić względem istotnej siły i rozlokowania oddziału; zmiarkowałem tylko, że był duszą całej intendentury, że przez jego ręce przechodziła żywność, furaz, odzienie, broń i t. d., i że w tym względzie był i nader czynnym i bardzo na swoim miejscu. Docisnąwszy się wreszcie na kilkuminutową z Langiewiczem rozmowę, chciałem przedstawić do jego aprobaty wypracowany przez dwa dni ostatnie projekcik organizacyi sztabu głównego, w zastosowaniu do wielkości i natury oddziału, o ilem go poznał był w Goszczy, oraz do natury wojny. Ale Langiewicz dość słuszną w takim wirwarze zrobił uwagę, żebym to do wolniejszej odłożył chwili. Nadmieniam tu zawczasu, że pomimo kilkakrotnie powtarzanych prób i usiłowań moich, ta wolniejsza chwila aż do końca tygodniowej naszej kampanii przedłużyła się.

Natomiast zajęliśmy się kilku nominacjami na wyższe stopnie. Dyktator oświadczył mi, że pułkowników Waligórskiego i Jeziorańskiego mianował generałami d. 10 marca, równocześnie z ogłoszeniem się dyktatorem (okolicznościami prawie nakazana kompensata tym niegdyś udziałnym naczelnikom oddziałów, którzy nie bez pewnej zazdrości patrzali na raptowne młodego swego kolegi wyniesienie), i że trzeba im formalne wygotować nominacje. Wygotowałem więc dosyć sumaryczne i obozowe patenta: Jeziorańskiemu na generała dyżurnego; Waligórskiemu na generała kwartmistrza (bo byli à la suite armii Langiewicza, bez żadnej udziałnej komendy, a trzeba im było jakieś wojskowe dać stanowisko); pułkownikowi Czapskiemu, dowodzącemu *en chef* kawaleryą Langiewicza, na brygadiera kawaleryi i generalnego inspektora kawaleryi, ze stopniem generalskim; pułkownikowi Smiechowskiemu, na brygadiera piechoty, także ze stopniem generalskim; panu Tomaszowi (żeby mu nagrodzić utracone szefowstwo sztabu i uznać ciągłe i wielorakie zasługi) na intendenta generalnego ze stopniem pułkownika. Wszystkie te nominacje nosiły datę 10. marca, w Goszczy, a lubo tego dnia tam obecny nie byłem, na życzenie dyktatora kontrasygnowałem je, jako szef sztabu, pod datą powyższą. Spytał wreszcie Langiewicz, jakiegobym ja sobie życzył stopnia? Odpowiedziałem na to, że niskiego stopnia dawać mi nie wypada, ze względu, iż mi nieraz przyjdzie, z mego stanowiska szefa sztabu, wydawać dyspozycje oficerom ze stopniem generalskim; udzielanie mi zaś, z kopya, wysokiego stopnia, byłoby mi w duszy śmiesznem, a więc niemiłem; proponuję więc wobec takiego dylematu, żeby mi po prostu dać nominacją na urząd, to jest na szefa sztabu, a kwestyę stopnia zostawić *in suspenso* do późniejszych czasów. »Po kilku bitwach«, rzekłem »pokaże się, czym co wart i com wart, a wtedy pomówimy o tem«. Langiewicz zgodził się na moje zdanie; pozostałem więc aż do końca jego dyktatury bez ściśle oznaczonego stopnia: w obozie nazywano mnie, po urzędzie, szefem. Co do odznak, generałowie nosili trójkolorowe szarfy przez ramię i piersi, pułkownicy dwukolorowe (białe z czerwonym), ja miałem nosić amarantową szarfę, moi zaś adjutanci i adjunkci sztabu także przepaski u ramienia; ponieważ jednak ama

rantowej wstażki dostać nie było można, a nadarzyła się w dworku szeroka wstęga w kratki à la Walter-Scott, tę więc dla odznaki przywdziałem i do końca nosiłem. Różnemi pytaniami, postrzeżeniami i poszukiwaniami, z biedą wykombinowałem, że armia Langiewicza mogła w tej chwili wynosić między 3000 a 4000 ludzi*); że ją składały: właściwy oddział Langiewicza i wcielone doń niedawno oddziały Waligórskiego, Jeziorańskiego, to wszystko co chwila znakomicie zwiększane napływającymi ochotnikami; że siły te rozpadły się na 2 pułki piechoty, o 3 (imiennych) batalionach, na 2 pułki jazdy, na batalion żuawów czyli strzelców, na pluton artylerji (dwa maluchne działka z kutego żelaza, jednofuntowego co najwięcej kalibru) i na pluton saperów. Brygadą piechoty dowodził gen. Śmiechowski, I-szym pułkiem pułkownik Dąbrowski (rosyjski oficer), 2-gim pułkiem pułkownik Czachowski; brygadą kawaleryi dowodził generał Czapski, jednym pułkiem pułkownik Ulatowski; nazwy dowódcy drugiego pułku jazdy, oraz artylerji i saperów nie pomnę w tej chwili. Batalionem żuawów, których mogło być stu kilkudziesięciu do dwustu, dowodził pułkownik Rochebrune. Żuawy, oraz jeden batalion w każdym pułku pieszym były mniej więcej w niezłą broń palną opatrzone; reszta nosiła kosy i piki. Kawalerya była stosunkowo najlepiej uzbrojona, umontowana a nawet jako tako umundurowana; każdy jeździec miał lancę, pałasz i pistolet. Prócz tego był doborowy oddziałik (z 20-tu, zdaje mi się, ludzi złożony) tak zwanych gwałtygierów; wszyscy na koniach, doskonale uzbrojeni, i albo z inteligentnej młodzieży, albo nawet z oficerów dawniejszych podobierani. W teoryi miała to być policja obozowa, pilnująca porządku w obozach i marszach; w praktyce posługiwał się dyktator gwałtygierami, jak polowymi swymi adjutantami i używał ich do wszystkiego, do czego zaufanych, wykształconych i zdeterminowanych ludzi było potrzeba. Dodać do tego należy tabor z kilkudziesięciu złożony wozów; na kilku wozach mieściły się: bagaże dyktatora i głównej kwatery, drukarnia polowa, apteka; na

*) Później nieco pokaże się, że ta cyfra była za wielka, gdyż w istocie siły nie dochodziły 3.000 ludzi.

kilku bagaże różnych pułków i oddziałów; na kilku amunicja; reszta dźwigała zapasy chleba, mięsa, mąki, żywności i furazu. Z pobocznych służb, do składu armijki a pod zwierzchnictwo i zarząd szefa sztabu głównego należących, wyliczyć wypada: 1. Audytoryat polowy. Ten był w zupełnem rozprzężeniu; dotychczasowy sztabs-audytór właśnie był odszedł, czy też gdzieś się zapodział; żadnego kodeksu wojkowego, żadnych krótkich artykułów wojennych czy powstańczych, żadnych stałych norm nie było. Zbierały się podobno czasami sądy wojenne; skazywano i wieszano, mianowicie chłopów krakowskich, co z Moskalami trzymali; ale wszystko to odbywało się wedle każdorazowego natchnienia i widzimisię improwizowanych sędziów; karność wewnętrzna nadzwyczaj była rozluzowana, czyli raczej żadnej stałej nie było; wszystko się kupy trzymało dobrą wolą indywiduów, lub dowolnem i doraźnem srożeniem się i karceniem ze strony pojedynczych dowódców. W takim stanie rzeczy zaraz tego wieczora, wyszukałem i przedstawiłem do nominacyi na sztabsaudytora, jakiegoś młodego prawnika z uniwersytetu wiedeńskiego czy też innego, nazwiskiem Kraus (zdaje mi się), który bez tego zawadzał tylko jako ochotnik, bo lichej był kompleksyi i broni nie miał. Poleciałem mu ułożyć bezzwłocznie projekt krótkich artykułów wojennych i projekt najsumaryczniejszego, ale jakiegokolwiek unormowanego i jednostajnego postępowania przy sądach wojennych.

2. Służba zdrowia. Młodych lekarzy przy pułkach nie brakło; sztabsa-lekarzem był dr. Bukowiecki, młody doktor z uniwersytetu wrocławskiego. Materiały apteczne były na furgonie, a nawet świeżo przywiózł był Chrzanowski kompletne aparaty do amputacyi i t. p. Pomimo to służba zdrowia szła bardzo lichy, dla prostej przyczyny, że nie mając nigdzie, gdzieby chorych i rannych odsyłać lub zostawiać było można, odsyłało ich się do Krakowa, póki komunikacya z tem miastem była otwarta, potem zaś, zostawiało się ich po wsiach na boskiej Opatrzności, lub włokło za sobą na podwodach, żeby uchronić od dostania się w ręce kozaków.

3. Służba duchowna. Kapelanów pułkowych i oddziałowych to jest zakonników i świeckich księży maszerujących z oddziałem nie brakło, ale przez cały ciąg mego pobytu w obozie nie było ani razu nabożeństwa, ani modlitwy wspólnej, dla

prostej przyczyny, że w nieustannych forsowych marszach czasu na to nie było *). 4. Intendentura. Żywności dla wojska dostarczali albo okoliczni obywatele, albo się ją przywoziło z Krakowa; głównie chodziło o dostanie potrzebnej ilości upieczonego chleba, bo piekarni polowej nie było. Furaż rekwirowało się z sąsiednich dworów, bo chłopów z zasady oszczędzano, nic nigdy od nich nie rekwirując. Całą tą partią zarządzał pan Tomasz. Odzienie i buty także głównie z Krakowa przychodziły, gdzie Langiewicz miał osobnych komisantów i agentów, jako to Meisla, Lewkowicza. 5. Płanika sztabowego ani kasy oddziału nie było, gdyż ani oficerowie ani żołnierze żołdu nie brali; za rekwirowaną żywność i furaż zwykle bony się tylko dawały, a z krakowskimi swemi agentami i komisantami sam się Langiewicz rachował. Co było publicznego grosza lub wpływu w monecie (zwykle w papierach), Langiewicz w osobnej torebce przy sobie nosił i stąd zdarzające się wydatki gotówką opędział.

Nadszedł tymczasem wieczór; Chrzanowski na bryczce do Krakowa odjechał, a pojawili się natomiast w głównej kwaterze dwaj nowi ochotnicy bracia Borzysławscy (Galicjanie rodem), którzy konno i zbrojno z Krakowa przez granicę się przedostali. Obaj służyli do ostatnich czasów w wojsku włoskiem; starszy, Karol, dzielny kawalerzysta i z miny rębacz nielada, był podpułkownikiem w konnym gwardyjskim pułku Genova Cavaleria; młodszy, Władysław, był podporucznikiem w konnym węgierskim legionie w służbie włoskiej. Karol Borzysławski był niegdyś kolegą i przełożonym Langiewicza w neapolitańskiej kampanii Garibaldeggo; skoro więc fama o wzmagającym się powstaniu i cudach waleczności dokazywanych przez oddział Langiewicza do Włoch doszła, porzucili obaj służbę włoską, by służyć ojczyźnie i szukać wojskowej karyery w szeregach narodowych. Langiewicz serdecznie ich przyjął i w głównej kwaterze tymczasowo umieścił; dla podpułkownika Borzysławskiego nie miał już w swojej małej armii odpowiedniego stanowiska, zostawił więc go tymczasowo przy sobie, *à la suite* sztabu, do szcze-

*) Sztabskapelanem czyli naczelnym kapelanem armii Langiewicza był ksiądz Kamiński.

gólnych poruczeń; młodszego, Władysława, zamianował kapitanem i dodał mi za adjutanta. Mając tym sposobem doskonałego adjutanta polowego, wybrałem sobie jeszcze młodego człowieka wykształconego, Gaszyńskiego, który nie wiedział, co ze swoją figurą w obozie robić, na adjunkta sztabowego do ekspedycji piśmiennych; ponieważ jednak później nie było ni czasu ni miejsca do najkonieczniejszego nawet pisania, używałem go więc także do posługi polowej. Chciałem się, jak naturalna, zaraz tego wieczora gruntownie objaśnić co do ogólnych dyspozycji wojskowych naszego obozu, co do naszego stanowiska, względnie nieprzyjaciela, i dalszych Langiewicza planów; ale jużto, że nie mógł wcale w ciągłym wirwarze głównej kwatery przyjść do dłuższej a spokojnej z nim rozmowy, jużto, że Langiewicz albo żadnych ogólniejszych nie miał może planów, albo też nie chciał mi ich powierzać, dosyć, że się tyle tylko dowiedzieć i wymiarkować zdołał, że dyktator myśli jeszcze parę dni w Sosnowce zabawić, bądźto dla lepszego zorganizowania swojej armijki, bądźto dla ukończenia pertraktacji z Krakowem względem organizującego się tamże rządu cywilnego. Do obu tych celów potrzeba było wolnej z Krakowem komunikacji; żeby więc ją utrzymać, zachowany był jeszcze polski posterunek w Michałowicach, taktyczną zaś łączność tego posterunku z oddalonym o parę mil obozem w Sosnowce utrzymywał nieco silniejszy posterunek pośredni, w pobliżu Słomnik, w karczmie przydrożnej stojący; dowodził nim major Koskowski (młody oficer z rosyjskiego wojska). W bezpośrednim swoim sąsiedztwie miał obóz dyktatora rosyjską załogę Miechowska, około półtora tysiąca do dwóch tysięcy wynosić mogącą. Służbę przedniej straży obozu naszego, w pole wysuniętej, miał tego wieczora od strony Miechowa, Rochebrune z żuawami, wszelako stał on wraz z jądrem oddziału kwaterą we wsi i tylko pojedyncze plutony w polu na straży stały. — Dobrze już było pod wieczór, kiedy przyniosła posyłka od Rochebruna do głównej kwatery pismienne jego żądanie dymisji; jednocześnie odsyłał dyktatorowi swoją szarfę, oznakę dowództwa. Za powód przytaczał Rochebrune w podaniu, że żołnierza z jego oddziału, który się był dopuścił kradzieży przeciw swemu dowódcy, złożony dni poprzednich sąd wojenny nie

skazał na śmierć, ale na jakąś lekką karę. Langiewicza dosyć mocno zniecierpliwilo to podanie; zapytał mnie jednak o radę, co czynić. Znając impetyczność Rochebruna i chwilowe drażliwości wojskowych z rzemiosła, a przytem bardzo wysoko ceniąc służbę tak energicznego, walecznego i gorliwego, jak Rochebrune, oficera, radziłem zrobić wyjątek i jeśli nie prosić go, co nie wypadało, to przynajmniej starać się rzecz załagodzić. Langiewicz przystał na to. Poszedłem więc sam, z trudnością ciemnym wieczorem drogi szukając, do kwatery Rochebrune, żeby mu dasy z głowy wybić. Uderzyło mnie przeciwieństwo nieładu i wirwaru głównej kwatery oraz kwater polskich dowódców, z porządkiem militarnym kwatery Rochebruna: przede drzwiami chłopskiej chałupy stał żuaw na szyldwachu, w sieni czekał adjutant, w izdebce zaś chłopskiej siedział sam Rochebrune u stolika improwizowanego z deski opartej na dwóch próżnych beczkach i przeglądał przy świetle łożówki w butelce w spokoju i z uwagą dzienne raporta i służbowe papiery. Zacząłem przemawiać do jego rozumu, do serca: tłumaczyłem, że wyroku sądu wojennego, chociażby ten był niewłaściwym, nie może on kłaść dyktatorowi na karb; wystawiałem, w jak fałszywym stanie świetle, wśród niebezpiecznej kampanii usuwając się ze służby dla wielkiej drażliwości i t. d., ale wszystko napróżno, bo Rochebrune zaciął się w gniewie czy uporze i powtarzał, że słowa swego nigdy nie cofa, że zresztą nie umie służyć tam, gdzie nie masz karności i t. d. Po półgodzinnej blisko konferencyi wróciłem z niczem do głównej kwatery i zdałem Langiewiczowi sprawę z wypadku mojej misyi. Dyktator słusznie zniecierpliwiony na Francuza powiedział: »toć prosić go się nie będziemy; kiedy nie chce zostać, niechże sobie idzie«; ja wciąż jeszcze medytowałem nad sposobem zatrzymania tak cennego oficera; wreszcie Langiewicz zdał całą rzecz na mnie. Kazałem sobie wtedy dać protokoły i akta tej sprawy i sądu wojennego, a przekonawszy się, że cały ten sąd na najnaiwniejsze laborował nieformalności i niewłaściwości (i tak n. p. należało do jego składu 5 czy 6 osób; każda z nich na inną opiniowała karę, jedni na śmierć, inni na translokacyą do innego pułku i t. d., a wkońcu prezydujący pułkownik Dąbrowski, rozstrzygając i godząc niby to zamieszanie zdań, orzekł ostatecznie małą

jakaś karę, za którą żadne zdanie w sądzie nie było się objawiło), oparłem na tem plan mój zatrzymania Rochebruna, przez puszczenie rzeczy w odwłokę; odpisałem mu więc zaraz tego wieczora na jego podanie o dymisyę, że zanim nastąpi stanowcza odpowiedź co do dymisyi, musi wyrok sądu wojennego, na którym jego żądanie polegało, dojrzałej uledez w sztabie głównym rewizyi, gdyż potwierdzonym być nie może i ulegnie zapewne kasacyi, dla pogwałcenia najelementarniejszych formalności; zanim zaś rewizya wyroku i udzielenie mu żądanej dymisyi nastąpi, winien on bieżącą dalej pełnić służbę, ku czemu zwraca mu się służbowa szarfa. Langiewicz podpisał, a ja, odesławszy ekspedycyę przez ordynansa, szarfę Rochebrune'owi odnieść kazałem, dla udobruchania go taką uwagą, przez jednego z adjutantów głównej kwatery. Plan mój zupełnie się udał. Rochebrune zaczął niby tymczasowo aż do udzielenia dymisyi służbę dalej pełnić; tymczasem dni następnych nie było już czasu śród ciągłych forsownych marszów do myślenia o rewizyi wyroku, tem samem do poruszania kwestyi dymisyi, o której zresztą sam Rochebrune po kilku dniach, ochłonawszy z pierwszego afektu, zupełnie zdaje się zapominał. — Kiedy się już dobrze na noc miało, naniesiono słomy do izdebki, stanowiącej główną kwaterę, i układliśmy się do snu, ilu się nas w izbie zmieścić mogło, to jest: Waligórski, Jeziorański, dwaj Borzysławscy, Michałek (Pustowojtówna), ja i paru adjutantów. Langiewicz spał w przyległym alkierzyku. — Nadmieniam jeszcze, że przed udaniem się na spoczynek, ale ciemnym już wieczorem, Langiewicz i cały sztab oprowadzali jakichś korespondentów zagranicznych gazet, którzy z ciekawości przybyli do obozu dyktatora, po biwakach piechoty rozłożonej w lesie opodal od wsi; kosynierzy urządzili rodzaj illuminacyi ze słomy na ten obchód, tak, że korespondentom w istocie malowniczy przedstawił się widok dyktatorskiego obozu.

Dnia 13. marca o świcie otrzymaliśmy raport od Rochebrune'a. że w ciągu nocy wysunięty naprzód ku Miechowu posterunek żuawów był atakowany przez garstkę posuwających się od Miechowa ku naszemu obozowi Moskali. Zamieniono kilkanaście wystrzałów, od których jeden żuaw poległ, a 4 czy 5 rany odniosło. Moskale, napotkawszy czuj-

ność i opór, cofnęli się. Ponieważ noc bardzo była ciemna, nie można było zmiarkować, w jakiej podstąpili sile i co właściwie zamierzali. Zdaje się, że mając zamiar z rana coś przeciwko obozowi przedsięwziąć, chcieli go w nocy zaalarmować, albo też wymacać po ciemku, jak daleko nasze posterunki wysunięte. — Ponieważ ranek bardzo był mglisty, nieśmy więc od strony Miechowa podejrzanego dojrzeć nie mogli. — Chcąc jako tako zaradzić ciąglemu natłokowi rozmaitych oficerów i powstańców w głównej kwaterze i płynącemu stąd nieładowi, ustanowiłem z przyzwoleniem dyktatora osobnego komendanta głównej kwatery, który bezpośrednio miał pod swemi rozkazami pół plutona piechoty, komenderowanego na służbę do głównej kwatery. — Wybrałem na to rozgarnionego i energicznego oficera i stosowne dałem mu instrukcye. Skutek okazał, że niewiele to pomogło, bo nieład, osobiste zgłaszanie się do Langiewicza w każdej bagateli i powstańcze braterstwo, zbyt mocno były już zakorzenione. — Postrzegłem, że Tomczyński (zdaje mi się urzędnik z Radomia) pełni przy dyktatorze funkcję przybocznego sekretarza do cywilnych spraw dyktatorskich. — Wygotowałem kilka poleconych mi przez Langiewicza nominacyj! (n. p. Mielęcki, dowódca oddziału w Kaliskiem, otrzymał stopień pułkownika) i kilka poleceń organizowania powstania w sąsiednich powiatach; osób, które wysłano z temi zleceniami, już nie pamiętam. — Około 8 z rana powstał w obozie alarm; donoszono od przednich straży ku Miechowu wystawionych, że Moskale się zbliżają. Wszystko zaczęło w pośpiechu pakować wozy, siodłać konie i t. d. Wyjechaliśmy nieco w pole dla zobaczenia, co się dzieje, ale gęsta mgła na kilkanaście kroków nic rozróżnić nie pozwalała. Ponieważ pozycja nasza we wsi nie była obronna, kazał więc Langiewicz cofnąć się całemu wojsku do lasu, tuż przy wsi, na wschód położonego. Krawędzie lasu, całkiem zresztą niewielkiego (bo go w godzinę w koło można było objechać) obsadzono od strony wsi i od strony Miechowa, a więc od zachodu i północy, piechotą. Jazda i artylerya stanęły u wschodniej lasu krawędzi, tabor z wozami na drodze ku Raclawicom na wschód prowadzącej; Rochebrune z żuawami zajął owczarnię, stanowiącą węgiel wsi od strony Miechowa. Oglądałem te różne posterunki;

jeden Rochebrune tylko na najniebezpieczniejszem postawiony miejscu zimno, z rozważą i znajomością rzeczy rozstawił swoich ludzi: wszystko tchnęło tam determinacją i wojskowym wyrobieniem; wszędzie indziej przebijała bezradność, nieznajomość elementarnych prawideł rzemiosła i nieodłączny od tego rodzaj popłochu, lubo wszystkie oddziały pełne były ludzi indywidualnie mężnych, poświęconych i zdeterminowanych. Na takim oczekiwaniu Moskali w leśnem naszym stanowisku zeszło parę godzin, ale Moskali wciąż widać nie było. Koło 11 z południa, kiedy już mgła opadać zaczęła, wyjechawszy nieco z lasu ku Miechowu, postrzeżono zdala wyciągnięte linie tyralierów rosyjskich postępujących wolniutko w otwartem polu, czy też stojących w miejscu. Dawali też od czasu do czasu pojedyncze strzały na wiatr. Od strony wschodniej lasu, gdzie się chwilowo z całym niemal sztabem (prócz Langiewicza i paru jego adjutantów, którzy gdzieś na inny punkt naszego stanowiska byli pojechali), oraz z kawaleryą i artyleryą znajdował, zaczęły się także wynurzać na horyzoncie pojedyncze postaci kozaków, czy dragonów nieprzyjacielskich. Ponieważ jednak lekka falistość gruntu bardzo ten horyzont ograniczała i niewiadomo było, czy się i stamtąd poważna siła nieprzyjacielska nie zbliża, skoczył p. pułkownik Borzysławski ku pierwszemu oddziałowi naszej jazdy, wzywając, żeby pluton wyjechał ku owym kozakom aż do wzgórką, skąd rozleglejszy otworzył by się widok. Czy nasza jazda nie uznawała Borzysławskiego za dostatecznie wylegitymowanego do dawania sobie rozkazów, czy myślała, że żąda od niej szarży w otwartem polu na nieprzyjaciela, dość, że się nikt nie ruszył. Wtedy Borzysławski poskoczył napowrót ku naszej kupce sztabowej i zawołał: »Kto ma dobrego konia, do szeregu panowie!«, sformował na prędce ściśniętą linię z nas 8 lub 10 jeźdźców i zakomenderował: »Dobyc szabel! marsz, marsz!« Ruszyliśmy tedy cwałem wprost na owe nieprzyjacielskie konne postaci, które co prędzej pierzchnęły. Wyjechawszy na wzgórek, ujrzyliśmy, że pole przed nami wolne od nieprzyjaciela; owych kilku kozaków podsuwało się z tej strony ku naszemu stanowisku widocznie tylko dla rekonesansu lub zaalarmowania. Wróciliśmy tedy w pobliże kawaleryi i artyleryi. Około południa, kiedy widoczne już było,

że Moskale odstąpili od zamiaru atakowania nas, przygotowanych znalazłszy, i ku Miechowu się cofnęli, nakazał dyktator całemu swemu wojsku ruszyć w pochód na wschód, ku Raclawicom. Ponieważ na dobre opuszczaliśmy obóz nasz w Sosnowce i w niewiadome jeszcze szliśmy strony, dla niewiadomych mi bliżej celów militarnych, trzeba więc było ściągnąć owe posterunki, w karczmie przy Słomnikach i na komorze w Michałowicach stojące. Wysłał więc Langiewicz zaufanych ludzi z odpowiedniami rozkazami do tych oddziałów. Tym sposobem pozbawiliśmy się podstawy militarnej Krakowa; jakoż od tego dnia bezpieczne i ciągłe nasze komunikacje z Krakowem i Galicyą ustały, bo kozacy zaczęli się znów snuć pomiędzy naszym głównym oddziałem, a granicą austriacką. — Maszerowaliśmy dzień cały ku wschodowi, przez Nasiechowice i w pobliżu Raclawic. Chwil wolnych w ciągu marszu użyłem do bliższej służbowej rozmowy z nowym sztabs-audytorem, ze sztabs-lekarzem i sztabs-kapelanem. Sztabs-lekarz uskarżał się na utrudnienie, które sprawiają w obozie i marszach syfilistyczną chorobą zarażeni ochotnicy: co chwila to służby czynić nie mogą, to żądają urlopów do Krakowa, to znowu przy przerwanych komunikacjach trzeba ich wlec za sobą na podwodach, żeby kozakom w ręce nie wpadli. Ponieważ ta plaga coraz to częstsza się stawała, stanęło na tem, żeby od czasu do czasu odbywać rewizye lekarskie, jak się to w regularnych dzieje wojskach i podobnej rewizyi poddawać zgłaszających się ochotników. Środek ten nie przyszedł wszelako, dla bezustannych marszów, w wykonanie. Sztabs-kapelan (ks. Kamiński) uskarżał się znowu na poniżenie kapelanów w obozie: że nie dostają kwater, że nie wiedzą nigdy, gdzie się przytulić. Zaradziłem temu. Ponieważ miało się już ku wieczorowi i ludzie bardzo byli zgłodniali (nie gotowali bowiem dnia tego, stojąc od samego rana na stanowisku, a potem wciąż maszerując) i pomęczeni, zadecydował dyktator, że zanocujemy we wsi Markowicach. Poleciałem komendantowi głównej kwatery, żeby się przeniósł na czoło kolumny marszowej (a kolumna ciągnęła się z wiorstę drogi) i wyprzedzając cokolwiek wejście wojska do wsi, wybrał główną kwaterę i obsadził ją. Tymczasem ciemna się już noc zrobiła, a myśmy wciąż się wlekli po bocznych, tłustych i marcową

pogodą popsutych drogach, wozy i podwoły grzęzły, łamały się, wywracały, tamując pochód, lub rozrywając kolumnę. Przebywając potem jakąś zagłębianą drogę i mokry lasek, takeśmy się porozrywali i pogubili wśród ciemności, że jeden o drugim nie wiedział. Żeby co chwila nie rozbijać się o drzewo, lub nie wpadać w rowy, trzymałem się na oślepie moim koniem ogona poprzedniego jakiegoś konia; jak mi się ten przewodnik o kilka kroków usunął, jużem toru znaleźć nie mógł. Brnąc z kilkoma innymi instynktowo na przełaj przez krzaki, opłotki, rowy i pola, dostałem się wreszcie ciemną nocą do Markowic. Od chwil kilku był już tam Langiewicz, a większa część oddziału poprzedziła go, roztasowywując się po wsi; część piechoty rozłożyła się biwakiem w ogrodzie dworskim około głównej kwatery. Sam dworek, od właścicieli opuszczony (została tylko jakaś gospodyni), zajęli samowolnie, pomimo oporu komendanta głównej kwatery, różni powstańcy, co się pierwsi po ciemku do wsi dostali. Trzeba ich było groźbą i niemal przemocą rugować, żeby zrobić miejsce dla dyktatora i sztabu. Byliśmy strasznie znużeni całodzienną konną jazdą i uciążliwym marszem, każdy więc ułożył się, jak mógł, w izbie dworku i copędzej zasnął.

O świcie dnia 14. marca wyszliśmy przed dom i ku wsi, żeby się rozpatrzyć, gdzie właśnie obozujemy. Pokazało się, że dwór i wieś leżą w kotlinie, nad którą bezpośrednio panują wzgórza, jużto odkryte, jużto zarosłe i dochodzące na strzał karabinowy do dworu; przytem dwór przedzielony był ode wsi głębokim rowem, czy też małym strumykiem o spadzistych brzegach, przez który parę tylko wąskich mostków było rzuconych. Nadto na armatni strzał ode wsi, ku północy, biegła wzdłuż grzbietu wzgórza świeżo zbudowana szosa od Miechowa do Szkalmierza, a i w Miechowie i Szkalmierzu stali Rosyanie. Dyktator miał zrazu ochotę odbyć tu dniówkę, żeby dać ludziom wypocząć i cośkolwiek jadać sobie zgotować. Rozpatrzywszy się jednak w położeniu miejsca, w towarzystwie Waligórskiego, Jeziorańskiego, Czachowskiego, Śmiechowskiego i moim, przyszedł do przekonania, że trzeba co prędzej tak niebezpieczną opuścić pozycję, bo lada oddział kozacki, szosą przypadkiem jadący, mógł nas postrzedz, a w razie lada ataku piechoty rosyjskiej, nie

mieliśmy ani gdzie się rozwinąć, ani swobodnego nawet wyjścia z tej kotliny. Zapowiedziano więc rozrzuconym po wsi oddziałom, żeby się ludzie do gotowania jadła nie zabierali, ale stawali pod broń i do wymarszu. Gdzie pomaszujemy? jeszcze dyktator nie był zdecydowany. Na różnych namysłach, korowodach, powolnem zbieraniu się oddziałów zeszło kilka godzin czasu. Tymczasem zjawił się major Koskowski, który, ściągawszy stosownie do rozkazu dnia poprzedzającego posterunek w Michałowicach (u granicy) i swój własny pod Słomnikami, dopytał się naszej drogi i przymaszerował nocą do Markowic. Zameldował mi, między innymi, że dwóch konnych powstańców z oddziałku Michałowskiego, młody Delavaux, Galicyanin, i młody Hartig (czy coś podobnego, Litwin, postawieni na nocnej wedecie u granicy, zbiegło z posterunku z bronią i końmi, jak się zdało, za granicę do Krakowa. Dla dania przykładu wobec bardzo luźnej karności całego oddziału, ogłosiłem ten wypadek rozkazem dziennym do wojska, gdzie wymieniwszy obu zbiegów z nazwiska, powiadałem, iż nie mogąc ich, jak zasłużyli, ukarać rozstrzelaniem, wyrzeka się na nich kara śmierci moralnej. Poleciłem zarazem, żeby przesłano ten rozkaz dzienny do wydrukowania w »Czasie« ; co jednak dla przerwanych ciągle z Krakowem komunikacyj nie nastąpiło. Ponieważ jednak rozkaz dzienny czytany był całemu wojsku Langiewicza, wieść o nim rozeszła się więc w parę tygodni potem w Krakowie. Pomimo to, zrobiono w parę miesięcy później owego Delavaux oficerem w konnym oddziale Bończy, a Hartig był oficerem w oddziale Jeziorańskiego w Lubelskiem, gdzie się podobno niezwykłą odznaczył walecznością. Obaj ci młodzi ludzie tłómaczyli się podobno między swymi znajomymi tem, że będąc zarażeni, a nie mogąc otrzymać urlopu z obozu, sami go sobie dali. Ogólnie też miano ich w gronie krakowskiej młodzieży powstańczej za wytlómaczonych, a mnie przesadzony przypisywano pedantyzm wojskowy. Przytaczam ten szczegół, jako charakteryzujący ówczesne wyobrażenia o karności wojskowej i wojskowym honorze. — Kiedym się zabierał opuszczać dworek w Markowicach, gdzieśmy byli przenocowali (ostatecznie sztab tylko w nim nocował), zabiegła mi drogę z płaczem zostawiona w tym dworku gospodyni, skarżąc się, że nie wie

jak się wytłómaczy przed nieobecnem państwem, bo odbito zrana szafkę kredensową i wszystkie srebra zabrano. Ponieważ już podczas marszu dnia poprzedniego z boleścią serca dostrzegałem bardzo luźne pomiędzy wielu powstańcami wyobrażenia co do granic przymusowego rekwirowania pierwszych potrzeb życia, a zupełnego nieszanowania cudzej własności, nakazałem więc teraz sztabsaudytorowi i kilku gwałtygierom natychmiastowe wzięcie pod wartę podejrzanego o ten gwałt porucznika od żuawów i najsurowsze śledztwo. Tu już nadmieniam, że się po kilku dniach poszukiwań dosyć uciążliwych, bo czynionych wśród ciągłych marszów i utrudnianych przez powszechne dla rabusiów pobłażanie, wykazało, iż ów oficer od żuawów stosunkowo najmniej był winien przed wewnętrznym trybunałem honoru. Przyszedł on był o świcie do dworu, żądając młynka czy piecyka od kawy; gospodyni odpowiedziała, że zamknięte w kredensie, a ona klucza nie ma; na to ów oficer wyłamał pałaszem drzwi od szafki i wziął młynek; różna zaś włócząca się bezustannie koło dworu i we dworze hałastrą powstańcza, ujrzawszy drzwi wyłamane i srebra w szafie, rozebrała je, pod pozorem, że ten potrzebuje łyżki, ów widelca i t. d. Istotnie winnych rabunku, ani też zabranych sreber odkryć jednak nie było podobna. — Skłoniłem jeszcze tegoż samego dnia dyktatora do wydania rozkazu dziennego, zapowiadającego karę śmierci na każdego, któryby się we własnym kraju na własnych ziomkach dopuścił rabunku przedmiotów nienależących do pożywienia. Żeby zaś tem bezwzględniej i słuszniej mózdz przeprowadzić tak surowe zagrożenie, skłoniłem jednocześnie Langiewicza, żeby pozwolił ogłosić wojsku, iż odtąd prości żołnierze stałą pobierać będą płacę; gdyż w istocie nieco za idealne było żądanie od mnóstwa zgłodzonych, zziębionych, po części obdartych biedaków, z jednej strony, żeby nigdy złamanego grosza nie dostawali, z drugiej żeby święcie szanowali cudzą własność. Ponieważ Langiewicz tych pieniędzy, które nosił z sobą, nie miał nawet sposobności na co wydać wśród marszów, nie można więc było ich właściwie użyć. Przedstawiła się trudność rozpłaty, przy braku srebra i drobnych; rozwiązałem ją, proponując, żeby naznaczyć płacę żołnierza (oficerowie i nadal mieli nic nie pobierać) po 20 gr. pols.

dziennie i żeby ich płacić dziesięciodniowo z góry; tym sposobem każdy dostawałby co dekadę okrągło rubla papierowego. Postanowienie to ogłoszone zostało w rozkazie dziennym zaraz tegoż samego, czy też następnego dnia; ale z samą wypłatą nie tak gładko poszło. Żeby ją móżdź skutecznie na ręce pułkowników, trzeba było naprzód wiedzieć dokładnie ilość ludzi w każdym pułku i oddziale. Zgłosiłem się natychmiast o taki najsumaryczniejszy choćby wykaz do pułkowników i dowódców; alem się przez parę dni doprosić nie mógł, bo żaden nie wiedział, zdaje się, dokładnej liczby swych ludzi, a wśród bezustannych marszów aż w późną noc do rachowania i spisywania nie wiele było czasu. Wreszcie w Chrobrzu powyduszałem od wszystkich karteczki z mniej lub więcej porządnym spisem ludzi. Zesumowawszy wszystko razem, okazało się, wedle podania pułkowników i dowódców, wszystkich prostych żołnierzy w całej armijce Langiewicza dwa tysiące dziewięćset kilkadziesiąt, czyli około 3.000. Polecilem intendentowi, ażeby owe dwa tysiące dziewięćset kilkadziesiąt rubli wziął od dyktatora i dowódcom powypłacał; ci mieli znów bezzwłocznie swoim ludziom wypłacić. Zdaje się, że nie wszystkim musiało czasu starczyć na tę dość prostą zresztą operacyę, bom się potem nieraz spotykał z powstańcami ówczesnej armii Langiewicza, którzy stanowczo twierdzili, że nigdy żadnego nie dostali żołdu; w innych znów pułkach lub batalionach dostali wszyscy po rublu, jak było na nich z kasy Langiewicza wypłacono.

Wracam teraz do przerwanej opowieści wymarszu z Markowic dnia 14. marca z rana. Około 9 z rana wyruszyła wreszcie cała nasza kolumna w kierunku zachodnio-północnym. Dyktator, nie czując się bezpiecznym w tej bezleśnej okolicy, miał zamiar przerzucić się w dosyć rozciągnięte lasy, ciągnące się na zachód szosy z Miechowa do Jędrzejowa. Punktem wytycznym obecnego naszego marszu był Xiąż Wielki, miasteczko położone przy rzecznej szosie. Maszerowaliśmy dzień cały wśród różnych drobnych, ale zajmujących epizodów, w które jednak nie sposób się dla braku czasu i miejsca wdawać, przez jakąś wieś Góry (ale nie Góry Jul. Dembińskiego, o których będzie mowa pod dniem 16. marca), Kalinę i inne z nazwiska

mi niepamiętne. Parę razy zatrzymaliśmy się śród drogi na kwadrans lub pół godziny dla wytchnienia żołnierzom, lub napojenia koni; gotować jednak wojsku nie dano (zresztą też kotłów nie było), robiąc mu nadzieję, że tam, gdzie na nocleg staniemy, będzie mogło zjeść co ciepłego. Słońce miało się już ku zachodowi, kiedyśmy docierać zaczęli w pobliżu szosy i Miechowa (od strony północnej); już się nawet zaczynał ów las rozciągnąć, przez szosę Miechowsko-Jędrzejowską przerznięty.

Do Xiąży Wielkiego jeszcze było daleko i widocznie mogliśmy dojechać tam, znów dopiero w ciemnej nocy. Pojawiło się też kilku okolicznych obywateli przywożących nam parę wozów upieczonego chleba i różnej żywności. Nadjechał także na bryczuszce zaufany szpieg wojskowy Langiewicza. Był to żyd cywilizowany, po niemiecku się noszący, o szpakowatych już włosach, z wyschłą śniadą twarzą i ruchawemi, ognistemi oczyma. Nosił za pasem pod surdudem dwie króćce. Podobno żadnej zapłaty od Langiewicza nie przyjmował i zdawał się mieć zupełne dyktatora zaufanie. Dyktator zawsze sam na sam z nim konferował. Był to może człowiek wielkiego poświęcenia; mnie jednak, który go bliżej nie znałem, wpadło na myśl po dniach kilku, czy to przypadkiem nie jest szpieg na dwie strony, jak się to często między szpiegami zdarza. Naprowadziła mnie na to podejrzenie okoliczność, że donosił zwykle Langiewiczowi o tem, o czem i bez tego mogliśmy się niebawem dowiedzieć; w innych zaś rzeczach niedokładnie albo mylnie objaśniał. Zjawiał się on każdego niemal wieczora na swej bryczuszce w naszym obozie i zabawiwszy czas niejaki u dyktatora, nocą wyjeżdżał. Teraz na polance w pobliżu lasu zaczęły się pogadanki i narady, do których i owi obywatele okoliczni i ów szpieg po części należeli. Cała kolumna marszowa stanęła, kawalerya z koni dla wypoczynku posiadała. Rozkładano na ziemi karty specjalne topograficzne, śledząc granic i połączenia owego kompleksu lasów, pytając o wodę dla koni itd. Ja głupi byłem na to wszystko; zrobiłem tylko uwagę, że na nic się nie zda włączyć do lasu, bo za dzień lub za dwa dla braku wody i żywności będzie trzeba z niego wyleść. Zresztą, wiedząc z wczorajszej praktyki, jak dalece w lesie ginie wszelka spójnia większego oddziału i wszelka możność

kierowania i komenderowania, tam, gdzie się tylko o kilka kroków widzi, miałem w ogóle wstręt do leśnej taktyki. Tymczasem słońce zaszło i trzeba było koniecznie co prędzej na cośkolwiekbażyć się zdecydować. Dyktator zdecydował się wreszcie, żeby zanocować tuż przy szosie, w lesie, u którego krawędzi staliśmy. Zlecił mi wyznaczyć i rozłożyć obóz, wyrażnie powtarzając, że chce przy samej szosie nocować. Poprosiłem *honoris causa* generała Waligórskiego, jako kwatermistrza generalnego i oboźnego, żeby ze mną ku szosie podjechał i wszystko rozporządził, ale przekonałem się, że poczciwy i zacny ten starzec wcale nie do tego. Powtarzał tylko, na koniu wśród lasu, stojąc u brzegu szosy: „No dobrze! dobrze! to zanocujmy tu“. Tymczasem nasza trzytysięczna armijka stała porozrzucana w polu i na drodze, czekając rozkazów i wskazania, gdzie, kto i jak ma się obozem rozłożyć. Połapawszy tedy różnych konnych gwałtygierów i adjutantów na pomocników, wytknąłem cztery linie w lesie, o dwadzieścia kroków od szosy, po wschodniej jej stronie, tuż przy karczmie szosowej Antolką zwanej, z frontem ku szosie zwróconym i na dwieście kroków długim. W najpierwszej linii od szosy miał stanąć pierwszy pułk piechoty, w drugiej drugi pułk, w trzeciej kawalerya, a w czwartej tabor wozów. Pomiedzy liniami zostawiłem odstępy 40 kroków. W karczmie samej oraz w domostwach naprzeciw niej, po drugiej stronie szosy rozrzuconych, miał się rozłożyć oddział żuawów. Zaczęły wreszcie pojedyncze oddziały zajmować wyznaczone sobie stanowiska, ale działo się już to o dobrym zmierzchu, a więc w wielkim nieporządku. Mianowicie wozy nie mogły się wśród drzew i zarośli, a przytem po ciemku, w ładzie i porządku ustawić. Wywracały się, łamały, przejście innym zawałając. Improwizowany nasz obóz był o ćwierć mili tylko od Miechowa, gdzie mocna stała załoga rosyjska, i tuż przy szosie z tego miasta prowadzącej. Kazałem więc jeszcze Rochebrunowi wystawić na samej szosie posterunek od strony miasta i drugi, od strony Jędrzejowa, któryby poczcie i podróżnym jadącym do Miechowa zawracać ku Jędrzejowu kazał, żeby się Moskałe w nocy o nas nie dowiedzieli i nie zaalarmowali w tak fatalnej leśnej pozycji. Prócz tego kazałem obsadzić boczną drogę, wiodącą na tyłach naszych przez las ku Miechowi, mocnym

oddziałem piechoty. Ciemno już było kiedy wreszcie ludzie zalegli obozem w lesie; ale że z powodu bliskości Moskali, dyktator surowo ogni palić zakazał, a w lesie było zimno i mokro, zgłodnieli, przeziębli i pomęczeni ludzie nieszczególny mieli wypoczynek. Dyktator a z nim duża część sztabu, udali się do przydrożnej karczmy Antolki; izba gościnną pełną była żuawów, spróbowaliśmy więc w przyległym ulokować się alkierzu, gdzie stało jedno łóżko, stół i stołek; słomy nie było, świeca jedyna już dogorywała, zaduch był straszliwy. Kiedy wreszcie świeczka zgasła, a Langiewicz zaczynał drzemać na łóżku, nie mogąc znaleźć w tej ciemnej i zaduszej dziurze żadnej znośnej pozycyi dla upadających ze znużenia członków, wróciłem do lasu i układałem się pod sosną w topniejącym śniegu.

Dnia 15. marca o świcie, kiedym zziębły i przemokły udał się do karczmy do dyktatora po rozkazy, Langiewicz nie był jeszcze zdecydowany, co robić, widoczną jednak było, że wypadało nam się coprędzej z naszej szczególnej pozycyi wynosić, bo Moskale zapewne się już przez noc o naszej bliskości dowiedzieli i gdyby nas nad ranem atakowali wszystko poszłoby w rozsypkę. Od myśli zapuszczenia się w lasy Xiaża Wielkiego dyktator odstąpił; postanowił wreszcie spiesznym marszem odsunąć się od niebezpiecznego Miechowa i podążyć ku lesistym i nieco wzgórkowatym okolicom za Nidą, czyli w Stopnickie. Przychodzącym do głównej kwatery dowódczom pojedynczych oddziałów, dowiadującym się, czy ludzie mogą zabierać się do gotowania, powiedział: »Ofiarowaliśmy Moskwie bitwę, stawiając jej się tuż pod nosem, zlekła się i nie przyjęła, więc pokazawszy, że się jej nie boimy, w inną ruszymy stronę i to natychmiast«. Ogni więc nie rozpalano i cały obóz zaczął gotować się do wymarszu. Jakoż około 8-mej z rana wyruszyliśmy napowrót na wschód, przez Tuchułów, ku Giebułtowi. Kiedyśmy około jedenastej z południa dochodzili już niemal do Giebułtowa, widząc w dole rozrzuconą wieś wśród rowów, ogrodów i parowów (Giebułtów leży bowiem w kotlinie, a mniej lub więcej strone, i mniej lub więcej bliskie wzgórza do około wsi panują), ludzie ze wsi ku nam drogą idący poczęli ostrzegać, że we wsi są Moskale i że strasznie tam gospodarują; coś bliższego od tak prostych i do widoku woj-

ska nienawykłych ludzi trudno się było dowiedzieć; odpowiadali na pytania o liczbę, że jest ich »chmara«, »straszna moc«, »wiele tysięcy«, »pieszo i na koniach«. Ponieważ kombinując różne Moskale stanowiska i ruchy ich dni ostatnich, nie można było przypuszczać, ażeby we wsi na uboczu położonej, wśród dróg popsutych, mogło co więcej być, jak rekonesansowa lekka kolumna z kilku kompanij i cośkolwiek kozaków; ponieważ dalej ludzie ode wsi przychodzący opowiadali jakieś dziwy o strasznym rozlewie krwi przez Moskale we wsi dokonanym, postanowił Langiewicz dalej ku Giebułtowi maszerować i przeważną swą siłą zgnieść lub przynajmniej wypędzić Moskale. Po takiej zapowiedzi wszystko jak dawniej ku Giebułtowi postępowało, to jest w kolumnie marszowej czyli kiszce rozciągniętej przeszło na wiorstę drogi, mającej dwóch lub trzech ludzi frontu, poprzecinanej taborem wozów, oddziałami jazdy i t. d. Przedstawiłem tedy dyktatorowi, że w takim marszowym szyku wieś atakując, na najniechybniejszą wystawiamy się porażkę, ile że przystęp do niej pełen zarośli, domostw, parowów, łatwo przez tyralierów nieprzyjacielskich mógł być broniony. »No, to wydaj odpowiednie rozporządzenia«, odparł dyktator. Zabrałem się tedy co tchu do ustawienia naszej armijki w szyk bojowy, odpowiadający położeniu i celowi. Na skrzydłach kazałem się kompaniom strzeleckim, rozsypanym w tyralierę, spuszczać ku wsi przez gorzące nad nią gaje i zarośla. Część piechoty w linię się rozwinęła, reszta miała z tyłu w kolumnach jako rezerwa postępować. Jazda i artylerya odpowiednie zajęła stanowiska, batalion kosynierów pozostał na straży przy taborze na naszych tyłach. Wszystkie szykowania szły dosyć oporem dla zupełnego prawie niewyćwiczenia żołnierza w obrotach i dla wielkiej niezaradności wyższych oficerów. Krzycząc w ten sposób przeszło pół godziny na silnym marcowym wietrze, a mając przytem z przebytej na zimnie i wilgoci nocy, płuca przeziębione, zupełnie w końcu zachryplem. Kiedy już wszystko było do ataku uszykowane i tyralierzy nasi ku wsi się spuszczały, inni ludzie ode wsi przybywający donieśli, że się Moskale drugim końcem z Giebułtowa wynoszą. Dyktator posłał natychmiast oddział ułanów, który zwracając się w bok i przez pola podążając, miał uchodzącym Moskałom odwrót odciąć a przy-

najmniej zakłócić, od frontu zaś oddział piechoty, z plutonem ułanów na przedzie, przyspieszonym krokiem do wsi wkroczał. Wszelako w bok posłany oddział jazdy nie mógł już zdążyć na odcięcie Moskali, gdyż byli już oni wyszli od półgodziny inną boczną drogą ku szosie Miechowsko-Jędrzejowskiej. Wpadłszy do wsi za naszym przodowym plutonem ułanów, postrzegłem ich krzątających się około kilku strasznie porąbanych ciał ludzkich; były to trupy kilku naszych ułanów i do niepozuania porąbane i spiekłą krwią okryte ciało wojażującego agenta broni, angielsko-polskiego żyda Funkensztejna. Rzecz z tymi porąbanymi ludźmi miała się jak następuje: Dnia poprzedniego, kiedyśmy ku Antolce maszerowali, przyprowadził dziedzic Giebułtowa, Bielski, swego młodego syna do Langiewicza, powierzając mu go jako ochotnika; a że młody Bielski zupełnie już był umontowany i uzbrojony, wcielono go zaraz do pułku ułanów. W kilka godzin po swoim wstąpieniu do powstańczego wojska, kiedyśmy się rozkładali obozem w lesie pod Antolką, młody Bielski wobec perspektywy zimnej, wilgotnej i niewygodnej nocy, prosił dowódcy szwadronu o urlop na całą noc do domu, do Giebułtowa. Dowódca szwadronu odmówił oczywiście, bośmy prawie w obliczu nieprzyjaciela nocowali. Wtedy młody Bielski, zaprosiwszy jeszcze kilku młodych ułanów na herbatę do domu rodziców, z ciemnej korzystając nocy, samowolnie z nimi do Giebułtowa pokłusował, odmowę rotmistrza za niesłychaną poczytując tyranją. Znalazł się także na herbacie w Giebułtowie wojażujący za bronią agent rządu narodowego, czy też prywatnych spekulantów, Funkenstein, żyd polski, w Anglii od dawna osiadły, i za angielskim jeżdżący paszportem. Tymczasem wysłana w ślady nasze z Miechowa mała kolumna rosyjska, pod dowództwem mego imiennika, rosyjskiego majora Bentkowskiego, złożona z dwóch rot, czyli dwóch kompanii piechoty i nieco kozaków, ścigając nas zdaleka dnia poprzedzającego, dowiedziała się pod wieczór, czy też w nocy, o obecności Frankensztejna i kilku zbrojnych powstańców w Giebułtowie; zjawili się więc tam nad ranem niespodzianie. Rozjuszony żołdactwo porąbało okropnie Fulkensztejna i owych kilku ułanów, tych ostatniach a śmierć; chciano i właścicieli dworu wymordować i dwór spalić, grożąc swemu własnemu

majorowi karabinami i w oczy mu przy ludziach wyrzucając, że musi być z buntownikami w porozumieniu, kiedy ich oszczędza. Młody Bielski uszedł śmierci, w kobiece ukrywając się suknie. Koniec końców kolumna ta, nie wiedząc nawet o naszym zbliżaniu się, a posłyszawszy, żeśmy w okolicy Miechowa nocować musieli, wyruszyła krótko przed naszym wejściem do Giebułtowa inną drogą z tej wsi ku szosie Miechowskiej. — Funkensztejn po opatrzeniu jego 25 ran, po większej części pałaszami w twarz i głowę zadanych, odesłany został do Krakowa. Widziałem go w parę miesięcy potem; był już prawie wygojony, przytem jako poddany angielski otrzymał od Moskali 10.000 funt. szterl. wynagrodzenia za swoje poturbowanie. — Po przebyciu Giebułtowa i wdrapaniu się na dość strome i dla naszych wozów zaledwie dostępne wzgórze przeciwne, pomaszzerowaliśmy dalej na Xiaż Mały ku Zaryszynowi. Już słońce zachodziło, kiedyśmy do wsi Zaryszyna przybyli. Dyktator postanowił tu zanoć, bo i konie i ludzie strasznie byli pomęczeni i głodni. Rozporządziwszy odpowiednie straże i posterunki w około wsi i obozu i zleciwszy generałowi dyżurnemu (Jeziorskiemu) dopilnowanie ich rozprowadzenia, udałem się z Langiewiczem do głównej kwatery we dworze. Liczna familia właściciela wsi na wpół była nam rada, na wpół strwożona losem, jaki ją czeka, kiedy za nami kozacy do wsi wpadną. Właściciel, żeby się zakryć wobec Moskali, prosił Langiewicza, żeby mu na piśmie zostawił rozkaz dostawy żywności i furazu dla powstańców pod karą śmierci; co też dyktator uczynił. Ja ledwo już głosu dobywałem z zaziębionych płuc i zupełnie ochryplego gardła; pojawiła się też i gorączka. Dyktator nie był jeszcze zdecydowany co do kierunku marszu dnia następnego; rozbieraliśmy i układali projekt niespodzianego napadu na Stopnicę, obsadzoną przez dwie tylko rosyjskie kompanie piechoty i szwadron dragonów, pod dowództwem majora Zwierowa*). Mocno popierałem ten projekt, żeby raz przecie zaprawić żołnierza

*) Czy też Gawryłowa. Ilek-oć więc później. mianowicie w opisie bitwy pod Grochowiskami, wymieniam nazwisko komendanta załogi Stobnickiej, wypada powtarzać sobie w myśli niniejsze zastrzeżenie, bo nie pamiętam już, które z tych dwóch nazwisk należało mu się.

młodego do zaczepnego boju i walki w otwartem polu; przy tem prawdopodobne nasze zwycięstwo przy tak znacznie przemagających siłach podniosłoby wyczerpującego się i upadającego nieco ducha żołnierza i stłumiłoby corazto bardziej i głośniej nurtujące w obozie intrygi i narzekania licznych zwolenników Mierosławskiego, a niechętnych Langiewiczowi. Projekt ten jednak spełził na niczem, w dużej części wskutek wypadków dni następnych.

Dnia 16. marca o świcie dał dyktator rozkaz, żeby wszystko gotowało się do wymarszu. Zanim się różne nasze oddziały z kwater powyбираły, z posterunków pościagały i w marszową ustawiły kolumnę, zeszło parę godzin. Przez ten czas Langiewicz przemyślał sam w sobie, jak to najczęściej czynił, bo mało był w wojskowych rzeczach udzielać się, lub też naradzał się tylko z tymi, co goo taczali, dokądby maszerować. Stało wreszcie, że pociągniemy dnia tego aż do Zawoszy, miejsca podobno w lesistem i górzystem położeniu, a więc obronnego, że tam w bezpieczeństwie wypoczniemy, uporządkujemy i podćwiczymy zlurowane nasze wojsko, nie wyrzekając się w zupełności zamierzonej wczoraj na Stopnicę wyprawy, która i z Zaworzy da się uskutecznić. Czy Zaworza leży z lewej czy z prawej jeszcze strony Nidy, tego już dziś nie pamiętam. Kiedym zrobił uwagę, że do Zaworzy jest blisko 4 mil drogi i że, doświadczeniem dni poprzednich nauczeni, powinniśmy krótszy marsz sobie naznaczyć, żeby raz przecie nie pociemku wkraczać do stanowiska noclegowego, odpowiedział Langiewicz, że powstańcy powinni i ośm mil dziennie robić, kiedy potrzeba. Zostało więc przy Zaworzy, jako punkcie wytycznym dzisiejszego naszego marszu. Wytknąwszy odpowiednią marszrutę na Przesławkę, Góry (Jul. Dembińskiego), Młodzawy i t. d. i zakomunikowawszy ją generałowi dyżurnemu i pułkownikom, kazał wyruszyć około 8 lub 9 z rana z Zaryszyna. Rochebrune'owi, który jedyny z pomiędzy pułkowników szedł wciąż pieszo, nie mogąc konia dostać, pożyczyłem aż do chwili, gdzieby mu skarbowego dano konia, jednego z moich dwóch wierzchowców; mego zaś konia jucznego, który miał dźwigać w skórzanych jukach papiery sztabowe, mapy i najpotrzebniejsze mi podręczne bagaże, darowałem jednemu z pieszo chodzących adjutantów gen. Jeziorańskiego, ponie-

waż nie było już tak rychłego widoku, żeby mi Chrzanowski mógł przysłać z Krakowa przyobiecane na tego konia skórzane juki. Niedaleko Przesławki, około 10 z rana, połączył się z nami przybywający z Krakowa agent wojskowy Langiewicza, kapitan Gierzkowski i przyprowadził ze sobą kilkunastu zupełnie umontowanych i uzbrojonych konnych ochotników, jakoteż kilka wozów z różnemi wojennymi potrzebami i zapasami. Błądził on przez dwa dni za nami, wyslizgując się koząkom, wreszcie trafił do nas. Bezpośrednio po przybyciu Gierzkowskiego odezwał się Langiewicz do nas kilku, jadących właśnie koło niego, że odebrał (nie wiem czy przez Gierzkowskiego, czy inną drogą) zawiadomienie od policji narodowej z Warszawy, iż niebawem mają przybyć do jego obozu dwie agentki rosyjskie z Warszawy (nazwisk już nie pomnę) w celu zabicia go, czy też otrucia, że mu nawet przysłano ich rysopis i fotografie. W kwadrans może potem dano znać, że przybywa od strony Krakowa (być może zresztą, iż przybyła jednocześnie z kolumną Gierzkowskiego) bryczka z dwoma młodemi, po męsku przebranemi kobietami, które zmierzały do nas. Po przekonaniu się z fotografii, że to były właśnie owe dwie, przez policją narodową zapowiedziane damy, Langiewicz polecił je aresztować i zrewidować najściślej przez doktora i jakąś wiejską kobietę. Rewizya odbyła się w przydrożnej chałupie. Doktor zaraportował, że nic zgoła podejrzanego u tych dwóch pań nie znaleziono, chyba to, że jedna z nich miała białe upławy, czy też była zarażona, sam już dobrze nie pamiętam. Co się z niemi potem stało nie wiem; to tylko pamiętam, że na najbliższym noclegu w Chrobrzu uwijały się one po męsku ubrane wśród adjutantów i sztabu, po pokoju dyktatora, pijąc wino i herbatę. Były to młode i niebrzydkie kobiety. Kiedyśmy około południa dochodzili do Gór (majątku Juliusza Dembińskiego, synowca generała Henryka Dembińskiego, gdzie później znalazł śmierć Bończa) zjawił się skądś na bryczce doktor Łukaszewski, Poznańczyk, znany mi z Berlina jako żarliwy członek ruchu. Przywoził on różne listy Langiewiczowi, mianowicie list Bakunina do dyktatora. Żeby się spokojniej z Łukaszewskim rozmówić, pokłusował Langiewicz, a z nim sztab ku wsi i wyprzedzając nieco czoło rozciągłej bardzo naszej kolumny,

która z półgodziny albo i więcej potrzebowałaby do przeciągnięcia przez wieś, zatrzymał się na trawniku przed pałacem i zsiadł z konia. Zsiadliśmy także. Niebawem wyszła z pałacu jakaś gospodyni (sami właściciele w Krakowie przebywali podówczas), zapraszając dyktatora na śniadanie do pałacu. Kiedy jednak Langiewicz oświadczył, że do pałacu nie wnijdzie (zapewne żeby nie wzniecać zazdrości i nieukontentowania w przeciągających mimo pałacu głodnych i zmęczonych powstańcach i nie dawać innym pochopu do zatrzymywania się podobnie i wchodzenia do pałacu, co, jak doświadczenie uczyło, prowadziło często do nieprzyzwoitych scen zabierania różnych drobiazgów z tytułu niby rekwizycyi i potrzeby żołnierskiej) — wyniosła też gospodyni na przedpałacowy trawnik stoliczek, parę krzeseł i parę butelek starego węgryzyna. Tymczasem zwiększało się około Langiewicza grono różnych dowódców i oficerów, którzy puszczając dalej swe oddziały, chwilę się przy nim zatrzymywali. Langiewicz wziął kilka z dopieroco odebranych od doktora Łukaszewskiego papierów i podając mi je rzekł: »Zobacz też szef, co mi tam piszą?« Jednym z tych papierów był niewyraźnie nabazgrany francuski list Bakunina, zachęcający dyktatora do utworzenia legionu rosyjskich ochotników. Ale w miarę przeciągania powstańców koło pałacu mnożyły się usiłowania, żeby wejść do niego pod pozorem wyszukania pożądanego posiłku dla ludzi i furazu dla koni. Dla zapobieżenia łatwo przewidzianym skutkom, ile że przechodzący żołnierze i wielu oficerów szermowali w głos, iż Dembiński jest Moskał, Austryyak, zdrajca (ma on jakąś Wielopolską za żonę), po co więc go oszczędzać i t. d., wkwaterował się intendent generalny, p. Tomasz, sam do dolnej sali pałacu i postawiwszy u drzwi warty, zamknął się wewnątrz i tam porządkowo rozpisywał rekwizycyą furazę, chleba i t. p. Po upływie godziny, kiedy już prawie koniec naszej kolumny koło owego trawnika przeciągał, nastąpiły z wnętrza mieszkania znowu jakieś zaprosiny na zgotowany tymczasem obiad czy też ciepłe śniadanie. Langiewicz rzekł wtedy: »Wszyscy naraz się tam nie zmieścimy: pójdę więc teraz z połową posilić się, a potem zluzuje nas druga połowa«. Kiedy wzywał mnie, żeby iść z nim, nie chcąc wojska wciąż dalej maszerującego pozosta-

wiać bez nikogo starszego, odpowiedziałem, że wolę zaczekać, aż on się posili i do kolumny powróci. Zostałem więc z kilku innymi oficerami na trawniku. Tymczasem godziny upływały i już wreszcie cała nasza kolumna taboru, wozów nie wyjmując, powoli przez wieś była przeciągnęła. Niespokojny o nią w nieznanej mi otwartej okolicy i chwilowo prawie bez dowódców, a nie mogąc się doczekać wyjścia dyktatora i tych, co z nimi byli, z pałacu, lubo strasznie głodny wsiadłem na koń, pogalopowałem za kolumną. Przebiegając ją od końca aż do czoła, nader przykrego doznałem wrażenia. Kolumna ciągnęła się w otwartem zewsząd polu, przynajmniej z jakie pół mili; jeden oddział stawał i spoczywał, drugi szedł dalej; pomiędzy jednym a drugim bywały czasem odstępy na pół wiorsty; wyższych oficerów prawie wcale przy wojsku nie było; żołnierze i niżsi oficerowie w głos szemrali i przeklinali; strofowałem i uspakałem, jak mogłem. Przybywszy do czoła kolumny i ukołwwszy tam gwałtowną scenę, gdzie żuawi powiesić chcieli przytrzymanego na bryczce jakiegoś rządcę dóbr Wielopolskiego, pod pozorem, że to musi być szpieg (oddałem go pod straż zlecając audytorowi zbadanie rzeczy), kazałem się czołu zatrzymać, jużto dla wypoczynku ludziom, jużto żeby dać się kolumnie połączyć i doczekać się powrotu Langiewicza i wyższych oficerów. Po kłusowałem znów ku końcowi kolumny, ale dyktatora nie było jeszcze widać, pojedynczy tylko oficerowie i jeźdźcy nadciągali galopem od Gór, jak się zdawało, dobrze podołoceni i wioząc se sobą po parę butelek wina. Wróciłem napowrót ku czołu i dalej maszerować kazałem. Tymczasem słońce miało się już ku zachodowi. Kiedy u czoła kolumny postępując, dochodziłem do najbliższej wsi na naszej drodze (zdaje mi się, że to była Młodzowa, ale z pewnością nie pamiętam) słońce już było zaszło. Do Zaworzy bardzo jeszcze było daleko i oczywiście nie zdążylibyśmy już tam tego wieczora, w części dla pomęczenia i głodu ludzi, którzy wciąż tylko suchy chleb pogryzali, w części, że maszerując pociemku na nieznanych bocznych drogach, nadzwyczaj powoli się postępuje. Kazałem więc czołu kolumny zatrzymać się u wnijscia do wsi, jednego z adjutantów wysłałem ku końcowi kolumny, żeby zobaczył, czy dyktator już nie nadjechał z generałami, sam zaś z kilku ułanami

i oficerami wjechałem do wsi, żeby się rozpatrzyć, czyby w niej nie można było bezpiecznie z wojskiem zanoć. Ale pozycja była najniekorzystniejsza na obóz powstańcy w pobliżu nieprzyjaciela. Wieś leżała w parowie, do koła lekkie wyniesienia całkiem odkryte; nigdzie lasu, ani gaju, żeby w razie napadu i prawdopodobnego popłochu, schronić się i rozprószonych zebrać. Wysłałem więc drugiego adjutanta ku dyktatorowi, żeby mu objawił moje zdanie i prosił o decyzję i kazałem części kolumny przebyć wieś i po drugiej jej stronie na drodze się zatrzymać. Podczas przeciągania wojska przez wieś zsiadłem sam na chwilę z konia dla odpoczynku przy przydrożnym kościele, gdzie się też dosyć włościan miejscowych, kobiet i dzieci było zgromadziło, z ciekawością, niedowierzaniem i strachem patrząc na przeciągające hufce powstańców, których jeszcze nie widzieli. Młodzi chłopcy wcale się nie pokazywali, starzy z pokorą trzymali zdjęte czapki; dzieci strachały się zrazu i uciekały, ale je udobruchałem; najśmielsze, najrezolucyjniejsze i widocznie najprzychylniejsze były wiejskie kobiety. Wieś ta należała do klucza Wielopolskiego. Znalazł się też przy mnie niebawem jeden z kapelanów naszych, kapucyn zdaje mi się Konarski, czy coś podobnego; ten sam którego Moskale później w Warszawie powiesili) i zaczął gorąco do wiejskiego ludu perorować, krucyfixem wywijając; niestety! widocznie był sobie za dużo poprzednio z manierki pociągnął. Na różne jego zapytania i wykrzykniki do ludu, czy chcą umierać za ojczyznę, że pan ich (Wielopolski) jest zdrajca, że Moskale trzeba wypędzić i t. d., starzy chłopcy, kłaniając się czapkami do kolan i drapiąc w głowę, odpowiadali: »Alboż my to wiemy, Dobrodzieju, co prawda i co robić trzeba; jedni nam gadają tak, inni znowu inac; my prosimy ludzie i na tem się nie rozumiemy«. Nadjechał wreszcie dyktator z generałami i sztabem; potwierdził zdanie moje, że tu nocować nie podobna. Rozpytawszy się o dalszą drogę i wsie okoliczne, wyszukawszy dobrych przewodników do nocnego marszu, uradziliśmy, że dociągniemy tego wieczora do innej wielkiej wsi Wielopolskiego (zdaje mi się Wojsławice, Wojnowice, czy coś podobnego), która tylko trzy ćwierci mili miała być odległą, w wodę opatrzoną i mogącą mniej więcej cały nasz oddział od biedy pomieścić.

Dyktator udał się z przewodnikami do czoła kolumny, żeby ją w marsz poruszyć; ja zostałem w środku, żeby dojrzeć krytycznego zawsze przemarszu przez wieś i przeszkodzić rozłażeniu się kolumny po wsi za żywnością i napitkiem, oraz możliwym nadużyciom. W ciągą dalszego marszu pozostałem w środku kolumny, czasem ku jej końcowi dojeżdżając. W ciągu marszu dowiedziałem się z opowiadań pana Tomasza i innych, co byli w pałacu w Górach pozostali, że dosyć tam wina przy obiedzie wypito i że się w końcu wkradło nieco nieporządku, tak, że różni oficerowie i powstańcy całą bardzo doborową piwnicę Dembińskiego rozebrali, a nawet pounosili ze sobą kilka drobnych upominków z pałacu. Ci co się najbardziej do potrzeby jakiejś wymówki poczuli, opowiadali z oburzeniem, jakito niegodziwy Polak ten Dembiński, kiedy nawet w sieni swego pałacu umieścił na kamieniu złotego rosyjskiego czy austriackiego orła dwugłowego. (Było wielki filtr kamienny, noszący na jednej ze sztuk swoich złocisty znaczek fabryczny z orzełkiem dwugłowym, zapewne austriackim). Umyślnie całą tę, podrzędną zreszto scenę w Górach tak obszernie opowiedziałem, gdyż nieraz później zdarzyło mi się słyszeć w Krakowie niechętnie opowiadania, jużto od Mierosławczyków, jużto od spokrewnionej lub zaprzyjaźnionej z Dembińskim arystokracji pochodzące, jakoby oprócz całej piwnicy, którą wypróżnili powstańcy, zabrano także dla dyktatora z pałacu jakąś drogocenną wykładaną szkatułkę pamiątkową, familijną. Jestto fałsz wierutny, o ile dyktatora tyczy, lubo być może, iż ktoś z powstańców, albo nawet ktoś z domowej służby, korzystając z wirwaru, podobną kasetkę, ma się rozumieć próżną, wyniósł. Piwnicy całej także owych kilkudziesięciu, a choćby więcej gości improwizowanych wypróżnić nie mogło: zapewne tylko starsze wina rozebrali lub wypili. Marsz nasz wieczorny trwał bardzo długo; owe zapowiadane trzy ćwierci mili przez kilka godzin skończyć się nie chciały. Wreszcie około godziny 10 z wieczora, postrzegając w ciemności drzewa, wieś zapowiadające, pojechałem ku czołu do dyktatora. Kiedyśmy przede dworem, gdzie miała być główna kwatera, z koni zsiadali, uderzyła mnie pałacowa wspaniałość tego wiejskiego dworu i jego otoczenia. Wyraziłem moje zdziwienie, ile że nam opisywano parę godzin

temu dwór w Wojsławicach (czy coś podobnego) jako stary i ciasny budynek. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że zsiadamy z koni i nocować z wojskiem będziemy nie w Wojsławicach, jak było zamierzono, ale w Chrobrzu, głównej rezydencji majorackich dóbr margrabi Wielopolskiego. Langiewicz powiedział mi, że z rozmowy z przewodnikiem naszym wyrozumiał w ciągu marszu, iż wprawdzie nieco dalej do Chrobrza, ale za to wieś duża, zamożna, w wodę obfitująca i całą naszą armijkę pod dachami i strzechami pomieścić mogąca, że się więc zdecydował zboczyć do Chrobrza. Zarządziwszy rozstawienie mocnych posterunków u głównych wnijsć do wsi, zaczęliśmy się lokować w naszej kwaterze. Wyszedł z pałacu naprzeciw nam marszałek dworu, czy też burgrabia pałacowy i zapytał, gdzie życzymy sobie przemocować. Langiewicz zażądał pokazania całego wnętrza pałacu; marszałek więc nas oprowadzał po wszystkich apartamentach parteru i pierwszego piętra. Ujrawszy, że pierwsze piętro same paradne obejmuje pokoje z kosztownymi meblami, zwierciadłami i obrazami, a wiedząc, jak powstańczy kwaterunek takie rzeczy bez potrzeby niszczy (ile, że w tym przypadku wszystko to była Wielopolskiego własnością), namówiłem dyktatora, żeby kazał burgrabiemu szczerze pierwsze piętro zamknąć i nikomu kluczy nie dawać, my zaś żebyśmy się rozlokowali w dostatecznie wygodnych i obszernych dolnych apartamentach. Były to zwykle mieszkalne pokoje Wielopolskiego i jego rodziny; przytem w jednym skrzydle pałacu mieściła się kosztowna biblioteka Chrobberska po Konstantym Świdzińskim. Langiewicz obrał sobie obszerny pokój samego margrabi, naznaczając mi przytykającą doń sypialnię, żeby mnie każdej chwili mieć pod ręką. Reszta generałów, adjutantów rozlokowała się, jak mogła; w pokoju prowadzącym do biblioteki prosiłem, żeby się ulokowali adjutant mój Borzysławski i starszy brat jego, chciałem bowiem widzieć tę kosztowną bibliotekę zabezpieczoną od możliwych fantazyj i niepotrzebnych wizyt. Jakoż uszła ona, niepostrzeżona prawie przez nikogo. Burgrabia przyniósł kilka butelek starego wina na rozgrzanie, kazał herbaty zgotować (kucharz i reszta służby uciekła była w chwili naszego wkraczania do wsi); wnet napełniły się pokoje dyktatora adjutantami, dowódcami ziębłymi cie-

kawymi. Wojsko tymczasem do wsi wchodziło i lokowało się wedle możliwości. Co chwila jacyś amatorzy zgłaszali się, żeby ich w onych apartamentach pierwszego piętra ulokować; ale dyktator stale wzbraniał. Dopiero kiedy wpadli do głównej kwatery lekarze nasi, żaląc się, że nie mają gdzie we wsi rannych i chorych ulokować, a tu paradne pokoje zdrajcy pustkami stoją, trudno było nie zrobić tego wyjątku. Wkwaterował się więc lazaret do salonów pierwszego piętra, a pod jego osłoną mnóstwo innej wiary, o ile kto do pałacu trafił i miejsca tam znalazł. Co i jak się tam działo, nie wiem, bom nie miał serca już tam zaglądać. Około północy poukładaliśmy się do snu; jam wszelako oka nie zmróżył pomimo ogromnego znużenia, bom całą noc ciężko kaszlał, gorączka się wzmagala i wcale już prawie głosu z gardła dobywać nie mogłem. Burgrabia zgotował mi jakieś ziółka i starannie po kilkakroć wśród nocy do łóżka przynosił.

Dnia 17. marca zrana oświadczył mi dyktator, że chce tutaj w Chrobrzu parę dni zabawić, żeby się ludzie i konie mogli gruntownie wywczasować, odpocząć, najęść, wreszcie podćwiczyć nieco i lepiej zorganizować. Pytałem, jak ta wieś położona, jakie ma okolice, przystępy, oparcia, linie odwrotu; nikt jednak z generałów i oficerów w głównej kwaterze obecnych nie umiał mi odpowiedzieć, żaden bowiem tej wsi z dawniejszych nie znał czasów, a teraz jeszcze nie oglądał; Langiewicz rzekł: „Zobaczmy to w ciągu dnia“. Niepokojony tą niejasnością chwilowego naszego położenia, wyszedłem sam pieszo na wieś (jedynego mego konia męczyć nie chciałem), obszedłem ją wskrós, potem do okola i rozpatrzyłem się w okolicy. Wieś Chroberz leżała rozrzucona na poprzerywanym nieco rowami i naturalnemi falistościami ziemi gruncie, tuż przy korycie rzeki Nidy, na prawym jej brzegu; ze środka wsi szła dosyć szeroka droga i przekraczając Nidę na połowym moście drewnianym, 150 kroków długim, biegła na lewym brzegu przez pole otwarte, gubiąc się w oddali. W bliskości rzeki i mostu stał na wzgórzu kościół murywany wśród cmentarza, mocnym murem z kamienia obwiedzionego. Pałac i należące doń oficyny, stajnie i t. d. stały u samego północno-zachodniego końca wsi, w pobliżu bitej drogi do Pinczowa, tuż przy otwartem polu i nie przedstawiały za-

dnej pozycyi obronnej; nieco w tył za pałacem, ku wsi biegił przez wieś, przecinając ją niejako na dwie części, na jądro do Nidy należące i na półksiężycowy, okalający je wycinek, rów czy parów, na wpół mokry, tu i owdzie sztachetami lub palisadą opatrzony; prowadziło przez ten rów parę mostków, zamykanych sztachetowemi wrotami. Okolica wsi była lekko urozmaicona falistością gruntu, ale w ogóle odkryta; lasu ani gaju w bliskości widać nie było. Po dwugodzinnym takim rekonesansie, wróciłem do głównej kwatery, opowiedziałem dyktatorowi moje postrzeżenia, dodając uwagę, że gdyby nas w tej pozycyi zaatakowano, w fatalnem byłoby położeniu, główną linią odwrotu mając przez ciasny most na rzece; wewnętrzna część wsi, po za rowem, dałaby się wprawdzie czas niejaki trzymać, dopóki artylerya nieprzyjacielska wsi nie zapaliła; natomiast zewnętrzna część wsi jest prawie nieobronna i główna kwatera zupełnie wystawiona na nocny napad kilkunastu rezolutnych kozaków, którzyby bez trudności dyktatora porwać mogli, zanimby wystąpiła po nocy jakaś obrona. Langiewicz odpowiedział, że zobaczy, że to przesadzone obawy i t. d. Resztę przedpołudnia strawiłem na załatwieniu różnych piśmiennych robót głównego sztabu, które przez kilka dni, dla ciągłych za dnia marszów, pauzować musiały. Około 1-szej z południa zaczęto się krzątać w głównej kwaterze, około lekkiego obiadu, który szedł jednak bardzo oporem, bo mnóstwo było konkurentów, a wiktuałów świeżych nie było wiele i nie miał kto w pałacu gotować. Część nas była właśnie przy rosole, kiedy przyleciał swoją bryczuszką ów tajny agent i szpieg Langiewicza, przywożąc wiadomość, że wieść o noclegu w Chrobrzu doszła już do Pinczowa i że znajdujące się tam wojsko rosyjskie wyrusza z Pinczowa, żeby nas w Chrobrzu zaatakować. O sile tego wojska widocznie bardzo niedokładne robił ten agent podania, jak to się zwykle niewprawnym w ocenianiu liczby wojska zdarza. Moskale mieli iść na nas szosa, po prawej stronie rzeki Nidy idącą. Langiewicz zbył zrazu tę wiadomość (może dla niewzniesienia popłochu wśród obecnych) kilku wykrzyknikami tego rodzaju jak: »No niech przyjdą; i owszem; to im damy odprawę, jak należy«; albo: »Alboby oni śmieli nas tu atakować?« albo: »Ja wiem lepiej, że ich tam nad kilka rot być nie może«. Śród ogół-

nego wirwaru i dalej trwającego obozowego obiadu nie sposób mi było żadnej bardziej szczegółowej wydobyć dyspozycji od dyktatora. Powiedziałem więc tylko generałowi dyżurowemu, iżby ustnie różnych dowódców uprzedził, przedwczesnego nie roznosząc popłochu, żeby oddziały były gotowe stanąć na pierwszy znak pod bronią; komendantowi zaś głównej kwatery poleciłem wzmocnić posterunek przed pałacem od strony pola i drogi Pinczowskiej. Nie minęło może jak półgodziny, kiedy szybkim pędem zajechała przed pałac inna bryczka; wysiadły z niej dwie damy. Jedna z nich, pani Deskur, kulawa, przywoziła dla dyktatora jakieś papiery i pieniądze. Langiewicz przerywając obiad usunął się z temi damami na konferencyą do mojej kwatery, to jest do małego sypialnego pokoju magrabi: ponieważ mnie nie wezwał, zostałem więc razem z innymi w głównym Langiewiczza pokoju. Po niejakiem czasie przywoławszy mnie, powiedział, że panie te jadą od Pinczowa i wyminęły na szosie długą kolumnę piechoty rosyjskiej i kozaków, ku nam ciągnących; że ledwo im ujść zdołały; że trzeba wydać natychmiast wojsku rozkaz gotowości do wymarszu. W którą stronę mamy się cofać, jeszcze nie był zdecydowany; nie sposób zresztą było bliżej o tem z nim na razie mówić, bo konferencya z damami dalej trwała i liczono jakieś pieniądze, zdaje się srebrną i zdawkową monetę, w kilku workach przez te damy przywieziona. Wydałem natychmiast odpowiednie rozkazy. Wróciwszy do dyktatora, pytałem znow o kierunek marszu i dalsze dyspozycje. Poradziwszy się map szczegółowych, rzekł wreszcie, że obierzemy nocleg w Grochowiskach, wsi położonej nie bardzo daleko, z lewej strony Nidy, w lesistej i mocnej pozycji. Tymczasem pojedyncze oddziały występowały już we wsi z kwater swoich pod broń, kolbaczone konie, zaprzęgano wozy; jednocześnie przychodziły od czasu do czasu wiadomości, przynieszone przez chłopów lub podróżnych, że Moskale coraz bardziej zbliżają się szosą i już tylko na trzy ćwierci mili od Chrobrza są oddaleni. (Pinczów oddalony jest od Chrobrza na dwie do trzech mil) Kiedyśmy już byli prawie na wsiadaniu na koń, rzekł mi Langiewicz: »Szefie, oglądałeś wieś i znasz dobrze jej pozycyą, będziesz więc wsi bronił póki się przez most nie przeprawimy«. Na moję objekcyą, że zupełnie będąc głosu po-

zbawiony (w istocie już tylko z biedą szeptać mogłem) komenderować nie mogę, odparł dyktator: »Cóż robić, kiedy nikt inny pozycyi nie zna«. Uległem przed takim argumentem, radząc sobie potem w ten sposób, że moim adjutantem wyszeptywał rozkazy, a oni je w głoś powtarzali. Wreszcie między 2-gą a 3-cią z południa przerwał dyktator konferencyą z przybyłemi damami, wszystko siadło na koń i powoli ku mostowi ruszyło. Wskazawszy porządek maszerującej kolumny generałowi dyżurnemu, przeprowadzenie onegoż, mianowicie przy trudnym nieco przez most przemarszu, jemu zleciłem, zatrzymując przy sobie batalion piechoty (kosynierów z trochą strzelców), oddział żuawów Rochebruna, pluton saperów i pół plutona ułanów. Kiedyśmy już na koniach przed pałacem siedzieli, zaszły dwa podrzędne epizody, o których mi jednak uczynić wzmiankę wypada. Wiedziałem, że wyprózniono w pałacu piwnicę i porobierano sobie broń myśliwską i zbytkową, garderobę margrabiego, różne drobne retenta (biblioteka pozostała nieknięta) i konie zbytkowe ze stajni; ale że to wszystko były artykuły mniej więcej bezpośrednio powstańcom przydać się mogące, przynikałem więc oczy na te nieprawidłowości. Zdziwiło mnie jednak i obruszyło niepomału, kiedy siedząc już na koniu przed pałacem, usłyszałem, jak intendent generalny p. Tomasz, dawał rozkaz zabierania z pałacu obrazów i przedmiotów sztuki (jak n. p. marmurowych posążków, popiersi i t. d.) i pakowania ich co prędzej na stojące przed pałacem wozy. Wyraziłem mu moje zdziwienie i opozycyą. Odparł, że poco oszczędzać takiego gałgana i zdrajcę, ile że będzie można założyć w Krakowie, z zabranych tym sposobem przedmiotów, muzeum narodowe. Zaaapelowałem do stojącego opodal dyktatora, przedstawiając gorąco, że jeżeli Wielopolski zdrajca, to starać się go dostać i śmiercią ukarać; ale dopuszczać się na jego obrazach i posągach nie tylko już nie rabunku, ale po prostu wandalizmu, gdyż to wszystko potłucze się i poginie, zanim cośkolwiek do Krakowa odesłać zdołamy, — jestto rozmyślnie ściągać i na dyktatora i na wojsko powstańcze, najniepotrzebniejszą zakałę. Langiewicz zgodził się w końcu na moje racye i zaboru przedmiotów sztuki zakazał. Ocalały więc one, a wywarto nienawiść do Wielopolskiego tylko na ustawionych przed pałacem posą-

gach zwierząt, którym łby pootłukano. Kiedym po tej scenie podjechał na chwilę ku oficynom i prowentowi, gdzie stał pod bronią już oddział żuawów, przypadła do mnie jakaś kobieta rozczochrana z dwojgiem dzieci w koszulkach, lamentując, że wszystko jej zrabowano i z wszystkiego ją i dzieci obdarto. Była to żona propinatora, ekonoma czy też pisarza prowentowego. Oburzony podwójnie (gdyż ci, co w tej chwili rabowali, dopuszczali się także opuszczania stojących już pod bronią szeregow), poleciłem pikiecie żuawów przeszukać dom, rabusiów aresztować i oddać ich audytorowi i gwałtygierom do dyspozycji, kobiecie zaś zabrane retenta powrócić. Posłana pikietą wyprowadziła niebawem pod strażą z owego domu dwóch młodych rabusiów, którzy nawet poduszki pruli i wysypując pierze na korytarz, poszewki zabierali. Jednym z nich był żuaw, drugim młodziutki jakiś i ładny powstaniec w krakusce z orzełkiem. Kolumna nasza ruszyła wreszcie w marsz, dyktator pokłusował ze sztabem ku mostowi, a ja zostawszy we wsi, w następujący sposób rozdysponowałem siłami, którem przy sobie zatrzymał: Zachowawszy dwóch ułanów na posyłki, wysłałem resztę półplutona naprzeciw idącemu ku nam nieprzyjacielowi z poleceniem, żeby dotarli o ile się da najbliżej do niego, tak iżby z parą strażów z kozakami zamienili i przynieśli mi wiadomość, którędy, w jakiej sile nieprzyjaciel postępuje i jak daleko jest jeszcze ode wsi. Rochebrunowi poleciłem, żeby rozsypał cokolwiek tyralierów w okolicy pałacu i na zewnętrznym brzegu wsi od strony drogi Pinczowskiej, główną zaś siłą, żeby obsadził ów obronny rów, przez środek wsi w półksiężycyca biegnący (*D. D. D.*), tak ażeby z godzinę mógł przystępu do wnętrza wsi bronić. Batalion piechoty postawiłem w odwodzie na cmentarzu kościelnym (*B*), polecając dowódcy ażeby się na nim obronno usadowił i dalszych moich czekał rozkazów. Plutonowi saperów, opatrzonych w topory, kazałem się jeszcze zaopatrzyć w słomę i nieco smoły, jeśli ją gdzie znajdą i stanąć tuż przy moście (*C*), gdzie mają na dalsze czekać rozkazy. Po jakimś czasie objechałem te różne posterunki i z radością się przekonałem, że Rochebrune i jego oficerowie poczynili dyspozycje najodpowiedniejsze i że żuawów najlepszy duch ożywił. Oprócz obsadzenia rowu, palisad i przesmyków, pourządzali sobie

w mgnieniu oka wedle wszelkich wskazówek sztuki, doskonałe blokhausy z kilku chałup i stodoł, wyrzynając w nich strzelnice i t. d. Cała ludność wsi, widząc, na co się zanosi, puciekała w pola, wyprowadzając za sobą bydło i dobytek. Niezadługo nadbiegli też, co koń wyskoczy, owi wysłani przezemnie na zwiady ułani, wołając, że kozacy już idą. Niczego bliższego od nich dowiedzieć się nie było można; zdaje się, że zobaczywszy z dala kozaków, co prędzej nawrócili. Kiedy mi od tyłu zaraportowano, że już koniec naszej głównej kolumny most przechodzi, kazałem Rochebrunowi ściągnąć zewnętrznych tyralierów i na wewnętrznej ograniczyć się linii przy rowie *D. D. D.*, kapitana zaś Borzysławskiego posłałem na cmentarz z rozkazem do dowódcy batalionu, żeby się cofnął przez most na lewy brzeg Nidy i mocną u tamtego brzegu zajął pozycją aż do mego nadejścia. Jakież było moje zdziwienie i oburzenie, kiedy po niejakiem czasie wrócił adjutant mój z raportem, że rozkazu nie sprawił, bo nikogo już nie ma na cmentarzu ani we wsi. Później dopiero otrzymałem rozwiązanie tej zagadki. Ów postawiony przezemnie na cmentarzu dowódzca z batalionem piechoty, który miał mi służyć za rezerwę i na którego w razie zaatakowania mnie we wsi, rachowałem najmocniej, stosownie do tego cały plan obrony sobie kombinując, ów dowódzca, powiadam, niecierpliwy widać dostania się coprędzej na drugi brzeg rzeki wraz z główną kolumną wojska, podjechał osobiście do przejeżdżającego przez most generała Jeziorańskiego, i zapytał go, czy może ze swoim batalionem przeprować się także przez most. Jeziorański, niewiedzący ani co to za batalion, ani też o moich dyspozycjach, odpowiedział od niechcienia: „Ma się rozumieć; toć przecież wszyscy na tamten brzeg przechodzimy“. Korzystając z takiej odpowiedzi oficera, który mu żadnych rozkazów nie miał w tej chwili do dawania, dowódzca batalionu wyniósł się co prędzej ze swoim batalionem z cmentarza i pomaszerował sobie z główną kolumną Langiewicza, nic mi nawet o tem nie raportując. Przytaczam ten szczegół, jako próbkę bajecznej luźności w wyobrażeniach o karności, obowiązkach służby wojskowej i honorze oficerskim. W tym przypadku rzecz pozostała obojętną, bo sam chciałem już przeprować ten batalion, żeby powoli przeprowadzać własny

odwrót ze wsi przez most. Ale gdybym był nieco wprzód w wsi atakowany, samowolny i w gruncie tchórzliwy ten postępek dowódcy batalionu mógłby być i naszą garstkę o zgubę przypawić i bezpieczeństwo cofającej się głównej kolumny Langiewicza na szwank narazić. Kiedy już koniec kolumny Langiewicza dobrze się był z tamtej strony rzeki od mostu odsadził, dałem rozkaz Rochebrunowi stopniowego cofania się ku mostowi, obsadzając coraz to ciaśniejsze półkola we wsi. Już też się i kozacy około pałacu pokazywać zaczęli, ale że ich piechota nie była jeszcze nadciągnęła, nie śmieli więc do wsi wkraczać. Zrazu było moją intencją kazać tylko saperom zerwać wierzchni pomost z owego palowego mostu na Nidzie, żeby nie niszczyć bez potrzeby kosztownej i mozolnej pracy palowej; cel opóźnienia pogoni moskiewskiej o godzinę lub dwie byłby i tak osiągnięty. Widząc wszelako kozaków już do wsi wkraczających, uznałem, że proste zerwanie pomostu nie wystarczało do bezpieczeństwa cofającej się głównej kolumny Langiewicza; z bólem więc serca zdecydowałem się most spalić. Rozkazawszy saperom poobwijać bale mostowe i kobylnice w słomę i porozlewać co było smoły, przeszedłem z żuawami i saperami przez most i tejże chwili ogień podłożyć dałem. Kiedy już most w jasnych stał płomieniach, poleciłem Rochebrunowi, ażeby pozostał ze żuawami i półplutonem ułanów, przy palącym się moście i nie prędzej ku głównej kolumnie wyruszył, aż cały pomost w rzekę runie i pale mostowe się zajmą. Gdyby Moskale próbowali gasić i przedstawiać się po szczątkach mostu za nami, miał im tego nie dopuścić. Rochebrune rzekł mi: „Et si les Russes m'attaquent par ici (to jest po lewym brzegu), que fairais-je tout seul en champ découvert?“. Odpowiedziałem mu: „D'abord les Russes ne vous attaqueront pas par ici (omyliłem się w tem, jak się zaraz pokaże), parcequ'ils arrivent par la rive droite; et même s'ils vous attaquaient, je vous donnerais la main; contez-y et soyez tranquille“. Pożegnawszy w ten sposób Rochebruna (2) pokłusowałem drogą (F), żeby zdać raport dyktatorowi i spowodować go do zwolnienia marszu kolumny aż do nadejścia Rochebruna. Cała kolumna maszerowała już ku Zagościowi drogą (G); na drodze F już tylko wlokły się jakieś bryczki, woziki, marudery i luzaki. Kie-

pym się zbliżał do skreću drogi *F* na drogę *G*, postrzegłem na lewo, u krańca horyzontu, na lekkich wyniesieniach zupełnie otwartego tu pola, czerniące się linie ruchome, w oddaleniu 1500 do 2000 kroków; rychło też postrzegłem, jako dawny konny artylerzysta, migające wśród tych linii, a dobrze mi znane obroty zajeżdżających na pozycyę i odprzodkowywujących konnych dział; rzut oka przez połowę perspektywę do reszty mnie przekonał, że to Moskale z tej całkiem dla nas niespodzianej strony, a w znacznej sile nadciągają i w szyk bojowy się ustawiają. Pomimowoli odwróciłem się nagle na koniu, by zobaczyć, co się dzieje z maszerującą naszą kolumną; ale cóżem niestety postrzegł! Oto domysł, że to Moskale otwartem polem na nas się zbliżają, już był przebiegł cały tył kolumny, wielki roznosząc popłoch; bryczki, luzaki, maruderzy, w przekątni z drogi *F* na drogę *G* polem co prędzej uciekali. wywracając się, z koni spadając, gubiąc broń i czapki, wywracając bryczki i wózki; cały zaś tył kolumny, z kawaleryi naszej złożony, jał kłusować drogą ku Zagościowi, wprowadzając oczywiście w popłoch i nieład wszystko, co przed nim postępowało. Huknęły też w tej chwili pierwsze rosyjskie strzały armatnie z punktu g. a świszczące i pękające kule cylindrowe popłoch jeszcze zwiększyły*). Widząc to wszystko, pomny na dane Rochebrunowi słowo, że w razie niebezpieczeństwa podam mu rękę i samego nie zostawię, pamiętny oraz, że na wojnie jeden drugiego się zarówno boi, i że skoro tylko jeden cośkolwiek kontenansu pokaże, to nieprzyjaciel folguje w swoim nacieraniu lub ściganiu, postanowiłem zatrzymać naszą kawaleryę, w ariergardzie kolumny naszej postępującą i wyciągnąć ją w szyk bojowy, równoległe do drogi *F*, żeby gotowością naszą zaimponować nieprzyjacielowi przynajmniej na pół godziny i dać czas Rochebrunowi do bezpiecznego conięcia

*) Z leżących na polu kul i czerepów przekonałem się niebawem, że Moskale mają ze sobą gwintowane działa lekkiego kalibru, strzelające pociskami kształtu cylindrowo-stożkowego, u których stożkowa tylko główka pękała, jak mały granat, rozrzucając czerepy wokoło, główny zaś cylinder, pełny, biegł dalej i działał jak kula. Pociśki te, jako z gwintowanych dział wyrzucane, sięgały na przeszło 2000 kroków.

się od punktu 2, jakoteż kolumnie marszowej do ochłonięcia z popłochu, uszykowania się, a dyktatorowi do powzięcia jakiejś decyzji i wydania dyspozycji. W myśli tej, przypadłszy galopem do pierwszego od tyłu szwadronu, zawołałem na rotmistrza, o ile tylko mój zgasły głos na to pozwalał: „Stój rotmistrzu! uszykuj się frontem szwadronowym“. Rotmistrz odparł niecierpliwie, że nie może, bo tu jest pułkownik. Pogalopowałem więc co prędzej ku czołu pułku i powtórzyłem toż samo wezwanie pułkownikowi: ten zasłonił się z pewnem pomieszaniem generała brygady obecnością która mu przyjmować moich rozkazów nie pozwala. Poskoczyłem tedy dalej ku generałowi Józefowi Czapskiemu, jadącemu na czele obu pułków kawaleryi i błagającym już prawie tonem wezwałem, żeby kazał jeździe stanąć i uszykować się w polu. Czapski, być może, myśląc, iż żądam od jego kawaleryi szarżowania na nieprzyjaciela (do czego w istocie sposobną nie była), albo też Bóg wie jakich cudów waleczności, odmruknął dość niechętnie, że konie za bardzo są pomęczone, że trzeba czekać, co dyktator powie i t. p., i mówiąc to, żeby mnie się pozbyć, prędzej jeszcze ruszył dalej drogą ku Zagościowi, a za nim cała kawalerya. Ja prześcignąłem ich jeszcze, pytając po drodze o dyktatora, którego nikt mi wskazać nie umiał i zaklinając wszystkich generałów i pułkowników, których po drodze spotkałem, żeby tylko starali się wstrzymać pochód kolumny ku Zagościowi i uszykować się w polu, a wszystko będzie dobrze. Nie znalazłszy dyktatora i słysząc ogień ręcznej broni z obu skrzydeł, pogalopowałem na powrót ku drodze *F*. Tu mi się przedstawił następujący obraz bitwy. Polem bitwy było zupełnie otwarte pole, rozmiękłemi podorywkami, rżyskami, ugorami i zasiewami zimowymi pokryte, gdzie niegdzie płytkimi tylko rowami lub krzaczkami przerywane. Ciągnęło się ono przedemną, t. j. w kierunku północno-zachodnim, jak daleko oko sięgnąć mogło, podnosząc się nieco u krańca widnokregu. Za mną, toż samo pole ciągnęło się aż po wieś Zagość, która swemi budynkami, ogrodami, opłotkami i falistością gruntu dalej sięgać nie pozwalała. Pole to ujęte było w kierunku swej długości, po lewej stronie, rzeką Nidą, po prawej stronie zaś pasmem dość raptownych wzgórz, krzakami lub lasem pokrytych, a biegnących mniej więcej równolegle

z rzeką Nidą. Szerokość pola, to jest przestrzeń od rzeki do pasma wzgórz, wynosić mogła jedną do dwóch wiorst; rozszerzała się jednak przedemną, a zwężała za mną, ku Zagościowi. Śliczne to było pole bitwy, z bezpiecznem po obu skrzydłach oparciem; ale trzeba było na nie wprawniejszego nieco wojska niżli nasze i nie tak bardzo oduczanego od wszelkiego spotkania w otwartem polu. Na nasze 3 tysiące było ono także nieco za szerokie. Bądź co bądź, na tem polu bitwy, na lekkiej wyniosłości o 1500 może kroków od drogi *F, F* stała uszykowana rosyjska piechota (8, 8), w sile mniej więcej 6 do 7 rot czyli kompanij, to jest tysiąc do półtora tysiąca żołnierza; w środku tej piechoty wstawione dwa lub trzy działa gwintowane (9), przysyłały nam swoje cylindrowo stożkowe pękające kule. Na prawem skrzydle rosyjskiem szwadron dragonów, tuż u brzegu rzeki postępujący i widząc spieszne i bezładne cofanie się nasze ku Zagościowi, a stojącą w odosobnieniu małą garstkę Rochebruna przy palącym się moście, wysunął się dużo naprzód ku Rochebrunowi (10), który stał wciąż w punkcie (2). Na lewem rosyjskiem skrzydle sotnia lub pół sotni kozaków (11, 11), próbowała zlustrować i zająć krzaki i wzgórza, ale ją tam wstrzymał ogniem swoim rozsypany na wzgórzu i w krzakach batalion strzelecki, przy którym znajdował się pułkownik Czachowski i Langiewicz z Borzysławskim pułkownikiem i częścią sztabu. Z tyłu, ku Zagościowi, główna nasza armia w nieładzie w marszowej kolumnie do tej wsi zdążająca, zaczynała powoli, w skutek usiłowań dowódców, wstrzymywać się, zwracać frontem do Moskali, formować się w linie po obu stronach drogi *G* i napowrót naprzód, ku drodze *F, F* się posuwać. Postrzegłem też zjeżdżającego z owego wzgórza po prawej ręce i wracającego do swego głównego korpusu Langiewicza z częścią sztabu (Pustowjótówna była w tej liczbie). Połączywszy się z tak długo napróżno szukanym dyktatorem i zdawszy mu raport, dowiedziałem się o powodzie jego zniknięcia chwilowego. Oto kiedy ja jeszcze byłem przy palącym się moście, Langiewicz postrzegłszy w oddali zbliżających się ku nam po lewym brzegu Nidy Moskali, w szyku bojowym, nie wzniecając popłochu tą wiadomością w maszerującej ku Zagościowi kolumnie i nie dając jej rozkazu zatrzymania się, porwał pierw-

szy batalion strzelecki, który mu wpadł pod rękę i wraz z Czachowskim pospieszył, nader trafny wojskowym rzutem oka wiedziony, drogą *F* ku owemu zaroślemu wzgórz, żeby je strzelcami obsadzić i tym sposobem, zagrażając postępującym Moskałom we flance, pochód ich wstrzymać. Pułkownik Borzysławski, mający podobno w głównej kolumnie dowództwo awangardy przy wyjściu z Chrobrza i przechodzeniu przez most, sobie ten trafny pomysł przypisywał, nie wiem wszelako, co jest w tem prawdy. Bądź co bądź, Langiewicz, ustawiwszy na wzgórzu strzelców i pobywwszy przy nich czas niejaki podczas tyralierowania i harcowania z kozakami, zostawił ich tam pod dowództwem Czachowskiego, a sam wracał teraz z Borzysławskim i sztabem do głównego korpusu. Tymczasem, u lewego naszego skrzydła, Rochebrun, widząc kłusujący ku sobie szwadron dragonów, nietylko, że w szczupłym swoim oddziale, samotnie w otwartym polu pozostawionym, żadnego nie dopuścił popłochu, ale z wzorową zimną krwią rozwinął swoich żuawów w porządną linię bojową i zaczął sypać plutonowym ogniem na dragonów. Dragoni powstrzymali się natychmiast w swym zapędzie, tak niespodzianą widząc gotowość i determinację w tej garstce, i zsiadłszy z koni, obyczajem dragońskim w pieszą uformowali się linię i ogniem z ręcznej broni żuawów razili. Dość niewinna ta strzelanina trwała czas nie jaki; wreszcie Rochebrun doczekawszy się, jakem mu był polecił, zupełnego spalenia mostu, zaczął się w przekątni przez pola i podorywki ku głównej naszej sile cofać, co sto lub kilkaset kroków zatrzymując się, robiąc front ku Moskałom i odstrzeliwając się dragonom. Dragoni bali się ścigać tak dzielny i porządny oddział piechoty, nic więc nie wskórawszy, cofnęli się ku głównej linii moskiewskiej; Rochebrun zaś zatrzymał się i uszykował w punkcie (5); kiedy do niego podjechał, wraz z dyktatorem, z żartobliwym odezwał się do mnie wyrzutem: »Vous m'avez joliment donné la main!« Wytlómaczyłem mu, że nie moja w tem była wina. Cała owa utarczka Rochebruna z dragonami, niewiele obustronnej przyniosła szkody; dragonów padło kilku, kilku też żuawów odniosło rany i zabito pod Rochebrunem mego wierzchowego konia, któregom mu przed paru dniami był pożyczyl. Odtąd Rochebrun, jedyny z dowódców, znów

pieszo chodził do końca. Przybycie Langiewicza do głównej naszej kolumny, opamiętało ją do reszty i całe nasze wojsko (z wyjątkiem Czachowskiego z batalionem strzelców, który na wzgórzach jeszcze pozostał) rozwinęło się porządnie w szyk bojowy, w dwóch liniach; kawalerya stała na lewym skrzydle tego szyku. Podczas szykowania tych linii płątały się nam między nogami nasze dwie armatki, nie wiedząc, co ze sobą zrobić; wyprowadziłem je więc na front przed piechotę i odprzodkować kazałem, żeby zaś dodać naszym ducha, powiedziałem dowodzącemu baterijką kapitanowi, żeby kazał dać parę razy ognia. Wymawiał się zrazu, że za daleko, że kule nie doniosą, a kiedym pomimo to nastawał, iżby huknął kilka razy, chociażby na wiatr, dla zaimponowania Moskalom, a dla podniesienia animuszu u naszych, oświadczył wręcz, że strzelać z nich niebezpiecznie, bo mogłyby pęknąć. Trudno było co odpowiedzieć na taki argument; pytanie wszakże, po co włożyć taki niepotrzebny ciężar ze sobą? Tak więc nasza artylerya, za całej mojej bytności w obozie Langiewicza, ani razu, chociażby na próbę tylko, ognia nie dała.

Około 5. lub 6. po południu wzajemne nasze pozycje były następujące: Główna linia rosyjska posunęła się była nieco naprzód (12, 12) i działa ich dawały wciąż jeszcze, z tej nowej pozycji (13), do nas ognia, nie wiele jednak szkody w ludziach nam przynosząc: wszystkiego mieliśmy od tych kul armatnich paru zabitych i kilku rannych. Dragoni, po bezskutecznej na Rochebruna wyprawie, wsiedli na konie i cofnąwszy się nieco ku swojej głównej linii, strzegli jej prawego skrzydła. Kozacy, przepłoszeni w krzakach i na wzgórzach ogniem naszych strzelców, cofnęli się podobnie ku swojej linii (15, 15), lewego jej skrzydła pilnując. Wreszcie oddział rosyjski, który postępując po prawym brzegu Nidy, szosą z Pinczowa do Chrobrza, wypłoszył nas był z tej wsi, wszedłszy do niej wkrótce po zapaleniu mostu i widząc, że niepodobna mu rzeki przebyć, ukazał się był na chwil kilka u samego brzegu (16), i bezskutecznymi swemi strzałami starał się niepokoić cofającego się z punktu (2) do punktu (5) Rochebruna. Nasze wojsko stało uszykowane w milczeniu i bezczynności, w dwóch liniach (4, 4), z armatkami cokolwiek przed frontem (7) i żuawami na lewym

skrzydle (5). Czachowski, zaprzestawszy niepotrzebnego już ognia, cofnął się nieco na lesistem wzgórzu (6), ale nie mając, jak się zdaje, rozkazu od dyktatora (o czym na drugi dopiero dzień się dowiedziałem) do połączenia się napowrót z główną kolumną, nie wiedząc zresztą, co się dzieje i gdzie stoimy (bo w zaroślach nic nie widział), dał się w tej osamotnionej gęstwinie nocy zaskoczyć. Żeby nie potrzebować wracać do dalszych losów tego batalionu, teraz już nadmienię, iż kiedy wszystko już dookoła było ucichło i ciemna noc zapadła, Czachowski domyślając się, żeśmy go dawno opuścić musieli, zaczął się cofać na los szczęścia przez zarośla, wzgórza, pola, błota i cudownym jakimś sposobem z wycieńczonymi od nadludzkiego trudu, zimna i głodu strzelcami, około 2 lub 3 godziny z rana, trafił za nami do Wełeczca, straciwszy tylko kilkunastu ludzi w maruderach i zbłąkanych wśród ciemności. Kiedy już zmrok zapadać zaczął, Moskałe dalszego ognia zaprzestali i straciliśmy ich z oczu; armijka nasza, przeszedłszy wtedy z szyku bojowego w kolumnę marszową, ruszyła w pochód, przebywając wieś Zagość i zmierzając dalej ku Grochowiskom. Tak się skończyła owa bitwa czy też owo spotkanie, które jedni »bitwą pod Chrobrzem«, inni »bitwą pod Zagościem« nazywają. Oczywiście było, że pułkownik Czengiery, który tu Moskałami dowodził, usłyszawszy nocy poprzedniej lub tegoż rana, że jesteśmy w Chrobrzu, umyślił wyprawę na nas, w ten sposób ją urządzając, że mały oddział piechoty, obejmujący może ze dwie rotы piechoty i nieco kozaków, postępując z Pinczowa ku Chrobrzu na lewy brzeg Nidy, miał zadanie wypłoszyć nas fałszywym i nagłym atakiem z Chrobrza na brzeg Nidy, a główna jego siła, lewym brzegiem rzeki postępująca, miała nas w otwartym polu zaatakować i rozprószyć. Plan ten udał mu się w pierwszej tylko połowie. Straty nasze w ludziach bardzo były nieznaczące, natomiast dotkliwą bardzo i w następstwa brzemienneą ponieśliśmy stratę w taborze naszym. Kiedy bowiem Moskałe na lewym brzegu się ukazali, strzelać zaczęli i na bitwę się zanosilo, cały tabor wozów z bagażami, zapasami i żywnością salwował się, uchodząc przez Zagość. Część tego taboru, to jest bagaże i nieco zapasów broni, ubrania i amunicji, połączyła się napowrót z nami w ciągu nocnego marszu; część jednak,

obejmująca kilkanaście wozów z chlebem, żywnością i furazem, tak bardzo oddaliła się, że nie mogąc już nas potem pociemku znaleźć, dostała się na boczne drogi i błędząc przez dni kilka w pobliżu granicy, wkroczyła wreszcie w parę dni po nas do Galicyi, gdzie Austriacy cały konwój zabrali. Nadmieniam tu jeszcze dodatkowo, o czem zapomniał wspomnieć w swoim czasie i miejscu, że kiedyśmy już byli na wymarszu z Chrobrza, ale stali jeszcze na koniach przed pałacem, Langiewicz powiedział mi, iż wedle tego, co z obozu rosyjskiego odebrał, może on dysponować, żeby idący na nas Moskale atakowali nas lub nie atakowali. Wziąłem to wtedy za próżną przechwałkę lub mimowolne łudzenie się co do wagi związków, jakie mógł mieć z niektórymi oficerami rosyjskimi, i nie wiem po dziś dzień, ile było prawdy w tej przechwałce. Kolumna nasza maszerowała, z różnemi częściowemi przerywaniami i zatrzymaniami się, spowodowanemi błędzeniem po nocy, wśród największej ciemności i przeraźliwego zimna blisko do godziny 10. z wieczora. Od czasu do czasu, postrzegaliśmy w oddali łunę ognisk biwakowych rosyjskich, co pokazywało, że nie wprost się od nich oddalamy, ale raczej flankowy odbywamy pochód. Ciemność była tak wielka, że co chwila niemal, jeden oddział tracił ślad drugiego, wozy się wywracały, przewoźnicy prowadzeni u czoła kolumny pod pistoletami dwóch ułanów, wymykali się nam i nowych łapać musieliśmy, a z drogi, którą szliśmy, tyle tylko było widać, ile zapalane łuczywa lub latarnie chwilowo na parę kroków oświecały. Nadzwyczaj silny wiatr marcowy, obok zimnej nocy, tak był przejmujący, że konie i ludzie od zimna drżeli. Ja chory od dni kilku, takem przeziąbł na tym przeraźliwym wietrze, że zębami od trzęsącej mnie febry szczekałem, z wysileniem tylko największem na koniu się jeszcze utrzymując; piłem bezustannie wódkę, żeby cośkolwiek się rozgrzać i pokrzepić. Kiedyśmy do wsi Wełeczka, o pół mili może (lub nieco więcej) od Grochowisk oddalonej, dochodzili, dyktator zdecydował, żeby ze względu na straszne pomęczenie wojska i nieopisaną uciążliwość marszu wśród ciemności, zanocować w Wełeczku, a nazajutrz z rana dalej do Grochowisk wyruszyć. Rozłożyło się więc nasze wojsko, jak mogło po nocy, we wsi na nocleg, Langiewicz zaś ze sztabem obrał główną kwaterę w szczupłym

dworku dzierżawcy. Szczęściem, było jeszcze we wsi nieco owsa, siana, chleba, wódki i żywności, tak że się wojsko cośkolwiek, lubo niedostatecznie, pożywiło; konie mianowicie w małej tylko części jeść dostały. Mnie, trzęsącego się i szcękającego zębami od febry, ponakrywano w głównej kwaterze różnemi burkami, futrami; po godzinie leżenia na podłodze pod tym stosem ciepłych okryć, wystąpiły na mnie poty i doznawszy ulgi, usnąłem.

Dnia 18. marca z rana wyruszyliśmy z Wełecza ku Grochowiskom. Dowództwo tylnej straży zlecił dyktator pułkownikowi Borzysławskiemu. Droga z Wełecza szła zrazu ku wschodowi, potem zaczęła się skręcać na lewo ku północy, ku piaszczystem i zarosłym wzgórzom, na których wśród obszernego lasu sosnowego miały się znajdować Grochowiska. Niedaleko za budką przydrożną (C) (zapewne dla strażnika borowego zbudowaną), skręciliśmy na prawo, już wśród gęstego lasu, na poboczną drogę leśną. Borzysławski ustawił w okolicy tej budki i u skrzyżowania drogi, w punkcie 3 Czachowskiego z batalionem piechoty, dla strzeżenia tyłów naszych od strony Wełecza, skąd mogli przyjść za nami Moskale. Dyktator ze sztabem wyjechał trochę naprzód, żeby przyszłe wyszukać i opatrzyć obozowisko. Dotarliśmy do stojących wśród lasu kilku budynków folwarcznych i leśniczych E, Grochowiskami zwanych. Wsi tam żadnej ani chałup nie było, tylko mieszkanie leśniczego i kilka budynków gospodarskich. Czy jest gdzie indziej właściwa wieś Grochowiska, tego nie wiem. Wody było w tem ustroniu cośkolwiek, ale nie dosyć dla tylu ludzi i koni. Ponieważ jednak wyboru nie było, dyktator upatrzył więc opodal leśnego folwarku E, nieco otwartzsze wśród lasu miejsce, powstałe z wyciętego na sagi boru. Sagi te stały jeszcze, w pobliżu jakiejś bocznej leśnej drogi. Na tem to miejscu (D), przy sagach, rozłożyliśmy się obozem. Nim wszystko pościągało do wyznaczonego sobie biwaku i rozłożyło się, nadeszła już 10-ta lub 11 ta godzina z rana. Ludzie porozpalali sobie ognie z gotowych sagów; intendent generalny, p. Tomasz, wysłał kilka wozów, pod małą eskortą do różnych wsi okolicznych, jak Wełecza, Galowa, żeby rekwirować chleba i żywności dla ludzi, a furazę dla koni; ja chciałem się zorientować w tej leśnej pozycyi, ale że nikt jej bliżej nie znał, a spe-

cyalnej karty topograficznej nie mieliśmy, odłożyłem to do sposobniejszej pory i powrotu furażerów, przestając na teraz na wystawieniu przedniej straży koło drogi ku północy przez las wiodącej. Droga bowiem, która biegła w pobliżu naszego obozowiska i ustawionych sągów, docierała o paręset kroków na północ od naszego stanowiska, do ogołoczonego z drzew mokradła, na kilkanaście do kilkadziesiąt kroków szerokiego. Przez te mokradła prowadziła mała niska piaszczysta grobelka, ujęta z obu stron chruścianym płotem; zaraz za tą grobelką, gdzie znów gęsty las, w tym właśnie miejscu młody zagajnik się rozpoczynał, stała w pobliżu drogi mała chałupka (zapewne borowego), ze stodółką (*F*); leśna ta poboczna droga wiodła ku wsi Galowu. Otóż przy tej chałupce i stodółce, w pukcie 2, postawiłem na straży oficera z plutonem piechoty. Zeszło nam w biwaku parę godzin na gotowaniu i pożywaniu ciepłego śniadania, na troskaniu się o dostateczną dla koni wodę, na rozpatrywaniu mapy tej okolicy (ale tylko szczegółowej geograficznej) i naradach, co dalej robić i gdzie się obrócić. Dyktator przychylił się do tego, żeby w tym miejscu, jako bezpiecznym, ukrytym, dosyć wygodnym, parę dni zabawić, a żeby dać raz przecież niezbędny ludziom i koniom wypoczynek. Koło godziny 1-szej z południa wrócili furażery z próżnymi wozami od Wełcza; przynosząc wiadomość, że się tam już dostać nie mogli, bo Moskale są we wsi. W pół godziny potem wrócili znów wozy z Galowa (zdaje mi się), przywożąc cośkolwiek siana i owsa; towarzyszący im ułani opowiadali, że zaledwie im się tę trochę furażu porwać, naładować i z nią ujść udało, bo prawie jednocześnie przybyli tam drugim końcem wsi rosyjscy dragoni, także za furażem, jak się zdawało. Po chwili od innej jakiejś wsi sąsiedniej wrócili z niczem nasze furażery, podobnie donosząc, że Moskale są we wsi. Pozycja nasza była krytyczna: staliśmy pośród nieznanego nam ze szczegółowej pozycji, rozciągłości dokładnej i kierunku różnych krzyżujących się dróg lasu, z niewystarczającą na 24 godzin dla ludzi żywnością, z furażem na najpierwszą niewystarczającym potrzebę, i na wszystkie strony, jak się zdawało, otoczeni lub przynajmniej zagrożeni oddziałami rosyjskimi, których siły nawet nie znaleźliśmy. Samo nasze obozowisko zdawało się wprawdzie, wśród lasu, zupełnie od napaści

bezpieczne, aleć nie wychodząc z niego przez dni parę, pomarlibyśmy z głodu, Moskali zaś jeszcze więcej około nas zebrać się tymczasem mogło. Dyktator zdecydował się więc, ażeby natychmiast opuścić ten las i w inne przenieść się strony. Ponieważ Welecz przez Moskali był zajęty i zdawało się, że główna ich siła w tym kierunku nas ściga, nie było więc prawie wyboru, jak tylko próbować wydostać się w świat, idąc wprost nosa, ową leśną drogą ku Galowu, którą przed sobą mieliśmy. Roznieśli natychmiast adjutanci rozkazy (mogło być około 2-giej z południa), żeby przerwać wszelkie gotowania, pogasić ognie, zaprzęgać wozy, kulbaczyć konie i mieć się na pogotowiu do bezzwłocznego wymarszu. Ponieważ tymczasem zameldowano mi od owego posterunku przy chałupie borowego (*F*), że się Moskale w oddali ukazują, podjechałem więc tam, żeby się rozpytać i rozpatrzyć. Oficer posterunkowy nic mi z własnego widzenia powiedzieć nie umiał, bo powtarzał tylko to, co mu ktoś niewiadomy powiedział. Widzieć przed sobą nic nie można było, bo gęsty zagajnik zasłaniał widnokrąg; ale że dach chałupy górował nad zagajnikiem, kazałem więc miejscowemu chłopu wleść na dach i mówić mi, co widzi przed sobą, ku Galowu, grożąc mu, że go na miejscu zastrzelę, gdyby mi coś ukrył lub nieprawdziwie powiadał; jednocześnie kazałem przywołać z obozu kilku ułanów i posłałem ich drogą ku Galowu, żeby mi zaraportowali, co zobaczą. Drżący od strachu chłop wlaź na dach i przez kwadrans lub pół godziny recytował mi kolejne swoje spostrzeżenia: „Nic nie widać, proszę Jegomości; coś się rusza w krzakach, ale bardzo daleko; teraz cicho; teraz dwóch ludzi widać z błyszczącą bronią; znów ich nie widać; teraz ich więcej, ale daleko; już ich nie ma; kozak z dzidą wyjechał na polankę; znów odjechał; teraz kilku żołnierzy na koniach smyrgnęło przez krzaki i t. p.“ Widoczną było, że nieprzyjaciel jest w naszej bliskości i jakieś ruchy, prawdopodobnie ku nam odbywa. Zawrociłem więc, żeby dyktatorowi o tem donieść. Ledwom od chałupy (*F*) był odjechał i ową grobelkę na mokradle przebył, kiedy nadbiegły wysłane przezemnie ku Galowu ułany, potwierdzając moje postrzeżenia, dosyć płochliwym i pomieszaniem wołaniem: „Moskali widać; Moskale są; Moskale idą“. Nic bliższego, jak zwykle,

dowiedzieć się od nich nie było można; widać, że gdzieś daleko w krzakach postrzegli konia, dzidę lub karabin i zaraz co prędzej nawrócili. Nawiasowo nadmieniam, że oficer nasz stojący z plutonem piechoty w punkcie 2 przy chałupie *F*, widząc wracających drogą owych kilku ułanów, zatrzymał ich i o nowiny zapytał, a usłyszawszy, że Moskale się zbliżają, zamiast odpowiednio wydać swym ludziom rozporządzenia i tem mocniej w chałupce i stodółce się usadowić, uznał za stosowne, nikogo zgoła o tem nie uprzedzając i nikomu nie raportując, opuścić swój posterunek i do pułku swego wraz z plutonem powrócić, o czem dopiero w ciągu bitwy przypadkowo się dowiedziałem. Faktycznie więc byliśmy od tej chwili bez żadnej zgoła przedniej straży. Przybywszy do głównego naszego obozowiska, gdzie wszystko już stało pod bronią w pogotowiu do marszu, zaraportowałem dyktatorowi, że mnożą się oznaki o jakichś ruchach nieprzyjacielskich od strony Galowa. Langiewicz odparł głośno, z rodzajem brawady, dosyć mu zwykłej w nieco krytyczniejszych chwilach (zapewne dla dodania ducha otaczającym, przez swą pewność i zimną krew): „Tem lepiej; to pójdziemy na ich spotkanie“. Był on przekonany, jak mi się zdaje, że główna siła nieprzyjacielska jest za nami, od strony Wełeczka, że zaś przed sobą, ku Galowu, mamy tylko co najwięcej jakiś mały oddział Moskali, w tej wsi furazerujących. Spytałem, czy nie każe zmienić porządku kolumny marszowej, odpowiednio do bliskiego z nieprzyjacielem spotkania (kolumna bowiem marszowa szykowała się w tym samym co z rana porządku); ale on z taką samą odpowiedzią brawadą: „Nie ma potrzeby“. Jakoś w głowie pomieścić mi się nie chciało, żebyśmy na prawdopodobnego, a z siły, pozycji swej, i ruchów nieznanego nam nieprzyjaciela, maszerowali jak zwykle, w długiej kolumnie marszowej i to drogą śród krzaków i lasu, gdzie ani co widzieć przed sobą i około siebie, ani się rozwinąć niepodobna; nalegałem więc na dyktatora, żeby pozwolił mi wysłać chociaż żuawów na bocznych eklererów. Po niejakiem wzdryganiu się przystał na to Langiewicz. Wziąłem więc Rochebruna ze żuawami, przeprowadziłem przez grobelkę na mokradle ku zagajnikowi po lewej stronie drogi do Galowa i postawiwszy go w punkcie 4, dałem mu instrukcyą, żeby rozsypał część żuawów w tyra-

liery przed sobą, a z resztą w odwodzie za nimi postępował i w takim szyku szedł naprzód aż do przeciwnego krańca lasu i zarośli; tam miał się zatrzymać i czekać, aż się główna nasza kolumna, drogą ku Galowu, z lasu wychylać zacznie. Zmiarkowawszy, że to jeszcze nie zupełnie wystarczające, wróciłem ku obozowisku naszemu i poleciłem jednemu z kapitanów piechoty, ażeby ze swoją kompanią strzelecką w podobnyż sposób po prawej stronie drogi w punkcie 5 się uszykował i naprzód lasem postępował. Czy ów kapitan spełnił ten rozkaz, tego nawet nie wiem po dziś dzień, bo gęsty ogień, który niedługo potem ze wszystkich stron grzmieć i trzaskać począł, nie pozwolił mi rozpoznać, czy i od prawej strony drogi ku Galowu, to jest od punktu 5 z naszej strony strzelano. Prawdopodobieństwo wszelako za tem przemawia, że ostatnia owa moja dyspozycja pozostała nie wykonaną. Pułkownik Borzysławski ruszył ku ariergardzie naszej, u punktu 3, przy budce *C* stojącej i zadysonowawszy Czachowskiemu, żeby powoli cofał się za nami, skoro w pochód ruszymy, wrócił do dyktatora. Wreszcie główna nasza kolumna w marsz ruszyła. Idąca na czele piechota, w małej części przekroczyła ową grobelkę na mokradle, i zbliżyła się do chałupy *F'*; część znajdowała się właśnie na grobelce; reszta, nie mając jeszcze miejsca do wyciągnięcia się w długą a wąską kolumnę marszową, stała jeszcze w kłęb zwinięta i nieco pomieszana w bliskości naszego obozowiska; kawalerya podobnież w kłęb zwinięta, nieco na prawo od piechoty, czekała aż na nią kolej maszerowania przyjdzie (1, 1, 1), dyktator zaś ze sztabem stał w punkcie 6, w pobliżu grobelki, na lewo od maszerującej kolumny, przypatrując się jej stopniowemu wysnuwaniu się z kłęba i przemarszowi, kiedy naraz, od strony zagajnika, w którym się znajdował Rochebrune, pierwsze dały się słyszeć strzały karabinowe. Mogła być wtedy 3-cia po południu. Wszystko się pomimowoli w rozpoczętym ruchu wstrzymało i jakby do miejsca przykute, w milczeniu coraz to gęstszych słuchało strzałów. Niebawem po tej żwawej pukaninie tyralierskiej, z której nie uważałem, żeby kule do nas dochodziły, zagrzmiały w wielkiej od nas bliskości, wprost chałupy *F* i drogi do Galowa, działa nieprzyjacielskie, śląc wprost na grobelkę, na maszerującą

naszą kolumnę i na zwinięty jeszcze kłęb piechoty, kawalerii i wozów, ogień kartaczowy, nader żwawy; wkrótce potem sychnął się z poza krzaków i gęstwiny i w tymże samym kierunku nadzwyczaj gęsty plutonowy ogień piechoty nieprzyjacielskiej. Widocznie Moskale najdokładniejszą o naszym obozowisku mieli wiadomość i ustawivszy działa oraz piechotę w zagajniku na kilkaset do sześciuset kroków od grobelki, otworzyli ogień działowy i karabinowy w kierunku tego obozowiska, śląc kule przez lekką elewacją ponad niebardzo jeszcze wysoki zagajnik; z rodzaju zaś świstu kul karabinowych widać było, że piechota strzela z gwintowanej broni stożkowymi kulami, które na tysiąc kroków i dalej donoszą. Niespodziany i gwałtowny ten ogień wielki wywołał w naszej kolumnie popłoch czyli raczej przerażenie. To co przed grobelką już było wyszło, cofnęło się ku niej instynktowo; ponieważ zaś mokradło i grobelka na niem, nieco niżej od reszty lasu leżały i mniej były tym sposobem narażone na kule, przeważnie górą idące, więc ci znowu, co jeszcze nie byli doszli do grobelki, instynktownie się ku niej cisnęli, tak że na grobelce, wśród owych chrościanych opłotków, jakoteż w pobliżu jej, wielki powstał ścisk. Niebawem rozległ się huk gęstych strzałów na naszych tyłach, to jest od strony Czachowskiego. Kawaleria nasza, w punkcie 1, na prawo owego nierozwiniętego jeszcze kłębu stojąca, pierzchła pierwsza z placu, salwując się przed kulami i kartaczami, na prawo, w kierunku mokradła i niezupełnie lub mało zarosłych jego brzegów, w zupełnym nieładzie i popłochu. Jużem jej potem nie widział*). Tabor wozów, nie mogąc mokradłem uciekać, salwował się w różne strony, jak mógł i o ile mógł, wśród pieńków, drzew, korzeni, łamiących się i wywracających wozów. Co się właściwie zrobiło z kłębem nierozwiniętym jeszcze piechoty za mną (a stałem przy dyktatorze w punkcie 6), tego dobrze nie wiem, bom miał

*) Pewnem uniewinnieniem dla kawalerii jest to, że jazda bez tego wśród lasu i zarośli nic wskórać nie może; usunięcie się więc jej z pod niszczącego ognia, wśród okoliczności, gdzie nic zgoła pomóc nie mogła, niejaka ma niby wymówkę. To tylko fatalna, że to bezładne pierzchnięcie, zwiększyło już i tak niemały popłoch i ostateczną sprowadziło rozsypkę.

zwróconą uwagę na rzeczy przed sobą i przelotnie tylko widziałem, jak kawalerya w rozsypce uciekała na prawo grzęznąć w błocie z końmi, i słyszałem krzyki i trzask pierzchającego w różne strony, wśród zarośli, taboru wozowego. Przedemną na grobelce i przed grobelką stały, w gęstą zbite kupę, z jakie dwa bataliony kosynierów, na wpół do ziemi przytulone; żeby się lepiej od kuli ochronić; przerażenie wśród nich tak było wielkie, że widocznie zdobyć się nie mogły na inicjatywę najmniejszego ruchu, chociażby też ruchu wstecznego lub ucieczki. Ale jakże biedni ci, wycieńczeni, zziębli, zgłodniaли i do krycia się w lesie przed okiem nieprzyjacielskim od tak dawna przyzwyczajani ludzie, nie mieli być przerażeni, kiedy ich oficerowie w dużej części pierwsi dawali przykład tego przerażenia. I tak naprzykład ze zgorzeniem ujrzałem jednego z kapitanów, klęczącego na ziemi wśród swoich ludzi i w głos odmawiającego jakąś litanję do Matki Boskiej czy też modlitwę konających. Ów ksiądz kapucyn (co go później w Warszawie powiesili) nie oszczędzał siebie wprawdzie bynajmniej i był osobiście pełen animuszu i odwagi, ale okazał brak taktu oraz niezajomość serca ludzkiego i wojny, wybierając taką właśnie chwilę do egzaltowanego perorowania przerażonym kosynierom, z podniesionym krzyżem w rękę, o potrzebie poświęcania życia za ojczyznę, o zasłudze śmierci z ręki nieprzyjaciela i t. d., wszystko to bowiem może wreszcie zrodzić w prostym i przełęczonym człowieku bierną gotowość poniesienia śmierci, ale do wszelkiego czynnego poruszenia i przedsięwzięcia najzupełniej bezwładnym go czyni. Kule i kartacze, które od czasu do czasu nawet w tę przychyłoną do ziemi masę ludzi trafiały, tu zabijając, tam raniąc, dopełniały dzieła chwilowego przerażenia. Dyktator, a w około niego Waligórski, Jezioranski, Borzysławski, p. Tomasz, ja, oraz różni adjutantci, gwałtygierzy, i sztabowcy, wszystko to stało na koniach, nieruchomie, w punkcie 6, w kupce około dwudziestu ludzi. Langiewicz największą okazywał determinację i zimną krew, ale milczał zupełnie, patrząc przed siebie ze zmarszczonymi brwiami. Staliśmy w najgęstszym ogniu; kule karabinowe brzęczały i świszczały w około jak rój pszczoł, w dużej części jednak przenosząc nas; mało kto w tej kupce nie miał konia lub odzieży uszkodzonej od nich, ale mało też kto

cudownym jakimś trafem, odniósł szwank osobisty; przypominam sobie tylko, że zaraz z początku ognia, kartacz trafił w samą głowę, stojącego na koniu o parę kroków od dyktatora, Witolda Zacherta, adjutanta generała Waligórskiego, bardzo miłego i uzdolnionego młodzieńca z francuskiej szkoły artylerji w Metz. Spadł z konia, na miejscu zabity. Pułkownikowi Borzysławskiemu porozrywały kule obszerny jego włoski płaszcz w kawały, lekko go tylko samego w krzyże drasnawszy. Niezadługo do tego gradu kul, idących na nas od frontu, przyłączyły się kule, idące z tyłu i boku, od strony sągów, około których było przed południem nasze obozowisko. Tymczasem ogień karabinowy Rochebruna, w owym zagajniku na lewo, widocznie od nas się oddalał; rozeznacć było można po strzałach, że się żuawy zaroślami naprzód posuwają; jednocześnie zaczął ogień nieprzyjacielski nieco słabnąć. Miarkując z tego wszystkiego, żuawy górę biorą, że Moskale w obec tak dzielnego oporu mięknąć i cofać się zaczynają, przyszedłem do przekonania że jakie takie poparcie żuawów z naszej strony i na pozór chociaż zaczepne wystąpienie, skłoni nieprzyjaciela do zupełnego odwrotu i prawdopodobnie odda nawet w moc naszą działa rosyjskie, w krzakach odprzodkowane, gdyż ich Moskale nie zdążą z zarośli uprowadzić. Poskoczyłem więc ku kosynierskiemu batalionowi na grobelce, wzywając dowódcę batalionu, żeby go uformował w linię po prawej stronie drogi i szedł naprzód krzakami z okrzykiem »hura!« Dowódcą tym był młody oficer, dawniej z wojska rosyjskiego, skądinąd znany mi jako rzeski młodzieniec i dobry oficer*). Ale tą razą determinacya mu nie dopisała; zamiast zachęcać batalion lub iść naprzód, zaczął się z koniem swoim cofać od grobelki w tył i na prawo, ku mokradłu. Widząc wsteczne wahanie w batalionie, zagroziłem mu drogę i dobywszy rewolweru, groźbą i proźbą zachęcałem ludzi, żeby szli naprzód, przedstawiając, że im nic się nie stanie, jak prędko biedz będą krzakami, że weźmiemy moskiewskie armaty i t. d. Ponieważ, jako zupełnie ochrypli, czyli raczej

*) Było kilku braci tego nazwiska, a opis bitwy Grochowieckiej, nie wiem przez kogo później w *Czasie* zamieszczony, powiadał, że ci bracia K. . . . do zwycięstwa naszego głównie się przyczynili!

głosu pozbawiony, z największym tylko wysileniem dobywałem z chorych płuc i gardła jakieś nienaturalne i piskliwe tony, przyskoczyło mi więc na pomoc kilku oficerów, w liczbie których pamiętam Pustowójtównę i Aurelego Balińskiego, gwałtygiera (brata zmarłego poety, Karola Balińskiego). Pustowójtówna wołała na kirasyerów: »Nie bójcie się dzieci, nic wam nie będzie, idźcie naprzód!« Baliński także zachęcał ducha dodawał; ja zaś widząc, że nic nie pomaga, przestałem wreszcie nalegać, żeby szli naprzód, żądając tylko, żeby krzyczeli z całego gardła „hura!“ w przekonaniu, że i to już od biedy pomoże nam, zachwianych Moskali ustraszcy i może w ręce żuawów wyda. Ale wszystko na próżno! ludzie za bardzo przerażeni, a ja wynędzniały jak skielet z piszczącym głosem fistułowym, cudacko obrośnięty, obwinęty koło gardła wełnianym szalikiem, z oczyma od kilkudniowej gorączki i wycieńczenia sił przygasłemi, zamała posiadałem imponycy i warunków do porywania ludzi, żeby mózż tych biedaków zelektryzować i na duchu podnieść. Kiedym jednak znów uporczywie na oficerów batalionu nastawać zaczął, żeby wyprowadzili swoich ludzi z grobelki w las na prawo i szli naprzód, odezwały się głosy: „Przecież tu płot jest i przejść nie można“. W istocie jakem to wyżej już wzmiankował, grobelka owa i część drogi na której batalion stał w kupę zbity, ujęta była z obu stron chróścianym płotem. Przerażeni ci ludzie, w biernej swej nieruchomości i skamienieniu, płot ten pomimo woli za nieprzebytą uważali ścianę. Na wpół z gniewem, na wpół ze śmiechem z tak oryginalnego argumentu, zakrzyknąłem: »A co u licha? to niech kilku kosynierów chwyci za koły od płota, to się płot obali; no! dalej wiara do kołów«. Słuchając rozkazu, po kilku ludzi chwyciło każdy kół u płotu po prawej stronie grobelki, i przez kilka chwil podważając i bujając połączonemi siłami, całe chrościane przeszło z trzaskiem na łączkę i mokradło obalili. No, dalej majorze — zwołałem — macie teraz przejście, szykujże co prędzej batalion na prawo«. Ale nastąpił rezultat wręcz przeciwny memu oczekiwaniu. Cały ów batalion stał dotąd jak skamieniały i zaczarowany wśród owych opłotków; obalenie płotu od strony prawej, od strony, ku której i kawalerya i inne rozpierzchnione hufce mokradłem i łączką w gąszcz leśny, od

strzałów daleki, uciekały, wywarło ten sam skutek, jak gdyby podniesiono upust w ścieśnionym korycie; czar się rozwiął i cała ta chmara ludzi zaczęła się instynktownie wylewać z grobelki na mokradło, nie myśląc bynajmniej o szykowaniu się w krzakach po prawej stronie drogi do Galowa, ale, podążając za kawaleryą i innymi uciekinierami; ponieważ dowódzca batalionu w tej ucieczce na koniu przewodniczył, ruch stał się więc niewstrzymanym i porwał ze sobą wszystko co jeszcze w okolicy grobelki i naszego obozowiska pozostawało: wszystko w nieładzie i popłochu salwowało się na prawo w gąszcz lasu. Langiewicz stał jeszcze z jakie 5 minut lub więcej w punkcie 6, bez żadnego już zgoła wojska i mając koło siebie tylko sztab i orszak mniej więcej 20 koni i ludzi wynosić mogący, to jest generałów, adjutantów, Borzysławskiego, mnie, Pustowojtównę, intendenta generalnego i część gwałtygierów. Pamiętam, że, z głęboką goryczą w duszy patrząc na pierzchające w nieznany las resztki naszego wojska, odezwałem się do stojącego obok pułkownika Borzysławskiego, któremu kule płaszcz w szmaty z tyłu poszarpały: »Niema nawet żadnej satysfakcyi dać się w takiej bitwie zabić«. Po kilku chwilach takiego milczącego naszego osamotnienia, gdy ogień nieprzyjacielski, lubo nieco folgujący, nie ustawał iść na nas i kiedy żadnej już zgoła nie było racyi stać jak malowany w tym ogniu, bo nikt już nawet nas nie widział, pokłusował Langiewicz w ślad za swoją rozpierzchnioną armią, na prawo w las, przez łączkę, mokradła i krzaki, a my wszyscy za nim. Mogła być wtedy godzina wpół do czwartej lub czwarta po południu. Byliśmy zupełnie rozbici, rozprószeni, a co gorsza, na duchu bardzo upadli. Oddziału żadnego lub spoistej kupy już nie było nigdzie widać, tylko spłoszone, pomieszane na los szczęścia i w gąszczu lasu i jakiegoś trzęsawiska przypadkowo spotykające się indywidua. Na chwil kilka owa kupka sztabowa potraciła się także z oczu wśród bezdrożnych zarośli; nie wiedząc, gdzie dyktator, pytałem napotykanych w gąszczu powstańców o skazówkę; ale ci w głębokiem milczeniu przyczajeni wśród gąszczu, odpowiadali zwykle, szeptając: »Pst! cicho! nie trzeba głośno gadać, boby nas Moskale usłyszeć mogli.« Po niejakiem czasie odszukałem wreszcie dyktatora i powoli cały niemal konny sztab na po-

wrót się znalazł razem a przynajmniej w bliskości. Langiewicz jechał z Bożysławskim, Waligórskim i Jeziorańskim i widocznie pogrążony był w poufnej, rozpoczętej z nimi pogadance, której treści domyślałem się tylko mniej więcej z wzdrygania ramionami interlokutorów i z ich dekurażowanej gestykulacji. W ten sposób błędziśmy czas niejaki lub przystawali, w okolicy lasu, gdzie było cicho i bezpiecznie i gdzie, jak się zdawało, większa część rozproszonego wojska naszego kryła się po krzakach. Naraz dyktator podjechał ku mnie i rzekł mi: „Wyszukaj też na mapie, mój szefie, i wytknij drogę mniej więcej bezpieczną dla kilkunastu koni do granicy galicyjskiej; po czem do swojej grupy wrócił. Dobyłem wiece z zanadru tej karty geograficznej, którą zawsze przy sobie nosiłem i, o ile się dało, siedząc na koniu, przy padającym śniegu (drobny bowiem i mokry śnieg przez cały ciąg bitwy padał), kombinowałem z rozwiniętej karty i z wiadomych mi różnych załóg rosyjskich po miasteczkach, żadaną marszrutę; wreszcie wykombinowawszy, spisałem ją ołówkiem na kawałku papieru; pamiętam to tylko z niej, że szła na Wiślicę i dochodziła do Nowego Miasta nad Wisłą. Ponieważ jednak dyktator znikł mi tymczasem z oczu, włożyłem więc karteczkę ową do kieszonki i dalej lasem błodziłem. Po niejakiem czasie znaleźliśmy się znowu wszyscy mniej więcej ze sztabu i przystanęliśmy w okolicy, gdzie liczne i coraz bardziej zbierające się znów do kupy, przybywały grupy powstańców. Gdzieby to było? dokładnie oznaczyć nie umiem, miarkuję tylko z kierunku naszej ucieczki i błędzenia, że to mogło być mniej więcej w punktach 10, 10, 10, nieco na północ jakiegoś trzęsawiska, które zdawało się być przedłużeniem owego mokradła przy grobelce. Langiewicz ze sztabem stał w punkcie 11.

Tymczasem odgłos strzałów działowych i karabinowych słabnął powoli, rzedniał, wreszcie ustał zupełnie. Głuche w całym lesie zapanowało milczenie. Wtedy dyktator odezwał się do swego otoczenia: „Musimy pojechać na rekonensans; chciałbym się rozpatrzyć w pozycji naszej“. Ruszyliśmy więc za nim, w jakie 20 koni (to jest Jeziorański, Waligórski, p. Tomasz, Borzysławski pułkownik, ja, Pustowójtówna, różni adjutanci i gwałtygierzy), lasem, w kierunku wschodnio-północnym. Ponieważ drogi nie było i prze-

dzieraliśmy się zaroślami i krzakami, siebie i konie drapiąc gałęziami, postępowaliśmy więc bardzo zwolna, w długim sznurku, po dwa konie frontu, a czasem gęsiego. Mogła być wtedy godzina 5. po południu. Po jakimś czasie takiego błądzenia, widząc, że tylko coraz głębiej w nieznaną las, w nieznanym brniemy kierunku i wśród gąszczu nic zgoła nie widzimy i ujrzeć nie możemy, jak bezpośrednio nas otaczające drzewa i krzaki, podjechałem do Langiewicza i rzekłem mu: „Dyktatorze, brnąc w ten sposób w las, nic nie zobaczymy, a stracimy ślad powrotu do naszych ludzi. Możesz nawet dyktator wpaść niespodzianie w ręce kozaków“. Na to odpowiedział mi Langiewicz ironicznie i zimno: „Bo widzisz, szefie, ja się bardzo boję, więc dla tego w las jadę“. Naturalnie po takiej szyderskiej odprawie zamilkłem, cofnąłem się w tył przedzierającego się przez krzaki hufca sztabowego i jużem więcej ust nie otworzył przez cały ciąg naszego jeżdżenia po lesie. Gdzieśmy jeździli, tego nie wiem, to tylko pamiętam, żeśmy wciąż gąszczem postępowali mniej więcej w kierunku zachodnio-północnym, tak jak kropkowana linia kręta od punktu 11 do punktu 12 wskazuje, żeśmy główną drogę leśną z Welecza na północ G, G, w poprzek raz przecięli, i żeśmy przejeżdżali także w małej odległości od owych sągów, przy których było z rana nasze obozowisko. Kiedyśmy jadąc w ten sposób lasem, byli może w połowie drogi z punktu 11 do punktu 12, dotychczasową ciszę przerwały naraz strzały karabinowe, rozlegające się w oddali, mniej więcej w stronie lasu, ku której wojsko nasze było pierzchnęło, a więc w stronie północno-wschodniej. Ogień stawał się coraz żywszy, a wśród niego słychać było różne sygnały rosyjskie, na wojskowych trąbach strzeleckich dawane. Jeden z jadących z nami gwałtygerów, kapitan Leniewski *), wprzód rosyjski oficer, znający doskonale

*) Ten Leniewski był dzielnym i bardzo zdeterminowanym oficerem. Rozmawiałem z nim nieraz o tem, że właściwie Moskale prowadzą wojnę partyzantską, bo wszędzie ich pełno, wszędzie nas ścigają i szarpiają, a my tylko po lasach się chronimy, działalność powstania ograniczając na zajmowane chwilowo leśne schronienie. Mówiłem, coby to mały huśec 50-ciu śmiałych i zdeterminowanych jeźdźców mógł nadokazywać, przenosząc się z miejsca na miejsce, alarmując co chwila

rosyjskie sygnały, tłumaczył dyktatorowi te, które teraz kolejno po sobie, w pewnych odstępach czasu następowały, i tak n. p.: „Czwarta rota strzelecka, rozsyp się w tyraliery“. — „Stój“. — „Rezerwy tyralierskie naprzód“. — „Trzecia rota strzelecka idź w pomoc“. — „Rozsyp się“. — „Rezerwy w pomoc“. — „Tyraliery do zboru“. — Wreszcie po upływie trzech kwadransów lub godziny takiego strzelania i takich sygnałów, rozległy się sygnały: „Tyraliery cofnijcie się“. — „Zbór ogólny“. — „W tył“. — poczem ogień zaczął słabnąć, gasnąć, wreszcie poprzednia zaległa znów w borze cisza. My tymczasem, słuchając tego wszystkiego, jechaliśmy wciąż bezdrożnym lasem, wciąż nic innego przed sobą nie widząc jak gąszcz i wysokopienny bór, krzakami i drobnymi choinkami podbity. Wreszcie, kiedyśmy mniej więcej do punktu 12 dojechali, i kiedy zmrok już zapadać zaczynał, uznał sam Langiewicz bezcelowość dalszej podobnej wędrówki po lesie i kazał nawrócić. Szczęściem, że podczas naszej jazdy wzmógł się był znów nieco śnieg od południa pruszący, tak że ślad dwudziestu koni naszych pozostał wśród bezdroży i zarośli widoczny; inaczej, aniby o tem mogło być mowy, żebyśmy o zmroku, który niebawem w noc się przemienił, trafili przez bezdrożny i nieznany las do swoich. Wszystko więc na miejscu zawróciło, Langiewicz wysunął się do czoła przeciągłego naszego hufca, (bo tylko po dwóch a często zaledwie po jednym przez gąszcz jechać było można), i poczelśmy wracać zupełnie tą samą drogą, najpilniej wydeptanego w słabym i topniejącym śniegu śladu naszego pilnując, bo to jedyna była nić, która nas po zmroku z tego labiryntu wyprowadzić mogła. Jako próbkę obustronnego zamieszania i błędzenia, nieodłącznego od wojskowych ruchów i bitwy w gęstym, rozległym i nieznanym borze, przytoczę ten oryginalny szczegół, że kiedy wracając tym

Moskali, łącząc niejako różne województwa i korpusy powstańcze ze sobą, objaśniając okolice naszej głównej armii i t. d. Stańło wreszcie między nami, zdaje mi się podczas pobytu w Chrobrzu, że on uformuje niebawem rodzaj polskich kozaków, wybierając po swojej myśli, z całego naszego korpusiku kilkudziesięciu ryzykownych i zdeterminowanych jeźdźców. Langiewicz zgodził się na nasz plan. To, co zaraz potem zaszło, udaremniło go.

sposobem, przecinaliśmy znowu ową główną drogę leśną G. G. i kiedy kilku z nas w tym gęsim marszu nieco z tyłu pozostali, paru kozaków kłusujących ową drogą, skrzyżowało się z nimi i, nie wiem, czy z naiwnej dobroduszości, czy nie poznając po zmroku, że to powstańcy, czy też chcąc sobie dać jakiś kontenans, zapytało ich w przelocie, prędko i zafrasowanym głosem: „Nieznajecie wy, hdie nasi dragony?” i nie czekając odpowiedzi, dalej ku Wełeczowi pokłusowali. Widać, że Moskale zgubili gdzieś w lesie podczas bitwy swoich dragonów, i że teraz rozsyłali kozaków, żeby ich odszukać. Kiedyśmy napowrót z Langiewiczem w okolicę punktów 10, 10, 10 przybyli, zupełnie już było ciemno, ani więc jasno wiem, gdzieśmy przystanęli, ani też mogłem widzieć, co z naszego wojska w tej okolicy się znajduje; pamiętam tylko, żeśmy dla odpoczynku posiadali z koni w przesmyku leśnym, wyglądającym niby jaka droga, wolnym nieco od wielkich drzew, i że z gwaru okolicznego, z jęku rannych, z przesuwających się postaci żuawów, ułanów, kosynierów, lekarzy, oficerów i chłopów z biczami, wnioskować było można, że w tej okolicy lasu poznajdywała się napowrót nietylko większa część naszego wojska, ale nawet niemała ilość wozów taborowych. Z rozrzuconych opowiadań o tem, co w tych stronach podczas naszej dwugodzinnej blisko nieobecności zaszło, zestawiam taki obraz, jaki mi się podówczas w głowie utworzył, nie ręcząc wszelako bynajmniej za jego prawdziwość, nic bowiem z tego wszystkiego sam nie widziałem, tylko sobie wykombinowałem z niejasnych i często ze sobą niezgodnych dat, różnych opowiadających osób. Kiedyśmy około godziny 5. po południu z okolicy 10, 10, 10, byli na ów sławny rekonesans odjechali, zjawił się tam Rochebrune pieszo i sam, żuawów bowiem swoich zostawił jeszcze jak się zdaje w okolicy punktu 4. Opowiadał on zebranym w koło niego pułkownikom i oficerom, z właściwą sobie i Francuzom w ogóle emfazą i z gorączkowym rozdrażnieniem dowódcy, którego w najtęższym ogniu samego z małym oddziałkiem zostawiono, jak żuawi jego mężnie walczyli z przeważnym nieprzyjacielem; jak Moskale nagle ustępować przed nimi zaczęli; jak się żuawi rzucili na odprzodkowane w krzakach armaty; jak mieli już prawie te armaty w swoim ręku i byłiby je z pe-

wnością zdobyli, gdyby najmniejsza z naszej strony przyszła im była pomoc. Rozpalony własnem rozgorączkowaniem posunął się w końcu do wykrzyków, może w gruncie nieco słusznych, ale w każdym razie bardzo nieprzyzwoitych i obelżywych: „Vous êtes tous des lâches! vous ne méritez pas d'avoir une patrie, car vous ne savez pas mourir pour la patrie!“ i t. p. Jeden z wyższych oficerów, obrażony do żywego takimi przechwałkami i naukami moralnemi, rzekł mu, iż dziwna jest rzecz, że on, Rochebrune, który innych tak pięknie poucza, sam jednak swoich ludzi w lesie gdzieś opuścił i niepotrzebnie tu przylazł. Na to Rochebrune, z emfaticzną famfaronadą, która u Francuzów idzie niekiedy z rzeczywistą dzielnością w parze, wykrzyknął: „Il n'y a plus des zouaves! ils sont tous morts sur le champ d'honneur“, co było zupełną nieprawdą, jak się później okazało, bo w ogóle zginęło może kilkunastu żuawów, a kilkunastu było rannych. Bądź co bądź, wśród takiego certowania, odezwały się naraz od strony puuntu 16 rosyjskie sygnały strzeleckie i zaczęły się rozlegać w oddali, w lesie strzały pojedyncze. Rochebrune zaczął wtedy zachęcać, żeby jaki oddział z rozproszonych, a w punktach 10, 10, 10, przebywających powstańców, ruszył w las przeciwko nowemu temu atakowi Moskali. Wszelako nie było już żadnego zwartego oddziału i nie było w całości skupionych tam powstańców dostatecznego animuszu. Pojedynczy jednak oficerowie, bądź to własnym pędzeni uczuciem obowiązku wojskowego i patriotycznego zapału, bądź dotknięci świeżemi wyrzutami Rochebruna i chcący poprzednią rozsypkę i ucieczkę powetować, jęli gorąco wzywać i pobudzać do iścia na ochotnika. Tym sposobem zebrała się kupa kilkuset ochotników z różnych pułków pieszych, po większej części młodziutcy powstańcy z inteligencyi, pełni poświęcenia i zapału, ale z nimi niemało także prostych ludzi, kosynierów, i to wszystko rzuciło się w las pod przewodztwem niewielu oficerów, w liczbie których odznaczali się: pułkownik Dąbrowski, gwałtygier Aureli Baliński, Rochebrune i inni, naprzeciw zbliżającym się Moskałom. Rychło przyszło do starcia w lesie, przy czem Moskale postępowali mniej więcej od punktu 16, a nasza chmara ochotników od punktu 15. Walka była po większej części tyralierska, ale przychodziło także co moment

do starcia oko w oko. Nasi walczyli z męstwem i zaciętością; szczególnie zacięci byli kosynierzy, którzy pierzchającym lub broni rzucającym Moskałom pardonu żadnego nie dawali, tylko rąbali ich, bezbronych nawet, kosami. W końcu Moskale, straciwszy w poległych majora, kilku oficerów i bardzo wielu żołnierzy, niemało w rannych i dwudziestu kilku w jeńcach, (których się naszym wykształconym ochotnikom od zaciętości kosynierów uratować udało), pierzchnęli z lasu w popłochu i nieporządku. Nasi wrócili też do okolicy, z której byli wyszli, to jest mniej więcej do punktów 10, 10, 10, poniośszy także niemałą, ale od Moskali dużo mniejszą stratę w zabitych i rannych. Usłyszawszy taką opowieść o odniesionem zwycięstwie, Langiewicz, przemówił z pewną emfazą do otaczających, winszując odniesionego zwycięstwa, rozkazując ogłosić je zaraz całemu wojsku i t. d. Wobec tak nagłej przemiany naszego położenia i w ogóle naszego animuszu, jużem naturalnie ani pomyślał o wręczeniu dyktatorowi owej kartki z żadaną przez niego przed paru godzinami marszrutą ku granicy, on też nic mi już o niej nie wspomniał: została więc ona w mojej kieszonce, zapomniana i nieużyta. Chodziło już teraz tylko o to, co dalej ze sobą i wojskiem zrobić. Ja radziłem Langiewiczowi, żeby, kiedyc jesteśmy zwycięzcami, nie siedzieć dłużej w tych mokrych, ciemnych i nieznanych gąszczach, ale podążyć do owych sągów, gdzie biwakowaliśmy z rana, a do których od biedy można było i po ciemku trafić, i tam rozpaliwszy sobie porządne ognie ze suchego i gotowego drzewa w znanej nam dzielnicy lasu, dać wczas pomęczonym ludziom i koniom i doczekać się rana i białego dnia. Powodowała mna, przy tej radzie, w części myśl, żeby w takim centralnem leśnem stanowisku mózdz w ciągu nocy pościągać rozproszonych, pozbierać rannych i t. d., w części zaś może, przynaję, osobista, instynktowa tęsknota za odpoczynkiem w pobliżu porządnego ognia biwakowego, bom był bardzo przemokły od mokrego śniegu, zziębnięty, zmęczony. Langiewicz nie mógł się jednak na to zdecydować, mówiąc, że trzeba się tu naprzód zgromadzić, rannych poopatrywać, poodbierać raporty i t. d. Odparłem wtedy, że kiedyc mamy tu jeszcze godzinę lub dwie pobyć, niechże przynajmniej wolno będzie porozpalać sobie ognie (surowo bowiem było to wzbronione,

z obawy wskazania Moskałom, gdzie przebywamy), bo czegoż mamy się bać, kiedyśmy zwycięzcami, i czemuż nie mamy ludziom dać się przynajmniej wygrzać i osuszyć w nagrodę zwycięstwa. Po niejakiem wzdraganiu przystał wreszcie Langiewicz na danie tego pozwolenia. Kazałem je zaraz, o ile się dało po ciemku, rozgłosić pomiędzy powstańcami; taka jednak panowała między nimi niezaradność, wyczekująca bierność i ociężałość (w dużej części wskutek nadmiern zmęczenia i głodu), że lubo wszyscy ognia pragnęli, nikt zgoła go sobie nie zrobił. Prawda, że zadanie nie było łatwe. Suchego drzewa wcale nie było w pobliżu, tylko młode zielone choinki, zmoczone od śniegu; liście do podpałki, takż śniegiem i wilgocią były przesiąkłe. Ja wszelako zbyt żywo ognia pragnąłem, żebym się dał ustraszyć temi trudnościami. Wyszukałem po ciemku parę kosynierów włościan (włościan mieliśmy nader mało w wojsku naszym), spoufalconych z robieniem ognia w polu i datkiem kilku złotych spowodowałem do próbowania trudnego przedsięwzięcia. Jakoż póty znosili chrusty i gałązki, ocierali je ze śniegu, dmuchali, układali i majstrowali, aż wreszcie wcale niezły zbudowali ogień. Około tego jedyne go na cały obóz ogniska skupił się rychło nietylko cały sztab, ale i różni żołnierze, ranni i w ogóle każdy, co się na chwil kilka mógł doń docisnąć. Tu to przyszedł witać dyktatora, postrzelony dwa razy w dłoń Aureli Baliński, tu to przeprowadzono nam jeńców rosyjskich (dwudziestu kilku ludzi i jeden oficer, ten ostatni lekko cięty w głowę kosą i dobrze mówiący po polsku), których leżąc około ognia, badaliśmy, Langiewicz, ja i Pustowojtówna, służąca nam za tłumacza (bo wybornie mówiła po rosyjsku). Zeznawali oni jednogłośnie, że należą do rot strzeleckich pułku (zdaje mi się) smoleńskiego,; że konsystowali zwykle w Stobnicy, w ilości dwóch rot i szwadronu dragonów, pod dowództwem pułkownika czy tam majora Gawryłowa; że dzisiejszego rana wyruszyli ze Stobnicy idąc do Pinczowa; że po południu zatrzymali się w miasteczku Busku (o trzy ćwierci mili lub milę od Grochowisk), gdzie oficerowie zaczęli sobie gotować herbatę na samowarach; że naraz usłyszano strzały w lesie; że oficerowie przerwali robotę herbaty i kazali stanąć im pod broń; że pomaszzerowali ku jakiemuś lasowi; że kiedy do lasu wchodzili,

już nie było słychać wystrzałów; że spotkali się w lesie z powstańcami, którzy ich dużo nazabijali a ich samych do niewoli wzięli. Ponieważ oprócz nas dwóch, – Langiewicza i mnie, wielu innych także oficerów wtrącało swoje pytania, powstawały więc nieraz bardzo naturalne *qui pro quo*, które ci oficerowie brali za *asumpt* do lżenia tych jeńców i groźnego na nich fukania, chociaż ci biedacy, o ile umieli, prawdę mówili. I tak n. p. pyta jeden: »Ilu was wszystkiego było?« Jeniec odpowiada: „Dwie rotys trzeleckie“. Oficer na to: „Łżesz gałganie, bo was musiało być z parę tysięcy“. Potem znowu: „Ileście mieli armat ze sobą?“ Na to jeniec: „My wcale armat nie mieli“. „Łżesz, boć do nas z armat kartaczami strzelano. Mów zaraz prawdę, psia wiaro, bo ci inaczej zaśpiewamy“. „Jej Bohu, my puszek nie imieli“. Oczywiście prości i ciemni ci ludzie o tem tylko wiedzieli, co się w bezpośrednim pobliżu ich samych działo. Langiewicz także się chwilowo na tych jeńców zniecierpliwiał wskutek łatwo pojąć się dającego uczucia generalskiej miłości własnej. O rozprawę z Moskalami, którą on miał niegdyś pod Staszowem czy w Staszowie, a która swego czasu figurowała w różnych dziennikach, jako jedna ze świetnych wygranych, gdzie tyle a tyle Moskali na placu położono, toczyły się podobno jakieś kontrowersye, nie wiem: ustne czy pisane. Dostyc, że Langiewicz wymiarkowawszy, iż dzisiejsi nasi jeńce należeli do ówczesnej Staszowskiej załogi, chciał niezbitym dowodem stwierdzić klęskę, którą wtedy Moskalom zadał; spytał ich więc: „Ilu z waszych zginęło wtedy a wtedy pod Staszowem?“ Na to jeniec: „Nikt z nas nie zginął tylko siedmiu było rannych“. „Eh! głupiś! odrzekł dyktator i zaczął innego badać jeńca. Ten mniej więcej toż samo odpowiadał. Langiewicz był przekonany, że to wyuczona u nich lekcya, tłumaczył im, że musiało ich kilkudziesięciu przynajmniej zginąć i ostro napominał, żeby prawdę mówili. Moskaliska przysięgali się na Pana Boga i wszystkich świętych, że mówią prawdę i zaczęli wyliczać poszczegółowo rannych; „Iwan Łupkin z tego kapralstwa, tej rotys, ranny był w kolano; Dymitr Niezabułow z tej a tej rotys, ranny tam a tam i t. d. Dyktator, nie mogąc się z nimi dogadać, zniecierpliwiony, odprawił ich, mówiąc do nas, że kłamią oczywiście. Tymczasem nastąpił wieczór, a my stali w krzakach, nie biorąc żadnego

postanowienia, czy to zostania na noc w miejscu, czy ruszenia w inną stronę. Lekarze opatrywali rannych, o ile się dało po ciemku; ludzie i konie pomęczeni, głodni, zziębli i przemokli, dość lichego byli, pomimo zwycięstwa, animuszu. Chwilami oddalałem się od ognia, idąc to tu, to tam. W jednej z takich chwil musiał Langiewicz odebrać jakieś nowiny z zewnątrz, bo kiedym znów do ognia i do niego się zbliżył, rzekł mi: „Pobici Moskale cofnęli się do Galowa i zatarasowali się we wsi na noc; w Wełeczcu zaś nie ma ich wcale. Pomaszerujemy na noc do Wełeczca“. Zaczęto więc skupionym ludziom w lesie podawać po ciemku rozkaz gotowania się do marszu, ale nim się to wszystko jakoś pozbierało i wyszykowało, nadeszła godzina 10. lub 11. z wieczora. W końcu ruszyliśmy z lasu i wydostaliśmy się na drogę do Wełeczca. Langiewicz ze sztabem jechał prawie u czoła kolumny; z tyłu wlokła się reszta ludzi, koni, wozów i rannych, w miarę, jak się po ciemku z lasu na drogę wygrzebać mogła. Kiedysmy już prawie do Wełeczca dojeżdżali, postrzegliśmy na prawo ode drogi, w punkcie B dość mocne światło. Langiewicz, zaintrygowany coby to było, polecił, żeby paru ułanów podjechało tam i zobaczyło, co się tam świeci. Żaden ułan nie chciał wszelako próbować już tej wycieczki po ciemku i po bezdrożach, składając się pomęczeniem głodnych i niepojonnych koni, które rzeczywiście prawie upadały. Adjutanci też nie chcieli z tych samych powodów; znalazł się wreszcie jakiś gorliwy gwałtygier, który wypełnił życzenie (bo już o rozkazach prawie mowy nie było) dyktatora. Wróciwszy po jakimś czasie, zaraportował, że to jest karczma na wzgórzu, i że w tej karczmie i do koła niej stoją dragony rosyjskie z rozkiełznanymi końmi i grzeją się przy małym ogniu. Rzucił ktoś myśl, żeby ich obskoczyć i zabrać do niewoli, ale że wcale już nie było amatorów do takiej imprezy, a rozprężenie wszelkiej karności i spójni wojskowej aż nadto było widoczne, myśl więc natychmiast upadła. Karczma ta mogła być o wiorstę lub półtory od Wełeczca. Dojechaliśmy wreszcie do tej wsi około 11. lub 12. w nocy i stanęliśmy przede dworkiem dzierżawcy, w którym byliśmy zesłą noc spędzili. Zrazu próbowałem skłonić postrzeganych oficerów od piechoty, żeby małe chociaż porozstawiali posterunki na straży u kilku wejść do wsi,

ale wszystko było tak znużone, rozprężone i upadłe na duchu, że tylko szyderskim uśmiechem lub oburkniem pełnym niechęci na takie żądania odpowiadano. Nocne więc nasze obozowisko we wsi pozostało, pomimo takiej bliskości dragonów, bez żadnego posterunku i straży i każda grupa naszych ludzi, w miarę jak do wsi docierała, lokowała się jak mogła, rzucając się do snu po chałupach, stodołach, pod płotami i t. d. Wspomnieć mi jeszcze wypada, że dojeżdżając już do wsi, spotkaliśmy po drodze próżne wozy chłopskie, wracające już to do Wełecza, już do wsi okolicznych. Pytani chłopci, co by tu robili po nocy, opowiadali: że pracowali w polu ze sprzężajem przed zachodem słońca, kiedy w lesie strzelano; że naraz zaczęli z lasu wybiegać w nieporządku i popłochu Moskale, po 8 do 10, zdążając ku Buskowi; że Moskale ci postrzegłszy ich w polu pracujących, wzięli ich w rekwizycyą ze sprzężajem i wozami i powiadawszy na wozy, co się ich zmieściło, kazali się co tchu wieść do Pinczowa; że zawiózłszy ich tam, wracają teraz z próżnemi wozami do domów.

Opowiadałem dotąd w porządku chronologicznym to, com widział bezpośrednio z bitew pod Chrobrem i Grochowskimi. Teraz wypada mi przerwać na chwilę tok opowiadania, żeby zestawić jaki taki obraz całości ruchów rosyjskich i naszych przez te dwa dni, tak jak go sobie wykombinowałem z tego, com widział, słyszał i od jeńców się dowiedział. Powtarzam jednak, że to będzie moja osobista tylko kombinacya. Zdaje się, że Moskale bardzo dokładnie byli zawiadamiani o każdorazowych naszych ruchach i pozycyach. Otóż zdaje się, że pułkownik Czengiery, który, jeżeli się nie mylę, komenderował w Miechowie, dowiedziawszy się o naszym ruchu z pod Antolki ku Nidzie i podejrzewając, że chcemy ciężko nawiedzić dobra ordynackie znieprawionego ministra Wielopolskiego, wyruszył inną drogą ku Nidzie, jużto żeby na nas przy sposobności uderzyć, jużto żeby zakrywać włości ministra od zniszczenia. Obrął ku temu za punkt zborny i centralny Pinczow, gdzie był *à cheval* rzeki i mógł w miarę potrzeby to lewym to prawym brzegiem debuszować. Żeby zaś wzmocnić się do stanowczej jakiej operacyi (mógł bowiem mieć ze sobą z 8 rot piechoty, szwadron dragonów, sotnię lub dwie kozaków i kilka lekkich dział

konnych), posłał majorowi Zwierowowi, stojącemu w Słobnicy z dwiema strzeleckimi rotami i szwadronem lub półszwadronem dragonów, rozkaz, ażeby się z nim dnia 18. marca w Pinczowie połączył. Zanim jednak Zwierów ze Stobnicy wyruszył, usłyszał nagle Czengiery w Pinczowie, w nocy z dnia 16. na 17. marca lub z rana dnia 17., że Langiewicz przybył z wojskiem swem do Chrobrza i że tam wypoczywa. Obawiając się zniszczenia majorackiej rezydencji ministra przez powstańców i płynącej dłań stąd odpowiedzialności, umyślił, nie czekając już na Zwierowa, uderzyć na nas natchmiast w ciągu dnia 17. marca; chcąc wszelako uniknąć bitwy we wsi i nieuchronnego prawie wtedy spalenia i zniszczenia wsi a może i pałacu, postanowił fałszywym atakiem przez mały oddział po prawej stronie rzeki, to jest od strony wsi i szosy z Pinczowa, wypłoszyć nas z Chrobrza na lewy brzeg, gdzie głównymi siłami w otwartym polu z nie-nacka mógłby na nas uderzyć. Opis zajścia pod Chrobrzem pokazał, że zmyliliśmy niechcący ten jego plan, usunięciem się z Chrobrza, zanim jeszcze nadciągnęła kolumna do fałszywego ataku przeznaczona. Główna siła Czengierego, doznawszy oporu na obu skrzydłach, nie wiedząc, co się kryje i co jej zagrażać może na lewym jej skrzydle, na zarosłych wzgórzach, nie śmiała naprzód postępować, ile że już zmrok począł zapadać. Przenocowawszy gdzieś w polu i dowiedziawszy się z rana dnia 18., żeśmy z Wełecza do Grochowisk wyruszyli i że tam w pobliżu sągów drzewa rozłożyliśmy się obozem, postanowił Czengiery atakować nas znowu z dwóch stron, a mianowicie jedna lub dwie roty piechoty miały nas fałszywym atakiem od strony Wełecza zaniepokoić z tyłu i popchnąć drogą i zagajnikami ku Galowu, gdzieby nas główna jego siła przyjęła. Dość wczesny nasz wymarsz z obozowiska i pojawienie się tyralierów Rochebruna w zagajnikach, przyspieszyły nieco otwarcie ognia ze strony głównej siły rosyjskiej. Czengiery znalazłszy dzielny opór w Rochebrunie i suponując, że cała nasza trzytysięczna armia również dzielna i na atak przygotowana, bał się dalej w leśną bitwę zapuszczać i cofnął się z punktów 7 i 8 ku Galowu. Tymczasem owa drobniejsza kolumna rosyjska od Wełecza idąca, zetknęła się na naszych tyłach (9) z tyralierami Czachowskiego (3), czyli raczej przywitała go pra-

wdopodobnie niespodzianym ogniem. Ci, którzy byli wtedy w owym oddziale Czachowskiego, a z którymi w kilka miesięcy później rozmawiałem, nic jasnego powiedzieć nie umieli, powtarzali tylko, że będąc odcięci przez Moskali od głównego naszego korpusu, musieli się gdzieś w lasy jakieś cofnąć i błędząc, podążać ku górcom św. Krzyskim. To odcięcie mniemane, jest wszelako całkiem nieprawdopodobne dla każdego, co rozważy ówczesną naszą pozycję, pozycję Czachowskiego i kierunek różnostronnych kul rosyjskich, które na nas szły z przodu i z tyłu. Przypuszczać raczej trzeba, że batalion Czachowskiego, będąc nagle ogniem przywitany od Moskali, w punkcie 9 ustawionych a od Wełeczki idących, a słysząc od strony głównego naszego korpusu (1, 1, 1) gęsty ogień rosyjski, a nawet dostając może stamtąd kule daleko niosącej gwintowanej broni moskiewskiej, nie cofał się w porządku i za rozkazem na główny nasz korpus, jakby ariergardzie wypadało, ale raczej odstrzeliwając się po trochu, usuwał się instynktownie w stronę, skąd kule i strzały nie przychodziły, a więc w kierunku punktu 13 i 14. Moskale zaś idący od Wełeczki, zamiast gonić Czachowskiego w nieznanym kierunku i lesie, poszli dalej do punktu 18, strzelali stąd na naszą główną kolumnę czas jakiś, a potem poszli ku punktowi 19, żeby, stosownie do danej sobie instrukcyi, połączyć się z głównymi siłami Czengierego. Czachowski, doszedłszy od punktu 14, słysząc ogień gasnący pod wieczór i w myśli żeśmy rozbici i że Moskale są między nim a nami, nie próbował już nawet wyszukiwać nas, ale raczej salwował się z batalionem, uchodząc coraz to dalej, aż nareszcie zdecydował się szukać w górach świętokrzyskich schronienia i punktu oparcia do partyzantki na własną rękę. Śród tych ruchów Czengierego, pół szwadrona lub szwadron dragonów, dodanych bądź to oddziałowi idącemu na nas od Wełeczki, bądź to głównym siłom atakującym nas od Galowa, otrzymało jakieś niewiadome mi przeznaczenie samodzielne, bądź to oskrzydlenia nas, bądź alarmowania z innej strony, bądź rekognoskowania i strzeżenia jakich punktów w lesie. Dragoni ci, śród powszechnej strzelaniny na wszystkie strony w nieznanym sobie lesie, musieli zbłądzić i nie potrafili połączyć się już z Czengierem. Nabłądziwszy się, i kiedy już zmrok zapadał, wynurzyli się zape-

wne z boru od strony Wełecza, a postrzegłszy w pobliżu samotną karcznię B, postanowili noc tam przeczekać i z rana swoich odszukać. Żadne więc zaczepne z ich strony kroki w głowie im przez ciąg tej nocy nie powstały, chociaż może i zmiarkowali, że jesteśmy w Wełeczu. Kiedy tym sposobem Czengiery cofał się ku Galowu z głównymi siłami, oddział rosyjski 9 łączył się z nim przez punkta 18 i 19, a zbłąkane dragony zmierzały w stronę przeciwną ku punktowi 17 i kiedy ogień zupełnie już był ustał w północno-zachodniej części lasu, odrębny epizod zaczął się w północno-wschodnim kierunku odgrywać. Oddział Zwiercowa, czyli rosyjska załoga Stobnicka, wyruszyła, stósownie do rozkazu, ze Stobnicy tegoż dnia z rana, żeby przed wieczorem połączyć się z Czengierem w Pinczowie. Doszedłszy do Buska około godziny 1. lub 2. z południa, zatrzymano się tam dla odpoczynku i posiłku ludzi. Naraz około 3. słychać w Busku silną strzelaninę od strony Grochowiskiego lasu. Zwiercow, w myśl elementarnego prawidła wojennego, żeby iść zawsze w kierunku słyszanych strzałów, bo się tam z pewnością będzie albo potrzebnym albo może, odpowiednią ewentualną mając instrukcję, każe natychmiast przestać gotować i zabierać się do marszu w las Grochowiski, od strony Buskowi najbliższej, a więc ze strony punktu 16. Nim się Moskale wybrali, nadeszła godzina 4.; nim doszli do lasu w punkcie 16, godzina piąta; tymczasem Czengiery już się był cofnął. Zwiercow jednak, będąc już raz w lesie, zaczął w nim postępować i rozwinął się drugi ustęp bitwy Grochowiskiej; od strony punktów 10, 10, 10, zaczynają dawać ognia; tworzy się z naszej strony kolumna ochotników, postępuje ku punktowi 15 i rozbija zupełnie owe dwie rotę strzeleckie Zwiercowa. Przetrzebieni i przepłoszeni Moskale uciekają wreszcie w nieładzie napowrót ku Buskowi, a spotkawszy po drodze wozy i sprzężaje chłopskie, albo też rekwirując je na prędcę, skąd mogą, siadają na nie i pędzą do Pinczowa, gdzie mieli pierwotny rozkaz stanąć przed wieczorem. Jeżeli teraz zapytamy o wysokość strat zadanych i poniesionych w zabitych i rannych, pod Grochowiskami, we wszystkich ustępach tej bitwy, to bym ją szacował według osobistych moich postrzeżeń i kombinacyj, najwięcej na 200 zabitych (z obu stron razem) i tyłuż lub nieco więcej rannych. Tymczasem w kilka miesięcy

później, miałem sposobność rozmawiania w Krakowie z jakimś proboszczem czy wikaryuszem z Buska, czy też okolicy, twierdził, iż był obecny, jak w kilka dni po bitwie, trupów pozbieranych w różnych stronach lasu grzebano we wspólnym dole, w przytomności księży, i że tych trupów było ogółem pięćset siedmdziesiąt kilka (nie pamiętam już dobrze, którą z tych dwóch cyfr podawał). Iluby z tej ogólnej liczby przypadło na Moskali a ilu na Polaków, podać nie umiał i ci, co grzebali, nie wiedzieli, gdyż wszystkie trupy były (jak zwykle po każdej bitwie, gdzie plac boju przez wojska jest opuszczony), całkiem z odzieży odarte i nagie. Cyfra ta, mimo pozornie tak wiarogodnego świadectwa, dużo przesadzona być mi się widzi.

A teraz do przerwanego wracam opowiadania. Wełecz pusty był i wyjedzony aż nie do poznania, od 24 godzin. Po naszym wczorajszym noclegu przybyli doń kozacy, później piechota, i co było jeszcze zostało we wsi ze zboża, siana, wódki i wiktuałów, z kretesem wybrali. Dzierżawca uciekł bryczką z żoną, końmi i kosztowniejszym dobytkiem, dworek pusty i z wszystkiego ogołocony zostawując. Nawet woda ze studzien tak była gruntownie wybrana dla koni, żeśmy teraz nie mogli nawet znaleźć dosyć wody do ugotowania sobie herbaty. O chlebie i wódce ani już mowy nie było. Przytułek więc pod dachem, jedynem był dobrodziejstwem, które nam Wełecz dziś przedstawiał. Dworek Wełeczki przedzielała się na dwie połaci; po lewej była spora izba folwarczna z kominkiem, na którym płonął ogień i około którego cisnęli się różni ranni i zdrowi, słowem każdy, co wpadł na myśl dostać się do tej izby; po prawej stronie były trzy izby mieszkalne, jedna od wejścia nieco większa i dwie z tyłu mniejsze. Okryty na wskrós przemokłą od śniegu, a więc nader ciężką burką, przemokły od strony siedzenia, zziębły, znużony, głodny, spragniony, a przytem na wskrós chory, próbowałem dostać się na chwil kilka do owego ognia w izbie czeladnej, ale różni powstańcy, którzy mnie tam byli uprzedzili, zajęli już całą okolicę kominka w posiadanie i każdego intruza ponurem przyjmowali szemranie. Wróciłem tedy do owych izb stanowiących główną kwaterę, a w których z trzydzieści różnych osób się mieściło; stołków było tylko kilka, reszta więc stała, cho-

dziła lub leżała w kątach na podłodze. Niektórym udało się pozasypiać w takich pozycjach; jam oka nie zmrużył, jużto chodząc i rozmawiając, jużto stojąc oparty o ścianę i próbując znaleźć w tej pozycji nieco wypoczynku dla zemdłego ciała. Langiewicz siedział po większej części w ostatniej izdebce, jużto medytując, jużto rozmawiając z pułkownikiem Borzysławskim i generałami Waligóskim i Jeziorańskim. Na stole u niego stała cienka łojówka, licho izdebkę oświetlająca, a w około niego leżeli w kątach i pod stołem, w półcieniu, różni powstańcy (zapewne adjutanci lub gwałtygierzy) chrapiąc doskonale. Pan Tomasz, Pustowojtówna i inni przykucnęli w ciemnej drugiej izdebce, na wpół drzemiąc, na wpół czuwając. W taki sposób zeszło nam parę godzin. Naraz, około godziny 2. z rana (a więc właściwie już dnia 19. marca), wyszedł Langiewicz z owej drugiej izby ku mnie i szepnął mi: „Chodźno, szefie, musimy odbyć radę wojenną”. Poszedłem tedy za nim do ostatniej izdebki; żeby zaś sobie ulżyć nieco ciężaru podczas narady i przesuszyć burkę, powiesiłem ją przy drzwiach z pierwszej do drugiej izby, pierwszy raz lekkomyślnie z nią się rozstając (panował bowiem brzydki zwyczaj, że rewolwery, burki, buty, czapki, manierki i t. d., których się bezpośrednio nie strzegło, natychmiast ginęły). Langiewicz zwołał jeszcze do siebie kilku innych oficerów, a wyprosiwszy niepotrzebnych ze swej izby (z wyjątkiem tych, co na podłodze po kątach chrapali), zamknął drzwi i zaczęła się rada wojenna. Brali w niej udział oprócz dyktatora, generałowie Waligórski i Jeziorański, pułkownik kawalerii Ulatowski (z Sandomierskiego), podpułkownik Bożysławski i ja. Langiewicz zaczął od przemowy, że pragnie usłyszeć nasze zdanie w krytycznym naszym położeniu; bo chociaż odnieśliśmy w dniach ostatnich kolejne nad Moskwą zwycięstwa pod Chrobrzem i pod Grochowiskami, to jednak położenie naszej armii nieszczególnie: zewsząd jesteśmy ścigani i otoczeni przez różne oddziały rosyjskie, tak że niema już sposobu rekwirować w okolicy niezbędnego furazu i żywności, tabor zaś nasz z zapasami żywności i częścią gotowej amunicji, przepadł nam pod Chrobrzem; pod Grochowiskami znowu dużo wozów poginęło (zgiął także wóz sztabowy Langiewicza, na którym mieściłem w podróżnym worku książki, papiery i mapy wojskowe); według tego

co mu dowódcy różnych oddziałów powiedzieli, większa część piechoty wcale już ładunków nie miała; różni strzelcy i ochotnicy mają wprawdzie jeszcze zapas prochu w różkach i kule, ale, wzięwszy przecięciowo ich dostatek z niedostatkiem innych, wypada już tylko po dwa strzały na żołnierza; jest wprawdzie jeszcze jeden wóz z zapasem prochu i ołowiu, ale trzeba czasu i miejsca, żeby z tego ładunki porobić; ludzie i konie w najwyższym stopniu są pomęczeni i zgłodniali, tak że już prawie służby odmawiają; niechętnie też intrygi Mierosławczyków coraz to bardziej w wojsku nurtują i na jaw wychodzą. Czego zresztą nie wiemy, a o czym on z pewnością świeżo się dowiedział, to, że oprócz wszystkich sił rosyjskich, które mamy w około siebie, wyruszyła jeszcze świeżo z Radomia, przeciwko nam, dziesięciotysięczna dywizya Urusowa. Po takiej wstępnej przemowie dyktatora nastąpiła krótka chwila milczenia. Przerwał je ktoś (ale już nie pamiętam kto) uwagą, że w podobnem położeniu, ponieważ od strony granicy galicyjskiej nie masz jeszcze zwartego oddziału Moskali, tylko, co najwięcej, włóczą się kozacy, najlepiejby więc było cofnąć się nieco ku granicy, zając podobną jak w Goszczy pozycję i, mając tym sposobem bezpośredni związek z Galicyą i Krakowem, zaopatrzyć się tam w żywność, amunicję, dać odpocząć i pokrzepić się koniom i ludziom, poodsyłać chorych i rannych, uporządkować się i zreorganizować, a potem działać w miarę okoliczności. Na to Langiewicz odpowiedział, że na cofnięcie się ku granicy galicyjskiej w żadnym razie nie pozwoli, gdyż w obecnem wycieńczeniu i usposobieniu wojska, byłoby to, pomimowoli nawet, niechybnem hasłem do nieprzepartego salwowania się za galicyjską granicę dla wielu, za którymi poszłaby niebawem całość. Wszyscy uznaliśmy trafność tej uwagi Langiewicza i owa kombinacja odżywienia się i zreorganizowania w pozycji opartej o granicę galicyjską stanowczo uchylona została od dalszych rozważ i narad. Langiewicz zwrócił wtedy pytający wzrok do generała Waligórskiego (czy też Jeziorańskiego), a ten zaczął w taki sposób: „Ja mogę tylko powtórzyć, to com już mówił że...” Z tego wstępu widocznem mi było, że już poprzednio, czy to w lesie Grochowiskim, w pierwszych chwilach naszej rozsyпки, czy też tu w Wełeczcu, przed godziną, obszerna w tym

przedmiocie pomiędzy dyktatorem a generałami musiała się toczyć poufna rozmowa. Po takim tedy wstępie, rozwijał ów generał ciąg myśli mniej więcej następujący: że, jak doświadczenie pokazuje, obstawanie przy jednej większej armii dyktatoryjalnej, z którą dyktator nieodłącznie niejako związany, jako jej dowódzca, politycznym i militarnym jest błędem. Politycznym, gdyż czyni dyktatora i dyktaturę, ów widomy sztandar powstania, a więc niejako i samoż wielkie ogólne powstanie narodu, zależnemi od przemijających i zawsze dość niepewnych losów pojedynczego oddziału powstańczego; militarnym, gdyż taka większa armijka jak nasza, przedstawia wszystkie dezawantaże większej armii, jako to, trudność poruszeń, trudność wyżywienia, potrzebę niezbędną jakiejś podstawy operacyjnej, ze względu na chorych, rannych, na amunicję i inne zapasy, a natomiast żadnego nie przedstawia z awantazów armii, gdyż pokazało się, iż jakkolwiek w licznej kupie, nie dosyć jesteśmy wyćwiczeni, wyrobieni i zorganizowani wojskowo, żeby móż w otwartem polu staczać bitwy z nieprzyjacielem; że więc wypada wrócić do systemu drobnych oddziałów, które wszędzie się prześlizną, i wszędzie wyżywią, i że dyktator, jako naczelnik całego w ogóle powstania, tak pod wojennym jak pod cywilnym względem, nie powinien się nieodwołalnie identyfikować z żadnym z tych oddziałów, ale raczej przenosić się, w miarę potrzeby i okoliczności, z jednego teatru wojny na drugi. Po jednym generale zabrał głos drugi z nich, popierając jak najsilniej zdanie preopinanta i przychodząc do konkluzji, iż wypada rozdzielić naszą armię na kilka drobniejszych oddziałów partyzanckich, które, łatwiej się pomiędzy otaczającymi nas Moskałami prześliznąwszy, w różne puszcza się strony kraju; że zaś sam dyktator i ci, którychby przy nowych oddziałach partyzanckich zużytkować nie było można, powinni na różne inne teatru wojny i przeznaczenia pospieszyć, naprzykład w Kaliskie lub Lubelskie, gdzie, jak słyhać poważne teraz zbierają się siły powstańcze. Spytany z kolei o zdanie pułkownik Ulatowski powiedział, iż mu się zdaje, że lepiej nie rozpraszać armii naszej, ale z całą ku Kielcom pomaszerować, gdzie podobno tylko dwie rotы załogą stoją; moglibyśmy więc łatwo zdobyć Kielce. Na czynione sobie przez Borzysławskiego, Langiewicza i dwóch

generałów objeły, że nie mamy amunicji i żywności, że trzeba wskazać bliżej, jaką drogą mamy dojść do Kielc i jak się wziąć do zdobywania murowanego miasta, nie odpowiadał Ulatowski ściśle i wprost, ale tylko w kółko powtarzał: „Nie widzę, czemu nie mamy iść na Kielce, ja znam Kielce; tam nie masz tak wielkich sposobów obrony; moglibyśmy pomaszerować ku Kielcom i t. d.“ Ponieważ argumentacja z tego zaczarowanego kółka nie wychodziła, Kielecki więc ten projekt upadł dla braku poparcia należytego ze strony projektującego, równie jak dla braku wszelkiego poparcia z innej strony. Ja milczałem i słuchałem. Borzysławski popierał żywo zdanie Jeziorańskiego i Waligórskiego. Wreszcie Langiewicz, zwracając się do mnie, zapytał: „A szef co?“ Powiedziałem wtedy, że lubo przyznaję dużo teoretycznej słuszności argumentacji Waligórskiego, Jeziorańskiego i Bożysławskiego, to w praktycznym wykonaniu według tego, co znam ze stanu i ducha naszego wojska, rzecz mi się dużo inaczej przedstawia. Wszystko jest wyczerpane na ciele i animuszu, pod wpływem ostatnich porażek naszych, minowane przez malkontentów i wyglądające tylko lada pozoru i impulsu, żeby się rozproszyć lub cofnąć do Galicyi. W takim stanie rzeczy, odjazd dyktatora, chociażby nawet dyktator był gdzieindziej potrzebniejszy, dostarczy tego pozoru. Co robić i przedsięwziąć z jakimś sensem wojskowym, na to, przyznaję, nie starczy mi rozumu; ale trzymam się zasady, że gdzie rozum rady i skazówki swojej już odmawia, należy iść za głosem instynktu i uczucia. Otóż w obecnym przypadku, il y a quelque chose d'odieux (pamiętam, że te wyrazy po francuzku powiedział, jak mi się to czasem z dawniejszego nałogu zdarza), żeby, dzieliwszy tak długo różne koleje tej armijki, opuszczać ją właśnie w chwili najkrytyczniejszego jej położenia, i że to może tylko najnieśluszniej podać nieprzyjaciółom dyktatora pohop do dyskredytowania go. Langiewicz odparł dość żywo, że nigdyby, choćby skądinąd tego było potrzeba, nie opuścił tego tu wojska po przegranej i wśród porażki; ale że jesteśmy właśnie po dwóch świeżutko odniesionych zwycięstwach, więc podział armii na partyzanckie oddziały i odjazd jego ku innemu teatrowi wojny i ku załatwieniu wiszących jeszcze rozporządzeń dyktatorskich rządowych, żadnego niekorzystnego i deprymującego pozoru

ani wobec wojska ani wobec świata być nie może. Każdy z członków rady wojennej odzywał się jeszcze dorywczo, mniej więcej w sensie poprzedniego swego zdania, wreszcie Langiewicz reasumując niejako wypadek zdań objawionych (głosowania żadnego nie było), zakonkludował stanowczo: „A więc, Panowie, podzielimy naszą armię na trzy lub cztery oddziały partyzanckie, które natychmiast w różne strony wyruszają, starając się prześliznąć śród Moskali; ja zaś i kto-by przy tych oddziałach nie był do użycia, udam się incognito do Krakowa (ciągłe przechodzenie granicy galicyjskiej przez powstańców, tam i nazad, i w tajemnicy, było dotąd zwykłą i dość łatwą rzeczą), gdzie ze trzy dni zabawię dla uregulowania stosunków rządowych i cywilnych, potem udam się na teatr wojny w Kaliskie lub Lubelskie“. Decyzya więc już była gotowa i stanowcza, i chodziło tylko o szczegóły wykonania. W oczy biło, że, ażeby takie postanowienie mógł wykonać, należy dyktatorowi bezzwłocznie jeszcze przed świtem i nie żegnając się z armią w drogę wyruszyć, gdyż, gdyby przyszło do pożegnań, zaczęłyby się w wojsku sejmiki, protestacye i wszystko, chwytając się tego pozoru, odmówiłoby posłuszeństwa i chciałoby także za granicę podążyć. Langiewicz wziął się więc natychmiast do rozporządzenia szczegółów egzekucyi, żeby mógł przed 5-tą z rana wyruszyć. Zapytał naprzód obecnych, czy który nie życzy sobie wziąć dowództwa jednego z utworzyć się mających oddziałów partyzanckich; ale Waligórski oświadczył, że chce w Olkuskiem formować powstanie, Bożysławski, że będzie przygotowywał rzeczy na Podolu galicyjskiem, Ulatowski i Jeziorański nie pamiętam już, jaką misyę sobie naznaczyli. Dyktator spytał mnie wreszcie: „A szef co myślisz ze sobą zrobić?“ Odpowiedziałem, że, jakem to już w Goszczy mu oświadczył, nie czuję w sobie sił, uzdolnienia i szczególnego powołania do drobnej wojny partyzanckiej po lasach, że się wszelako do rozkazów dyktatora zastosuję. Langiewicz odrzekł: „No to zostaniesz szef przy mnie; będę cię potrzebował“. Chodziło jeszcze o obmyślenie eskorty, któraby dyktatora aż do granicy, śród niepewnej okolicy, konwojowała, i o naznaczenie dowódców dla utworzyć się mających oddziałów partyzanckich. Langiewicz zdecydował, żeby podzielić armię na trzy odrębne oddziały partyzanckie i oddać je

pod dowództwo najstarszym rangą oficerom, to jest generałom Czapskiemu i Śmiechowskiemu, oraz pułkownikowi Czachowskiemu (albowiem niceśmy dotąd nie wiedzieli, że Czapski opuścił pole bitwy Grochowskiej w chwili jej rozpoczęcia i w tej chwili, kiedyśmy radzili, już był w Krakowie, jakoteż, że Czachowski odcięty od nas został wśród bitwy i gdzieś już na swoją rękę z batalionem w głąb kraju się zapuszcza); Ulatowski zaś wziął na siebie wyszukać i zebrać pluton ułanów, którzyby mieli jeszcze siły i ochotę, stanąć przed godziną 5. z rana na pogotowiu i odprowadziwszy dyktatora aż do granicy, powrócić nazad do jednego z oddziałów. Ulatowski udał się więc po ciemku na wieś, żeby w sekrecie owych ułanów wynaleść i przygotować, ktoś zaś inny poszedł szukać Czapskiego, Śmiechowskiego i Czachowskiego, żeby ich zwołać do głównej kwatery. Dyktator tymczasem pisał własnoręcznie stosowny rozkaz dzienny do wojska, który miał się onemuż po jego odjeździe ogłosić, oraz instrukcje i rozkazy dla Czapskiego, Śmiechowskiego i Czachowskiego. Tego wszystkiego jednak nie dał mi nawet do kontrasygnowania, nie wiem tedy dokładnie, co tam stało. Mogła być wówczas 3. z rana. Kiedym wyszedł z izby Langiewiczza po odbytej radzie wojennej, jużem swej burki, u drzwi zawieszanej, nie znalazł; ktoś ją sobie zabrał i jużem jej nie potrafił odszukać. Po niejakiem czasie wrócił Ulatowski, powiadając, że pluton ułanów będzie na czwartą godzinę gotowy; ów zaś drugi wysłaniec przyprowadził Śmiechowskiego, raportując jednocześnie, że mu nie sposób było po nocy i wśród śpiących ludzi wynaleść Czapskiego i Czachowskiego. Dyktator więc samemu tylko Śmiechowskiemu wręczył w mojej obecności rozkaz dzienny do wojska oraz rozkazy i instrukcje dla wszystkich 3 dowódców, równie jak pieniądze dla każdego z 3 partyzanckich oddziałów (zdaje mi się po kilkaset rubli na każdy oddział), polecając Śmiechowskiemu, żeby skoro świt wyszukał Czapskiego i Czachowskiego i co komu należy, pooddawał, i dodając jeszcze różne ustne instrukcje, rady i polecenia. Tak rzeczy urządziwszy, ci, co mieli odjeżdżać, zaczęli w cichości gotować konie swoje do drogi. Ja, widząc drzemiącą w średniej stancyi Pustowojtównę i przewidując, że marnie przepadnie zostawiona, z temi trzema mniemanemi partyzanckimi oddziałami, zbudziłem ją

i powiedziałem tylko: „Gotuj się, moje dziecko, do drogi, nie nikomu nie mów i trzymaj się osoby dyktatora; zresztą on ci sam może co powie“. Pustowojtówna, nieco przerażona i zdziwiona, odpowiedziała tylko: „Jakto? dyktator odjeżdża? Te źle!“ Langiewicz uprzedził jeszcze p. Tomasza, Tomczyńskiego i kilku innych, żeby konie gotowali, bo pojedą z nim na rekonesans. Stało bowiem na tem, żeby dla uniknięcia popłochu i rozprężenia w obozie, mówić różnym, około głównej kwatery kręcącym się powstańcom, że dyktator przed świtem na rekonesans wyjeżdża. Nadto, każdy z jadących miał zabrać ze sobą swoich adjutantów. Tymczasem minęła godzina 4. z rana, dnia 19. marca, zaczynało już szarzeć na świecie, świtać, a owa eskorta ułańska jeszcze się nie była wyguzdrała i corazto rosnący zakres orszaku dyktatorskiego opóźniał wyruszenie. Wreszcie około godziny 5. lub 6. z rana, zebrało się wszystko, co miało z dyktatorem jechać i nieco niewzywanych do tej wyprawy wolontaryuszów i wyruszyliśmy konno ze wsi w kierunku południowym. Dyktator pytał mnie nieco wprzód, w związku z owem wczorajszem zapytaniem w lesie Grochowiskim, o najkrótszą i najbezpieczniejszą drogę do granicy galicyjskiej, a ja w odpowiedzi wskazałem mu z pamięci Wiślicę i Nowe Miasto nad Wisłą. Drogę do Wiślicy on już sam przeznaczył. Ponieważ dzień już zaczęło, kiedyśmy Wełecz opuszczali, tu i owdzie więc zbudzony chłop lub powstaniec z zadziwieniem patrzył na tak tłumną wycieczkę dyktatora w pole, i wiadomość o niej zapewne się niebawem wśród opuszczonego przez nas wojska rozniosła. Hufiec nasz składał się: z eskorty ułańskiej, kilkanaście koni wynoszącej pod bezpośredniem dowództwem młodego rotmistrza Dobrzańskiego, a zwierzchnim kierunkiem pułkownika Ulatowskiego, dalej, z dyktatora z adjutantami (miał ich czterech), z generałów Waligórskiego i Jeziorańskiego z ich adjutantami, z pułkownika Bożysławskiego, z p. Tomasza (intendenta generalnego, który bardzo niechętnie przyjął wiadomość o tym wyjeździe), z Pustowojtówną, ze mnie z dwoma innymi adjutantami, i z kilku gwałtygierów i galopenów dyktatora, którzy, bądźto przez niego uprzedzeni, bądź też dobrowolnie do orszaku się przyłączyli: ogółem 35 do 40 koni. Szpica ułańska jechała na kilkadziesiąt kroków naprzód, takąż z tyłu

i eklerery po bokach. Ranek był pogodny ale mroźny; ja więc, niewywczasowany, niewysuszony jeszcze od wczoraj, chory, głodny i tylko w barankowej kurcie powstańczej (bo mi burkę zabrano), trząsałem się od zimna. Widząc to, Langiewicz kazał swemu człowiekowi od koni, który luźne jego konie wierzchowe prowadził, dać mi do okrycia jakąś elegancką derę zapaśną. Była to widocznie kołdra, włóczkowej roboty damskiej, w różnokolorowe kwadraty i desenie, podobita amarantowym floranssem; jak się później pokazało, pochodząca z Chrobrza, i zapewne roboty samej pani margrabiny. W tę tedy kołdrę obwinąłem się na kształt hiszpańskiego płaszcza i tak jechałem aż do Wiślicy, wyglądając na jakiegoś cygańskiego dowódcę. Jużto kłusując, jużto stępa jadąc i chwilami się zatrzymując, dojechaliliśmy do Wiślicy około godz. 9. lub 10. z rana. Zatrzymaliśmy się na chwilę na rynku tego miasteczka, żeby sobie bułek kupić i wódki się napić. Część zsiadła z koni, wstępując do austeryi na ciepłą kawę; dyktator zsiadł także, ja zostałem na koniu w środku rynku. Pojawienie się nasze ogromną wywołało sensację w żydowskiej tej mieścinie. Wreszcie, kiedy się nasz pobyt przedłużał, mędrsze żydy, obawiając się, żeby Moskale nas nie ścigali i nie przyszło stąd śród ich miasteczka do bitwy, i chcąc się co rychlej nas pozbyć, do następującego uciekli się fortelu. Jeden z żydów przystąpił do pozostałych na rynku jeźdźców i wskazując na pole w oddali, zawołał: „Ny, Panowie, a to Ruski idą!“ Spojrzałem we wskazanym kierunku, alem nic nie postrzegł, jak tylko jakieś szarzejące czy czerniące się w oddali linie, które prawdopodobnie od drzew lub płotów w polu pochodziły. Wykrzyk jednak żyda sprawił swój skutek. Rozległo się na rynku wołanie: „Ruski idą!“ Żydówki jeły z pospiechem, i w głos lamentując, unosić swoje stragany z kukiełkami; bachory przebiegały przez rynek, wrzeszcząc przeraźliwie: „Aj waj! Ruski idą“. Drzwi i okiennice z trzaskiem się zamykały, żydzi i żydówki, biegnąc tam i sam i lamentując straszliwie, gubili w błocie pantofle i przewracali się ze strachu i pośpiechu: słowem popłoch nieopisany. Popłoch ten udzielił się części eskorty i jeźdźców i już niektórzy zaczęli się rozpraszać, salwując się w różne strony. Kilku z nas jednak, dobywszy rewolwerów, zdołało wstrzymać ucieczkę

i zgromadzić rozpraszających się w jeden zwarty hufiec. Dyktator i ci, co byli z nim na kawie, powsiadali co prędzej na konie i w szyku bojowym wyjechaliśmy z miasteczka, drogą ku Wiśle. Przekonaliśmy się rychło, że alarm był fałszywy; ale zamiast drogą ku Nowemu Miastu, kazał dyktator zwrócić się drogą ku Opatowcu, zapewne dla tego, że pod Nowem Miastem nie było gotowej przez Wisłę przeprawy (jakem to mylnie mniemał, na mojej mapie specjalnej się opierając). Na pół mili może od Opatowca, zatrzymaliśmy się około południa w jakimś dworku dzierżawcy, tuż przy drodze. Tu usłyszeliśmy, że generał Czapski już poprzedniego wieczora tędy przejeżdżał, zdążając ku Krakowu i głosząc, że cała armia Langiewicza rozbita i rozproszona*). Tu także około 1. z południa przyszedł do dyktatora krótki raport od generała Śmiechowskiego z Wełeczka, donoszący, że Czachowskiego i Czapskiego nie masz w obozie, iż wojsko bardzo nieukontentowane i chce także ku granicy ciągnąć. Langiewicz odpowiedział Śmiechowskiemu krótkim rozkazem, ażeby nie ważył się cofać ku Galicyi i ażeby w inny sposób rozdzielił dowództwa nad pojedynczemi oddziałami partyzanckimi. Nie przebywając jeszcze nigdy w tak licznej towarzystwie galicyjskiej granicy, nie miałem jasnego wyobrażenia, jak to będzie z naszą bronią i końmi; myślałem jednak oczywiście, że je zatrzymamy, ile że wybornego miałem konia i doskonały rewolwer. Tu jednak powiedziano mi, na zasadzie rady i objaśnień jakiegoś nadgranicznego szlachcica, który w tej chwili, pojawiwszy się nie wiem skąd, odgrywał przy dyktatorze rolę agenta przeprawy przez granicę, że konie wprawdzie zatrzymamy, bo temu Austriacy się nie sprzeciwiają, ale że broń naszą musimy tu popakować w worki i oddać ją owemu szlachcicowi, który ją potajemnie przez granicę przewiezie i zaraz za granicą każdemu, co jego, pozwraca. Każdy więc opatrzył swój pałasz, rewolwer, strzelbę w kartkę ze swoim imieniem i na

*) Generał Czapski tłumaczył się później, że w pierwszych chwilach bitwy Grochowskiej, kiedy kawaleria uszła na prawo w las i mokradła, uszykowawszy ją napowrót, odjechał nieco na bok dla zrobienia rekonesansu i że wtedy Moskale odcięli go od jego kawalerii tak, że nie miał innego wyboru jak próbować dostać się do Krakowa.

zwiskiem i oddał je niezmordowanemu intendentowi generalnemu, Tomaszowi Winnickiemu*), który to wszystko w kilka wielkich worków popakował. Ułańska eskorta dyktatora, oczywiście lanc swoich i broni nikomu nie oddawała, bo miała ona od tego tu właśnie punktu, pożegnawszy dyktatora wrócić do swego pułku. Ale jakoś nie szło sporo z tym powrotem. Z początku nazywało się, że ułani muszą tu odpocząć i popaść konie, co też czynili na dziedzińcu przed dworkiem. Kiedy konie już napaszono i napojono, pułkownik Ulatowski, (który, zdaje mi się teraz, w pierwotnym projekcie miał także z ułanami do swego pułku wrócić), wychodził co kwadrans z dworku, wołając: »kieżnać konie!« albo: »Do koni!« Już się nawet parę razy zdawało, że ułani siadają wreszcie na koń, ale jakoś znowu się odwlekało od kwadransa do kwadransa, od godziny do godziny, aż w końcu zostali i przebyli Wisłę mniej więcej jednocześnie z nami. Nacośmy, to jest Langiewicz ze sztabem, w tym dworku od południa aż do wieczora prawie czekali, tego sobie jasno wykombinować nie mogłem. Być może, iż Langiewicz chciał, zanim Wisłę przejdzie, jakąś zaspakajającą usłyszeć wiadomość od swojej armii. W istocie około 4. po południu nadszedł drugi raport od generała Śmiechowskiego, ale datowany już z Wiślicy po południu i donoszący, że wojsko na oddziały partyzanckie rozdzielić się nie chciało, że wszystko chce iść ku granicy galicyjskiej, ile że Moskale z daleka napierać zaczynają, że on rad nie rad musi ogólnemu popędowi ulegać i że cała armia jest już w Wiślicy. Langiewicz napisał natychmiast własnoręcznie obszerny i surowy rozkaz do Śmiechowskiego, zakazujący mu pod najsurowszą odpowiedzialnością osobistą cofać się dalej ku granicy galicyjskiej i dający mu różne instrukcje. Dał mi potem gotowy ten rozkaz do kontrasygnowania i wysłał go bezzwłocznie Śmiechowskiemu. Tymczasem słońce się już zniżało, a my wciąż w dworku owym i koło dworku stali. Biegnąca tuż koło niego droga z Wiślicy do Opatowca nad

*) Teraz mi się nagle przypomniało, że ów p. Tomasz, poprzednik mój w szefostwie sztabu przy Langiewiczu, a potem intendent nasz generalny, zwał się Tomasz Winnicki. Ilekroć więc poprzednio o panu Tomaszu jest mowa, zechciej domyślać się Winnickiego.

Wisłą ożywiała się corazto bardziej w nader smutny sposób: chmary różnych powstańców, konnych i pieszych zdążyły na własną rękę, i nic już nie pytając, ku Wiśle. Kiedyśmy wreszcie około godziny 5. po południu wsiedli na koń i do Opatowca odjechali, widoczną było, że zaledwie może już być mowa o jakimś przebyciu incognito granicy; wybrzeże bowiem Wisły i promy na Wiśle pokryte już były mnóstwem najrozmaitszych powstańców, bądźto przeprowadzających się przez rzekę, bądź cisnących się tłumnie do przewoźu. Wisła w tym punkcie była wtedy bardzo szeroka i bystra; promów było tylko coś dwa czy trzy, a każdy potrzebował blisko trzy kwadranse, żeby przebyć Wisłę i wrócić napowrót. Cała nasza kupka sztabowa rozproszyła się tutaj i każdy myślał o sobie. Stałem tak czas niejaki nad rzeką, od adjutantów moich nawet opuszczony, tylko z moim człowiekiem od koni, i patrzałem jak koledzy, to tu to owdzie na jakiś prom, statek lub czółno się docisnąwszy, Wisłę przebywali. Ujrzałem w niejakiem oddaleniu, jak Langiewicz wsiadł na małe czółenka z Pustowojtówną tylko, bez koni i bez żadnego towarzystwa i ku galicyjskiemu brzegowi popłynął. Od tej chwili jużem go więcej na moje oczy nie widział. Wreszcie docisnąłem się i ja z moim koniem i ordynansem na jakiś prom, wielki wprawdzie ale stary i uszkodzony. Mimo przestróg i wołania przewoźników, że prom popsuty i że wielkiego nie znieśie ciężaru, wpakowało się nań tyle ludzi i koni, ile się tylko zmieściło. Kiedyśmy odbijali od brzegu, jakiś brodaty oficer od naszej piechoty, przybiegł do brzegu, a dobywszy rewolweru, zaczął nim mierzyć na prom, wrzeszcząc na całe gardło: »Gdzie jest ten gałgan Langiewicz, ten zdrajca, w łeb mu wypalę«. Ponieważ lufa rewolweru wprost na mego siwego konia była wymierzona, na wpół z troski o mego nieocenionego konia, na wpół żartem, zawołałem: »Tylko bardzo proszę nie w mojego siwka, bo on nic nie winien«. Zaczęto się śmiać w około i ów groźny mściciel, zdekontenansowany nieco, opuścił pistolet, dalej wymyślając. Prom tak był napakowany, a przytem tak zły, że zaczął wody nabierać i byliśmy parę razy bliscy zatonięcia. Zaczęto jednak szuflami i czem kto mógł cisnącą się wodę wybierać i po trzech kwadransach uciążliwej przeprawy dobiliśmy do galicyjskiego brzegu przy wsi

Ujście. Tam już wszystko oddawna gotowe było na nasze przyjęcie. Huzary węgierskie rozstawione u brzegu odbierały wszystkim powstańcom konie, ludziom zaś wskazywali, gdzie się zameldować należało austriackim cywilnym komisarzom. Nie mogąc się z husarami dogadać, bo umieli tylko po węgiersku a oficera nie było widać, towarzyszyłem odprowadzeniu mego konia na klepisko jakiejś stodoły, gdzie już z 10 koni stało pod strażą huzarskiego posterunku i podszedłem potem ku owemu murowanemu domowi, gdzie się wszyscy meldowali. Nie mając jednak ochoty dostania się do austriackiej niewoli lub pod kontrolę austriacką, obszedłem tylko dom w około, nikomu się nie zameldowawszy i wróciłem nad brzeg, pytając o huzarskiego oficera, żeby z nim załatwić sprawę konia, moją prywatną własnością będącego. Wskazano mi karczmę, w której stał kwatera. Wszedłem, ale kwatera pełna była różnych powstańców, którzy z oficerem pili herbatę, pącz, fraternizowali, ściskali się i nieźle byli już podochoceni, tak że nie sposób było dogadać się. Wróciłem więc znów ku brzegowi i siadłszy na kłocu, medytowałem w samotności, co ze swoją figurą robić. Słońce już było zaszło i zmrok zapadać poczynał. Wtem przystąpił do mnie jakiś ekonom czy oficjalista gospodarski i grzecznie oświadczył, że przyjeżdża z sąsiedniej wsi hr. Załuskiego (nazwy nie pamiętam), że tam we dworze jest już dyktator i inni panowie, żebym więc siadł na jego bryczkę i jechał z nim do owego dworu. Czy go kto po mnie posłał, czy robił to z własnego natchnienia, nie wiem. Gorzko wszystkim, co zaszło do świata i ludzi zniechęcony, nie przyjąłem zaprosin. Przenocowawszy sam jeden z ordynansem u chłopca na wsi, o świcie dnia 20. marca udałem się do owej stodoły, gdzie postawiono mego konia, żeby go jakoś wydostać. Tymczasem dzielnego mego siwka już nie było; stało tylko jeszcze parę szkaradnych wywłok pod strażą huzara. Oficer, który tymczasem był nadszedł, tłumaczył mi, że w nocy, już to różni żydzi, wołając, że to ich konie, albo jakieś papierki niby kontraktowe czyli plenipotencyjne okazując, porozbierali różne konie albo je pozamieniali, na wpół przemocą, na wpół oszołomiwszy dobrodusznych huzarów. Straciwszy w ten sposób konia, nająłem furkę chłopską i pojechałem do Tarnowa gdzie stanął przed południem w głównej obozowej. Już tam

przebywał od rana Langiewicz, ale pod strażą wojskową; prócz Pustowójtówny, nikt się nie mógł z nim widzieć. Tegoż samego dnia, czy też nazajutrz dnia 21. marca (już dobrze nie pamiętam) Pustowójtówna, która czasem wymykała się na korytarz, wręczyła mi ukradkiem małą karteczkę, pisaną przez Langiewicza, przypieczętowaną pieczęcią dyktatorską, datowaną z Tarnowa d. 21. marca i adresowaną do mnie, urzędownie, jako do szefa sztabu. Zawierała ona krótki rozkaz, abym bezzwłocznie podniósł z kasy narodowej 10.000 złr. (40.000 złp.) i przywiózł je dyktatorowi. Cel nie był naturalnie wymieniony, domyślałem się jednak, że Langiewicz potrzebował tych pieniędzy na przekupienie dozorców i wydobycie się na wolność. Zrazu wzdragałem się nieco, nie wiedząc właściwie, czy jest i gdzie jest jaka narodowa kasa i będąc zupełnie ogołocony z ubrania, w którymbym mógł, bez zbytecznego zwracania uwagi, jechać do Krakowa. Uważając się wszelako wciąż jeszcze za związanego stosunkiem służbowym do Langiewicza, a jego jako dyktatora, który przypadkowo na dni kilka popadł w moc obcą, podjąłem się ostatecznie wykonania danego mi rozkazu, i pożyczwszy od gospodarza oberży jakichś starych spodni, na wierzch butów, zresztą w kożuszkę powstańczym, ruszyłem do Krakowa najpierwszym pociągiem kolei. Stanąwszy w Krakowie przed wieczorem zgłosiłem się do osób, które komitetowemi być wiedziałem, oraz do Wysockiego i do Łuby, który zdaje mi się funkcjonował jako komisarz rządu narodowego, ale nie wiem, którego. Składano się zrazu zupełnym brakiem pieniędzy, wreszcie zesztukowawszy jakoś to stąd to zowąd, dano mi żądane 10.000 reńskich*) Zabawiwszy kilka tylko godzin w Krakowie, tegoż jeszcze wieczora wyruszyłem z pieniędzmi do Tarnowa, gdzie między 1. a 2. godziną w nocy stanął. W oberży wszystko już spało, prócz warty austriac-

*) Dowiedziałem się tutaj, że Rochebrune jest już w Krakowie, a to na zasadzie udzielonego mu przez Langiewicza urlopu; jednocześnie bowiem z ową radą wojenną, albo też godzinę wprzód lub godzinę potem, Langiewicz mianował w Weleczu Rochebruna generałem i udzielił mu urlopu na czas pewien do Krakowa. Nominacji tej ani urlopu nie dał mi jednak do kontrasygnowania i w ogóle nic a nic o tem nie wiedziałem, myśląc wciąż, że Rochebrune pozostał przy armii i żuawach.

kiej pilnującej Langiewicza. Chodziłem czas niejaki po korytarzach, wyglądając, czy się Pustowojtówna nie pojawi (albowiem i ona właściwie pod strażą zostawała), widząc jednak, że szperam napróżno, do rana czekać postanowiłem. O świcie wyszedłem znów z mego numeru, gdzieś przespał parę godzin, żeby polować na Pustowojtównę w korytarzach. Uderzyła mnie cichość wielka i nieobecność żołnierzy na dziedzińcu; kiedyś spytałem o powody tej zmiany, odpowiedziano mi, że Langiewicz wraz z Pustowojtówną wywiezieni zostali pod strażą około godziny 3. z rana, a więc właśnie podczas paru owych godzin, com spoczywał. Po takim udaremnieniu mojej pieniężnej misji wróciłem do Krakowa i owe 10.000 reńskich oddałem temu, od kogo byłem je dostał przed 24 godzinami. W kilka dni potem pojawiliście się, ty z Bobrowskim w Krakowie; wiesz więc już, co i jak się tam działo. O jednym jednak wspomnę szczególnie, o którym może nie wiesz. Nie pamiętam już, czy przed ogłoszeniem Bobrowskiego (zdaje mi się z dnia 26. marca) czy po nim, dość, że jakoś około tego czasu, różne stronnictwa wysilały się na różne kombinacje rządowe. Jednym z bardzo czynnych i rzutkich agitatorów i intrygantem był nasz ex-sztabskapelan, ksiądz Kamiński. W jakim kierunku i z jakiego impulsu w tej chwili intrygował, nie wiem; przechodził on bowiem najrozmaitsze fazy i był lub uchodził z kolei za agenta partii klerykalnej, to hotelu Lambert, to krakowskiej arystokracji, to Mierosławskiego, to Anti-Mierosławczyków, to czeladzi rzemieślniczej, werbowanej przezeń w hufce jakichś sztyletników, od których po piwnicach przysięgi na trupie głowy odbierano, to nawet Moskali lub Austryaków. Dość, że obecnie wykombinował, nie wiem, w jakim celu, jakieś coup d'état, do którego namówił bawiącego podówczas w Krakowie Rochebruna. Rochebrune dzielny był w polu żołnierzem i wybornym instruktorem, organizatorem i dowódcą małego pułku; ale żadnego wyższego, nawet oficerskiego nie miał wykształcenia, tak że zaledwieby się był zdał na dowódcę osobnego oddziału (n. p. nie umiał zorientować się na specjalnych kartach, żadnego nie miał wyobrażenia o naturze i położeniu naszego kraju, a jeszcze mniej o naszej historii i wewnętrznej grze politycznej); przytem samo poczucie pewnej wojskowej czy tam żołnierskiej wyższości,

którą istotnie rozwinął, rozbudzona nagłą karyerą ambicya (w parę miesięcy bowiem z dawnego francuzkiego wachmistrza wyszedł na generała), oraz lekkość wiekowi jego, temperamentowi i narodowości właściwa, w głowie mu nieco przewróciły. Bądź jak bądź, Rochebrune, dawszy się usidlić namowom księdza Kamińskiego, podpisał urzędowe wezwanie do generała Wysockiego, podówczas Dyrektora wydziału wojny, ażeby mu (Rochebrunowi) wydał w przeciągu 24 godzin wszystkie papiery, pieniądze i pieczęcie wydziału wojny, a to pod surową odpowiedzialnością osobistą. Sławny ten skrypt nosił intytlucyją: »Naczelnny wódz wojsk polskich«, czy coś podobnego, nosił własnoręczny podpis Rochebruna i opatrzony był świeżo wyrzniętą pieczęcią, z napisem w otoku, jak na intytlucyi. Kiedym pewnego rana przyszedł do Wysockiego, pokazał mi on z oburzeniem świeżo odebrane cudackie to wezwanie i groził surowemi przeciw Rochebrunowi krokami. Przeczytawszy pismo (szumnie ale dobrze po polsku zredagowane), poznałem, że ktoś inny, mędrszy, jest za Rochebrunem ukryty, i że lekkomyślny i nieco ograniczony Francuz dał się w chwili szału, a może excytacyi szampańskiem winem, za narzędzie użyć. Chcąc tedy, bądź co bądź dzielnego w boju oficera sprawie narodowej zachować, udobruchałem Wysockiego i skłoniłem, żeby traktował tymczasowo rzecz całą jako chwilowe głupstwo, które ja będę się starał zredresować. Jakoż, poszedłszy do Rochebruna, wyrznąłem mu szczerą koleżeńską kapitułę i przedstawiłem straszliwe głupstwo, jakiego się dopuścił. Rochebrune przyznał się do winy, tłumaczył się, że go patryoci do tego kroku skłonili, że nawet dobrze nie rozumiał, co tam było napisano i t. d. Dość, że cofnął wszystko, pogodził się z Wysockim i został nawet w parę dni potem mianowany dowódcą sił zbrojnych w województwie Krakowskiem.

Z czasu udziału mego w kierunku wydziału wojny, wspomnę to tylko, że przewodnią naszą (moją i generała K.) myślą było, ażeby coprędzej jakiś oddział powstańczy wyprawić w Krakowskie lub Sandomierskie, nie tyle w perspektywie jakiegoś wielkiego sukcesu militarnego, ile raczej żeby nawiązać przerwana w tamtych stronach przez upadek Langiewicza nić powstania; skoroby bowiem przez wiele tygodni powstanie było faktycznie przerwane i uchodziło

przed światem i w poczuciu narodu za uśmierzone, jużby za późno było chcieć je potem *da capo*, chociażby z dzielniejszych siłami wskrzeszać i na nowo niejako rozpoczynać. Oczywiście trudno było, wśród dość powszechnego zwątpienia, komenderować kogoś na naczelnika nowej wyprawy; wypadałoby raczej szukać na to ochotnika. Za takiego ochotnika przedstawił się pułkownik Grekowicz. był naczelnik wojenny w województwie Kaliskim, który i sam gotowość objęcia dowództwa oświadczał i popierany był głosem kilkuset powstańców w Krakowie przebywających, a jego na dowódcę pragnących. Jemu więc powierzyliśmy wyprawę, która w samą Wielkanoc tak smutny wzięła koniec bitwą pod Szklarami. Szczegóły pomijam, nadmieniam tylko, żeśmy dostarczyli Grekowiczowi pieniędzy, broni dostatecznej na 600 ludzi, i wszystko uczynili, co tylko z naszego stanowiska uczynić było można ku udaniu się wyprawy. Włać wszelako ducha i wiarę w samego dowódcę, jakoteż zmusić tych ochotników, co się do jego oddziału byli zapisali, żeby w istocie z Krakowa wyszli i żeby mężnie walczyli, nie w naszej już było mocy. Nadmienię jako charakterystyczną próbkę, że kiedy ludziom oddziału Grekowicza, w Krakowie przebywającym, zakomunikowano rozkaz do wymarszu w wielki piątek, większa część odmówiła posłuszeństwa, wręcz mówiąc, że chcą święta w Krakowie spędzić i że dopiero po świętach wyjdą. Jakoś około chwili wymarszu Grekowicza z Krakowa, a więc około wielkiego czwartku lub piątku, aresztowany został generał K. Objąłem więc tymczasowo, aż do nadejścia decyzji rządu narodowego, kierunek wydziału wojny. Oprócz wyprawy Grekowicza podjąłem dawniejszą myśl moją, zorganizowania paru konnych oddziałów; złożonych z kilkudziesięciu tylko ale całkiem zdeterminowanych i duchem partyzanckiej wojny przejętych ludzi, którzyby całe Królestwo przebiegali. Ofiarował się na dowódcę jednego takiego oddziału powstaniec z powiatu sandomierskiego, towarzysz Langiewicz jeszcze z pod Wąchocka, Polak, ale z włoskim nazwiskiem (Turketti, czy coś podobnego), wielostronnie mi rekomendowany i z miny wyglądający na zdeterminowanego kozaka i dowódcę. Zaczął on swoją organizacją w Tarnowie, dostarczałem mu koni, siodeł, broni i pieniędzy, ałem się przekonał, ostatecznie, że mu chodziło gło-

wnie o stopień i pozory jakiegoś krzątania się około sprawy powstania (gdyż należał do spisku przedpowstańczego), ale że istotnego powołania i ochoty do wyjścia w pole nie miał. Po aresztowaniu generała K., przewidując, że się na tem nie skończy i że mnie prawdopodobnie prędzej czy później takiż sam los czeka, przejrzałem całe archiwum wydziału wojny i zniszczyłem wszystkie dawniejsze papiery, najniezbędniejsze tylko bieżące w ubocznym miejscu bezpiecznym zachowując. Takoż wszystkie kwity i rachunki, dałem sprawdzić przez komisarza rządu narodowego Elżanowskiego, i uzyskawszy ogólną jego deszarżę, spaliłem. Kilka ciekawych dokumentów historycznych (w tej liczbie oryginalny raport Langiewiczza o powodach przejścia do Galicyi i owę sławną odezwę Rochebruna do Wysockiego), zachowałem od zniszczenia, powierzając je, jako historyczne curiosa, w depozyt trzeciej osobie; wpadły one jednak w kilka miesięcy później w ręce austriackie. Przypomina mi się jeszcze jeden szczegół, Langiewiczza dotyczący. Jakoś około końca marca, kiedy Langiewicz siedział na zamku w Krakowie, Pustowojtówna była przetrzymywana w policyjnym tylko areszcie pod telegrafem, gdzie ją dosyć łatwo było odwiedzać. Otóż jeden z odwiedzających ją, przyniósł od niej do miasta wiadomość, że jest sposób wydostania Langiewiczza, (z którym ona potajemnymi kartkami czy też przez zaufanych pośredników komunikować się miała sposobność) na wolność, byle dać mu 10.000 reńskich do dyspozycyi. W ówczesnych kasach narodowych w Krakowie, takiej sumy wcale nie było na pogotowiu, ale znalazła się osoba prywatna, która oświadczyła gotowość dostarczenia owych 10.000 reńskich, jeżeli ja to uznam za dobre i pożyteczne. Kiedy mnie o całej tej historii zawiadomiono i stosownie do owego warunku o zdanie zapytano, powiedziałem z całą szczerością i bezwzględnością, jakich publiczne kwestye wymagają, a mianowicie, że nazwisko samo Langiewiczza, jako wodza powstańczego, który najdłużej się trzymał i którego imię przeniknęło nieco w masę, stanowi już ze siebie pewną siłę i potęgę, która mogłaby ożywić n. p. w Sandomierskim ruch powstańczy i skupić niejedne rozrzucone i bezczynne pierwiastki, że jakkolwiekby kto nisko cenił tę siłę i pomoc, w każdym razie przynosi ona o wiele owe 10.000 reńskich; że choćby Langiewicz na-

wet żadnego zgoła pożytku dla powstania nie przedstawiał, to zasługi, jakie położył i imię, jakie sobie w Europie zrobił, warte są poświęcenia 10.000 reńskich na okup jego wolności; że wszelako oba powyższe argumenta o tyle tylko przytrafiają, o ileby Langiewicz, dostawszy się na wolność, nie myślał rościć napowrót pretensyi do upadłej swej dyktatury, ale chciał tylko odgrywać rolę zwykłego dowódcy powstańczego, rządowi narodowemu subordynowanego, albowiem bez względu na to, czyby dobrą lub niedobrą było rzeczą, ażeby on mógł napowrót pochwycić dyktaturę, jest mi jasno jak na dłoni, że nie zdołałby tego uczynić bez silnej opozycji wskrzeszonego rządu narodowego, coby oczywiście jawne rozdzielenie w obozie narodowym, a może wojnę domową wywołało i w każdym razie szkodliwą i opłakaną byłoby rzeczą; że lubo nie suponuję, iżby Langiewicz miał myśl wskrzeszenia swej upadłej de facto dyktatury, zamało go znam, abym mógł stanowczo to zagwarantować; że więc w tak ważnej kwestyi na prawdopodobnym domyśle budować nie można, ale raczej wypada, zanim się zrobi wysilenie ku wydostaniu go na wolność, przedmiotową zyskać gwarancję, że tej, według mnie, szkodliwej myśli nie żywi. Zgodzono się na to moje zdanie i dając mi do dyspozycji owe 10.000 reńskich, pozostawiono memu uznaniu, poczynienie tych kroków, które uznam za stosowne. Poszedłem więc pod telegraf do Pustowojtówny, i oświadczyłem jej, że żądane 10.000 reńskich są na pogotowiu, byle wprzód Langiewicz dał słowo, albo co lepiej, króciutkie na kartce zaręczenie, że dyktatury swej na nowo podnosić nie będzie. Pustowojtównie nie było to jakoś w smak, ale przyrzekła, że zakomunikuje ten warunek Langiewiczowi. I tobie może ówczesne moje w tym punkcie postępowanie dziwnem lub niewłaściwem zdawać się może; ale przypominam, że od chwili odezwy drukowanej Bobrowskiego, zdaje mi się z dnia 26. marca i objęcia napowrót steru sprawy przez dawny rząd narodowy, uważałem dyktaturę Langiewicza nietylko już de facto, ale i de jure za padłą i zgasłą, stosunek zaś mój służbowy za faktycznie rozwiązany. Po dwóch dniach (było to jakoś w wielki czwartek czy piątek), nie mogąc sam iść, posłałem kapitana Bielskiego (z dawnej emigracyi) do Pustowojtówny po odpowiedź. Przyniósł on mi relację, że

Pustowojtówna mu oświadczyła, iż ponieważ takie robimy ceremonie z temi pieniędzmi, Langiewicz więc ich nie potrzebuje i będzie je miał skądinąd. Na tem rzecz się ta skończyła. Być może, iż od tej chwili Langiewicz zachował do mnie pewien żal, ale nie mogłem inaczej; i dziś jeszcze, w podobnych okolicznościach tak samo bym postąpił. Jakoż zaraz nazajutrz, po otrzymaniu tej odpowiedzi od Pustowojtówny, usłyszałem, że całkiem niespodzianie wywieziono Langiewicza z zamku krakowskiego do Czech. Kiedy po kilkugodzinnej potyczce pod Szklarami, Grekowicz i cały jego oddział wrócili do Galicyi, stałem w zastępstwie aresztowanego generała K. na czele wydziału wojny. Otóż poprzedni dyrektor wojny, generał Wysocki, wydał był niedawno, bo wkrótce po przejściu oddziału Langiewicza do Galicyi, »ogólny rozkaz dzienny«, drukiem w wielu tysiącach egzemplarzy rozpowszechniony i zachowany także w aktach wydziału, treści potępiającej i piętnującej niejako w najsilniejszy sposób wszelkie przechodzenie powstańców za granice teatru walki; w końcu tego rozkazu zapowiadał i rozporządzał Dyrektor wydziału, że każdy dowódca oddziału, któryby odtąd za granicę się schronił, stawiony będzie przed sąd wojenny, który rozpozna stopień winy i według okoliczności wyda orzeczenie. Rozkaz ten wypłynął oczywiście z intencji zapobieżenia szerzenia się owej choroby militarnej, która w r. 1831 rozpoczęła się przejściem Dwernickiego do Galicyi i potem tak pospolitą się stała, a która obecnie znów zagrażała wejściem w nałóg, mianowicie po nieszczęśliwej wyprawie Kurowskiego na Miechów i po upadku Langiewicza. Nie wchodząc w to, czy prosty surowy zakaz i zagrożenie sądem wojennym, dostatecznym lub odpowiednim były na złe lekarstwem, wychodziłem z zasady, że tego rodzaju wyraźne, uroczyste i drukiem rozpowszechnione zagrożenie urzędowe istniało, i że należało mi koniecznie do niego się zastosować, jeżeli w ogóle wszelkie rozkazy i nakazy najwyższych władz kierujących nie miały się zamienić w czcze pogroźki i słowa, do których nikt wielkiego nie przywiązuje znaczenia. Z tego wychodząc punktu widzenia i na owym ogólnym rozkazie generała Wysockiego się opierając, zarządziłem na Grekowicza sąd wojenny, do którego wezwałem lub uprosiłem umyślnie starych po większej części ofi-

cerów z r. 1831, żeby aktowi temu więcej nadać powagi, a mianowicie: na prezydującego sądu, pułkownika Słubickiego, (komenderował on pułkiem w legionie turecko-angielsko-polskim Zamoyskiego z r. 1855), na członków zaś: pułkownika Dąbrowskiego (z armii Langiewicza i który zaszczytnie pod Grochówkami się odznaczył), majora Korzelińskiego (zaczętego oficera kawaleryi z r. 1831 i z kampanii węgierskiej), majora Stobnickiego (weterana z r. 1831 w Krakowie przebywającego i tak wojskowem wykształceniem, jak charakterem i obywatelstwem odznaczonego) i jeszcze jakiegoś piątego sztaboficera, którego nazwiska w tej chwili już nie pamiętam. Dla uniknięcia drażliwej przed Austryakami odpowiedzialności dla członków sądu, za odbywanie sądów wojennych w Krakowie, nazwałem ten sąd w urzędowych wezwaniach wojskową komisją rozpoznawczą i wydałem mu odpowiednią instrukcję, czyli raczej przepisałem sposób postępowania. Dnia 8. kwietnia, właśnie kiedy przed południem sąd ten miał się odbywać, zostałem o świcie aresztowany. Wyszedłszy w tydzień później za kaucją i słowem na wolność, dowiedziałem się od członków sądu o przebiegu sprawy. Grekowicz stawiał się zrazu opornie, kompetencyi sądu uznać nie chciał, wzbraniał się nawet oddać pieczęcie i dane mu z wydziału wojny pieniądze publiczne (kilkadziesiąt tysięcy złp.); ale kiedy mu zagrożono ogłoszeniem go za rokoszanina i odstępcę, skruszał i poddał się; w żalu jednak że go pod sąd pociągają, posunął się aż do odezwania się wobec sądu, iż żałuje, że opuścił wojsko rosyjskie (był on bowiem rosyjskim oficerem), co mu członkowie sądu bardzo za złe wzięli. Bądź co bądź, po rozpoznaniu całej sprawy, uznał go wprawdzie sąd za wolnego od wszelkiej ciężkiej odpowiedzialności, ale wyrzekł zarazem, że nie dopełnił należycie obowiązków dowódcy i że jest niezdolny do sprawowania nadal udzielnego dowództwa oddziału. Grekowicz miał z powodu tego dużo żalu do mnie i wypowiadał mi go parę miesięcy później, kiedy się przypadkowo z nim spotkał; uskarżał się mianowicie na tę niesprawiedliwość, że z wszystkich dowódców oddziałów, co tak licznie potem za granicę się chronili, jego jednego tylko przed sąd stawiono. Tłómaczyłem mu, że nie moja w tem wina, iż ogólnego rozkazu Wysockiego moi następcy nie wykonywali, ale że ja

byłem w obowiązku uczynić to, w czem mnie oczywiście żadna przeciwko niemu nie powodowała osobistość. Ostatecznie w dobrej rozstaliśmy się harmonii, bo w gruncie był to dzielny oficer.

Kiedym się dostał do austriackiego więzienia, nie wyleczony jeszcze z przeziębienia płuc i gardła, i kiedy mi ze strony sądu austriackiego oświadczono gotowość wypuszczenia mnie za kaucją i słowem, nie chciałem zrazu na to przystać, bo bym się czuł własnem słowem bardziej i mocniej związany i sparaliżowany, niżli zamkami i kratami więzienia, z poza których były, w ostatecznym razie sposoby wydostania się. Różni jednak znajomi i komitetowi póty nalegali, żebym na to przystał, póty przedstawiali, że tak czy tak jestem w więzieniu dla sprawy nieużyteczny, a wydostawszy się na miasto, chociażbym się z niego ruszyć nie mógł, przynajmniej zdrowie salwować będę, że w końcu zgodziłem się na propozycję. Złożono więc za mnie kaucję pieniężną w ilości 2000 reńskich, a ja nadto pisemnie musiałem dać słowo, że się z Krakowa nigdzie nie oddalę i że na każde zawołanie napowrót się stawię do więzienia. Wypuszczono mnie wskutek tego. Potem w ciągu maja i czerwca, kiedy się nadarzały różne zakresy działania, namawiali mnie znów ciż sami znajomi, żebym, nie zważając na dane dobrowolnie słowo, potajemnie Kraków opuścił, żeby służyć sprawie powstania. Różne mogą być w tej mierze przekonania i poczucia; dla mnie wszelako było to absolutnem niepodobieństwem; bardzo mi tylko było przykro, że mało kto z otaczających mnie to pojmował. To też, kiedy mnie w początku lipca 1863, wskutek rekwizycyi sądu berlińskiego, napowrót do krakowskiego ściągnięto więzienia, i kiedy na jesień tegoż roku, znowu przedstawiała się możność wydostania się na miasto za kaucją i słowem honoru, nie chciałem już stanowczo z tej ulgi korzystać, pomimo wszelkich namów i perswazyj przyjaciół; czułem się bowiem stokroć wolniejszym w surowem nawet więzieniu (z którego w razie kapitalnej nagłości wydobyć się pieniędzmi i determinacją było można) niżli na bruku krakowskim, gdzie mało kto rozumiał fałszywe położenie niby wolnego, a w gruncie najniewolniejszego, bo dobrowolnym zastawem własnego słowa związanego człowieka.

Wracam do miesiąca kwietnia 1863. Będąc, po tygodniu ścisłego więzienia, wypuszczony na miasto około połowy kwietnia, za kaucyą i słowem, dowiedziałem się, że z rozporządzenia komisarza rządowego, Elżanowskiego, objął po mnie tymczasowo bieżące sprawy wydziału wojny pułkownik Domagalski, któremu kasyer wydziału, Skotnicki, zdał fundusze i rachunki, lecz że niezadługo potem przyszło rozporządzenie rządu narodowego, zwijające w zupełności krakowski wydział wojny, wskutek czego Domagalski do Lwowa, a Skotnicki gdzieś indziej odjechali. Zdawszy więc Elżanowskiemu resztę rachunków i stokilkadziesiąt rubli publicznego grosza, które w chwili mego aresztowania miałem w swoim zachowaniu na bieżące wydatki, a które mi się przed rewizją policyjną ukryć udało, zakończyłem mój urzędowy udział w powstaniu narodowym.

K O N I E C.

Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page. The text appears to be organized into several paragraphs, but the characters are too light and blurry to transcribe accurately.

Z. PAMIĘTNIKÓW
BRONISŁAWA DESKURA.

„Dla moich wnuków“.

5. ПАМЯТНИКОВ

БРОНІСЛАВА ДЕСКІНА

1914 год. Вильно.

Z PAMIĘTNIKÓW
BRONISŁAWA DESKURA

podajemy ustępy odnoszące się do wypadków 1861 do 1864 r.
a przeważnie dotyczące Podlasia.

Redakcja.

AMERICAN

THE LAWYER

OF THE

OF THE

I.

Od czasu ostatniego rozbioru Polski każde dorastające pokolenie jej manifestowało swe uczucia patriotyczne dążeniem do zrzucenia ohydneho jarzma niewoli. Praca w tym kierunku nie ustawała. Emigracya po 1831. roku podniosła sztandar demokratyczny polski z jasno nakreślonym programem. Młodzież w kraju łączyła się z podniesioną za granicą ideą demokracji polskiej, a w roku 1846. z hasłem »przez lud dla ludu« stanęła do ozięnej walki z najazdem w nadziei, że uda się jej do wspólnego działania pociągnąć lud, którego wolność i niezależność głosiła. Usiłowania spełzły na niczem, a męczeństwo ofiar nieudałego ruchu zapisało świeżą kartę w historii martyrologii gnębionego narodu. Duch jednak postępowy demokratyczny stał się przewodnim dla nadrastającego pokolenia, zrozumiało ono, że siła i pomyslny wynik walki z wrogiem spoczywa w masach ludu polskiego, który przez oswobodzenie go z poddaństwa i pańszczyzny należało uobywatelnić i zapoznać z obowiązkami obywateli kraju.

Ruch w tym kierunku zaczął się silniej objawiać od chwili założenia Towarzystwa rolniczego w Kongresówce. Usiłowania jednak najumiarkowańszych i najroztropniejszych rozbijały się o system despotycznych rządów moskiewskich, które zbliżyć się do ludu nie dozwalały inteligencji. Szerzenie oświaty, starania o dobrobyt ludu, dobrowolne uwłaszczanie włościan, uważane było jako bunt przeciwko władzy i traktowane jako przestępstwo polityczne. Najazd krępował zarówno wszystkich więzami poddaństwa w formie tylko odmiennej, stosownej do warstwy, jaką te więzy ciśnieły. Nie można więc było nawet marzyć o oświeceniu i uwolnieniu ludu z poddaństwa drogą legalnego postępowania.

nia. Rozumiała to dobrze Moskwa, że włościanin oświecony i wolny zacząłby swobodniej myśleć i działać, nie dozwalała więc podnieść go z niewolniczej bezsilności. Sprawa zatem uwłaszczenia włościan była ściśle złączoną z powstaniem, które miało za zadanie lud oswobodzić, a kraj oczyścić od najazdu.

Powstanie 1863 r. jeżeli nie dopięło swego założenia w zupełności, to nie da się zaprzeczyć, że oswobodziło lud z jarzma niewoli, odkupiło krwią swych bohaterów niewolę ducha. Rządy carskie zmuszone rozporządzeniem rządu narodowego, który nadał ziemię na własność włościanom, musiały już uleść i nie dać się wyprzedzić u siebie w pozyskaniu ludu. Nie chodziło nam o to, kogo lud uzna za swego wybawcę, ale o to, aby miał rozwiązane ręce i wolę, tak się na to zapatrywała partya ruchu narodowego z r. 1861. Lud dziś już stanął w szeregu obrońców interesów własnych, a tem samem narodowych, dawniej nie posiadał ziemi na własność, nie miał więc czego bronić. Przedtem każda gmina miała swego pana, dziś cały lud polski ma jednego tyrana, który go uciska moralnie i materyalnie, przyjść więc musi do poznania, że zjednoczonymi siłami tylko ze skutkiem walczyć z wrogiem można i należy.

II.

W końcu 1860 r. w okręgu włodawskim, województwa Podlaskiego, w gronie członków towarzystwa rolniczego okręgowego, zawiązało się ściślejsze kółko z ludzi, którym gorąco leżała na sercu sprawa narodowa, poczynająca wstępować w okres gorętszego działania, pchana naprzód przez młodzież patryotyczną, postępową, Warszawy i prowincyi. Koło pomienione, w przewidywaniu potrzeby odpowiednich funduszków, powzięło myśl złożenia kapitału żelaznego w kole Towarzystwa rolniczego naszego okręgu. Nie była to jednak rzecz łatwa do przeprowadzenia, bo większość, jakkolwiek nie świadoma właściwego celu założenia kapitału żelaznego, w przewidywaniu, że z czasem pieniądze te mogłyby być użyte na cele konspiracyi powstańczej, truchlała na samą myśl, że może przyłożyć rękę do ruchu rewolucyjnego. Muszę tu powiedzieć, że jak dawniej tak i tym razem możnowładztwo (magnateria) nasze rej prowadziło między drobniejszą szlachtą mniej zamożną, to też większość skupiała się około kilku panów, należących do koła włodawskiego i szła za ich głosem, nie zdając sobie sprawy z tego co robi, choć w gruncie braku patryotyzmu zarzucić jej nie można było.

Właściciel Rozwadówki w Włodawskim, Teodor Jasiński, należący do szczupłego naszego grona, wielkich zdolności, a jeszcze większego serca i patryotyzmu młodzieniec, podjął się postawić wniosek: założenia kapitału żelaznego na pierwszym zebraniu koła okręgowego rolniczego i poprzeć odpowiedniemi przemówieniami. Jasiński potrafił umotywić tak swój wniosek, że ten został przyjęty. Na temże samem posiedzeniu, złożono znaczną cyfrę kwot i przyjęto obowiązek wnoszenia wkładek kwartalnych, przez wszystkich

członków koła, przyczem postanowiono: że większość członków koła zdecyduje w potrzebie o podniesieniu żelaznego kapitału. Pierwszy to był krok ważniejszy w robotach naszego szczupłego grona, do którego należeli: Krasuski (imienia nie pamiętam), właściciel Piesiowoli, starszy już wiekiem obywatel, Krasuski Rajmund, syn poprzedniego (rozstrzelany później w Radzynie), Teodor Jasiński, Kazimierz Bogdanowicz dzierżawca (rozstrzelany w Lublinie) i ja.

Kółko nasze powiększało się z dniem każdym ludźmi naszych zapatrywań z innych powiatów województwa. Z Teodorem Jasińskim wyjeżdżaliśmy w województwo dla zawiązywania stosunków z młodzieżą. Zjazdy i wspólne narady odbywały się dość często, to u mnie, to u Jasińskiego, a ponieważ z dalszych okolic przybywali towarzysze, więc dni parę i więcej spędziliśmy razem. Dzień cały zwykle schodził na strzelaniu do celu, jeździe konnej i biciu się na rapiry, wieczorem zaś dysputowano nad środkami, które miały zapewnić nam dobrą organizację i powodzenie w przyszłym powstaniu, do którego pchało nas położenie bez wyjścia, bo nie chcieliśmy się poddać losowi, który krępował na wieki samodzielność narodową, pozbawiał działania w duchu idei postępowych dla szczęścia całego narodu, których pod rządami cara mieć nie wolno.

Jakkolwiek celem ostatecznym podjętej pracy było wystąpienie zbrojne przeciw najazdowi, to jednak w naszych naradach kładliśmy zawsze nacisk na oględne i roztropne postępowanie, któreby nie dopuściło do przedwczesnego wybuchu. Możliwość naszego powodzenia instynktem zachowawczym, zdemoralizowane zbytkiem i prerogatywami, których ogół szlachty dobrowolnie im udzielał przez pamięć dla senatorskich ich przodków, zaszczeniało nieufność w siły własne narodu, a to z obawy powstania, by go nie zmusiło do ofiar materyalnych, a co ważniejsza, nie dało władzy w ręce większości demokratycznego postępowego stronnictwa w kraju. Trzeba więc było przygotować lud do ogólnego ruchu i zwalczać wewnętrzny nieprzyjaciel: wpływ możliwych, którzy w tak zwanej partii białych rej prowadząc, bałamucili mniej zamożną szlachtę. Gdyby panowie i zamożniejsza szlachta, starsza wiekiem i doświadczeniem, postępowaniem swem dała odczuć młodzieży, że czuje i pragnie

jak ona, a nie zrażała jej nietaktownem postępowaniem, które drażniło uczucia patryotów, z pewnością ujęłaby była ster całego ruchu na prowincyi, bo jego nastrój zanadto był poważny i rozważny, ażeby się nie poddał z cierpliwością powolnemu przygotowaniu do koniecznego powstania, które w konsekwencji przez całe stronnictwo pana Andrzeja Zamojskiego było przewidywane (czego dam dowód następnie). Działo się jednak w ten sposób, że biali swem aroganckiem występowaniem rozdmuchiwali ogień, który do odpowiedniej chwili tleć tylko był powinien, przytoczę dalej fakta, które stwierdzą to moje zapatrywanie.

Często się z tem zdaniem spotykamy, że pod wpływem emigracyi, a szczególnie generała Mierosławskiego, budził się duch rewolucyjny w kraju; nie wiem, jak gdzie, ale na Podlasiu tak nie było, jakkolwiek i tu miał generał swych zwolenników, którzy starali się podciągnąć rozpoczynającą się propagandę rewolucyjną pod jego kierunek. Ogół jednak gorętszych patryotów podlaskich nie podzielał demagogicznych zasad generała, chociaż te przedstawiały się straszniemi tylko w wykrzyknicach jego stronników, ateuszowstwo zaś i usuwanie wpływów religijnych na lud, odstręczały od współdziałania z Mierosławskim.

Towarzystwo rolnicze z dniem każdym wzrastało w liczbę członków, bo każdy czuł to dobrze, że będzie ono powołanem później do rozwiązania najdrażliwszej kwestyi, to jest uwłaszczenia włościan. Starano się więc o to, aby większość stowarzyszonych wywarła presję na możnowładztwo nasze, w kierunku przychylnym sprawie włościańskiej. Na 21. Lutego 1861 r.znaczono dzień zjazdu na walne zgromadzenie Towarzystwa rolniczego.

Podążyło więc nasze kółko podlaskie w komplecie do Warszawy na zgromadzenie.

Nie będę wam opowiadał rozpraw z posiedzeń Towarzystwa rolniczego, dokładnie je już opisano i zebrano, nadmienię tylko, że z mowców, którym chodziło o szybkie i radykalne rozwiązanie kwestyi uwłaszczenia włościan, najgoręcej i najszczerzej przemawiali hr. Tomasz Potocki i Mittelstaet, obywatel z Kujaw.

Widząc z kilku posiedzeń, na co się zanosi, że rząd nie dopuści do rozwiązania przez obywateli sprawy uwłaszczenia

zupełnego włością, choćby większość zdecydowała się raz przeciąć ten węzeł gordycki, który pod postacią pańszczyzny i czynszu był upiorem wiekowej niewoli ludu, postanowiliśmy korzystać z naszej bytności w Warszawie i nawiązać bliższe stosunki z przewodzcami budzącego się ruchu, skąd też manifestacje, któremi oni byli zajęci, porwały i nas w wir swój potężny. Widząc masy ludu rozentuzymowanego szlachetnym uczuciem miłości ojczyzny i pragnieniem wolności, zdawało się, że niema zapory, którejby lud ten nie przełamał, zapał ten, pełen powagi i rezygnacji, był wyrazem bólu i rozpaczki bezbronnych mas, które szukały sposobności, aby zmanifestować swą gotowość do czynu, choćby ofiarą życia własnego. Takie chwile z życia narodu jak manifestacje Warszawskie nie dadzą się opisać, nie takie pióro jak moje siliło się na to. Naród, który potrafi duchem podnieść się tak wysoko, we wszystkich swych warstwach, że da się bezbronny mordować, aby dać wyraz miłości idei, za którą się poświęca, nie można przypuścić, aby kiedykolwiek upadł pod najstraszniejszymi ciosami wroga. Trzeba było być świadkiem podobnej chwili, aby ją odczuć głęboko.

Ktoś może nazwać postępowanie Warszawian szaleństwem, omyli się jednak bardzo: lud to, co robił, robił z przeświadczeniem wewnętrznym, że ofiarą z siebie rozpali płomień, który ogarnie kraj cały, zagrzeje go do walki z rozbójem. Podniesiony duch ludu warszawskiego wytworzył jedną całość niewidomej siły, która nim kierowała. W dniu 27. Lutego znaleźliśmy się prawie wszyscy, wyszedłszy z posiedzenia Tow. rol. w ciasnej uliczce Trębackiej, gdzie naciśkane przez żołdaków masy zgromadzonego ludu przed kościołem Bernardynów, zbiły się w jedną gromadę. Tu Moskwa rozpoczęła ogień karabinowy do bezbronnych; padło pięć ofiar na miejscu, wiele było rannych. Lud nie ustępując, zabrał poległe ofiary, i uniósł na barkach swoich krwawy sztandar, który Warszawa dnia tego rozwinęła nad całą Polską, powołując do walki orężnej mścicieli niewinnych ofiar. Nie mogło być inaczej: groza mordu musiała znaleźć współczucie w najobjętniejszych nawet. Gdyby nie siła ducha, który ogarnął masy, nie byłoby mocy ludzkiej, któraby potrafiła powstrzymać lud od rzucenia się na wyzywających Moskali, słowo jednak: „wstrzymajcie się, nie wybiła godzina

odwet, nie oswobodzimy Ojczyzny nieprzygotowani do ořeężnej walki“ wystarczyło, aby zapanować nad uczuciem zemsty za doznaną krzywdę, bo wyższą była nad to uczucie miłość dla ukochanej Ojczyzny.

Będąc w pobliżu Hotelu Saskiego ja i dwóch Jasieńskich, udaliśmy się do mieszkania Kajetana Cieszkowskiego, późniejszego naczelnika oddziału pod pseudonimem Ćwieka, który mieszkał tu z żoną. Przyszedłszy do nich, zastaliśmy już tam kilku innych młodych ludzi Czyn rozboju dokonany przez Moskwę, jak rószczką czarodziejską zmienić zapatrywania wielu z tych, którzy wczoraj jeszcze dowodzili, że drogą legalną da się otrzymać wiele od Moskwy. Każdy zrozumiał, że się zbliża chwila powstania, że należy się na nią przygotować.

Skutkiem zaszłych wypadków było: wytworzenie się z Towarzystwa rolniczego szlacheckiego, tajnej Dyrekcyi białych i zawiązanie legalne, za zezwoleniem rządu, komitetu miejskiego, władzy tymczasowej miasta Warszawy (bo tak ją nazwać można); niestety, miasta Warszawy tylko, bo ci, którzy stanęli u władzy, tak zwani delegaci, nie stanęli na wysokości swego zadania, nie potrafili wyzyskać chwili, rozszerzając wpływ swój na miasta prowincjonalne, ogarniając siecią organizacyi kraj cały. Wtenczas można było wiele zrobić, korzystając ze słabości Moskwy, rezygnacya i odwaga ludu warszawskiego zaimponowała carskim siepaczom. Nie mając dostatecznej ilości wojska w kraju na poskromienie ruchu zbrojnego, Moskwa ustępowała, byle nie wywołać burzy przed czasem, car się dziwił skromnym naszym żądaniom. O czynnościach Delegacyi miasta Warszawy dowiedzieć się szczegółowo z pierwszego tomu Wydawnictwa Materyałów do historyi powstania.

Dyrekcyja „białych“ zaczęła paktować z rządem, ale szło tu tylko o lepsze z margrabią Wielopolskim, który posiadając zaufanie cara, nie chciał mieć współników w tem, co drogą legalną wówczas można było zdobyć, paraliżował więc działania białych. Co do mnie, nie wierzyłem i nie wierzę, aby można było drogą legalną uzyskać od najazdu cokolwiekbądź na korzyść interesów narodowych. Stąd też byłem przeciwny przyjmowaniu łask, co usypiały czujność narodu, pozornym blichтром pewnych dobrodziejstw, jak to się

działo później przy zaprowadzeniu rad powiatowych, które tylko nadawały wybranej na radców szlachcie atrybucyę nakładania ciężarów na siebie i lud, takich, jak podatki, szarwarki, dawanie rekruta, prowiantów dla wojska i t. p., a że lud nie miał prawa brać udziału ani w wyborze radców, ani w radach powiatowych, a zatem szlachcie przypadała rola egzekutorów woli najezdniczego rządu. Rządy despotyczne nie konstytucyjne, niepowodowane żadnymi względami politycznymi, których wytyczną jest podbój i wynarodowienie, wspaniałomyślnością się nie unoszą, jeżeli czują się być silnemi, a gdy zrobią jakie ustępstwo, to tylko pod presją i to, aby je cofnąć przy lada sposobności, siłą brutalną siłą tylko odeprzeć można.

W kółku młodych a gorętszych obywateli, posiadaczy większej własności, postanowiono w Warszawie, że wszyscy po powrocie do domów z posiedzeń Towarzystwa rolniczego zwołamy gromady włościańskie i ogłosimy uwolnienie od pańszczyzny. Tak się też stało. 3-go marca 1861 r. do zwołanych z mego majątku włościan przemówiłem jak potrafiłem najserdeczniej, mniej więcej w te słowa: „Bracia kochani! Od dziś, panowie zebrani na zjazd w Warszawie, jednozgodnie postanowili znieść pańszczyznę na zawsze, zwracamy wam na własność ziemię, którą posiadacie, a która się wam od dawna należy, pracą i trudem waszym zdobyta, że zaś sprawiedliwość nie została wam dotąd wymierzona, przyczyna tego jest rząd obcy, który do tego nie dopuszczał, a od którego dotąd wszystko zależało. Wielu z tych panów, którzy się ośmielili bez wiedzy rządu oddać włościanom grunta na własność, wywieziono na Sybir. Dziś wszystkich nie wywiozą, bo mieli sposobność zebrać i zgodzić się na równoczesne uwłaszczenie włościan, czy rząd zatwierdzi to postanowienie dziedziców lub nie, to zaręczyc wam mogę, że na pańszczyznę wołać was więcej nie będę, jeżeli potraficie bronić praw swoich i nie dopuścicie, aby się ktoś trzeci w nasze sprawy mieszał.

Jakież było moje zdziwienie, i żal, kiedy usłyszałem odpowiedź: „Proszę pana, niech lepiej będzie, tak jak było dotąd“. Nie chcąc okazać żalu mego, że ofiara i przemowa moja z taką nieufnością zostały przyjęte przez gromadę, usunąłem się z ganku, skąd mówiłem do włościan, nie mogąc

więcej mówić dla wzruszenia, którego nie potrafiłem opanować. Dwa lata dopiero, jakem nabył ten majątek, powiedziałem więc sobie, widocznie nie pozyskałem jeszcze zaufania tego ludu. Spostrzegli zapewne włościanie, kiedym odchodził moje zaalterowanie i wystali wójta i dwóch innych z gromady, którzy przyszli mnie przeproszać, mówiąc: „Niech się pan nie gniewają za to, co Iwan powiedział, bo to człowiekowi trudno uwierzyć tak zaraz, aby się znalazła taka dusza dobra, coby dla nas dobrze chciała; dotąd tylko krzywda nam się działa. Ot ja (powiada wójt Bartosz Sołoń) niedawno temu, bo trzy lata, za rządcy, co tu był od pana Szlubowskiego, dawniejszego dziedzica, siedziałem w lochu pod tym magazynem, co przed oknami, dziesięć dni o chlebie i wodzie za to tylko, żem się upomniał, że mi już trzeci raz potracają z zarobku za parę wołów, które wziętem ze dworu na odrobek, bom nie miał czem pańszczyzny sprzężajnej odrabiać. Jakże dziś mamy uwierzyć, że za darmo dostaniemy grunta, jakie posiadamy“. Po dłuższej rozmowie, poczciwy Bartosz uwierzył w szczerść słów moich i od dnia tego nikt więcej na pańszczyznę nie przychodził i nie był wołany. Najemnika miałem dostatek ze wsi własnej; swoją robotę rzucali i szli do dworu na zawołanie.

Przykład to jednak, jaką nieufność niejednen ze szlachty, bądź sam, bądź przez swych oficjalistów, rozbudzał u włościian swem postępowaniem. Czy w takich warunkach była możliwość zbliżenia się do ludu? Czuła to cała partya ruchu doskonale i była przygotowana zdobyć, choćby największą ofiarą, uwłaszczenie włościian, a tem samem przełamać zaporę, która dzieliła lud od inteligencji w ogóle.

Jak u mnie, tak prawie na całym Podlasiu, do końca Kwietnia 1861 r. pańszczyzna ustała nietylko u tych, którzy się do tego zobowiązali w Warszawie, ale w ogóle i u nieobecnych w Warszawie na zebraniu, a to pod presją opinii publicznej. Wszelkie dalsze układy z włościianami zostały w zawieszeniu (była bowiem mowa o przejściu przez oczynszowanie do własności, na co się zgodzono, a do czego rząd sam się skłaniał). To samo mniej więcej działo się i w innych województwach, co i u nas na Podlasiu. Jeden znam tylko wypadek w Lubelskiem, gdzie właściciel opierał się uwłaszczeniu. Włościanie tego majątku, widząc, że w okolicy

nikt na pańszczyznę nie woła z dziedziców, sami zaprzestali wychodzić na robotę. Dziedzicem pomienionej włości był K. Zalewski, niesłuchanie interesowany i bez charakteru człowiek, obojętny na opinię; udał się on do gubernatora w Lublinie z żądaniem, aby ten przysłał mu wojsko dla pokrośmienia zbuntowanych chłopów i zmuszenia ich do odrabiania pańszczyzny. Wojsko na żądanie Zalewskiego natychmiast wysłano z Lublina do majątku jego Woli Skromowskiej. Spędzono gromady pod karczmę i tam więcej winnych według wskazówek p. Zalewskiego, kazał dowodzący oficer wojskiem powiązać, do czego użył noszonych przez włościan wełnianych pasów, które wojsko zdzierało ze wszystkich obecnych włościan. Skutkiem tego po okolicznych wsiach rozeszła się wieść, że Moskale w Woli Skromowskiej drą z chłopów pasy, i trwogi nabawiła okolicznych włościan.

III.

Pierwszy zawiązek organizacyi powstańczej powstał w naszym województwie w Białej. Utworzył się tam komitet tak zwany półwojewódzki, do którego należały powiaty północne województwa podlaskiego. Do komitetu weszli: Wilkoszewski, dyrektor domu handlowo-rolniczego z Biały, ksiądz Staszkiwicz, katecheta szkół Białskich, unita, L. i ja. Wybrano mnie podwojewódzkim i włożono obowiązek porozumienia się z przewodcami partyi ruchu w Warszawie.

W południowej zaś części województwa byli czynni Gustaw Zakrzewski i Edward Lisikiewicz, akademik Kijowski.

Zadaniem zawiązanej organizacyi było: rozbudzenie ducha narodowego między ludem, obliczenie ludzi, na których w danej chwili liczyćby można było, przygotowanie pojedynczych jednostek do myśli przewodniej komitetu, to jest do propagandy powstańczej, urządzenie manifestacyj po miastach, gromadzenie na odpusty ludu w celu propagandy, do którego zacni kapłani nasi przemawiali gorąco w duchu patriotycznym.

Zebranie ludu jedno z najliczniejszych było w dniu św. Józefata, którego ciało spoczywało u OO. Bazylianów w Białej na Podlasiu (jak wiadomo, zamordowanego przez Moskali). Sześć tysięcy włościan Rusinów i Polaków było zgromadzonych, manifestując przez usta kapłanów Rusinów i Polaków serdeczny bratni węzeł, jaki ich łączył w obronie praw obu tych szczepów, stanowiących jedną całość Rzeczypospolitej. Kazania i przemowy odbywały się w cieniu wspaniałych lip, okalających klasztor Bazylianów. Lud ruski i polski łzami oblewał grób św. Męczennika za wiarę unicką ruską. (Ciało św. Jozefata podczas prześladowania Unii na

Podlasiu kilka lat temu, Moskale pokryjomu w nocy zabrali i niewiadomo, co z nim zrobili, jak również wiele kosztownych szat, złożonych na ołtarzu Świętego). Między księżmi odznaczali się pracą nad ludem bracia Rusini, a w szczególności: całe rodziny Harłampowiczów (ojciec ich, dziekan, wywieziony na Sybir), Malczyńskich, Telakowskich, Wasilewskich, Szulakiewiczów, Mazanowskich, Mickiewiczów, i wielu innych zacnych Rusinów, których nazwisk historia nie powinna zapomnieć; dziś wszyscy oni wygnańcami, bo nie chcieli się zmoskwiczyć. Czuli to dobrze, że związani obrządkiem religijnym z Moskwą, dopomogą do wynarodowienia ludu, do zmoskwiczenia go. Wyrzekli się zatem interesów własnych, prześladowani, woleli ginąć w nędzy (jak to na bratniej Rusi w Galicyi z niejednym się stało) jak ugiąć się pod przemocą i dźwigać ciężar piętna niewoli ducha i uczuć.

Z pomiędzy księży obrządku łacińskiego wyróżniali się dwaj księża Pijarzy z Łukowa, Brzózka (późniejszy naczelnik oddziału, powieszony przez Moskali) i Adam Słotwiński, ksiądz Grzegorzka i Likendorf, Dominikanin, obydwaj ostatni później kapelani w oddziałach powstańczych. Grzegorzka poległ w oddziale Lelewela (Borelowskiego).

Po wypadkach 8. kwietnia 1861 r. w Warszawie, Teodor Jasiński zastał wysłany z województwa Podlaskiego dla porozumienia się z organizującymi się podówczas różnymi kółkami młodzieży warszawskiej i ułożenia terminu na zjazd delegatów z innych województw i miasta Warszawy, na którym miał być omówionym szerszy plan organizacyi. Zjazd ten został naznaczony na dzień 15. maja 1861 r. i miał się odbyć u mnie w Horostycie. Wypadki kwietniowe dolały oliwy do ognia, nowe mordy na ulicach Warszawy rozdmuchały zarzewie powstania. Zakipiało w całym kraju, nawet „biali“ poczęli szemrać, a krew niewinnych zaciężyła im na sercu.

W początkach maja (dnia dokładnie nie pamiętam) byłem w Rozwadowie u Jasińskiego, gdzie zjechało kilku obywateli z sąsiedztwa, między nimi przyjechał Tadeusz E., ówczesny delegat Dyrekcyi Białych w Warszawie i ten oświadczył mi, że był w Horostycie, ale dowiedziawszy się, że jestem u Jasińskiego, tu za mną przyjechał. Wyszliśmy

z nim na naradę do drugiego pokoju, gdzie wręczył mi nominację na starostę włodawskiego, tudzież odezwę i instrukcję od hr. Andrzeja Zamojskiego, dodając, iż hr. Andrzej Zamoyski jest przekonany, że tak ja, jak całe nasze kółko połączy się z organizacją powstańczą w duchu odezwy i instrukcyi, jaką hr. Andrzej kazał mi wręczyć. E. tłumacząc się, że musi spiesznie do innych okręgów województwa połączyć, odjechał. Jaka była pieczęć na rzeczonych papierach, nie pamiętam, odezwa i instrukcja były litografowane. Znaną była wszystkim oględność i refleksya w postępowaniu pana Andrzeja. Odezwa więc i instrukcja powstańcza objawiły się jak błyskawica, która olśniła nas nadzieją potężnej organizacyi, o którą z takim mozołem bez środków pieniężnych dostatecznych dobijaliśmy się.

Odezwa zalecała przygotowania zbrojne przeciw najazdowi, który depce nasze prawa i kąpie się we krwi niewinnych, była tam mowa także o zupełnem uwłaszczeniu włościan bez wynagrodzenia z ich strony. Instrukcja nakazywała zbierać pieniądze początkowo przez dobrowolne ofiary, spisywanie ludzi zdolnych do broni, obliczenie broni myśliwskiej oraz koni pod kawaleryę i t. p. Znanym był wpływ na całą szlachtę pana Zamojskiego, jego słowo było wyrocznią, nikt nie śmiał oponować jego rozkazowi, każdy poddawał się z całym zaufaniem rozporządzeniom jego. Czytaliśmy z Teodorem Jasińskim po kilka razy odezwę i instrukcję i nie wierzyliśmy własnym oczom. Zdawało się nam, że już Moskali nie ma, że zarzuciliśmy ich czapkami. Radość nasza była nie do opisania. Robiliśmy sobie wyrzuty, że śmieliśmy wątpić kiedykolwiek o energii i dzielności człowieka, który w chwili stanowczej potrafił w duchu wielkich swych przodków z całą potęgą miłości ojczyzny stanąć na czele narodu. Nie pozostawało więc jak zająć się najenergiczniej tem, co instrukcja poleciła do zrobienia.

Gdziem tylko przedstawił moję nominację w domach zamożnej i mniej zamożnej szlachty i mieszczan, przyjmowano mnie z otwartemi rękoma i zupełną gotowością wykonania rozporządzeń rzeczonej instrukcyi. Wszyscy gotowi byli oddać mienie swoje i synów swych pod sztandar narodowy, który dzierżył ulubieniec wszystkich warstw społeczeństwa polskiego na całym obszarze Rzeczypospolitej. Pan Andrzej

Zamoyski był Benjaminkiem narodowym, on jeden z panów naszych naówczas zajmował się potrzebami kraju, i co można było w tym kierunku zrobić drogą legalną, robił. Zawiązanie Towarzystwa rolniczego jemu zawdzięczamy, on nie wielkie swoje kapitały umieścił w kraju, wkładając je w przemysł krajowy jak: Żegluga parowa na Wiśle, fabryki maszyn i t. p. Zwrócone więc były oczy wszystkich na jednego człowieka, który coś robił dla kraju. Panom zas imponował Zamoyski swym wpływem, jaki miał we wszystkich warstwach społeczeństwa polskiego, na całym obszarze Polski.

Piętnastego maja, na naznaczony zjazd do Horostyty, przyjechali delegowani z Warszawy, od stronnictwa ruchu: Stanisław Szachowski, uczeń szkoły sztuk pięknych (obecnie profesor prawa na wszechnicy lwowskiej), Wiśniewski, student szkoły agronomicznej, Wołyniak (brat Leonarda Wiśniewskiego, obecnie dyrektor kopalni w Borystawiu).

Nieznaną im była ani odezwa ani instrukcja pana Zamoyskiego, przedstawiłem im jakąś drugą, jak również moją nominację, a że zadaniem naszym nie było nic więcej do czynienia na razie jak to, co instrukcja opiewała, uznaliśmy, że byłoby nonsensem nie łączyć się z tak potężnym sprzymierzeńcem. Wyjechali więc delegaci, ażeby w Warszawie dojść do źródła tej roboty i połączyć się, a raczej przejść pod rozkazy pana Andrzeja Zamoyskiego.

Wkrótce, bo nie dalej jak w tydzień po zjeździe delegatów, spotkałem się z E., wysłańcem Pana Andrzeja w Lublinie, który mi oświadczył, że się właśnie wybierał do mnie, aby cofnąć dane rozporządzenie, ponieważ wobec tego, że jest zupełna pewność otrzymania drogą legalną wiele od rządu dla kraju, nie możemy ryzykować w nierównej walce losów całego narodu. Oburzenie moje nie miało granic, nie szczędząc słów prawdy, powiedziałem E., że się nie godzi tak postępować, że takie fajerwerki uchodzą dzieciom, a nie ludziom poważnym, którzy musieli się zastanowić nad tem, co robią, że wcale nie myślę się cofać; a ponieważ powiedział mi E., abym się porozumiał z komitetem dyrekcyi białych, który na nowo w naszym okręgu zaczął funkcjonować, oświadczyłem mu, że składam dany mi mandat przez

pana Zamoyskiego w jego ręce i dalej robić będę jak sumienie i przekonanie nakazują.

Organizacja powstańcza Pana Andrzeja trwała trzy tygodnie. Czy Pan Zamojski nie znał swej siły, czy też uląkł się wielkości zadania, jakie miał do spełnienia, trudno zrozumieć, to tylko pewna, że gdyby stanął na czele ruchu narodowego powstałby cały naród jak jeden mąż. Usunięcie się zatem od czynu pana Zamoyskiego, pomimo całych jego zasług, jest nie do darowania i nie da się niczem innym wytłumaczyć, jak tylko słabością charakteru tego człowieka.

Jak to wyżej wspomniałem, zorganizowany był komitet półwojewództki w Białym, który po zerwaniu stosunków z panem hrabią podjął na nowo pracę organizacyjną w duchu naszych zapatrywań, mających na celu przygotowania do powstania. Nie chcąc odrębnej formy organizacyjnej, jakaby mogła być przyjęta w całym kraju, wybrałem się z Jasieńskim do Warszawy, gdzie byliśmy u Karola Majewskiego, naówczas jednej z najwybitniejszych jednostek partii ruchu; zawiodły nas jednak nadzieje otrzymania jakichkolwiek instrukcyj co do organizacji, ogólnie mogącej się przyjąć w kraju. Pan Karol dużo bardzo mówił, ale z tego, co powiedział, nie widzieliśmy jasno wytkniętego programu. Wróciliśmy do domu, nie zbudowawszy się wcale organizacją warszawską, gdzie każdy na swoją rękę projektował i organizował, a nie było jeszcze nikogo, ktoby nadał ład rozburzonemu żywiołowi.

Upłynęło kilka miesięcy od ostatniej naszej bytności w Warszawie, kiedy doszła nas dopiero wiadomość, że się zorganizował komitet partii ruchu. Wysłano mnie powtórnie do Warszawy. Trzeba jednak, żeby się tak złożyło, że trafił na drugi dzień rano po strzale do księcia Konstantego, który miał miejsce wieczorem dnia uprzedniego. Miałem adres do Ignacego Chmielińskiego, jako członka pomienionego komitetu; przyjechawszy rano 4. lipca 1862 r. do Warszawy, udałem się wprost pod wskazanym adresem do hotelu Saskiego pod Nr. 46, na pierwsze piętro, gdzie mieszkał Chmieliński. Pomimo dłuższego pukania do drzwi, nikt mi nie odpowiadał. Zeszedłem więc na dół do zarządcy hotelu, którego znałem, gdzie dowiedziałem się o zdarzeniu zeszłego wieczora i ucieczce Chmielińskiego, przyczem powiedział

mi rządcą, że nie pojmuje, jak mi się udało uniknąć aresztowania przy drzwiach Chmielińskiego, bo policya stoi na dole a agent policyjny kręci się po korytarzu pierwszego piętra, aby zgłaszających się do Chmielińskiego, aresztować. Wyszedłszy na dziedziniec hotelowy, spotkałem się z Julianem Wereszczyńskim, kolegą moim szkolnym. Był on, jak się później dowiedziałem, członkiem komitetu, którego szukałem, (Wereszczyński zginął w pierwszych dniach powstania w Kaliskiem jako komisarz Woj. Kal.). Wereszczyńskiemu opowiedziałem o celu mego przybycia do Warszawy, a ten, wzięwszy mój adres, upewnił mnie, że za chwilę przyśle mi agenta komitetu, którego zna, a który zastąpi Chmielińskiego i poinformuje mnie o wszystkim. W istocie niezadługo zjawił się do hotelu Smolińskiego, gdzie stanąłem, młody człowiek, w okularach, z paką papierów, wyglądających z bocznej kieszeni surduta. Był to inżynier Bronisław Szwarz, niesłychanej dzielności i energii, który brawurą swą i śmiałością w postępowaniu nie poddawał się w podejrzenie policji. Papierami, wyglądającymi z kieszeni, była paczka odezw i instrukcyj, które rozłożył przedemną. Jędrność w zdaniu Bronisława, jasno wytknięty cel organizacji, przekonały mnie, że komitet pojmuje swe zadanie, że robota wchodzi na pewne i poważne tory. Powróciłem więc do Województwa, wioząc odezwę, plan organizacji i rotę przysięgi.

W parę tygodni później, w końcu lipca, czy na początku sierpnia, Teodor Jasiński pojechał do Warszawy, gdzie się już zetknął z członkami komitetu centralnego, skąd przywiózł nominację dla siebie na wojewódzkiego Podlaskiego. Jak on mnie, tak ja jemu pomagałem teraz jak mogłem. Województwo w dwa tygodnie zostało zorganizowane. Naczelnicy powiatów i naczelnicy większych miasteczek w Województwie, mianowani. Zaprzysiężenie szło rażno. Komitet centralny potrzebował pieniędzy. Teodor Jasiński postarał się o wydobycie kapitału żelaznego naszego okręgu, który około 6 tys. zł. p. wynosił, a był złożony u Rocha Jasińskiego, stryja Teodora, który był prezesem koła rolniczego okręgowego. Jak to poprzednio opisałem, trzeba było większej połowy podpisów stowarzyszonych, aby kapitał podnieść, o zwołanie zgromadzenia członków w tym celu nie było mowy, bo prowodyry organizacji dyrekcji białych

nie dopuściliby do podniesienia kapitału. Trzeba więc było wziąć się na fortel; objechaliśmy patryotyczniejszą szlachtę, należącą do koła, a Teodor Jasiński tak potrafił przemówić każdemu do serca, że zebraliśmy potrzebną ilość podpisów i kapitał żelazny podnieśli.

Co się działo na pierwszym posiedzeniu koła okręgowego dyrekcyi białych, to każdy zrozumie, kto zna arbitralne postępowanie przewodców w kołach szlacheckich. Wściekali się oni na niekarność towarzyszy, zarzucając zdradę partyi, której zobowiązali się nie odstępować. Akt jednak podniesienia depozytu był formalny i podpisany przez większość, a pieniądze w naszym ręku.

Teodor Jasiński wziął pieniądze z kapitału żelaznego i te, jakie były zebrane podczas organizacyi Zamoyskiego, co razem do 14 tysięcy zł. p. wynosiło i odwiózł komitetowi centralnemu. Zdaje się, była to pierwsza większa kwota, jaką komitet centralny z prowincyi otrzymał.

Zjazdy i posiedzenia Dyrekcyi białych odbywały się prawie co tydzień, a ponieważ zaliczaliśmy się, jako członkowie towarzystwa rolniczego do tej organizacyi, staraliśmy się nie opuszczać posiedzeń, chociaż przychodziło często do żywych starć na zebraniu z białymi; szło nam także i o to, aby wiedzieć o czynności dyrekcyi w województwie. Unikaliśmy dysput, które do niczego nie prowadziły, zmuszeni jednak byliśmy odpowiadać na demoralizujące przemówienia przewodców białych, którzy szlachtę bałamucili. Raz pamiętam Kazimierz Bogdanowicz, z naszego kółka, dowodząc konieczności przygotowywania się do powstania, które okaże się nieuniknionem, otrzymał od jednego z półpanków*) odpowiedź tej treści:

»Pan nie masz prawa, jako jakiś lichy dzierżawca, decydować o losie całego narodu, bardzo łatwo poświęcać to, czego się nie ma, ale wara rozporządzać się tem, co zasługą w kraju i wiekami zdobyły sobie rodziny, rujnować je materialnie przez zaburzenia, które w mętnej wodzie niektórym ryby łapać pozwolą«.

*) Syn owego pana później zginął w powstaniu.

Dotknął nas do żywego ów półpanek; nie pozostało nic, jak wyjść z posiedzenia manifestacyjnie, co też i wielu z obecnej szlachty, nienależącej do naszego grona, uczyniło. Bogdanowicz jednak ze spokojem (który nie był mu wrodzonym), odpowiedział: „Mam życie, to do mnie należy i to złożę na ołtarzu ojczyzny. Mówisz pan, że będę łapał ryby w mętnej wodzie, uprzedzili mnie już twoi przodkowie panie, obdzierając Polskę przy każdej sposobności i sprzedając ją.“ (Kazimierz Bogdanowicz na początku powstania był dowódcą oddziału, schwytany jako jeńiec w czasie bitwy, został rozstrzelany przez Moskwę w Lublinie). Nietakt panów naszych o jakim już wspomniałem powyżej, odstręczał od nich i robił niemożliwym zbliżenie się tych dwóch partyj.

Rozgłos reform, jakie miały nastąpić, i koncesyj ze strony rządu narobił wiele wrzawy. Organizacya białych krzątała się, aby usposobić przychylnie szlachtę do przyjęcia tychże a tem samem osłabić działalność partyi ruchu. My nie widzieliśmy zbawienia w koncesyach, jakie nam robiono, takich, jak rady powiatowe, które, jak to wyżej powiedziałem, miały na celu uspić energię ruchliwszych, porobić z nas urzędników honorowych rządu, których miało być obowiązkiem: nakładać na kraj ciężary, bez możności decydowania o potrzebach koniecznych ludności. Nie dosyć na tem. Wyraźnie zaznaczono ze strony rządu odrębność Kongresówki od Litwy i Rusi, które to prowincye, nawet tych bawidełek dostać nie miały, bo Moskwa uważała je za kraj czysto rosyjski. Jątrzyło to niesłychanie uczucia narodowe. Z partyi ruchu nikt nie chciał słyszeć o przyjmowaniu jakichkolwiek koncesyj bez współdziałania Litwy i Rusi. Nawet p. Andrzej Zamoyski miał oświadczyć się z tem wyraźnie, że jeżeli mamy ginąć, to razem, ale nie wyrzekniemy się braci naszych i żadnych ustępstw bez współdziałania Litwy i Rusi nie przyjmujemy. Niestety pan Andrzej Zamoyski wezwany w tym czasie do Petersburga, został wkrótce wypędzonym za granicę.

Organizacya białych widząc, że natrafi na silną opozycyę w przyjęciu mniemanych dobrodziejstw, starała się wszelkimi sposobami pozyskać szlachtę z partyi ruchu. Po dość żywej dyskusyi na jednym z posiedzeń partyi białych, gdzie się ostatecznie zawahali ci ostatni, co robić z przyjęciem reform, miałem zaszczyt być wybranym na propozycyę pana

Augusta Zamoyskiego z Różanki, tak zwanym mężem zaufania. Polecono mi jechać do Warszawy i zasięgnąć rady pana Józefa Kraszewskiego, jak on się na przyjęcie rad powiatowych zapatruje, jakie są zdania kół wpływowych pod tym względem w Warszawie.

Nietajne było tym panom moje zapatrywanie co do wszelkich łask moskiewskich. Nie mogłem jednak uchylić się od obowiązku, który na mnie włożono, zwłaszcza, że to nie krępowało zupełnie mego osobistego zdania.

Przyjechawszy do Warszawy, udałem się do Pana Józefa Kraszewskiego *) i oświadczyłem mu, że obywatele naszego okręgu z całym zaufaniem udają się do pana o radę, jak sobie postąpić z przyjęciem rad powiatowych; zresztą, mieszkając w stolicy, zna pan lepiej od nas opinię ludzi wpływowych, czy są za, czy przeciw przyjęciu. Pan Józef powiedział mi, że jego zdaniem koncesyje, które rząd robi, są wyciśnięte pod presją opinii niektórych państw, a co daje Moskwa, ani korzyści ani straty nam nie przyniesie. W Warszawie właśnie teraz odbywają się wybory w jednym z cyrkułów, jaki będzie rezultat, nie wiem, słyszę tylko, że są bardzo burzliwe. Dziś jeszcze stanowczo powiedzieć nic nie można, czy możemy żądać więcej, czy poprzestać na tem, co dają. Nie byłem po to posłany, żebym dysputował w tej mierze, przyjąłem zatem do wiadomości, com słyszał. Odpowiedź pana Józefa Kraszewskiego była wymijająca. Wróciwszy do domu, zdałem sprawę z mego posłannictwa, powtarzając dosłownie, com słyszał, przyczem objawiłem moje zdanie, że odpowiedź p. J. Kraszewskiego wyraża niepewność własnego zdania co do polityki, jakiej się obecnie wobec Moskwy trzymać mamy; chcieliśmy zrobić z niego polityka, a jak zauważyłem, on wcale do tego pretensyi nie ma. Na posiedzeniu tem jednak większością głosów postanowiono przygotować się do nadchodzących wyborów.

„Biali“ starali się podchlebstwem jednać pojedyncze jednostki z naszego grona; sądzili, że jak nas odciągną od udziału w partyi ruchu, a szczególnie tych, którzy pod

*) Kraszewski Józef był obywatelem naszego okręgu i urodził się we wsi Romanowie; w Białym do szkół chodził. Romanów obecnie jest w posiadaniu Rajetana Kraszewskiego, młodszego brata Józefa.

względem materyalnym lepiej stali, a którzy z tego powodu jak to zwykle bywa, więcej powagi używali, upadnie organizacja rewolucyjna. Na przedwyborczem też posiedzeniu w Różance u pana Augusta Zamoyskiego, wybrano do komitetu mnie i Krasuskiego (ojca), który miał przedstawić kandydatów na radców w naszym okręgu; oświadczyliśmy jednak z góry, że kandydatów żadnych stawiać nie będziemy, ponieważ jesteśmy przeciwni przyjęciu rad powiatowych. — udział jednak w zebraniu wyborców weźmiemy. Zjazd szlachty na wybory w Włodawie był bardzo nieliczny, a mała manifestacyjka w mieście, która zaalarmowała Moskwę, dokonała reszty, bo wojsko rozpędzało gromadzącą się ludność po ulicach, a szczególnie przed datą wyborów; tym sposobem wystraszone z miasta i tych, którzy z intencją przeprowadzenia wyborów przyjechali. Tak się skończyło przyjęcie łask, na których nie unieiliśmy się poznać, jak biali utrzymywali.

Pierwszych dni Września 1862 r. na zjeździe wojewódzkim reprezentantów organizacji komitetu centralnego w Łosicach, postanowiono wysłać Edwarda Lisikiewicza i Dra Czarkowskiego, naczelnika powiatu (rozstrzelany w powstaniu; ukończył kijowski Uniwersytet) do komitetu centralnego z żądaniem mianowania mnie wojewódzkim podlaskim*), którą to nominację w tydzień później przez pomienionych wysłańców otrzymałem. Odtąd urząd ten piastowałem prawie do chwili wybuchu powstania. Nie zmieniło to w niczem dawnego porządku rzeczy w województwie, bo z Teodorem Jasińskim wspólnie zajmowaliśmy się województwem jak i poprzednio.

Większość szlachty, występującej pojednawczo w zbliżeniu się do ludu, aż do przesady posuwała swą serdeczność, nie opuszczała najmniejszej sposobności zamaniestowania szczerości swych uczuć. Gdzie się panu w tym czasie urodziło dziecko, włościanie byli proszeni w kumy, przy tej sposobności uczto wano razem za pańskim stołem, wywnętrzano się wzajemnie.

*) Ustyjanowicz w swych zapiskach z powstania 1863 r. nie wspomina o Teodorze Jasińskim; ten jednak był przez dwa miesiące wojewódzkim podlaskim (przez komitet centralny mianowanym), a czynność jego odznaczała się energią i wielką gorliwością na powierzonym mu stanowisku. Ci, co go bliżej nie znali, posądzali go niesłusznie o arystokratyczne przekonania.

Ta gwałtowna zmiana z chłodnej obojętności na gorącą miłość i czułość dla ludu dawała trochę do myślenia włościanom z natury podejrzliwym, jakkolwiek ze strony szlachty był to poryw uczciwy, najszczerzy. Stąd też, jak u nas na Podlasiu, lud zaczął z zaufaniem zbliżać się do dworu, a najlepszym dowodem są fakta przychylności, jaką okazywał zaraz po powstaniu, kiedy szlachta, prześladowana przez rząd, często musiała korzystać z chwilowej pomocy ludu. Muszę tu jeden z takich faktów opisać. Brat mojej żony, Ignacy Bobrownicki, powróciwszy w pięć lat po powstaniu z zagranicy do kraju, został uwięziony. Majątek, będąc w administracji rządowej, był zniszczony zupełnie. Inventarzy żadnych nie było, pola nieobsiane leżały odłogiem. Włościanie Bystr, majątku, w którym mieszkał, dowiedziawszy się o jego powrocie i uwięzieniu, w kilkunastu pojechali do Grodna, do gubernatora i poręczyli swoją osobą i mieniem, prosząc, aby go wypuszczono, na co gubernator się zgodził. Kiedy zaś został uwolniony, wzięli go z sobą do domu i serdecznie pomagali w administracji zwróconego mu majątku. Było to w porze wiosennej, gromada wysyłała swoje pługi, zaorała pole dworskie, zasiała swem ziarnem, następnie siano i zboże zebrała i zwoziła do folwarku, a nakoniec, zebrawszy 1.000 rubli między sobą, przyniosła Bobrownickiemu i ofiarowała na zagospodarowanie. To fakt niezaprzeczony, wiele podobnych znam jeszcze. Ja sam, a raczej żona moja uratowała to tylko, co dała włościanom do przechowania. Stadninę miałem dość ładną, włościanie rozebrali ją między siebie i ani jedna sztuka nie przepadła; za granicę na emigrację odsyłali mi jeszcze pieniądze za sprzedane konie. Zacny ten lud nasz za najmniejszą życzliwość, okazaną mu, odplaca całą szczerością swego serca, które trzeba znać, aby je potrafić ocenić.

W gminach rządowych, gdzie włościanie nie robili od dawna pańszczyzny, i po prywatnych wsiach czynszowych, organizacja powstańcza przyjmowała się doskonale, a sprzyśnięcie obejmowało prawie całe gromady, które nie ustępowały pod względem patriotyzmu szlachcie zaściankowej i mieszczańom. Tak więc konspiracja z dniem każdym coraz silniejsze zdobywała podstawy i szersze obejmowała koła, a gdybyśmy byli mogli wyczekać do wiosny 1863 r. z wy-

buchem powstania, lud cały na Podlasiu byłby wciągnięty do spisku. Szatańska jednak myśl Wielopolskiego przyspieszenia poboru do wojska sparaliżowała wszystko, bo przeprowadziła do przedwczesnego wystąpienia zbrojnie, jakkolwiek, mojem zdaniem, komitet centralny mógł i powinien był poświęcić choćby kilkanaście tysięcy ludzi, a do powstania nie dopuścić. We wziętych do wojska Moskwa zdobywała sobie gotowych w armii konspiratorów, która i tak podminowana była knowaniami partii rewolucyjnej rosyjskiej. W listopadzie 1862 r. przysłał komitet centralny komisarza na województwo ze swego ramienia Romana Rogińskiego, b. ucznia szkoły wojskowej w Cuneo. Młody to był bardzo człowiek, pełen zapału i odwagi, nie tyle jednak zajmował się przygotowaniem do powstania, jak myślą rychłego przeprowadzenia do wybuchu, choćby z gołymi rękami, w nadziei zdobycia broni na nieprzyjacielu.

W listopadzie dopiero na Podlasiu uformował się komitet, którego zadaniem było sprowadzić broń i ulokować ją w pewnych składach, gdzieby jej nie odkryto. Do komitetu wzmiankowanego weszli ksiądz Pijar Stanisław Brzóska z Łukowa, Gustaw Zakrzewski z Ciechomina i ja.

W tym czasie odebraliśmy polecenie komitetu centralnego, aby jak najspieszniej przygotować miejsca dla ukrycia popisowych, a dla niektórych pasporty za granicę, ponieważ pobór miał wkrótce nastąpić. Była to myśl niezła, bo, mając na celu powstanie z wiosną, możebnem było ukrycie popisowych przez kilka miesięcy. Cała więc czynność organizacyi wojewódzkiej była ku temu zwrócona, aby popisowych ulokować bezpiecznie.

Komisarz komitetu centralnego Rogiński nie był przychylny projektowi dyslokacyi, twierdził, że to do niczego nie prowadzi, bo warszawianie popisowi zamiast się chować, będą stawiać opór władzy z chwilą poboru. Pasporty do Galicyi o ile było można przygotowano, a bardzo wielu popisowych ukryć można było przez zimę między ludem i po lasach, w niedostępnych miejscach, gdzieby ich tak prędko przy naszej organizacyi Moskwa nie dostała, władze rządowe nicby o nich nie wiedziały, oni zaś o każdym kroku robionych za nimi poszukiwań.

Wojska moskiewskie w tym czasie najsilniej obsadziły nasze województwo, ponieważ rekruci, wzięci w Warszawie i po lewym brzegu Wisły z prowincyi, musieli być transportowani tędy do fortecy Brześcia litewskiego, a stamtąd partyami w głąb Moskwy.

W początkach grudnia 1862 r. byłem w Warszawie z raportem o stanie województwa u Oskara Awejdya, członka komitetu centralnego. Natenczas województwo liczyło sprzysiężonych 8000 przeszło, po obliczeniu zaś broni palnej myśliwskiej zaledwie 300 sztuk się znalazło. Koni pod kawaleryę było podostatkiem, nie było zaś broni siecznej i kulbak. Prócz sprzysiężonych było wielu ludzi gotowych na zawołanie do broni. Dyslokacya w naszym województwie była przygotowana w stosunku do tego, co województwo pomieścić mogło. Stosunek z oficerami armii moskiewskiej, którzy w województwie stali, był nawiązany. Z początkiem września czy w końcu sierpnia b. roku otrzymałem od Jarosława Dąbrowskiego list, w którym donosił mi z którymi oficerami (szczególniej artyleryi) mam nawiązać stosunek, a o czem on ich już uprzedził. Z oficerami, o których mowa, omówiłem cały plan napadu na ważniejsze punkta w powiecie, z chwilą powstania. Od nich otrzymałem wykaz rozlokowania wojska w mieście Radzyniu, ponieważ wówczas niemniej jak po 20 żołnierzy razem stało na kwaterze. Przyobiecali mi ciż sami oficerowie, że z chwilą wybuchu powstania, przy napadzie pierwszej nocy, wyjdą z miasta i obejmą komendę nad powstańcami, potrzebują jednak na dni kilka przedtem być zawiadomieni. Przy zdawaniu powyższego raportu Awejdzie, powiedziałem mu, że komisarz Rogiński nie przypuszcza, aby dyslokacya się udała, że do powstania w dniu branki przyjść musi, że, mojem zdaniem, byłaby to klęska dla nas niepowetowana, tyle jeszcze jest do zrobienia w zorganizowaniu ludu wiejskiego. Włóścianie zaledwie przed kilkoma tygodniami zaczęli wchodzić liczniej do sprzysiężenia. Komitet wojskowy dla zakupna i przechowania broni dopiero się zorganizował, nie posiada jednak potrzebnych funduszow, które przez zimę, czy to drogą składek, czy opodatkowania dałyby się ściągnąć. Wszystko więc przemawia zatem, aby choć z największą ofiarą wstrzymać się z powstaniem do wiosny. Awejde po-

takiwał memu zdaniu i upewniał, że do powstania jeszcze tak prędko nie przyjdzie. Uspokojony, wróciłem do województwa, sprzysiężenie swoim trybem szło dalej. Służba dworska jak: parobcy folwarczni, straż leśna, lokaje, furmani, kucharze, po większej części byli dziesiątnikami, od nich rozszerzała się organizacya. Ci pionierzy organizacyi korzystali z każdej sposobności, aby swe dziesiątki uzupełnić. Przyjechał do mnie krewny mój z Grodzieńskiego. Służba moja skorzystała z tego, bo zwerbowała jego furmana i lokaja, a kiedy ci złożyli przysięgę u miejscowego proboszcza unity, przyszli do swego pana z żądaniem, aby na wierność Polsce, jak się wyrażali, przysięgł, bo oni już przysięgli i od tej pory nie należą do nikogo, tylko do Polski (a byli to poddani jego z Białorusi), której służyć się zobowiązali, a zatem i panu nie wypada się od tego wyłamywać. Książd przy przyjmowaniu przysięgi przemawiał zawsze w gorących słowach, przedstawiając obowiązki, jakie przysięgły na siebie przyjmuje i jakie prawa im (jeżeli to byli włości, nie) jako wiernym synom ojczyzny przysługują.

Kuzynek mój rad nie rad w obecności swej służby złożył przysięgę. Działo się to samo prawie wszędzie, a rzecz szczególna, często wpływ z dołu, a nie z góry, „jakby być powinno“ oddziaływał. Stąd też dziedzic na folwarku siedział jak mysz pod miotłą, jak to mówią, nie mógł nic zrobić, czegoby otoczenie jego nie wiedziało. Nie było pomimo to stagnacyi w obowiązkach służbowych, oficyaliści prawie wszędzie byli w sprzysiężeniu, stąd też stosunek łagodny w postępowaniu ze służbą, kolegami konspiracyjnymi ich wiązał. Sądy między sprzysiężonymi złatwiali dziesiątnicy między sobą, na tych, którzy wyłamując się z zobowiązań, stawali się niebezpiecznymi, lub odgrażali się z tytułu nieporozumień z dworem lub między sobą. Sądy podobne bywały w wyrokach bardzo surowe.

Z Warszawy przysłano mi w grudniu, nie wiem za czyją inicjatywą, (bo ja o to nie prosiłem) sztyletnika*) z poleceniem usunięcia miejscowego naczelnika żandarmów, kapitana

*) Rozstrzelano go po pierwszej nocy powstania w Radzynie; zdaje się, nazywał się Oborski.

Hwoszczańskiego. Oparłem się temu, raz, aby nie robić hałasu, a powtóre, że jakkolwiek był to łotr skończony, znałem go dobrze i potrafiłem sobie z nim radzić w potrzebie. Po pierwszej nocy powstania, ów Warszawianin, z Rajmondem i Krasuskim, został razem złapany w Radzynie, a nieszczęśliwy, męczony przy indagacyi, wyznał, że go wysłano z Warszawy, aby zasztyletował naczelnika żandarmów w Radzynie, ale ja do tego nie dopuściłem, i dlatego wyroku nie wykonał. Hwoszczyński po napadzie na Radzyń, przez wdzięczność (jak się wyrażał w kartce do mojej żony pisanej), żem mu ocalił życie, zawiadomił żonę, że naczelnik wojskowy Radzyński wybiera się spalić i zniszczyć wszystko, co zastanie w Horostycie, żeby natychmiast wyjechała z dziećmi. Żona, korzystając z tego, zawiadomiła Bielskiego, pułkownika wojska moskiewskiego, z którym miałem zawarty kontrakt sprzedaży Horostyty, aby takowy władzy w Radzynie przedstawił, a temsamem odwrócił zemstę, jaką chciano na mnie wyrzucić; sama zaś z dziećmi wyjechała na Litwę do swego brata, gdzie z wielką biedą się dostała.

IV.

W końcu grudnia odebrałem zawiadomienie z Warszawy od komitetu centralnego, abym się porozumiał z Pułkownikiem Lewandowskim*), który powrócił z emigracji do kraju, a którego komitet centralny mianował naczelnikiem wojskowym województwa Podlaskiego. W R... zjechaliśmy się z pułkownikiem Lewandowskim, wręczyłem mu pieczętę wojewódzką i dałem potrzebne objaśnienia co do organizacji miejscowej, Pułkownik zaś mianował mnie naczelnikiem powiatu Radzyńskiego w stopniu majora. Stopień był, ale kwalifikacyi nie było; umiałem wprawdzie ekspedyte regulamin kawaleryi, bo tego można się było wyuczyć z podręcznika Mierosławskiego, parę książek o taktyce i strategii traktujących przeczytałem, ale praktyki, doświadczenia żadnego. Pułkownik Lewandowski sprawował obowiązki cywilne i wojskowe w województwie niespełna przez trzy tygodnie, do dnia powstania. Teodor Jasiński został mi dodany jako mój pomocnik w powiecie; tak więc byliśmy wciąż razem.

W Radzyńskim powiecie było rozlokowane wojsko moskiewskie jak następuje: w Radzynie, bateria artyleryi ciężkiej, 12 dział, pod komendą generała Kanabicha, batalion piechoty, którym dowodził major Borozdyn, sotnia kozaków i miejscowi żandarmi. W Ostrowie, przy trakcie lubelskim stało trzy kompanie piechoty. W Włodawie dywizyon kawaleryi pod dowództwem majora Kwiecińskiego. W Międzyrzeczu, przy trakcie brzeskim, pułk ułanów pod

*) Lewandowski był rodem z Podlasia, syn mieszczanina z Laskarzewa, wyszedł w 1848 r. do Węgier i tam walczył w szeregach powstańczych legii polskiej, gdzie się odznaczył.

komendą pułkownika Afana Sapuły. W Białej bateria artylerji konnej i inwalidzi. W Kodniu kompania inwalidów. Siedlce, Węgrów, Mińsk, Garwolin, Łuków, Ryki, forteca Dęblin i Brześć, wszystkie powyżej wymienione miasta i miasteczka w województwie Podlaskiem, obsadzone były co najmniej przez 20.000 wojska regularnego.

Dziewiętnastego stycznia 1863 r. przyjechał do mnie z Warszawy Bonifacy Dąbkowski (obecnie inżynier kolei państwowej w Galicyi) z rozkazem komitetu centralnego, aby dnia 22. stycznia w nocy uderzyć na Moskali, stojących w powiecie. Była to dla mnie niespodzianka, nie przypuszczałem, aby dyslokacya nie przyszła do skutku, lecz przyszło do przedwczesnej akcji; nie czas był jednak rezonować, powstanie 22. stycznia miało w całym kraju wybuchnąć. W Płocku i w wielu innych miejscach już przyszło do alarmów i spotkania na ostre, jak mi kurjer Dąbkowski powiedział. Pozostawało niecałe trzy dni czasu na ściągnięcie ludzi, zebranie broni palnej, przygotowanie kos, czego dla niealarmowania Moskwy dotąd nie zrobiono. Nadto trzeba było mianować naczelników, którym miałem powierzyć atak na Międzyrzecz, Ostrów, Włodawę, Kodeń. Pod Radzyń — sam iść miałem. Pod Białą stał z oddziałem już gotowym Rogiński Roman, o czem mnie nie uprzedził, i że termin powstania jużznaczony, nie doniósł. (Rogiński się zdradził swą gotowością przed czasem, Moskale go jednak nie zaczepili).

Tych trzy dni przygotowań i pierwsza noc powstania zostaną mi do śmierci w pamięci. Niedoświadczenie w podobnych wypadkach stawiało mnie w bardzo trudnem położeniu. Odpowiedzialność za nieudały napad pierwszej nocy zawisła nademną. Trzeba było przytem myśleć i o sobie. Zostawiałem w domu czworo drobnych dzieci, z których najstarsze miało cztery lata i żonę. Majątek, jakkolwiek sprzedany, ale nie wziąłem od nowonabywcy pieniędzy, na pozór tylko był zabezpieczony, bo zostawał w rękach człowieka najgorszego charakteru, tacy bowiem tylko wobec Moskwy mogli być bezpieczni. Nie było czasu do stracenia. Wysłałem kuryerów do oficerów, będących w konspiracyi, z Radzyń, do Krasuskich i Krysińskiego. Rajmundowi Krasu-

skiemu poleciłem atakować Ostrów, Karolowi Krysińskiemu *) Międzyrzecz.

Tak rozdzieliwszy komendy, sam z Teodorem Jasieńskim przygotowywałem się do napadu na Radzyń, gdzie w powiecie główne siły moskiewskie stały. W dobrach Zamoyckiego był w obowiązku, jako kotlarz z profesyi, niejaki Michałowski, szczerzy patriota i dzielny człowiek. Zorganizował on oficjalistów w dobrach Różankowskich, straż leśną i inną służbę. Jemu poleciłem, aby w swym warsztacie oprawił kosy na wprost, wiele zdąży zrobić, a następnie zebrał straż leśną z bronią i przybył na 21. rano do Horostyty. W domu żona z całym personelem kobiecym szyła woreczki na proch i kule, darto szarpie, przygotowywano jedzenie dla oddziału na dni kilka. W nocy z 20. na 21. przybył z Radzyna do Horostyty Prądyński, pomocnik naczelnika miasta, z zawiadomieniem od oficerów, że lada dzień będą mnie areztować, zdaje się z tytułu sprawy Jana Bogdanowicza, którego już uwięziono w Zamościu, bo innych żadnych podejrzeń na mnie nie było, tak szczęśliwie udawało mi się maskować moją czynność. Zostawiłem więc Teodora Jasieńskiego w Horostycie, który miał ludzi i broń, jaka była zabrać i na furmankach na drugi dzień pod Radzyń na wieczór przywieść, gdzie było odemnie siedem mil drogi. Ja miałem czekać na trakcie z Wochynia do Radzyna prowadzącym i zaprowadzić przybyłych powstańców na punkt zborny. Prądyńskiemu dałem rozkaz do Pyrkosza, naczelnika miasta Radzyna, aby uzbrojonych w siekiery mieszczan, uważnie wyprowadził z miasta i do lasu pod Radzynie przyszedł najdalej o dziesiątej, na wzmiankowany gościniec. Tak rozporządziwszy, pożegnałem żonę i dzieci, zostawiając je chwilowo pod opieką Teodora.

Nad ranem byłem już pod Międzyrzeczem, gdzie się chciał widzieć z Krysińskim; nie zastawszy go w domu, czekać nie mogłem. Popaśszy konie, wróciłem pod Radzyń,

*) Krysiński był synem naczelnika straży tabaczej w Międzyrzeczu Straż, będącą pod rozkazami jego ojca, wciągnął do organizacyi. W czasie powstania był jednym z lepszych partyzantów, ale człowiek zarozumiały i bez wyższego wykształcenia, często na szkodę powstania działał przez upór i ambicję.

gdzie miałem czekać na spiskowych. Po drodze wstąpiłem do Jerzmanowskiego, Sybiraka. Jerzmanowski w r. 1848 skompromitowany, był aresztowany i kilka lat przesiedział na Sybirze. Zdawało mi się, że wzięwszy go z sobą, będę miał pod bokiem człowieka starszego, doświadczonego, do pomocy. Jerzmanowski, uzbroiwszy się od stóp do głowy, co mi się już niebardzo podobało, wsiadł ze mną na wózek. Mrokiem już przyjechaliśmy do lasu o dwie wiorsty od Radzyna, tam obrałem miejsce na punkt zborny na polanie w lesie, gdzie zostawiłem konie z furmanem, sam udałem się z Jerzmanowskim na gościniec prowadzący do miasta. Na tym gościńcu drogi się krzyżowały do Wochynia, Ostrowa i Radzyna. Na tej krzyżownicy zostawiłem Jerzmanowskiego z poleceniem, aby nadchodzących lub nadjeżdżających powstańców sprowadzał na punkt zborny. Sam udałem się na koniec lasu traktem pod miasto, aby stamtąd obserwować Radzyna i nadciągających mieszczan z Pyrkoszem poinformować o miejscu zebrania się oddziału. Ciemno było bardzo; nie mogąc nic widzieć w oddaleniu, usiadłem przy gościńcu pod krzakiem jałowcu, a okręciwszy się burką przed deszczem ze śniegiem, który wciąż padał, wyczekiwałem przybycia spiskowych. Wtem usłyszałem turkot wózka i trąbkę myśliwską; nagle przy rozstajnej drodze, gdzie został Jerzmanowski, pędzący cwałem wózek zatrzymał się, równocześnie usłyszałem wołanie po moskiewsku: „Kto ty takoj“ i dwa strzały, następnie wózek ruszył z miejsca, a jeszcze w większym pędzie przejechał koło mnie ku miastu. Jerzmanowtki, jak się pokazało, nieroztropny (kiedy mógł przypuszczać, że powstańcy będą trąbić) zatrzymał wózek, a spostrzegłszy na nim żołnierzy, zaczął uciekać; któryś z żołdatów strzelił za nim, prawdopodobnie nie mierząc. Wózkiem jechali żołdaci, służący oficerów, wysłani na polowanie w pobliską knieję. Można wyobrazić sobie, com ja mógł w tej chwili pomyśleć: spostrzegli Jerzmanowskiego uzbrojonego, dadzą znać do miasta kocznie i wszystko będzie odkryte, stracone. Pierwszy to raz w życiu uczułem, że włosy na głowie dębem stają, a język kołkiem w ustach. Pospieszyłem, gdzie zostawiłem Jerzmanowskiego, ale nikogo tam nie znalazłem. Na moje świstanie, a nawet wołanie nikt nie odpowiadał, Jerzmanowski wystraszony, wzięwszy nogi, jak to mówią, za pas, dał drapaka

i nie oparł się aż w domu, a na drugi dzień doniósł mojej żonie, że zginął pod Radzyniem.

Wróciłem na moje stanowisko i wlepiłem oczy w drogę prowadzącą z miasta w przekonaniu, że zobaczą za chwilę wojsko, a co najmniej rekonesans kozacki. Łuny zaczęły się pokazywać naokoło, czerwonym szlakiem nad Lubartowem, Kockiem, Ostrowem, wszędzie prawie, gdzie atak był wykonany w okolicy, straszna ta chwila rysowała w mojej wyobraźni okropne obrazy walki.

Na starym żołnierzu zrobiłoby to wrażenie, cóż dopiero na takim dyletancie jak ja; ciężka bo to była próba. Ruszyć się z gościńca było niepodobieństwem, bo mógłbym oddać tym sposobem nieuprzedzonych powstańców, którzy lada chwila mogli nadejść, w ręce nadchodzącego wojska, jakem sobie wyobrażał. Tak przemęczyłem się przeszło dwie godziny bez potrzeby, bo jak się później pokazało, pijani żołnierze, przyjechawszy do miasta, pokładli się spać, nie mówiąc nic nikomu, co ich spotkało; trzeba było jednakże o tem wiedzieć, aby wytrwać ze spokojem na miejscu.

Po 11. godzinie w nocy nadciągnął Jasiński z ludźmi i bronią, której było zaledwie 40 sztuk palnej i sto kos. W domu jeszcze musiał się podzielić Jasiński bronią z Krasuskimi. Za chwilę zjawilo się pędzących cwałem 40 koni jeźdźców bez żadnej broni, a nawet bez siodła. Byli to parobcy na dzielnych koniach z dóbr Antopolskich i Opolskich, o sześć mil od Radzyna odległych. Prowadzili ich miejscowi ekonomi folwarczni. Niepodobna było ich użyć, odprawiłem więc wszystkich do domu, aby czekali dalszego rozkazu. Ludzie z miasta nie przychodzili, nareszcie zjawił się Prądzyński o 12-tej w nocy i zawiadomił mnie, że Pyrkosz wkrótce z mieszczanami nadejdzie, jak również doniósł mi, że oficerowie od piechoty i artylerji, zebrani u Borozdyna, komendanta batalionu, bawią się tam i piją. U naczelnika zaś żandarmów Hwoszczańskiego grają w karty: generał-major Kanabich, pułkownik artylerji, dwóch innych oficerów i proboszcz miejscowy łańciskiego obrządku. Pyrkosz dla dodania sobie odwagi podchmielił sobie, nie miałem jednak nikogo, ktoby go zastąpił. Przyprowadził stu przeszło mieszczan radzyńskich, ale z gołemi rękami, bez siekier nawet, zapewniając mieszczan, że broń w lesie dostaną. Rozdałem między

Radzynianów resztę, jaka mi została, kos, a część poszła z gołemi rękami. O kosy bili się między sobą dzielni i szczerze radzyńscy.

Teodor Jasiński niemniej odemnie był przygnębiony, bo brak broni odbierał nadzieję powodzenia. Trzeba było jednak podzielić i uszykować powstańców, do czego Teodor mieszać się nie chciał, mówiąc: „pójdę na ośle, gdzie zechcesz, ale ani szykowaniem ludzi się nie zajmę, ani komendy żadnej nie wezmę, bo wyobrażenia nie mam, jak sobie radzić w tem położeniu; mogę odpowiadać tylko za siebie“. Jedyny więc człowiek, na którego pomoc liczyć mogłem i ten się usuwał przed odpowiedzialnością za to, co się stanie. Radziłem więc sobie, jak mogłem i jak potrafiłem. Pyrkoszowi dałem najwięcej ludzi, aby szybkim ruchem dom, gdzie byli oficerowie zebrani otoczył i postąpił sobie według wskazówek, jakie mu dadzą oficerowie, będący w sprzysiężeniu, których tam zastać powinien. Gdyby ich tam nie było, miał natychmiast aresztować obecnych i wytransportować za miasto. Michałowskiemu dałem straż leśną z dóbr Zamoyskiego w liczbie 12 i poleciłem aresztować generała Kanabicha. Sam z Jasińskim, zabrawszy 14 strzelców i 40 kosynierów, poszedłem zająć odwach, który był przy parku artylerji obsadzony piechotą.

Każdy oddział wyruszył na miejsce przeznaczenia. Pyrkosz miał spalić słomę złożoną w Rynku dla artylerji, co miało być sygnałem do równoczesnego ataku. Spostrzegłszy ogień w rynku, zbliżyłem się pod odwach. Strzał powalił żołnierza, stojącego na sztyldwachu. Część większa oddziału wpadła na odwach, a w kilka minut odwach ten, złożony z 50 żołnierzy, został opróżniony. Jasiński z kilkoma powstańcami uderzył na stojącą wartę z czterech żołnierzy pod szopą przy armatach, i za chwilę byliśmy w posiadaniu 12 dział i jaszczyków z amunicją. Nie było jednak można wprowadzić armat bez zaprzęgu. Stajnie z końmi i uprzężą artylerji były pod bokiem, ale żołnierze, będący przy nich, pobudzeni strzałami, zdążyli się w stajni zabarykadować. Przez silne dębowe drzwi, szalowane gwoździami, niepodobna było dostać się do środka. Znalazło się dwie siekiery na odwachu ale te wkrótce wyszczerbiły się o głowy wielkich gwoździ. Chciałem podpalić stajnię, aby ich stamtąd wykurzyć.

Wyszukała wiara kilka pęczków słomy, które podłożone pod drzwi, zapaliłem, co z wielką trudnością przyszło zrobić, bo deszcz ze śniegiem nie ustawał. Równocześnie wszczęła się wrzawa i coraz gęstsze strzały w środku miasta dały się słyszeć. Wojsko zaczęło się zbierać i otaczać nas. W noc ciemną, przy palącej się słomie pod stajnią, widzieli nas Moskale, my zaś nikogo. Strzelali jak do celu, dzielni powstańcy nie ustępowali, dobywając się do stajni. Trzeba było ich odwołać od niekonsekwentnej roboty, i tak 11 ludzi padło pod stajnią. Cały oddziałek cofnął się pojedynczo między Moskalami. Taki był zapał i energia pierwszej nocy powstania, że gdybyśmy mieli byle jaką broń, rezultat byłby całkiem inny. Pierwszej nocy z małemi wyjątkami, wszyscy zebrani powstańcy byli sami Rusini, dzielni Podlasiacy. Berg, historyk rosyjski w historii powstania 1863 r. przy opisie napadu na Radzyń nie podaje żadnych szczegółów. Co do mojej osoby, jako prowadzącego atak, tak się wyraża:

„Do napadu na Radzyń był przygotowany oddział z różnych mieszkańców tego miasteczka i z mieszczan miejscowości Wochyń, pod dowództwem tamtejszego obywatela Rzewskiego, syna burmistrza Wincentego Skalskiego, pisarza Pyrkosza, szlachcica Franciszka Prądzynskiego, księdza Celestyna Godlewskiego. Głównym naczelnikiem nad wszystkimi temi siłami, których wielkość jest nieznana, został niejaki Deskur, wskutek nominacji Rogińskiego — z familii Deskurów, którzy od dawna służyli rewolucyom w tych okolicach“ (patrz Część II. str. 114). Zapiski N. W. Berga: „O polskich konspiracyjach i powstaniach 1831—1864“ Tom II. Poznań. Nakładem autora. Drukarnia Kraszewskiego (Dr. W. Łebiński). 1884. Stronnica 451 i 452.

Po skończonym ataku przy mnie i przy Jasińskim został tylko jego kozak dworski. Dostaliśmy się na gościniec i konno objeżdżając miasto, przyjechaliśmy na drugą stronę miasta od strony Łukowa, gdzie był punkt zborny naznaczony po nieudalym ataku, o czym przed rozpoczęciem akcji wszyscy powstańcy byli powiadomieni. Już zaczęło świtać, kiedy na trakcie z Radzynia zjawilo się dwóch

ludzi z oddziału Pyrkosza. Dowiedziałem się od nich, że Pyrkosz zginął. Później zaś mówiono mi, że Pyrkosz obsadził dom kwatery oficerskiej tylko od ulicy, wszedł z kilkoma powstańcami do środka i miał dłuższą przemowę do zebranych tam oficerów. Borozdyn, naczelnik batalionu znał się dobrze z Pyrkoszem; zaproponował mu, aby się z nim napił, a później wszyscy połączą się z powstańcami. W trakcie tego szepnął służącemu, aby ten wyskoczył oknem na nieobsadzone podwórze i przyprowadził najbliższą stojącą kompanię wojska. Za chwilę też Moskale rozbili garstkę ludzi Pyrkosza, a wpadłszy do środka kwatery, zakłuli go wraz z towarzyszącymi mu powstańcami. Prawdopodobnie oficerowie należący do nas, widząc tak niefortunnie rozpoczęte powstanie, zniechęceni, wcale nie wyszli. Co się z nimi stało później, nie wiem.

Michałowski, otoczywszy dom kapitana żandarmów Hwoszczyńskiego, jak mi to później sam opowiadał, wszedł do środka, uzbrojony ogromnym nożem kuchennym. Oświadczył Kanabichowi, że go aresztuje, wziął stojący przy nim pałasz bez oporu. Kanabich i inni oficerowie nieruchomie siedzieli przy stoliku, nie myśląc o obronie, żaden się nawet nie odezwał, tak głowy potracili. Zaczęły padać strzały na ulicy, a stojący za oknem powstaniec strzelił przez okno i cały nabój loftek wpakował w kark generałowi; ten upadłszy twarzą na stół, zważył go. Świece spadły i pogasły. Michałowski pchnął nożem pułkownika, zanim ten zdążył się zerwać z krzesła. Oficerowie tam będący wyszli do sieni, gdzie się spotkali z lufką powstańca tu stojącego, wrócili w tej chwili do pokoju, usiłując zabarykadować drzwi pierwszego pokoju. Michałowski wychodząc, pchnął nożem tego, który zastąpił mu drogę z pałaszem. Michałowski wyszedłszy na podwórze, ściągnął swoich i ogrodami wyszedł z miasta, na punkt zborny jednak nie przyszedł.

Widząc nieudały atak na Radzyń, skłamałbym, gdybym się nie przyznał, że wątpiłem chwilowo w powodzenie dalsze powstania.

Zgorączkowany tą pierwszą nocą, brakiem odpowiednich środków zdemoralizowany, myślałem tylko, aby jak najprędzej spotkać się z Lewandowskim, któryby mię wsparł jako

człowiek doświadczony swą radą. Nadarmo jednak przez cały dzień szukaliśmy go. Spotkaliśmy ludzi z jego oddziału, wracających ze zdobytymi karabinami z pod Siedlec, ale i ci nie mogli nas objaśnić, gdzie moglibyśmy znaleźć naczelnika Lewandowskiego.

Nad wieczorem przyjechaliśmy nad Bug, przepawiliśmy się i na noc zajechaliśmy do Henryka Załuskiego. Stamtąd zaś rozesłałem ludzi, aby odszukać pułkownika. Napróżno ednak; mimo poszukiwań, nie mogłem się dowiedzieć, gdzie jprzebywa.

V.

Dwudziestego drugiego stycznia 1863 r. zaatakowano Moskwę na wszystkich miejscowościach województwa Podlaskiego, gdzie tylko wojsko stało, prócz fortec. Jakkolwiek powodzenie pierwszej nocy nie było wielkie, bo napad po większej części kończył się alarmem, to jednak równoczesne wystąpienie powstańców zaszachowało Moskwę. Nie mogła ona przy nocnej akcji ocenić dokładnie sił naszych i broni, jaką rozporządzamy, nie śmiała więc wytknąć nosa z miasteczka, w którym kwaterowała, mogąc się spodziewać, że zostanie napadnięta przez przeważające siły. W dziesięć dni po ataku na Radzyń wydarzył się wypadek, dowodzący jak Moskałe byli przerażeni. Wojsko zajęło w Radzynie stary zamek i tam się zamknęło, postawiwszy w bramach armaty. Pewnego dnia wieczorem pijany żołnierz przez nieostrożność wypalił z karabinu, zrobił się alarm, nie dochodzono przyczyny strzału, ani nie wysłano rekonesansu, ale z dwóch bram wchodowych do zamku, zaczęto strzelać z dział. Z jednej bramy mierzono w lipy, któremi była droga wysadzona do zamku, widząc poza niemi oczami strachu powstańców; do rana niewinne lipy, kulami scinane, upadły; z drugiej bramy, strzelając do miasta, zburzono kościół, rano dopiero przekonano się, że nikogo nie było.

W kilka dni po 22. stycznia poformowały się oddziały drobne. Pierwszy pod dowództwem Szeniawskiego, starszego wiekiem obywatela w okolicy Łomaz, Kuczyka i Gustawa Zakrzewskiego w Łukowskim, Nikritego i Rembowskiego pod Kodniem i Romana Rogińskiego, który nie był rozbity pierwszej nocy, bo bez boju wszedł do Białej. Generał Maniukin, tam stojący z lekko-konną baterią artylerii, nie mając asekuracji a wiedząc, że jest w pobliskim lesie oddział,

wyszedł z miasta o kilka wiorst w pole. Matlińskiego (Sokoła) i pułkownika Lewandowskiego, przy którym zostało kilkudziesięciu ludzi po napadzie pierwszej nocy.

Na drugi dzień bytności mojej u Załuskiego przyjechali także Ignacy Jasioński i Jełowicki po nieudalym ataku na Lubartów w Lubelskiem. Niepowodzenie pierwszej nocy zniechęciło ich. Postanowili więc, mając przygotowane paszporty, przez Podole udać się do Galicyi, a ponieważ na paszporcie figurował i służący, którego z sobą nie mieli, namówili Teodora Jasiońskiego, aby za nimi, przebrany za lokaja, pojechał.

Po otrzymaniu wiadomości, że Rogiński część ludzi swoich z pod Radzynia zebrał, wyjechałem, aby go odszukać, już sam jeden, wyrzucając sobie, że stracił na próżno dni kilka w towarzystwie, które mnie wcale nie zbudowało. Osądziłem się w sumieniu mojem winnym, że na drugi dzień, zamiast szukać Lewandowskiego, nie wróciłem do domu, nie pozbierałem rozproszonych ludzi z oddziału mego. Goniąc za Rogińskim, dostałem się pod Siemiatycze, na drugi dzień po bitwie, skąd Rogiński i Lewandowski pospiesznym marszem poszli do puszczy Białowiejskiej. Za nimi szli Moskale; Rogiński zatrzymał się z Lewandowskim w majątku Śnieżki; tu przyjechawszy, o mało nie dostałem się w ręce Moskali. Zawdzięczam tylko przytomności obywatela Makowieckiego, że mnie z tej matni wydobył. Moskale spalili majątek Śnieżki, jego samego zaś zabili. Gdybym tu był połączył się z Rogińskim lub Lewandowskim, byłoby wszystko w porządku, los jednak chciał inaczej. Kierunek mojej podróży zmienił się: wyprowadzony przez Makowieckiego z pułapki, dostałem się w Łomżyńskie, gdzie po drodze nie obeszło się bez różnych przygód. Przepędziwszy dwie nocy w oczere-tach na zamrzniętej rzece Mur pod Ciechanowcem, gdzie stali Moskale, dostałem się nareszcie pod dach w Warelach, folwarku Karola Kalisza. Tego samego wieczora przyjechał Cichoński (Zameczek). Zostawiwszy swój oddział, z 60 ludzi złożony, o półtorej mili w lasach, nocowaliśmy obydwaj w Warelach, gdzie nikogo w dworku nie zastaliśmy. Nad ranem wpadł do pokoju jeden z sąsiadującej z folwarkiem szlachty zaściankowej, zawiadamiając nas, że sotnia kozaków idzie z Czyżewa. Ubraliśmy się i wyszli na ganek, w mroku

jeszcze widać było gromadkę kawaleryi na odległość 400 kroków, która stojąc w miejscu, zdawała się obserwować abudowania folwarczne Warel. Dworek był postawiony w czystym polu na płaszczyźnie, tak że mowy nie było o ratowaniu się ucieczką. Usiedliśmy zatem w ganku, wyczekując, rychło wezmą nas kozacy jak swoich. Cichorski miał rewolwer, ja byłem bez broni, los jeden nas czekał, byliśmy przygotowani, że nie wyjdziemy żywcem, jeżeli nie zaraz zginiemy, to wszakże było do przewidzenia, jak sobie z nami Moskwa postąpi, skoro nas w ręce dostanie. Kiedy tak wyczekiwaliśmy, co nas spotka, siedząc na ganku, spojrziałem po za siebie i spostrzegłem błysk kosy za wzgórkim, który był nieopodal od domu.

Przed dworkiem były w czworobok zabudowane gumna folwarczne, tak że Moskale byli po jednej stronie tych budynków, oddziałek zaś nasz, który Tyszka, adjutant Cichorskiego prowadził, dziwnem natchnieniem wiedziony (bo rozkazu nie miał, żeby do Warel przyszedł) znalazł się po drugiej stronie pomienionych budynków, tak że ani on Moskali, ani Moskale jego nie widzieli. Niespodziewana ta pomoc do dała nam ducha, wstałem z miejsca, podszedłem pod oddziałek nasz, który na wzgórkim się pokazał, a kierując się wprost na ściany stodoły, która zasłaniała nas całą swą długością od Moskali, podprowadziłem pod nią oddział, tu postawiwszy na rogach ścian czworoboku strzelców, w środku kosynierów i 16 koni kawaleryi, którą Pisanko, Małorus, dowodził, czekałem na atak kozaków; ci jednak, obawiając się widocznie zasadzki, wyczekiwali, aż się dobrze rozwidni. Kiedym powrócił na moje miejsce w ganku, kozactwo podzieliło się na dwie połowy i pędem puściło się z dwóch stron gumna na dziedziniec, a gdy nadjechali na 20 kroków na rogi stodoły, strzelcy dali ognia, kozacy zwinęli się w miejscu, dwóch spadło z koni i żyd szpieg, po kozacku przebrany, który ich prowadził, a którego koń zrzucił; wielu rannych od śrutu i loftek kozacy, podtrzymując na koniach, uprowadzili z sobą, umykając napowrót do Czyżewa. Pisanko puścił się za nimi, ale na wynędzniałych naszych koniach nie mógł ich dogonić. Gdyby się byli kozacy sformowali, odjechawszy kawałek, i w 50 koni tylko uderzyli na nas,

byliby nas rozbili, bo kosynierstwo nasze pojedyńczo pędził rozrzucone po polu za nimi.

Mówią ludzie, że niema cudów, ja powiem, że jest siła opiekuńcza, która w takich wypadkach cuda tworzy. Czem wytłómaczyć przyjdzie Tyszki do Warel, kiedy on sam sobie z tego sprawy zdać nie mógł. Powiedziałem sobie: do trzech razy sztuka się udaje, trzeba się połączyć z pierwszym lepszym oddziałem, nie szukać bezbronny powrotu do oddziałów podlaskich.

W parę dni później z oddziałkiem Zameczka byłem w Sulęcinie, w Ostrołęckiem, tu w kilka dni przyjechał Padlewski Zygmunt objąć dowództwo nad oddziałami piechoty w tej okolicy. Zygmunta Padlewskiego znałem z konspiracyi bardzo dobrze. Opowiedziałem mu, jakie koleje przechodziłem po napadzie na Radzyń, i że chcę koniecznie powrócić w moje województwo, bo mogliby mnie uważać za zbiega, a jakby fatalizm jakiś nie dopuszcza mnie do połączenia się z tamtymi oddziałami. Padlewski powiedział mi na to, że nie chodzi o to gdzie, ale co będę robił, że bierze na siebie odpowiedzialność, jeżeli tu mnie zostawia, i dał mi rozkaz na piśmie formowania w Ostrołęckiem oddziału kawalerji, a że Mystkowski miał polecenie od Padlewskiego formowania piechoty, polecił nam wspólnie się wspierać i razem się trzymać.

Padlewski poszedł ze swym oddziałem pod Myszyniec nad granicą pruską. Ja zaś z Mystkowskim zacząłem zbierać i organizować oddział. Stojąc we wsi Grządka na Kurpiach tydzień przeszło, gdzie mustrowaliśmy zebranych już ludzi, objedliśmy gromadę zupełnie. Posłał Mystkowski do wójta, aby obliczył, co się gromadzie należy za wyżywienie żołnierzy, lecz ten, przyszedłszy, skoro dowiedział się, o co chodzi, z oburzeniem odpowiedział: „Cóż to chcecie nam płacić, czy to nie nasz obowiązek dzieci własne żywić, czy my nie tacy Polacy jak wy, żebyśmy mieli brać pieniądze za marną strawę, kiedy wy życie dajecie dla Polski“.

Uściskaliśmy pocziwego Kurpia, a łza serdeczna, która cisnęła się nam do oczu, była mu zapłatą*).

*) Czytałem w rękopiśmie pamiętniki Łukasza Podbielskiego, który się urodził na Kurpiach i całe powstanie tam przeżył; wiele cie-

Wyszliśmy z Grządki w 200 przeszło ludzi, (gdyby była broń, cała ludność kurpiowska stanęłaby pod bronią, nie trzeba było jej werbować). Kurpie przyjmowali nas wszędzie z otwartym sercem i chętnie dzielili się wszystkim, co sami mieli. Nie nadużywaliśmy jednak ich gościnności, bo organizacja powiatowa dostarczała wszystkiego, co potrzebne, z okolicznych folwarków szlacheckich. W trzy tygodnie oddział nasz wzrósł do 700 ludzi. Zadaniem naszym było wyćwiczyć, o ile się da, żołnierza i pościagać broń palną myśliwską, której do 200 sztuk się zebrało, reszta oddziału była uzbrojona w kosy.

Kawalerya, której było do 80 koni, miała lance, a niektórzy po jednym pistolecie lub pojedyncze; terlice na konie sprowadzałem z Warszawy, które się jeszcze przechowały u żydów między starem rupieciem, zakupionym po 1831 r.; w miejsce pałaszy, których było zaledwie dla połowy oddziału, reszta miała rapiry pokojowe, szpady sędziowskie i t. p. narzędzia sieczne. Do miesiąca maja unikaliśmy spotkania z nieprzyjacielem, chcąc, jak można było najlepiej, oddział zorganizować. Sztab Mystkowskiego nie miał jeszcze ani jednego fachowego oficera, prócz kilkunastu podoficerów, żołnierzy z wojska regularnego, którzy służyli za instruktorów. Sztab składali: Karol Frycze, technik, i Dąbrowski, brat Jarosława Dąbrowskiego. Ja miałem w kawaleryi starych paru żołnierzy z wojska regularnego i dwóch bardzo dzielnych oficerów partyzantki, ale nie fachowych wojskowych.

Dzień 15. maja 1863 r. był wyznaczony przez Moskwę manifestem carskim do złożenia broni przez powstańców, i zdania się na łaskę i niełaskę rządu, który według manifestu miał jak najłagodniej postąpić z tymi, którzy broń złożą. Dzień więc 23. na 24. maja naznaczyliśmy do wystąpienia zaczepnie. Traf zdarzył, że doniesiono nam z Ostrołęki o wyruszeniu stamtąd trzech kompanij piechoty i szwadronu huzarów z naczelnikiem żandarmów, majorem Denisiwiczem, dla aresztowania naczelnika powiatu naszej organizacji, który mieszkał o kilka mil od Ostrołęki. Zdecydowaliśmy, ażeby na ten oddział moskiewski napaść między Czerwinem

kawych szczegółów można w nich znaleźć o zachowaniu się Kurpiów podczas powstania 1863 r. Podbielski mieszka w Galicyi, w Przemyślu.

a Ostrołęką. Wyruszyliśmy zatem natychmiast z obozu, i obrawszy pozycję w gęstym lesie przy szosie, między wsiami Komorowem i Jeleniami, czekaliśmy w zasadzce na nieprzyjaciela. Mrok zapadł, Moskwa nie nadciągała. Nadjechał nasz kurjer, donosząc, że jest w Czerwinie oddział Moskiewski o milę od nas, że tam wypoczywają, że Danielewicz, pijąc z oficerami w cukierni, odgraża się, że zapędzi jutro do Ostrołęki dosyć tej hołoty razem z ich naczelnikami. W gąszczach przy szosie ustawiono po jednej stronie cały oddział piechoty, ja rozdzieliłem moją kawalerię na dwa skrzydła oddziału pieszego, na jednym sam zostałem, na drugie odkomenderowałem oficera Kozłowskiego, polecając mu stanąć po drugiej stronie szosy. Pluciński, członek organizacji pułtuskiej, przyjechał w tym czasie do oddziału i wziął udział w wyprawie. Stanął z Mystkowskim i Fryczem w środku naszej piechoty. Przez Mystkowskiego miał być dany sygnał do ataku. Moskwa około 11-tej w nocy zbliżyła się pod las, wiara, leżąc w gąszczu już kilka godzin, zaczęła chrapać. W awangardzie oddziału moskiewskiego szło pół sotni kozaków, w ariergardzie szwadron huzarów Szpica kozacka, dojechawszy do naszego stanowiska, usłyszała prawdopodobnie chrapanie i zwróciła się do miejsca, zatrzymując maszerujące wojsko. Dowódzca Moskali, kapitan Rynażewski, nie zwracając uwagi, zakomenderował „marsz“, i Moskwa wlaźła pod nasze strzelby i kosy. Mystkowski strzelił, rozpoczął się ogień na całej linii ciągnących Moskali, w pierwszej chwili upadła Moskwa plackiem na szosę, chcąc uniknąć strzałów, to też kosynierzy skorzystali z tej chwili i mocno ją poturbowali. Starcie było tak bliskie, że brano się za bary i mordowano wzajemnie.

Niejaki Rawski, furyer naszego oddziału, starszy już człowiek, szamocąc się z Moskałem, leżał pod nim, kiedy kosynier rąbał z wierzchu, ale tak silnie, że rany dosięgały i biednego Rawskiego, który następnie ledwo wylizał się z rany. Moskale po chwili zerwali się z ziemi i przeszli na drugą stronę szosy. Rynażewskiego*), którego bardzo żoł-

*) Rynażewski w kilka miesięcy później uciekł z Ostrołęki do naszych oddziałów i został naczelnikiem dzielnego oddziału czysto kurpiowskiego, w którym z inteligencji był tylko naczelnik, adjutant jego

nierze lubili, wzięli między siebie i, krzyżując od ataku kosynierów, karabiny nad nim, unieśli. Moskale ustępowali, odstrzeliwając się. Jadące w awangardzie kozactwo uciekło. Przejechałem więc pod ogniem na lewe skrzydło aby uderzyć na huzarów w ariergardzie. Kozłowski ucierał się już z nimi, rozsypanych po polu za lasem huzarów gonili nasi pojedynczo. Dostaliśmy wówczas kilkanaście koni huzarskich i dwa kozackie, trochę karabinków i pałaszy i kilku huzarów do niewoli wzięli.

Major żandarmów Denisiewicz*) jechał powozem w środku kolumny, skąd wyciągnął go za kark Pluciński. Dwóch oficerów, braci Puchałów-Cywińskich ciężko rannych, ośmiu żołnierzy z podoficerem i dwóch szpiegów dostało się w nasze ręce. Denisiewicza, Cywińskich i dwóch szpiegów**) kazał Mystkowski powiesić jako zdrajców ojczyzny; byli to niestety Polacy. Kilkunastu rannych żołnierzy moskiewskich opatrzył nasz lekarz (jeszcze zanim swoich rannych obejrzał) i na furmankach odesłaliśmy ich do Ostrołęki Moskalom. Naszych ciężko rannych i zabitych było przeszło trzydziestu. Moskali zabitych kilkadziesiąciu. Po tej zasadzce cały jeden pluton piechoty został uzbrojony w karabiny moskiewskie. I ja podreperowałem swoją kawaleryę, jakkolwiek z koni huzarskich żadnego użytku nie było, bo nieprzyzwyczajone do takich niewygód, ciągle pod gołym niebem, nie dotrzymały naszym lekkim konikom.

W kilka dni po utarczce pod Komorowem Moskwa porozumiała się przez szpiegów z Pułtuskim i Czyżewem

Józef Roguski i dowodzący oddziałkiem kawaleryi Józef Kubicki (dziś profesor weterynaryi w Dublanach w Galicyi). Resztę stopni wojskowych w oddziale piastowali Kurpie.

*) Denisiewicz był oficerem w armii polskiej w 1831 r. Kiedy go wieszano, dawał 50.000 rubli, aby mu życie darować. Powoływał się na swego syna, który rzeczywiście był w oddziałach krakowskich powstańców, a wzięty przez Moskali do niewoli, powieszony został.

**) Przy jednym ze szpiegów, młodym chłopcu, który był zastępcą wójta gminy w okolicy Ostrołęki znaleziono list jego narzeczonej, w którym zaklina go na wszystko, aby porzucił ohydne rzemiosło szpiega, bo ona nie chce być żoną zdrajcy kraju. Nie tłumaczył się więc przy indagacji ów młodzieniec i nie rzekłszy ani słowa, z dziwnym spokojem poszedł na śmierć.

i wszystkie trzy oddziały wyszły na nas na obławę. Unikaliśmy spotkania z przeważającymi siłami. Sześć dni nie robiliśmy sobie schronienia pod dachem, wciąż alarmowani, nie odstępując od koni, spoczywaliśmy tylko po parę godzin. Nareszcie Moskwa strudzona marszami i kontrmarszami, rozeszła się na swoje stacje. My zaś parę dni wypocząwszy, postanowiliśmy zrobić nową zasadzkę. W tym celu dnia 13. maja wyruszył nasz oddział w stronę Czyżewa. Na tę nieszczęsną wyprawę wybrali się z nami: Pluciński, jak zawsze na ochotnika, Podbielski, oficer generalnego sztabu moskiewskiego, świeżo przybyły do oddziału z Petersburga, dla objęcia dowództwa, Ostaszewski, emigrant z 1848 r., oficer kampanii węgierskiej i Dąbkowski Polikarp, który przy nas oddział sobie sformował. Przyszedłszy pod Zaręby, między stacyami kolei Czyżewem i Małkinią, Frycze wziął trzysta piechoty i poszedł pod Małkiń, aby tam stojących Moskali zaalarmować, było bowiem do przewidzenia, że Małkiń, obsadzona słabymi siłami moskiewskimi, zatelegrafuje do Czyżewa o pomoc, gdzie stał generał Tol z silną załogą. Kiedy Frycze poszedł pod Małkiń, my stanawszy przy torze kolejowym w małej kępcie lasu, przez który kolej przechodziła, popsuliśmy kolej tak, aby Tol jadąc do Małkini na pomoc, znalazł przeszkodę, a kiedy pociąg wpadnie na zepsute szyny, mieliśmy na jadących Moskali uderzyć. Gdy się piechota uszykowała przy torze, wysłałem Kozłowskiego na lewe skrzydło z dwoma plutonami, sam zostałem na prawym z resztą kawalerii od strony Małkini.

Podbielski proponował Mystkowskiemu (który jeszcze dowództwa na niego nie zdał), aby obsadził tor kolejowy z dwóch stron, ale Mystkowski nie posłuchał i postawił cały oddział z jednej strony od Zaręb.

Tak rozłożeni, czekaliśmy na pociąg z Czyżewa z wojskiem. Po paru godzinach, usłyszeliśmy świst lokomotywy. Pociąg się zbliżył do lasku powoli, bo Tol został uwiadomiony przez budnika kolejowego, że powstańcy kolej popsuli, ale niedokładnie, w którym miejscu. Pociąg przygotowany, że trafi na przeszkodę, zaledwie się ruszał i tak nadjechał na odbite szyny. Pierwszych kilka wagonów wskutek karambola pękło. W nich były konie kozackie, które powyskakiwały z kawałkami desek z wagonu, do których były przy-

pięte, reszta wagonów z wojskiem ocalała przy słabym karambolu. Żołnierze moskiewscy wyskoczyli z wagonów na stronę nie obsadzoną przez powstańców i z pod wagonów jak z fortecy zaczęli strzelać do naszych, którzy się rzucili na pociąg. Tol z 12 kozakami, którzy połapali konie, na koniu kozackim uciekł do Czyżewa, nie czekając rezultatu bitwy. Kozłowski, który stał na lewym skrzydle od strony Czyżewa, przeslepił uciekającego Tola, a mógł go wziąć łatwo. Niestety mieć chciało, że pierwsi, którzy podbiegli do wagonów jak Podbielski, Pluciński, Ostaszewski, padli od strzałów w pierwszej chwili. Mystkowski w obydwie nogi ranny strzałem z pod wagonu, podtrzymywany przez kosynierów, trzymał się jeszcze. Widząc rannego Mystkowskiego, posłałem mego adjutanta Stanisława Osmólskiego, ażeby mu podał konia swego. Kiedy Osmólski przy pomocy kosynierów wsadził Mystkowskiego na konia, ten, zebrawszy ludzi, jakich miał najbliżej siebie, objechał pociąg i rzucił się na oślep między Moskali; dostał kulą w piersi i spadł z konia. Nasi zaczęli rejterować, Moskwa wypadła bagnetem z lasku. Kosynierzy po zabiciu Mystkowskiego nie dotrzymali placu. Moskwa ścigała nas w czystym polu, strzelając bez przerwy. Kozacy, którzy połapali konie, chcieli uderzyć na rozsypanych naszych strzelców z prawego skrzydła, ale garstka naszej kawalerii, która odstępowała stępo w zasłonie piechoty, wstrzymała ich zapędy. Kiedy tak z pod lasu w ariergardzie ustępujemy, Dąbkowski, naczelnik oddziału (o którym wyżej wspomniałem) wskoczył z tyłu na mego konia, a że był dość ciężkim, bo otyłym, złamał krzyże memu małemu konikowi, usiadł na ziemi przed nami. Na szczęście było kilkanaście koni kozackich złapanych, które szły luzem, dałem więc Dąbkowskiemu jednego, sam na drugiego musiałem się przesiąść. Piechota pomału zaczęła się zbierać do gromady, rozsypana na kilometrze szerokości w polu. Nie widząc Kozłowskiego na lewym skrzydle piechoty, posłałem Józefa Trembickiego, kawalerzystę, pod ogniem nieprzyjaciela, aby go odszukał i polecił, odstępować, zasłaniając rozbitą piechotę. Trębicki, odważny młodzieniec, przejechał szczęśliwie pod ogniem nieustającym, i rozkaz spełnił. Zarebska zasadzka to straszna klęska dla województwa Płockiego, a nawet dla całego po-

wstania, zginęli w niej najdzielniejsi i najwięcej obiecujący ludzie.

Kiedyśmy wchodzili do wsi Zaręb, strzały moskiewskie ustały, wojsko pomaszerowało w stronę Czyżewa. Zebraliśmy na polu i w lasku kilkudziesięciu rannych i przeszło czterdziestu zabitych. Ciała: Plucińskiego, Podbielskiego, Ostaszewskiego i Mystkowskiego, Moskwa, jako trofea fatalnej dla nas bitwy, z sobą zabrała. Nad rannymi Moskwa okropnie się pastwiła. Znaleźliśmy na pobojowisku naszego żołnierza od kosynierów, akademika z Warszawy, (którego nazwiska sobie nie przypominam), z wyłupionymi bagnetem oczami, z oberżniętym językiem, uszami i innymi częściami ciała. Fiałkowski, doktor oddziału, opatrzył w Zarębach rannych. Nadszedł z pod Małkini Frycze i objął dowództwo nad piechotą Mystkowskiego.

Powstańcy potyczką i forsownym marszem pod Zarębą byli znużeni bardzo, należało jednak oddalić się jak najwięcej od Czyżewa, aby ocalić rannych, wypadało więc noc jeszcze całą maszerować. Śpiących po drodze piechurów zmuszeni byliśmy budzić lancami. Nie lepiej było i z kawalerją, która na koniach drzemała. Świtaniem przyszlśmy do obozu w lesie, gdzie zastałem świeżych kilkanaście koni. Hr. Ostrowski z Płockiego przyszedł zaciągnąć się do oddziału kawalerji z kilkoma ludźmi ze swej służby, wszyscy na koniach pół krwi angielskich. Z nim przyszedł także młody obywatel Zembrzusi ze swym służącym z Pułtuskiego.

Pod Zarębami koń mój spłoszony spał się i upadł na zwalone drzewo, przy czem tak silnie uderzyłem się w bok, że musiałem wyjechać na parę dni z obozu. Zajechawszy do Bronikowskich, kazałem sobie postawić kilkadziesiąt baniek, a w trzy dni później wróciłem objąć moję komendę. W tym czasie przysłano mi z Warszawy na instruktora, oficera z 1831 r. Walewskiego, ale Moskwa nie dawała nam spoczynku od zarębskiej bitwy, nie było czasu na ćwiczenia kawalerji. Walewski jednak z każdej sposobności korzystał, żeby młodego żołnierza czegoś nauczyć. Dąbkowski ze swym oddziałem poszedł pod Zambrów, a że Moskwa za nim goniła, zdążył do naszego obozu. Moskale, chcąc się przekonać o jego siłach, a nie mogąc widocznie znaleźć szpiega, wysłała na ochotnika jednego z żołnierzy, Moskala, który

pod pozorem, że chce przejść do naszych szeregów, dostał się za pomocą organizacyi do oddziału Dąbkowskiego. Równocześnie wyszedł do oddziału Dąbkowskiego z Ostrołęki oficer Moskiewski Drozdowski, z tej samej kompanii, w której pomieniony żołnierz służył. Drozdowski, spostrzegłszy znanego mu żołdatę, wziął go natychmiast na indagacyę i pokazało się, że go major batalionu wysłał, aby obliczył siły oddziału, a po kilku dniach zdezerterował i doniósł, co widział. Żołnierza powieszono, skoro mu dowiedziano szpiegowstwa. Dąbkowski w parę dni później przyszedł do naszego obozu nad wieczorem, a zanim przyjechał kurjer, donosząc, że Moskale za śladem Dąbkowskiego dążą. Obóz Fryczego pod Łączką (tak się miejscowość nazywała) od tygodnia prawie spoczywał w bardzo dobrej pozycyi jako schronienie, bo na środku ogromnych błót w lesie, gdzie był kawałek suchego gruntu, a do tego miejsca przez błota które zaledwie piechotą przejść można było, prowadziła jedyna grobelka, na której zaledwie dwa konie obok mogły się zmieścić. Frycze tak się czuł bezpiecznym w tym schronisku, że nie rozstawił żadnych placówek. Lasocki, żołnierz z kampanii węgierskiej 1848 r., który był w sztabie Fryczego, i ja, zwracaliśmy Fryczemu uwagę, na konieczną potrzebę opasania łańcuchem wedet obozu, bo choćby Moskale szpieg nie prowadził, to za śladem Dąbkowskiego po piaskach ostrołęckich trafi do naszego obozu; następnie proponowaliśmy, aby będąc w tak dobrej pozycyi, bitwę przyjął, obstawivszy odpowiednie punkta po za błotem, — nie zdołało to jednak przekonać Fryczego, utrzymywał, że Moskale do nas nie trafią. Wysłałem ja wszakże moich kawalerzystów na dość odległe wedety za błota i tak noc spokojnie przeszła. Nadedniem kazałem konie pokulbaczyć i przy koniach spoczywać. Frycze, jakkolwiek wiedział od kuryera, że Moskale idą, kazał zabić wołu i kotły nastawić, zostawiając zupełną swobodę żołnierzom. W obozie śmiał się z mojej przezorności, a tem samem dał mi do zrozumienia, że mam stracha, ja zaś utrzymywałem, że koni nie mam do stracenia, aby je w błocie zostawić, jak mi zamkną drogę jedyną, którą wyjść mogę z tego więzienia. Dla piechoty nie jest ono takie straszne, bo i błotami, jak kto ma uciekać, ucieknie. Moje wedety zmieniane, wciąż stały; koło dziesiątej rano wysłałem

podoficera Józefa Kubickiego, (o którym wyżej w odsyłaczach wspomniałem), aby poluzował wedety. Zaledwie tenże dojechał do pierwszej, strzał padł, a Moskale prawie na plecach Kubickiego wpadli do obozu. Kawalerya, ponieważ była gotowa, jednocześnie wsiadła na koń i wyjechała z błota grobelką wyżej wzmiankowaną. Ruszyłem natychmiast zatrzymać pierwszy atak Moskali, którzy przyszliz wąską drożyną w gąszczu sosnowym i rozsypali się już po błotach. Na ciasnej jednak drodze nie mogłem, jak tylko dwójkami jechać, rozwinać się było niepodobna. Moskale, usunawszy się z drogi w gąszczę, z obu stron dróżki dali do nas ognia. Zleciało kilka lanc, ale kawalerzysta na szczęście żaden; strzał był bardzo bliski, więc zgórowali. W tem zamieszaniu brakło mi trzech z kawaleryi. Walewski, instruktor, który pozostał z tyłu, przy wsiadaniu na konia, dostał kulą w czoło i poległ na miejscu. Podoficer Lebl, który pierwszy na dróżkę wyjechał, prawdopodobnie został odcięty od nas i szeregowiec Barzykowski, który wprawdzie z konia zleciał, ale widziałem, jak się podniósł zdrów zupełnie.

Piechota nasza bez tornistrów zaledwie zdołała złapać za broń, kiedy część Moskali była już w obozie, przez błota przeszedłszy. Drozdowski, oficer, jeszcze w mundurze rosyjskim, złapał jeden pluton uzbrojony w karabiny z bagnetaami, i z nim uderzył na bagnety, wołając przez zapomnienie: „na sztyki“ po moskiewsku. Któryś z naszych, myśląc, że zdradza, ponieważ po moskiewsku zakomenderował, strzelił do niego z tyłu. Ciężko ranny, Drozdowski upadł. Frycze z kosynierami trzymał się czas jakiś, ale dostał kulą w brzuch, kosynierzy się rozpierzchli, unosząc go z sobą. Cała piechota, której było do tysiąca, rozsypała się po błotach. Ja szczęśliwie wyszedłem z kawaleryą z tej błotnej pułapki, w której mogłem wszystkie konie zostawić. Sformowawszy się, przejechałem na gościniec, który dzielił las na dwie połowy i zatrzymałem się po drugiej stronie gościńca. Moskwa, zabrawszy ранnego Drozdowskiego*), kotły nasze i furgony, wyjechała na ten sam gościniec co i ja. Wysłałem oficera

*) Drozdowskiego Moskale wyleczyli z rany, następnie rozstrzelali w Ostrołęce.

Rafalskiego, aby podjechał bliżej gościńca i przyjrzał się, gdzie Moskwa pociągnie i co zabrała. Rafalski wyjechał w pole, przy gościńcu zszedł z konia na sto kroków od kolumny moskiewskiej i przyglądał się spokojnie. Tak Moskalom tem zaimponował, że ci, zobaczywszy go, wstrzymali się, ale po chwili namysłu ruszyli dalej, nie zaczepiając go. Prawdopodobnie obawiali się zasadzki innego jakiego oddziału. Moskali było cztery roty (kompania) piechoty i jeden szwadron huzarów na siwych koniach, z którego to szwadronu mieliśmy w naszej kompanii trębacza, Feliksa Szymanowskiego rodem z Lublina. Zdezertował on Moskalom przed bitwą zareńską z Ostrołęki. Feliks ów utrzymywał, że w tym szwadronie było bardzo dużo Polaków, że gdybyśmy byli się z nimi starli, byłiby przeszli, bo często o tem w szwadronie Polacy mówili, że przy okazji przejdą. Tym razem Moskale nie użyli tego szwadronu, trzymali go w ariergardzie podczas bitwy.

Do wsi Poreba zanieśli rannego Fryczego, a kiedym tam przybył na drugi dzień, już dogorywał dzielny ten żołnierz. Jeżeli grzeszył czem Frycze, to tylko brawurą swoją, bo nadzwyczajnej był to odwagi człowiek. Po śmierci Fryczego objął chwilowo dowództwo Broniewski, uczeń szkoły wojskowej w Kuneo. W parę tygodni później przysłano z Warszawy niejakiego Jasińskiego, na dowódcę oddziału Ostrołęckiego. Dąbkowski znowu się oddalił Fatalizm jakiś prześladował oddział ostrołęcki, w którym tylu dzielnych ludzi zginęło. Mojem marzeniem było dostać się w Podlaskie, jakkolwiek żał mi było opuszczać oddział, który się już dobrze prezentował i był złożony z inteligentnej i dzielnej młodzieży, dla której swoim kosztem sprowadziłem kulbaki i trochę pałaszy przez tamtejszego obywatela z Warszawy. Nie brakło więc już nam rynsztunku i broni dla lekkiej kawaleryi, mimo to jednak, gdy nastąpiła mi się sposobność spotkania z miejscowym komisarzem rządu narodowego, prosiłem go, aby mnie przeniesiono w Podlaskie; a w parę tygodni później odebrałem nominację rządu narodowego na majora kawaleryi, z poleceniem, abym się udał w powiat Łukowski w Podlaskie, gdzie pułkownik Heidenreich (Kruk) formuje kawaleryę, jako straż przyboczną swoją, której dowództwo mnie powierza. W tym czasie bowiem pułkownik

Heidenreich został mianowany naczelnikiem wojskowym województwa Podlaskiego. Dowództwo zaś mojej kawaleryi ostrołęckiej poprzednio jeszcze zdałem rotmistrzowi Kozłowskiemu.

Muszę tu wspomnieć jeszcze o jednym fakcie, który charakteryzuje usposobienie ludu w tej okolicy. W miesiącu czerwcu, zdaje się, wyszło rozporządzenie rządu narodowego, przez komisarza rządowego ogłoszone gminom, aby się gotował lud do pospolitego ruszenia *). Byłem świadkiem w tych stronach, jak we wszystkich kuźniach wiejskich przekuwano na gwałt kosa, a masy włościan, nie wołane jeszcze, zaczynały się już zbierać, i tak, raz pod Ostrołękę przyszło półtora tysiąca kosynierów, którzy się kusili uderzyć na Ostrołękę, jak wojsko wyjdzie za powstańcami, a słaba załoga zostanie. Tadeusz Tłuchowski, obywatel z Płockiego, mówił mi, że w trzy tygodnie po ogłoszeniu pogotowia, o którym mówię, przyjechał komisarz rządowy do niego, jako do Naczelnika cywilnego województwa i zażądał, aby zwołać gromady, ponieważ chce włościan uprzedzić, żeby kosa obrócili do swojej roboty w polu, gdyż rząd ma nadzieję, że przyjdzie do interwencji zagranicznej, nie może więc narażać ludu na morderczą dla niego walkę. Włościanin jeden z wezwanych gromad po powyższej przemowie wystąpił do komisarza, mówiąc: „Wysście zawsze tak robili, skompromitowaliście nas, bo Moskale wiedzą o naszym przygotowaniu. Przyjdzie czas, że my sami powstanie zrobimy, ale was tam nie będzie“. Gromady się rozeszły z szemraniem. Na dowód, jak włościanie byli dobrze usposobieni, niech posłużą jeszcze jeden przykład. W jednej z wiosek garwolińskiego okręgu na Podlasiu, miejscowy proboszcz, którego nazwiska sobie nie przypominam, tak usposobił swych parafian patryotycznie, że ci, odebrawszy wiadomość o ogólnym powstaniu, 24. stycznia zebrawi się z kosami, bo innej broni prawie nie mieli, i przyszli do swego dziedzica, żądając od niego, aby ich prowadził na Łaskarzew.

*) Chładyński (Biały) komisarz rządowy wojew. płockiego, przygotowywał pospolite ruszenie na swoją rękę, bez porozumienia się z rządem. Należał do opozycji, która w czerwcu wywołała zamach na rząd.
(Przyp. wydawnictwa).

Dziedzic ów, młody jeszcze człowiek, ale nie wojowniczego ducha, rad nie rad z włościanami iść musiał. Napad się nie udał. Włościanie zastali przygotowaną już Moskwę na ich przyjęcie, śmiałym jednak atakiem zmusili ją zamknąć się w domach, ale mając koły tylko, ustąpić z miasta musieli.

Pod Łaskarzewem, zdaje się, do boju prowadzi oddział Dr. Chałupczyński. Oddział ten był przeważnie złożony z włościan. Ksiądz Seweryn Paszkowski proboszcz z Maciejowic, obecnie w Galicyi zamieszkały, przyprowadził do oddziału przeszło 200 chłopów z swej parafii.

Na Podlesiu zwłaszcza, gdzie mieszka drobna szlachta, lud był jak najpatriotyczniej usposobiony i sprawie narodowej oddany. W jednej z gmin powiatu Łukawskiego stawilo się do formującego się oddziału, którym dowodził podpułkownik Zieliński, około 500 włościan.

Przed wyjazdem jeszcze moim z Ostrołęckiego straty nasze pod Zarębami poniesione, zostały zrewanżowane. W niewielkiej odległości od lasku, w którym taka klęska nas spotkała, na torze kolejowym był wysoki nasyp na małej przestrzeni błot, porośłych olszyną. Tu jeden z budników kolejowych, należący do konspiracyi, urządził sam zasadzkę. Odbił szny na nasypie, połączył je długą linewką, której koniec trzymał, ukryty w olszynie, i tak czekał pociągu z wojskiem. Wówczas sprowadzano gwardyę z Petersburga i wszelkie możliwe ostrożności na kolei były zachowane. Przed każdym pociągiem, który szedł z wojskiem, szła lokomotywa z jednym wagonem jako rekonesans, a w pięć czy dziesięć minut później pociąg. W zasadzce, o której mowa, maszyna z jednym wagonem rekonesansowa przeszła po odbitych, a nieruszonych z miejsca szynach bez wypadku, ukryty zaś człowiek z linewką po przepuszczeniu rekonesansu, ściągnął w jeden bok szyny z nasypu, a wskutek tego, gdy nadjechał w pędzie pociąg z wojskiem, spadł z nasypu, druzgocąc się w kawałki. Pozostała tylko jedna wielka masa z ciał i szczątków wagonów. Z całego pociągu, w którym 600 żołnierzy i dwudziestu podobno oficerów jechało, nie wyszła żywa dusza. Największy kawałek drzewa z wagonu nie miał ani 30 centymetrów długości ani szerokości. W parę tygodni później przejeżdżałem w tem miejscu przez niezupełnie uprzą-

tnięty jeszcze tor kolejowy, straszny przedstawiał się widok. Obywatel, który tak pomścił klęskę zarębską, uszedł szczęśliwie i dotąd podobno cieszy się dobrem zdrowiem. Zrobił on to z własnej inicjatywy, nie wtajemniczywszy nawet nikogo w zamiar, który następnie sam w czyn wprowadził. Okropny to wprawdzie środek niszczenia nieprzyjaciela, natura się przed nim wzdryga, z uwagi jednak, jak Moskwa z nami postępowała, jak się pastwiła nad bezbronnymi, między którymi może i tego człowieka jakiś bliski krewny padł ofiarą rozbestwionego żoldactwa, czyż się dziwić można tego rodzaju zemście, zwłaszcza, jeżeli ten, który się jej dopuszcza, nie potrafi obrachować skutków i w uniesieniu ją spełni. Na naiwnej naszej szlachetności, której wróg wcale nie uwzględniał, czyśmy wychodzili dobrze? Myśmy ich rannych opatrywali, jak ludzkość nakazywała, oni zaś naszych po większej części dobijali, lub leczyli na to, żeby ich powiesić lub rozstrzelać, gdy powrócą do zdrowia; tak n. p. postąpili z Drozdowskim i wielu innymi. Z pod Żyżyna Heidenreich odesłał do fortecy Dęblińskiej Moskałom 200 przeszło żołnierzy, wzięty w niewolę, dawszy im jeszcze po kilka rubli na drogę, a w trzy dni później, bić się z tym samym żołnierzem musiał. Oficerowie zaś, którzy, dawszy słowo, że nie będą przeciwko nam walczyć, zostali uwolnieni z niewoli, jak n. p. Nikolskij i inni, w dalszym ciągu powstania w przedsiębranych wycieczkach odznaczyli się okrucieństwem.

VI.

Ostatnich dni czerwca 1863 r., złączywszy się z Karolem Lewenhardem, oficerem wojska moskiewskiego, który także odjeżdżał do oddziałów w Podlaskiem, wyruszyliśmy w nader niebezpieczną podróż, bo trzeba było między gęsto rozrzuconymi oddziałami moskiewskimi drogę odbywać. Pułkownika Heidenreicha znalazłem w Żelechowskiem. Przedstawiłem mu polecenie rządu narodowego wraz z nominacją. Pułkownik oddał mi oddziałek kawaleryi, będący pod dowództwem Łaskiego *) i polecił mi dokompletować szwadron do 130 koni. Heidenreich należał do rewolucyjnego kółka w armii rosyjskiej, był z przekonania demokratą i na szlachtę patrzył z ukosa, nie miał również zaufania do niefachowych oficerów. Często i ja spotkałem się z przymówką, że paniczekowi trudno się nagiąć do obowiązków żołnierza.

Przez parę tygodni kwaterowaliśmy w okolicy Żelechowa. Oddziałek powierzony mi łatwo się skompletował i wprawił w obrotach codzienną musztrą w której pułkownik czasami brał udział. W lipcu 1863 r. wyruszyliśmy w powiat Radzyński. Pułkownik chciał obejrzeć oddziały, będące w tej okolicy, polecono zatem Krysińskiemu i Rudzkiemu, aby ze swym oddziałem zbliżyli się pod Łęczną, tam, gdzie już znajdował się oddział pułkownika Wierzbickiego, który świeżo wkroczył z Galicyi w 500 ludzi, dobrze uzbrojonych i unundurowanych piechoty i 36 koni kawaleryi, pod dowództwem Politalskiego, obywatela z Galicyi.

*) Późniejszego naczelnika oddziału kounnych strzelców powiatu Łukowskiego.

W Majdanie (Smolarni) w lasach do Łęczny należących, między wsiami: Kaniowola, Dratowem i Lejnem, zatrzymaliśmy się z naszą kawaleryą, a na drugi dzień przyszedł Krysiński w 1000 ludzi piechoty i kawaleryi i Rudzki w 800 ludzi dobrze umundurowanych i uzbrojonych piechoty i szwadronu kawaleryi, którą dowodził Niedźwiecki (znakomity jeździec).

Przed wieczorem dnia tego przyjechał do obozu naczelnik powiatu naszej organizacyi i zawiadomił, że Moskale wychodzą z Radzynia do Parczewa w sile czterech kompanij piechoty i szwadronu ułanów. Z Parczewa mają się udać w kierunku Łęczny, to jest traktem, który szedł między Dratowem i lasem, w którym obozowaliśmy. Wyprawę tę robią Moskale na Wierzbickiego, jak organizacyi naszej doniesiono, przyczem oznajmił pomieniony naczelnik powiatu, że Wierzbicki stoi o $\frac{3}{4}$ mili od nas w Nadrybiu. Po krótkiej naradzie pułkownik Heidenreich (Kruk) postanowił, aby wraz z naczelnikami oddziałów i sztabem udać się na trakt, prowadzący do Łęczny z Parczewa, tam obrać pozycyę i ułożyć plan zasadzki na miejscu. Wyruszyliśmy na trakt wzmiankowany, który przechodził między lasem i wielkim jeziorem Dratowskim. Pułkownik wyznaczył oddziałom odpowiednie stanowiska, mnie polecił całą kawaleryę Krysińskiego, Rudzkiego i swoją, która razem do 400 koni wynosiła, i stanąć we wsi Dratowie. Rozkaz wymarszu z obozu miał być dany przez pułkownika z chwilą zawiadomienia organizacyi, że Moskale z Parczewa wyszli. Parczew był odległy o 2 i ćwierć mili od obranej pozycyi. Wierzbicki miał być zawiadomiony, gdzie miał zająć pozycyę. Plan zasadzki tak był świetnie obmyślony przez Pułkownika Heidenreicha, że nawet taki profan jak ja, widział wyraźnie ogromną przewagę z naszej strony, przyczem siły nasze były o wiele większe od moskiewskich. Zdawało się, że co z Moskwy nie utonie w jeziorze, to musi wpaść w nasze ręce. W szyi, którą szła droga między lasem i jeziorem, nie podobna było Moskwie się rozwinąć, musiała przejść co najmniej kilometr tej cieśniny, ażeby wyjść na obszerniejszy plac w polu. Moskwa raz wpuszczona w tę matnię, nie powinna się była stamtąd wycofać, ani jej przejść bez zupełnego pogromu.

Wróciliśmy do obozu z nadzieją powodzenia. Ułożyliśmy się spokojnie do snu, bo wyborna organizacja cywilna czuwała. Świtaniem kurjer doniósł, że Moskwa ruszyła z Parczewa i maszeruje ku nam traktem. (Moskale wiedzieli o Wierzbickim, ale o nas, którzy dzień przedtem przyszlismy w te strony, nic nie wiedzieli). Oddziały nasze, skoro kurjer przyjechał, stanęły pod bronią, ja uszykowałem całą kawalerię na drożynie do wymarszu z lewego skrzydła piechoty. Godzina upłynęła. Z baraku Pułkownika nikt się nie pokazywał, gdy w tem przyjechał drugi kurjer, że Moskale już są o milę drogi, był jednak jeszcze czas pod zakryciem lasu zająć pozycję. Dodać tu muszę, jako będący już przed kilku tygodniami przy boku pułkownika, że tenże cierpiał na częste krwotoki, które odbierały mu siłę i energię, a nawet przytomność umysłu. Sam nieraz widziałem po dłuższym marszu całe siodło krwią zbroczone, a i tymrazem zdaje się był w takim stanie.

W godzinę po ostatniej bytności kuryera, usłyszeliśmy strzały armatnie tuż pod nosem, między Kaniowolą a Nadrybiem. Moskwa, uwiadomiona przez szpiega o Wierzbickim, szła wprost na niego, on zaś, wiedząc, że ma nas pod bokiem, nie spodziewał się od naszej strony Moskale, zniecierpliwiony zaś, że żadnej od Pułkownika Heidenreicha wiadomości nie ma, wymaszerował z Nadrybia przez Kaniowolę na nasze lewe skrzydło, w każdym razie, jak na starego żołnierza dosyć nieostroźnie, bo bez żadnej szpicy, którą powinien był wysłać z awangardy. W Kaniowoli spotkał się w opłotkach wsi z kartaczami, któremi go przywitani Moskale, strzelając na dość bliski dystans w ściśniętą kolumnę, rzecz naturalna, że rozbili, piechota wyłamała płoty i rozbiegła się. Wierzbickiego rannego w nogę kartaczem uprowadziła jego kawaleria. Dwadzieścia strażów armatnich padło a my z przeszło 2.000 ludzi nie ruszyliśmy z miejsca, będąc z tyłu Moskale w lesie nie dalej jak na 400 kroków Moskwa, gdy jej się tak powiodło, zwróciła się na nas, o czem, że jesteśmy w lesie, jakeśmy się później dowiedzieli, wiedziała od kolonisty niemca z Kaniowoli. Gdyby była wiedziała, że ma 2.000 ludzi za plecami, nie odważyłaby się była leść między nas i Wierzbickiego. Kozacy zaczęli się pokazywać na naszym froncie w lesie Pułkownik Heiden-

reich w czasie strzałów armatnich wyszedł z baraku, spostrzegłszy Kozaków, kazał mi spędzić ich kawaleryą. Kozacy, jak zwyczajnie, skorośmy ruszyli z miejsca uciekli za plecy swej piechoty. Ja zaś, wyjeżdżając z lasu za nimi, zastałem piechotę, rozciągniętą na brzegu lasu, skąd do nas dała ognia. Armaty zwrócone na las, na ślepo zaczęły strzelać. Jedna kompania Rudzkiego idąc za mną, zaczęła strzelaninę tyralierską rozstawiając się po lesie. Ponieważ w lesie nie miałem co robić z kawaleryą, kazał mi pułkownik przez swego adjutanta zająć lewe skrzydło, już tylko swoim oddziałem (gdzie stał Krysiński nieczynny) i stamtąd obserwować drogę z Kaniowoli do Lejna. Jedna tylko kompania Rudzkiego biła się z Moskalami. Moskale bębnilo do ataku na bagnety i krzyczeli „hura“, ale w miejscu nogami przebijając, nie postępowali ani krok dalej. Zwróciłem uwagę Krysińskiego, że może zająć tył Moskwie, bo ta jego oddział stojący minęła, ale Krysiński odpowiedział, że rozkazu nie ma; zobaczymy, jak się popisie Heidenreich. Była to zła wola, zarozumiałość ze strony Krysińskiego, ponieważ nie on tu dowodził, zostawił więc losowi wynik bitwy, którą mógł zdecydować na naszą ukorzyść, o czym mógł być przekonany. Pułkownik mógł się nawet nieorientować dobrze w lesie, który on znał doskonale (Po odjeździe dopiero pułkownika Heidenreicha wysłał Krysiński majora Bardeta, aby zajął Moskwie tył, co ta spostrzegłszy, zrejterowała i wyszła z lasu).

Heidenreich przygnębiony cierpieniem, bez myślenia zupełnie działał. Kilka granatów padło opodal od nas na ślepo rzuconych, a równocześnie jeden z kawalerzystów, rozrzuconych w łańcuchu od strouy jezior Kaniowolskich, dał znać, że widzi na załomie drogi idącą kawaleryę moskiewską traktem, na którym staliśmy. Zapytałem pułkownika, czy mam się sformować, ściągawszy rozrzuconą kawaleryę. Na to otrzymałem odpowiedź: „Z regularną kawaleryą mierzyć się nie mogę“. Pułkownik w tej chwili zwrócił konia i pojechał ze swym adjutantem w stronę Lejna, wsi za nami będącej, mnie zaś zostawił bez rozkazu. Oficerowi Trzebińskiemu (z Lubelskiego obywatelowi) kazałem wziąć pół plutonu i pojechać przodem przed pułkownikiem, żeby gdzie na jaki inny oddział moskiewski nie wpadł. Sam sformułow-

łem resztę mego oddziału, czekając owej kawalerii moskiewskiej, która się nie pokazała wcale. Po wysłaniu przez Krysińskiego Bardeta na tyły Moskali strzały ucichły. Moskwa uciekła. Ja odmaszerowałem czwórkami za pułkownikiem w stronę, gdzie pojechał.

Przyszedszy do Lejna, dowiedziałem się, że pułkownik pędem przejechał przez wieś w stronę Orzechowa. Tu także dowiedziałem się, że Wierzbicki ranny i wścieka się na Heidenreicha. Był to człowiek bardzo gwałtowny, szczęście, że się pułkownicy nie spotkali z sobą, bo by było przyszło do awantury. W połowie drogi do Orzechowa, w zaroślach spostrzegłem stojącego pułkownika Heidenreicha. Nie będę tu opisywał szczegółowo naszego spotkania, powiem tylko, że zwróciłem wówczas uwagę pułkownika, aby zdał dowództwo w województwie i sam się leczył, bo zdrowie jego wymaga tego koniecznie. Przyjechawszy z oddziałem do Orzechowa, prosiłem, aby mnie pułkownik uwolnił od komenderowania jego eskortą, przedstawiając mu, że obywatele tu-tejsi chcą mi dopomóc do sformowania oddziału Radzyńskiego i obiecują złożyć pieniądze na broń i konie. Pułkownik zgodził się na moje żądanie, zdałem więc komendę kawalerii i odjechałem do Hańska do obywatela Okenckiego. Na drugi dzień zjechało się tam kilku obywateli w okolicy, między nimi Leniecki. Bitwa Kaniowska oburzyła świadków tej niemej naszej akcji. Tłumaczyłem Heidenreicha słabością zdrowia, nie mógł zatem, jakby powinien, spełniać swego obowiązku. A ponieważ jeden z obecnych wybierał się do Warszawy, zebrani u Okenckiego obywatele żądali odemnie, abym, jako dawniejszy organizator województwa, napisał do rządu o Kaniowskiej aferze. Naciśnięty, podjąłem się napisania listu prywatnego do Awejdya, którego jedynego znałem z tych, co byli wówczas w rządzie, donosząc mu, że przez dłuższy czas znajdując się z pułkownikiem Heidenreichem, zauważyłem, iż cierpienie fizyczne, jakiemu podlega Heidenreich, odejmuje mu siły i energię, której wymaga stanowisko, które zajmuje, zatem niech zechce temu zaradzić, zwłaszcza że o to upominają się obywatele województwa, wreszcie, że oddawca listu objaśni go detaliczniej o wszystkim.

Zająłem się tedy szczerze formowaniem oddziału, co mi z łatwością przyszło przy pomocy miejscowych obywateli i zaprzysiężonych z konspiracji. W lasach kaplonowskich założyłem kuźnię i warsztat ślusarski, gdzie ściągałem popusutą broń, porozrzucaną tu i owdzie, do reperacji. Miałem już kilkuset ludzi przygotowanych, z którymi chciałem pójść pod granicę galicyjską, aby broń przygotowaną dla mnie przez miejscową organizację zabrać. Konie zakupione i zarekwirowane u obywateli stały po stajniach szlachty okolicznej. Na jedną z takich stajni najechali ludzie z oddziału Ćwieka (Cieszkowskiego) i gwałtem konie zabrali. Chcąc odebrać, wybrałem się do naczelnika siły zbrojnej Heidenreicha, aby mi kazał te konie zwrócić. Generała Heidenreicha (po bitwie Żyrzyńskiej Heidenreich został generałem) zastałem w Łysobykach. Zameldowawszy się, przedstawiłem cel mego przybycia. W odpowiedzi zaś usłyszałem pół żartem pół seryo: „Dziękuję panu, że pan tak dba o moje zdrowie, o co pana nie prosiłem“ – i pokazuje mi mój list, pisany do Awejdji. Odpowiedziałem: „Jestem w mocy generała; jeżeli uważa, że postępek mój jest nieuczciwy, to postąpi ze mną, jak zasłużyłem“. Muszę tu oddać sprawiedliwość wysoce szlachetnemu charakterowi Heidenreicha. Powiedział mi: „Nie myśl pan, żebym się nie czuł winnym, ale mam przekonanie, że podobny wypadek jak w Kaniowoli już się nie wydarzy“. Ktoś inny na miejscu Heidenreicha uniósłby się ambicyą, miłością własną, gotówby był może kazać mnie rozstrzelać, aby nie mieć niemilego świadka. Heidenreich uczuł się winnym i zrozumiał obowiązek mój obywatelski. Nie rozumiem tylko rządu narodowego, który, znając mój stosunek i obowiązki dla województwa, żem bębnił, jak to mówią, tu na powstanie, a zatem nie mogłem być obojętny na to, co na niekorzyść jego wpływać mogło, chciał mnie skompromitować w oczach generała, oddając przytem na jego łaskę i niełaskę. Smutny to objaw nietaktownego postępowania władzy. Gdyby generał Heidenreich nie był wziął udziału w szczęśliwej bitwie Żyrzyńskiej, prawdopodobnie innyby sąd o postąpieniu mojem u góry wydano, po bitwie zaś, w której generał Heidenreich brał udział, a która stała się głośną ze swego rezultatu, władza na ślepo odrzuciła moje uwagi w liście pisanym do Awejdji,

mnie zaś oddała na pastwę generała, myśląc prawdopodobnie, że tym sposobem złoży zupełny dowód zaufania generałowi. Heidenreich jednak, który miał być nagrodzony ofiarą mojej osoby, okazał się wyższym od ofiarodawców. Generał Heidenreich, ze wszech miar wielkiej zacności człowiek, jako oficer sztabu moskiewskiego znakomitość wojskowa, co mu wszyscy fachowi przyznawali, nie mógł być nigdy dobrym głównodowodzącym powstańcami. Kto go znał w powstaniu i był pod jego rozkazami, sądzę, że mi to przyzna.*) Gdyby uwagi moje, przesłane Rządowi narodowemu, w swoim czasie były przyjęte i zastosowano się do nich, po sprawdzeniu przez kogoś kompetentnego tego, com pisał, nie byłoby może wkrótce po Żyrzynie klęski Fajslawickiej i straty kilku całych prawie oddziałów.

W kilka dni po widzeniu się mojem z generałem w Łysobykach, odebrałem rozkaz stawienia się w kwaterze generała natychmiast. Przyjechawszy do obozu pod Łęczną, gdzie zastałem Heidenreicha, po wypyтaniu się mnie szczegółowem, w jakim pogotowiu do wymarszu jest mój oddział, oświadczył mi gen. Kruk, że chce mnie wysłać do Galicyi w celu formowania dywizyonu strzelców konnych, którego zadaniem będzie szybkie przenoszenie się z miejsca na miejsce i alarmowanie nieprzyjaciela. Dodawał mi generał dwóch oficerów z wojska rosyjskiego do pomocy, jako instruktorów. Miałem zebrać w Galicyi ludzi, umundurować i zaopatrzyć w broń, również zakupić i konie, a na to wręczył mi 30.000 rubli z sumy Żyrzyńskiej, bumażkami świeżo wydobytemi ze studni, z których literalnie woda ciekła. Jeżeli generał miał na myśli zrobić mi jaką przykrość, to nie mógł większej kary dla mnie wymyśleć, bo kazał mi oddział, który już był prawie gotowy do wyjścia, rozdzielić między inne oddziały, a samemu jechać do Galicyi. Nie pamiętam też, czym miał w życiu przykrzejszą chwilę jak ta, w której opuszczałem oddział z takim mazołem i niebezpieczeństwem zebrany, i województwo, w którym widocznie nie sądzono mi było pozostać.

*) Prawdopodobnie ktoś z biorących udział w bitwach pod Żyrzynie, Fajslawicami i Kockiem, dokładnie te potyczki opisze, w których general Heidenreich osobiście, jako głównodowodzący, brał udział, ja opisałem Kaniowolską bitwę, której naocznym byłem świadkiem.

Wyjeżdżałem w smutku wielkim z Kongresówki dla niepewnej przyszłości w Galicyi, jakbym przeczuwał, że więcej tu nie wrócę. Wzięte pieniądze od Generała rozłożyłem pojedynczemi papierkami w dwóch wielkich pokojach w Wereszczynie i suszyłem czas dość długi przy otwartych oknach, aby nie popsuć zupełnie rozłających się bumażek *).

W drugiej połowie sierpnia, na kilka dni przed bitwą Fajslawicką, gdy przejeżdżałem granicę z oficerami, których mi dodano, niedaleko Biłgoraja nad granicą spotkałem oddział Lelewela (Borelowskiego), który wszedł świeżo z Galicyi do Kongresówki z kawaleryą, którą dowodził Gustaw Zakrzewski. Spotkałem też tam Teodora i Ignacego Jasięskich, którzy wchodzili z tym oddziałem do Kongresówki. Ignacy Jasięski, kaleka na nogę, od dziecka chodził o kuli, przypinać się kazał do siodła pasem, w ten sposób odbył wraz z Teodorem potyczki pod Panasówką i Batorzem. Po nieszczęśliwej bitwie pod Batorzem, gdzie Borelowski zginął, oddział jego wrócił do Galicyi, a z nim i Jasięscy.

*) Dla ukrycia przed Moskwą leżały one przez kilkanaście godzin w sadzawce, a później trudno je było osuszyć (p. R.).

VII.

Przejechawszy granicę, dostałem się szczęśliwie w Rzeszowskie do Staromieścia, własności Włodzimierza Bobrownickiego, brata stryjecznego mojej żony, i tu chwilowo obrałem sobie kwaterę. Pieniądze odesłałem przez Bobrownickiego do Krakowa do Stanisława Koźmiana, kuzyna żony, ponieważ w Krakowie miałem się zająć wyekwipowaniem mego oddziału. W parę tygodni później wyjechałem do Krakowa, gdzie odebrawszy pieniądze od Koźmiana, ulokowałem je u księdza Adama Słotwińskiego w klasztorze Pijarów. Oficerowie dodani mi do pomocy: Żebrowski, kapitan z wojska rosyjskiego i Majewski, także z wojska rosyjskiego oficer, starali się werbować ochotników do naszego oddziału, ja robiłem obstalunki mundurów, rekwizytów dla oddziału, na szczęście nie dawałem zadatków, któreby były przepadły, jak się to później okaże. W Krakowie zastałem bratową moją, która z Królestwa dla ciągłych niepokojów w domu, mieszkając blisko Krakowa, tu się przeniosła, i u niej zamieszkałem. Żona moja, dowiedziawszy się, że mnie wyprawiają za granicę, z Litwy przyjechała w Podlaskie, ażeby się zemną zobaczyć; nie zastała mnie już w Królestwie, zdecydowała się więc przejechać granicę i dostała się przez Staromieście do Krakowa, dokąd ją Bobrownicki przywiózł.

Pierwszy raz spotkaliśmy się po ośmiu blisko miesiącach rozłączenia i niepokojów o siebie. Tu dowiedziałem się, ile biedna kobieta przeszła, zanim szczęśliwie zdołała ująć z dziećmi z Horostyty przed rozwściekloną Moskwą, a następnie przy ciągłych najazdach na dom brata swego w Grodzieńskim, gdzie się schroniła z dziećmi. Niespokojny o czworo małych dzieci, chciałem jak najprędzej żonę napowrót wyprawić, zwłaszcza że brat żony, mając być aresztowany,

uprzedzony przez organizację, uciekł i przyjechał także do Galicyi, dzieci więc zostały pod opieką Bożą i niedołącznej już, w wieku podeszłym matki żony. Przejazd jednak w tym czasie przez Kongresówkę na Litwę był niepodobny bez narażenia się na zatrzymanie gdziekolwiek przez Moskwę, a choć udało się żonie przyjechać, ale to był krok rozpaczliwy. Żonę moją gdyby zatrzymali Moskale, musieliby ją podejrzewać choćby dla tego, że nosiła moje nazwisko, pod obcym mogłoby być jeszcze gorzej, gdyby się nie mogła wylegitymować. Zapadła więc decyzja, żeby czekać stosowniejszy chwili, ale troska o dzieci nie dawała nam spokoju.

W parę tygodni po bytności mojej w Krakowie, przyjechał do Krakowa pułkownik Traugut, a dowiedziawszy się, że przywiozłem z sobą zasoby dla formowania oddziału, posłał po mnie i zażądał, abym mu dał pieniądze, jakie mam, ponieważ są koniecznie potrzebne na inne cele Rządu Narodowego. W pierwszej chwili zawahałem się, co mam zrobić, odpowiedziałem jednak, że pieniądze te są mi dane przez generała Heidenreicha na zakupno broni dla oddziału, który mam formować, że mam tu jeszcze dwóch kolegów, z którymi muszę się porozumieć w tym względzie. Traugutowi nie mógłbym odmówić oddania pieniędzy, musiały być gwałtownie potrzebne, kiedy tego żądał, — to było wieczorem. Na drugi dzień rano zaniósłem pieniądze, ale Trauguta już nie zastałem, wyjechał, a pieniądze zostały. W tydzień później przyjechał do Krakowa generał Kruk (Heidenreich) z zamiarem zakupu lub obstalowania w Wiedniu dział górskich, aby je z łatwością na koniach jucznych przewozić można było. — Nie miał jednak generał pieniędzy, ponieważ powiedziano mu w Krakowie, że te, które wysłał pocztą obywatelską z Żyrzyńskiej sumy, jeszcze nie nadeszły. (Jak się później okazało, pieniądze te były dawno już w Krakowie). Zażądał więc generał, abym chwilowo, póki pieniądze nie przyjdą, dał te, które wziąłem na formowanie oddziału. Odebrałem więc pieniądze z klasztoru OO. Pijarów i oddałem generałowi całkowitą sumę 30.000 rs., na co prosiłem o pokwitowanie na wszelki wypadek.*) Generał z Wiednia

*) Pokwitowanie, które obecnie posiadam, jestto duplikat, otrzymany już we Lwowie w obecności obywatela Osiecimskiego później spól-

wkrótce powrócił, a jak mi w Krakowie powiedział, pieniądze wzięte odemnie zostawił na zakupno zamówionej broni Kwiatkowskiemu agentowi R. N. z Wiednia (Kwiatkowski Józef kupiec z Warszawy). Generał miał wychodzić z oddziałem swoim i Rochebruna w lubelskie. W Krakowie sta-

nika generała w fabryce wyrobów trykotowych. Pierwsze pokwitowanie nie pamiętam komu do przechowania zostawiłem w Krakowie; dokument ten brzmi jak następuje: Poświadczam niniejszem, że z powierzonych mu 30.000 rs. wyraźnie trzydzieści tysięcy rs., pochodzących z sumy Żyrzyńskiej pan Bronisław Deskur wyrachował się najsumienniejszy i że wydanem mu było we właściwym czasie (1863 r.) pokwitowanie na powyższą sumę, dnia 26. kwietnia 1883 r. Lwów

M. Heidenreich
(generał Kruk).

Przy odbiorze powyższego pokwitowania zrobiłem uwagę generałowi w obecności Osiecimskiego, ażeby koniecznie wynotował, na co pieniądze Żyrzyńskie obrócił, jakkolwiek z pewnością nikt go nie posądzi, że je przy sobie zatrzymał, to jednak porządek tego wymaga, aby to zrobił, albo przynajmniej niech nam opowie, jaki los te pieniądze spotkał. Otóż powiedział, że dał pieniądze wszystkie komisarzowi rządowemu Majewskiemu w Krakowie do swego rozporządzenia, a więc tylko w depozyt, ponieważ Rząd Narodowy zupełną mu zostawił swobodę rozporządzenia tym funduszem, ale komisarz pieniędzy mu danych już nie zwrócił. Generał żądał rachunku, zbywano go z dnia na dzień, nakoniec przysłano mu żądany rachunek a w nim powstawiano dziwnie oryginalne pozycye (tu Heidenreich opowiedział nam, jakie to były pozycye). To wszystko, com słyszał od generała o sumie Żyrzyńskiej,*) przyszedłszy do domu, zanotowałem, a notatę tę mam zachowaną. Kruk o nieporozumieniach z komisarzem pełnomocnym na Galicyę, a względnie z organizacją galicyjską pisał do Rządu Narod. — Wskutek tych skarg Rząd N. wydelegował dla zbadania sprawy i skontrolowania wydanych przez organizację galicyjską pieniędzy na oddziały podlasko-lubelskie swego komisarza pełnomocnego w województwie podlaskiem. We wrześniu 63 r. A. Skotnicki, ówczesny pełnomocnik Rządu na Podlasiu, przybył do Galicyi, lecz nim zdołał odszukać ukrywających się starannie galicyjskich dygnitarzy, upłynęło dni kilka, w tym czasie, jeszcze przed rozpoczęciem swych czynności, otrzymał z Warszawy rozkaz powrotu natychmiastowego na Podlasie, gdzie zaraz po jego wyjeździe aresztowano jego zastępcę, Naczeln. Cywil. Wojew., Władysława Rawicza i wielu z organizacji, a więcej jeszcze z członków tej organizacji musiało emigrować. (Przyp. Aut.)

*) Niema danych do twierdzenia, że z pieniędzmi, które Kruk do Galicyi przysłał, popełniono jakieś nadużycie, używano ich jednak na inne cele, niż były przeznaczone, a prawdopodobnie czyniono to jeszcze z pewną lekkomyślnością. (Przyp. Red.)

rał się od komisarza Rz. N. podnieść 30.000 rs. z pieniędzy Żyrzyńskich ale napróżno, chciał bowiem zwrócić mi kwotę przeznaczoną na formowanie dywizynu strzelców. Ponieważ pieniędzy nie było, polecił mi, abym na nowo objął dowództwo jego kawaleryi i razem z generałem wszedł do Kongresówki. Dzień wyjazdu ze Lwowa nad granicę byłznaczony, na ten dzień i ja miałem się stawić we Lwowie. Położenie moje w Krakowie było bardzo niemiłe, bo musiałem się tłumaczyć przed kupcami przy każdym spotkaniu, dla czego zamówionych rzeczy nie biore. Generał Heidenreich polecił organizacyi krakowskiej, wyjeżdżając z Krakowa, żeby rzeczy zamówione przezemnie, jak mundury i inne rekwizyta, wykupiła i wzięła na skład; nie wiem nic, co się później z tem stało.

W Krakowie otrzymałem kartę paszportową na nazwisko Drohojewskiego, obywatela z Galicyi. Pożegnawszy żonę, która mnie na kolej odprowadziła z bratową, wsiałem do pociągu lwowskiego; komisarz policyi jednak musiał zwrócić uwagę na pożegnanie moje z żoną, która nadto wyraźnie zaznaczyła pożegnanie z tym, który na niebezpieczną jakąś podróż się wybierał, — i oglądając w wagonach paszporty, nie rozpatrując się nawet w mojej karcie, poprosił, abym wysiadł i pod straż wziął z sobą do kancelaryi na dworcu, zabrano również mój kuferek, który miałem w wagonie. W kancelaryi komisarza rozpoczęła się indagacya; zapierać się, że nie byłem powstańcem, byłoby niepodobieństwem, bo znaleziono przy rewizyi kuferka rewolwer, naboje i inne rzeczy, które świadczyły, że tylko do powstańca należeć mogą. Żądał przeto komisarz odemnie, abym powiedział prawdziwe moje nazwisko, — obiecując w takim razie puścić mnie wolno, — na co, przybrawszy uroczystę minę, oświadczyłem, że jestem rzeczywiście Morawski z Kongresówki. Komisarz dotrzymał słowa, puścił mnie, bo sprawdzić nazwiska nie mógł, — żonę i bratową zastałem jeszcze na dworcu, czekały na rezultat mego aresztowania, z niemi udałem się do miasta, do pani Zakaszewskiej (z domu Różyckiej), która wywiozła mnie powozem na drugą stacyę za Krakowem, gdzie na pierwszy odchodzący do Lwowa pociąg wsiałem, z kartą, którą na poczekaniu od organizacyi dostałem na imię Morawskiego. Nieobeznany z manipulacyą powstańczą w takich wypad-

kach, w zaufaniu do szanownego komisarza policji w Krakowie (co było dość naiwne) pojechałem wprost do Lwowa, gdzie na stacyi policya, uprzedzona telegraficznie z Krakowa, zaraz mnie aresztowała. Lwowa nawet nie oglądałem, bo wyproszony z wagonu, niepytany o paszport, pojechałem wprost z dworca do kozy. Tak więc oszukaliśmy się wzajemnie z panem komisarzem, z tą tylko różnicą, że czybym był prawdziwe moje nazwisko powiedział lub nie, toby to było mnie zawsze spotkało. W więzieniu obrewidowano mnie skrzętnie, nominacyę Rz. N., którą miałem w uszku od buta zaklejoną, znaleziono, a komisarz policji starał się przekonać mnie, że nominacya jest moja, chociaż byłem aresztowany jako Morawski, i że nominacya wystawiona dla Deskura, którą znaleziono, nie była tylko, jak utrzymywałem, powierzona mi do przewiezienia. Zapewniał mnie pan komisarz, że to mi tylko zaszczyt przynosi, iż w tak młodym wieku posiadam wyższy stopień wojskowy, że z wybitniejszymi figurami powstania rząd delikatniej się obchodzi, niż z prostymi powstańcami. — Niestety źle się wybrałem, przybrawszy sobie nazwisko Morawskiego, bo w tym czasie, kiedy mnie aresztowano, zasztyletowany został we Lwowie radca sądowy Kuczyński, a jakiegoś Morawskiego posadzono o ten czyn, trzech nawet Morawskich podówczas było z tego powodu aresztowanych. Żona moja, dowiedziawszy się, że mnie uwięziono we Lwowie, przyjechała, a chcąc się zemną widzieć, poszła do Namiestnika prosić o pozwolenie widzenia się w więzieniu (meldując się rzecz naturalna jako Morawska). Namiestnikiem w ową porę był hr. Mensdorf, przyjął żonę moją niesłychanie szorstko, mówiąc po francusku, że mąż należy do bandy rozbójników, rozbijających po ulicach Lwowa; blady, w pasy trząsł się cały, żona przeto, obawiając się gorszych jakich skutków dla mnie z tej wizyty wyszła, bez ponawiania prośby, zwłaszcza że stanowczo pan Namiestnik oświadczył, że zbójów nie proteguje i widzieć się nie pozwoli. Żona udała się następnie na policyę, gdzie wiedziano dobrze, iż nie mogę być posadzony o zasztyletowanie Kuczyńskiego, bo nie byłem w tym czasie we Lwowie, pozwolono więc żonie widzieć się zemną i, choć było dwóch Morawskich Bronisławów, tak szczęśliwie jednak trafiła, że wprost do mnie ją zaprowadzono. Przy asystencyi urzędnika policji rozmówiłem

się z żoną. W więzieniu, prócz niewygodnego spania, niczego nam nie brakowało; — było nas ośmiu w jednym pokoju, a zaci mieszczenie lwowscy pamiętali o potrzebach więźniów tak dalece, że mogę powiedzieć, posuwali do zbytku odżywianie nasze. Mieliśmy zawsze świeżą bieliznę, dobry tytoń a nawet wino, — nie dziwię się też, że tak żywieni w Galicyi partyzanci, z których niejeden wódz tak nie żył jak w kozie i po domach obywatelskich, nie spieszyli się do wyjścia na pole walki. Wydobyć się jednak z kozy nie było bardzo trudno: jeden z towarzyszy, Witkowski z lubelskiego z oddziału Kazimierza Bogdanowicza, skorzystał z otwartych chwilowo drzwi na korytarz i, zabrawszy jakąś plikę papierów pod pachę i cylinder nałożywszy na głowę, zeszedł na dół do bramy więziennej, lecz nieborak, nie umiając po niemiecku a udając urzędnika policyi, zawołał na stojącego przy bramie strażnika *zumachen*, kiedy należało powiedzieć *aufmachen*, schwytany, jak nie pyszny wrócił do kozy. Z końcem grudnia wywieziono mnie do Ołomuńca do fortecy. Przyjechałem tam wkrótce po awanturze, która spowodowała śmierć dwudziestu kilku naszych powstańców. Ukraińcy, olbrzymiej budowy ludzie, chąc się wydobyć z więzienia, powydierali broń z rąk załogi fortecznej i przebojem chcieli się wydostać, uleż jednak musieli przewadze wojska a dwudziestu kilku pochowano na drugi dzień w fosach fortu Tafelberg. Siedziałem w Tafelbergu przez miesiąc styczeń, w końcu tego miesiąca przyjechała do Ołomuńca żona moja, nie mogąc dostać się do dzieci, chciała być choć zemną razem. Udało się jej wyrobić u komisarza policyi w Ołomuńcu pozwolenie dla mnie zamieszkania w mieście, z warunkiem, że codzien wieczorem miałem się meldować w policyi. Parę tygodni mieszkaliśmy razem na wolnej stopie, poczem pojechała do Krakowa, aby mi ułatwić ucieczkę do Galicyi. Odebrawszy wiadomość z Krakowa, że już wszystko gotowe i marszrutę, jaką drogą i do kogo po drodze mam się zgłaszać, uchodząc z Ołomuńca, — po zameldowaniu się zwykłem w policyi wsiałem do fiakra i na następną stycę za Ołomuńcem pojechałem, skąd najbliższym pociągiem przyjechałem do Ostrawy, gdzie miałem czekać na stacyi naszego urzędnika, aby mi dalszą podróż ułatwił. Nie zastawszy jednak nikogo, byłem zmuszony pójść do oberży, a spotkawszy

tam jakiegoś młodego Czecha z administracji fryszerk żelaznych, zwierzyłem się mu z mego położenia. Ten zaraz zaprowadził mnie do kasyera fabryki Morgenszterna, oficera z 31 r. w armii polskiej, przez którego gościnnie przyjęty zostałem. Morgensztern następnie po kilku dniach, potrzebnych na porozumienie się z organizacją krakowską, ułatwił mi powrót do kraju, oddając pod opiekę maszynisty, który umieścił mnie na maszynie między węglami, nakrywszy kocami, bo mróz był wielki. Tak ulokowany, przyjechałem do Krakowa, gdzie, zajechawszy na dworzec po wypróżnieniu wagonów z pasażerów, pociąg się cofnął do wozowni kolejowych; tam zaś czekał na mnie urzędnik kolejowy a razem urzędnik Rz. Nar., młody podówczas człowiek, dziś nadinżynier kolei Karola Ludwika Heppe, przy jego też pomocy dostałem się do miasta na przygotowaną dla mnie kwaterę. W końcu lutego 1864 r. już było daleko większe obostrzenie w Krakowie, łapano po ulicach: kto się wydawał podejrzany, czego dotąd nie było; ze słabnięciem powstania zaczęto nas w Galicyi więcej prześladować.

Dostawszy paszport, wyjechałem z Krakowa końmi na trzecią stacyę a stamtąd koleją do Rzeszowa; w Rzeszowie zastałem pułkownika Sawę (Rudnickiego) jako naczelnika wojskowego województwa lubelskiego. Pułkownik Sawa mianował mnie naczelnikiem wojskowym powiatu Zamoyskiego, przydzielając mi za adjutanta Ostensakena, oficera z wojska rosyjskiego i innych oficerów, mianowicie: Kniaziołuckiego, oficera z armii austriackiej Rafalskiego, dawnego mego podkomandnego, H. Rostworowskiego i Przanowskiego, Podlasiaków. W Rzeszowie mieszkałem na folwarku w Staremmieście u brata żony stryjecznego; stąd 4. marca 64 r. wysłałem Ostena i Kniaziołuckiego naprzód, aby upatrzyli na granicy miejsce, gdzieby można przejść z małą garstką ludzi w powiat Zamoyski. (Na granicy już były gęsto rozstawione oddziały moskiewskie). Z resztą oficerów i kilkudziesięcioma ludźmi miałem przyjechać na furmankach wieczór nad granicę. Znalazł się jednak ktoś usłużny (a nie szpieg), który się postarał o to, aby mnie aresztowano; chciano mnie nie dopuścić do powtórnego wyjścia za granicę. Kiedym miał wsiadać na wózek, który już zajechał, dom otoczyło wojsko, a po ścisłej rewizyi aresztowano mnie i odprowadzono do Rze-

szowa. W parę dni później internowano mnie pod strażą do Opawy na Szląsku austriackim. Okropny los spotkał Ostena i Kniaziółuckiego: ci, kręcąc się po granicy, wpadli w zasadzkę, gdzie ich w haniebnym sposobie zamordowano. Moją nominację i papiery oddziału miał przy sobie Osten, które Moskwa przy nim znalazła, dlatego też rozczła się wieść, że na granicy zginąłem i tak to było pewnem w Królestwie, że kuzyna moja Rojewska z domu Jabłonowska, odprawiła nabożeństwo żałobne za moją duszę w Lublinie.

Odtąd, to jest od 6. marca 1864 r., rozpoczyna się moje wygnanie z kraju. Z Opawy wkrótce wyjechałem do Drezna w Saksonii.

WSPOMNIENIA MOJE

z roku 1865.

PRZEZ SEWERYNĘ PUCHIŃSKĄ.

WSTUWNIENTIA MOLE

1871

FRANK SEWERY & PUBLISHERS

J

nni lepiej odemnie wykażą znaczenie powstania styczniowego, opowiedzą jego historię, dadzą poznać jego przyczyny i następstwa. Co do mnie, ograniczę się po prostu na podanie kilku drobnych rysów, dotyczących mnie osobiście, w ciągu owego roku, którego nie nazwę rokiem strasliwym, jak Hugo nazwał rok pruskiego najazdu na Francję, bo strasliwym jest to tylko, co niszczy, co sprowadza rozkład i zgniliznę, co gasi wiarę, nadzieję, miłość, a takim nie był drogi nam rok 1863!

Niewtajemniczona bynajmniej w działania Rządu narodowego, odczułam głęboko ten potężny prąd elektryczny, który przebiegł całą Polskę, w chwili kiedy Warszawa wystawiła pierś bezbronną na pociski żołdaków, kiedy strumień krwi ofiarnej ubroczył jej ulice. Brałam serdeczny udział w dwuletnich manifestacjach, które poprzedziły zbrojne powstanie, z bijącym sercem posłyszałam wieści o pierwszych utarczkach, wywołanych ohydną branką 22 Stycznia; wówczas to bez namysłu zapragnęłam przyłożyć się w miarę sił moich do ogólnego ruchu. W chwili tak wielkiej, nie mogłam zapomnieć, że rodzony dziad mój, Seweryn Trzeciński, walczył dzielnie w konfederacji Barskiej, że zdeptał potem lody Sybiru, że z trzech synów jego a wujów moich, jeden poległ pod Gdańskiem, drugi nad Berezyną, trzeci Franciszek, poseł z roku 1830, skazany na śmierć wyrokiem Mikołaja, zmarł świeżo na wygnaniu! Wychowana pod wpływem tych tradycji, nie mogłam założyć rąk spokojnie. Obrałam więc zakres działania szczupły i bardzo skromny, odpowiedni siłom moim: opiekę nad rodzinami tych, którzy biegli na pole walki.

Mam jeszcze przed oczyma tę noc styczniową, jak gdyby ćwierć wieku nie dzieliło mnie od niej. Od kilku dni szep-tano wciąż o brance; przeczuwaliśmy raczej niż wiedzieli

na pewne, że tej nocy odbędzie się bolesny dramat. W tym czasie niewolno było pod żadnym pozorem ukazywać się na ulicy po godzinie dziesiątej. Warszawa tak zwykle ożywiona, zwłaszcza podczas zapust, wyglądała jak wielkie cmentarzysko. Brany domów zamknięte były szczelnie, w oknach ciemno, nikt nie chciał zwracać na siebie uwagi czujnych zbirów. Mieszkałam na Nowym świecie, pomiędzy ulicą Świętokrzyską a Warecką. O dziesiątej, gdy ruch wewnętrzny ustał, zasiadłam pod oknem z synem i nieodstępną towarzyszką moją, zmarłą dziś Józefą K.. Noc czarna, bez gwiazd ani księżyca, pokrywała miasto niby całun żałobny; śnieg zaścielał ulicę, gdzieniegdzie płomień gazu odbijał na niej białą plamę. Milczeliśmy wszyscy troje, dreszcz przebiegał nam żyły. Wtem bije dwunasta na zegarze, w ulicy powstaje ruch: przytulamy głowę do szyby, widzimy oddziały żołdactwa przesuwające się jeden za drugim; lufy bagnietów połyskują od latarni, któremi oświetlają sobie drogę. Kołata w bramy, na głos ich rozmykają się zwarte rygle; światło migoce na wszystkich piętach, śnać żołdaci przebiegają dom od piwnicy do poddasza. Wychodzą nareszcie z kłatwą na ustach, nie znaleźli nikogo! Powtarza się to w każdym niemal domu.

Nazajutrz słyszymy, że w puszczy Kampinowskiej zebrał się oddział zbrojny w kije, czeka na broń i ciepłą odzież. Mróz zelżał, słońce przyświeca jak na wiosnę. Nadzieja ożywiła serca. Warszawa krząta się żywo, w domach szyją bieleznię i mundury, skubią na gwałt szarpie.

Powstanie przybiera coraz szersze rozmiary, sam rząd dopomaga do tego, chcąc czempredziej pozbyć się burzliwych żywiołów i zdusić ruch w samym zarodzie. Podstęp tu widoczny: dnia jednego odezwa rządowa, drukowana w dzieńnikach, wychwała młodzież szkolną za rozważne postępowanie, nazajutrz biedna diatwa dotknięta do żywego ucieka do tworzących się oddziałów. W parę dni czytamy pochwałę urzędników..., gorętsi, znieważeni tem uznaniem, rzucają pióra, chwytają za oręż! pochwała obywateli ziemskich toż samo wywołuje następstwo.

Z pism zagranicznych, mianowicie krakowskiego „Czasu“, przebiegającego z rąk do rąk potajemnie, dowiadujemy się o pierwszych powodzeniach Langiewiczza i innych naczelni-

ków partyj. Wiadomości to niedokładne, częstokroć mylne; chwytny je niby ożywczą rosę. Krew się leje, potrzeba i nam działać.

Skąd wyszła myśl stowarzyszenia kobiet, połączonych w piątki, dla niesienia pomocy rodzinom powstańców, tego powiedzieć nie mogę; to wiem tylko, że należałam do najpierwszej, jaka się zawiązała. Każda z nas pięciu miała obowiązek wносить co tydzień kwotkę do wspólnej kasy, odwiedzać rodziny, rozdawać im stały tygodniowy zasiłek, a co najważniejsza, zachęcać znajome panie do wiązania się w takie same piątki, i do działania pod naczelną kontrolą naszą. Ta kontrola była konieczną, szło tu bowiem o równy podział wsparcia między rodziny. Sesje nasze odbywały się co tydzień, w obecności jednego z komisarzy Rządu narodowego. W ciągu tygodnia, panie przewodniczące innym piątkom, składały nam pieniądze tak od siebie jak i od innych kółek, tworzących długi łańcuch, i odbierały nasze polecenia, co do opieki nad biednymi.

Taki był początek organizacji. W miarę jak wzrastały potrzeby i rozwijała się czynność nasza, aby zatrzymać samowolne działanie pewnych pań, które, mając w rękę znaczne fundusze, nierade były ulegać kontroli, naczelnik miasta wydał urzędowe postanowienie. Mianował z pomiędzy nas trzy: te obowiązane były znosić się z nim piśmiennie, odbierać on niego listę kwalifikujących się do wsparcia rodzin. Do grona tych trzech, powołał mnie, z żoną bogatego bankiera i trzecią panią, której nazwiska wymienić mi niewolno. Zebrania nasze odbywały się raz w tydzień, w obecności prezesa, wiceprezesa i sekretarza. Przewodnikiem naszym był czcigodny, znany z patriotyzmu Prezes Wieczorkowski, sekretarzem gorliwy pan Piotr Umiński.

Dwie towarzyszki moje hojnie zasilają skarb pieniędzi, ale ze względu na stanowisko mężów, nie mogły działać otwarcie. Wszystkie więc obowiązki spadły na moją głowę. U mnie odbywały się wszystkie posiedzenia i narady, ja sama odbierałam listę od naczelnika miasta i spełniałam dane mi polecenia. W rękę moim był spis wszystkich wspieranych rodzin; do mnie odnosił się ogromny łańcuch piątek zawiązanych w Warszawie. Praca ta była wielka, musiałam na długi czas przerwać literackie zajęcia, a kreślić

same cyfry, zapisywać nazwiska, zwłaszcza zaś kołatać o pie niądze.

Do tych praktycznych zajęć przybyło jeszcze jedno. Naczelnik miasta postanowił, że za moimi kwitami fabrykanci i kupcy mają składać sztuki płótna, buty i t. p., co im się liczyło w podatku, ja zaś obowiązana byłam dawać to płótno do szycia wspieranym kobietom i odbierać od nich koszule dla powstańców. Od czasu do czasu agent Rządu narodowego zabierał te efekta. W dzień biały ładowano je na wóz; rzecz dziwna, nigdy to nie ściągnęło uwagi policyi, która miała posterunek naprzeciw moich okien. Nie podobna jednak, by tego nikt nie dostrzegł.

W mieszkaniu mojem cały pokój zawałony był rekwizytami, bywało nieraz po pięćset koszul i po trzysta par butów. Domy wszystkie wystawione były na najściślejszą rewizyę; ta odbywała się zawsze w nocy. Szczęściem dla mnie, w tymże samym domu zajmował pierwsze piętro podeszły hrabia, od lat kilku dotknięty paraliżem, a przez to samo nie podejrzany. Hrabia miał zaufanego kamerdynera, który z młodą żoną zarządzał wszystkim w domu. Ci poczciwi ludzie, codzień o zmierzchu, zabierali odemnie całe stosy koszul i butów, a odnosili je zrana. Czasami hrabia, spostrzegłszy coś niezwykłego, pytał kamerdynera.

— A cóż to, czy fury przyszły ze wsi? Skąd te wszystkie rupiecie?

Zacny sługa wykrecał się, jak mógł, i szczerze pomagał nam do końca.

W stosunku ze służącymi nastąpiła w tych czasach nadzwyczaj pomyślna zmiana; mieliśmy w nich najwierniejszych przyjaciół, ożywionych z nami jedną myślą, jednym pragnieniem. A nie były to jakieś szczególne wyjątki; nie słyszałam wówczas o żadnej denuncyacji ze strony służących, przecież ówczesne działania odbywały się jawnie pod ich okiem. Okazywana im ufność podnosiła ich we własnem przekonaniu, budziła w nich uczucie godności. W ciągu dziesięciu miesięcy miałam kolejno trzech czy czterech służących, każdy z nich służył najgorliwiej, ale krótko, każdy biegł do powstania.

Korespondencye z naczelnikiem miasta odbywały się za pośrednictwem młodych aplikantów i dependentów biuro-

wych. Codziennie odbierałam co najmniej trzy takie odwiedziny. Zdarzało się nieraz, że, przechodząc ulicą, spotykałam któregoś z tych panów idącego do mnie. Wstępowałam wtedy do pierwszej lepszej bramy, posłaniec wchodził za mną, wsuwał mi liścik, i szliśmy dalej, każdy w swoją stronę. Działo się to wszystko pod okiem policyi, ale wówczas nikt nie myślał o niebezpieczeństwie; wiele zresztą rzeczy uchodziło, dzięki dobrej woli policyantów.

Nadszedł Wielki tydzień, i zwykła kwesta po kościołach na dochód Towarzystwa Dobroczynności. Wyrobiłam sobie u wyższych władz duchownych, że mi pozwolono umieścić stolik w kościele Ojców X. i kwestować przy nim na rzecz „piątek“. Zasiadłam z dwiema towarzyszkami. Pierwszego dnia szło przewybornie, sypano pełną ręką papierki rublowe i złotówki, nie licząc już miedziaków. W sobotę powtórzyło się toż samo, ale wieczorem przybiega nieproszony alarmista.

— Zbierzcie panie pieniądze, woła, uciekajcie czempredzej; zbiry uwiadomieni przyjdą tu za chwilę, wiem to z pewnego źródła.

— Bądź co bądź, rzekłam, ja pozostanę na miejscu. Policja wie dobrze, gdzie mieszkam, czy tu, czy w domu, jednakowo jestem narażona.

Towarzyszki moje nie chciały też ustąpić. Dotrwałyśmy do końca. Wieczorem powróciłam do domu ze znaczną kwotką pieniędzy.

Alarmiści nie dali za wygraną. Nazajutrz z rana w dzień Wielkanocny, przybiega ktoś z ostrzeżeniem, że pieniądze będą nam zabrane, a my pociągnięte do śledztwa. Niewiele myśląc, zabieram ukwestowane pieniądze, wiozę je do hrabiego Pusłowskiego, prezesa Towarzystwa Dobroczynności. Nie znałam go wcale. Opowiadam, co zaszło, proszę, aby mnie uratował i przyjął na skład kwotę, jakoby zebraną na rzecz jego instytucji. Hrabia nie przyjął depozytu.

— Nie lękaj się pani, rzekł, pewien jestem, że próżny rzucono postrach. Zabierz pani pieniądze; w razie gdyby władza dopominała się o nie, ja powiem, że do mnie należą.

Miał słuszość hrabia; rzucony postrach całkiem był bez podstawy.

Przykuta do bruku warszawskiego, w ciągu lata nie zamieszkałam na wsi. Raz tylko podczas kilkodniowej wycieczki spotkałam w Gostyńskim nasz oddział. Jakże mi serce uderzyło, kiedy wjeżdżając do wsi, spostrzegłam pikietę naszą, kiedy w okóło zastawionego stołu zobaczyłam tę dziatwę tak wesołą, tak ożywioną, tak pewną powodzenia.

W Warszawie coraz cięższe czekały trudy. W miarę szerzącego się powstania, przybywało mnóstwo wdów i sierót, a ofiary pieniężne nie przybywały w odpowiednim stosunku. Trzeba było obmyślać rozmaite sposoby, niekiedy z wielkim narażeniem. Wezwałam do rady jedną z najczynniejszych pań towarzystwa naszego: umyśliłyśmy poruszyć zamożnych Izraelitów przy Nowiniarskiej i Franciszkańskiej ulicy. Znałam ja od dawna starego handlarza koni, później zubożałego; zajmował się faktorstwem. Przychodził do mnie czasami, prosząc o pożyczanie rubla, którego nigdy nie oddawał. Stary Wolf sprzyjał widocznie sprawie naszej, przynosił mi wieści o rozrzuconych po kraju oddziałach. Przyszło mi na myśl spożytkować tę znajomość. Powierzyłam mu zamiar.

— Powiedz mi, rzekłam, mój poczciwy Wolfie, czy się nie narażę zbyt znacznie, kołając w progi rodaków twoich i ukazując im upoważnienie Naczelnika miasta opatrzone jego pieczęcią.

— Żaden z naszych nie dopuści się zdrady, odparł Wolf, zato poręczyć mogę, ale chodzić od domu do domu to daremny mozół; są tam i ubodzy, a z próżnego jak mówią, to i Salomon nie naleje.

-- Wskażże mi przynajmniej, mój Wolfie, nazwiska zamożniejszych i numerów domów, gdzie mieszkają.

— Ja lepiej zrobię, odrzekł Wolf: niech panie wybiorą się z listem Rządu Narodowego, ja będę szedł naprzód o jakie dziesięć kroków; przechodząc wskażę kijkiem kamienice, do których wstąpić warto.

Uczyniłyśmy według rady Wolfa. Przed listem naczelnika miasta chyliły się głowy i rozmykały worki bogaczy, kwesta udała się wybornie.

W jednym domu tylko napotkałyśmy twardy opór, był to dom starego bankiera. Wręczyłam mu list z pieczęcią;

odsunął go pogardliwie. Towarzyszka moja, chcąc go cokolwiek zmiękczyć, wymieniła moje nazwisko.

— Ja tej pani wcale nie znam, odrzekł sucho.

— Ale pan znasz tę pieczęć, przerwałam, podsuwając mu list przed oczy.

— I tego nie znam, odrzekł z gniewem.

Odeszliśmy smutno; był to jeden z bogaczy, na którego rachowałyśmy najwięcej.

Obliczona w domu kwota pocieczyła nas po doznanym zawodzie.

Nazajutrz zrana ktoś dzwoni, służący przyprowadza mi nieznanomego pana. Po odejściu naszym bankier upamiętał się, a raczej synowie, posłyszawszy o tem, co zaszło, przedstawili mu złe skutki, jakie wyniknąć mogą, jeśli go oskarżę przed naczelnikiem, przysłał mi zatem parę set złotych, przepraszając za niegrzeczne przyjęcie, tłumacząc się głuchotą, że nie posłyszał nazwiska mego.

Śmieszne było tłumaczenie, skoro nie wiedział, kto jestem, skąd mógł wiedzieć, gdzie mieszkam.

-- Czy pani raczysz przyjąć tę kwotkę? zapytał agent.

-- Przyjmuję najchętniej, odrzekłam, uczynię jak niegdyś ksiądz Baudoin, gdy otrzymał policzek. Zniewagę wczorajszą biore dla siebie, pieniądze dla ubogich. Zapewnij pan, że naczelnik miasta nie dowie się o tej niemiłej przygodzie.

W tymże samym czasie uwiadomiona przez panią Korzeniowską, żonę słynnego autora, o rychłym jej wyjeździe za granicę z chorym mężem, poszłam do niej w sprawie piątek, którą się zajmowała. Nie było jej w domu. Korzeniowski, ujrzawszy mój bilet wizytowy, kazał mnie prosić do pokoju swego. Leżał ubrany na łóżku, palił fajkę. Nie widziałam go od kilku miesięcy: jakaż to dziwna zmiana! Wyciągnął do mnie obie ręce, wybełkotał coś ochryłym głosem. Mnie ścisnęło się serce na widok tych rysów wychudłych i wyciągniętych, tej cery trupiej, tych oczu powleczonech mgłą śmiertelną. Kaszel bezustanny przerywał mowę dogorywającemu suchotnikowi. Po pierwszym powitaniu, zabierałam się do odejścia, aby go nie utrudzać.

-- Zostań pani, rzekł cichym głosem, jak to dobrze, żeś przyszła. Chciałbym coś odczytać, ale mi powstać trudno. Zbierz pani świstki rozrzucone po biurku, zapisane ołówkiem.

Uczyńnięm zadosyć jego woli, przyniosłam świstki, było ich kilkanaście.

— Pozwól pan, ja to odczytam na głos. Pismo takie wyraźne.

— Są tu odsyłacze i zmiany, wolę czytać sam, to mi nie zaszkodzi.

I począł czytać stłumionym głosem. Był to poemacik, tylko co nakreślony, pod tytułem: Pierwszy akt dramatu. Rzecz odbywa się w gęstym lesie. Do oddziału powstańców przybywają ludzie stateczni, pragną odwieść ich od zuchwałego kroku.

— Gdzie idziecie, szaleńcy? Pyta jeden z nich, i pokazuje klęski, które gradem sypną się na kraj, doświadczony tyłu próbami. Wywody jego loiczne nie trafiają do serca młodym. Ci odpowiadają na swój sposób, dowodząc, że narody żyją tylko ofiarą, że krew wytoczona w świętej sprawie, jest drogim posiewem dla przyszłości.

Spór toczy się coraz gwałtowniejszy, statyści nie ustępują na krok, zwycięstwo zda się być po ich stronie.

Wtem zabrzmiał w oddali znany chór: „Boże coś Polskę...” powtarza kilkadziesiąt głosów, ziemia drży pod kopytami koni. Pieśń brzmi coraz to głośniej... Ukazuje się nowy oddział. Młodzież zrywa się, bieży ku braciom. Wrzawa, radość powszechna!...

Statyści osłupieli, słowo zamarło na ich ustach, łzy trysły im z pod powiek. Wyciągają ręce ku młodym

— Idźcie wy drogą waszą! rzecze najwymowniejszy z nich; wasz zapal lepiej was poprowadzi, niż chłodne rozumowanie nasze!

Starzy błogosławią powstańców, dzielna młodzież z uczuciem całuje im ręce, garnie się w ich objęcia. Na tem kończy się akt dramatu.

Słuchałam z wyteżoną uwagą, nie spuszczać oka z poety. Rzecz dziwna, głos jego zrazu słaby i przytłumiony, stawał się coraz to donośniejszym, z oczu przed chwilą zgasłych posypały się iskry, wyżółkła cera pokraśniała, kaszel ustał na chwilę, duch widocznie zapanował nad ciałem.

Ze czcią ucałowałam wychudłe ręce chorego.

— Niech cię Bóg błogosławi, rzekł z głębokim uczuciem. — Nie zapominaj o mnie!

We dwa dni potem Korzeniowski wyjechał z rodziną do Drezna; nim upłynął miesiąc, już nie żył.

Co się stało z poemacikiem? Niewiadomo. Może gdzie leży zagrzebany w papierach, a może kto zniszczył luźne świstki, zapisane ołówkiem, nie odgadując ich wartości. Szkoda to nieodżałowana, bo utwór był prześliczny, wiersz każdy jakby ulany ze spiżu, całość drgająca życiem, stworzona snąc w chwili prawdziwego natchnienia.

Powstanie rozwija się coraz silniej, wojsko moskiewskie nadchodzi tłumnie, napełnia Warszawę, rozbiega się po kraju. Położenie nasze coraz trudniejsze. Zewsząd wołają o pomoc, a w kasie brak pieniędzy. Składki piątek niedostateczne. Objeżdżam zamożne domy, kołacę do bankierów; hojną ręką sypią mi datki, ale to wszystko nie wystarcza. Dom mój bez ustanku obleżony. Wspierane kobiety przez nierozwagę jednej z pań naszych, dowiedziały się, kto jestem, gdzie mieszkam.

Raz wieczorem przybiega do mnie żona powstańca z Nowolipia. Co piątek bywałam na tej ulicy, zносиłam tam wsparcie.

— Na Boga! woła kobieta, niechże pani nie przychodzi jutro, szpiegi wysłedziły panią; policya czuwać będzie od rana; wiem o tem, od kogo, powiedzieć nie mogę.

Wiedziała niewątpliwie od jednego z policyantów.

Nazajutrz nie poszłam na Nowolipie, zastąpiła mnie towarzyszka, nie spotkało ją nic złego.

Inna znów kobieta większego mi napędziła strachu. Przybiega pijana: — sama byłam w pokoju, — żąda na gwałt pieniędzy. Wypieram się, że nie wiem o niczem, że nie należę do żadnego stowarzyszenia.

— Znam ja was, krzyczy, wytrząsając mi pięścią; skradłyście komisję skarbu, a rubla nie chcecie dać ubogim. Widzę, jak chodzicie po cukierniach, zajadacie przysmaki i popijacie likwor.

Służący wbiegł, posłyszawszy hałas, wyprowadził kobietę na schody. A tu jakby na domiar złego, na temże samem piętrze mieszkał pułkownik żandarmów, mógł łatwo posłyszeć, jak pijaczka, stojąc w podwórzu z pięścią podniesioną, wykrzykiwała na głos.

— Ha niegodziwe, skradłyście komisję skarbu!

Szczęściem sprawa przeszła bez następstwa.

Co chwila odbywały się nowe sceny, jedna z nich w szczególności wprowadziła mnie kłopot. Uwiadomiono mnie, że jeden z członków Rządu narodowego został uwięziony w Cytadeli. Czekają go śmierć niechybna. Wszystko jednakże zależy od komisji śledczej. Naczelnik jej ma jakiś dawny obowiązek wdzięczności dla szambelana Skibickiego, niczego odmówić mu nie może. Nie idzie już o uwolnienie więźnia, lecz o zmniejszenie winy i zastąpienie wyroku śmierci Syberya. Proszono mnie usilnie o protekcję u szambelana, który bywał u mnie niekiedy, i wdzięczny mi był za pośmiertne wspomnienie o jego córce.

Piszę list, nie tracąc chwili czasu. Szambelan mieszkał o kilka domów; proszę go, aby mi wskazał godzinę jutro zrana, w której odwiedzić go mogę i przedstawić sprawę żywo mnie obchodzącą.

Grzeczny szambelan odpisuje mi, że nie pozwoli na to, abym się sama trudziła, ale zapowiada odwiedziny swoje na godzinę dziesiątą rano.

Czekam w salonie, zegar wskazuje trzy kwadransy na dziesiątą. Wtem wpada do mnie jakiś pan, błaga, abym nie wspominała o niczem szambelanowi. Uproszony już z innej strony, przyrzekł użyć swych wpływów na Naczelnika komisji śledczej. Gdyby posłyszał, że ktoś inny jeszcze wie o tej sprawie, zaniechałby swego pośrednictwa.

Nieznajomy odszedł: co uczynić? sama nie wiem. O co tu prosić? jak ukryć pomieszczenie? Bije dziesiąta, szambelan wchodzi. Witam go, dziękuję za łaskawe odwiedziny, sadzę się na grzeczności, aby zyskać na czasie. Nagle myśl przebiega mi przez głowę błyskawicą.

— Panie szambelanie, rzeknę, wiem, jak przyjacielski stosunek łączy pana z Arcybiskupem Felińskim. Otóż ja pragnęłabym napisać biografię czcigodnej jego matki. Są wprawdzie drukowane jej wspomnienia, lecz dla mnie to nie dosyć, radabym dodać coś nowego. — Potrzeba mi notatek i listów. Racz, szanowny panie, dopomóż mi w tej sprawie.

— Najchętniej! zawołał uradowany szambelan. Tegoż dnia był u Arcybiskupa, nazajutrz uwiadomił mnie o pomyślnym skutku prośby mojej. Radził mi, abym sama podziękowała Arcybiskupowi, co też uczyniłam niezwłocznie.

Innego dnia przychodzi do mnie jakiś pan nieznajomy: wymienia nazwisko swoje.

— Wiem, rzecz, jak pani czynnie piątkami kieruje, otóż przynoszę do jej rozporządzenia pięć tysięcy rubli, później mogę dostarczyć więcej.

Serce mi uderzyło. Pięć tysięcy rubli! Jakaż to pomoc w chwili, kiedy kasa prawie pusta.

— Ale w zamian, ciągnie nieznajomy, mam nadzieję, że pani uczyni zadość prośbie mojej i wyrobi u Rządu Narodowego, że nie będzie przeszkadzał tym a tym liwerantom, dostarczać żywności dla wojska.

— Ależ pan jesteś w błędzie! żadna z nas nie ma styczności z Rządem Narodowym. Jeśli zbieramy składki dla ubogich, czynimy to z własnego popędu.

— Nie lękaj się pani, ja wcale jej nie zdradzę. Zostawiam pani parę dni do namysłu. Oto mój adres.

Przekonana byłam, że Rząd Narodowy nie przystanie na taką propozycję, w każdym razie drogą pośrednią uwiadomiłam o tem Naczelnika miasta. Odmówił wręcz, jak należało

Rzeczy zbliżały się do końca. W początku jesieni rzucono bombę na Berga, z wielkiej kamienicy hr. Andrzeja Zamoyskiego. Widziałam z okien moich tę płomienistą kulę, mieszkając niedaleko na zakręcie ulicy. Podczas największego zgiełku, kiedy wojsko uprowadza na ratusz licznych mieszkańców podejrzanego domu, kiedy wyrzuca oknami wszystkie sprzęty i pali je na placu Kopernika, kiedy ognisko wybucha wielkim słupem i wyrzuca w górę kłęby czarnego dymu, wchodzi do mnie urzędnik Rządu Narodowego.

— Przybywam, rzecz, po koszule i buty, wóz czeka w podwórzu, trzeba wynieść wszystko jak najspieszniej.

— Jakto? zawołałam, pan przychodzisz tu w takiej chwili?

— To właśnie chwila najlepsza, odrzecz, zbiry ważniejszą zajęte sprawą, wcale nie myślą o nas.

Wóz naładowany odszedł najspokojniej.

Od tygodnia trwoga padła na Warszawę. Co noc powtarzały się rewizye po domach. Okropne były to nocy. Nowy Świat wyspany był żwirem, zaczęto go brukować lecz przerwano roboty. Bruk dociągnięty był do domu, w którym mieszkałam. Ilekroć nocą powóz zjeżdżał z bruku

na gładką drogę, zdawało się, że staje przed domem. Dreszcz przebiegał mi żyły; nikt bowiem prócz Moskali nie jeździł nocą po Warszawie. Jednej nocy słysząc gwar jakiś, wybiegam z towarzyszką do okna, widzę dom otoczony żandarmami. Rewizya niechybna, uprzątamy wszystko, chowamy, gdzie można, szczęściem skończyło się na strachu. Otoczono dom z powodu, że stróż wyszedł z bramy, by zamknąć okiennice, o czem zapomniał w godzinach dozwolonych.

Moskale wysledzili miejsca, gdzie się odbywały schadzki Rządu Narodowego. Dnia jednego przychodzi do mnie ktoś znajomy, opowiada, co zaszło, zapytuje, czy pozwolę, aby narady odbywały się w domu moim, nim członkowie Rządu upatrzą inne miejsce.

Struchlałam na te słowa, a jednak niepodobna było odmówić.

— Z mojej strony, rzekłam, zgadzam się na wszystko, gotowa jestem przyjąć wszelkie następstwa, ale zaczem przyjdzie do tego, chcecie panowie zbadać, czy dom mój dosyć dla was bezpieczny.

— Uczynimy, co będzie można, odrzekł na to, w każdym razie, skoro się pani zgadzasz, pojutrze o godzinie czwartej oddal z domu służących, pozostań sama z towarzyszką, przyjdzie tu kilku panów, ja zapewne nie będę z nimi. Jeżeli na powitanie podadzą wam rękę w taki sposób — to mówiąc podwinął jakoś palce — wtedy możecie przyjąć ich z całą ufnością.

Co działo się ze mną w dniu umówionym, tego już opisać nie potrafię. O drugiej podano nam obiad, żadna go nie dotknęła. Rozesłałyśmy służących w dalekie strony, skąd nie mogli wrócić przed wieczorem. Obie z moją pocziwą Zosią siedzimy przy stoliku martwe, jak głazy, liczymy minuty na zegarze. Biję czwarta... pociemniało nam w oczach. Nikt nie przyszedł, śnać ostrzeżono, że dom nie przedstawia warunków bezpieczeństwa.

Byłoby jakoś w połowie października, nie pamiętam dokładnie daty. Z rana odbieram wiadomość, że aresztowano tę właśnie panią, która obchodziła ze mną Nowiniarską i Franciszkańską ulicę. W tymże domu miał się odbyć pogrzeb dobrej przyjaciółki mojej i egzekwie w kościele Reformatów. Jedziemy z towarzyszką. W kościele zbliża

się do mnie poważny prawnik, dawny mój przyjaciel: mieszkał o parę domów od kościoła.

— Pani nie pojedziesz na Powązki, rzekł do mnie w stanowczy sposób, chciej przyjść do nas po nabożeństwie, mam ci powiedzieć coś ważnego. Uczyniłam, jak żądał.

— Czy masz pani pasport za granicę? pyta, witając mnie w progu.

— Mam, odrzekłam, ale ten pasport nic nie znaczy. Otrzymałam go na cztery przejazdy. Za nim wyjechała z kraju jedna osoba, zwróciła mi go wprawdzie lecz bez wizy powrotnej. Ale i cóż mi po pasporcie? ja nie myślę wyjeżdżać!

— Pani wyjechać musisz, odpowie stanowczo, i to dzisiaj, natychmiast. Nie pytaj, kto mnie ostrzegął o tem, dość że osoba wysoko postawiona u Rządu. Więcej nie powiem, dałem słowo.

— I cóż mam czynić? radź pan.

— Idź pani zaraz do biura pasportowego, tam może coś poradzą.

W biurze odpowiadają mi, że pasport nic nie znaczy, że wypada postarać się o nowy, a to zabierze co najmniej tydzień czasu. Miałam w biurze kogoś znajomego, ten wprowadził mnie na bok, wskazał nazwisko urzędnika na granicy, radził udać się do niego z ufnością za przybyciem do Aleksandrowa.

— A gdyby też, pytam, ów urzędnik był chory lub uwięziony.

— To się znajdzie inny, co go zastąpi, tam są ludzie gotowi usłużyć w takich razach.

Niebardzo mnie to zaspokoilo, ale nie było rady, powróciłam na chwilę do domu, gdzie mnie poprzedziła kochana Zosia. Z wielkiem podziwieniem zastałam w salonie z jakie trzydzieści osób. Zrana rozeszła się pogłoska, że mnie aresztowano. Życzliwi przychodzili sprawdzić tę rzecz na miejscu. Dowiedziawszy się od Zosi, że powrócę za chwilę, czekali, aby mnie pożegnać.

Smutneż to było pożegnanie. Z tyłu serc życzliwych kilka dziś ledwie jeszcze bije. Ze łzami przestąpiłam progi domu, w którym przeżyłam trzy lata, a zwłaszcza rok ostatni

tak ważny w dziejach narodu naszego i niemniej stanowczy w moim życiu.

Przez dwa dni ukrywałam się w domu przyjaciół; wielkie to było z ich strony poświęcenie, że mnie zatrzymali pod dachem swoim. W tych czasach za przyjęcie gościa na noc opłacano wielką pieniężną karę; gdy tym gościem był ktoś skompromitowany, za to czekała cytadela i Sybir. Nie mogłam jednak wyjechać natychmiast, trzeba mi było złożyć rachunki, oddać wspierane rodziny pod opiekę moich zastępców. Nazajutrz wieczorem poszłam do prezesa Wieczorkowskiego, oddałam mu pieniądze i rachunki z wydatków. Otrzymałam ze łzami jego błogosławieństwo.

Nadeszła noc, okropniejsza nad wszystkie inne. Nazajutrz zrana miała nastąpić egzekucya dwóch patryotów na placu Grzybowskiem; plac ten dotykał ulicy, na której znalazłam schronienie. Przez całą noc zwożono drzewo na szubienice. wbijano w ziemię pale. Każdy huk młota odbijał się w piersi mojej; nie zamrużyłam oka.

Po strasznej nocy straszliwszy nastąpił poranek. O dziesiątej wieziono skazanych patryotów, otoczonych wojskiem i żandarmami. Nie pomnę ich nazwiska. Byli to młodzi ludzie; każdy osobnym jechał wózkiem, obok siedział zakonnik z krzyżem w ręku.

Miałam wyjechać zaraz popołudniu. Na kilka minut przed wyjazdem moim przybywa ktoś znajomy. Pyta mnie, czy mam pasport. Opowiadam, jak rzeczy stoją.

– Niepodobna tak się ryzykować, odrzeczę, ale jest na to rada. Jedź pani na noc do Skierniewic, udaj się tam wprost do naczelnika ruchu Radwana, który z obowiązku jeździ co parę dni do granicy. Oddaj mu pasport, on wyrobi wizę powrotną i wszystko będzie w porządku.

Pojaśniało mi w oczach na te słowa. Czas wyjeżdżać, żegnając gościnnych przyjaciół, wsiadam do dorożki z moją Zosią. Nie przyszło nam na myśl powiedzieć dorożkarzowi, aby pomiął Grzybów. Ten, nie pytając, wjeżdża pomiędzy tłumy zebrane w miejscu egzekucyi, podniosłam oczy i widzę dwie szubienice, a na nich sztywne ciała patryotów. Okropny, przerażający widok! Tak po raz ostatni przedstawiła się oczom moim Warszawa!

Na kolei trudność z pasportem. Zagranicznego bez wizy pokazać niepodobna, o pasport z Warszawy na wieś starać się nie mogłam, by nie ściągnąć uwagi. Wyrobiono go na imię kucharki mojej i za tym wyjechałam.

Przybywszy do Skierniewic. Lokujemy się u poczciwych ludzi, w hotelu bowiem konieczna legitymacya. Uwiadomiony naczelnik ruchu przybiega w tejże chwili. Obiecuje wszystko załatwić.

— Takie wypadki, rzeczy, codziennie się zdarzają, gdybyś pani żadnego pasportu nie miała, i tak puszczonoby ją przez granicę. W Aleksandrowie nie braknie ludzi dobrej woli.

Radwan wyjechał nazajutrz do granicy. Wracając przez Kutno, miał zostawić zawizowany pasport u wuja mego, który tam wówczas mieszkał. Ja miałam jechać do krewnych na wieś, położoną o parę mil od Kutna i stamtąd wyprowadzić posłańca po ów pasport.

Dojeżdżamy do wsi wieczorem; gwarno w niej, ludno; po drodze rozstawione czaty powstańców naszych. W dziedzińcu pełno koni, we dworze zastawiona wieczerza. Biedacy znużeni pochodami, niepewni jutra, a przecież nie upadają na duchu. Dwaj z nich przybiegają do mnie, całują w ręce, witają jak dobrze znajomą.

— Pani nas nie pamięta, rzeczy jeden, ale my znamy dobrze panią. My obaj policyjanci: ja pełniłem służbę na Nowym Świecie, kolega mój na Nowolipkach: kazano nam śledzić panią na każdym kroku, my też śledzili, ale tylko dla siebie, para z ust naszych nie wybiegła.

Uścisnęłam ręce tych nieznanym mi opiekunów, dziękowałam im całym sercem. Tyleż razy mogli mnie zgubić

— Nie taki dyabeł straszny, ja go malują, rzekł drugi, służyliśmy dla chleba, ale my też Polacy!

— Wierzę wam, drodzy moi, największy dowód, że was tu dziś spotykam.

Po wiozaczery oddział poszedł na spoczynek. Dowódcy spali we dworze, szeregowcy w dziedzińcu przy koniach. My z gospodarstwem domu spędziłyśmy noc całą, siedząc w koło komina i licząc minuty na zegarze. O szóstej rano oddział zamierzał odejść, a tu Moskale krążą po okolicy.

Około drugiej wpada zadyszany ekonom.

— Moskwa idzie, woła błąd jak widmo, słyhać zdaleka tentent koni.

Zrywamy się, budzimy śpiących. W oka mgnieniu wszyscy już na koniach, zabierają się do wymarszu. Był to fałszywy alarm, zamiast Moskwy, powitaliśmy garstkę naszych.

Odeszli zrana. Dzień jeden przebiegł spokojnie. Nazajutrz wyprawiam posłańca do Kutna po mój pasport. Poszedł piechotą, na jadących bowiem konno większą zwracali uwagę; powrócić miał wieczorem.

Okoła południa wpada szwadron Moskali, przetrzasając dom, szukają powstańców, ale nie znaleźli nikogo.

Odbiegli, w domu cicho, ale ja drzę na myśl o moim pasporcie. Gdybyż go Moskale przejęli! posłaniec nie powraca.

Mija noc, trwoga nie daje zasnąć. Zrana przychodzi wieść o krwawej utarczce w pobliskim lesie. Kilkunastu naszych poległo, reszta uszła szczęśliwie. Moskwa krąży po okolicy.

Potrzeba mi wyjechać w południe, aby spotkać się z pociągiem na stacyi. Ubieramy się na drogę obie z Zosią, podają nam śniadanie, powóz zachodzi, pakują rzeczy i niechże wszystko będzie gotowe, w chwili gdy przyjdzie posłaniec, a jego jak niema, tak niema!

Nazajutrz powtarza się toż samo. Trzeciego dnia wreszcie, podczas gdy w futrach i kapeluszach siedzimy przy śniadaniu, oddają mi list, a przy nim nie jeden ale dwa pasporty, jeden urzędowy z dokładną wizą, położoną w Aleksandrowie, drugi malutki, na świstku, z pieczęcią Rządu Narodowego. Chowam go jako najdroższą pamiątkę, jako dowód, że nie zbiegłam przed czasem z pola. Oto dokładny odpis:

„W imieniu Rządu Narodowego, Naczelnik powiatu Gostyńskiego udziela niniejszem obywatelce Sewerynie P... pozwolenie wydalenia się za granicę kraju polskiego na czas nieograniczony, jako skompromitowanej przed Moskwą.

Dnia 2. listopada 1863. roku.

Zabieramy się co tchu, wyjeżdżamy nakoniec. W drodze zaszywamy w obrębek sukni kartkę Rządu Narodowego. Na stacyi Kutnowskiej pociąg zatrzymuje się chwilę, czekał tam na mnie wuj i kilku znajomych. Jeden z nich wsuwa

mi numer Dziennika Poznańskiego, wskazuje ustęp w tych słowach: „Seweryna Pruszkowa wzięta do Cytadeli“.

Otwierają kufry, przetrząsają rzeczy drobiazgowo. Powtarza się to na każdej stacyi, do samego Aleksandrowa. Im bliżej granicy, tem silniej serce nam uderza. Mówimy do siebie z Zosią: „przepłynęliśmy rzekę, bodajby nie utonąć na brzegu. Kto wie co nas tam spotka.“

Mrok zapadł, trwoga wzrasta z nocną ciemnością. Stajemy nakoniec przed dworcem Aleksandrowskim. Odbierają pasporty, poczem wypuszczają nas na godzinę. Podróżni zasiedli koło stołu, jedzą, piją herbatę. Żadna z nas nie myśli o posiłku. Dzwonek daje się słyszyć. Wsiadamy do wagonu; otóż chwila stanowcza: *to by or not to by*.

Drzę jak listek, ta niepewność trwa może kwadrans; mnie zdaje się być wiekiem. W wagonie jest nas trzy: my dwie i jakaś nieznamo nam pani.

Światło latarni połyska za oknem. Komisarz policyi z pasportami w ręku zbliża się, wymienia nazwisko nieznamojej, woła potem Seweryna P., wyciągam rękę, odbieram pasport, łzy stanęły mi w oczach. Jakże gorąco dziękuję Bogu, że mnie wyrwał z moskiewskich sponów.

Pociąg rusza, mijamy graniczne słupy; nie przyszło mi na myśl, że po za ich obrębem upłynie mi ćwierć wieku! Milczymy, potrzeba nam odetchnąć po tylu doznanych wstrząśnieniach. Nieznamo pani, mniej poruszona od nas, przerwała nakoniec milczenie. Opowiada nam, że powraca z Warszawy do Księstwa poznańskiego.

— Co słyhać, pytam, w drogiej naszej Warszawie?

— Ostatnia wiadomość, odrzecz, że Seweryna P. uciekła za granicę.

Rozwiązały nam się usta, nastąpiło tysiące pytań i odpowiedzi. Była to patryotka poznańska, wysłana z poleceniem do Rządu Narodowego. Z żalem rozstałyśmy się w Bydgoszczy. Odtąd byłyśmy same. Około szóstej przybywamy do Berlina.

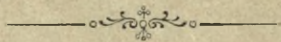
Zostajemy tu dzień i noc całą, potrzeba nam spoczynku. Od trzech miesięcy nie miałyśmy jednej nocy spokojnej! Zresztą co się tu spieszyć! Powtarzam w duchu za Bajronem:

Lódko, gdzie niesiesz, nie dbam ja wcale,
Byleś mnie nazad nie niosła.

W południe proszę o dziennik, kelner przynosi mi Debaty. Czytam, że jestem w Cytadeli, wiadomość tę z Dziennika poznańskiego powtórzyły wszystkie pisma francuskie i niemieckie.

Zatrwożyłam się, już nie o siebie ale o najbliższą rodzinę moją, zmuszoną także do wyjazdu, przebywającą w Wiesbaden i Szwajcaryi. Biegnę czempredzej na pocztę, rozsyłam telegramy.

We dwa dni potem, witam rodzinę na dworcu Wiesbadeńskim; umyśliłam pozostać tu parę tygodni a stąd na Szwajcaryę udać się do Paryża.



Errata tomu II.

Str.	wiersz			
124	10 z góry	po wyrazie ducha,	— dodać	narodu moskiewskiego
125	2 z dołu	zamiast cyfrą kwot,	— czytaj	kwotę
133	6 z góry	zamiast Stankiewicz,	— czytaj	Starkiewicz
134	3 „	zamiast szat,	— czytaj	wot
—	5 „	zam. całe rodziny,	— czytaj	całą rodzinę
136	19 „	zam. jakąś drugą,	— czytaj	jedną i drugą
142	13 „	zam datą wyborów,	— czytaj	domem wyborów
148	19 „	zam. naczelników pow. Radzyńskiego,	— czytaj	wojskowym naczelników pow. Radzyńskiego
149	2 z dołu	zam. z Radzyna,	— czytaj	w Radzynie
150	6 „	zam. o dziesiątej,	— czytaj	o dziesiątej wieczór
158	9 „	zam. Mur,	— czytaj	Nur
—	6 „	zam. Cichocki,	— czytaj	Cichorski
162	1 z góry	zam. Ostrołęką,	— czytaj	Ostrowiem
—	6 „	zam. Danielewicz,	— czytaj	Denisiewicz
—	22 „	zam. do miejsca,	— czytaj	w miejscu
—	24 „	po wyrazach: nie zwracając uwagi,	— dodać:	na przestrozę Kozaków
163	1 z góry	nota, zam. Roguski,	— czytaj	Bogucki
164	8 „	zam. maja,	— czytaj	czerwca
165	19 „	zam. wypadła bagnetem z lasku,	— czytaj:	wypadła naszymi strzelców bagnetem z lasku
165	29 „	zamiast usiadł na ziemi przed nami,	— czytaj:	który usiadł pod nami
166	16 „	zam. pod Zarębą	— czytaj	pod Czyzew
—	18 „	zam. od Czyzewa,	— czytaj	od Zaręb
169	10 „	zam. kompanii,	— czytaj	kawaleryi
169	10 z dołu	zam. Szymanowskiego,	— czytaj	Szymańskiego
169	10 „	zam. obywatela.	— czytaj	obywatela Karwowskiego
170	4 „	zam. 24 stycznia,	— czytaj	21 stycznia
174	17 z góry	zam. całą kawaleryą,	— czytaj	z całą kawaleryą
176	18 „	zam. zobaczymy jak się popisie,	— czytaj:	zobaczymy, powiada, jak się popisie
176	4 z dołu	zam. Trzebińskiemu,	— czytaj	Trzczańskiemu
176	1 „	zam. sformułowałem,	— czytaj	sformowałem
177	14 „	zam. nie mógł,	— czytaj	że nie mógł



t. II

37678/

12.